



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyły już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Żnak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

# Pisma Henryka Sienkiewicza

Henryk  
Sienkiewicz

8.101-7193.1.1

Harvard College Library



FROM THE FUND OF

FREDERICK ATHEARN LANE

OF NEW YORK

(Class of 1849)

A

11

11



# OGNIEM I MIECZEM

IV

P I S M A

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM IX



OGNIEM I MIECZEM

TOM IV

---

---

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Henryk Sienkiewicz

---

# OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH

TOM IV

WYDANIE SIODME

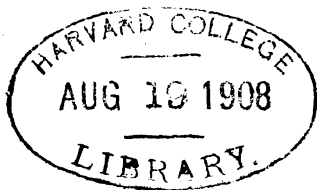
NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

**MANISZEWSKI i MEINHART**  
KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT  
w Lwowie, plac Halicki 3.

**WARSZAWA**  
**GEBETHNER I WOLFF**  
**KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA**



Slav-7/23.1.1



Lanc fund

Дозволено Цензуром.  
Варшава, 15 Февраля 1901 г.

## ROZDZIAŁ I.

Zaledwie koniom wypocząwszy, uciekali tak śpiesznie, że gdy księżyc wytoczył się na step, byli już w okolicach Studenki za Waładynką. Naprzód jechał pan Wołodyjowski, pilnie się na wszystkie strony rozglądając — za nim Zagłoba obok Heleny, a pochód zamykał Rzędzian, prowadzący konie juczne i dwa powodowe, których ze stajni Horpyny zabrać nieomieszkał. Zagłobie nie zamykały się usta, bo też istotnie i miał co opowiadać kniaziównie, która, zamknięta w dzikim jarze, o świecie nie wiedziała. Opowiadał jej więc, jak jej od początku szukali, jak Skrzetuski aż do Perejasławia chodził szukać Bohuna, o którego posiekaniu nie wiedział, jak wreszcie Rzędzian tajemnicę jej ukrycia od atamana wy dostał i takową do Zbaraża przywiózł.

— Boże miłosierny — mówiła Helena, podnosząc ku księżycowi swoją sliczną, bledziuchną twarz — to pan Skrzetuski aż za Dniepr po mnie chodził?

— Do Perejasławia, jak ci to powtarzam. I pewnie byłby tu razem z nami przybył, gdyby nie to, żeśmy czasu posyłać po niego nie mieli, chcąc zaraz iść ci z pomocą. Nic on jeszcze nie wie o twojem ocaleniu i za duszę twoją codzień się modli — ale już go nie żałuj.

Niechże się jeszcze jakiś czas pomartwi, gdy taka czeka go nagroda.

— A ja myślałam, że wszyscy o mnie zapomnieli, i jeno o śmierć Boga prosiłam.

— Nietylkośmy o tobie nie zapomnieli, aleśmy przez wszystek czas nad tem tylko deliberowali, jakby to ci przyjsć z pomocą. Aż dziw pomyśleć! bo że tam ja głowę suszyłem i Skrzetuski, to i słuszna, ale oto ten rycerz, który przed nami jedzie, z równą ochotą nie szczędził ni pracy, ni ręki.

— Niechże jemu Bóg to nagrodził!

— Już wy to oboje widać macie, że ludzie do was lgną, ale Wołodyjowskiemu naprawdę wdzięczność winnaś, bo jakom rzekł, takeśmy we dwóch splatali Bohuna, jak szczupaka.

— Wiele mnie pan Skrzetuski jeszcze w Rozłogach o panu Wołodyjowskim, jako o najlepszym swym przyjacielu, powiadał..

— I słusznie uczynił. Wielka to jest dusza w małym ciele. Teraz on jakoś zgłupiał, bo go widać twoja gładkość odurzyła, ale poczekaj, niech się jeno oswoi i przyjdzie do siebie! Siłaśmy z nim na elekcyi dokazywali.

— To jest nowy król?

— I tegoś niebogo nie wiedziała w owej przeklętej pustyni? Jakto! Jan Kazimierz, jeszcze zeszłej jesieni obran, już ósmy miesiąc panuje. Wielka teraz będzie z hultajstwem wojna, ale daj Boże, żeby szczęśliwa, gdy księcia Jeremiego spostonowali, a obrali innych, którzy do tego zdadni, jak ja do żeniaczki.

— A pan Skrzetuski pójdzie na wojnę?

— Szczery to żołnierz i nie wiem, czy tego doka-

żesz, żeby nie poszedł. Już to my obaj jednacy! Kiedy to proch nas zaleci, żadna siła nas nie utrzyma. Oj! daliśmy się hultajom obaj zeszłego roku dobrze we znaki. Nocyby nie starczyło, gdybym ci chciał wszystko, tak właśnie jak było, opowiadać. Pewnie, że pójdziemy, ale już z lekkim sercem, bo to grunt, żeśmy ciebie nieboże odnaleźli, bez której nam się życie przykrzyło.

Kniaziówna pochyliła swoją słodką twarz ku Zagłobie.

— Nie wiem za coś mnie waćpan pokochał, ale już pewnie nie kochasz mnie więcej, niż ja waćpana.

Zagłoba począł sapać z zadowolenia.

— Także mnie to miłujesz?

— O, jako żywo!

— Bógże ci zapłać, bo mi będzie starość lżejsza.

Nieraz się tam jeszcze podwiki za człowiekiem oglądają, co i w Warszawie w czasie elekcyi bywało. Wołodyjowski świadek! Ale nic mi już po amorach i naprzekór krwi gorącej, chętnie ojcowskim sentymentem będę się kontentował.

Nastało milczenie, jeno konie zaczęły parskać silnie jeden za drugim, na pomyslną dla podróżnych wróżbę.

— Zdrów! zdrów! — odpowiadali jeźdźcy.

Noc była jasna. Księżyc coraz wyżej wypływał na niebo, nabite migotliwemi gwiazdami, i stawał się coraz mniejszy, bledszy. Utrudzone bachmaty zwolniły kroku, a i jadących poczęło ogarniać znużenie. Wołodyjowski pierwszy wstrzymał konia.

— Czasby spocząć — rzekł. — Brzask już niedługo.

— Czas! — powtórzył Zagłoba. — Już mi się ze snu zdaje, że mój koń ma dwa lby.

Jednakże przed odpoczynkiem, Rzędzian pomyślał o wieczerzy; rozpalił więc ogień, a następnie zdjąwszy z konia biesagi, począł z nich wydobywać zapasy, w które się był u Burlaja w Jampolu jeszcze zaopatrzył, jako to: chleb z kukurudzy, zimne mięsiwa, bakalie i wino wołoskie. Na widok dwóch worków skórzanych, dobrze płynem wydętych, które wydawały odgłos belkocący i słodki, pan Zagłoba zapomniał o śnie — inni też chętnie zabrali się do jedzenia i jedli. Starczyło dla wszystkich obficie, a gdy mieli już dosyć, pan Zagłoba obtarł połą usta i rzekł:

— Do śmierci nie przestanę powtarzać: dziwne są sądy boże! Otoś jest wolna, moja mościa panno, a my ucieszeni siedzim sobie tutaj sub Jove i winko Burlaja popijamy. Nie powiem, żeby węgrzyn nie był lepszy, bo to skórą pachnie, ale w drodze i ono się przygodzi.

— Jednemu się nie mogę wydziwić — rzekła Helena — że Horpyna zgodziła się mnie wydać waćpanom tak łatwo.

Pan Zagłoba począł spoglądać na Wołodyjowskiego, następnie na Rzędziana, i mrugać mocno.

— Zgodziła się, bo musiała. Zresztą, niema co ukrywać, bo nie wstyd, żeśmy ich oboje, z Czeremisem, zgładzili.

— Jakto? — pytała z przestraczem kniaziówna.

— A toś nie słyszała wystrzałów?

— Słyszałam, alem myślała, że to Czeremis strzela.

— Nie Czeremis to był, ale ten tu pacholek, który na wylot czarownicę przestrzelił. Dyabeł w nim siedzi, na to zgoda, ale nie mógł inaczej postąpić, bo czarownica, nie wiem, czy wiedząc coś, czy tak sobie z determinacyi, napała się jechać z nami. Trudnoż było na

to pozwolić, bo zarazby się obejrzała, że nie do Kijowa jedziemy. Ustrzelił ci ją tedy, ustrzelił, a ja tego Czere-misa zaciukałem. Prawdziwe to monstrum afrykańskie i myślę, że Bóg mi tego za złe nie poczyta. Musi być i w piekle z niego powszechna abominacya. Przed samym odjazdem z jaru, pojechałem naprzód i poodciągałem ich trochę na stronę, żebyś się widoku trupów nie przelękała, lub za zły omen sobie tego nie poczytała.

Na to kniaziówna:

— Za wielu ja już, bliższych sobie, nieżywemi w tych okropnych czasach widziałam, abym się miała bać widoku zamordowanych, ale przecie wołałabym krwi za sobą nie zostawiać, żeby nas Bóg za nią nie pokarał.

— Nie rycerska też to była sprawa — rzekł szorstko Wołodyjowski — do której nie chciałem ręki przyłożyć.

— Co tam, mój jegomość, deliberować — rzekł Rzędzian — kiedy inaczej być nie mogło. Żebyśmy to kogo dobrego starli, to jeszcze nie mówię, ale nieprzyjaciół Boga wolno, a ja to przecie sam widział, że ta czarownica z dyablami w komitywę wchodziła. Nie tego mnie też żal!

— A czegoż to imć pan Rzędzian żaluje? — pytała kniaziówna.

— Bo tam są zakopane pieniądze, o których mi Bohun powiedział, a waszmościowie tak pilili, że nie starczyło czasu odkopać, choć miejsce koło młyna wiedziałem dobrze. Serce mi się też krajało, że trzeba było tyle dobroci wszelakiej w tamtej komnacie, co to w niej panna mieszkała, ostawić.

— Obaczno, jakiego będziesz miała sługę — mówił

do kniaziówny Zagłoba. — Z wyjątkiem swego pana, z samego onby dyabła skórę zdarł, żeby sobie kołnierz z niej uczynić.

— Da Bóg, nie będzie imć pan Rzędzian na moją niewdzięczność narzekał — odpowiedziała Helena.

— Dziękuję pokornie jejmość pannie! — rzekł, całując ją w rękę, pacholek.

Przez ten czas Wołodyjowski siedział milczący, jeno wino z bukłaka popijał i marsem nadrabiał, aż to niezwykle mu milczenie zwróciło uwagę Zagłoby.

— A pan Michał — rzekł — ledwie kiedy jakie słowo puści. (Tu stary zwrócił się do kniaziówny). Nie mówiłem ci, że mu twoja gładkość rozum i mowę odejmuje?

— Przespałbyś się waćpan lepiej przededniem! — odparł zmieszany rycerz i począł wąsikami mocno ruszać, tak właśnie, jak zając, gdy sobie chce dodać fantazyi.

Ale stary szlachcic miał słuszość. Nadzwyczajna piękność kniaziówny trzymała małego rycerza jakoby w ciągłym odurzeniu. Patrzył na nią, patrzył, a w duchu się pytał: żali to może być, by taka po ziemi chodziła? Wiele on bowiem piękności w życiu widział — piękna była panna Anna i panna Barbara Zbarazkie, urodziwa nad podziw i Anusia Borzobohata — rześista była i panna Żukówna, do której się Roztworowski zaleca, i Wierszullowa Skoropadzka i Bohowitynianka, ale żadna z nich nie mogła się równać z tym cudnym kwiatem stepowym. Wobec tamtych bywał pan Wołodyjowski i ochoczy i mowny, a teraz, gdy spoglądał na te oczy aksamitne, słodkie a mdlejące, na te jedwabne ich zaslony, których cień padał aż na jagody, na ten włos rozsypany, jakby

kwiat hyacenty, po ramionach i plecach — na strze-  
listość postaci, na pierś wypukłą i tchnieniem lekko ko-  
łysaną, od której biło ciepło łube, na te wszystkie bia-  
łości liliowe i róże a maliny ust — gdy na to wszystko  
spoglądał pan Wołodyjowski, wówczas po prostu języka  
w gębie zapominał i, co najgorsza, że się sobie wyda-  
wał niezgrabny, głupi, a zwłaszcza mały, ale to tak  
mały, że aż śmieszny. „To jest księżna, a ja żaczek!” —  
myślał sobie z pewną goryczą i radby był, żeby się jaka  
przygoda zdarzyła, żeby z ciemności ukazał się jaki  
olbrzym, bo dopiero wówczas pokazałby biedny pan Mi-  
chał, że nie taki to on mały, jak się wydaje. Drażniło  
go i to, że pan Zagłoba, kontent widocznie, że córuchna  
jego tak oczy ludzkie rwie, krząkał co chwila i już po-  
drwiwać zaczynał i oczami okrutnie mrugał.

A tymczasem ona siedziała przed ogniskiem, różo-  
wym płomieniem i białym miesiącem oświetlona, słodka,  
spokojna i coraz piękniejsza.

— Przyznaj, panie Michale — mówił nazajutrz  
rano Zagłoba, gdy się na chwilę sami znaleźli — że  
drugiej takiej dziewczki nie masz w całej Rzeczypospolitej.  
Jeżeli mi taką drugą pokażesz, pozwolę ci się nazwać  
szoldrą i imparitatem sobie zadać.

— Tego ja waćpanu nie neguję — odrzekł mały  
rycerz. — Specyał to jest i raryter, jakiego dotychczas  
nie oglądałem, gdyż nawet i owe figury bogiń, tak wła-  
śnie z marmuru udane, jakoby żywe, któreśmy w pałacu  
Kazanowskich widzieli, nie mogą wejść z nią w paragon.  
Nie dziwno mi teraz, że najlepsi mężowie za lby o nią  
chodzą — bo warto.

— A co? a co? — mówił Zagłoba. — Dalibóg  
niewiadomo, kiedy gładsza, rano czy wieczór? bo ona



ciągle w takowej ozdobie jak róża chodzi. Powiadałem ci, że to i ja kiedyś nadzwyczajnej byłem urody — ale już jej musiałbym i wówczas ustąpić, choć inni mówią, że do mnie kubek w kubek podobna.

— Idźże waszmość do licha! — zakrzyknął mały rycerz.

— Nie gniewaj się, panie Michale, bo już i tak marsem nadrabiasz. Spoglądasz na nią jak kozieł na kapustę, a ciągle się marszczysz; przysięglby kto, że cię żądy kęszą — ale nie dla psa kielbasa.

— Tfu! — rzekł Wołodyjowski — jak się waćpan nie wstydzisz, starym będąc, takowe głupstwa prawić?

— A to czego się chmurzysz?

— Bo waćpan to myślisz, że już wszystko zło przeminęło, jako ptak na powietrzu, i że my już całkiem bezpieczni, a tu dobrze trzeba jeszcze deliberować, żeby to jednego uniknąć, drugie ominąć. Droga jeszcze przed nami okrutna i Bóg wie, co nas spotkać może, bo te strony, do których jedziemy, muszą już być dotychczas w ogniu.

— Kiedy ja ją z Rozłogów Bohunowi wykradłem, gorzej było, bo nas ścigali z tyłu, a z przodu był bunt; jednakowoż przeszedłem przez całą Ukrainę, jakoby przez płomień — i aż do Baru zaszedłem. A od czego głowa na karku? W najgorszym razie, do Kamieńca nie tak daleko.

— Ba, ale Turkom i Tatarom także do niego niedaleko.

— Co mnie waćpan tam prawisz!

— Powiadam co jest i mówię, że warto nad tem podeliberować. Lepiej nam Kamieniec ominąć i ku Barowi ruszyć, bo kozacy piernacze szanują, z czernią so-

bie poradzimy, a jak nas jeden Tatar raz na oko weźmie, tak i po wszystkim! Znam ja się z nimi od dawna i potrafię przed czambułem iść razem z ptactwem i z wilkami, ale gdybyśmy prosto na czambuł wpadli, tedybym i ja już na to nie poradził.

— To idźmy na Bar, albo koło Baru; niech tam tych kamienieckich lipków i czeremisów dzuma w karwaserach wydusi. Waćpan o tem nie wiesz, że Rzędzian wziął od Burlaja piernacz. Możemy wszędy między koczactwem śpiewający chodzić. Co najgorsze pustynie jużesmy przejechali, wejdziemy teraz w ludzki kraj. Trzeba tam i o tem pomyśleć, żeby się o wieczornym udoju w chutorach zatrzymywać, bo dla dziewczki to i przystojniej i wygodniej. Ale już mi się zdaje tak, panie Michale, że za czarno rzeczy widzisz. Co u dytka! żeby zaś trzech chłopów — nie pochlebając sobie, ani wam — na schwał przednich — nie dało sobie rady w stepie. Połączmy nasze fortele z twoją szablą — i hajda! nic lepszego nie mamy do roboty. Rzędzian ma i Burlajowy piernacz, a to grunt, bo Burlaj teraz całem Podolem rządzi, a byle się za Bar przedostać, to tam już Lanckoroński z kwarcianemi chorągwiami. Hajda! panie Michale, czasu nie traćmy!

Jakoż i nie tracili czasu i rwali stepem ku północy i zachodowi, ile tylko konie mogły nadążyć. Na wysokości Mohylewa weszli w kraj więcej osiadły, tak że wieczorami wszędy nie trudno było znaleźć chutory lub wsie, w których zatrzymywali się na noclegi, ale rumiane zorze ranne zastawały ich zawsze już na koniach i w drodze. Szczęściem lato było suche, dnie znojne, noce rosiste, a rankami srebrzył się cały step, jakoby szronem okryty. Wody wiatr wysuszył, rzeki po-

opadały — i przebywali je bez trudności. Idąc czas jakiś wzdłuż i w górę Łozowej, zatrzymali się na dłuższy nieco wypoczynek w Szarogrodzie, w którym stał pułk kozacki, do komendy Burląja należący. Tam zastali wysłańców Burląjowych, a między nimi setnika Kunę, którego w Jampolu, na uczcie u Burląja, widzieli. Ten zdziwił się trochę, że nie idą na Braclaw, Rajgród i Skwirę do Kijowa, ale zresztą żadne podejrzenie nie powstało mu w umyśle, zwłaszcza, iż Zagłoba wytłómaczył mu, że nie poszli tamtą drogą z obawy Tatarów, którzy się od strony Dniepru mieli ruszyć. Mówił im natomiast Kuna, że Burląj wysłał go do pułku, by pochód zapowiedział, i że sam ze wszystkimi wojskami jampolskimi i budziackimi Tatary lada chwila do Szarogrodu także ściąganie, skąd dalej zaraz ruszą.

Przyszli gońce do Burląja od Chmielnickiego z wieścią, że wojna rozpoczęta i rozkazami, aby wszystkie pułki na Wołyń prowadził — Burląj zaś z dawna już i sam chciał pod Bar walić i tylko się jeszcze na tatarskie posiłki oglądał, pod Barem bowiem źle jakoś zaczęło się powodzić rebelii. Oto pan Lanckoroński, regimentarz, mocno tam znaczne kupy pogromił, miasto zdobył i zamek załogą obsadził. Legło tam na placu kilka tysięcy kozactwa i ich to właśnie chciał stary Burląj pomścić, a przynajmniej zamek napowrót odebrać. Kuna jednak powiadał, że ostatnie rozkazy Chmielnickiego, aby na Wołyń iść, przeszkodziły tym zamiarom i że Baru nie będą na teraz oblegali, chybaby Tatarowie koniecznie chcieli.

— A co, panie Michale — mówił na drugi dzień Zagłoba — Bar przed nami i mógłbym tam po raz drugi kniaziównę schronić, ale niech go tam kaduk zje.

Nie wierzę już ani Barowi, ani żadnej fortecy, od czasu, jak hultajstwo ma więcej armat, niż wojska koronne. To mnie jednak niepokoi, że jakoś chmurzy się koło nas.

— Nietylko się chmurzy — odrzekł rycerz — ale już burza za nami wali, to jest Tatarzy i Burlaj, który gdyby nas dogonił, wielce byłby zdziwiony, iż nie ku Kijowu, ale w przeciwną stronę zdążamy.

— I gotówby nam inną drogę pokazać. Niechże mu dyabeł wpierw pokaże, który szlak najprościej do piekła prowadzi. Zróbmy układ, panie Michale: z hultajstwem już ja będę sobie za nas wszystkich radził, ale z Tatarzy — niech będzie twoja głowa.

— Łatwiejże waćpanu z hultajami, którzy nas za swoich biorą — odpowiedział Wołodyjowski. — Co do Tatarów, jedyna teraz rada jak najprędzej uciekać, aby z matni, póki czas, się wysliznąć. Konie dobre, gdzie się zdarzy, musimy po drodze kupować, aby te zawsze były świeże.

— Starczy i na to trzosik pana Longina, a jak nie starczy, to Rzędzianowi Burlajowcy odbierzemy, a teraz naprzód!

I jechali jeszcze śpieszniej, aż piana okrywała boki bachmatów i spadała jak płyty śniegowe na step zielony. Przebyli Derłę i Ladawę. W Barku zakupił pan Wołodyjowski nowe bachmaty, starych nie rzucając, bo te które od Burlaja mieli w darze, wielkiej były krwi, więc zachowano je na luzne — i szli naprzód, coraz krótsze czyniąc przystanki i noclegi. Zdrowie dopisywało wszystkim wybornie i Helena, choć zmęczona podróżą, czuła, że jej z dniem każdym coraz więcej sił przybywa. W jarze pędziła życie zamknięte i prawie nie opuszczała swojej wyłączonej komnaty, nie chcąc spotykać się z bez-

wstydłą Horpyną i słuchać jej rozmów i namów — teraz zaś świeże powietrze stepowe wracało jej zdrowie. Róże zakwitły na jej policzkach, słońce przyciemniło jej twarz, ale za to oczy nabrały blasków — i gdy czasem wiatr zwichrzył jej włosy na czole, rzekłbyś: cyganka jaka, najcudniejsza worożycha, albo cygańska królewna, jedzie stepem szerokim — przed nią kwiaty, a za nią rycerze.

Pan Wołodyjowski zwolna się z jej nadzwyczajną urodą oswajał, ale że zbliżała ich podróż, więc się na koniec oswoił. Odzyskał wówczas mowę i wesołość i często, tocząc przy niej koniem, opowiadał o Łubniach, a najwięcej o swojej ze Skrzetuskim przyjaźni, bo zauważył, że tego rada słucha; czasem też się i drażnił z nią, mówiąc:

— Bohunam przyjaciel i do niego waćpannę wiozę.

A ona ręce składała, niby z wielkiego strachu, i nuż się słodkim głosem prosić:

— Nie czyńże tego, luty rycerzu, lepiej od razu mnie zetnij.

— O, nie może być! już tak uczynię! — odpowiadał srogi rycerz.

— Zetnij! — powtarzała kniaziówna, mrużąc swe śliczne oczy i wyciągając ku niemu szyję.

Wówczas mrówki poczynaly chodzić po krzyżach małemu rycerzowi. „Idzie do głowy ta dziewczka, jak wino! — myślał sobie — ale się niem nie upiję, bo cudze“ — i wstrząsał się tylko pocziwy pan Michał i koniem naprzód ruszał. A gdy już w trawy jak nurek w wodę ponał, zaraz mrówki z niego opadały i całą uwagę na drogę zwracał: czy bezpieczna, czy dobrze jadą i czyli skąd jaka przygoda się nie zbliża? Więc wspinal

się na strzemionach, żółte wąsiki nad falę traw wytykał i patrzył, wietrzył, słuchał jak Tatar, kiedy to w dzikich polach wśród burzanów myszkuje.

Pan Zagłoba również był najlepszej myśli.

— Łatwiejże nam teraz umykać — mówił — niż wtedy nad Kahamlikiem, kiedyśmy to musieli, jak psi, piechotą, z wywieszonymi językami, drałować. Ozór mi w gębie tak wtedy wysechl, że mógłbym być nim drzewo strugać, a ninie, chwalić Boga, i odpocznienie na noc bywa i jest czem gardło od czasu do czasu odwilżyć.

— A pamiętasz waszmość, jakieś to mnie na rękę przez wodę przerosił? — mówiła Helena.

— Będiesz i ty miała, daj Boże doczekać, kogo na rękę nosić — Skrzetuskiego w tem głowa.

— Hu! hu! — śmiał się Rzędzian.

— Zaniechaj waść, proszę — szeptała kniaziówna, płonąć i spuszczać oczy.

Tak to oni ze sobą na stepie rozmawiali, aby czas drogi skrócić. Nakoniec za Barkiem i Joltuskowem, wstąpili w kraj zębami wojny świeżo poszarpany. Tam grasowały dotychczas kupy zbrojne hultajstwa, tam też niedawno i pan Lanckoroński palił i ścinał, bo dopiero przed kilkunastoma dniami do Zbaraża się cofnął. Dowiedzieli się też nasi podróżni od miejscowych ludzi, że Chmielnicki z chanem ruszyli wszystkimi siłami przeciw Lachom, a raczej przeciw regimentarzom, których wojska się buntują i nie chcą inaczej służyć, jak pod buławą Wiśniowieckiego. Przepowiadano przytem ogólnie, że teraz pewno już przyjdzie na pohybel, czyli na ostateczny koniec Lachom, albo kozakom, gdy się bat'ko Chmielnicki z Jarewą spotkają. Tymczasem cały kraj był jakoby w ogniu. Wszystko porywało za broń i cią-

gnęło na północ, by się z Chmielnickim połączyć. Z dołu, od Niżu dniestrowego, walił Burlaj z całą potęgą, a po drodze zrywały się wszystkie pułki z załóg, postojów i z pastwisk, bo wszędy przysły rozkazy. Szły tedy sotnie, chorągwie, pułki, a obok nich płynęła, jak fala, bezładna czerń, zbrojna w cepy, widły, noże, spisy. Koniuchowie i czabańczycy porzucili swoje kosze, chutornicy chutory, pasiecznicy pasieki, dzicy rybacy swoje komysze naddniestrzańskie, myśliwi bory. Wsie, miasteczka i miasta pustoszały. W trzech województwach zostały tylko po osadach baby i dzieci, bo młodziecy nawet ciągnęły z molojcami na Lachów. A jednocześnie ze wschodu zbliżał się z całą główną siłą Chmielnicki, jak burza złowroga, krusząc po drodze potężną ręką zamki i zameczki i mordując niedobitków z zeszyłych pogromów.

Minąwszy Bar, pełen smutnych dla kniaziówny wspomnień, weszli nasi podróżni na stary gościniec, prowadzący na Latyczów, Płoskirów, do Tarnopola i dalej, aż do Lwowa. Tu coraz częściej napotykali: to tabory sferne wozów, to oddziały piechoty i jazdy kozackiej, to watahy chłopskie, to niezmierne stada wołów, okryte obłokiem kurzawy, pędzone na spyżę dla wojsk kozackich i tatarskich. Droga stała się teraz niebezpieczna, bo raz wraz pytano ich: co zacz są, skąd idą i dokąd jadą? Kozackim sotniom pokazywał wówczas Zagłoba piernacz Burlajowy i mówił:

— Od Burlaja my posłańcy, młodziecy Bohunowi wieziem.

I na widok piernacza groźnego pułkownika, rozstępowali się zwykle kozacy, tem bardziej, iż każdy rozumiał, że jeśli Bohun żyw, to się już musi pod woj-

skami regimentarzy koło Zbaraża lub Konstantynowa uwijać. Ale daleko trudniej było podróżnym z czernią, z dzikimi oddziałami pasterzy ciemnych, pijanych i żadnego prawie niemających pojęcia o oznakach, wydawanych przez pułkowników na bezpieczny przejazd. Gdyby nie Helena, byłiby owi półdzicy ludzie poczytywali Zagłobę, Wołodyjowskiego i Rzędziana za swoich i za starszych, jakoż nawet tak i bywało, ale Helena zwracała wszędzie uwagę zarówno swoją płcią, jak i nadzwyczajną urodą, a stąd rodziły się niebezpieczeństwa, które z największym trudem trzeba było przewycięzać.

Czasem więc pokazywał pan Zagłoba piernacz, a czasem pan Wołodyjowski zęby, i niejednen tam trup padał za nimi. Kilka razy tylko niedoścignione bieguny Burlajowe uchroniły ich od zbyt ciężkiej przygody — i podróż tak z początku pomyślna, stawała się z dniem każdym cięższą. Helena, lubo z natury mężna, poczęła od ustawicznej trwogi i bezsenności na zdrowiu szwankować i naprawdę wyglądała na brankę, wleczoną mimowoli w nieprzyjacielskie namioty; pan Zagłoba pocił się srodze i coraz nowe wymyślał fortele, które mały rycerz zaraz w bieg wprowadzał, obaj zaś pocieszali kniaziównę, jak mogli.

— Tylko nam minąć to mrowie, które jest jeszcze przed nami — mówił mały rycerz — i przejść pod Zbaraż, zanim Chmielnicki z Tatary okolice jego zaleje.

Dowiedział się bowiem po drodze, że regimentarze ściągnęli do Zbaraża i że w nim zamierzają się bronić — tam więc zdążali, spodziewając się słusznie, że i księżę Jeremi do regimentarzy ze swoją dywizją przybędzie, zwłaszcza że część jego sił, i to znaczna, stała w Zbarażu miała lokum. Tymczasem doszli aż pod Płoskirów.



Mrowie rzedło na gościńcu istotnie, bo już o dziesięć mil drogi zaczynał się kraj zajęty przez chorągwie koronne, więc watahy kozackie nie śmiały zapuszczać się dalej, wołały bowiem czekać w bezpiecznym oddaleniu na przybycie Burlaja z jednej, a Chmielnickiego z drugiej strony.

— Już dziesięć mil tylko! już dziesięć mil tylko! — powtarzał, zacierając ręce, pan Zagłoba. — Byleśmy się do pierwszej chorągwi dostali, to już i do Zbaraża dojdziemy w bezpieczeństwie.

Pan Wołodyjowski jednak postanowił zaopatrzyć się w świeże konie w Płoskirowie, bo te, które kupiono w Barku, były już do niczego, a Burlajowe trzeba było na czarną godzinę oszczędzać. Ostrożność ta stała się konieczną, odkąd rozeszła się wieść, że Chmielnicki już pod Konstantynowem, a chan ze wszystkimi ordami wali od Piławiec.

— My tu z kniaziówną zostaniemy pod miastem, bo lepiej nam się na rynku nie pokazywać — rzekł mały rycerz do Zagłoby, gdy przybyli do opuszczonego domku, odległego o dwie staje drogi od miasta — a waszeć idź, popytaj u mieszczan, czyli koni gdzie na sprzedaż, albo na zamianę nie mają. Wieczór już, ale ruszamy na całą noc.

— Niedługo wrócę — rzekł pan Zagłoba.

I odjechał ku miastu, Wołodyjowski zaś kazał Rzędzianowi porozluźniać nieco popręgów u kulbak, ażeby bachmaty mogły odetchnąć, sam zaś wprowadził kniaziównę do izby, prosząc, aby się winem i snem pokrzepiła.

— Chciałbym do świtania te dziesięć mil ujechać — mówił jej — później wszyscy wypoczniemy.

Zaledwie jednak przyniósł bukłaki z winem i żywność, gdy zatętniało przed sienią.

Mały rycerz spojrział przez okno.

— Pan Zagłoba już wrócił — rzekł — widno koni nie znalazł.

W tej chwili drzwi izby roztwarły się i ukazał się w nich Zagłoba blade, siny, spotniały, zadyszany.

— W konie! — zakrzyknął.

Pan Michał zbyt był doświadczonym żołnierzem, aby w takich razach na pytania czas tracić. Nie tracił go nawet na ratowanie bukłaka z winem (który wszę jako pan Zagłoba porwał), ale chwycił co prędzej kniaziównę, wyprowadził ją na podwórze i posadził na kulbakę; rzucił ostatnie spojrzenie, czy popręgi dociągnięte, i powtórzył:

— W konie!

Kopyta zatętniały i wkrótce znikli w ciemnościach leżdzcy i bachmaty, jak orszak mar.

Lecieli długo bez wypoczynku, aż dopiero gdy blisko mila drogi dzieliła ich od Płoskirowa i przed wejściem księżyc pomroka stała się tak gruba, że wszelki pościg był niemożliwy, pan Wołodyjowski zbliżył się do Zagłoby i spytał:

— Co to było?

— Czekał... panie Michale, czekaj! Okrutniem się zdyszał, mało mi nóg nie odjęło — uf!

— Ale co to było?

— Dyabeł we własnej osobie, mówię ci, dyabeł, albo smok, któremu jedną głowę utniesz, druga odrasta.

— Gadajże waś wyraźnie.

— Bohuna na rynku widziałem.

— Chyba waś masz delirium?

— Na rynku go widziałem, jako żywo, a przy nim pięciu, czy sześciu ludzi; policzyć nie mogłem, bo mało mi nóg nie odjęło... Pochodnie przy nim trzymali... Już tak myślę, że nam chyba bies jaki w drodze staje i zgoła nadzieję w szczęśliwy skutek naszej imprezy stracilem. Czy on nieśmiertelny, ten piekielnik, czy co? Nie mówże o nim Helenie... O dla Boga! waćpan go usiekłeś, Rzędzian go wydał — nie! on już żyw, wolny i w drogę lezie. Uf! o Boże! Boże! mówię ci, panie Michale, że wolałbym spectrum na cmentarzu zobaczyć, niż jego. I co u dyabła za moje szczęście, że to ja go właśnie wszędy pierwszy spotykam! Psu wsadzić w gardło takie szczęście. Czy to niema innych ludzi na świecie? niech go inni spotykają. Nie! — zawsze ja i ja!

— A on widział waści?

— Żeby on mnie widział, tobyś ty już mnie, panie Michale, nie widział. Tego tylko brakowało!

— Ważnaby to była rzecz wiedzieć — mówił Wołodyjowski — czy on goni za nami, czy też do Waładynki, do Horpyny, jedzie w tem mniemaniu, że nas po drodze ulapi?

— Mnie się widzi, że do Waładynki.

— Tak i musi być. Tedy my jedziemy w jedną stronę, a on w drugą, i teraz nie mila już, albo dwie, między nami, a za godzinę będzie pięć. Nim się po drodze o nas dowie i nawróci, będziemy w Żółkwi, nietylko w Zbarażu.

— Tak mówisz, panie Michale? Chwała Bogu! jakobyś mi plaster przyłożył. Ale powiedz mnie, jak to być może, by on był na wolności, skoro jego Rzędzian w ręce komendanta włodawskiego wydał?

— Po prostu uciekł.

— To już szyję takiemu komendantowi uciąć. Rzędzian! hej, Rzędzian!

— A czego jegomość chce? — pytał pacholek, wstrzymując konia.

— Komuś ty Bohuna wydał?

— Panu Regowskiemu.

— A któż to ten pan Regowski?

— To wielki kawaler, porucznik pancerny z pod chorągwi króla jegomości.

— Bodajże cię! — rzekł, trzasnąwszy w palce, Wołodyjowski — to już nie wiem! Nie pamiętaszno waćpan, co nam pan Longinus opowiadał o nieprzyjaźni pana Skrzetuskiego z Regowskim? To przecie pana Łaszczka, strażnika, krewniak i za jego konfuzyą ma do Skrzetuskiego odium.

— Rozumiem, rozumiem! — zakrzyknął pan Zagłoba. — On to musiał Bohuna na złość puścić. Ale to kryminał taka sprawa i gardłem pachnie. Pierwszy będę delatorem!

— Daj go Boże spotkać — mruknął pan Michał — a pewnie do trybunałów nie pójdziemy.

Rzędzian nie wiedział dotąd o co idzie, bo po odpowiedzi danej Zagłobie, znów wysunął się naprzód do kniaziówny.

Jechali teraz wolno. Księżyc zeszedł, mgły, które z wieczora unosiły się nad ziemią, opadły — i noc zrobiła się widna. Wołodyjowski pogrążył się w zamyśleniu. Zagłoba przeżuwał jeszcze czas jakiś resztki przerażenia, nakoniec rzekł:

— Dałżeby Bohun teraz i Rzędzianowi, gdyby go w ręce dostał.

— Powiedz mu waćpan nowinę, niech się strachu

—\*

naje, a ja tymczasem pojedę przy kniaziównie — odpowiedział mały rycerz.

— Dobrze! Hej, Rzędzian!

— A czego? — pytał pacholek, wstrzymując ponownie konie.

Pan Zagłoba zrównał się z nim i milczał przez chwilę, czekając by Wołodyjowski i kniaziówna oddalili się dostatecznie, nakoniec rzekł:

— Wiesz co się stało?

— Nie wiem.

— Pan Regowski puścił Bohuna na wolność. Widziałem go w Płoskirowie.

— W Płoskirowie? teraz? — pytał Rzędzian.

— Teraz. A co, nie zlatujesz z kulbaki?

Płomienie księżycy padały prosto na pucolowatą twarz pacholka i pan Zagłoba nie dojrzał na niej przeobrażenia, ale z największym zdziwieniem spostrzegł ów wyraz srogiej, zwierzęcej prawie zawziętości, którą Rzędzian miał wówczas, gdy Horpynę mordował.

— Cóż, ty się Bohuna nie boisz, czy co? — pytał stary szlachcic.

— Mój jegomość — odparł pacholek — jeżeli jego pan Regowski puścił, to już ja sam muszę na nowo pomsty nad nim szukać za moją krzywdę i pohańbienie. Przecie mu tego nie daruję, bom przysiągł — i gdyby nie to, że pannę odwozimy, zarazbym w jego tropy pojechał — niechże moje nie przepada!

— Tfu — pomyślał Zagłoba — wolę, żem temu pacholkowi nijakiej krzywdy nie uczynił.

Poczem popędził konia i po chwili zrównał się z kniaziówną i Wołodyjowskim. Po godzinie drogi przeprawili się przez Medwedówkę i wjechali w las, cią-

gnący się od samego brzegu rzeki, dwoma czarnymi ścianami wzdłuż drogi.

— Już tę okolicę znam dobrze — rzekł Zagłoba. — Teraz ten bór niedługo się skończy; za nim będzie z ćwierć mili pola gołego, przez które idzie gościniec z Czarnego Ostrowu, a potem znów bory jeszcze większe aż do Matczyna. Da Pan Bóg, że w Matczynie zastaniemy już chorągwie polskie.

— Pora już, żeby zbawienie przyszło — mruknął Wołodyjowski.

Czas jakiś jechali w milczeniu, jasnym, oświeconym przez promienie księżyca gościńcem.

— Dwa wilki drogę przeszły! — rzekła nagle Helena.

— Widzę — odparł Wołodyjowski — a ot trzeci. Szarawy cień przemknął się istotnie o sto kilkadziesiąt kroków przed końmi.

— Ot czwarty! — zawołała kniaziówna.

— Nie, to sarna; patrz waćpanna: dwie, trzy!

— Co u licha! — zakrzyknął pan Zagłoba. — Sarny za wilkami gonia! Świat, widzę, przewraca się do góry nogami.

— Jedźmy no nieco prędzej — rzekł zaniepokojonym głosem pan Wołodyjowski. — Rzędzian! bywaj! i z panną naprzód!

Pomknęli — ale Zagłoba pochylił się w pędzie do ucha Wołodyjowskiego i pytał:

— Panie Michale, a co tam nowego?

— Żle — odrzekł mały rycerz. — Widziałeś waść — zwierz z legowisk, ze snu się zrywa i nocą pomyka.

— Oj! A co to znaczy?

— To znaczy, że go ploszą.

— Kto?

— Wojska, kozacy, albo Tatarzy — idą nam od prawej ręki.

— A może nasze chorągwie?

— Nie może być, bo zwierz umyka od wschodu, od Piławiec, więc pewno Tatarzy szeroką ławą idą.

— Umykajmy, panie Michale, na miły Bóg!

— Niema innej rady. Ej, żeby tak tu kniaziówny nie było, podeszlibyśmy pod same czambuły, żeby z paru urwać, ale z nią... ciężka może być przeprawa, jeśli nas na oko wezmą.

— Bój się Boga, panie Michale! Skręćmy w lasy za tymi wilkami, albo co?

— Nie może być, bo choćby nas zrazu nie dostali, to kraj przed nami zaleją, a potem jakże się wy-dostaniem?

— Niechże ich siarczyste pioruny zatrzasną! Tego nam tylko brakowało. Ej, panie Michale, czy się nie my-lisz? Wilcy to przecież za koszem ciągną, nie przed nim pomykają.

— Które są po bokach, to ciągną za koszem i ze wszystkich okolic się zbierają, ale te, co na przedzie, to się płoszą. Widziszno waść tam, na prawo, między drze-wami — luna świta!

— Jezusie Nazareński, królu żydowski!

— Cicho waść! Siła jeszcze tego lasu?

— Zaraz się skończy.

— A potem pole?

— Tak jest. O Jezu!

— Cicho waść! Za polem drugi las?

— Aż do Matczyna.

— Dobrze! byle nas na tem polu nie najechali!

Jeżeli się do drugiego lasu szczęśliwie przedostaniem, tośmy i w domu. Jedźmy teraz razem! Szczęściem kniaziówna z Rzędzianem na Burlajowych koniach.

Popędzili konie i zrównali się z jadącymi na przedzie.

— Co to za luna, na prawo? — pytała kniaziówna.

— Mościa panno! — odrzekł mały rycerz — tu niema co ukrywać. To mogą być Tatarzy.

— Jezus, Marya!

— Nie trwóż się waćpanna! Szyja moja w tem, że im umkniemy, a w Matczynie nasze chorągwie.

— Dla Boga! umykajmy! — rzekł Rzędzian.

Ucichli i mknęli jak duchy. Drzewa poczęły rzednąć, las kończył się — ale też i luna nieco przygasła. Nagle Helena zwróciła się do małego rycerza.

— Mości panowie! — rzekła — przysięgnijcie mi, że żywa nie pójde w ich ręce!

— Nie pójdziesz! — odrzekł Wołodyjowski — pókim ja żyw!

Zaledwie skończył, wypadli z lasu na pole, a raczej na step, który ciągnął się blisko ćwierć mili, a na którego przeciwległym końcu czerniła się znów wstążka lasu. Halizna ta, ze wszystkich stron odkryta, srebrzyła się teraz cała od promieni księżyca i było na niej tak prawie widno, jak w dzień.

— To najgorszy szmat drogi — szepnął do Zagłoby Wołodyjowski — bo jeśli oni są w Czarnym Ostrowiu, to tędy pójda między lasami.

Zagłoba nie odrzekł nic, jeno piętami konia ścisnął.

Dobiegli już do połowy pola, przeciwległy las stał się coraz bliższy, wyraźniejszy, gdy nagle mały rycerz wyciągnął rękę ku wschodowi.

— Patrz waść — rzekł do Zagłoby — widzisz?



— Krze jakoweś i zarośla w dalekości.

— Te krze się ruszają! W konie teraz, w konie, bo już nas dojrzą niezawodnie!

Wiatr zaświstał w uszach uciekających — zbawczy las zbliżał się coraz bardziej.

Nagle z owej ciemnej masy, zbliżającej się od prawej strony pola, doleciał naprzód jakoby szum, podobny do szumu fal morskich, a w chwilę potem jeden ogromny krzyk targnął powietrzem.

— Widzą nas! — ryknął Zagłoba. — Psy! szelmy! dyabły! wilcy! lajdaki!

Las był tak blisko, że uciekający czuli już prawie surowe i chłodne jego tchnienie.

Ale też i chmura Tatarów stawała się coraz wyraźniejszą, a z ciemnego jej ciała poczęły wysuwać się długie odnogi, jakoby macki olbrzymiego potwora — i zbliżać się ku uciekającym z niepojętą szybkością. Wprawne uszy Wołodyjowskiego odróżniły już wyraźne wrzaski: *Alla! Alla!*

— Koń mi się potknął! — krzyknął Zagłoba.

— Nic to! — odparł Wołodyjowski.

Ale przez głowę przelatywały mu, na kształt piorunów, pytania: co będzie, jeżeli konie nie wytrzymają? co będzie, jeżeli który z nich padnie? Były to dzielne tatarskie bachmaty, żelaznej wytrzymałości, ale szły już od Płoskirowa, mało co wypoczywając, po onym szalonym biegu, od miasta aż do pierwszego lasu. Można się było wprawdzie przesiąść na luźne, lecz i luźne były znużone. Co będzie? — myślał pan Wołodyjowski — i serce zabiło mu trwogą, może po raz pierwszy w życiu — nie o siebie, ale o Helenę, którą w tej długiej podróży po-

kochał, jak siostrę rodzoną. A wiedział i to, że Tatarzy, raz zacząwszy gonitwę, nie ustaną tak prędko.

— Niechże nie ustają, a jej nie zgonia! — rzekł do siebie, ścisnąwszy zęby.

— Koń mi się potknął! — zawołał po raz drugi Zagłoba.

— Nic to! — powtórzył Wołodyjowski.

Tymczasem wpadli do lasu. Objęła ich ciemność — ale też pojedynczy jeźdźcy tatarscy nie byli dalej za nimi, jak na kilkaset kroków.

Wszelako mały rycerz wiedział już, jak ma postąpić.

— Rzędzian! — krzyknął — skręcaj z panną w pierwszą drogę z gościńca.

— Dobrze, mój jegomość! — odrzekł pacholek.

Mały rycerz zwrócił się do Zagłoby:

— Pistolety w garść!

I jednocześnie, położywszy rękę na cuglach konia pana Zagłoby, począł jego bieg hamować.

— Co robisz? — krzyknął szlachcic.

— Nic to! wstrzymuj waś konia.

Odległość między nimi a Rzędzianem, który umykał z Heleną, poczęła się zwiększać coraz bardziej. Na koniec przybyli do miejsca, gdzie gościniec skręcał się dość nagle ku Zbarażowi, a wprost dalej szła wązka drożyna leśna, wpół przesłonięta gałęziami. Rzędzian wpadł na nią i po chwili oboje z Heleną znikli w gęstwinie i ciemności.

Tymczasem Wołodyjowski wstrzymał konia swego i Zagłoby.

— Na miłosierdzie Boskie! co czynisz? — ryczał szlachcic.

— Wstrzymamy pogoń. Niema innego dla kniaziówny ratunku.

— Zginiemy!

— To zginiemy. Stań tu waść na boku gościńca! — tutaj! tutaj!

Obaj przyczaili się w ciemności pod drzewami — tymczasem gwałtowny tętent bachmatów tatarskich, zbliżał się i huczał, jak burza, aż się cały las nim rozlegał.

— Stało się! — rzekł Zagłoba i podniósł do ust bukłak z winem.

Pił i pił — poczem wstrząsnął się.

— W Imię Ojca, i Syna i Ducha Świętego! — zakrzyknął — gotowym na śmierć!

— Zaraz! zaraz! — rzekł Wołodyjowski. — Trzech idzie naprzód, tegom chciał!

Jakoż na jasnym gościńcu ukazało się trzech jeźdźców, siedzących widocznie na najlepszych bachmatach, tak zwanych na Ukrainie wilczarach, bo w biegu wilka doganiały; za nimi, o dwieście lub trzysta kroków, pędziło kilkunastu innych, a dalej jeszcze cały gęsty, zbity tłum ordyńców.

Gdy trzej pierwsi zrównali się z zasadzką, huknęły dwa strzały, poczem Wołodyjowski rzucił się jak ryś na środek gościńca i w jednym mgnieniu oka, nim pan Zagłoba miał czas spojrzeć i pomyśleć co się stało, trzeci Tatar padł, jakby gromem rażony.

— W konie! — krzyknął mały rycerz.

Pan Zagłoba nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i ruszyli gościńcem, na kształt dwóch wilków, za którymi stado zajadłych psów goni; tymczasem dalsi ordyńcy nadbiegli do trupów i poznavszy, że owe go-

nione wilki potrafią na śmierć ukąsić, wstrzymali nieco konie, czekając na innych towarzyszków.

— Widzisz waść! — rzekł Wołodyjowski — wiedziałem, że się zatrzymają!

— Ale jakkolwiek uciekający zyskali kilkaset kroków, przerwa w gonitwie nie trwała długo — tylko że Tatarzy biegli już większą kupą i nie wysuwali się pojedynczo naprzód.

Jednakże konie uciekających były zmęczone długą drogą i pęd ich słabł. Szczególniej koń Zagłoby, wiozący na grzbiecie tak znaczny ciężar, potknął się znowu raz i drugi — staremu szlachcicowi resztki włosów stanęły na głowie na myśl, że padnie.

— Panie Michale, najdroższy panie Michale! nie opuszczajże mnie! — wołał z desperacją.

— Bądź waść pewien! — odpowiedział mały rycerz.

— Żeby tego konia wilcy...

Nie skończył, gdy pierwsza strzała bżyknęła mu koło ucha, a za nią inne poczęły bzykać, i świstać i śpiewać, jakoby bąki i pszczoły. Jedna przeleciała tak blisko, że prawie otarła się beltem o uszy pana Zagłoby.

Wołodyjowski zwrócił się i znowu dał po dwakroć z pistoletów ognia do goniących.

Wtem koń pana Zagłoby potknął się tak silnie, że nozdrzami niemal zarył w ziemi.

— Na Boga żywego, koń mi pada! — krzyknął rozdzierającym głosem szlachcic.

— Z kulbaki i w las! — zagrzemiał Wołodyjowski.

To rzekłszy, sam osadził konia, zeskoczył i w chwilę później, obaj z Zagłobą znikli w ciemnościach.

Ale manewr ten nie uszedł skośnych oczu Tatarów

i kilkudziesięciu z nich, zeskoczywszy również z koni, puściło się w pogoń za uciekającymi.

Gałęzie zerwały z głowy czapkę Zagłobie i biły go po twarzy, szarpały za żupan, ale szlachcic, wzięwszy nogi za pas, umykał, jakby mu trzydzieści lat wieku było. Czasami padał, więc podnosił się i umykał jeszcze śpieszniej, sapiąc jak miechy kowalskie — nakoniec sto-  
czył się w głęboki wykrot i czuł, że się już nie wygramoli, bo siły opuściły go zupełnie.

— Gdzie waść jest? — spytał z cicha Wołodys-jowski.

— Tu! w dole. Już po mnie! ratuj się, panie Mi-  
chale!

Ale pan Michał bez wahania wskoczył do wykrotu i położył rękę na ustach pana Zagłoby.

— Cicho waść! może nas zminą! Będziem się zresztą bronili.

Tymczasem nadbiegli Tatarzy. Jedni z nich minęli istotnie wykrot, sądząc, że zbiegowie uciekają dalej, inni szli zwolna, obmacując drzewa i rozglądając się na wszystkie strony.

Rycerze utaili dech w piersiach.

— Niech tu który wpadnie — myślał w rozpacz  
Zagłoba — to ja mu wpadnę!...

W tem iskry posypały się na wszystkie strony; Tatarzy poczęli krzesać ogień...

Przy blasku ich widać było dzikie twarze, o wy-  
stających policzkach, i nabrękle wargi, dmuchające w zatlone hubki. Przez jakiś czas chodzili tak wkoło, o kilkadziesiąt kroków od wykrotu, podobni do jakichś złowrogich widm leśnych — i zbliżali się coraz bardziej.

Ale w chwilę później, jakieś dziwne szумы, szmery

i zmieszane okrzyki, poczęły dolatywać z gościńca i budzić uspione głębie.

Tatarzy przestali krzesać i stanęli jak wryci — ręka Wołodyjowskiego wpila się w ramię Zagłoby.

Krzyki zwiększały się i nagle buchnęły czerwone światła, a wraz z niemi rozległa się salwa muszkietów — jedna, druga, trzecia — za nią okrzyki: *Alla!* — szcęk szabel, kwik koni — tętent i wrzaski pomieszane. Na gościńcu wrzała bitwa.

— *Nasi! nasi!* — krzyknął Wołodyjowski.

— *Bij! morduj! bij! siecz! rznij* — ryczał pan Zagłoba.

Sekunda jeszcze: koło wykrotu przebiegło w największym popłochu kilkudziesięciu Tatarów, którzy zmykali teraz, co duchu, ku swoim. Pan Wołodyjowski nie wytrzymał, skoczył za nimi — i jechał na ich karkach wśród gęstwy i ciemności.

Zagłoba pozostał sam na dnie jamy.

Po chwili próbował wyleźć, ale nie mógł. Bolały go wszystkie kości i zaledwie zdołał na nogach się utrzymać.

— *Ha lajdaki!* — rzekł, oglądając się na wszystkie strony — *uciekliscie!* Szkoda, że tu który nie został. Miałbym kompanią w tej jamie i pokazałbym mu, gdzie pieprz rośnie. O poganie! narzną was tam teraz, jak bydła! Dla Boga! hałas tam teraz coraz większy! Chciałbym, żeby to był sam książę Jeremi, bo tenby dopiero was przygrzał. *Hallakujcie! hallakujcie!* będą później wilcy nad waszem ścierwem hallakowali. Ale też ten pan Michał, żeby mnie tu samego zostawić. Ba, nic dziwnego! Łakomy, bo młody. Po tej ostatniej przeprawie, już i do piekła bym z nim poszedł, bo to nie taki przyjaciel, co

w potrzebie opuszcza. A osa to jest! W mig tamtych trzech ukąsil. Żebym to miał przynajmniej ze sobą, ten buklak... ale już go tam pewnie dyabli wzięli... konie rozdeptały. Jeszcze mnie tu jaka gadzina żgnie w tej jamie. Co to?

Krzyki i salwy muszkietów poczęły oddalać się w stronę pola i pierwszego lasu.

— Aha! — rzekł Zagłoba. — Już im na karkach jada! Nie wytrzymaliście, psubraty! Chwała bądź Bogu najwyższemu!

Krzyki oddalały się coraz bardziej.

— Zdrowo jada! — mrucał dalej szlachcic. — Ale to widzę, przyjdzie mi posiedzieć w tej jamie. Tegoby brakowało, żeby mnie wilcy zjedli. Naprzód Bohun, potem Tatarzy, a w końcu wilcy. Dajże Boże pał Bohunowi, a wścieklistkę wilkom, bo o Tatarach już tam jakoś nasi myślą niezgorzej! Panie Michale! panie Michale!

Cisza odpowiedziała panu Zagłobie, tylko bór szumiał, a zdala coraz słabiej dochodziły okrzyki.

— Chyba się tu spać położę — czy co? Niechże to dyabli porwą! Hej panie Michale!

Ale cierpliwość pana Zagłoby na długą jeszcze miała być wystawiona próbę, bo szaro już było na niebie, gdy na gościńcu dał się ponownie słyszeć tętent, a następnie światła zabłysły w mroku leśnym.

— Panie Michale! tu jestem! — zawołał szlachcic.

— To waść wylaż.

— Ba, kiedy nie mogę.

Pan Michał z łuczywem w garści stanął nad jamą i podając rękę Zagłobie, rzekł:

— No! Tatarów niema. Przejechaliliśmy się na nich, aż za tamten las.

— **A** któż to nadszedł?

— **Kuszel i Roztworowski, w dwa tysiące koni. Moi dragoni także są z nimi.**

— **A pogańców siła było?**

— **At! komunik parotysięczny.**

— **To chwala Bogu! dajcież mi się czego napić, bom zemdlal.**

**W dwie godziny później, pan Zagłoba, napojony i nakarmiony należycie, siedział na wygodnej kulbace, wśród dragonów Wołodyjowskiego, a obok niego jechał mały rycerz i tak mówił:**

— **Jużże się waćpan nie martw, bo choć do Zbaraża razem z kniaziówną nie przyjedziemy, ale gorzejby było, gdyby wpadła w pogańskie ręce.**

— **A może Rzędzian nawróci jeszcze do Zbaraża? — pytał Zagłoba.**

— **Tego on nie uczyni, gościniec będzie zajęty: ów czambuł, któryśmy odparli, rychło wróci i w trop za nami iść będzie. Zresztą i Burlaj lada chwila nadciągnie i pierwiej stanie pod Zbarażem, niżby Rzędzian mógł zdążyć. Z drugiej strony od Konstantynowa idą Chmielnicki i chan.**

— **O dla Boga! toż oni właśnie z kniaziówną jakoby w matnię wpadną.**

— **Głowa też Rzędziana w tem, aby się między Zbarażem a Konstantynowem, póki czas, przemknął i nie pozwolił się pułkom Chmielnickiego albo chanowym czambułom ogarnąć. I widzisz waść, mocno ja ufam, że on to potrafi.**

— **Dajże tak Boże!**

— **Chytry to jest pacholek, jak lis. Waćpanu fortelów nie brak, ale on jeszcze chytrzejszy. Siłaśmy głowy**



nałamali, jak dziewczynę ratować — i w końcu ręce nam opadły — a przez niego wszystko się naprawiło. Będzie się on teraz wyslizgiwał, jak wąż, gdyż i o własną skórę mu chodzi. Ufaj waść, bo i Bóg jest nad nią, który ją tyle razy ratował — i przypomnij sobie, że sami w Zbarażu ufać kazalesz wtenczas, kiedy to Zahar przejeżdżał.

Zagłoba pokrzepił się nieco temi słowami pana Michała, a następnie zamyślił się głęboko.

— Panie Michale — rzekł po chwili — a nie pytalesz Kuszla, co się ze Skrzetuskim dzieje?

— Jest już w Zbarażu, i chwalić Boga, zdrowy. Przyszedł z Zaćwilichowskim, od księcia Koreckiego.

— A co my jemu powiemy?

— W tem sęk.

— Wszakże on ciągle myśli, że dziewczyna w Kijowie zamordowana?

— Tak jest.

— A mówilesz teraz Kuszłowi, albo komu, skąd jedziemy?

— Nie mówiłem, bom sobie myślał: lepiej się pierwszej naradzimy.

— Wolalbym chyba o całej imprezie zamilczeć — rzekł Zagłoba. — Miałaby dziewczyna teraz, Boże ucho-  
waj! wpaść znowu w ręce kozackie, albo tatarskie, to dla Skrzetuskiego byłaby nowa boleść — taka właśnie, jakoby mu kto przyschle rany rozdrapał.

— Głowę daję, że ją Rzędzian wyprowadzi.

— Dalbym i ja za to chętnie swoją, ale nieszczęście teraz na świecie jak dzuma grasuje. Lepiej już milczmy i na wolę Bożą wszystko zdajmy.

— Niechże i tak będzie. Ale czy pan Podbipięta tajemnicy Skrzetuskiemu nie wyjawia?

— Chyba go nie znasz. Parol kawalerski dał, a to dla tego litewskiego powyrka święta rzecz.

Tu przyłączył się do nich Kuszal i jechali dalej razem, rozmawiając, przy pierwszych promieniach wschodzącego słońca, o rzeczach publicznych, o przyjściu regimentarzy do Zbaraża, które ksiązę Jeremi spowodował, o blizkim przyjeździe księcia i o nieuniknionej już, straszliwej, z całą potęgą Chmielnickiego, rozprawie.

---

## ROZDZIAŁ II.

W Zbarażu zastali pan Wołodyjowski i Zagłoba wszystkie wojska koronne, zgromadzone i na nieprzyjaciela czekające. Był tam i podczaszy koronny, który z pod Konstantynowa nadciągnął, i Lanckoroński, kasztelan kamieniecki, któren pod Barem pierwaj gromił, i trzeci regimentarz, pan Firlej z Dąbrowicy, kasztelan belzki, i pan Andrzej Sierakowski, pisarz koronny, i pan Konicpolski chorąży i pan Przyjemski, general artyleryi, wojownik szczególnie w zdobywaniu miast i urzędzeniu obrony biegły. A z nimi dziesięć tysięcy wojska kwarcianego, nie licząc kilku chorągwi księcia Jeremiego, które już poprzednio w Zbarażu stały.

Pan Przyjemski na południowych stokach miasta i zamku, za rzeczką Gniezną i dwoma stawami, zataczył potężny obóz, który cudzoziemską sztuką ufortyfikował, a który tylko z przodu można było zdobywać, bo tyłów broniły stawy, zamek i rzeczka. W tym to obozie mieli zamiar regimentarze dać opór Chmielnickiemu i zatrzymać nawałnicę dopóty, dopóki król, z resztą sił i pospolitem ruszeniem wszystkij szlachty, nie nadciągnął. Ale czy był to zamiar wobec potęgi Chmielnickiego podobny do spełnienia? Wielu wątpiło

i słuszne przytaczało wątpliwości powody, a między innymi i ten, że w samym obozie źle się działo. Naprzód między wodzami wrzała tajona niezgoda. Regimentarze bowiem poniewoli przysli pod Zbaraż, ulegając w tem żądaniu księcia Jeremiego. Początkowo mieli regimentarze chęć bronić się pod Konstantynowem, ale gdy rozszła się wieść, że Jeremi obiecuje stanąć własną osobą tylko w takim razie, jeżeli Zbaraż na miejsce obrony zostanie wybrany, żołnierstwo natychmiast oświadczyło królewskim wodzom, że chce iść na Zbaraż i gdzieindziej bić się nie będzie. Nie pomogły żadne perswazyje, ani powaga buławy i wkrótce regimentarze poznali, że jeżeli w dłuższym uporze trwać będą, tedy wojska, począwszy od poważnych znaków husarskich, aż do ostatniego żołnierza z rot cudzoziemskich, opuszczą ich i zbiegną pod chorągwie Wiśniowieckiego. Był to jeden z tych smutnych, coraz częstszych w owym czasie przykładów niekarność wojskowej, którą zrodziły zarazem nieudolność wodzów, niezgody ich między sobą, bezprzykładna groza przed potęgą Chmielnickiego i niebывale dotychczas klęski, a zwłaszcza Piławiecka.

Tak więc regimentarze musieli ruszyć pod Zbaraż, gdzie władza, mimo nominacyi królewskich, miała siłą rzeczy przejść w ręce Wiśniowieckiego, bo jego jednego tylko chciało słuchać wojsko, bić się i ginąć pod nim jednym. Ale tymczasem tego faktycznego wodza nie było jeszcze w Zbarażu, więc niepokój w wojsku wzrastał, karność rozluźniała się do reszty i serca upadały. Już było bowiem wiadomo, że Chmielnicki, a z nim chan, ciągną z potęgą, jakiej od czasów Tamerlana nie widziały ludzkie oczy. Coraz nowe wieści nadlatywały do obozu, jakby złowrogie ptactwo, coraz nowe, coraz strasz-

liwsze posłuchy i wątlily męstwo żołnierza. Były obawy, aby popłoch, podobny do pilawieckiego, nie zerwał się nagle i nie rozprószył tej garści wojska, która zagradzała Chmielnickiemu drogę do serca Rzeczypospolitej. Wodzowie sami tracili głowy. Sprzeczne ich rozporządzenia nie były wcale wykonywane, lub wykonywano je z niechęcią. Rzeczywiście, jeden Jeremi mógł odwrócić klęskę, wiszącą nad obozem, wojskiem i krajem.

Pan Zagłoba i Wołodyjowski, przybywszy z chorągwiami Kuszla, wpadli zaraz w wir wojskowy, ledwie bowiem stanęli na majdanie, otoczyli ich towarzysze różnych znaków, pytając jeden przez drugiego o nowiny. Na widok jeńców tatarskich, otucha wstąpiła zaraz w serca ciekawych: „Uszczknęli Tatarów! Jeńcy tatarscy! Bóg dał wiktoryą!“ — powtarzali jedni. „Tatarzy tuż — i Burlaj z nimi!“ — wołali drudzy. „Do bronii, mości panowie! Na wały!“ Wieść leciała przez obóz, a zwycięstwo Kuszlowe rosło przez drogę. Coraz więcej ludzi kupiło się naokół jeńców. „Pościnać ich! — wołano — co tu będziemy z nimi robili!“ Posypały się pytania tak gęsto, jakoby śnieżna zadymka, ale Kuszle nie chciał odpowiadać i poszedł z relacją do kwatery kasztelana bełskiego — zaś Wołodyjowskiego i Zagłobę witali przez ten czas znajomi z pod chorągwi „ruskich“, a oni wykręcali się jak mogli, było im bowiem również pilno zobaczyć się ze Skrzetuskim.

Znaleźli go w zamku, a z nim starego Zaćwilichowskiego, dwóch księży miejscowych Bernardynów i pana Longina Podbipięte. Skrzetuski, ujrawszy ich, przybladł nieco i oczy zmrużył, bo mu zbyt dużo wspomnień na myśl przywiedli, aby miał bez bólu znieść ich widok. Jednakże powitał ich spokojnie, a nawet radośnie —

pytał gdzie byli i zadowolił się pierwszą lepszą odpowiedzią, gdyż poczytując kniaziównę za umarłą, niczego już nie pragnął, niczego się nie spodziewał i najmniejsze podejrzenie nie wkradło mu się do duszy, że ich długa nieobecność może być w jakimkolwiek z nią związku. Oni też słowem o celu wyprawy nie wspomnieli, choć pan Longinus spoglądał to na jednego, to na drugiego badawczym wzrokiem, i wzdychał i kręcił się na miejscu, chcąc choć cień nadziei na ich obliczach wyczytać. Ale obadwaj zajęci byli Skrzetuskim, którego pan Michał co chwila brał w ramiona, bo mu serce miękło na widok tego wiernego i dawnego przyjaciela, który tyle przebył i tyle utracił, że prawie żyć nie miał po co.

— Ot! do kupy się znowu zbieramy wszyscy starzy towarzysze — mówił do Skrzetuskiego — i dobrze ci będzie z nami. Wojna też przyjdzie taka, widzę, jakiej jeszcze nie bywało, a z nią i rozkosze wielkie dla każdej duszy żołnierskiej. Byle ci Bóg dał zdrowie, nieraz jeszcze husarzy poprowadzisz.

— Bóg mi już zdrowie wrócił — odpowiedział Skrzetuski — i sam sobie więcej nie życzę, jeno służyć, póki jest potrzeba.

Jakoż Skrzetuski zdrow był już w istocie, bo młodość i potężna siła zwalczyły w nim chorobę. Zgryzoty przeżarły mu duszę, ale ciała zgryźć nie mogły. Wychudł tylko bardzo i pożółkł tak, że czoło, policzki i nos miał jakby z wosku kościelnego uczynione. Dawna kamienna surowość została mu w twarzy i był w niej taki skrzeply spokój, jak w twarzach umarłych. Więcej jeszcze srebrnych nici wilo się w jego czarnej brodzie, a zresztą nie różnił się niczem od innych ludzi, chyba tem, że przeciw żołnierskiemu obyczajowi, unikał gwarów, ciżby, pijatyk,

chętniej z zakonnikami obcując, których rozmów o życiu klasztorzem i o życiu przysłem chciwie, bywało, słuchał. Jednakże służbę ściśle pełnił i co się tyczyło wojny, albo spodziewanego oblężenia, tem na równi ze wszystkimi się zajmował.

Wnet też rozmowa zesła na ten przedmiot, bo nikt o niczem innem nie myślał w całym obozie, w zamku i w mieście. Stary Zaćwilichowski wypytywał się o Tatarów i o Burlaja, z którym z dawna miał znajomość.

— Wielki to jest wojownik — mówił — i aż żał, że przeciw ojczyźnie wraz z innymi powstaje. Razem służyliśmy pod Chocimem — młodzik to był jeszcze, ale już obiecywał, że na niepospolitego męża wyrośnie.

— Przecie on jest z Zadnieprza i zadnieprzańcom przywodzi — rzekł Skrzetuski — jakże się to stało, ojcie, że on teraz z południa od strony Kamieńca ciągnie?

— Widać — rzekł Zaćwilichowski — umyślnie mu tam Chmielnicki zimowisko wyznaczył, gdyż Tuhaj-bej został nad Dnieprem, a ów murza wielki ma do Burlaja rankor jeszcze z dawnych czasów. Nikt też Tatarom tyle sadła za skórę nie zalał, ile Burlaj.

— A teraz będzie ich commilitonem!

— Tak jest! — rzekł Zaćwilichowski — takie czasy! Ale tu będzie nad nimi Chmielnicki czuwał, żeby się nie pożarli.

— A Chmielnickiego kiedy się tu, ojcie, spodziewacie? — pytał Wołodyjowski.

— Lada dzień — a zresztą któż może wiedzieć. Powinni regimentarze podjazd za podjazdem wysyłać, a tego nie czynią. Ledwie uprosił, że Kuszla wysłali ku południowi, a panów Pigłowskich pod Czolhański kamień. Chciałem i sam iść, ale tu ciągle rady i rady...

Mają jeszcze wysłać i pana pisarza koronnego w kilka-  
naście chorągwi. Niechże się śpieszą, aby zaś nie było  
za późno. Daj tu Boże jak najprędzej naszego księcia,  
bo inaczej taka hańba jak pod Pilawcami nas spotka.

— Widziałem tych żołnierzków, kiedyśmy przez  
majdan przejeżdżali — rzece Zagłoba — i tak myślę,  
że więcej między nimi kpów, niż dobrych pacholków.  
Bazarnikami im być, nie naszymi commilitonami, którzy  
się w sławie kochamy, więcej ją od zdrowia ceniąc.

— Co waść gadasz? — burknął staruszek. — Nie  
ujmuję ja waszmości męstwa, choć dawniej inne miałem  
mniemanie, ale i to wszystko rycerstwo, co tu jest, to  
najprzedniejszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek miała Rzecz-  
pospolita. Głowy jeno trzeba, wodza! Pan Kamieniecki  
dobry harcownik, ale żaden wódz; pan Firlej stary, a co  
do podczaszego, no, ten razem z księciem Dominikiem  
pod Pilawcami zdobył sobie reputacyą. Cóż dziwnego,  
że ich słuchać nie chcą. Żołnierz chętnie przeleje krew,  
jeżeli jest pewien, że go bez potrzeby nie wygubią. Ot  
i teraz! zamiast o oblężeniu myśleć, to się spierają, gdzie  
który będzie stał.

— Czy aby wiwendy jest dosyć? — pytał niespo-  
kojnie Zagłoba.

— I tego nietyłe, ile potrzeba, ale z paszą jeszcze  
gorzej. Jeżeli się oblężenie przez miesiąc przeciągnie, to  
chyba wióry, a kamienie będziem koniom dawać.

— Jeszczeby czas o tem pomyśleć — rzekł Wo-  
lodyjowski.

— To idź im, waść, to powiedz. Daj Boże księcia,  
repeto!

— Nie waszmość jeden za nim wzdychasz — prze-  
rwał pan Longinus.



— Wiem o tem — odrzekł starszek. Spójrzycie waszmościowie na majdan. Wszyscy u wałów siedzą i z tęsknością w stronę starego Zbaraża poglądają, inni zaś aż na wieże w mieście włączają, a krzyknie który z pu-stoty: „idzie!” — to od radości szaleją. Nie tak spragniony jeleń desiderat aquas, jako my jego. Oby tylko przed Chmielnickim zdążył, bo już tak myślę, że tam musiały zająć impedimenta.

— My też się po całych dniach o jego przyjazd modlimy — odezwał się jeden z Bernardynów.

Jakoż modlitwy i życzenia całego rycerstwa miały się niebawem ziścić, chociaż następny dzień przyniósł jeszcze większe obawy i pełno wróżb złowrogich. Dnia ósmego lipca, we czwartek, straszliwa burza rozszalała się nad miastem i świeżo zatoczonymi wałami obozu. Deszcz walił potokami. Część robót ziemnych spłynęła. Gniezna i oba stawy wezbrały. Wieczorem piorun huknął w piechotną chorągiew kasztelana bełskiego, Firleja; zabił kilku ludzi, a samą chorągiew roztrzaskał na szczyпки. Poczytano to za złe omen — za widoczny znak gniewu bożego, tembardziej, że pan Firlej był kalwinem. Zagłoba proponował, by wysłać do niego deputacyą z żądaniem i prośbą, aby się nawrócił — „gdyż nie może być błogosławieństwa bożego dla wojska, którego wódz żyje w sprośnych błędach, niebu obrzydłych“. Wielu podzielało to mniemanie i tylko powaga osoby kasztelańskiej i buławy wstrzymała wysłanie deputacyi. Ale serca tembardziej upadły. Burza też szalała bez przerwy. Wały, lubo wzmocnione kamieniami, łożą i ostrokołem, rozmiękły tak, że armaty poczęły grzęznąć. Musiano podkładać deski pod granatniki, moździerze i nawet pod oktawy. W głębokich fosach szumiała woda na chłopca

wysoko. Noc nie przyniosła spokoju. Wicher gnał do wschodu coraz nowe, olbrzymie zwały chmur, które kłębiąc się i przewalając ze straszliwym łoskotem po niebie, wyrzucały nad Zbarażem wszystek swój zapas dżdżu, gromów, błyskawic... Tylko czeladź została w namiotach w obozie, towarzystwo zaś, starszyzna, nawet regimentarze, z wyjątkiem kasztelana kamienieckiego, schronili się do miasta. Gdyby Chmielnicki nadszedł był razem z tą burzą, byłby wziął obóz bez oporu.

Nazajutrz było już nieco lepiej, chociaż deszcz jeszcze popadywał. Dopiero koło piątej z południa wiatr przepędził chmury, błękit roztoczył się nad obozem, a w stronie Starego Zbaraża zajaśniała przepyszna siedmiobarwna tęcza, której potężny łuk jednym ramieniem za Stary Zbaraż przechodził, drugim zdawał się ssać wilgoć z Czarnego lasu — i świecił się, i mienił i grał na tle chmur uciekających.

Wówczas otucha wstąpiła w serca. Rycerstwo wróciło do obozu i wstąpiło na ślizgie wały, aby widokiem tęczy oczy weselić. Zaraz poczęto rozprawiać gwarnie i zgadywać, co ten pomyslny znak zwiastuje, gdy wtem pan Wołodyjowski, stojąc wraz z innym nad samą fosą, przysłonił swe rysie oczy ręką i zakrzyknął:

— Wojsko z pod tęczy wychodzi! wojsko!

Zrobił się ruch, jakby wicher poruszył masą ludzi, a potem szmer zerwał się nagle. Słowa: „wojsko idzie!“ przeleciały, jakoby strzała, od jednego końca wałów do drugiego. Żołnierze poczęli się cisnąć, popychać, skłębiać. Szmary zrywały się i cichły; wszystkie dłonie spoczęły nad oczyma, wszystkie oczy wbiły się z wyczerpaniem w dal — serca tłukły się w piersiach — i patrzyli tak

wszyscy, oddech w piersiach wstrzymując, zawieszeni między niepewnością i nadzieją!

A wtem pod siedmiobarwną bramą, zamajaczyło coś i majaczyło coraz wyraźniej i wynurzało się z dali, i zbliżało coraz bardziej i widniało coraz dokładniej — aż w końcu ukazały się chorągwie, proporce, buńczuki — później las proporczyków — oczy nie dały dłużej wątpić — było to wojsko.

Wówczas jeden olbrzymi okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi, okrzyk niepojętej radości:

— Jeremi! Jeremi! Jeremi!

Najstarszych żołnierzy ogarnął po prostu szal. Jedni rzucili się z wałów, przebrnęli fosę i biegli piechotą, przez zalaną wodą równinę, ku zbliżającym się pułkom; drudzy lecieli do koni; inni śmieli się, inni płakali, składali ręce lub wyciągali je ku niebu, wołając: „idzie nasz ojciec, nasz zbawca, nasz wódz!“ Zdawaćby się mogło, że oblężenie już zdjęte, Chmielnicki pokonany i zwycięstwo odniesione. Tymczasem pułki księcia podchodziły coraz bliżej, tak że można już było rozróżnić znaki. Szły więc naprzód, jako zwykle, lekkie pułki książęcych Tatarów, semenów i Wołochów — za nimi widać było cudzoziemską piechotę Machnickiego — dalej armaty Wurcla, dragonią i poważne znaki husarskie. Promienie słońca łamały się na ich zbrojach, na grotach sterzących kopii — i szli wszyscy w blaskach niezwykajnych, jakoby już ich otaczała gloria zwycięstwa. Skrzetuski, stojący wraz z panem Longinem na wałach, poznał zdala swoją chorągiew, którą był w Zamościu zostawił — i wyzółkle policzki zarumieniły mu się nieco; odetchnął silnie po kilkakroć, jakby jakiś niezmierny ciężar zrzucił z piersi — i poweselał w oczach. Bo też i blizkie

już były dla niego dni trudów nadludzkich, oraz walk heroicznych, które najlepiej goją serce i pamięć bolesną gdzieś coraz głębiej na dno duszy strącają. Pułki zbliżyły się jeszcze i zaledwie tysiąc kroków dzieliło je od obozu. Nadbiegła też i starszyzna, by oglądać wejście książęce: więc trzej regimentarze, z nimi pan Przyjemski, pan chorąży koronny, pan starosta krasnostawski, pan Korf i wszyscy inni oficerowie, tak chorągwi polskich, jak i cudzoziemskiego autoramentu. Podzielali oni ogólną radość, a szczególnie pan Lanckoroński, regimentarz, większy rycerz, aniżeli wódz, ale w sławie wojennej rozkochany, wyciągał buławę w stronę skąd przychodził Jeremi i mówił tak głośno, że go wszyscy słyszeli:

— Oto tam nasz najwyższy wódz i ja pierwszy dank i władzę swą mu oddawam.

Pułki książęce zaczęły wchodzić do obozu. Było wszystkiego ludu trzy tysiące, ale za sto tysięcy serc przyrosło — bo byli to przecie wszystko zwycięzcy z pod Pohrebiszcz, Nemirowa, Machnówki i Konstantynowa. Witali się tedy znajomi i przyjaciele. Za lekkimi pułkami wtoczyła się nakoniec z trudem i artylerya Wurcłowska, prowadząc cztery hakownice, dwie oktawy srodze donośne i sześć zdobycznych organków. Książę, który ze Starego Zbaraża pułki ekspedyował, wjechał dopiero wieczorem, po zachodzie słońca. Zbiegło się co żyło na jego spotkanie. Żołnierze, pozapalawszy kaganki, ogarki, pochodnie i szczapy łuczywa, otoczyli tak książęcego dzianeta, że postępować nie mógł. Chwymano go też za cugle, by oczy widokiem bohatera dłużej napoić. Całowano suknie książęce, a samego ledwie, że nie porwano na ramiona. Uniesienie doszło do tego stopnia, że nie tylko żołnierze z pod swojskich znaków, ale i roty cu-

dzwoziemskie oświadczyły, że przez kwartał darmo będą służyły. Coraz większy tłok czynił się naokół księcia, tak że kroku już postąpić nie mógł — siedział więc na swym białym dzianecie, otoczony żołnierstwem, jak pasterz między owcami, a okrzykom i wiwatom nie było końca. Wieczór się zrobił cichy, pogodny. Na ciemnym niebie zabłysło tysiące gwiazd i wnet pojawiły się pomyslnie wróżby. Właśnie gdy pan Lanckoroński zbliżył się do księcia z buławą w ręku, by mu ją oddać, jedna z gwiazd, oderwawszy się od sklepienia i ciągnąc za sobą strugę świetlaną, spadła z hukiem w stronie Konstantynowa, skąd miał nadciągnąć Chmielnicki, i zgasła. „To Chmielnickiego gwiazda! — krzyknęli żołnierze. — Cud! cud! znak widomy!“ „Vivat Jeremi victor!“ powtórzyło tysiące głosów, a wtem kasztelan kamieniecki zbliżył się i dał znak ręką, że chce mówić. Uciszyło się zaraz nieco, on zaś rzekł:

— Król mnie dał buławę, ale ja ją w twoje, godniejsze ręce, zwycięzco, oddaję i pierwszy twoich rozkazów chcę słuchać.

— I my z nim! — powtórzyli dwaj inni regimentarze.

Trzy buławy wyciągnęły się ku księciu, ale on rękę cofnął i odrzekł:

— Nie ja waszmościom dawałem buławy, więc ich nie będę odbierał.

— Bądź więc nad trzema czwartą! — rzekł Firlej.

— Vivat Wiśniowiecki! vivat regimentarze! — krzyknęło rycerstwo. — Życ i umierać razem chcemy!

W tej chwili dzianet książęcy podniósł leń, wstrząsnął farbowaną purpurowo grzywą i zarżał potężnie, aż

wszystkie konie w obozie odpowiedziały mu jednym głosem.

Poczytano i to za przepowiednię zwycięstwa. Żołnierze mieli ogień w oczach. Serca rozpalily się pragnieniem walki, dreszcz zapalu przebiegał przez ciała. Starszyzna nawet podzielała ogólne uniesienie. Podczaszy płakał i modlił się, a pan kasztelan kamieniecki i pan starosta krasnostawski pierwsi poczęli trzaskać szablami, wtórując żołnierzom, którzy biegli na zręby wałów i wyciągając ręce w ciemności, wołali ku stronie, z której spodziewano się nieprzyjaciela.

— Bywajcie, psułaty! znajdziecie nas gotowych!

Tej nocy nikt nie spał w obozie i aż do rana grzmiały okrzyki i roily się światła błyszczące kaganów i pochodni.

Nad ranem przyszedł z podjazdu, z pod Czołhańskiego kamienia, pan pisarz koronny Sierakowski i przyniósł wiadomość o nieprzyjacielu, który o pięć mil od obozu się znajdował. Podjazd stoczył walkę z przeważnemi siłami ordyńców; zginęło w niej dwóch panów Mańkowskich, pan Oleksicz i kilku zacnego towarzystwa. Przywiezione języki twierdziły, że za onym komunikiem chan i Chmielnicki idą z całą potęgą. Dzień zeszedł na oczekiwaniu i rozporządzeniach do obrony. Książę, przyjmawszy bez dłuższych wahań naczelne dowództwo, szykował wojsko, wyznaczał każdemu gdzie miał stać, jak się bronić i jak innym w pomoc przychodzić. W obozie zapanował najlepszy duch; karność została przywrócona, a zamiast dawnego zamieszania, krzyżowania się rozporządzeń, niepewności — widziałeś wszędy ład i sprawność. Do południa wszyscy byli na swych pozycjach. Straże przed obozem rozrzucone donosiły każdej chwili,

co dzieje się w okolicy. W pobliskich wioskach wysłana czeladź brała żywność i paszę, ile się gdzie jeszcze dało złapać. Żołnierz stojący na wałach gwarzył wesoło i śpiewał, a noc spędzono, drzemiąc przy ogniskach, z ręką na szabli, w takiej gotowości, jakby co chwila szturm miał nastąpić.

Jakoż świtaniem poczęło się coś czernić w stronie Wiśniowca. Dzwony uderzyły w mieście na trwogę, a w obozie długie, żalodne głosy trąb pobudziły czujność żołnierzy. Piesze regimenta wyszły na wały, w przerwach stanęła jazda, gotowa zerwać się za pierwszym znakiem do ataku, a przez całą długość okopu wzniosły się ku górze dymki od zapalonych lontów.

W tej samej chwili pojawił się książę na swoim białym dzianecie. Ubrany był w srebrne blachy, ale bez hełmu. Najmniejszej troski nie było znać na jego czole; owszem, wesołość biła mu z oczu i twarzy.

— Mamy gości, mości panowie! mamy gości! — powtarzał, przejeżdżając wzdłuż wałów.

Cisza nastąpiła i słychać było łopotanie chorągwi, które lekki powiew wiatru to nadymał, to owijał naokoło drzewców. Tymczasem nieprzyjaciel zbliżył się tak, iż można go było okiem ogarnąć.

Była to pierwsza fala, więc nie sam Chmielnicki z chanem, ale rekonesans, złożony ze trzydziestu tysięcy wyborowych ordyńców, uzbrojonych w łuki, samopaly i szable. Zagarnąwszy tysiąc pięćset pacholków, wysłanych po żywność, szli gęstą lawą od Wiśniowca, potem, wyciągnąwszy się w długi półksiężyc, poczęli zajeżdżać z przeciwnej strony, ku Staremu Zbarażowi.

Ale tymczasem książę, przekonawszy się, iż to tylko komunik, dał rozkaz, by jazda wyszła z okopów. Roz-

legły się głosy komendy, pułki zaczęły się ruszać i wychodzić z za wałów, jak pszczoły z ula. Równina napelniła się ludźmi i końmi. Zdawało się widać było rotmistrzów z buzdycanami w ręku, oganiających chorągwie i szykujących je do boju. Konie parskały rzeźwo — a czasem rzenie przebiegło szeregi. Potem z tej masy wysunęły się dwie chorągwie Tatarów i semenów książęcych i szły drobnym klusem naprzód; łuki trzęsły się im na plecach, migotały kołpaki — i szli w milczeniu, a na czele ich jechał rudy Wierszull, pod którym koń rzucił się jak szalony, co chwila zwieszając w powietrzu przednie kopyta, jakby chciał zerwać wędzidła i skoczyć co prędzej w zamęt.

Błękitu nieba nie plamiła żadna chmurka, dzień był jasny, przezroczysty — i widać ich było, jak na dłoni.

W tejże samej chwili, od strony Starego Zbaraża ukazał się taborek książęcy, który nie zdołał wejść z całym wojskiem, a teraz nadązał co siły, z obawy, aby ordyńcy nie ogarnęli go jednym zamachem. Jakoż nie uszedł ich oczu i wnet długi półksiężyc ruszył ku niemu z kopyta. Krzyki: „Alla!“ doleciały aż do uszu stojącej na wałach piechoty; chorągwie Wierszulla pomknęły, jak wichry, na ratunek.

Ale półksiężyc dobiegł prędzej do taborku i opasał go w jednej chwili, jakby czarną wstęgą, a jednocześnie kilka tysięcy ordyńców zwróciło się z wyciem nieludzkim ku Wierszullowi, starając się go również opasać. I tu dopiero można było poznać doświadczenie Wierszulla i sprawność jego żołnierzy. Widząc bowiem, że im zachodzą z prawej i lewej strony, rozdzielili się na troje i skoczyli na boki, poczem rozdzielili się na czworo, potem na dwoje — a za każdym razem nieprzyjacieli



musiał się zwracać całą linią, bo przed sobą nie miał nikogo, a skrzydła już mu rwano. Dopiero za czwartym razem uderzyli się pierś w pierś, ale Wierszull uderzył całą siłą w najsłabsze miejsce, rozerwał je i od razu znalazł się na tyłach nieprzyjaciela. Wtedy porzucił go i szedł jak burza ku taborkowi, nie dbając, że tamci zaraz mu na kark najadą.

Starzy praktycy, patrząc na to z wałów, uderzali się zbrojnemi dłońmi po łędzwiach, wykrzykując:

— Niech ich kule biją! tylko książęcy rotmistrz tak prowadzą!

Tymczasem Wierszull, natarwszy ostrym klinem na pierścień opasujący taborek, przebił go tak, jak strzała przebija ciało żołnierza, i w mgnieniu oka przedostał się do środka. Teraz zamiast dwóch bitew, zawrzała jedna — ale tem zaciętsza. Cudny to był widok! W środku równiny taborek, jakoby ruchoma forteca, wyrzucał długie smugi dymu i ział ogniem — naokół zaś, czerniło się mrowie ruchliwe, rozszalałe, niby jakiś wir olbrzymi, za wirem konie latające bez jeźdźców, w środku szum, wrzask, grzechotanie samopalałów. Ci tłoczą się jedni przez drugich, tamci nie dają się rozrywać. Jak dzik otoczony broni się białymi kłami i tnie zajadłą psiarnię, tak ów tabor wśród chmary tatarskiej bronił się z rozpaczą i nadzieją, że z obozu pomoc, większa od Wierszullowej, mu przyjdzie.

Jakoż wkrótce na równinie zamigotały czerwone kolety dragonów Kuszla i Wołodyjowskiego — rzekłbys listki czerwone kwiatów, które wiatr żenie. Ci dobiegli do chmary tatarskiej i wpadli w nią, jak w czarny las, tak, że po chwili wcale ich nie było widać, tylko kotłowanie uczyniło się jeszcze większe. Dziwno było nawet

żołnierzom, dlaczego księżę nie przyjdzie od razu z dostateczną potęgą w pomoc otoczonym, ale on zwłóczył, chcąc dowodnie pokazać żołnierzom, jakie to posiłki im prowadził — i przez to serce im podnieść i do większych jeszcze niebezpieczeństw przygotować.

Jednakże ogień w taborku osłabł, znać już nabijać nie mieli czasu, albo się rury muszkietów zbyt rozgrzały, natomiast wrzask Tatarów zwiększał się coraz bardziej, więc księżę dał znak i trzy husarskie chorągwie, jedna jego własna pod Skrzetuskim, druga starosty krasnostawskiego, trzecia królewska pod panem Pigłowskim, ruszyły z obozu ku bitwie. Dobiegły i uderzywszy jak obuchem, rozerwały od razu pierścień tatarski, potem spędziły go, zgniotły na równinie, wparły ku lasom, rozbiły raz jeszcze — i gnały o ćwierć mili od obozu, taborek zaś, wśród radosnych okrzyków i huku dział, zemknął bezpiecznie w okopy.

Tatarzy jednak, czując, że za nimi idzie Chmielnicki i chan, nie znikli całkiem z oczu: owszem, wkrótce pojawili się na nowo i hallakując, obiegali cały obóz, zajmując przytem drogi, gościńce i wsie pobliskie, z których wkrótce podniosły się słupy czarnego dymu ku niebu. Mnóstwo ich harcowników zbliżyło się pod okopy, przeciw którym sypnęli się zaraz pojedynczo i kupkami żołnierze książęcy i kwarciani, szczególnie z tatarskich, wołoskich i dragońskich chorągwi.

Wierszull nie mógł brać w harcach udziału, albowiem sześć razy w głowę cięty przy obronie taborku, leżał jak nieżywy w namiocie, natomiast pan Wołodyjowski, choć cały już jak rak od krwi czerwony, zamało miał jeszcze ukontentowania i pierwszy wyruszył. Trwały owe harce aż do wieczora, na które z obozu piechoty

i rycerstwo z górnych chorągwi patrzyło jak na widok. Przebiegano więc sobie wzajemnie, potykano się gromadami, albo pojedynczo, chwytało żywcem niewolników. A pan Michał co którego ucałował i odprowadził, to znów wracał; czerwony jego mundur uwijał się po całym pobojowisku, aż go wreszcie Skrzetuski panu Lanckorońskiemu, jako osobliwość, zdala pokazał, bo ilekroć zczepił się z Tatarem, rzekłbyś: w Tatara piorun trzasł. Zagłoba, choć pan Michał nie mógł go dosłyszeć, dodawał mu krzykiem z wałów ochoty, od czasu zaś do czasu zwracał się do stojących naokół żołnierzy i mówił:

— Patrzcie, waszmościowie! ja to uczyłem go szablą robić. Dobrze! dalejże po nim! Dali-Bóg, niedługo mnie dorówna!

Ale tymczasem słońce zaszło — i harcownik począł z wolna ściągać się z pola, na którym pozostały tylko trupy końskie i ludzkie. W mieście poczęto znów dzwonić na „Anioł Pański“.

Noc zapadała z wolna, jednakże ciemność nie nadchodziła, bo naokół świeciły luno. Palily się Załóscice, Barzyńce, Lublanki, Stryjówka, Kretowice, Zarudzie, Wachłówka — i cała okolica, jak okiem sięgnąć, płonęła jednym pożarem. Dymy w nocy stały się czerwone, gwiazdy świeciły na różowym tle nieba. Chmury ptactwa z lasów, gąszczów i stawów podnosiły się z wrzaskiem okropnym i krążyły w powietrzu oświetlonem pożogą, jakoby płomienie latające. Bydło w taborze, przerażone niezwykłym widokiem, poczęło ryczeć żalóśnie.

— Nie może być — mówili między sobą w okopie starzy żołnierze — aby ów komunik tatarski takowe roz-

niecił pożary; pewnie to sam Chmielnicki z kozakami i całą ordą się zbliża.

Jakoż nie były to czcze domysły, już bowiem pan Sierakowski przywiózł poprzedniego dnia wiadomość, że hetman zaporoski i chan tuż za komunikiem następują, czekano więc ich na pewno. Żołnierze, co do jednego, byli na okopach; lud na dachach i wieżach. Wszystkie serca były niespokojnie. Niewiasty szlochały po kościołach, wyciągając ręce do Najświętszego Sakramentu. Gorsze od wszystkiego oczekiwanie przygniotło niezmiernym ciężarem miasto, zamek i obóz.

Ale nie trwało długo. Noc jeszcze nie zapadła zupełnie, gdy na widnokręgu ukazały się pierwsze szeregi kozackie i tatarskie, za niemi drugie, trzecie, dziesiąte, setne, tysiączne. Rzekłbyś: wszystkie lasy, chaszczce zerwały się nagle z korzeni i idą na Zbaraż. Napróżno oczy ludzkie szukały końca tych szeregów; jak wzrok sięgnął, czerniło się mrowie ludzkie i końskie, ginące w dymach i łunach oddalenia. Szli jak chmury, albo jak szarańcza, która całą okolicę ruchomą, straszliwą masą pokryje. Przed niemi szedł groźny pomruk głosów ludzkich, jak wichler szumiący w boru, wśród wierzchołków starych sosen. Poczem zatrzymawszy się o ćwierć mili, poczęli się rozkładać i zapalać nocne ogniska.

— Widzicie ognie — szeptali żołnierze — dalej idą, niż koń jednym tchem doleci.

— Jezus, Marya! — mówił do Skrzetuskiego Zagłoba. — Mówię waćpanu, że lew jest we mnie i trwogi nie czuję, ale wolałbym, żeby ich jasne pioruny wszystkich do jutra zatrzasnęły. Jak mi Bóg miły, że ich za wiele. Już chyba i na dolinie Józafata większego tłoku nie będzie. I powiedz waćpan, o co tym złodziejom cho-

dzi? Nie siedziałby to każdy psubrat lepiej w domu, nie robiłby spokojnie pańszczyzny? Co my winni, że nas Pan Bóg szlachcą, a ich chamami stworzył i powinniśmy im być kazał? Tfu! złość mię porywa! Słodki ja człowiek, do rany mnie przyłożyć, ale niechże mię do pasy nie doprowadzają. Za dużo oni mieli swobód, za dużo chleba, to też się rozmnożyli, jak myszy w gumnie — a teraz się na kotów porywają. Poczekajcie! poczekajcie! Jest tu kot, co się nazywa książę Jarema, i drugi, Zagłoba! Co waśc myślisz, czy będą tentowali traktatów? Żeby się tak w pokorę udali, jeszczeby ich można zdrowiem darować — co? Jedno mię ciągle niepokoi, czy wiwendy w obozie jest dosyć? A do dyabła! patrzcie, waszmościowie, znowu tam ognie za tymi ogniami — i dalej ognie! Niechże czarna śmierć spadnie na takowy congressus!

— Co waśc mówisz o traktatach! — odrzekł Skrzetuski — gdy oni sądzą, iż wszystkich nas mają w rękę i jutro dostaną.

— Ale nie dostaną? — co? — pytał Zagłoba.

— Boska w tem wola. W każdym razie skoro tu jest książę, nie przyjdzie im to łatwo.

— Otoś mnie waćpan pocieszyl! Nie o to mnie chodzi, by im łatwo nie przyszło, jeno, żeby wcale nie przyszło.

— Niemale to jest ukontentowanie dla żołnierza, gdy darmo gardła nie daje.

— Pewnie, pewnie... Niech to pioruny zapalą, razem z waszem ukontentowaniem!

W tej chwili zbliżył się Podbipięta i Wołodyjowski.

— Mówią, że ordy i kozactwa jest na pół miliona — rzekł Litwin.

— Bodaj waści język odjęło! — krzyknął Zagłoba. —  
Dobra nowina!

— Przy szturmach łatwiej ich ciąć, niż w polu —  
odpowiedział ze słodyczą pan Longinus.

— Skoro się książę nasz i Chmielnicki wreszcie  
spotkali — rzekł pan Michał — to już o żadnych ukła-  
dach ani gadać. Albo starosta, albo Kapucyn! Jutro  
sądny dzień będzie! — dodał, zacierając ręce.

Mały rycerz miał słuszość. W tej wojnie, tak dłu-  
giej, dwa lwy najstraszniejsze ani razu nie stanęły sobie  
oko w oko. Gromił jeden hetmanów i regimentarzy,  
drugi potężnych atamanów kozackich, za jednym i za  
drugim szło w trop zwycięstwo, jeden i drugi byli po-  
strachem nieprzyjaciół — ale czyja szala miała prze-  
ważyć w bezpośrednim spotkaniu, teraz dopiero miało  
się rozstrzygnąć. Wiśniowiecki patrzył bowiem z okopu  
na nieprzejrzone ćmy tatarskie, kozackie — i napróżno  
starał się je objąć okiem — Chmielnicki spoglądał z pola  
na zamek i obóz, myśląc w duszy: tam mój wróg naj-  
straszliwszy; gdy tego zetnę, któż mi się oprze?

Łatwo to było zgadnąć, że walka między tymi  
dwoma ludźmi będzie długa i zaciekła, ale rezultat nie  
mógł być wątpliwy. Ów książę na Łubniach i Wiśniowcu  
stał na czele piętnastu tysięcy ludzi, licząc w to i sługi  
obozowe, gdy tymczasem za chłopskim wodzem szły lu-  
dyszcza, mieszkające od morza Azowskiego i Donu, aż  
do ujścia Dunaju. Szedł więc z nim chan, na czele ordy  
Krymskiej, Białogrodzkiej, Nohajskiej i Dobruckiej —  
szedł lud, który na wszystkich dorzeczach Dniestru i Dnie-  
pru zamieszkiwał, szli niżowi i czerń nieprzeliczona —  
ze stepów, jarów, borów, miast, miasteczek, wsi i chu-  
torów, i ci wszyscy, co pierwiej w dworskich lub koron-

nych chorągwiach służyli; szli czerkasowie, karałusze wołoscy, Turcy sylistryjscy, Turcy rumelscy; szły nawet luźne watahy Serbów i Bulgarów. Zdawać się mogło, że to nowa wędrówka narodów, które porzuciły mroczne stepowe siedziby, ciągną na zachód, by nowe ziemie zająć, nowe państwo utworzyć.

Taki to był stosunek sił walczących... garść przeciw krociom, wyspa naprzeciw morzu! Więc nie dziwota że niejedno serce było trwogą i że nie tylko w mieście, nie tylko w tym kącie kraju, ale i w całej Rzeczypospolitej patrzono na ten samotny okop, otoczony powodzią dzikich wojowników, jak na grobowiec wielkich rycerzy i wielkiego ich wodza.

Tak samo zapewne patrzył i Chmielnicki, bo ledwie ognie rozpały się dobrze w jego obozach, gdy przed okopami kozak wysłaniec jał machać białą chorągwią, trąbić i krzyżeć, by nie strzelano.

Straże wyszły i porwały go natychmiast.

— Od hetmana do księcia Jaremy — rzekł im.

Kniaź jeszcze z konia nie zsiadł i stał na okopie z twarzą pogodną jak niebo. Łuny odbijały mu się na oczach i oblóczyły różowym blaskiem jego delikatną białą twarz. Kozak, stanąwszy przed obliczem pańskim, stracił mowę i łydy zadrżały pod nim, a mrowie przeszło mu przez ciało, choć to był stary wilk stepowy i jako poseł przybywał.

— Kto ty? — pytał książę-wojewoda, utkwivszy w niego swe spokojne źrenice.

— Ja setnik, Sokół.. od hetmana.

— A z czym przychodzisz?

Setnik począł bić czołem pokłony, aż pod strzemię księcia.

— Przebacz, władzyko! co mnie kazali, to powiem—  
ja nie winien!

— Mów śmiało.

— Hetman kazał mi powiedzieć, że w gości przy-  
był do Zbaraża i jutro w zamku was odwiedzi.

— Powiedz mu, że nie jutro, ale dziś wydaję  
uczty w zamku! — odrzekł ksiązę.

Jakoż w godzinę później zagrzmiały na wiwaty  
moździerze, wzniosły się radosne okrzyki — i wszystkie  
okna zamkowe zajaśniały od tysięcy świec jarzących.

Chan, usłyszawszy wiwatowe strzały, głosy tręb  
i kotłów, wyszedł własną osobą przed namiot, w towa-  
rzystwie brata Nuradyna, sultana Gałgi, Tuhaj-beja  
i wielu murzów, a następnie posłał po Chmielnickiego.

Hetman, jakkolwiek nieco już podpiły, stawił się  
natychmiast i bijąc pokłony, a zarazem przykładając  
palce do czoła, brody i piersi, czekał na zapytanie.

Przez długi czas chan spoglądał na zamek, świe-  
cący zdala jak olbrzymia latarnia, i kiwał z lekka głową,  
nakoniec pogładził się ręką po rzadkiej brodzie, która  
w dwóch długich kosmykach spadała na łasicową szubę,  
i rzekł, wskazując palcem na jaśniejące szyby:

— Hetmanie zaporoski, co tam jest?

— Najpotężniejszy carzu! — odrzekł Chmielnicki —  
to książę Jarema ucztuje.

Chan zdumiał się.

— Ucztuje?...

— Trupy to jutrzejsze, dziś ucztują — odrzekł  
Chmielnicki.

Wtem nowe wystrzały huknęły na zamku, za-  
brzmiały trąby, a zmieszane okrzyki doszły aż dostoj-  
nych uszu chanowych.



— Jeden Bóg — mruknął. — Lew jest w sercu tego giaura.

I po chwili milczenia dodał:

— Wolałbym z nim stać, niż z tobą.

Chmielnicki zadrzał. Ciężko on opłacał niezbędną przyjaźń tatarską, a do tego jeszcze nie był pewien straszliwego sojusznika. Lada fantazyja chanowa — i wszystkie ordy mogły się zwrócić przeciw kozactwu, które wówczas byłoby zgubione bez ratunku. A przytem wiedział Chmielnicki jeszcze i to, że chan pomagał mu wprawdzie dla łupów, dla darów, dla nieszczęsnego jasyru, uważając się jednak za prawowitego monarchę, wstydził się w duszy stawać po stronie buntu przeciw królowi, po stronie takiego „Chmiela“ przeciw takiemu Wiśniowieckiemu.

Hetman kozacki upijał się częstokroć, nietylko z nalogu, ale i z desperacyi...

— Wielki monarcho! — rzekł — Jarema twój wróg. On to Tatarom odjął Zadnieprze, on pobitych murzów, jako wilków po drzewach, na postrach wieszał; on na Krym chciał iść ogniem i mieczem...

— A wy to nie czyniliście szkód w ulusach? — pytał chan.

— Jam twój niewolnik.

Sine wargi Tuhaj-beja poczęły drgać i kły błyskać; miał on między kozakami śmiertelnego wroga, który swego czasu cały czambuł w pień mu wyciął i samego ledwie nie schwytał. Nazwisko jego cisnęło mu się teraz do ust z nieubłaganą siłą, mściwych wspomnień, więc nie wytrzymał i począł warczeć z cicha:

— Burlaj! Burlaj!

— Tuhaj-beju! rzekł natychmiast Chmielnicki —

wy z Burlajem, za najjaśniejszem i mądrym rozkazaniem chanowem, zeszedł roku wodę na miecze leli.

Nowa salwa wystrzałów zamkowych, przerwała dalszą rozmowę.

Chan rękę wyciągnął i zatoczył nią koło, obejmujące Zbaraż miasto, zamek i okop.

— Jutro to moje? — pytał, zwróciwszy się do Chmielnickiego.

— Jutro tamci pomrą — odparł Chmielnicki, z oczyma utkwionemi w zamek.

Poczem na nowo jął bić poklony i ręką dotykać czoła, brody i piersi, uważając rozmowę za skończoną. Chan też otulił się w lasicową szubę, bo noc była chłodna choć lipcowa, i rzekł, zwróciwszy się ku namiotom:

— Późno już!...

Wówczas wszyscy poczęli się kiwać, jakby jedną siłą poruszani, a on szedł do namiotu zwolna i poważnie, powtarzając z cicha:

— Jeden Bóg!...

Chmielnicki oddalił się również ku swoim, a przez drogę mrucał:

— Oddam ci zamek, i miasto, i łupy i jeńców, ale Jarema będzie mój, nie twój, choćby mi gardłem zapłacić za niego przyszło.

Stopniowo ogniska poczęły mdleć i gasnąć, stopniowo uciszał się głuchy szmer kilkuset tysięcy głosów; jeszcze tu i owdzie odzywał się głos piszczałek, lub wołania koniuchów tatarskich, wyganiających konie na nocną paszę — poczem i te głosy umilkły i sen objął nieprzeliczone zastępy tatarskie i kozackie.

Tylko zamek huczał, grzmiał... wiwatował, jakby w nim wesele wyprawiano.

W obozie oczekiwano powszechnie, że szturm najjutrz nastąpi. Jakoż od rana ruszyły się tłumy czerni, kozaków, Tatarów i innych dzikich wojowników, ciągnących z Chmielnickim, i szły ku okopom na kształt czarnych chmur, wałących się na szczyt góry. Żołnierz, lubo już dnia poprzedniego napróżno starał się zliczyć ogniska, zdrętwiał teraz na widok tego morza głów. Lecz nie był to jeszcze szturm prawdziwy, ale raczej ogłędziny pola, szańców, fos, wałów i całego polskiego obozu. I jak wzdęta fala morska, którą wiatr żenie z dalekiej roztoczy, przyjdzie, spiętrzy się, zapieni, uderzy z hukiem, a potem cofnie się w dal, tak oni uderzali tu i owdzie, i znów się cofali i znów uderzali, jakby próbując oporu, jakby chcąc się przekonać, czy samym swym widokiem, czy samą liczbą nie zgniotą ducha, zanimby ciało zgnieść mogli.

Bili też z dział — i kule gęsto poczęły padać do obozu, z którego odpowiadały oktawy i ręczna strzelba, a jednocześnie na wałach pojawiła się procesya z Najświętszym Sakramentem, aby otrzeźwić zdrętwiałe wojsko. Niósł ksiądz Muchowiecki złocistą monstrancyą, trzymając ją obu rękoma powyżej twarzy, a czasem podnosząc w górę — i szedł z przymkniętymi oczyma i ascetyczną twarzą, spokojny, przybrany w lamową kapę i pod baldachimem. Przy nim szło dwóch księży, trzymając go pod łokcie: Jaskólski, kapelan husarski, czasu swego przesławny żołnierz, w sztuce wojennej jakby wódz jaki doświadczony, i Żabkowski, również ex-wojskowy, olbrzymi Bernardyn, siłą jednemu tylko panu Longinowi w całym obozie ustępujący. Drążki baldachimu niosło czterech szlachty, między którymi był i Zagłoba — przed baldachimem zaś postępowały dziew-

czątką o słodkich twarzach, sypiące kwiaty. Szli tedy przez całą długość wałów, a za nimi starszyna wojskowa, żołnierzom zaś, na widok monstrancyi, błyszczącej na kształt słońca, na widok spokoju księży i onych dziewczątek, przybranych w bieli, rosły serca, przybywała odwaga, zapal wstępował w dusze. Wiatr roznosił krzepiący zapach mirry palonej w trybularzach; głowy wszystkich pochylały się z pokorą. Muchowiecki od czasu do czasu wznosił monstrancyą i oczy ku niebu — i intonował pieśń: „Przed tak wielkim Sakramentem“.

Dwa potężne głosy, Jaskólskiego i Żabkowskiego, podchwytywały ją w lot, dośpiewując: „upadajmy na twarzy“ — a całe wojsko śpiewało dalej: „Niech ustąpią z testamentem nowym prawom już starzy!“ Głęboki bas dział wtórował pieśni, a czasem kula armatnia przelatywała hucząc nad baldachimem i księżmi, czasem, uderzywszy poniżej w wał, zasypywała ich ziemią, aż pan Zagłoba kurczył się i przyciskał do drążka. Szczególniej strach chwytal go za włosy, gdy procesya dla modlitew stawała na miejscu. Wówczas trwało milczenie i kule słyhać było doskonale, lecące stadem, jak wielkie ptaki; Zagłoba tylko się czerwienil coraz mocniej, a ksiądz Jaskólski zezowal ku polu i nie mogąc wytrzymać, mruzczał: „kury im sadzać, nie z dział bić!“ — bo istotnie bardzo złych mieli puszkarzy kozacy, a on, jako dawny żołnierz, nie mógł spokojnie na takową niezręczność i takie marnowanie prochu patrzeć. I znowu szli dalej — aż doszli do drugiego końca wałów, na które też nie było ze strony nieprzyjaciela nigdzie wielkiego nacisku. Próbując tu i owdzie, szczególnie od zachodniego stawu, czy się nie uda wywołać popłochu, cofnęli się nakoniec Tatarzy i kozacy ku swoim stanowiskom i trwali w nich,

nie wysyłając nawet harcowników. Tymczasem procesya otrzeźwiła całkowicie oblężonych.

Widocznem już teraz było, że Chmielnicki czeka na przybycie swego taboru, jakkolwiek skądinąd tak pewny był, że pierwszy prawdziwy szturm wystarczy, iż zaledwie kilka szaniców pod armaty kazał usypać i żadnych innych ziemnych robót nie przedsiębrał, aby zagrozić oblężonym. Tabor nadciągnął nazajutrz i stanął, wóz przy wozie, w kilkadziesiąt rzędów, na milę długości, od Werniaków, aż ku Dębnie — z nim przyszły jeszcze nowe siły, a mianowicie pyszna piechota zaporoska, prawie janczarom tureckim równa, do szturmów i wstępnego boju o wiele od czerni i Tatarów sposobniejsza.

Pamiętny wtorkowy dzień 13 lipca zeszedł na obustronnych gorączkowych przygotowaniach: już nie było wątpliwości, że szturm nastąpi, bo trąby, kotły i litaury grały od rana larum w kozackim obozie, a między tatarstwem huczał jak grzmot wielki święty bęben, bałt zwany... Wieczór uczynił się cichy, pogodny; jeno z obu stawów i Gniezny podniosły się lekkie mgły — nakoniec pierwsza gwiazda zamigotała na niebie.

W tej chwili sześćdziesiąt armat kozackich ryknęło jednym głosem — nieprzejrzane zastępy ruszyły z krzykiem okropnym ku wałom i szturm się rozpoczął.

Wojska stały na wałach i zdawało im się, że ziemia drży pod ich nogami; najstarsi żołnierze nie pamiętali nic podobnego.

— Jezus, Marya! co to jest? — pytał Zagłoba, stojąc obok Skrzetuskiego z husaryą, w przerwie wałowej — to nie ludzie idą na nas.

— Jakbyś wać wiedział, że nie ludzie; nieprzyja-

ciel woły przed sobą żenie, abyśmy się pierwej strzelbą na nie wysilili.

Stary szlachcic poczerwieniał jak burak, oczy wyszły mu na wierzch, a z ust buchnęło jedno słowo, w którym cała wściekłość, cały przestach i wszystko, co mógł myśleć w tej chwili, było zawarte:

— Łajdaki!...

Woły, jak szalone, popędzane przez dzikich, pół nągich czabańczuków batami i pałacemi się pochodniami, zdziczałe ze strachu, biegły naprzód z rykiem okropnym, to zbijając się w kupę, to pędząc, to rozbiegając lub zwracając w tył, a pędzone krzykiem, parzone ogniem, smagane surowcem, leciały znów ku wałom. Aż Wurcel począł ziać ogniem i żelazem, wówczas dymy zakryły świat — niebo poczerwieniało — przerażone bydło rozproszyło się, jakby je piorun rozegnał, połowa go padła — a po ich trupach nieprzyjacieli szedł dalej.

Na przedzie, klóci z tyłu spisami i prażeni ogniem z samopałów, biegli jeńcy z worami piasku, którymi fosę mieli zasypywać. Byli to chłopcy z okolic Zbaraża, którzy nie zdołali schronić się do miasta przed nawałą: zarówno młodzi mężczyźni, jak starcy i niewiasty. Biegło to wszystko z krzykiem, płaczem, i wyciąganiem rąk ku niebu i wołaniem o litość. Włosy stawały na głowie od tego wycia, ale litość zmarła wówczas na ziemi: z jednej strony spisy kozackie pograżały się w ich plecy, z drugiej kule Wurcla miażdżyły nieszczęsnych, kartacze rwały ich na sztuki, ryły w nich bruzdy, więc biegli, bluzgali się we krwi — padali, podnosili się i znów biegli, bo pchała ich fala kozacka, kozacką turecka, tatarską...

Wnet fosa zapelniła się ciałami, krwią, worami z piaskiem — nakoniec zrównała się i nieprzyjaciel z wy-  
ciem rzucił się przez nią.

Pułki pchały się jedne za drugimi; przy świetle działowego ognia widać było starszyznę, zaganiającą buzdyganami coraz nowe zastępy na okop. Co najprzebrańszy lud rzucił się na kwatery i wojska Jeremiego, bo wiedział Chmielnicki, iż tam będzie opór największy. Szły więc kurzenie siczowe, za nimi straszliwi perejasławscy z Łobodą, za nimi Woronczenko wiódł pułk czerkaski, Kulak pułk karwowski, Neczaj braclawski, Stepka humański, Mrozowiecki korsuński — szli i Kalniczanie i potężny pułk białocerkiewski, piętnaście tysięcy ludzi liczący — a z nim sam Chmielnicki — w ogniu, jak szatan czerwony, szeroką pierś na kulę wystawiający, z twarzą lwa, okiem orla — w chaosie, dymie, zamieszaniu, rzezi i zwichrzeniu, w płomieniach, na wszystko baczny, wszystkiem rządzący.

Za mołojcami szli dzicy dońscy kozacy; dalej czerkasi, walczący nożami; tuż Tuhaj-bej wiódł wyborowych nohajców; za nimi Subagazi białogrodzkich Tatarów, tuż Kurdłuk śniadych astrachańców, zbrojnych w olbrzymie łuki i strzały, z których każda nieledwie za dziryt ujść mogła. Szli jedni za drugimi tak gęsto, że gorący oddech z tyłu idących oblewał karki przodowym.

Ilu ich padło, nim doszli nakoniec do owej fosy, ciałami jeńców zasypanej, któż opowie, któż wyśpiewał! Lecz doszli, i przeszli i poczęli się drzeć na wały. Wówczas rzekłbyś, że ta noc gwiazdzista, to noc sądu ostatecznego. Działa, nie mogąc tłuc bliższych, ryczały ogniem nieustannym na dalsze szeregi. Granaty, kresząc łuki ogniste po niebie, leciały z chychotem piekielnym, czy-

niąc w ciemnościach dzień jasny. Piechota niemiecka i polska łanowa, a obok niej spieszeni dragoni książęcy, leli prawie wprost w twarze i piersi molojców płomień i olów.

Pierwsze ich szeregi chciały się cofać i pchane z tyłu, nie mogły. Więc marli na miejscu. Krew bluzgała pod stopami następujących. Wały stały się ślizgie, obsuwały się po nich nogi, ręce, piersi. Oni darli się na nie, spadali i znów się darli, przykryci dymem, czarni od sadzy, klóci, rąbani, gardząc ranami i śmiercią. Miejscami walczone już na białą broń. Widziałeś ludzi, jakby nieprzytomnych z wściekłości, z wyszczerzonymi zębami, z zalaną twarzą krwią... Żywi walczyli na drgającej masie pobitych i konających. Nie było już słycać komendy, jeno krzyk ogólny, straszny, w którym ginęło wszystko: i grzechot strzelb, i charczenie rannych, i jęki i syk granatów.

I trwała ta walka olbrzymia a bezpardonowa przez całe godziny. Naokół wału urósł drugi wał trupów — i tamował przystęp szturmującym. Siczowych wycięto niemal do nogi, pułk perejasławski leżał pokotem naokół wału; karwowski, braclawski i humański były zdziesiątkowane — ale inne pchały się jeszcze, popychane z tyłu przez gwardye hetmańskie, rumelskich Turków i urumbejskich Tatarów. Jednakże zamieszanie powstawało już w szeregach napastniczych, gdy tymczasem naokoło łanowe piechoty polskie, Niemcy i dragonia nie ustąpili dotąd ani piędzi. Zziajani, krwią ociekli, porwani szałem bojowym, spotnieli, wpół obłąkani od zapachu krwi, rwali się jedni przez drugich ku nieprzyjacielowi, tak właśnie, jak rozwścieczeni wilcy drą się ku stadu owiec. W tej chwili Chmielnicki natarł powtórnie



z niedobitkami pierwszych pułków i z całą, nietkniętą jeszcze potęgą białocerkwian, Tatarów, Turków i czerkasów.

Działa z okopów przestały grzmieć, granaty świecić, tylko broń ręczna zgrzytała przez całą długość zachodniego wału. Zgiełk wszczął się na nowo. Nakoniec i strzelba umilkła. Ciemności pokryły walczących.

Już żadne oko nie mogło widzieć, co się tam dzieje — jeno przewracało się coś w pomroce, jakby olbrzymie cielsko potwora, rzucające konwulsjami. Nawet z krzyków nie można było już poznać, czy brzmi w nich tryumf, czy rozpacz. Chwilami i one milkły, a wtedy słyhać było tylko jakby olbrzymi jeden jęk, rozlegający się ze wszech stron, z pod ziemi, na ziemi, w powietrzu, wyżej i wyżej, jak gdyby i dusze odlatywały, jęcząc, z tego pobojuwiska.

Ale były to krótkie przerwy: po takiej chwili wrzaski i wycia odzywały się z większą jeszcze siłą, coraz chrapliwsze, coraz bardziej nieczłowiecze.

Wtem znów zagrzmiał ogień ręcznej strzelby: to oberszter Machnicki z resztą piechoty przychodził w pomoc utrudzonym regimentom. Trąbki na odwrót poczęły grać w tylnych szeregach mołojców.

Nastąpiła przerwa, pułki kozackie oddaliły się od okopu na staję i stanęły pod osłoną własnych ciał — ale nie minęło i pół godziny, gdy Chmielnicki znowu zerwał się i po raz trzeci gnał ich do szturm.

Ale wówczas na okopie ukazał się na koniu sam książę Jeremi. Łatwo go było poznać, bo proporzec i buńczuk hetmański wiały mu nad głową — a zaś przed nim i za nim niesiono kilkadziesiąt palących się krwawo pochodni. Wnet poczęto bić z dział do niego,

ale niewprawni puszkarze przerzucali kule daleko, aż za Gnieznę, on zaś stał spokojnie i patrzył w zbliżające się chmury...

Kozacy zwolnili kroku, jakby oczarowani tym widokiem.

— Jarema! Jarema! — poszedł cichy pomruk, niby szum wiatru przez głębokie szeregi.

I stojąc na okopie wśród krwawych świateł, wydawał im się ten groźny książę, jakby olbrzym z baśni ludowej, więc drzenie przebiegło im utrudzone członki, a ręce czyniły znaki krzyża. On stał ciągle.

Skinął złotą buławą — i wnet złowrogie ptactwo granatów zaszumiało na niebie — i wpadło w następujące szeregi, zastępy zwinęły się, jak smok śmiertelnie rażony; okrzyk przerażenia przeleciał z jednego końca lawy na drugi:

— Biegiem! biegiem! — rozległy się głosy pułkowników kozackich.

Czarna lawa ruszyła całym pędem ku wałom, pod którymi mogła znaleźć ochronę od granatów, ale nie przebiegła jeszcze ani połowy drogi, gdy książę, widny ciągle jak na dłoni, zwrócił się nieco ku zachodowi i znów skinął złotą buławą.

Na ten znak, od strony stawu, z przerwy między jego zwierciadłem a wałem, poczęła się wysuwać jazda — i w mgnieniu oka rozlała się na krańcu brzegowym równiny; przy świetle granatów widać było doskonale olbrzymie chorągwie husaryi Skrzetuskiego i Zaciwilichowskiego, dragonią Kuszla i Wołodyjowskiego i Tatarów książęcych Roztworowskiego. Za nimi wysuwały się coraz nowe pułki semenów i wołochów Bychowca. Nietylko Chmielnicki, ale ostatni z ciurów ko-

zackich poznał w jednej chwili, że zuchwały wódz postanowił rzucić całą jazdę w bok nieprzyjacielowi.

Natychmiast w szeregach mołojców zabrzmiały trąbki do odwrotu. „Czoło ku jeździe! czoło ku jeździe!” — rozległy się przerażone głosy. Jednocześnie zaś Chmielnicki usiłował zmienić front swych wojsk i jazdą od jazdy się zasłonić. Ale już czasu nie było. Zanim zdołał sprawić szyki, zerwały się książące chorągwie i biegły jakby na skrzydłach, z okrzykiem: „bij, zabij!” z warkotaniem proporców, z świstem piór i żelaznym chrzęstem zbroi. Husarye wraziły kopie w ścianę nieprzyjaciela i same wpadły za nimi jak orkan, przewalając i druzgocząc wszystko po drodze. Żadna siła ludzka, żaden rozkaz, żaden wódz nie zdołał już utrzymać pułków pieszych, na które pierwszy impet się zwrócił. Dziki popłoch ogarnął wyborową gwardyę hetmańską. Białocerkwianie rzucali samopały, piszczele, spisy, kosy, kiścienie, szable i osłaniając głowy rękoma, gnali w obłędzie strachu, z rykiem zwierzęcym, na stojące w tyle oddziały Tatarów. Ale Tatarzy przyjęli ich ulewą strzał — więc rzucili się w bok i biegli wzdłuż taboru pod ogniem piechoty i dział Wurcla, ścieląc się trupem tak gęstym, że rzadko gdzie jeden na drugiego nie padał.

Ale tymczasem dziki Tuhaj-bej, wspomagany przez Subagaziego i Urum-murzę, uderzył z wściekłością na nawalę husaryi. Nie miał on nadziei jej złamać, pragnął ją tylko, choćby na krótko, powstrzymać, aby przez ten czas sylistryjscy i rumelscy janczarowie mogli sformować się w czworoboki, a białocerkiewszczanie ochłoniąć z pierwszego popłochu. Skoczył więc, jak w dym — i sam leciał w pierwszym szeregu, nie jak wódz, ale

jak prosty Tatar, i siekł, zabijał, narażał się razem z innymi. Krzywe szable nohajców dzwoniły po pancerzach i harnaszach, a wycie wojowników głużyło wszystkie inne głosy. Lecz wytrzymać nie mogli. Wyparci z miejsca, naciskami strasznym ciężarem żelaznych jeźdźców, którym niezwykli stawiać czoła otwarcie, spychani ku janczarom, cięci długimi mieczami, zrzucani z siodeł, kluci, bici, gnieceni jak jadowite robactwo, bronili się jednak z taką wściekłością, że istotnie pęd husaryi wstrzymany został. Tuhaj-bej rzucał się na kształt niszczącego płomienia, a nohajcy szli przy nim, jak wilcy idą przy wilczycy.

Jednak ustępowali, coraz gęstszym trupem padając. Już krzyki: „Alla!“ grzmiące z pola, zwiastowały, że janczarowie stanęli w ordynku, gdy do wściekłego Tuhaj-beja przypadł Skrzetuski i w łeb koncerzem go trzasnął. Lecz widać rycerz wszystkich sił jeszcze po chorobie nie odzyskał, lub może kuta w Damaszku miśturka cięcie wstrzymała, dość, że brzeszczot zwinął się na głowie i uderzywszy płaszczyzną, spękał się na drobne kawałki. Ale oczy Tuhaj-beja nocą natychmiast się powlokły, zdarł konia i padł na ręce nohajców, którzy porwawszy swego wodza, pierzchli z wrzaskiem okropnym w obie strony, jak pierzcha mgła, zwiana wichrem gwałtownym. Wszystkie jazdy książęce znalazły się teraz wobec janczarów rumelskich i sylistryjskich i wobec watah poturczeńców serbskich, które razem z janczarami utworzyły jeden potężny czworobok i cofały się zwolna ku taborowi, zwrócone frontem ku wrogom, najeżone rurami muszkietów, ostrzami długich włóczni, dziryków, berdyszów i handżarów.

Choraągwie pancerne dragońskie i semeńskie pędziły ku nim, jak wichur, a na samym przedzie szła z loskotem i tętentem husarska Skrzetuskiego. Sam on leciał na osłep w pierwszym szeregu, a przy nim pan Longinus na swej kobyle inflanckiej, ze straszliwym zerwikapturem w ręku.

Czerwona wstęga ognia przeleciała z jednego końca czworoboku na drugi — kule zaświstały w uszach jeźdźców, gdzieniegdzie człowiek jęknął, gdzieniegdzie koń się zwalił, linia jazdy łamie się, ale oni pędzą dalej; już dobiegają, już janczary słyszą chrapanie i zdyszany oddech koni — czworobok zbija się jeszcze ciasniej i pochyla mur włóczni, trzymanyh żylastemi rękoma, ku rozszalałym rumakom. Ile ostrz w tej chmurze, tyle śmierci grozi rycerzom.

Wtem jakiś husarz-wielkolud dopada w niepowstrzymanym pędzie do ściany czworoboku; przez chwilę widać kopyta olbrzymiego konia, zwieszzone w powietrzu — następnie rycerz i rumak wpadają w środek ścisku, druzgocząc włócznie, przewalając ludzi, łamiąc, miażdżąc, niwecząc.

Jak orzeł spada na stado białych pardew, a one zbite przed nim w łekliwą kupe, idą na łup drapieżnika, który rwie je pazurami i dzióbem — tak pan Longinus Podbipięta, wpadłszy w środek nieprzyjacielskich szyków, szalał ze swym zerwikapturem. I nigdy trąba powietrzna nie czyni takich spustoszeń w młodym i gęstym lesie, jakie on czynił w ścisku janczarów. Straszny był; postać jego przybrała nieczłowiecze wymiary; kobyła zmieniła się w jakiegoś smoka, ziejącego płomień z nozdrzy, a zerwikaptur troił się w ręku rycerza. Kislar-Bak, olbrzymi aga, rzucił się na niego i padł

przecięty na dwoje. Próżno co tętsze chłopy wyciągną ręce, zastawią mu się włóczyniami — wnet mrą, jakby rażeni gromem — on zaś tratuje po nich, ciska się w tłum największy i co machnie — rzekłbyś, kłosy pod kosą padają, robi się pustka, słychać wrzask przestrichu, jęki, grzmot uderzeń, zgrzyt żelaza o czaszki i chrapanie piekielnej kobyły.

— Diw! diw! — wołają przerażone głosy.

W tej chwili żelazna nawala husaryi, ze Skrzetuskim na czele, runęła bramą, otwartą przez litewskiego rycerza; ściany czworoboku pękły, jak ściany walącego się domu, i masy janczarów rzuciły się w ucieczce na wszystkie strony.

Czas też był na to, bo nohajcy, pod Subagazim, wracali już, jak wilki krwi żądne, do bitwy, a z drugiej strony Chmielnicki, zebrawszy na nowo białocerkwian, szedł z pomocą janczarom — lecz teraz zmieszalo się wszystko. Kozacy, Tatarzy, poturczeńcy, janczarowie uciekali w największym nieładzie i popłochu ku taborom, nie dając żadnego oporu. Jazda parła ich, siekąc na oślep. Kto nie zginął w pierwszej staj, ginął w drugiej. Pogoń była tak zacięta, że chorągwie prześcignęły tylne szeregi uciekających; żołnierzom ręce mdlały od cięcia. Tłumy rzucały broń, chorągwie, czapki, a nawet świty. Białe kapuzy janczarskie pokryły, jak śniegiem, pole. Cała wyborna milicya Chmielnickiego, piechota, jazda, artylerya, posiłkowe oddziały tatarskie i tureckie utworzyły jedną bezładną masę, nieprzytomną, oblakaną, ośleplą z przerażenia. Całe setki uciekały przed jednym towarzyszem. Husarya, rozbiwszy piechoty i Tatarów, uczyniła swoje, teraz zaś dragoni i lekkie chorągwie szły ze sobą w zawody, a na ich czele pan

Wołodyjowski z Kuszlem szerzyli wiarę ludzką przechodzące kłęski. Krew pokryła jedną kałużą straszliwe pobojowisko i chlubiła, jak woda, pod gwałtownymi uderzeniami kopyt końskich, pryskając na zbroje i twarze rycerzy.

Uciekające tłumy odetchnęły dopiero wśród wozów swego taboru, gdy trąby odwołały jazdę książęcą.

Rycerstwo wracało ze śpiewem i okrzykami radości, licząc po drodze dymiącymi szablami trupy nieprzyjaciół. Ale któż mógł jednym rzutem oka rozmiary kłęski ocenić? kto mógł wszystkich policzyć, gdy przy samym okopie leżały ciała, jedne na drugich „na chłopca wysoko?” Żołnierze byli jakby zacządzeni surowymi wyziewami krwi i potu. Szczęściem, od strony stawów, wstał dość silny wiatr i zwał te zaduchy ku nieprzyjacielskim namiotom.

Tak skończyło się pierwsze spotkanie straszliwego „Jaremy” z Chmielnickim.

Ale szturm nie był skończony, bo podczas gdy Wiśniowiecki odpierał ataki, wymierzone na prawe skrzydło obozu, Burlaj na lewym o mało co nie stał się panem okopów. Obszedłszy cicho miasto i zamek na czele zadnieprzańskich wojowników, dotarł do wschodniego stawu i uderzył potężnie na Firlejowe kwatery. Nie mogła wytrzymać uderzenia węgierska piechota tam stojąca, bo wały przy stawie nie były jeszcze dokończone — i pierwszy chorąży pierzchnął z banderyą, za nim zaś cały pośpieszył regiment. Burlaj wskoczył do środka, a za nim zadnieprzańcy ruszyli, jak niewstrzymany potok. Krzyki zwycięstwa dobiegły aż do przeciwnego końca obozu! Kozacy, pędząc za uciekającymi Węgrami, rozbili mały oddział jazdy, zdobyli kilka dział i już docierali

do kwater kasztelana belzkiego, gdy pan Przyjemski, na czele kilku rot niemieckich, nadbiegł z pomocą. Przebiwszy jednym pchnięciem chorążego, porwał za chorągiew i rzucił się z nią na nieprzyjaciela, zanim Niemcy zwarli się potężnie z kozactwem. Zawrzała straszliwa walka ręczna, w której z jednej strony zaciekłość i przynajęta liczbą Burlajowych zastępów, z drugiej męstwo starych lwów z trzydziestoletniej wojny szły ze sobą o lepszą. Napróżno Burlaj ciskał się w najgęstsze szeregi walczących, na kształt rannego odyńca. Ani pogarda śmierci, z jaką walczyli mołojcy, ani ich wytrwałość nie mogła powstrzymać niepohamowanych Niemców, którzy, idąc murem naprzód, razili ich tak potężnie, że wyparli zaraz z miejsca, przyparli do okopów, zdziesiątkowali, i po półgodzinnej walce, wyrzucili za wały. Pan Przyjemski, zalany krwią, pierwszy zatknął swą chorągiew na niedokończonym nasypie.

Położenie Burlaja było teraz straszne, musiał bowiem cofać się tą samą drogą, którą nadszedł, a że Jeremi zgniół już właśnie atakujących prawie skrzydło, mógł więc z łatwością odciąć cały Burlajowy oddział. Przyszedł mu wprawdzie z pomocą Mrozowicki na czele korsuńskich konnych mołojców, ale w tej chwili ukazała się husaryja pana Koniecpolskiego, do niej przyłączył się wracający z ataku na janczarów Skrzetuski i obaj odcięli cofającego się dotychczas w porządku Burlaja.

Jednym atakiem rozbili go w puch i wtedy-to poczęła się rzeź okropna. Kozacy, mając zamkniętą drogę do taborów, mieli tylko drogę śmierci otwartą. Jedni też, nie prosząc pardonu, bronili się zaciekle gromad-



kami, lub pojedynczo, inni próżno wyciągali ręce ku jeźdźcom, huczącym jak wichry po boju. Rozpoczęły się gonitwy, przebiegania, pojedyncze walki, wyszukiwania nieprzyjaciół ukrytych w rozpadlinach i nierównościach gruntu. Z okopów, aby oświecić poboju, zaczęto rzucać pozapalane maźnice ze smołą, które leciały jak ogniste meteory z grzywą płomienną. Przy tych czerwonych blaskach docinano reszty zadnieprzańców.

Skoczył im jeszcze na pomoc i Subagazi, który dnia tego cudów męstwa dokazywał, ale przesławny Marek Sobieski, starosta krasnostawski, osadził go na miejscu, jak lew osadza dzikiego bawołu — więc widział już Burlaj, że znikąd nie ma ratunku. Aleś, Burlaju, sławę swą kozaczą kochał więcej, niż życie, dlatego nie szukał ocalenia! Inni wymykali się w ciemnościach, kryli się po szczelinach, prześlizgiwali się między kopytami rumaków, on zaś szukał jeszcze wrogów. Sam ściał pana Dąbka i pana Rusieckiego i młode lwie pachole pana Aksaka, tego samego, który pod Konstantynowem nieśmiertelną okrył się sławą; potem porwał pana Sawickiego, potem dwóch od razu skrzydlatych husarzy rozciągnął na ziemi rodzącej, nakoniec widząc ogromnego szlachcica, przebiegającego z rykiem żubrowym poboju, zerwał się i szedł, jak błyszczący płomień na niego.

Pan Zagłoba — on to był bowiem — ryknął ze strachu jeszcze silniej i zwrócił konia do ucieczki. Reszta włosów stanęła mu dębem na głowie, ale przytomności nie stracił, owszem, fortele, jak błyskawice, przelatowały mu przez głowę, a jednocześnie wrzeszczał co siły: „Mości panowie! kto w Boga wierzy!“... i gnał jak wi-

cher, ku gęstszej kupie jeźdźców. Burlaj zaś przebiegał mu od boku, jakoby po cięciwie łuku. Pan Zagłoba zamknął oczy, a w głowie szumiało mu: „zdechnę, ja i pchły moje!” — słyszał za sobą prychanie konia, spostrzegł, że nikt nie idzie mu z pomocą, że nie uciecze i że żadna inna ręka, chyba jego własna, nie wyrwie go z Burlajowej paszczyki.

Ale w tej ostatniej chwili, w tej już prawie agonii, nagle rozpacz jego i przestraszanie zmieniły się we wściekłość; ryknął tak strasznie, jak żaden tur nie ryczy, i zwinąwszy konia na miejscu, zwrócił się na przeciwnika.

— Zagłobę gonisz! — krzyknął, nacierając z szablą wzniesioną.

W tej chwili nowe stado płonących maźnic rzucono z okopów; uczyniło się widno. Burlaj spojrzal i zdumiał.

Nie zdumiał, usłyszawszy imię, bo go nigdy w życiu nie słyszał, ale poznał męża, którego, jako Bohunowego przyjaciela, ugaszczal niedawno w Jampolu.

Ale właśnie ta nieszczęsna chwila zdumienia zgubiła mężnego wodza mołojców, bo nim się opamiętał, ciał go pan Zagłoba przez skroń i jednym zamachem zwałił z konia.

Było to na oku wszystkiego wojska. Radosnym wrzaskom usarskim odpowiedział okrzyk przerażenia mołojców, którzy, widząc śmierć starego lwa czarnomorskiego, stracili resztę ducha i zaniechali wszelkiego oporu. Których nie wyrwał z toni Subagazi, ci zginęli wszyscy co do jednego — bo jeńców wcale tej straszliwej nocy nie brano.

Subagazi pierzchnął ku taborom, goniony przez

starostę krasnostawskiego i lekką jazdę. Szturm na całej linii okopów był odparty — tylko pod taborem kozackim wrzała jeszcze wysłana w pogoń jazda.

Okrzyk tryumfu i radości wstrząsnął całym obozem obłożonych, a potężne okrzyki aż ku niebu się wzbily. Krwawi żołnierze, okryci potem, pyłem, czarni od prochu, z ociekłymi twarzami i brwią jeszcze zmarszczoną, z płomieniem jeszcze niezgasłym w oczach, stali oparci na broni, chwytając piersiami powietrze, gotowi znów zerwać się do boju, gdyby tego zaszła potrzeba. Ale powoli wracała i jazda z krwawego żniwa pod taborem; potem zjechał na pobojowisko sam książę, a za nim regimentarze, pan chorąży, pan Marek Sobieski, pan Przyjemski. Cały ten świetny orszak posuwał się zwolna wzdłuż okopu.

— Niech żyje Jeremi! — wołało wojsko — niech żyje ojciec nasz!

A książę, bez hełmu, kłaniał się głową i buławą na wszystkie strony.

— Dziękuję waszmościom! dziękuję waszmościom! — powtarzał dźwięcznym, donośnym głosem.

Poczem zwrócił się do pana Przyjemskiego.

— Ten okop jest za duży! — rzekł.

Przyjemski skinął głową, na znak zgody.

I przejechali wodze zwycięzcy od zachodniego aż do wschodniego stawu, opatrując pobojowisko, szkody, jakie nieprzyjaciel w walach porobił, i same wały.

Tymczasem poza orszakiem książęcym, uniesieni zapalem żołnierze, nieśli, wśród okrzyków, na rękę, do obozu pana Zagłobę, jako największego tryumfatora w dniu dzisiejszym. Ze dwadzieścia tęgich rąk podtrzymywało w górze okazałą postać wojownika, wojownik

zaś czerwony, spocony, machając rękoma dla utrzymania równowagi, krzyczał co siły:

— Ha! Zadałem mu pieprzu! Umyślnie udałem ucieczkę, żeby go za sobą wywabić. Nie będzie nam więcej, psu brat, burlajował! Mości panowie! trzeba było dać przykład młodszym! Na Boga! ostrożnie, bo mnie uronicie i potłuczecie. Trzymajcieżę dobrze, macie trzymać! Miałem z nim robotę, wierzcie mi! O szelmy! Łada hultaj dziś szlachcicowi się nadstawia! Ale mają za swoje. Ostrożnie! Puśćcie, do dyabła!

— Niech żyje! niech żyje! — krzyczała szlachta.

— Do księcia z nim! — powtarzali inni.

— Niech żyje! niech żyje!!

Tymczasem hetman zaporoski, przypadłszy do swego taboru, ryczał jak dziki ranny zwierzę, darł żupan na piersiach i kaleczył sobie twarz. Starszyzna, ocalała z pogromu, otoczyła go w ponurem milczeniu, nie niosąc ani słowa pociechy, a jego oblęd prawie pochwycił. Wargi miał spienione, piętami bił w ziemię, obu rękoma szarpał włosy w czuprynie.

— Gdzie moje pułki? gdzie mołojcy? — powtarzał chrapliwym głosem. — Co powie chan! co powie Tuhajbej! Wydajcie mnie Jaremie; niech moją głowę na pal wbiją!

Starszyzna milczała ponuro.

— Czemu mnie worożychy wiktoryą przepowiadały? — ryczał dalej hetman. — Urezać szyje wiedzdom — czemu mnie mówiły, że Jaremę dostanę?

Zwykle, gdy ryk tego lwa wstrząsał taborem, pułkownicy milczeli — ale teraz lew był zwyciężony i zdeptytany, szczęście zdawało się go opuszczać, więc kłeska uzuchwalała starszyznę.

— Jaremie ne zderzysz — mruknął ponuro Stepka.

— Zgubisz nas i siebie! — ozwał się Mrozowski.

Hetman skoczył ku nim, jak tygrys.

— A kto splawił Żółte wody? kto Korsuń? kto Piławce?

— Ty! — rzekł szorstko Woronczenko — ale tam Wiśniowieckiego nie było.

Chmielnicki porwał się za czuprynę.

— Ja chanowi przyrzekł dziś nocleg w zamku! —  
wyl w rozpacz.

Na to Kulak:

— Co ty chanowi przyrzekał, to twoja głowa! Ty jej pilnuj, by ci z karku nie spadła... ale do szturm nas nie pchaj, rabów Bożych nie gub! Wałami Lachów otocz, szanice każ sypać pod puszki — inaczej hore tobi.

— Hore tobi! — powtórzyły ponure głosy.

— Hore wam! — odrzekł Chmielnicki...

I tak oni rozmawiali groźnie, jak grzmoty... Wreszcie Chmielnicki zatoczył się i rzucił na pęki owczych skór, pokrytych dywanami, w rogu namiotu.

Pułkownicy stali nad nim ze zwieszonymi głowami i długi czas trwało milczenie, nakoniec hetman podniósł głowę i zakrzyknął chrapliwie:

— Horyłki!...

— Nie będziesz pił! — warknął Wychowski. —  
Chan przysze po ciebie.

Tymczasem chan siedział o milę drogi od pola bitwy, nie wiedząc, co się na placu dzieje. Noc była spokojna i ciepła, więc siedział pod namiotem wśród mułłów i agów i w oczekiwaniu na nowiny, pożywał dak-

tylę ze srebrnej misy, obok stojącej, czasem zaś poglądał na wyiskrzzone niebo, mrużąc:

— Mahomet Rosullah..

Wtem, na spienionym koniu, przypadł zadyszany, okryty krwią, Subagazi; zeskoczył z siodła i zbliżywszy się szybko, począł bić pokłony, czekając na zapytanie.

— Mów! — rzekł chan ustami pełnemi daktyłów.

Subagaziemu słowa paliły płomieniem wargi, ale nie śmiał przemówić bez zwykłych tytułów, rozpoczął więc, bijąc ciągle czołem, w następujący sposób:

— Najpotężniejszy chanie wszystkich ord, wnuku Mahometa, samodzielny monarcho, panie mądry, panie szczęśliwy, panie drzewa zaleconego od wschodu do zachodu, panie drzewa kwitnącego...

Tu chan skinął ręką i przerwał. Widząc na twarzy Subagaziego krew, a w oczach ból, żal i rozpacz, wypluł niedojedzone daktyle na rękę, następnie oddał je jednemu z mullów, który przyjął je z oznakami czci nadzwyczajnej i zaraz spożywać począł — chan zaś rzekł:

— Mów prędko, Subagazi, i mądrze: azali obóz niewiernych wzięty?

— Bóg nie dał!

— Lachy?

— Zwycięzcy.

— Chmielnicki?

— Pobity.

— Tuhaj-bej?

— Ranny.

— Bóg jeden! — rzekł chan. — Ilu wiernych poszło do rajy?

Subagazi wznosił oczy w górę i wskazał krwawą ręką na wyiskrzzone niebo.

— Ile tych światel u stóp Allaha — odrzekł uroczyście.

Tłusta twarz chanowa poczerwieniała: gniew chwycił go za piersi.

— Gdzie ten pies — pytał — który mi obiecał, że dziś w zamku będziemy spali? Gdzie ten wąż jadowity, którego Bóg zdepcze moją nogą? Niech się stawi i zda sprawę ze swych obmierzłych obietnic.

Kilku murzów ruszyło natychmiast po Chmielnickiego, chan zaś uspokajał się zwolna, nakoniec rzekł:

— Bóg jeden!

Poczem zwrócił się do Subagaziego.

— Subagazi! — rzekł — krew jest na twojej twarzy.

— To krew niewiernych — odparł wojownik.

— Mów, jak ją rozlałeś i uciesz nasze uszy męstwem wiernych.

Tu Subagazi począł opowiadać obszernie o całej bitwie, wychwalając męstwo Tuhaj-beja, Galgi i Nura-dyna; nie zmilczał także i o Chmielnickim, owszem, wysławiał go na równi z innymi, wolę Bożą jedynie i wściekłość niewiernych za przyczynę klęski podając. Jeden szczególnie uderzył chana w jego opowiadaniu, mianowicie: że do Tatarów nie strzelano wcale z początku bitwy i że jazda książęca uderzyła na nich dopiero wtedy, gdy jej zastąpili pole.

— Allah! — nie chcieli ze mną wojny — rzekł chan — ale teraz za późno...

Tak było w istocie. Książę Jeremi z początku bitwy zabronił strzelać do Tatarów, chcąc wpoić w żoł-

nierzy przekonanie, że układy z chanem już rozpoczęte i że ordy pozornie tylko stają po stronie czerni. Później dopiero siłą rzeczy przyszło do spotkania i z Tatarami.

Chan kiwał głową, namyślając się w tej chwili, czyby jeszcze nie lepiej było zwrócić oręż przeciw Chmielnickiemu, gdy nagle sam hetman stanął przed nim. Chmielnicki był już spokojny i zbliżył się z podniesioną głową, śmiało patrząc w oczy chanowi; na twarzy malowała mu się chytrość i odwaga.

— Zbliź się, zdrajco — rzekł chan.

— Zbliża się hetman kozacki i nie zdrajca, ale wierny sojusznik, któremuś pomoc nietylko w szczęściu obiecał — odrzekł Chmielnicki.

— Idź, nocuj w zamku! idź, wyciągnij za leb Lachów z okopu, jakęś mi obiecywał!

— Wielki chanie wszystkich ord — odrzekł silnym głosem Chmielnicki. — Jesteś potężny i obok sultana najpotężniejszy na ziemi; jesteś mądry i silny, ale czy możesz wypuścić strzałę z łuku aż pod gwiazdy, albo zmierzyć głębokość morza?

Chan spojrział na niego ze zdziwieniem.

— Nie możesz — mówił coraz silniej Chmielnicki — tak i ja nie mogłem zmiarkować całej pychy i zuchwałstwa Jaremy! Zali mogłem pomyśleć, że nie ulęknie się ciebie chanie, że nie upokorzy się na twój widok, nie uderzy czołem przed tobą, ale wzniesie rękę zuchwałą na ciebie samego, przeleje krew twoich wojowników i będzie ci urągał, potężny monarcho, jak ostatniemu z twoich murzów? Gdybym ja tak śmiało myśleć — ciebiebym znieważyl, którego czczę i miluję.

— Allah! — rzekł chan, coraz bardziej zdziwiony.



— Lecz to ci powiem — mówił dalej Chmielnicki z coraz większą pewnością w głosie i postawie — jesteś wielki i potężny; od wschodu aż do zachodu narody i monarchowie biją ci czołem i lwem zowią. Jeden Jarema nie pada na twarz przed twoją brodą; więc jeżeli go nie zetrzesz, jeżeli karku mu nie ugniesz i po jego grzbiecie nie będziesz na koń siadał, za nic twoja potęga, za nic twoja sława, bo powiedzą, że jeden książka polski pohańbił krymskiego carza i kary nie odebrał — że on większy, że potężniejszy od ciebie...

Nastąpiło głucho milczenie; murzowie, agowie i mułowie patrzyli jak w słońce w twarz chana, tamując oddech w piersiach, a on oczy miał zamknięte i myślał...

Chmielnicki wsparł się buławą i czekał śmiało.

— Rzekłeś — przemówił w końcu chan — zegnę kark Jaremy, po jego grzbiecie na koń będę siadał, aby nie mówiono od wschodu do zachodu, że jeden pies niewierny mnie pohańbił.

— Bóg jest wielki! — zawołali jednym głosem murzowie.

Chmielnickiemu zaś radość strzeliła z oczu: za jedną drogą odwrócił zgubę wiszącą nad swą głową i sprzymierzeńca wątpliwego w najwierniejszego zmienił.

Ten lew umiał w każdej chwili w węża się przedzierać.

Oba obozy huczały do późna w noc, jak huczą pszczoły na wyroju, przygrzane słońcem wiosennym, a tymczasem na poboju spali snem nieprzebudzonym i wiecznym rycerze pobodzeni włóczniami, pocięci mieczem, poprzesywani przez strzały i kule. Książka zeszedł i rozpoczął wędrówkę po tem polu śmierci: więc odbijał się w kałużach skrzepłej krwi; wydobywał

z pomroki coraz nowe stosy poległych, schodził z jednych ciał, wchodził cicho na drugie, przeglądał się w otwartych, martwych źrenicach, oświecał sine twarze, szczątki potrzaskanej broni, trupy końskie — i promienie jego bladły coraz bardziej, jakby przerażone tem, co widziały. Po polu biegały gdzieniegdzie pojedynczo i gromadkami jakieś złowrogie postacie: to czeladź i ciury przysli obdzierać pobitych, jak szakale przychodzą po lwach... Lecz jakaś zabobonna bojaźń spędziła i ich w końcu z pobojo-wiska. Było coś straszliwego, coś tajemniczego w tem polu, pokrytem trupami, w tym spokoju i nieruchomości żywych niedawno kształtów ludzkich, w tej cichej zgodzie, w jakiej leżeli obok siebie Polacy, Turcy, Tatarzy i kozacy. Wiatr niekiedy zaszu-miał w zaroślach, rosnących na pobojo-wisku, a żołnierzom czuwającym w okopie wydało się, że to dusze ludzkie kołują tak nad ciałami. Jakoż i mówiono, że gdy północ wybiła w Zbarażu, na całym polu, od okopu aż do taboru, zerwały się z szumem jakoby niezmierne stada ptactwa. Słyszano jakieś rozplakane głosy powietrzne, jakieś ogromne westchnienia, od których włosy stawały na głowie — i jakieś jęki. Ci, co mieli leż jeszcze w tej walce i których uszy otwartzsze były naaziemskie wołania, słyszeli wyraźnie, jak dusze polskie, odlatując, wołały: „Przed oczy twoje, Panie, winy nasze składamy!” — a zaś kozackie jęczały: „Chryste! Chryste pomiluj!” — bo jako w bratobójczej wojnie poległe, nie mogły wprost do wiekuistej światłości ulecieć, ale przeznaczone im było lecieć gdzieś w dal ciemną i razem z wichrem krążyć nad padolem leż, i płakać i jęczeć po nocach, dopóki odpuszczenia wspólnych win,

i zapomnienia i zgody u nóg Chrystusowych nie wyżebrzą!...

Ale wówczas zatwardziły się jeszcze bardziej serca ludzkie i żaden anioł zgody nie przelatywał nad pobjowiskiem.

---

### ROZDZIAŁ III.

Nazajutrz, zanim słońce rozlało złote blaski na niebie, stanął już nowy wał ochronny w polskim obozie. Dawne wały były zbyt obszerne, trudno się było w nich bronić i przychodzić wzajem z pomocą, więc książę z panem Przyjemskim postanowili zamknąć wojska do ciśniejszych okopów. Pracowano nad tem gwałtownie całą noc, a busaryja na równi ze wszystkimi pułkami i czeladzią. Dopiero po trzeciej w nocy sen zamknął oczy utrudzonemu rycerstwu, ale też spali wszyscy, oprócz straży, kamiennem snem, bo i nieprzyjaciel pracował także w nocy, a następnie nie poruszał się długo po wczorajszej klęsce. Spodziewano się nawet, że szturm dnia tego wcale nie nastąpi.

Skrzetuski, pan Longinus i Zagłoba, siedząc w namiocie, spożywali polewkę piwną, gęsto okraszoną kostkami sera — i rozmawiali o trudach minionej nocy z tem zadowoleniem, z jakim żołnierze rozmawiają o świeżem zwycięstwie.

— Mój obyczaj jest kłaść się o wieczornym udoju, a wstawać o rannym, jak czynili starożytni — mówił pan Zagłoba — ale na wojnie trudno! Śpisz, kiedy możesz, wstajesz, kiedy cię budzą. To mnie jeno gniewa,

że dla takiego tałatajstwa musimy się inkomodować. Ale trudno, takie czasy! Zapłaciliśmy im też za to wczoraj. Żeby tak jeszcze z parę razy podobny poczęstunek dostali, odechciałoby się im nas budzić.

— Nie wiesz waćpan, czy siła naszych poległo? — pytał Podbiپیęta.

— I! niewielu; jak to zawsze bywa, że oblegających zawsze więcej ginie, niż oblężonych. Waćpan się na tem nie znasz tak, jak ja, boś tyle wojny nie zażywał, ale my starzy praktycy nie potrzebujemy trupa liczyć, bo z samej bitwy umiemy wymiarkować.

— Przyuczę się i ja przy waćpanach — rzekł ze słodyczą pan Longinus.

— Pewnie, że tak, jeżeli tylko dowcip waćpanu dopisze, czego się niebardzo spodziewam.

— Dajże waćpan spokój — ozwał się Skrzetuski. — Przecie nie pierwsza to wojna dla pana Podbiپیęty, a daj Boże najlepszym rycerzom tak stawać, jak on wczoraj.

— Robiło się, co mogło — odrzekł Litwin — nie tyle, ileby się chciało.

— Owszem! owszem! wcale nie źle waćpan stawałeś — mówił protekcyjonalnie Zagłoba — a że cię inni przewyższyli (tu począł węża podkręcać do góry), to nie twoja wina.

Litwin słuchał ze spuszczonei oczyma i westchnął, marząc o przodku Stowejce i o trzech głowach.

W tej chwili skrzydło namiotu uchyliło się i wszedł rażno pan Michał, wesoly jak szczygiel w pogodny ranek.

— No! tośmy w kupiel! — zawołał pan Zagłoba. — Dajcieże mu piwa!

Mały rycerz uściskał ręce trzem towarzyszom i rzekł:

— Żebyście waćpaństwo wiedzieli, ile kul leży na majdanie, to przechodzi imainacyą! Nie przejdiesz, żebyś się nie potknął.

— Widziałem i ja to — odrzekł Zagłoba — bom też wstawszy, przeszedł się kęs po obozie. Przez dwa lata, kury w całym powiecie lwowskim tyle jaj nie nioszą. Ej, żeby to tak były jaja, dopierobyśmy używali na jajecznicy. A trzeba waćpanom wiedzieć, że ja za miskę jajecznicy największy specyał oddam. Żołnierska we mnie natura, tak jak i w was. Zjem chętnie co dobrego, byle dużo. Dlatego też i do bitwy skorszy jestem od dzisiejszych młodzików, piecuchów, co to nieculki ulegałak nie zje, żeby się zaraz za żywot nie trzymał.

— No! aleś się waćpan wczoraj z Burlajem popisał — rzekł mały rycerz. — Burlaja tak ściąć — ho! ho! Nie spodziewałem się tego po waćpanu. Toż-to przecież był rycerz przesławny na całą Ukrainę i Turcczyznę.

— Co? ha! — rzekł z zadowoleniem Zagłoba — nie pierwszyczna mi to, nie pierwszyczna, panie Michale. — Widzę szukaliśmy się wszyscy w korcu maku, ale też i dobraliśmy się we czterech, tak, że takiej czwórki w całej Rzeczypospolitej nie znajdziesz. Dalibóg, z waćpanami i z księciem naszym na czele ruszyłbym samopięt, choćby na Stambuł. Bo uważcie tylko: pan Skrzetuski zabił Bardabuta, a wczoraj Tuhaj-beja.

— Tuhaj-bej nie zabit — przerwał porucznik — sam czulem, że mi się ostrze zwinęło, później też zaraz nas rozdzielili.

— Wszystko jedno — rzekł Zagłoba — nie prze-

rywaj, panie Janie. Pan Michał usiekl w Warszawie Bohuna, jakeśmy ci to mówili...

— Lepiejbyś waśc nie wspominał — rzekł Litwin.

— Co się wymówilo, to się wymówilo — odparł Zagłoba — choć wolałbym był nie wspominać, ale idę dalej; otóż pan Podbipięta z Myszykiszek zdusił owego Puljana, a ja Burlaja. Nie zamilczę wszelako waćpaństwu, że oddałbym tamtych wszystkich za jednego Burlaja i że pono najcięższą miałem robotę. Dyabel to był, nie kozak, co? Żebym tak miał synów, legitime natos, piękneby im imię zostawił. Ciekawym tylko, co Król Jegomość i sejmy na to powiedzą, jak nas nagrodzą, nas, którzy się siarką i saletrą więcej, niż czem innym żywimy.

— Był większy od nas wszystkich rycerz — rzekł pan Longinus — a nazwiska jego nikt nie wie i nie pamięta.

— A to ciekawym kto taki? chyba w starożytności? — rzekł urażony Zagłoba.

— Nie w starożytności, ale, bratenku, ten, który króla Gustawa Adolfa pod Trzcianną razem z koniem obalił i w jasyr wziął — rzekł Litwin.

— A ja słyszałem, że było to pod Puckiem — wtrącił pan Michał.

— Wszelako król mu się wyrwał i zbiegł — rzekł Skrzetuski.

— Tak jest! Wiem ja coś o tem — mówił, przy-  
mykając oko, pan Zagłoba — bom wtedy właśnie pod panem Koniecpolskim, ojcem chorążego, służył — wiem ja coś o tem! Modestya to nie pozwala onemu rycerzowi powiedzieć swego nazwiska i dlatego nikt go nie wie. Chociaż, wiercie w to, co powiem: Gustaw Adolf

wielkim był wojownikiem, prawie panu Koniecpolskiemu równym, ale w pojedynczem spotkaniu z Burlajem cięższa była robota — ja wam to mówię!

— To niby znaczy, żeś to waćpan powalił Gustawa Adolfa? — pytał Wołodyjowski.

— Albożem ci się pochwalił, panie Michale? — niech tam to już zostanie w niepamięci — mam ja się z czem i dziś pochwalić, co będę dawne czasy wspominał! Strasznie to piwsko burczy w żywocie — a im więcej w niem sera, tem więcej burczy. Wolę winną polewkę — choć chwala Bogu i za to, co jest, bo wkrótce może i tego nie starczy. Ksiądz Żabkowski mnie mówił, że ponoś wiwendy skąpo, a on się tem bardzo niepokoi, bo ma brzuch jak gumno. Setny to Bernardyn! okrutniem go polubił. Więcej w nim żołnierza, niż mnicha. Kiedyby kogo w pysk trzasnął, to choć zaraz trumnę zamawiaj.

— Ale! — rzekł mały rycerz — nie mówiłem też waćpaństwu, jak grzecznie poczynął sobie tej nocy ksiądz Jaskólski. Usadowił się w onym narożniku, w tej srogiej wieży, po prawej stronie zamku — i patrzył na bitwę. A trzeba wiedzieć, że on okrutnie z guldynki strzela. Powiada tedy do Żabkowskiego: nie będę do kozaków strzelał, bo zawszeć to chrześcijanie, choć Bogu dyzgusta czynią, ale do Tatarów (powiada) nie wytrzymam! — i jak jał dmuchać, tak ich podobno coś z pół kopy przez całą bitwę popsował.

— Żeby to wszystko duchowieństwo było takie! — westchnął Zagłoba — ale nasz Muchowiecki, to jeno ręce ku niebu wznosi a płacze, że się tyle krwi chrześcijańskiej leje.

— Daj waść pokój — rzekł poważnie Skrzetuski. —



Ksiądz Muchowiecki święty ksiądz, i w tem masz najlepszy dowód, że choć on nie starszy od tamtych dwóch, przecie głowy przed jego zacnością schylają.

— Nietylko ja też nie neguję jego świętobliwości — odparł Zagłoba — ale myślę, że i samego chana potrafilby nawrócić. Oj, mości panowie! musi się tam jego chańska mość sierznić, aż wszy na nim koziolki ze strachu przewracają. Jeżeli przyjdzie z nim do układów, pojedę i ja z komisarzami. Znamy się z dawna i niegdyś wielce mnie miłował. Może też sobie przypomni.

— Do układów Janickiego pewnie wybiorą, bo on po tatarsku, tak jak po polsku mówi — rzekł Skrzetuski.

— I ja tak samo, a z murzami znamy się, jak tyse konie. Córki mi swoje chcieli w Krymie oddawać, żeby się potomstwa pięknego doczekać, a żem to był młody i paktów konwentów nie zawierałem ze swoją niewinnością, jako jmc Podbipięta z Myszykiszek, więcem tam siła figłów napłatał.

— Słuchać hadko! — rzekł pan Longinus, spuszczać oczy.

— A waćpan to jako szpak wyuczony jedno w kółko powtarzasz. Widać, że boćwinkowie mowy ludzkiej dobrze jeszcze nie umieją.

Dalszy ciąg rozmowy przerwał gwar wychodzący z zewnątrz namiotu — więc rycerze wyszli zobaczyć, co się dzieje. Mnóstwo żołnierzy stało na okopie, spoglądając na okolicę, która w ciągu nocy zmieniła się znacznie i jeszcze w oczach się zmieniała. Kozacy również nie próżnowali od czasu ostatniego szturm, ale sypali szanice, zaciągali na nie działa, tak długie i donośne, jakich nie było w polskim obozie, porozpoczynali poprzeczne, wężowato idące fosy, aprosze; z daleka wy-

dawały się te nasypy, jak tysiące olbrzymich kretowisk. Cała pochyła równina była niemi pokryta, świeżo skopana ziemia czerniła się wszędzie między zielonością — i wszędy mrowiło się od pracującego ludu. Na pierwszych wałach migotały także krasne czapki mołojców.

Książę stał na okopie w towarzystwie starosty krasnostawskiego i pana Przyjemskiego. Poniżej kasztelan belzki poglądał przez perspektywę na roboty kozackie i mówił do podczaszego koronnego:

— Nieprzyjaciół rozpoczyna regularne oblężenie. Widzę, że trzeba nam będzie obrony w okopie ponieważ i do zamku się przenieść.

Usłyszał te słowa książę Jeremi i rzekł, pochylając się z góry ku kasztelanowi:

— Niechże nas Bóg od tego broni, bo dobrowolnie jakoby w potrzask byśmy wleźli. Tu nam żyć, albo umierać.

— Takie i moje zdanie, choćbym miał codzień jednego Burlaja zabić — wtrącił pan Zagłoba. — Protestuję imieniem całego wojska przeciw zdaniu jw. kasztelana belzkiego.

— To do wasci nie należy! — rzekł książę.

— Cicho waść! — szepnął Wołodyjowski, ciągnąc szlachcica za rękaw.

— Wygnieciemy ich w tych zakrywkach, jako krety — mówił Zagłoba — a ja waszą książęcą mość proszę, aby mnie pierwszemu pozwolił iść z wycieczką. Znają oni mnie już dobrze, poznają jeszcze lepiej.

— Z wycieczką — rzekł książę i zmarszczył brwi — czekajno waść... noce z wieczora bywają ciemne...

Tu zwrócił się do starosty krasnostawskiego, do pana Przyjemskiego i do regimentarza.

— Proszę W. M. panów na radę — rzekł.

I zstąpił z okopu, a za nim udała się i cała starszyzna.

— Na miłość Boską, co waćpan czynisz? — mówił Wołodyjowski do Zagłoby — cóż to? służby i dyscypliny nie znasz, że do rozmowy starszych się mieszasz? Książę łaskawy pan, ale w czasie wojny niema z nim żartów.

— Nic to, panie Michale! — odrzekł Zagłoba. — Pan Koniecpolski ojciec srogi był lew, a na moich radach siła polegał i niech mnie dziś wilcy zjedzą, jeżeli nie dlatego po dwakroć pogromił Gustawa Adolfa. Umiem ja z panami gadać! Albo i teraz! — zauważyłeś jak książę obstupuit, gdym mu wycieczkę doradził. — Jeżeli Bóg da wiktoryą, czyja będzie zasługa — co? — twoja?

W tej chwili zbliżył się Zaćwilichowski.

— A co? ryją! ryją, jak świnię! — rzekł, ukazując na pole.

— Wolalbym, żeby to były świnię — odpowiedział Zagłoba — bo kielbasyby nam tanio wypadły, a ich padło i dla psów się nie przygodzi. Dziś już musieli żołnierze kopać studnie w kwaterach pana Firleja, gdyż we wschodnim stawie od trupów wody nie znać. Nad ranem żółć w psubratach popekała i wszyscy spłynęli. Jak przyjdzie piątek, nie będzie można ryb jeść, bo mięsem karmione.

— Prawda jest — rzecze Zaćwilichowski; — starym żołnierz, a tyle trupa dawnom nie widział, chyba pod Chocimem przy szturmach janczarskich na nasz obóz.

— Zobaczysz go waszmość jeszcze więcej — ja to waszmości mówię!

— Myślę, że dziś wieczorem, albo jeszcze i przed wieczorem, znowu do szturmują ruszą.

— A ja powiadam, że do jutra zostawią nas w pokoju.

Ledwie pan Zagłoba skończył mówić, gdy na szan-  
cach wykwitły długie białe dymy i kule z szumem prze-  
leciały nad okopem.

— Masz waść! — rzekł Zaćwilichowski.

— Ba! sztuki wojennej nie znają! — odparł Za-  
głoba.

Stary Zaćwilichowski miał jednak słuszną. Chmiel-  
nicki rozpoczął regularne oblężenie, poprzecinał wszyst-  
kie drogi, wyjścia, odjął paszę, sypał aprosze i szan-  
ce, podkopywał się wężownicami pod obóz, ale szturmów  
nie poniechał. Postanowił on nie dać spokoju oblężo-  
nym, nużyć ich, straszyć, trzymać w ustawicznej bez-  
senności i nękać dopóty, dopóki broń nie wypadnie z ich  
rąk zeszywniały. Więc wieczorem znowu uderzył na  
kwatery Wiśniowieckiego, z nielepszym jak poprzedniego  
dnia skutkiem, tembardziej, że i mołojcy nie szli już  
z taką ochotą. Następnego dnia ogień nie ustawał ani  
na chwilę. Wężownice tak już były blizkie, że i ręczna  
strzelba donosiła do wałów; przykrywki ziemne dymyły,  
jak małe wulkany, od rana do wieczora. Nie była to  
walna bitwa, ale nieustająca strzelanina. Oblężeni wy-  
padali niekiedy z wałów, a wówczas przychodziło do  
szabel, cepów, kos i włóczni. Ale zaledwie wybito je-  
dnych mołojców, natychmiast przykrywki napelniały się  
nowym ludem. Żołnierz przez cały dzień nie miał ani  
chwili odpoczynku, a gdy nadszedł upragniony zachód  
słońca, rozpoczął się nowy szturm generalny — o wy-  
cieczce nie było co i myśleć.

W nocy, 16 lipca, uderzyli dwaj dzielni pułkownicy, Hładki i Nebaba, na kwatery książęce i ponieśli znów straszną klęskę. Trzy tysiące najdzielniejszych mołojców legło na placu — reszta, goniona przez starostę krasnostawskiego, uciekła w największym popłochu do taboru, rzucając broń i rogi z prochem. Również niefortunny koniec spotkał i Fedoreńka, który, korzystając z gęstej mgły, o mało na świtaniu nie wziął miasta. Odparł go pan Korf, na czele Niemców, a pan starosta krasnostawski i pan chorąży Koniecpolski wybili prawie do szczętu w ucieczce.

Lecz nic to było wszystko w porównaniu z okropną nawałą, jaka dnia 19 lipca rozpętała się nad okopem. Uprzedniej nocy wysypali kozacy naprzeciw kwater Wiśniowieckiego wysoki wał, z którego armaty wielkiego kalibru ziały nieustannym ogniem, zaś gdy dzień minął i pierwsze gwiazdy zabłysły na niebie, dziesiątki tysięcy ludzi ruszyły do ataku. Jednocześnie w dali ukazało się kilkadziesiąt straszliwych machin, podobnych do wież, które toczyły się zwolna ku okopowi. Po bokach ich wznosiły się, na kształt potwornych skrzydeł, mosty, które przez fosy miano przerzucać — a szczyty dymiły, świeciły i huczały wystrzałami lekkich działek, rusznic i samopalów. Szły te wieże między mrowiem głów, jakby olbrzymi pułkownicy — to czerwieniąc się w ogniu armat, to niknąc w dymie i ciemności. Żołnierze ukazywali je sobie z daleka, szepcząc:

— To hulaj-horodyny! Nas-to Chmielnicki będzie mełł w tych wiatrakach.

— Patrzcie, jak się toczą z hukiem, rzekłbyś: grzmoty!

— Z armat do nich! z armat! — wołali inni.

Jakoż puszkarze książęcy posyłali kulę za kulą, granat za granatem ku straszliwym machinom, ale że widać je było wówczas tylko, gdy wystrzały rozdarły ciemność, więc kule miały je najczęściej.

Tymczasem zbita masa kozactwa napływała coraz bliżej, jak czarna fala, płynąca nocą z dalekiej morskiej przestrzeni.

— Uf! — mówił pan Zagłoba, stojąc wraz z jazdą przy Skrzetuskim — gorąco mi jak nigdy w życiu! Noc taka parna, że suchej nitki na mnie niema. Dyabli nadali te maszyny! Sprawże Boże, żeby się ziemia pod nimi rozstąpiła, bo już mi kością w gardle stoją te lajdaki — amen! Ni zjeść, ni się wyspać — psi w lepszych kondycjach od nas żyją! Uf! jak parno!

Rzeczywiście powietrze było ciężkie i parne, a do tego przesycone wyziewami trupów, gnijących od kilku dni na całym pobojowisku. Niebo przesłoniło się czarną i niską oponą chmur. Burza wisiała nad Zbarażem. Żołnierzom pod zbrojami pot oblewał ciało, a piersi oddychały z wysileniem.

W tej chwili bębny poczęły warczeć w ciemnościach.

— Już zaraz uderzą! — rzekł Skrzetuski. — Słyszysz waść? — bębnią.

— Słyszę. Żeby w nich dyabli bębni! Czysta desperacya!

— Koli! koli! — zawrzały tłumy, rzucając się ku okopom.

Bitwa zawrzała na całej długości okopu. Uderzono jednocześnie na Wiśniowieckiego, na Lanckorońskiego, na Firleja i Ostroroga, aby jeden drugiemu nie mógł przychodzić z pomocą. Kozactwo, spojone gorzalką, szło jeszcze zacieklej, niż w czasie poprzednich szturmów, ale

tem dzielniejszy napotykało opór. Duch bohaterski wo-  
dza ożywia! żołnierzy; groźne piechoty kwarciane, zło-  
żone z chłopów mazurskich, zbiły się tak z kozactwem,  
że pomieszały się z niem zupełnie. Walczono tam na  
kolby, pięści i zęby. Pod razami zawziętych mazurów  
legło kilkuset najpyszniejszej piechoty zaporoskiej, ale  
wnet nowe tłumy zalały ich zupełnie. Bitwa na całej  
linii stawała się coraz zażartszą. Rury muszkietów pa-  
liły ręce żołnierzy, tchu im brakło, starszyźnie głos zamarł  
w gardzieli od wrzasków komendy. Starosta krasnostaw-  
ski i Skrzetuski wypadli znów z jazdą i zajeżdżali z boku  
kozaków, trając całe pułki i pławiąc się we krwi.

Godzina upływała za godziną i szturm nie usta-  
wał, bo straszliwe luki w szeregach kozackich Chmiel-  
nicki w jednym mgnieniu oka zapelniał nowemi siłami.  
Tatarzy dopomagali wrzaskiem, puszczając zarazem  
chmury strzał na broniących się żołnierzy; niektórzy  
stojąc w tyle czerni, zaganiali ją do szturm batami  
z byczego surowca. Wściekłość walczyła z wściekłością,  
piers uderzała o pierś — mąż wiązał się w uścisku  
śmiertelnym z mężem...

I tak walczyli jak walczą rozhukane fale morskie  
z wyspą skalistą.

Nagle ziemia zatrzęsła się pod nogami wojowni-  
ków, a całe niebo stanęło w sinym ogniu, jakoby już  
Bóg nie mógł dłużej patrzeć na okropności ludzkie. Ło-  
skot straszliwy zgłuszył wrzaski ludzkie i huk armat.  
To artylerya niebieska rozpoczęła teraz straszliwą ka-  
nonadę. Grzmoty roztaczały się od wschodu na zachód.  
Zdawało się, że to niebo wraz z chmurami pękło i wali  
się na głowy walczących. Chwilami świat cały wyglądał  
jak jeden płomień, chwilami ślepo wszystko od ciemno-

ści i znów czerwone zygzaki gromów rozdierały czarną oponę. Wicher uderzył raz i drugi, zerwał tysiące czapek, proporców, chorągwi i rozmiótł je w mgnieniu oka po poboju. Pioruny poczęły walić jeden za drugim — potem nastąpił chaos grzmotów, błyskawic, wichru, ognia i ciemności — niebo się wściekło, jak ludzie.

Niepamiętna burza rozszalała się nad miastem, zamkiem, okopami i taborem. Bitwa została przerwana. Nakoniec upusty niebieskie rozwarły się i nie strugi, ale potoki dżdżu poczęły lać na ziemię. Fala przysłoniła świat; o krok naprzód nie było nic widać. Trupy w fosie spływały. Pułki kozackie, porzuciwszy szturm, biegły jedne za drugimi ku taborowi, szły na oślep, spotykały się ze sobą, i sądząc, że to nieprzyjaciel je goni, rozpraszały się w ciemności; za niemi, topiąc się i przewracając, umykały armaty, amunicye, wozy. Woda porozrywała roboty ziemne kozackie, szumiała w rowach i węzownicach, wciskała się w nakrywki ziemne, lubo ubezpieczono je rowami, i biegła z szumem po równinie, jakby goniąc uciekających mołojców.

Deszcz walił coraz większy. Piechoty w okopie umknęły z wałów, szukając pod namiotami schronienia, tylko dla jazdy starosty krasnostawskiego i Skrzetuskiego nie przychodził rozkaz odwrotu. Stali więc jeden przy drugim jakoby w jeziorze, strząsając z siebie wodę. Tymczasem burza poczęła zwolna przechodzić. Po północy deszcz wreszcie ustał. Między przerwami chmur tu i owdzie zabłysły gwiazdy. Uplynęła jeszcze godzina — i woda trochę spadła. Wówczas przed chorągwią Skrzetuskiego ukazał się niespodzianie sam książę.

— Mości panowie — spytał — a ładownice wam nie zmokły?



— Suche, mości książę! — odpowiedział Skrzetuski.

— To dobrze! zsiąść mi z koni, ruszyć przez wodę ku onym belluardom, podsypać je prochem i zapalić. A cicho mi iść! Pan starosta krasnostawski pójdzie z wami.

— Według rozkazu! — odpowiedział Skrzetuski.

Wtem książę dojrzał mokrego pana Zagłobę.

— Waść się prosileś na wycieczkę — ruszajże teraz — rzekł.

— Masz dyable kubrak! — mruknął pan Zagłoba. — Tego jeszcze brakowało!

W pół godziny potem dwa oddziały rycerzy, po dwieście pięćdziesiąt ludzi, brodząc po pas w wodzie, biegły z szablami w ręku ku owym straszliwym „hulajhorodynom“ kozackim, stojącym o pół staja od okopu. Jeden oddział wiódł „lew nad lwy“, pan starosta krasnostawski, Marek Sobieski, który ani chciał słyszeć o pozostaniu w okopie — drugi Skrzetuski. Czeladź niosła za rycerzami maźnice ze smołą, suche pochodnie i prochy, a oni szli cicho, jak wilcy skradający się ciemną nocą ku owczarni.

Mały rycerz przyłączył się na ochotnika do Skrzetuskiego, bo kochał pan Michał takie wyprawy nad życie — dreptał więc teraz po wodzie, mając radość w sercu, a szablę w dłoni; obok postępował pan Podbipięta z gołym zerwikapturem, widny między wszystkimi, bo o dwie głowy od najwyższych wyższy; a między nimi nadażał, sapiąc, pan Zagłoba i mruczał z nieukontentowaniem, przedrzeźniając słowa książęce:

— Chciało ci się wycieczki — ruszaj teraz. Dobrze! Psuby się nie chciało iść na wesele przez taką wodę. Jeżeli doradzał wycieczkę w taki czas, to niech nigdy w życiu nic prócz wody nie piję. Ja nie kaczką,

a mój brzuch nie czólno. Zawsze miałem abominacją do wody, a cóż dopiero do takiej, w której chłopska padlina moknie...

— Cicho waść! — rzekł pan Michał.

— Waść sam cicho! Nie większyś od kielbia i umiesz pływać, to ci łatwo. Powiem nawet, że niewdzięcznie ze strony księcia, żeby mi jeszcze po zabiciu Burlaja nie dać spokoju. Dość już Zagłoba zrobił, niech jeno każdy tyle robi, a Zagłobie dajcie spokój, bo pięknie będziecie wyglądali, jak go nie stanie. Na Boga! jeżeli wpadnę w jaką dziurę, wyciągnijcież mnie waćpanowie za uszy, bo się zaraz zaleję.

— Cicho waść! — rzekł Skrzetuski. — Kozacy tam siedzą w tych ziemnych zakrywach, jeszcze cię usłyszą.

— Gdzie? co waćpan gadasz?

— A tam, w onych kopcach, pod darnią.

— Tego jeszcze brakowało. Niechże to jasne piorny zatrzasną!

Resztę słów stłumił pan Michał, położywszy Zagłobie dłoń na ustach, bo zakrywki były już ledwie o pięćdziesiąt kroków odległe. Szli wprawdzie cicho rycerze, ale woda chlupotała im pod nogami; szczęściem deszcz znowu zaczął padać i szum jego głużył stąpania.

Straży przy nakrywkach nie było. Któż bowiem spodziewałby się wycieczki po szturmie i po takiej burzy, która jakby jeziorem rozdzieliła walczących.

Pan Michał z panem Longinem skoczyli naprzód i pierwsi doszli do kopca. Mały rycerz puścił szablę na sznurek, złożył dłonie do ust i począł wołać:

— Hej, ludy!

— A szczo? — ozwały się ze środka głosy mołoj-

ców, widocznie przekonanych, że to ktoś od taborów kozackich przychodzi.

— Sława Bohu! — odrzekł Wołodyjowski — a puścieno!

— A to nie wiesz jak wejść?

— Wiem już — odrzekł Wołodyjowski — i zmacawszy wejście, skoczył do środka; pan Longinus z kilku innymi runął za nim.

W tej chwili wewnątrz pokrywki zabrzmiało przeraźliwym wyciem ludzkim — jednocześnie rycerstwo, wydawszy okrzyk, rzuciło się ku innym kopcom. W ciemności rozległy się jęki, szcęk żelaza, gdzieś tam przebiegały jakieś ciemne postacie, inne padały na ziemię, czasem huknął wystrzał — ale wszystko razem nie trwało dłużej, jak kwadrans. Mołojcy, zaskoczeni po największej części w śnie głębokim, nie bronili się nawet — i wygnieciono ich wszystkich, zanim zdolali za broń chwycić.

— Do hulaj-grodów! do hulaj-grodów! — rozległ się głos starosty krasnostawskiego.

Rycerstwo rzuciło się ku wieżom.

— Palić od środka, bo z wierzchu mokre! — zagrzemiał Skrzetuski.

Ale rozkaz nie łatwy był do wykonania. W wieżach budowanych z bierwion sosnowych nie było ani drzwi, ani żadnego otworu. Strzelcy kozaccy wchodzili na nie po drabinach, działa zaś, ponieważ mogły się mieścić tylko mniejsze, wciągano na powrozach. Rycerze biegali więc czas jakiś naokoło, próżno siekąc szablami belki, lub szarpiąc rękoma ze węgły.

Na szczęście czeladź miała siekiery; poczęto rąbać. Starosta krasnostawski kazał też podkładać puszki z pro-

chem, umyślnie na ten cel przygotowane. Pozapalano maźnice ze smołą, jak również pochodnie — i płomień począł lizać mokre, lecz przesiąknięte żywicą berwiona.

Zanim jednakże zajęły się berwiona, zanim prochy wybuchły, pan Longinus schylił się i podniósł ogromny głaz, wydobyty z ziemi przez kozaków.

Czterech najtęższych z ludu mocarzy nie ruszyłoby go z miejsca, lecz on kołysał nim w potężnych rękach i tylko przy świetle maźnic widać było, że krew wystąpiła mu na twarz. Rycerze oniemieli z podziwu.

— To Herkules! niechże go kule biją! — wołali, wznosząc ręce do góry.

Tymczasem pan Longinus zbliżył się do niepodpalonej jeszcze belluardy, przechylił się w tył i puścił kamień w sam środek ściany.

Obecni aż pochylili głowy, tak głaz huczał. Pękły od ciosu zaraz spojenia; rozległ się trzask, wieża rozwarła się jak złamane podwoje i runęła z loskotem.

Stos drzewa polano smołą i podpalono w jednej chwili.

Po niejakiem czasie kilkadziesiąt olbrzymich płomieni oświeciło całą równinę. Deszcz padał ciągle, ale ogień przemógł go — i „paliły się te belluardy, z podziwem obu wojsk, jako że w dzień tak mokry“.

Skoczyli na pomoc z kozackiego taboru Stepka, Kulak i Mrozowicki, każdy na czele kilku tysięcy mołojców, i próbowali gasić — próżno! Słupy ognia i czerwonego dymu strzelały coraz potężniej ku niebu, odbijając się w jeziorach i kałużach, których burza naczyniła na pobojuwisku.

Tymczasem rycerze wracali w ściśniętych szeregach.

do okopu, gdzie z daleka już witano ich radosnymi okrzykami.

Nagle Skrzetuski obejrzał się naokoło, rzucił okiem w głąb szeregu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Stój!

Pana Longina i małego rycerza nie było między wracającymi.

Widocznie, uniesieni zapalem, zbyt długo zabawili się przy ostatniej belluardzie, a może odnaleźli gdzie zatajonych jeszcze mołojców, dość, iż widocznie nie spostrzegli odwrotu.

— Naprzód! — skomenderował Skrzetuski.

Starosta krasnostawski, idąc na drugim końcu szeregu, nie rozumiał co zaszło i biegł pytać — gdy w tejże chwili obaj pożądanicy rycerze ukazali się jakby z pod ziemi wyrosli, na pół drogi między belluardami a rycerstwem.

Pan Longinus z błyszczącym zerwikapturem w rękę stąpał olbrzymimi krokami, a przy nim biegł kłusem pan Michał. Obaj głowy mieli zwrócone ku goniącym ich, na kształt zgrai psów, mołojcom.

Przy czerwonej łunie pożaru widać było całą goniwą doskonale. Rzekłbyś: olbrzymia losza uchodzi przed gromadą strzelców ze swoim małym, gotowa w każdej chwili rzucić się na napastników.

— Zginą! na miłosierdzie Boskie prędzej! — krzyczał rozdzierającym głosem pan Zagłoba — ustrzelą ich z łuków, albo z piszczeli! Na rany Chrystusa, prędzej!

I nie bacząc na to, że nowa bitwa może się za chwilę zawiązać, leciał z szablą w rękę razem ze Skrzetuskim i innymi na pomoc, utykał, przewracał się, pod-

nosił, sapał, krzyczał, trząsał się cały i gnał resztkami nóg i tchu.

Jednakże mołojcy nie strzelali, bo samopały zamokły, a cięciwy luków rozmiękły — więc nacierali jeno coraz bliżej. Kilkunastu ich wysforowało się naprzód i już, już mieli dobiedz, ale wówczas obaj rycerze zwrócili się ku nim, jak odyńce, i wydawszy krzyk okropny, wzniesli szable do góry. Kozacy stanęli w miejscu.

Pan Longinus ze swym olbrzymim mieczem wydawał im się jakąś nadprzyrodzoną istotą.

I jako dwa bure wilki, zbyt napierane przez ogary odwróca się i błysną białymi kłami, a psiarnia, skomląc zdala, nie śmie się na nie rzucić, tak i oni odwracali się po kilkakroć i za każdym razem biegnący na przedzie stawali na miejscu. Raz tylko puścił się ku nim jeden, widocznie śmielszej natury, z kosą w rękę, ale pan Michał skoczył jak żbik ku niemu i ukąsił go na śmierć. Reszta czekała na innych, którzy nadchodzili biegiem, gęstą lawą.

Lecz i szereg rycerzy był coraz bliższy, a pan Zagłoba leciał z szablą nad głową, krzycząc nieludzkim głosem:

— Bij! morduj!

Wtem huknęło z okopów i granat, chychocząc jak puszczyk, zakreślił czerwony luk na niebie i upadł w ściśniętą lawicę; za nim drugi, trzeci, dziesiąty. Zdawało się, że bitwa rozpoczyna się na nowo.

Kozakom, aż do oblężenia Zbaraża, nieznanne były tego rodzaju pociski i po trzeźwemu bali się ich najwięcej, widząc w nich czary „Jaremy“ — więc lawica wstrzymała się w jednej chwili, potem pękła na dwoje,

a razem pękły i granaty, roznosząc postrach, śmierć i zniszczenie.

— Spasajtes! spasajtes! — rozległy się przerażone głosy.

I pierzchło wszystko, a tymczasem pan Longinus i mały rycerz wpadli w zbawczy szereg husarzy.

Zagłoba rzucał się to jednemu, to drugiemu na szyję, całował ich po policzkach i oczach. Radość dławila go, a on ją tłumił, nie chcąc miękkiego serca okazać — i wołał:

— Ha, skurczybyki! Nie powiem żebym was miłował, ale się o was bałem! Bodaj was byli usiekli! Tak to służbę znacie, że na tyłach zostajecie? Wartoby was końmi po majdanie za nogi powlec! Pierwszy powiem księciu, by wam poenam obmyślił. Chodźmy teraz spać. Chwała Bogu i za to! Szczęście tych psubratów, że przed granatami uciekli, bo byłbym ich naszatkował jak kapusty. Wolę się bić, niż patrzeć spokojnie, jak znajomi giną. Musimy dzisiaj podpić! Chwała Bogu i za to! Już myślałem, że requiem jutro zaśpiewamy. Ale żałuję, że spotkania nie było, bo mnie ręka okrutnie świerzbi, choć w nakrywkach dałem im bobu z cebulą.

---

## ROZDZIAŁ IV.

Jednakże znowu wypadło zatoczyć nowe wały i ująć obozu, aby udaremnić wykonane już prace ziemne kozackie i uszczuplonym siłom ułatwić obronę. Kopano tedy po szturmie całą noc. Zaczem kozacy nie próżnowali także. Podszedłszy cicho ciemnej nocy z wtorku na środek, rzucili naokoło obozu drugi wał, wiele wyższy. Stąd na zorzy, ozwawszy się wszyscy głosem, poczęli zaraz strzelać i całe cztery dni i cztery noce strzelali. Czyniono sobie wzajem wiele szkód, albowiem z obu stron najlepsi strzelcy szli w zawody.

Od czasu do czasu zrywały się masy kozactwa i czerni do szturmów, ale nie dochodziły do wałów, tylko strzelanina stawała się coraz gorętszą. Nieprzyjaciel, mając potężne siły, zmieniał walczące oddziały, prowadząc jedne na spoczynek, drugie do boju. Ale w obozie nie było żołnierza do zastępstwa: jedni i ci sami ludzie musieli strzelać, zrywać się co chwila do obrony pod groźbą szturmów, grzebać zabitych, kopać studnie i podsypywać wyżej wały, aby lepszą dawały zasłonę. Sypiano a raczej drzemano u wałów, wśród ognia i kul lecących tak gęsto, że każdego ranka można je było zmiatać bezpiecznie z majdanu. Przez cztery dni nikt nie zrzucił



z siebie odzieży, która mokła na deszczu, schła na słońcu, paliła w dzień, ziębiła w nocy — przez cztery dni nikt nie miał w ustach nic ciepłego. Pito gorzałkę, domieszując do niej prochu dla większej tęgości, gryziono suchary i rwano zębami wyschłe wędzone mięsiwo, a wszystko wśród dymu, wystrzałów, świstu kul i huku armat.

I „nic to było wziąć po łbie, albo po boku“. Żołnierz obwiązywał brudną szmatą krwawy łeb i bił się dalej. Dziwni to byli ludzie: w podartych koletach i zardzewiałych zbrojach, z potrzaskanymi rusznicami w rękę, z czerwonymi od bezsenności oczyma, a wiecznie czujni, zawsze ochoczy, dzień czy noc, deszcz czy pogoda, zawsze gotowi do boju.

Żołnierz rozkochał się w swym wodzu, w niebezpieczeństwach, w szturmach, w ranach i śmierci. Jakaś egzaltacja bohatera ogarnęła dusze, serca stały się harde, umysły „zatwardziły się“. Okropność stała się dla nich rozkoszą. Rozmaite chorągwie prześcigały się wzajem w służbie, w wytrwałości na głód, bezsenność, pracę, w męstwie i zaciekłości. Przyszło do tego, że trudno było żołnierzom utrzymać na wałach, bo nie poprzestając na obronie, darli się do nieprzyjaciela. Jak rozwścieczeni z głodu wilcy do owczarni. We wszystkich pułkach panowała jakaś dzika wesołość. Ktoby wspomniał o poddaniu, rozerwanoby go w mgnieniu oka na sztuki. „Tu umierać chcemy!“ powtarzały wszystkie usta.

Każdy rozkaz wodza spełniano z błyskawiczną szybkością. Raz zdarzyło się, iż księżę przy objeździe wieczornym wałów, dosłyszawszy, że ogień chorągwi kwar-

cianej imienia Leszczyńskich słabnie, przyjechał przed żołnierzy i spytał:

— A czemu to nie strzelacie?

— Prochy nam wyszły — posłaliśmy na zamek po nowe.

— Tam macie bliżej! — rzekł książę, ukazując na szańce nieprzyjaciela.

Zaledwie skończył, gdy cała chorągiew skoczyła z wałów, rzuciła się biegiem ku nieprzyjacielowi i wpadła jak orkan, na szańce. Wybito kozaków ośnikami, dragami, kolbami muszkietów, zagwoźdżono cztery działa i po upływie pół godziny, żołnierze zdziesiątkowani, ale zwycięscy, wrócili ze znacznym zapasem prochu w beczułkach i rogach myśliwskich.

Dzień upływał za dniem. Aprosze kozackie coraz ciaśniejszym pierścieniem obejmowały okop i wpierały się weń, jak kliny w drzewo. Strzelano już z tak bliska, że nie licząc szturmów, dziesięciu ludzi z pod każdej chorągwi padało dziennie; książęta nie mogli dochodzić z Sakramentami. Oblężeni zasłaniali się wozami, namiotami, skórą, rozwieszoną odzieżą; w nocy chowano zabitych, gdzie który leżał, ale żywi bili się tem zacięcej na mogiłach wczorajszych towarzyszków. Chmielnicki szafował krwią swych ludzi bez miary, ale każdy szturm, nowe tylko, coraz większe przynosił mu w zysku straty. Sam on był zdumiony oporem; liczył jeno na to, że czas zwątli serca i siły oblężonych — jakoż czas płynął, ale oni coraz większą okazywali pogardę śmierci.

Wodzowie dawali przykład żołnierzom. Książę Jeremi sypiał na gołej ziemi u wału; pił gorzałkę i jadł wędzone końskie mięso, cierpiąc trudy i zmiany pogody, „nad pański swój stan“. Chorąży koronny Koniecpolski

i starosta krasnostawski osobiście wiedli pułki na wybieczki; w czasie szturmów stawali bez zbroi w najgęstszym gradzie kul. Nawet ci wodze, którym jak Ostrogowi brakło wojennego doświadczenia i na których żołnierz nauczył się patrzeć bez ufności, teraz pod ręką Jeremiego zdawali się w innych zmieniać ludzi. Stary Firlej i Lanckoroński sypiali również u wałów, a pan Przyjemski w dzień ustawiał działa, w nocy ryl pod ziemią jak kret, kopiąc pod kozackimi minami kontrminy, wysadzając aprosze, lub otwierając drogi podziemne, któremi żołnierze dostawali się jak duchy śmierci między uspione kozactwo.

Nakoniec Chmielnicki postanowił spróbować układów, mając tę myśl uboczną, że przez ten czas podstępem będzie mógł czegoś dokonać. Pod wieczór 24 lipca poczęli kozacy wołać z szańców na żołnierzy, aby zaprzestali strzelać. Wysłany zaporoziec oznajmił, iż hetman życzy sobie widzieć starego Zaćwilichowskiego. Po krótkiej naradzie regimentarze zgodzili się na propozycją i starzec wyjechał z okopu.

Zdala widziało rycerstwo, jak mu czapkowano w szańcach kozackich, gdyż Zaćwilichowski, przez krótki czas swego komisarstwa, zdołał sobie zjednać szacunek dzikiego Zaporoża — i sam Chmielnicki go szanował. Strzelanina wtedy ustała. Kozacy aproszami zbliżali się do samego wału; rycerstwo schodziło ku nim. Obie strony miały się na ostrożności, ale nie było nic nieprzyjaznego w tych spotkaniach. Szlachta wyżej ceniła zawsze kozaków od pospolitej czerni, a teraz, ceniąc ich męstwo i uporność w boju, rozmawiała z nimi na równej stopie, jak kawalerowie z kawalerami; kozacy z podziwem patrzyli z blizka na to niedostępne lwie gniazdo,

które wstrzymało całą ich i chanową potęgę. Więc zaczęli się zbliżać, gwarzyć a narzekać, że tyle krwi chrześcijańskiej się leje; pod koniec częstowano się tabaką i gorzalką.

— Ej, panowie lycari! — mówili starzy zaporozcy — żeby wy tak zawsze stawali, nie byłoby Żółtych wód, i Kursunia i Piławiec. Czorty wy chyba, nie ludzie. Takich my jeszcze na świecie nie widzieli.

— Przyjdźcie jutro i pojutrze, zawsze nas takich znajdziecie.

— No, tak i przyjdziemy, a tymczasem sława Bogu za oddech. Siła się krwi chrześcijańskiej leje. Ale i tak was głód zmoże.

— Prędej przyjdzie król, niż głód; dopierośmy gęby obtarli po smacznej stawie.

— A zbraknie nam wiwendy — to w waszych taborach poszukamy — mówił, biorąc się w boki, Zagłoba.

— Daj Bóg, żeby baćko Zaćwilichowski wskórał co u naszego hetmana, bo jak nie wskóra, to wieczór do szturmujdziemy.

— Nam też już tęskno.

— Chan wam obiecał, że wszyscy będziecie „kęsim“.

— A nasz książę obiecał chanowi, że go za brodę do ogona swemu koniowi przywiąże.

— Czarownik on, ale ne zderżył.

— Lepiejby wy z naszym kniazem na pogan poszli, niż przeciw zwierzchności rękę podnosili.

— Z waszym kniazem... Hm! dobrzeby było.

— A to czemu się buntujecie? Przyjdzie król, bójcie się króla. Książ Jerema także był wam jak ojciec...

— Taki on ojciec, jak śmierć matka. Dżuma tylu dobrych mołojców nie wybiła.

— Gorszy on będzie: jeszcze wy go nie poznali.

— My i nie chcemy go znać. Starzy u nas mówią, że który kozak jego na oczy dojrzy, temu już śmierć pisana.

— Będzie tak i z Chmielnickim.

— Boh znajet szczo budet. To pewno, że im dwom nie żyć na świecie, na białym. Nasz bat'ko też mówi, że gdyby wy jemu tylko Jaremę wydali, toby was zdrowych puścił i królowiby się z nami wszystkimi poklonił.

Tu żołnierze poczęli sapać, marszczyć brwi i zgrzytać.

— Zamilczcie, bo się do szabel weźmiem.

— Serdytsia Lachy! — mówili kozacy — ale będzie wam „kęsim“.

I tak tam oni rozmawiali, czasem przyjaźnie, a czasem z groźbami, które mimo ich woli odzywały się, jak grzmoty. Po południu przyjechał z powrotem do obozu pan Zaćwilichowski. Układów nie było, a zawieszenie broni nie doszło do skutku. Stawiał Chmielnicki potworne żądania, aby wydano mu księcia i chorążego Konięcpolskiego. W końcu wyliczał krzywdy wojsk zaporoskich i jał namawiać pana Zaćwilichowskiego, by z nim na zawsze pozostał. Na to sponął stary rycerz, zerwał się i odjechał. Wieczorem nastąpił szturm krwawo odparty. Cały obóz przez dwie godziny był w ogniu. Kozaków nietylko odrzucono od wałów, ale piechoty zdobyły pierwsze szańce, porozkopywały strzelnice, zakrywki i spaliły znów czternaście hulaj-grodów. Chmielnicki zaprzysiął tej nocy chanowi, że nie odstąpi, dopóki jeden żywy człowiek pozostanie w okopie.

Nazajutrz o zorzy nowa strzelanina, wkopywanie się w wały — i całodzienna bitwa na cepy, kosy, ośniki, szable, kamienie i bryły ziemi. Przyjazne uczucia wczo-

rajsze i ubolewanie nad przelewaniem krwi chrześcijańskiej ustąpiły większej jeszcze zaciętości. Deszcz popadywał od rana. Tegoż dnia wydano żołnierzom po pół racyi, na co mruczał mocno pan Zagłoba, ale wogóle puste brzuchy zdwoiły jeszcze zaciekłość rycerstwa. Przysięgano sobie wzajem paść jeden na drugim, a nie podać się do ostatniego tchnienia. Wieczór przyniósł nowe szturmy kozaków poprzebieranych za Turków, krócej wszelako trwające. Nastąpiła noc pełna hałasów i krzyków, „wielce swarliwa“. Strzelanie nie ustawało ani na chwilę. Wyzywano się wzajemnie; bito się kupami i pojedynczo. Wychodził na harc pan Longinus, lecz nikt przeciw niemu nie chciał stanąć — strzelano tylko doń z daleka. Natomiast wielką sławą okrył się pan Stępowski i pan Wołodyjowski, który w pojedynczem spotkaniu usieknął sławnego zagończyka Dudara.

Wychodził nakoniec i pan Zagłoba, ale tylko na szermierkę językową. „Po zabiciu Burlaja (mówił) nie mogę się z lada chmyzem pospolitować!!“ Natomiast w walce na języki nie znalazł równego sobie między kozactwem — i do desperacyi ich przyprowadzał, gdy okryty dobrze darniną, wołał, jakoby z pod ziemi, stentorowym głosem:

— Siedźcie tu chamy pod Zbarażem, a tam wojsko litewskie idzie w dół Dnieprem. Żonom waszym i młodocyom się poklonią. Na przyszłą wiosnę siła małych boćwinków po chałupach znajdziecie, jeśli chałupy znajdziecie!

Była to prawda: wojsko litewskie szło istotnie pod Radziwillem w dół Dniepru, paląc i niszcząc, ziemię i wodę zostawując. Wiedzieli to kozacy, więc wpadali we wściekłość i w odpowiedzi posyłali panu Zagłobie

grad kul, jakoby kto gruszki sypał. Ale pan Zagłoba pilnował dobrze głowy za darniną i krzyczał znowu:

— Chybiliście, pieskie dusze, a jam Burlaja nie chybił. Sam tu! Na pojedynek ze mną! Znacie mnie! Na tu, na! chamy, strzelajcie, póki macie folgę, bo na jeśień będziecie tatarzeta w Krymie iskać, albo groble na Dnieprze sypać. Bywajcie! bywajcie! Grosz za głowę waszego Chmiela. Daj mu który odemnie w pysk — od Zagłoby! słyszycie? A co, gnojki? mało to już waszego ścierwa na polu leży? Zdechłymi psami was czuć! Kazała wam się zaraza kłaniać! A do widel, do pługów, łajdaki, do dumbasów! Wiśnie i sól pod wodę wozic, nie nam tu wstręty czynić.

Natrząsali się też i kozacy z „panów, których trzech na jeden suchar wypada“; pytali, czemu to czynszu i dziesięciny nie każą oni panowie poddanym wypłacać, ale przecie Zagłoba bywał w sporach górą. I tak brzmiały te rozmowy, przerywane przekleństwami i dzikimi wybuchami śmiechu, po całych nocach, wśród strzałów i większych lub mniejszych walk. Wyjeżdżał potem pan Janicki układać się z chanem, który mu znowu powtarzał, że wszyscy będą „kęsim“, aż zniecierpliwiony poseł odpowiedział: — „Już nam dawno to obiecujecie, a nic nam dotąd! Kto po nasze głowy przyjdzie, ten i swoją przyniesie!“ Wymagał chan, żeby książę Jeremi zjechał się z jego wezyrem w polu, ale była to prosta zdrada, którą wykryto — i układy ostatecznie zostały zerwane. Przez cały ich czas zresztą nie było przestanku w walce. Wieczór szturm, w dzień strzelanina z armat, z organków, z samopałów i piszczeli — wypadanie z wałów, szarpanina, mieszanie się chorągwi — szalone ataki jazdy, klęski i rozlew krwi coraz większy.

Żołnierzy podtrzymywała jakaś dzika żądza walki, krwi i niebezpieczeństw. Szli do bitwy ze śpiewaniem, jak na wesele. Tak się już zresztą wzwyczałili do huków i hałasów, że te oddziały, które komenderowano do spoczynku, spały wśród ognia i padających gęsto kul nieprzebudzonym snem. Żywności było coraz mniej, bo regimentarze nie opatrzyli dostatecznie obozu przed przybyciem księcia. Nastąpiła wielka drożyzna, ale kto miał pieniądze i kupował gorzałkę lub chleb, ten dzielił się wesoło z innymi. Wszyscy zaś nie dbali o jutro, wiedząc, że jedna z dwóch rzeczy ich nie minie: odsiecz ze strony królewskiej, albo śmierć! Na obie byli równie gotowi — a najbardziej gotowi na bitwę. Niesłychanym w historii przykładem, dziesiątki potykały się przeciw tysiącom z takim uporem, z taką zaciekłością, że każdy szturm był nową klęską kozacką. Prócz tego, nie było dnia, żeby po kilkakroć nie wypadali z obozu i nie napadali nieprzyjaciela w jego własnych szańcach. Wieczorami, gdy Chmielnicki myślał, że już znużenie powinno być obalić najwytrwalszych i cicho gotował szturm, naraz wesołe śpiewy dolatywały jego uszu. Wtedy uderzał się dłonią po udach z wielkiego zdziwienia i naprawdę myślał, że Jeremi jest chyba czarownikiem możniejszym od tych wszystkich, którzy byli w kozackim taborze. Więc wściekał się i zrywał do boju i wylewał morza krwi, bo i to spostrzegł, że jego gwiazda przy gwieździe straszliwego kniazia błędnać zaczyna.

W obozie kozackim śpiewano pieśni o Jaremie, lub cichym głosem opowiadano sobie o nim rzeczy, od których włosy wstawały na głowie mołojcom. Mówiono, że czasem zjawia się nocą na okopie i rośnie w oczach, aż głową wyżej wież zbaraskich sięga; że oczy ma wtedy



jakby dwa miesiące, a miecz w jego ręku jest jako ta gwiazda złowroga, którą Bóg czasem, ludziom na po-  
hybel, na niebo wysyła. Mówiono także, że gdy krzyknie,  
polegli w boju rycerze wstają z chrzęstem zbroi i szy-  
kują się wraz z żywymi w szeregi. Jeremi był na wszyst-  
kich ustach: śpiewali o nim i didy-lirnicy, rozmawiali  
i starzy zaporozcy, i czerń ciemna i Tatarzy. A w tych  
rozmowach, w tej nienawiści, w tym zabobonnym prze-  
strachu, tkwiła jakby jakaś dzika miłość, którą ten lud  
stepowy ukochał swego krwawego niszczyciela. Tak jest!  
Chmielnicki bladł przy nim nie tylko w oczach chana  
i Tatarów, ale nawet w oczach własnego ludu — i wi-  
dział, że musi Zbaraż zdobyć, albo urok jego rozwieje  
się, jak pomroka przed zorzą poranną, musi zdeptać tego  
lwa, albo sam zginie.

Zaś lew nie tylko się bronił, ale każdego dnia sam  
wypadał, coraz straszliwszy, z komyszy. Nie pomagały  
podstępny, zdrady, ani otwarta przemoc. Tymczasem czerń  
i kozacy poczynali szemrać. I im ciężko było siedzieć  
w dymie, ogniu, w gradzie kul, w trupim zapachu, na  
deszczu, upałach i w obliczu śmierci. Zresztą nie trudów  
bali się dzielni mołojcy, nie niewywczasów, nie sztur-  
mów, i ognia, i krwi i śmierci — oni się bali „Jaremy“.

---

## ROZDZIAŁ V.

Wielu prostych rycerzy okryło się nieśmiertelną sławą w tym pamiętnym okopie zbaraskim, lecz lutnia będzie sławiła w pierwszym rzędzie pana Longina Podbipiętę, dla jego tak wielkich przewag, że chyba jego skromność mogła wejść z niemi w paragon. Noc to była posepna, ciemna i wilgotna; żołnierz, znużony czuwaniem u wałów, drzemał oparty na broni. Po nowych dziesięciu dniach strzelaniny i szturmów, pierwszy to raz nastąpiła cisza i spokój. Z blizkich, bo zaledwie o trzydzieści kroków stojących szańców kozackich, nie słychać było wywoływań, klątew i zwykłych hałasów. Zdawało się, że nieprzyjaciel, chcąc znużyć, sam się znużył narzeczcie. Gdzieniegdzie tylko błyszczalo tam mdle światelko ognia, ukrywanego pod darniną; z jednego miejsca dochodził słodki, przyciszony głos liry, na której grał jakiś kozak: daleko w koszu tatarskim konie rżały — a na wałach rozlegały się od czasu do czasu głosy straży.

Chorągwie pancerne książęce były tej nocy na pierwszej służbie w obozie, więc pan Skrzetuski, pan Podbipięta, mały rycerz i pan Zagłoba, na okopie, szepcząc ze sobą z cicha, w przerwach rozmowy wsłuchiwali się w szum deszczu, padającego w fosę. — Skrzetuski mówił:

— Dziwny mi jest ten spokój. Uszy tak przywykły do huku i hałasów, że cisza w nich dzwoni. Aby się tylko jaka zdrada in hoc silentio nie ukrywała.

— Od czasu jak jestem na pół racyi, wszystko mi jedno! — mrucał posepnie Zagłoba. — Trzech rzeczy potrzebuje moja odwaga, a to: jeść dobrze, pić dobrze i wyspać się. Najlepszy rzemień nie smarowany zeschnie i popeka. Cóż dopiero, jeżeli w dodatku moknie jak konopie w wodzie? Deszcz nas moczy, a kozacy mędlą, jakże się z nas paździerze nie mają sypać. Mile kondycye: bułka już florena kosztuje, a kwatereka gorzalki pięć. Tej śmierdzącej wody piesby w gębę nie chciał wziąć, bo już i studnie trupem nasiąknęły, a mnie się tak pić chce, jak i moim butom, które tak pyski pootwierały, jak ryby.

— Ale waścine buty i wodę piją, nie przebredzając — rzekł pan Wołodyjowski.

— Milczałbyś, panie Michale! Nie większyś od sikory, to się ziarnkiem prosa pożywisz, a z naparstka napijesz. Ale ja Bogu dziękuję, że nie jestem taki misterny i że mnie nie kura z piasku zadnią nogą wygrzebała, ale niewiasta urodziła: dlatego potrzebuję jeść i pić, jako człowiek, nie jak chrabąszcz, a żem od południa nic prócz śliny w gębie nie miał, dlatego mi i twoje żarty nie w smak.

Tu pan Zagłoba począł sapać gniewnie, a pan Michał wziął się za bok i tak mówił:

— Mam ja tu na udzie manierzynę, com ją dziś kozakowi wydarł, ale kiedy mnie kura z piasku wygrzebała, to już myślę, że i gorzalka tak nikczemnej osoby nie będzie waści smaczna. W twoje ręce, Janie! — rzekł, zwracając się do Skrzetuskiego.

— Daj, bo zimno! — rzekł Skrzetuski.

— Pij do pana Longina.

— Przechera z ciebie, panie Michale — rzekł Zagłoba — aleś chłop setny i to masz do siebie, że sobie odejmiesz, a drugiemu oddasz. Niechby się święciły te kury, coby takich żołnierzków, jak ty, z piasku wygrzebywały, ale ich na świecie podobno niemasz i nie o tobie myślałem.

— To weź waćpan od pana Podbiپیty, nie chcę cię krzywdzić — rzekł pan Michał.

— Co waćpan robisz, zostawże i mnie! — wołał z przestraczem Zagłoba, spoglądając na pijącego Litwina — czego tak głowę zadzierasz? Bodaj ci tak już została! Za długie masz kiszki, nie łatwo je nalejesz. Leje jak w spruchniałą sosnę. Żeby cię usiekli!

— Ledwim co przechylił — rzekł pan Longinus, oddając manierkę.

Pan Zagłoba przechylił lepiej i wypił do reszty; poczem parsknął i tak mówił:

— Cała to pociecha, że jeżeli się skończy nasza mizerya, a Bóg pozwoli zdrowo wynieść głowy z tych terminów, to sobie we wszystkim wynagrodzimy. Jużci nam jakoweś chleby obmyślą. Ksiądz Żabkowski umie dobrze zjeść, ale go w kozi róg zapędzę.

— A co to za verba veritatis usłyszeliście dziś z księdzem Żabkowskim od Muchowieckiego? — pytał pan Michał.

— Cicho! — rzekł Skrzetuski — ktoś tu się z majdanu zbliża.

Umilkli, wtem jakaś ciemna postać stanęła koło nich i przyciszony głos spytał:

— A czuwacie?

— Czuwamy, mości książę — rzekł, prostując się, Skrzetuski.

— Pilno dawać baczność. Żle wróży ten spokój.

I książę przeszedł dalej, patrząc, czy gdzie sen nie przemógł utrudzonych żołnierzy. Pan Longinus ręce złożył.

— Co to za wódz! co to za wojownik!

— Mniej on od nas spoczywa — rzekł Skrzetuski. — Tak całe wały sam co noc obchodzi, aż het, do drugiego stawu.

— Dajże mu Boże zdrowie!

— Amen.

Nastalo milczenie. Wszyscy wpatrywali się wyężonemi oczyma w ciemność, ale nic nie było widać — szanice kozackie były spokojne. Ostatnie światła na nich pogasły.

— Moznaby ich zejść, jak susłów, we śnie! — mruknął Wołodyjowski.

— Kto wie? — odrzekł Skrzetuski.

— Sen mnie tak morzy — mówił Zagłoba — że aż mi oczy pod wierzch głowy uciekają, a spać nie wolno. Ciekawym, kiedy będzie wolno? Czy strzelają, czy nie strzelają, ty stój pod bronią i kiwaj się od fitygi, jak żyd na szabasie. Psia służba! Sam nie wiem, co mnie tak rozbiera, czy gorzalka, czy ranna irytacja za ów impet, któryśmy niesłusznie obaj z księdzem Żabkowskim wytrzymać musieli.

— Jakże to było? — pytał pan Longinus. — Zacząłeś waćpan mówić i nie skończyłeś.

— To teraz opowiem, może się jakoś ze snu wybijemy. Poszliśmy rano z księdzem Żabkowskim na zamek w tej myśli, żeby to co do przegryzienia znaleźć.

Chodzimy, chodzimy, zaglądamy wszędzie — niema nic, wracamy źli. Aż na podwórzu spotykamy ministra kalwińskiego, którego kapitana Szenberka na śmierć gotował, tego, co go wczoraj postrzelili pod chorągwią pana Firlejową. Ja mu tedy mówię: będziesz się tu, szoldro, włóczył i dyzgusta Bogu czynił? — jeszcze niebłogosławieństwo na nas ściągniesz! A on, widać dufając w protekcją pana belzkiego, rzecze: „Taka dobra nasza wiara, jak i wasza, albo lepsza!” Jak to powiedział, ażeśmy skamienieli ze zgrozy. Ale ja nic! Myślę sobie: jest ksiądz Żabkowski, niechże będzie dysputa. A mój ksiądz Żabkowski aż parska i zaraz z argumentami zmacał go pod żebro, on zaś nic na tę pierwszą racją nie odrzekł, bo jak się wziął toczyć, tak aż o ścianę się oparł. Wtem nadszedł ksiądz z księdzem Muchowieckim i na nas! że to hałasy i swary wszczynamy, że to nie czas, nie miejsce i nie argumenta! Zmyli nam głowy jak żakom — a bodaj czy słusznie, bo utinam sim falsus vates, ale te ministry pana Firleja ściągną jeszcze na nas jakie nieszczęście...

— A ówże kapitan Szenberk nie rewokował? — pytał pan Michał.

— Gdzie tam! umarł w bezecności, jak żył.

— Że też to ludzie wolą się zbawienia wyrzec, niż swego uporu! — westchnął pan Longinus.

— Bóg nas od przemocy i od czarów kozackich broni — mówił dalej Zagłoba — a oni Go jeszcze obrażają. Czy waściom wiadomo, że wczoraj z tego tam ot szanica, kłębkami nici na majdan strzelano? Żołnierze powiadali, że zaraz w tem miejscu, gdzie kłębki padły, ziemia jakoby trądem się pokryła...

— Wiadoma rzecz, że przy Chmielnickim czarni za rękodajnych służą — rzekł, żegnając się, Litwin.

— Czarownice sam widziałem — dodał Skrzetuski — i powiem waszmościom...

Dalsze słowa przerwał pan Wołodyjowski, który ścisnął nagle ramię Skrzetuskiego i szepnął:

— Cicho-no!...

Poczem skoczył nad sam brzeg okopu i słuchał pilnie.

— Nic nie słyszę — rzekł Zagłoba.

— Ts!... deszcz zagłusza! — odpowiedział Skrzetuski.

Pan Michał począł kiwać ręką, aby mu nie przeszkadzano, i czas jeszcze jakiś słuchał pilno, nakoniec zbliżył się do towarzyszów.

— Idą — szepnął.

— Daj znać księciu! poszedł ku kwaterom Ostrogora — odszepnął Skrzetuski — my zaś pobieżymy ostrzedz żołnierzy.

I zaraz z miejsca puścili się wzdłuż okopu, zatrzymując się co chwila i szepcąc wszędy po drodze czuwającym żołnierzom:

— Idą! idą!...

Słowa przeleciały, jakoby cichą błyskawicą, z ust do ust. Po kwadransie przyjechał książę już na koniu i wydał rozkazy oficerom. Ponieważ nieprzyjaciel chciał widocznie zaskoczyć obóz w śnie i nieczujności, więc książę polecił utrzymać go w błędzie. Żołnierze mieli się zachować jak najciszej i dopuścić szturmujących aż na same wały, poczem dopiero, gdy wystrzał z działa da znak, uderzyć na nich niespodzianie.

Żołnierz był w gotowości, więc tylko rury musz-

kietów pochylily się bez szelestu i zapadło głucho milczenie. Skrzetuski, pan Longinus i pan Wołodyjowski dyszeli obok siebie, a i pan Zagłoba został z nimi, bo wiedział z doświadczenia, że najwięcej kul pada na środek majdanu — a na wale, przy takich trzech szablach, najbezpieczniej.

Usadowił się tylko trochę z tyłu rycerzy, aby pierwszy impet na niego nie przyszedł. Nieco z boku przyklął pan Podbięta z zerwikapturem w rękę, a Wołodyjowski przycupnął tuż przy Skrzetuskim i szepnął mu w same ucho:

— Idą napewno...

— Krok pod miarę.

— To nie czerń, ani Tatarzy.

— Piechota zaporoska.

— Albo janczary; oni dobrze maszerują. Z konia możnaby ich więcej naciąć!

— Dziś ciemno na jazdę.

— Słyszysz teraz?

— Ts! ts!...

Obóz zdawał się być pograżony w najgłębszym śnie. Nigdzie żadnego ruchu, nigdzie światła — wszędy najgłębsze milczenie, przerywane tylko szelestem drobnego, jakby sianego przez sito dżdżu. Zwolna jednak w tym szeleście powstawał drugi, cichy, ale łatwiejszy do ułowienia uchem, bo miarowy i coraz bliższy, coraz wyraźniejszy; nakoniec, o kilkanaście kroków od fosy, pojawiła się jakaś wydłużona, zbita masa o tyle widzialna, o ile czarniejsza od ciemności — i zatrzymała się w miejscu.

Żołnierze utaili dech w piersiach, tylko mały rycerz



szczypał w udo Skrzetuskiego, jakby chcąc mu w ten sposób swoje zadowolenie okazać.

Tymczasem napastnicy zbliżyli się do fosy i poczęli w nią spuszczać drabiny, następnie zleźli po nich sami i przechylili ją ku wałowi.

Wał milczał ciągle, jakby na nim i za nim wszystko wymarło — i cisza nastąpiła śmiertelna.

Tu i owdzie, mimo całej ostrożności wstępujących, szczeble zaczęły skrzypieć i trzeszczyć...

— Dadzą wam bobu! — myślał Zagłoba.

Wołodyjowski przestał szczypać Skrzetuskiego, a pan Longinus ścisnął rękojeść zerwikaptura i wyteżył oczy, bo był najbliżej wału i spodziewał się pierwszy uderzyć.

Wtem trzy pary rąk pojawiły się na krawędzi i chwyciły się jej silnie, a za nimi poczęły się zwolna i ostrożnie podnosić trzy szpice od misiurek... wyżej i wyżej...

— To Turcy! — pomyślał pan Longinus.

W tej chwili rozległ się straszliwy huk kilku tysięcy muszkietów; zrobiło się widno jak w dzień. Nim światło zgasło, pan Longinus zamachnął się i ciał okropnie, aż powietrze zawyło pod ostrzem.

Trzy ciała wpadły w fosę, trzy głowy w misiurkach potoczyły się pod kolana kłęczącego rycerza.

Wówczas, choć piekło zawrzało na ziemi, niebo otworzyło się przed panem Longinem, skrzydła urosły mu u ramion, chóry anielskie rozśpiewały mu się w piersi i był jakoby w niebo wzięty, i walczył jak we śnie i ciężca jego miecza były jakby modlitwą dziękczynną.

A wszyscy dawno zmarli Podbipiętowie, począwszy od przodka Stowejki, uradowali się w niebie — że taki był z Zerwikapturów-Podbipiętów żyjący ostatni.

Szturm ten, w którym ze strony nieprzyjaciela posilkowe hufce Turków urumelskich, sylistryjskich i gwardya chanowa janczarów brały przeważny udział, krwawiej od innych został odparty i ściągnał straszliwą burzę na głowę Chmielnickiego. Zareczał on bowiem poprzednio, że Polacy mniej zaciekle z Turkami będą walczyli i byle mu tych rot pozwolono, obóz zdobędzie. Musiał więc teraz łagodzić chana i rozwścieczonych murzów, oraz podarkami ich zniewalać. Chanowi pozwolił dziesięć tysięcy talarów, zaś Tuhaj-bejowi, Korz-Adze, Subagaziemu, Nuradynowi i Galdze po dwa. Tymczasem w obozie czeladź wyciągała trupy z fasy, w czym nie przeszkadzano jej strzelaniem z szanćów. Żołnierze spoczywali aż do rana, bo było to już pewne, że szturm się nie powtórzy. Spali tedy wszyscy snem nieprzebudzonym, prócz chorągwi strażowych i prócz pana Longina Podbipięty, który noc całą krzyżem na mieczu leżał, dziękując Bogu, iż mu pozwolił ślub spełnić i taką wielką chwałą się okryć, że imię jego przechodziło z ust do ust w obozie i w mieście. Nazajutrz wezwał go do siebie książę-wojewoda i chwalił wielce, a żołnierze przychodzili tłumami cały dzień wieszować i oglądać trzy głowy, które czeladź przyniosła mu przed namiot, a które już czerniały na powietrzu. Było tedy podziwu i zazdrości niemało, a niektórzy wierzyć oczom nie chcieli, bo tak były równo ścięte wraz ze stalowymi czepcami od mi-siurek, jakby kto nożycami odkroił.

— Straszliwy z waści sartor — mówiła szlachta. — Wiedzieliśmy o tobie, żeś dobry kawaler, ale takiego ciosu mogliby i starożytni pozazdrościć, bo i najgrzeczniejszy kat lepiej nie potrafi.

— Wiatr tak czapek nie zdejmie, jako te głowy są zdjęte! — mówili inni.

I wszyscy ściskali dłonie pana Longina, a on stał ze spuszczonei oczyma, promienny, słodki — zawstydzony jako panna przed ślubem, i mówił, jakby się tłumaczył.

— Ustawili się dobrze...

Próbowano następnie i miecza, ale że to był krzyżacki, dwuręczny koncerz, nikt nie mógł nim swobodnie poruszać, nie wyjmując nawet księdza Żabkowskiego, choć on podkowę jak trzcinę przelamywał.

Koło namiotu robiło się coraz gwarniej, a pan Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski czynili honory przybywającym, częstując ich opowiadaniem, bo nie było czem innem, jako że ostatnich już prawie sucharów dogryzano w obozie, a mięsa innego, jak wędzonej koniny, dawno nie stawało. Ale przecie duch starczył za jadło i napitek. Pod koniec, gdy inni zaczęli się już rozchodzić, nadszedł pan Marek Sobieski, starosta krasnostawski, ze swoim porucznikiem Stępowskim. Pan Longinus wybiegł na jego spotkanie, on zaś powitał go wdzięcznie i rzekł:

— To u waszmości dziś święto!

— Pewnie, że święto — odparł Zagłoba — bo nasz przyjaciel ślub spełnił.

— Chwała Panu Bogu! — odparł starosta — to już niedługo braciszku powitamy was kosmatą ręką. A macieże co upatrzonego?

Pan Podbipięta zmieszał się nadzwyczajnie i zaczerwienił aż do uszu, a starosta mówił dalej:

— Po konfuzji miarkuję, że tak jest. Święty to wasz obowiązek pamiętać, aby taki ród nie zaginął. Daj

Boże, żeby się na kamieniu rodzili podobni żołnierze, jak waszmościowie we czterech jesteście.

To rzekłszy, począł ścisnąć ręce pana Longina, Skrzetuskiego, Zagłoby i małego rycerza, a oni uradowali się w sercach, że z takich ust pochwałę słyszą, bo pan starosta krasnostawski był zwierciadłem męstwa, honoru i wszystkich cnót rycerskich. Był to wcielony Mars; zwały się na niego wszystkie dary Boże w obfitości, gdyż nadzwyczajną pięknością, nawet młodszego brata Jana, późniejszego króla, przewyższał, fortuną i imieniem najpierwszym wyrównywał, a jego zdolności wojenne sam wielki Jeremi pod niebiosa wynosił. Nadzwyczajna też byłaby to gwiazda na niebie Rzeczypospolitej, lecz ze zrządzenia Bożego blask jej wziął w siebie młodszy Jan, a ona zgasła przedwcześnie w dniu klęski.

Atoli rycerze nasi uradowali się wielce pochwałą bohatera, ten zaś wcale na niej nie poprzestał i tak dalej mówił:

— Siła ja o waszmościach od samego księcia wojewody słyszałem, który nad innych was miłuje. Nie dziwię się też, że mu służycie, nie oglądając się na promocyje, któreby w królewskich chorągwiach łatwiej przyjść mogły.

Na to odrzekł Skrzetuski:

— Wszyscy my w królewskiej właśnie, usarskiej chorągwi jesteśmy pod znak zapisani, z wyjątkiem pana Zagłoby, któren, jako wolentarz, z wrodzonej rezolucyi staje. A że pod księciem wojewodą służymy, to w pierwszym rzędzie z miłości dla jego osoby, a powtóre, chcieliśmy wojny jak najwięcej zażywać.

— Jeżeliście taką mieli chęć, to słusznie czynicie. Pewnieby pan Podbipięta pod niczyją chorągwią tak

łatwo swoich głów nie znalazł — odrzekł starosta. — Ale co do wojny, to w tych czasach wszyscy jej mamy do syta.

— Więcej niżli czego innego — odparł Zagłoba. — Przychodzili tu do nas od rana z pochwałami, ale żeby nas kto na przekąskę i łyk gorzalki poprosił, tenby nas najwdzięczniej uczęstował.

To powiedziawszy, pan Zagłoba pilno patrzył w oczy staroście krasnostawskiemu i mrugał niespokojnie. Starosta zaś uśmiechnął się i rzekł:

— Od wczorajszego południa nic w gębę nie wziąłem, ale łyk gorzalki może się w jakim sepeciku znaleźć. Służę waszmościom.

Lecz Skrzetuski, pan Longinus i mały rycerz, poczęli się opierać i gromić pana Zagłobę, który się wykręcał jak mógł i tłómaczył jak umiał.

— Nie przymawiałem się — mówił — bo ambicya moja w tem, że wolę swoje oddać, byle cudzego nie ruszyć, ale gdy tak zacna persona prosi, toż grubianitas byłaby odmawiać.

— Już też pójdźcie — mówił starosta. — I mnie miło w dobrej kompanii posiedzieć, a póki nie strzelają, mamy czas. Na jadło was nie proszę, bo i o koninę już trudno, a co nam konia na majdanie ubiją, to sto rąk po niego się wyciąga, wszelako gorzalki jest ze dwie flasze, których dla siebie samego pewnie nie będę chował.

Tamci jeszcze się opierali i nie chcieli, ale gdy bardzo nastawał, poszli, a przodem pobiegł pan Stępowski i tak się uwinął, że kilka sucharów i kilka kawałków koniny znalazło się do przegryzienia po wódce. Pan Zagłoba zaraz nabrał lepszej myśli i mówił.

— Da Bóg, że jak król Jegomość nas wyzwoli

z tego oblężenia, to się zaraz pospolitemu ruszeniu do wozów dobierzemy. Oj, siła oni specyaliów zawsze ze sobą wożą i brzucha każdy lepiej strzeże, niż Rzeczypospolitej. Wolę z nimi jeść, jak wojować, ale że to pod okiem królewskim, to może będą nieźle stawali.

Starosta spoważniał.

— Jakośmy sobie zaprzysięgli — rzekł — że jeden na drugim padnie, a nie poddamy się, tak się i stanie. Musimy być na to gotowi, że coraz cięższe czasy przyjdą. Żywności już prawie niema, a co gorzej, to i prochy się kończą. Innym jabym tego nie mówił, ale waszmościom można. Niedługo jeno zaciekłość w sercach i szable w ręku nam pozostaną — i gotowość na śmierć, więcej nic. Daj Boże króla jak najprędzej — bo to ostatnia nadzieja. Wojenny to pan! Pewnieby fatygi, i zdrowia i gardła nie żałował, byle nas wyzwolić — ale za male ma siły i musi czekać, a waszmościowie wiecie, jak pospolite ruszenie powoli się ściąga. I zresztą skąd król Jegomość ma wiedzieć, w jakich my tu kondycjach się bronimy i że już okrucichów dojadamy?

— My już siebie ofiarowali — rzekł Skrzetuski.

— A żeby tak dać znać? — pytał Zagłoba.

— Żeby się znalazł kto taki cnotliwy — rzekł starosta — ktoby się przekraść podjął, tenby nieśmiertelną sławę za życia pozyskał, tenby był zbawcą całego wojska i od ojczyzny klęskęby odwrócił. Choćby i pospolite ruszenie jeszcze w całości nie stanęło, to może sama bliskość króla zdołałaby bunt rozprószyć. Ale kto pójdzie? kto się podejmie, gdy Chmielnicki tak poobsadzał wszystkie drogi i wyjścia, że mysz się nie przecisnie z okopu? Jawna i oczywista to śmierć, taka impreza!

— A od czego fortele? — rzekł Zagłoba — i jeden już mi do głowy przychodzi.

— Jaki? jaki? — pytał starosta.

— A owo codzień bierzemy po garści jeńców. Żeby tak którego przekupić? niechby udał, że od nas uciekł — a potem ruszył do króla.

— Muszę o tem z księciem pomówić — rzekł starosta.

Pan Longinus zamyslił się głęboko, aż czoło pokryło mu się bruzdami, i cały czas siedział milczący — nagle podniósł głowę i rzekł ze zwykłą sobie słodyczą:

— Ja się podejmę przekraść przez kozaków.

Rycerze, usłyszawszy te słowa, porwali się zdumieni z miejsc, pan Zagłoba usta otworzył, Wołodjowski począł ruszać wąsikami raz po raz, Skrzetuski przybladł, a starosta krasnostawski uderzył się po aksamicie i zakrzyknął:

— Waćpan podjąłbys się tego dokonać?

— Czyś wać rozważył co mówisz? — rzekł Skrzetuski.

— Dawno rozważyłem — rzekł Litwin — bo już to nie od dziś między rycerstwem mówią, że trzeba dać znać królowi jegomości o naszym położeniu. A ja, słysząc to, myślałem sobie w duchu: niechby mnie Bóg najwyższy pozwolił ślub mój spełnić, zarazbym poszedł. Ja lichy człek, co ja znaczę? co mnie będzie za szkoda, chociaż usieką po drodze?

— Ależ usieką bez pohyby! — zawołał Zagłoba. — Słyszales wać, co pan starosta mówił, że to śmierć oczywista?

— Tak i co z tego, brateńku — rzekł pan Lon-

ginus. — Jak Bóg zechce, to przeprowadzi, a nie, to w niebie nagrodzi.

— Ale pierwaj cię pochwyca, mękami zmorzą i śmierć okrutną zadadzą. Czleku, czyś rozum stracił? — mówił Zagłoba.

— A tak i pójdę, bratenku — odparł ze słodyczą Litwin.

— Ptakby nie przeleciał, bo z lukuby go ustrzelili. Okopali nas naokoło, jako jaźwca w jamie.

— A tak i pójdę! — powtórzył Litwin. — Ja Bogu wdzięczność winien, że mnie ślub spełnić pozwolił.

— No, widzicie go! patrzcie się na niego! — wołał zdesperowany Zagłoba. — To lepiej każ sobie od razu głowę uciąć i z armaty na tabor wystrzelić, bo w ten tylko sposób mógłbyś się między nimi przecisnąć.

— Już pozwólcie, dobrodzieje! — rzekł Litwin składając ręce.

— O nie! nie pójdziesz sam, bo i ja pójdę z tobą — rzekł Skrzetuski.

— I ja z wami! — dodał Wołodyjowski, uderzając się po szabelce.

— A niechże was kule biją! — zawołał, porwawszy się za głowę, Zagłoba — niechże was kule biją z waszem „i ja, i ja!“ z waszą determinacją. Mało im jeszcze krwi, mało zaguby, mało kul! Niedosć im tego, co się tu dzieje, chcą pewniej szyje pokręcić. Idźcieże do kądka i dajcie mnie spokój. Bodaj was usiekli...

To rzekłszy, począł się kręcić po namiocie, jak błędny.

— Bóg mnie karze — wołał — żem się z wichrami wdawał, zamiast żyć w zacnej kompanii statecznych ludzi. Dobrze mi tak!



Przez chwilę chodził jeszcze po namiocie gorączkowym krokiem, nakoniec zatrzymał się przed Skrzetuskim, założył ręce w tył i patrząc mu w oczy, począł sapać groźnie.

— Com ja waćpanom takiego uczynił, że mnie prześladujecie?

— Uchowajże nas Boże! — odrzekł rycerz. — Jakto?

— Bo że pan Podbipięta takowe rzeczy wymyśla, nie dziwię się! Zawsze miał dowcip w pięści, a od czasu jak ściał największych trzech kpów między Turkami, sam czwartym został...

— Słuchać hadko! — przerwał Litwin.

— I jemu się nie dziwię — mówił dalej Zagłoba, wskazując na Wołodyjowskiego. — On kozakowi za cholewę wskoczy, albo mu się hajdawerów, jak rzyt psiego ogona uczepli i najprędzej z nas wszystkich się przedostanie. Ich obydwóch Duch święty nie oświecił — ale że waćpan, zamiast ich od szaleństwa powściągnąć, jeszcze im bodźca dodajesz, że sam idziesz, że wszystkich nas czterech na pewną śmierć i męki chcesz wydać — to już... ostatnia rzecz! Tfu, do licha, nie spodziewałem się tego po oficyjerze, którego sam ksiązę za statecznego kawalera uważał.

— Jakto czterech? — rzekł zdziwiony Skrzetuski. — Chciałżebyś i waćpan?...

— Tak jest! — krzyczał, bijąc się pięściami po piersi, Zagłoba — pójdę i ja. Jeżeli który z was się ruszy, albo wszyscy w kupie, pójdę i ja. Niech moja krew spadnie na wasze głowy. Będę miał na drugi raz naukę, z kim się wdawać.

— A bodajże waści! — rzekł Skrzetuski.

Trzej rycerze poczęli go brać w ramiona, ale on naprawdę się gniewał, i sapał i odpychał ich łokciami, mówiąc:

— Idźcie do kaduka! nie potrzeba mi waszych judaszowskich pocałunków!

Wtem na wałach ozwały się strzały armatnie i muszkietowe. Zagłoba zatrzymał się i rzekł:

— Macie! macie! idźcie!

— To zwykła strzelanina — zauważył Skrzetuski.

— Zwykła strzelanina! — rzekł przedrzeźniając szlachcic. — A no, to proszę! Mało im tego. Połowa wojska od tej zwykłej strzelaniny stopniała, a oni już na nią nosem kręcą.

— Bądź waćpan dobrej myśli — rzekł pan Podbipięta.

— Milczałbyś, boćwino! huknął Zagłoba — boś najwinniejszy. Waćpan to wymyślił tę imprezę, która, jeśli nie jest głupia, to ja głupi!

— A tak i pójdę, brateńku! — odrzekł pan Longinus.

— Pójdiesz! pójdiesz! i wiem dlaczego! Waćpan się za bohatera nie podawaj, bo cię znają. Czystość masz na zbyciu i pilno ci ją z okopu wynieść. Najgorszyś między rycerstwem, nie najlepszy; po prostu gamratka z waszmości, która cnotą handluje! Tfu! obraza boska! Otóż to! Nie do króla ci pilno, ale radbyś rzał po wsiach, jak koń na błoni. Oto rycerz — patrzcie się, co niewinność ma na sprzedaż. Zgorszenie, czyste zgorszenie, jak mnie Bóg miły!

— Słuchać hadko! — wołał, zatykając uszy pan Longinus.

— Dajcie pokój swarom! — rzekł poważnie Skrzetuski. — Lepiej o sprawie myślmy.

— Na Boga! — rzekł starosta krasnostawski, który dotychczas ze zdumieniem słuchał pana Zagłoby — wielka to jest rzecz, ale bez księcia nie możemy nic stanowić. Tu niema się co spierać. Waćpanowie w służbie jesteście i ordynansów słuchać musicie. Księżę musi być u siebie. Pójdźmyż do niego, co on na ochotę waszmościów powie.

— To co i ja! — rzekł Zagłoba i nadzieja wypogodziła mu oblicze. — Pójdźmy coprędzej.

Wyszli i szli przez majdan, na który kule już padały z szanców kozackich. Wojska były u wałów, które zdala wyglądały jak budy jarmarczne, tyle na nich nawieszano starej, pstrej odzieży, kozuchów, tyle nastawiano wozów, szczątków namiotów i wszelkiego rodzaju rzeczy, mogących stanowić zasłonę od strzałów, które czasem po całych tygodniach nie ustawały we dnie i w nocy. Jakoż i teraz nad owymi porozwieszanymi łachmanami ciągnęła się długa, błękitnawa smuga dymu, a przed niemi widać było leżące szeregi czerwonych i żółtych żołnierzy, pracujących ciężko przeciw najbliższemu szancom nieprzyjacielskim. Sam majdan wyglądał jak jedno rumowisko; równina podarta rydlami, lub strątowana przez konie, nie zieleńiła się ani jednym źdźbłem trawy. Gdzieniegdzie sterczały kopce wydobytej świeżo przy kopaniu studzien i mogił ziemi, gdzieniegdzie leżały szczątki potrzaskanych wozów, armat, beczek, lub stosy obgryzionych i zbielałych na słońcu kości. Trupa końskiego nie dojrzałeś nigdzie, bo każdy zabierano natychmiast na żywność dla żołnierzy, natomiast wszędy widać było gromady żelaznych, po większej części zrudziałych

już od rdzy kul armatnich, któremi codziennie zasypywano ten szmat ziemi. Ciężka wojna i głód widne były na każdym kroku. Idąc, spotykali żołnierze nasi większe i mniejsze kupy żołnierzy, to odnoszące rannych i zabitych, to śpieszące ku wałom z pomocą zbyt strudzonym towarzyszom — a wszystkie twarze zczerniałe, zapadłe, zarosnięte — a srogie oczy rozpalone, odzież wypłowiała, podarta, na głowach często szmaty brudne, zamiast czapek i hełmów, broń połamana. I mimowoli przychodziło na myśl pytanie, co się stanie z tą garścią dotychczasowych zwycięzców, gdy jeszcze upłynie tydzień, dwa...

— Patrzcie waszmościowie — mówił starosta — czas, czas dać znać królowi.

— Nędza już szczyrzy zęby jak pies — odpowiedział mały rycerz.

— A co będzie, gdy konie zjemy? — pytał Skrzetuski.

Tak rozmawiając, doszli do namiotów książęcych, stojących z prawej strony wału, przed którymi widać było kilkunastu jeźdźców służbowych, przeznaczonych do rozwożenia rozkazów po obozie. Konie ich, karmione śrutowanem i wędzonym mięsem końskim, a stąd trawione ustawicznym ogniem, rzucały się w szalonych podskokach, nie chcąc żadną miarą ustać na miejscu. Tak już było z końmi wszystkiej jazdy, która gdy szła teraz na nieprzyjaciela, zdawało się, że to stado gryfów lub hipocentaurów sady przez pola, więcej pędząc powietrzem, niż ziemią.

— Czy jest książę w namiocie? — spytał starosta jednego z jeźdźców.

— Jest z panem Przyjemskim — odpowiedział pocztowy.

Starosta wszedł pierwszy, nie oznajmując się — czterej zaś rycerze zatrzymali się przed namiotem.

Ale po chwili płótno uchyliło się i pan Przyjemski wysadził głowę:

— Książę chce widzieć pilno waszmościów — rzekł.

Pan Zagłoba wszedł do namiotu z dobrą myślą, miał bowiem nadzieję, że książę nie będzie chciał najlepszych swych rycerzy na pewną zgubę narażać, omylił się jednak, bo jeszcze nie zdążyli mu się pokłonić, gdy rzekł:

— Powiadał mi pan starosta o gotowości waszej wyjścia z obozu, a ja dobre chęci wasze przyjmuję. Ojczyźnie nie można nadto ofiarować.

— Przyszliśmy jeno o pozwolenie pytać — odrzekł Skrzetuski — gdyż wasza książęca mość jesteś szafarzem krwi naszej.

— Więc to we czterech chcecie wyjść?

— Wasza książęca mość! — rzekł Zagłoba. — Oni to chcą wyjść, a ja nie; Bóg mi świadek, nie przyszedłem się tu chwalić, ani swych zasług przypominać i jeżeli o nich wspomnę, to jeno dlatego, żeby nie było supozycyi, że mnie tchórz oblatuje. Wielcy to są kawalerowie pan Skrzetuski, Wołodyjowski i pan Podbipięta z Myszykiziek, ale i Burlaj, któryen legł z mej ręki (że o innych przewagach zamilczę), także był wielki żołnierz, wart Bardabuta, Bohuna i trzech głów janczarskich — mniemam przeto, że w dziele rycerskiem nie jestem gorszy od innych. Jednakże co innego jest męstwo, a co innego szaleństwo. Skrzydeł nie mamy, a ziemią się nie przedostaniem — to pewno.

— Więc waść nie idziesz? — pytał książę.

— Powiedziałem, że iść nie chcę, ale nie powiedziałem, że nie idę. Kiedy mnie raz Bóg pokarał ich kompanią, to już do śmierci muszę w niej wytrwać. Jeżeli nam będzie ciasno, szabla Zagłoby przyda się jeszcze, nie wiem tylko, na coby się przydała śmierć nas czterech i ufam, że wasza książęca mość zechce ją od nas odwrócić, nie dając pozwolenia na szalone przedsięwzięcie.

— Dobry z waści kompan — odpowiedział książę — i zacnie to z twojej strony, że przyjaciół opuszcząć nie chcesz, aleś się w swojej ufności we mnie pomylił, bo ja ofiarę waszą przyjmuję.

— Zdechł pies! — mruknął Zagłoba i ręce opadły mu zupełnie.

W tej chwili kasztelan belzki, Firlej, wszedł do namiotu.

— Mości książę — rzekł — ludzie moi złapali kozaka, któren powiada, że na dzisiejszą noc szturm się gotuje.

— Miałem i ja już wiadomość — odpowiedział książę. — Wszystko w pogotowiu — niech tylko z sypaniem tych nowych wałów śpieszą.

— Już prawie skończone.

— To dobrze! — rzekł książę — do wieczora się przeniesiemy.

Poczem zwrócił się do czterech rycerzy:

— Po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna najlepsza pora do wyjścia.

— Jakto? — rzekł kasztelan belzki — mości książę, gotujesz wycieczkę?

— Wycieczka swoją drogą pójdzie — rzekł książę —

ja sam poprowadzę, ale teraz mówimy o czem innem. Ichmościowie podejmują się przekraść przez nieprzyjaciela i dać znać królowi o naszym położeniu.

Kasztelan zdumiał, oczy otworzył i spoglądał kolejno na rycerzy.

Książę uśmiechnął się z zadowoleniem. Miał tę próżność, że lubił, by podziwiano jego żołnierzy.

— Na Boga! — rzekł kasztelan — więc są jeszcze takie serca na świecie? Na Boga! nie będę ja waszmościów od tego hazardu odwoził...

Pan Zagłoba zaczerwienił się ze złości — ale już nic nie rzekł, sapał tylko jak niedźwiedź, książę zaś zamyslił się przez chwilę i w następujące ozwał się słowa:

— Nie chcę ja jednak nadarmo krwią waszmościów szafować i na to się nie zgadzam, abyście wszyscy czterej razem wychodzili. Pójdzie naprzód jeden; jeśli go zabiją, to się tem pochwalić nie omieszkają, jako się już raz pochwalili śmiercią tego mego sługi, którego aż pode Lwowem schwytali. Jeżeli tedy pierwszego zabiją, pójdzie drugi, potem w razie potrzeby trzeci i czwarty. Ale być może, że pierwszy przejdzie szczęśliwie — w takim razie nie chcę innych na próżną śmierć narażać.

— Mości książę... — przerwał Skrzetuski.

— Taka moja wola i rozkaz — rzekł z naciskiem Jeremi. — By zaś was pogodzić, oświadczam, że ten wyruszy pierwszy, który się pierwszy ofiarował.

— To ja! — rzekł pan Longinus z promienną twarzą.

— Dziś wieczór, po szturmie, jeżeli noc będzie ciemna — dodał książę. — Listów żadnych do króla nie dam; co waś widzisz, to opowiesz — weźmiesz jeno sygnet na znak.

Podbipięta przyjął sygnet i poklonił się księciu — ten zaś wziął go obu rękoma za skronie i trzymał czas jakiś, a potem ucałował po kilkakroć w głowę i rzekł wzruszonym głosem:

— Tak mi blizki jesteś serca, jak brat... Niech cię prowadzi i przeprowadzi Bóg zastępów i nasza Królowa Anielska, żołnierzu Boży. Amen!

— Amen! — powtórzyli starosta krasnostawski, pan Przyjemski i kasztelan belzki.

Ksiązę miał łzy w oczach — bo to był prawdziwy ojciec dla rycerstwa — inni płakali, a ciałem pana Podbipięty wstrząsał dreszcz zapалу — i płomień chodził mu po kościach i radowała się do głębi ta dusza czysta, pokorna, a bohaterska, nadzieją blizkiej ofiary.

— Historia o waszmości pisać będzie! — wykrzyknął kasztelan belzki.

— Non nobis, non nobis sed nomini Tuo, Domine, da gloriam — rzekł ksiązę.

Rycerze wyszli z namiotu.

— Tfu, coś mnie za grzdykę ułapiło i trzyma. a w gębie tak mi gorzko, jak po piolunie — mówił Zagłoba. — A tamci ciągle strzelają — żeby was pioruny wystrzelały! — rzekł, ukazując na dymiące szańce kozackie. — Oj, ciężko żyć na świecie. Panie Longinie, czy to już koniecznie waćpan wyjdiesz?... Niechże cię anieli ustrzegą... Żeby to zaraza to chamstwo wydusiła!

— Muszę waszmościów pożegnać — rzekł pan Longinus.

— Jako? gdzie idziesz? — pytał Zagłoba.

— Do księdza Muchowieckiego, do spowiedzi, bracie. Trzeba grzeszną duszę oczyścić.

To rzekłszy, pan Longinus poszedł śpiesznie ku



zamkowi, oni zaś zwrócili się ku wałom. Skrzetuski i Wołodyjowski byli jak struci i milczeli, pan Zagłoba zaś mówił:

— Ciągłe mnie coś za grzydkę trzyma. Nie spodziewałem się, że mi będzie taki żal, ale najcnotliwszy to człowiek na świecie! — niech mi kto zaprzeczy, to mu dam w pysk. O Boże! Boże! myślałem, że kasztelan bełzki będzie hamował, a on jeszcze bębenka podbijał. Kaduk przyniósł tego heretyka! Historia (mówi) o waszmości pisać będzie. Niech o nim samym pisze, ale nie na skórze pana Longina. A czemu to on sam nie wyjdzie? Po sześć ma palców u nóg, jako kalwin, to mu i chodzić łatwiej. Mówię waszmościom, że coraz gorzej na świecie i pewnie prawda, co ksiądz Żabkowski prorokuje, że koniec świata bliski. Posiedźmy trochę u wałów, a później pójdziemy do zamku, żeby się naszego przyjaciela kompanią przynajmniej do wieczora nacieszyć.

Ale pan Podbipięta, po spowiedzi i Komunii, cały czas spędził na modlitwie; zjawił się dopiero wieczorem na szturm, który był jednym z najokropniejszych, bo kozacy uderzyli właśnie wówczas, gdy wojska, działa i wozy przenosiły się do nowo usypanych wałów. Przez chwilę zdawało się, że szczupłe siły polskie ulegną nawale dwustu tysięcy nieprzyjaciół. Chorągwie polskie tak dalece pomieszały się z nieprzyjacielskimi, że swoi swoich odróżnić nie mogli — i trzy razy tak wiązali się ze sobą. Chmielnicki wyteżył wszystkie siły, bo mu i chan i własni pułkownicy zapowiedzieli, że to ma być ostatni szturm i że odtąd głodem tylko będą nękać oblężonych. Ale po trzech godzinach, wszystkie ataki zostały odparte z tak straszniemi stratami, że były później wieści, jakoby

do czterdziestu tysięcy nieprzyjaciół miało paść w tej bitwie. To pewna, że po bitwie rzucono cały stos chorągwi pod nogi księcia — i że istotnie był to wielki szturm ostatni, po którym nadeszły jeszcze cięższe czasy wkopywania się w wały, porywania wozów, bezprzerastannej strzelaniny, nędzy i głodu.

Niestrudzony Jeremi, natychmiast po szturmie, prowadził upadających ze znużenia żołnierzy na wycieczkę, która zakończyła się nową klęską nieprzyjaciół — poczem dopiero cisza ukoiliła tabór i obóz.

Noc była ciepła, ale chmurna. Cztery czarne postacie posuwały się cicho i ostrożnie ku wschodniemu krańcowi wałów. Byli to: pan Longinus, Zagłoba, Skrzetuski i Wołodyjowski.

— Pistolety dobrze osłoń — szeptał Skrzetuski — żeby proch nie zwilgotniał. Dwie chorągwie będą stały w pogotowiu całą noc. Jeżeli dasz ognia, skoczymy na ratunek.

— Ciemno, choć oko wykol! — szepnął Zagłoba.

— To lepiej — odrzekł pan Longinus.

— Cichono! — przerwał Wołodyjowski — coś slysze.

— To jakiś konający chrapie — nic to!...

— Byleś się do dębiny dostał...

— O Boże! Boże! — westchnął Zagłoba, trzęsąc się jak w febrze.

— Za trzy godziny będzie dniało.

— To już czas! — rzekł Longinus.

— Czas! czas! — powtórzył Skrzetuski stłumionym głosem. — Idź z Bogiem!

— Z Bogiem! z Bogiem!

— Bądźcie bracia zdrowi, a przebaczcie, jeżeli kimś w czem zawinił.

— Tyś zawinił? O Boże! — zawołał Zagłoba, rzucając mu się w ramiona.

Po kolei brali go Skrzetuski i Wołodyjowski. Nadeszła chwila, że tłumione łkanie wstrząsnęło te rycerskie piersi. Jeden tylko pan Longinus był spokojny, choć wzruszony.

— Bądźcie zdrowi! — powtórzył raz jeszcze.

I zbliżywszy się do brzegu wału, zsunął się w fosę, po chwili zaczerniał na drugim jej brzegu — raz jeszcze dał znak pożegnania towarzyszom — i znikł w ciemności.

Między drogą do Zamościa, a gościńcem z Wiśniowca, rosła dąbrowa, przerywana wązkiemi, w poprzek idącemi łąkami, a łącząca się z borem starym gęstym i ogromnym, przechodzącym aż hen za Zamościem — tam to postanowił dostać się pan Podbięta.

Droga to była wielce niebezpieczna, bo żeby dostać się do dębiny, trzeba było przechodzić wzdłuż całego boku kozackiego taboru, ale pan Longinus wybrał ją umyślnie, bo właśnie koło taboru, przez całą noc, kręciło się najwięcej ludzi i straża najmniej dawały baczenia na przechodzących. Zresztą wszystkie inne drogi, jary, zarośla i ścieżki poobsadzone były strażami, które objeżdżali ustawicznie esaulowie, setnicy, pułkownicy, a nawet i sam Chmielnicki. O drodze przez łąki i wzdłuż Gniezny nie było co i marzyć, bo tam koniuchowie tatarscy czuwali od zmierzchu do świtania przy koniach.

Noc była ciepła, chmurna i tak ciemna, że o dziesięć kroków nie dojrzałeś nietylko człowieka, ale nawet i drzewa. Była to okoliczność dla pana Longina pomyślna, lubo z drugiej strony i sam musiał iść bardzo wolno, ostrożnie, aby nie wpaść w któren z dołów, lub rowów,

pokrywających na całej przestrzeni pobojuwisko, skopane polskimi i kozackimi rękoma.

W ten sposób dotarł do drugich wałów polskich, które właśnie przed wieczorem opuszczono — i przeprawiwszy się przez fosę, puścił się chyłkiem ku szańcom i aproszom kozackim. Stał i słuchał: szańce były puste. Wycieczka Jeremiego, dokonana po szturmie, wyparła z nich molojców, którzy albo polegli, albo schronili się do taboru. Mnóstwo ciał leżało na skłonach i szczytach tych nasypów. Pan Longinus potykał się co chwila o trupy, przestępował przez nie i szedł naprzód. Od czasu do czasu słaby jakiś jęk albo westchnienie zwiastowały, że niektórzy z leżących żyją jeszcze.

Za wałami obszerna przestrzeń, ciągnąca się aż do drugiego okopu, sypanego jeszcze przez regimentarzy, również była pokryta trupami. Dołów i rowów było tu jeszcze więcej, zaś co kilkadziesiąt kroków stały owe zakrywki ziemne, podobne w ciemności do stogów. Lecz i zakrywki były puste. Wszędy panowało najgłębsze milczenie, nigdzie ani ogniska, ani człowieka — nikogo na całym dawnym majdanie, prócz poległych.

Pan Longinus rozpoczął modlitwę za dusze zmarłe i szedł dalej. Szmer polskiego obozu, który go gonił aż do drugich wałów, cichł coraz bardziej, topniał w oddaleniu, aż nakoniec umilkł zupełnie. Pan Longinus stanął i obejrzał się po raz ostatni.

Nic już prawie nie mógł dojrzeć, bo w obozie nie było światła, jedno tylko okienko w zamku migotało słabo, jako gwiazdka, którą chmury to odkrywają, to przesłonią, lub jak robaczek świętojański, co świeci i gaśnie naprzemian.

— Bracia moi, zali was zobaczę jeszcze w życiu? — pomyślał pan Longinus.

I tęsknota przygniotła go, jakby olbrzymi kamień. Zaledwie mógł oddychać. Tam, gdzie drży owe światelko błędne, tam są swoi, tam są serca bratnie, ksiązę Jeremi, Skrzetuski, Wołodyjowski, Zagłoba, ksiądz Muchowiecki — tam go kochają i radziby go obronić — a tu noc, pustka, ciemność, trupy pod nogami, korowody dusz — w dali zaś tabor krwiożerczy zaklętych, niemilosiernych wrogów.

Kamień tęsknoty stał się tak ciężki, że za ciężki nawet na barki tego olbrzyma. Dusza poczęła się w nim wahać.

Nadleciał doń w ciemności bładny niepokój i począł szeptać mu do ucha: „Nie przejdiesz, to niepodobieństwo! — wróć się jeszcze, jeszcze czas! Wypal z pistoletu, a cała chorągiew runie na twój ratunek. — Przez te tabory, przez tę dzicz, nie przejdzie nikt“.

Ów obóz ogłodzony, zasypywany codziennie kulami, pełen śmierci i trupiego zapachu, wydał się w tej chwili panu Longinowi cichą, bezpieczną przystanią.

Tam przyjaciele nie mieliby mu za złe, gdyby wrócił. Powie im, że rzecz przechodzi ludzkie siły — a oni sami już nie pójdą, ani nikogo nie wyślą — i będą czekać dalej bożego i królewskiego zmiłowania.

A jeśli Skrzetuski wyjdzie i zginie?

— W imię Ojca, i Syna i Ducha świętego! To są pokusy szatańskie — pomyślał pan Longinus. — Na śmierć gotowym, a nic gorszego mnie nie spotka. To szatan straszy słabą duszę pustkowiec, trupami, ciemnością, bo on ze wszystkiego korzysta.

Miałżeby rycerz sromotą się okryć, sławę postra-

dać, imię shańbić — wojska nie zbawić, korony niebieskiej się zrzec? Nigdy!

I ruszył dalej, wyciągając przed siebie rękę.

Wtem szmer go znowu doszedł, ale już nie z obozu polskiego, jeno z przeciwnej strony, niewyraźny jeszcze, ale jakiś głęboki i groźny, jak pomruk niedźwiedzia, odzywający się nagle w ciemnym lesie. Lecz niepokój opuścił już duszę pana Longina, tęsknota przestała ciążyć i zmieniła się w słodką tylko pamięć o bliźnich; nakoniec, jakby odpowiadając groźbie dolatującej od strony taboru, powtórzył sobie w duszy raz jeszcze:

— A tak i pójdę.

Po pewnym czasie znalazł się na owem pobojo-wisku, na którym w dniu pierwszego szturmujazda książęca rozbiła kozaków i janczarów. Droga tu już była równiejsza, mniej rowów, dołów, nakrywek i nic prawie ciał, bo co w dawniejszych walkach poległo, to kozacy już uprzątneśli. Było tu również nieco jaśniej, gdyż rozmaite przeszkody nie zasłaniały przestrzeni. Grunt spadał pochyło ku południowi — ale pan Longinus skrzył zaraz w bok, pragnąc się prześliznąć między zachodnim stawem, a táborem.

Szedł teraz szybko, bez przeszkód, i już zdawało mu się, że dosięga linii taboru, gdy nowe jakieś odgłosy zwróciły jego uwagę.

Zatrzymał się natychmiast i po kwadransie oczekiwania usłyszał zbliżający się tupot i parskanie koni.

— Straże kozackie! — pomyślał.

Wtem i głosy ludzkie doszły jego uszu — więc rzucił się co ducha w bok i zmacawszy nogami pierwszą nierówność gruntu, padł na ziemię i wyciągnął się

bez ruchu, trzymając w jednej ręce pistolet, w drugiej miecz.

Tymczasem jeźdźcy zbliżyli się jeszcze bardziej i nakoniec zrównali się z nim zupełnie. Było tak ciemno, że nie mógł ich porachować, ale słyszał każde słowo rozmowy.

— Im ciężko, ale i nam ciężko — mówił senny jakiś głos. — A ile to dobrych mołojców ziemię gryzie!

— Hospody! — rzekł drugi głos. — Mówią, że korol niedaleko — co z nami będzie?

— Chan rozgniewał się na naszego baćka, a Tary grożą, że nas w łyka wezmą, jeżeli nie będzie kogo.

— I na pastwiskach się z naszymi biją. Baćko zakazał chodzić do kosza, bo kto tam pójdzie, przepadnie.

— Mówią, że między bazarnikami są przebrane Lachy. Bodaj tej wojny nie bywało!

— Gorzej nam teraz, niż przedtem.

— Korol niedaleko z laską potęgą — to najgorzej!

— Hej, na Siczy tyby teraz spał, a tu tłucz się po ciemku, jak siromacha.

— Muszą tu się i siromachy włóczyć, bo konie chrapią.

Głosy oddalały się stopniowo — i nakoniec znikły. Pan Longinus podniósł się i szedł dalej.

Deszcz, tak drobny jak mgła, począł mżeć. Zrobiło się jeszcze ciemniej.

Po lewej stronie pana Longina, zabłysło w odległości dwóch staj małe światełko, potem drugie i trzecie, dziesiąte. Teraz był już pewny, że znajduje się na linii taboru.

Światła były rzadkie i mdle — widać spali tam

już wszyscy i tylko gdzieniegdzie może pito, lub gotowano strawę na jutro.

— Bogu dzięki, że po szturmie i wycieczce idę — rzekł do siebie pan Longinus. — Znużeni muszą być śmiertelnie.

Zaledwie to pomyślał, gdy z dala usłyszał znów tupot koński — jechała druga straż.

Ale grunt w tem miejscu więcej był popękany, więc i schronić się było łatwiej. Straż przeszła tak blisko, że omal nie najechała na pana Longina. Szczęściem, konie przywykłe przechodzić koło leżących ciał nie zestraszły się. Pan Longinus poszedł dalej.

Na przestrzeni tysiąca kroków trafił na dwa jeszcze patrole. Widocznem było, że cały krąg objęty taborem strzeżony był, jak źrenica oka. Pan Longinus cieszył się tylko w duchu, że nie napotyka pieszych placówek, które stawiano zwykle przed taborami, aby podawały wiadomości konnym strażom.

Ale radość jego niedługo trwała. Zaledwie uszedł znowu stając drogi, gdy jakaś czarna postać zamajaczyła przed nim niedalej, jak na dziesięć kroków. Pan Longinus, jakkolwiek nieustraszony, poczuł jakby lekki dreszcz w krzyżach. Cofać się i obchodzić było zapóźno. Postać poruszyła się, widocznie go spostrzegła.

Nastąpiła chwila wahania się, krótka jak mgnienie oka. Nagle ozwał się przyciszony głos:

— Wasil, to ty?

— Ja, rzekł cicho pan Longinus.

— A gorzałkę masz?

— Mam.

— Dawaj.

Pan Longinus zbliżył się.



— A co ty taki wysoki? — powtórzył tenże sam głos tonem przestachu.

Coś zakotłowało się w ciemności. Krótki, zduszony w tej samej chwili wykrzyk: „Hosp...!“ wyrwał się z ust strażnika — potem dał się słyszeć jakby trzask łamanych kości, ciche chrapanie i jedna postać upadła ciężko na ziemię.

Pan Longinus szedł dalej.

Ale nie szedł po tej samej linii, była to bowiem widocznie linia placówek — więc skierował się jeszcze bliżej ku taborowi, pragnąc przejść między plecami widet i szeregiem wozów. Jeżeli nie było drugiego łańcucha straży, mógł pan Longinus na tej przestrzeni napotkać tylko tych, którzy wychodzili z taboru na zmianę. Konne oddziały straży nie miały tu co robić.

Po chwili pokazało się, że drugiego łańcucha placówek nie było. Za to tabor nie był dalej, jak dwa strzelenia z łuku — i dziwna rzecz, zdawał się być coraz bliżej, jakkolwiek pan Longinus starał się iść równoległe od szeregów wozów.

Pokazało się również, że nie wszyscy spali w taborze. Przy tlejących tu i owdzie ogniskach, widać było siedzące postacie. W jednym miejscu ognisko było większe, tak nawet wielkie, że prawie dosięgało blaskiem pana Longina, tak, że rycerz znów musiał się cofnąć ku placówkom, aby nie przechodzić przez pas światła. Z daleka rozpoznał pan Longin wiszące w pobliżu ognia, na słupach podobnych do krzyżów, woły, z których rzeźnicy zdierali skóry. Spore kupki ludzi przypatrywały się czynności. Niektórzy przygrywali z cicha rzeźnikom na piszczalkach. Była to ta część obozu, którą zajmowali czabańczycy. Dalsze szeregi wozów otaczała ciemność.

Lecz ściana taboru, oświetlona mdłemi światłami ognisk, znów była jakby bliżej pana Longina. Z początku miał ją tylko po prawej ręce. Nagle spostrzegł, że ma ją i przed sobą.

Wówczas stanął i namyślał się co począć. Był otoczony. Tabor, kosz tatarski i obozy czerni okalały, jakby pierścieniem, cały Zbaraż. W środku tego pierścienia stały placówki i krążyły straże, aby nikt nie mógł się przedostać.

Położenie pana Longina było straszne. Miał teraz do wyboru albo przemknąć się między wozami, albo szukać innego wyjścia, między kozactwem a koszem. Inaczej musiałby się błąkać aż do świtu po owem kolistku — chybaby się chciał cofać znów do Zbaraża, ale nawet i w takim razie mógł wpaść w ręce straży. Rozumiał jednak, że już sama natura gruntu nie pozwala na to, aby wóz stał przy wozie. Musiały w szeregach ich być przerwy, i znaczne, bo zresztą takie przerwy konieczne były dla komunikacji, dla wolnej drogi potrzebnej jeździe. Pan Longinus postanowił szukać podobnego przejścia i w tym celu zbliżył się jeszcze bardziej do wozów. Blaski płonących tu i owdzie ognisk mogły go zdradzić, ale z drugiej strony były mu pożyteczne, bo bez nich nie widziałby ani wozów, ani drogi między nimi.

Jakoż po kwadransie poszukiwań znalazł przecie drogę i poznał ją łatwo, bo wyglądała jakby czarny pas między wozami. Nie było w nim ognisk, nie mogło być i kozaków, gdyż tamtędy musiała przechodzić jazda. Pan Longinus położył się na brzuchu i począł się czołgać do owej czarnej czeluści, jak wąż do jamy.

Upłynął kwadrans, pół godziny, on czołgał się ciągle, modląc się jednocześnie — w obronę z ciałem i z du-

szą mocom niebieskim się oddając. Pomyślał, że może los całego Zbaraża zależy w tej chwili od tego, czy on się teraz przez ową gardziel przedostanie, więc modlił się nie tylko za siebie — ale i za tych, którzy w tej chwili na okopie modlili się za niego.

Po obu stronach wszystko było spokojne. Człek się nie ruszył, koń żaden nie zachrapał, pies żaden nie zaszczekał — i pan Longinus przeszedł, czerniały też przed nim chrusty i gąszcze, za którymi rosła dębina, za dębina bór, aż hen do Toporowa, za borem król, zbawienie, i sława i zasługa przed Bogiem i ludźmi. Czemże było ścięcie trzech głów wobec tego czynu, do którego coś więcej, prócz żelaznej ręki, trzeba było posiadać?

Pan Longinus sam czuł tę różnicę — ale nie wezbrało pychę to czyste serce — tylko jak serce dziecka rozplynęło się w łzy wdzięczności.

Potem podniósł się i szedł dalej. Placówek z tamtej strony wozów nie było, albo rzadkie, do uniknięcia łatwiejsze. Tymczasem zaczął padać większy deszcz, i szeleścił po zaroślach i głużył jego kroki. Pan Longinus rozpuścił teraz swoje długie nogi i szedł, jak olbrzym, depcąc krze — co stąpi krok, to jakby kto inny pięć. Wozy coraz dalej, dębina coraz bliżej — i zbawienie coraz bliżej.

Oto już i dęby! Noc pod nimi tak czarna, jak w podziemiu. Ale to i lepiej. Wstał lekki wiatr, więc dęby szumią z lekka, rzekłbyś — mruczą pacierz: „Boże wielki, Boże dobrotliwy, uchronź tego rycerza, bo to sługa Twój i wierny syn tej ziemi, na której my wzrosły Tobie na chwałę!”

Już od okopu polskiego dzieli z półtorej mili pana

Longina. Pot zlewa mu czoło, bo powietrze stało się jakieś parne, coś niby zbiera się na burzę, ale on idzie, ani dba o burzę, bo mu w sercu anieli śpiewają. Dębina rzednie. Pewnie to będzie pierwsza łąka. Dęby zaszeleściały mocniej, jakby chciały rzec: „zaczekaj, bezpiecznie ci było wśród nas“ — ale rycerz nie ma czasu i wstępuje na odkrytą łąkę. Jeden tylko stoi na niej dąb w środku, ale potężniejszy od innych. Pan Longinus zmierza do tego dębu.

Nagle, gdy już jest o kilkanaście kroków z pod rozłożystych gałęzi olbrzyma wysuwa się ze dwadzieścia czarnych postaci, które zbliżają się w wilczych skokach do rycerza.

— Kto ty? kto ty?

Język ich niezrozumiały: nakrycia głowy jakieś spiczaste — to Tatarzy, to koniuchowie, którzy się tu przed deszczem schronili.

W tej chwili czerwona błyskawica rozświeciła łąkę, dąb, dzikie postacie Tatarów i olbrzymiego szlachcica. Krzyk straszliwy wstrząsnął powietrzem i walka zawrzała w jednej chwili.

Tatarstwo rzuciło się na pana Longina, jak wilcy na jelenia i chwyciło go żylastemi rękoma, lecz on wstrząsnął się tylko i wszyscy zapaśnicy opadli tak z niego, jak dojrzały owoc opada z drzewa. Poczem straszliwy zerwikaptur zazgrzytał w pochwie — i wnet rozległy się jęki, wycia, wołania na ratunek, świst miecza, charkotanie pobitych, rzenie przerażonych koni, szczęk łamanych szabel tatarskich. Cicha łąka zabrzmiała wszystkimi dzikimi głosami, jakie tylko mieszcza się w ludzkich gardzielach.

Tatarzy rzucili się raz i drugi kupą na rycerza,

ale on już oparł się plecami o dąb, a od przodu nakrył się wichrem miecza — i ciał straszliwie. Trupy zaczerpiły mu się pod nogami — inni cofnęli się, zdjęci paniczną trwogą.

— Diw! diw! — rozległy się dzikie wycia.

Lecz wycia te nie zostały bez echa. Nie upłynęło pół godziny, i cała łąka zamrowiła się pieszymi i jezdnyymi. Biegli kozacy i Tatarzy, z kosami, z drągami, z lukami — ze szczapami palącego się luczywa. Gorączkowe pytania poczęły się krzyżować i przelatywać z ust do ust: Co to jest, co się stało? — Diw! odpowiadali koniuchowie. — Diw! powtarzały tłumy. — Lach! Diw! Ubij! Żywcem bierz! Żywcem!

Pan Longinus wypalił po dwakroć z pistoletów, ale wystrzałów tych nie mogli już dosłyszeć towarzysze w polskim okopie.

Tymczasem tłum zbliżał się do niego półkolem, on zaś stał w cieniu — olbrzymi, oparty o drzewo, i czekał z mieczem w ręku.

Tlum zbliżał się coraz bardziej. Nakoniec zagrzmiął głos komendy:

— Bierz go!

Co żyło, rzuciło się naprzód. Krzyki umilkły. Ci, którzy nie mogli się docisnąć, świecili atakującym. Wir ludzki kłębił się i przewracał pod drzewem — jęki tylko wydobywały się z tego wiru i przez długi czas nie można było nic rozpoznać. Nareszcie krzyk przestradchu wyrwał się z piersi atakujących. Tlum pierzchnął w jednej chwili.

Pod drzewem został pan Longinus, a pod jego nogami kupa ciał, drgających jeszcze w agonii.

— Sznurów, sznurów! — zabrzmiał jakiś głos.

Wnet jezdni kopnęli się po sznury i przywieźli je

w mgnieniu oka. Wówczas po kilkunastu tęgich chłopów chwyciło za dwa końce długiego powroza, starając się przykrępować pana Longina do drzewa.

Ale pan Longin ciał mieczem — i chłopi z obu stron padali na ziemię. Z tym samym skutkiem próbowali następnie Tatarzy.

Widząc, że zbyt wielki tłum przeszkadza sobie wzajem, poszło raz jeszcze kilkunastu najśmielszych nohajców, chcąc koniecznie uchwycić żywcem wielkoluda, ale on podarł ich, jak odyniec rozdziera zajadłe kondle. Dąb, zrosnięty z dwóch potężnych drzew, osłaniał środkową wklęsłością rycerza — z przodu zaś, kto się zbliżył na długość miecza, marł, nie wydawszy nawet krzyku. Nadludzka siła pana Podbiپیęta zdawała się wzrastać jeszcze z każdą chwilą.

Widząc to, rozwścieczona orda spędziła kozaków — i naokół rozległy się dzikie wołania:

— Uk! uk!...

Wówczas na widok luków i strzał wysypywanych z kolczanów pod nogi, poznał i pan Podbiپیęta, że zbliża się godzina śmierci, i rozpoczął litaniją do Najświętszej Panny.

Uczyniło się cicho. Tłumy zatrzymały dech, oczekując, co się stanie.

Pierwsza strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Matko Odkupiciela!” — i obtarła mu skroń.

Druga strzała świsnęła, gdy pan Longinus mówił: „Panno wslawiona!” — i utkwiała mu w ramieniu.

Słowa litanii zmieszały się ze świstem strzał.

I gdy pan Longinus powiedział: „Gwiazdo zaranna!” już strzały tkwiły mu w ramionach, w boku, w nogach... Krew ze skroni zalewała mu oczy i widział już jak przez

mgłę łakę, Tatarów, nie słyszał już świstu strzał. Czuł, że słabnie, że nogi chwieją się pod nim, głowa opada mu na piersi... nakoniec ukląkł.

Potem, na wpół już z jękiem, powiedział pan Longinus: „Królowo Anielska!” — i to były jego ostatnie słowa na ziemi.

Aniołowie niebiescy wzięli jego duszę i położyli ją jako perłę jasną u nóg „Królowej Anielskiej“.

---

## ROZDZIAŁ VI.

Pan Wołodyjowski i Zagłoba stali następnego rana na wałach, między żołnierstwem, spoglądając pilno ku taborowi, od strony którego zbliżały się masy chłopstwa. Skrzetuski był na radzie u księcia, oni zaś, korzystając z chwili spokoju, rozmawiali o dniu wczorajszym i o tym ruchu w taborze nieprzyjacielskim.

— Nic nam to dobrego nie wróży — rzekł Zagłoba, ukazując na czarne masy, idące nakształt olbrzymiej chmury. — Pewno do szturmów znów ruszą, a tu już ręce nie chcą chodzić w stawach.

— Gdzieby tam zaś miał być szturm, przy dniu jasnym, o tej porze — rzekł mały rycerz. — Nie uczynią nic więcej, jeno zajmą nasz wczorajszy wał i znów wkopywać się będą do nowego i strzelać przytem od rana do wieczora.

— Moznaby ich dobrze z armat przepłoszyć.

Wołodyjowski zniżył głos.

— Prochów skąpo — rzekł. — Przy takim ekspensie podobno już i na sześć dni nie starczy. Ale w tym czasie pewnie król nadciągnie.

— Niechże się już dzieje co chce. Aby nasz pan Longin, niebożatko, przedostał się szczęśliwie. Przez całą



noc spać nie mogłem, tylko o nim myślałem, a com się zdrzemnął, tom go w opresyi widział i taki mnie żal brał, że aż poty na mnie były. Najlepszy to człowiek, jakiego w Rzeczypospolitej możesz znaleźć, z latarnią przez trzy roki i sześć niedziel chodząc.

— A czemuś to waćpan zawsze z niego dworował?

— Bo gęba we mnie paskudniejsza od serca. Ale już mi go, panie Michale, nie zakrwawiaj wspomnieniem, gdy i tak wyrzuty sobie czynię, a broń Boże jakiego przypadku na pana Longina, tobym do śmierci chyba nie miał spokoju.

— Już też tak dalece się waćpan nie gryź. Nie miał on nigdy do waści żadnego rankoru i słyszałem, jak sam mówił: „gęba hadka, serce złote!”

— Dajże mu Boże zdrowie, przyjacielowi zacnemu! Nigdy on po ludzku nie umiał mówić, ale setnie takowe niedostatki wielkimi cnotami nagradzał. Co myślisz, panie Michale? zali przeszedł szczęśliwie?

— Noc była ciemna, a chłopci po klęsce straszliwie fatigati. U nas dobrych straży nie było, a cóż dopiero u nich.

— To chwała Bogu! Zalecałem też panu Longinowi, żeby się o naszą niebogę kniaziównę pilno dopytywał, jeżeli gdzie jej nie widzieli, bo tak myślę, że Rzędzian musiał się do wojsk królewskich przedostawać. Pan Longinus pewnie na odpoczynek nie pójdzie, tylko z królem tu przyciągnie. W takim razie mielibyśmy niedługo o niej wiadomość.

— Ufam ja w dowcip tego pacholka, że ją tam jakoś ocalił. Jużbym nie zaznał uciechy, żeby ją zguba

spotkała. Krótkom ją znał, ale w to wierzę, że gdybym siostrę miał, toby mi nie była miłsza.

— Dla ciebie siostra, a dla mnie córuchna. Od tych trosków chyba mi broda do reszty zbieleje, a serce od żalu pęknie. Co kogo pokochasz — raz, dwa, trzy — i już go niema, a ty siedz, troskaj się, martw, gryż, rozmyślaj, mając w dodatku brzuch pusty i dziury w czapczynie, przez które, jak przez złą strzechę, woda na łysinę leci. Psom teraz w Rzeczypospolitej lepiej niż szlachcie, a nam czterem to już ze wszystkich najgorzej. Czasby już chyba do lepszego świata się wybrać, panie Michale, albo co?

— Nieraz myślałem, czyby nie lepiej powiedzieć Skrzetuskiemu o wszystkim, ale to mnie wstrzymuje, że sam on nigdy o niej jednym słowem nie wspomniał, a bywało, jak kto wymówi, to się tylko wzdrygnie, jakby go co w sercu ukłuło.

— Gadajże mu, rozdzieraj rany w ogniu tej wojny przyschle, a ją tam może już jaki Tatarzyn przez Perekop za warkocz prowadzi. Świece jarzące mi w oczach stają, gdy sobie taki termin pomyślę. Czas już umierać, nie może być inaczej, bo na świecie męka tylko i nic więcej. Żeby choć pan Longinus przemknął się szczęśliwie!

— Musi on mieć większe w niebie łaski, niż inni, bo cnotliwy. Ale patrzno waćpan, co tam hultajstwo robi!...

— Taki dziś blask od słońca, że nic nie widzę.

— Wał nasz wczorajszy rozkopują.

— A mówiłem, że będzie szturm. Chodźmy stąd, panie Michale, dość już tego stania.

— Nie dlatego to oni kopią, żeby koniecznie do

szturmu iść, ale muszą mieć otwartą drogę do odwrotu i przytem pewno będą tamtędy maszyny wprowadzać, w których strzelcy siedzą. Patrzo waść, aż łopaty warczą! już na jakie czterdzieści kroków zarównali.

— Teraz widzę, ale okrutny dziś blask.

Pan Zagłoba nakrył oczy ręką i patrzył. W tej chwili przez rozkopany w wałe wycinek rzuciła się rzeka czerni i rozlała w mgnieniu oka po pustej między wałami przestrzeni. Jedni zaczęli zaraz strzelać; inni ryjąc ziemię łopatami, poczęli wznosić nowy zasyp i szauńce, które trzecim z kolei pierścieniem miały zamknąć polski obóz.

— Ocho! — zawołał Wołodyjowski — nie mówilem, już i maszyny wtaczają.

— No, to szturm będzie jako żywo. Chodźmy stąd — rzekł Zagłoba.

— Nie, to inne belluardy! — odpowiedział mały rycerz.

I istotnie, maszyny, które ukazały się w otworze, inaczej były budowane od zwykłych hulajgradów; ściany ich bowiem składały się z zestosowanych skoblami drabin, pokrytych odzieżą i skórą, z poza których najcelniejsi strzelcy, siedzący od połowy wysokości maszyny aż do jej szczytu, razili nieprzyjaciela.

— Pójdźmy, niech ich tam psy pozagryzają! — powtórzył Zagłoba.

— Czekaj waść — odpowiedział Wołodyjowski.

I począł liczyć maszyny, w miarę jak coraz nowe ukazywały się w otworze.

— Raz, dwa, trzy... mają ich widać zapas niemały... cztery, pięć, sześć — idą coraz wyższe... siedm, ośm... każdego psa zabiją z tych machin na naszym majdanie,

bo tam być muszą strzelcy *exquisitissimi* — dziewięć, dziesięć — widać każdą jak na dłoni, bo słońce na nie pada — jedenaście...

Nagle pan Michał urwał rachubę.

— Co to jest? — spytał dziwnym głosem.

— Gdzie?

— Tam, na tej najwyższej... człowiek wisi!

Zagłoba wytężył wzrok: istotnie na najwyższej maszynie słońce oświeciło nagi trup ludzki, kołyszący się na powrozie, zgodnie z ruchem belluardy, naksztalt olbrzymiego wahadła.

— Prawda — rzekł Zagłoba.

Wtem Wołodyjowski pobladł jak płótno i krzyknął przeraźliwym głosem:

— Boże wszechmogący — to Podbipięta!

Szmer powstał na wałach, jakoby wiatr przeleciał po liściach drzew. Zagłoba przechylił głowę, zatknął dłońmi oczy i szeptał zsiniałemi wargami, jęcząc:

— Jezus Marya! Jezus Marya!...

Wtem szmer zmienił się w szum zmieszanych słów, a potem w huk, jakby wzburzonej fali. Poznało wojsko stojące na wałach, że na tym haniebnym sznurze wisi towarzysz ich niedoli, rycerz bez skazy — poznali wszyscy, że to pan Longinus Podbipięta, i gniew straszny począł podnosić włosy na głowach żołnierzy.

Zagłoba oderwał wreszcie dłonie od powiek: strach było na niego spojrzeć; na ustach miał pianę, twarz siną, oczy wyszły mu na wierzch.

— Krwi! krwi! — ryknął tak straszonym głosem, że aż dreszcz przeszedł blisko stojących.

I skoczył w fosse. Za nim rzucił się kto żyw na wałach. Żadna siła, nawet rozkazy księcia, nie zdołałyby

powstrzymać tego wybuchu wściekłości. Z fossy wydobywali się jedni po ramionach drugich, chwytali się rękoma i zębami za brzeg rowu — a kto wyskoczył, biegł na oślep, nie bacząc, czy inni biegną za nim. Belluardy zadymily jak smolarnie i wstrząsnęły się od huku wystrzałów, ale nic to nie pomogło. Zagłoba leciał pierwszy z szablą nad głową, straszny, wściekły, podobny do rozhukanego buhaja. Dopieroż kozacy skoczyli także z cepami, z kosami na napastników, i rzekłbyś: dwie ściany uderzyły się z loskotem. Lecz syte brytany nie mogą bronić się długo głodnym i wściekłym wilkom. Wyparci z miejsca, cięci szablami, darcie zębami, bici i gnieneni, kozacy nie wytrzymali furii — i wnet zaczęli się mieszać, a potem pierzchać ku otworowi. Pan Zagłoba szalał; rzucił się w największy tłum jak lwica, której zabrano lwięta; rzeził, chrapał, ciął, mordował — deptał! Pustka czyniła się przed nim, a przy nim szedł, jak drugi płomień niszczący, Wołodyjowski, podobny do rannego rysia.

Strzelców ukrytych w belluardach wycięto w pień, resztę goniono aż za otwór w wale. Poczem żołnierze weszli na bellaurdę i odczepiwszy pana Longina, ostrożnie spuścili go na ziemię.

Zagłoba runął na jego ciało...

Wołodyjowski również serce miał rozdarte i zalewał się łzami na widok martwego przyjaciela. Łatwo było poznać, jaką pan Longinus zginął śmiercią, bo całe ciało było pokryte centkami, od ran przez groty zadanych. Twarzy tylko nie popsuły mu strzały, prócz jednej, która zostawiła długą ryś na skroni. Kilka kropel krwi zakrzepło mu na policzku, oczy miał zamknięte, a w bladym obliczu uśmiech pogodny i gdyby nie bla-

dość błękitna oblicza, gdyby nie chłód śmierci w ry-  
sach — zdawałoby się mogło, że pan Longinus śpi spo-  
kojnie. Wzięli go wreszcie towarzysze i ponieśli na bar-  
kach do okopu, a stamtąd do kaplicy zamkowej.

Do wieczora zbito trumnę i pogrzeb odbył się nocą  
na cmentarzu zbaraskim. Stało wszystkie duchowień-  
stwo ze Zbaraża, prócz księdza Żabkowskiego, który  
w ostatnim szturmie w krzyże postrzelon, blizkim był  
śmierci; przyszedł książę, zdawszy dowództwo staroście  
krasnostawskiemu, i regimentarze, i pan chorąży ko-  
ronny, i chorąży nowogrodzki, i pan Przyjemski, i Skrze-  
tuski, i Wołodyjowski, i Zagłoba i towarzystwo cho-  
rągwi, w której nieboszyk służył. Ustawiono trumnę  
nad świeżo wykopanym dołem — i ceremonia się roz-  
poczęła.

Noc była cicha, gwiazdzista, pochodnie paliły się  
równym płomieniem, rzucając blask na żółte deski świeżo  
zbitej trumny, na postać księdza i surowe twarze stoją-  
cych wokół rycerzy.

Dymy z kadzielnicy wznosiły się spokojnie, rozno-  
sząc zapach myrry i jałowcu; ciszę przerywało tylko  
tłumione szlochanie pana Zagłoby, głębokie westchnienia  
potężnych piersi rycerskich i daleki grzmot wystrzałów  
na wałach.

Lecz ksiądz Muchowiecki wznosił rękę na znak, iż  
poczyna mówić, więc rycerze oddech wstrzymali, on zaś  
milczał jeszcze chwilę, potem utkwiał oczy w gwiazdzi-  
stych wysokościach i tak wreszcie mówić począł:

— „Co to tam za stukanie słyszę po nocy, w nie-  
bieskie podwoje? — pyta sędziwy klucznik Chrystusowy,  
ze smacznego snu się zrywając. — Otwóź święty Pietrze,  
otwórz! jam Podbipięta.

„Lecz jakież to uczynki, jakaż to szarża, jakie to zasługi ośmielają cię, mości Podbipięto, tak zacnego furtjana inkomodować? Jakiemże to prawem chcesz wejść tam, dokąd ni urodzenie, chociażby tak zacne jak twoje, ni senatorska godność, ni urzędy koronne, ni majestatu nawet purpury, jeszcze same przez się, wolnego wstępu nie dają — dokąd nie gościńcem szerokim, w poszóstnej karecie, z hajdukami się jedzie, ale stromą, ciernistą drogą cnoty wspinać się trzeba?

„Ach! otwórz święty Pietrze, otwórz co prędzej, bo właśnie taką stromą ścieżyną szedł kommiliton i drogi towarzysz nasz, pan Podbipięta — aż wreszcie przyszedł do ciebie, jako gołąb po długim locie utrudzon: przyszedł nagi jako Łazarz, przyszedł jako święty Sebastian, strzałami pogańskimi podarty, jak Hiob biedny, jako dziewczeczka, która męża nie zaznała, czysty, jako baranek pokorny, cierpliwy i cichy — bez zmayı grzechowej, z ofiarą krwi dla ziemskiej ojczyzny radośnie przelanej.

„Puść go, święty Pietrze, bo jeżeli jego nie puścisz — kogóż puścisz w tych czasach zepsucia i bezbożności?

„Puście go, święty kluczniku! puść tego baranka; niechaj się pasie na niebieskiej łące, niech szczypie trawę, bo głodny przyszedł ze Zbaraża...“

W taki to sposób rozpoczął mowę ksiądz Muchowiecki, a następnie tak wymownie odmalował cały żywot pana Longina, iż każdy lichym się sobie wydał wobec tej cichej trumny rycerza bez skazy, któren najmniejszych skromnością, największych cnotą przenosił. Bili się tedy w piersi wszyscy i coraz większa ogarniała ich żalność i coraz raźniej widzieli, jaki to paroksyzm

ojczyznę, jaka niepowetowana strata Zbaraż dotknęła. A ksiądz unosił się i gdy wreszcie począł opowiadać wyjście i śmierć męczeńską pana Longina, wtedy już całkiem o retoryce i cytatach zapomniał, a gdy począł żegnać martwe zwłoki imieniem duchowieństwa, wodzów i wojska, sam się rozplakał i mówił, szlochając, jak Zagłoba: „Żegnaj nam, bracie, żegnaj, towarzyszu! Nie do ziemskiego króla, lecz do niebieskiego, do pewniejszej instancyi odniosłeś nasze jęki, nasz głód, naszą mizeryą i opresyą — pewniej tam jeszcze ratunek nam wyjednasz, ale sam nie wrócisz więcej, więc płaczemy, więc łzami trumnę twą polewamy, bośmy cię kochali, bracie najmilszy!”

Plakali za zacnym księdzem wszyscy, i książę, i regimentarze i wojsko, a najbardziej przyjaciele zmarłego. Lecz gdy ksiądz zaintonował po raz pierwszy „Requiem aeternam dona ei Domine!” — uczynił się ryk powszechny, choć to wszystko byli ludzie zahartowani na śmierć i codzienną praktyką od dawna do niej przywykli.

W chwili, gdy trumnę położono na sznurach, pana Zagłoby trudno było od niej oderwać, jakby mu brat, albo ojciec umarł. Lecz wreszcie odciągnęli go Skrzetuski z Wołodyjowskim. Książę zbliżył się i wziął garść ziemi; ksiądz począł mówić: „anima ejus...” — zahurgotwały sznury — ziemia poczęła się sypać, sypano ją rękoma, chełmami — i wkrótce nad zwłokami pana Longina Podbipięty urósł wysoki kopiec, który oświeciło białe, smutne światło miesiąca.



Trzej przyjaciele wracali z miasta na majdan, z którego ustawicznie dochodził odgłos strzałów. Szli w milczeniu, gdyż żaden z nich nie chciał pierwszego słowa przemówić — lecz inne gromadki rycerstwa gwarzyły między sobą o nieboszczyku, sławiąc go zgodnie.

— Pogrzeb miał tak foremny — mówił jakiś oficer, przechodząc obok Skrzetuskiego — że i panu pisarzowi Sierakowskiemu lepszego nie sprawili.

— Bo też nań zasłużył — odpowiedział drugi oficer. — Ktoby to inny podjął się przedrzeć do króla?

— A ja słyszałem — dodał trzeci — że między wiśniowiecznikami było kilku ochotników, ale po tak strasznym przykładzie pewnie już wszystkich ochota odeszła.

— Bo też to i niepodobna. Wąż się nie prześliznie.

— Jako żywo, czysteby to było szaleństwo!

Oficerowie przeszli. Nastąpiła znów chwila milczenia.

Nagle Wołodyjowski rzekł:

— Słyszałeś, Janie?

— Słyszałem — odpowiedział Skrzetuski. — Moja dziś kolej.

— Janie! — rzekł poważnie Wołodyjowski — znasz mnie od dawna i wiesz, że się przed hazardem nierad cofam, ale co innego hazard, a co innego proste samobójstwo.

— I tyż to mówisz, Michale?

— Ja, bom ci przyjaciel.

— I jam ci przyjaciel — dajże mnie kawalerski parol, że nie pójdziesz trzeci, jeżeli ja zginę.

— O! nie może być! — zakrzyknął Wołodyjowski.

— A widzisz, Michale! Jakże to możesz odemnie

wymagać tego, czegoś sam nie uczynił? Niechże się dzieje wola Boża!

— To pozwól mi iść razem.

— Księżę zabrania, nie ja — a tyś żołnierz i słuchać musisz.

Pan Michał zamilkł, bo istotnie żołnierz to był przedewszystkiem, więc począł tylko wąsikami ruszać gwałtownie przy księżycu, nakoniec rzekł:

— Noc bardzo widna — nie idź dzisiaj.

— Wolalbym, żeby była ciemniejsza — odrzekł Skrzetuski — ale zwłoka niepodobna. Pogoda jako widzisz uczyniła się na długo, a tu prochy się kończą, żywność się kończy. Żołnierze już na majdanie kopią, korzonków szukają — innym dziaśła gniją od paskudztwa, które jedzą. Dziś pójdę, zaraz; jużem się z księciem pożegnał.

— To widzę, żeś po prostu desperat.

Skrzetuski uśmiechnął się smutno.

— Bodajże cię, Michale! Pewnie, że w rozkoszach nie opływam, ale dobrowolnie śmierci nie będę szukał, boć to i grzech, a zresztą nie o to chodzi, żeby zginąć, jeno o to, żeby wyjść, i dojść do króla i obóz zbawić.

Wołodyjowskiego porwała nagle taka chęć powiedzieć Skrzetuskiemu wszystko o kniaziównie, że prawie już usta otwierał; ale pomyślał sobie: „od nowiny w głowie mu się pomiesza i tem łatwiej go schwytają” — więc ugryzł się w język i zmilczał — a natomiast spytał:

— Którędy pójdziesz?

— Mówilem księciu, że pójdę przez staw, a później rzeką, póki się daleko za tabor nie przedostanę. Księżę powiedział, że to lepsza droga niż inne.

— Niema, jak widzę, rady — odrzekł Wołodyjowski. — Raz czleku śmierć przeznaczona, a lepsza na polu chwały, niż na łożu. Bóg cię prowadź, Bóg cię prowadź, Janie! Jeżeli nie zobaczymy się na tym świecie, to na tamtym, a ja ci serca pewnie dochowam.

— Jako i ja tobie — Bóg ci zapłaci za wszystko dobre. A słuchaj, Michale, jeżeli zginę, oni mnie może nie sprezentują, jako pana Longina, bo zbyt srogą naukę dostali, ale się pewnie i tak jakowymś sposobem pochwalą: niechże w takim razie stary Zaćwilichowski pojedzie do Chmielnickiego po moje ciało, bo nie chciałbym, aby mnie psi po ich taborze włóczyli.

— Bądź pewien — odrzekł Wołodyjowski.

Pan Zagłoba, który z początku nawpół przytomnie rozmowy słuchał, zrozumiał wreszcie o co idzie, ale nie znalazł w sobie już dość siły, aby wstrzymywać lub odmawiać, tylko począł jęczeć głucho:

— Wczoraj tamten, dziś ten — Boże! Boże! Boże!...

— Ufaj waćpan! — rzekł Wołodyjowski.

— Panie Janie!... — zaczął Zagłoba.

I nie mógł nic więcej powiedzieć, jeno siwą, strapioną głowę wsparł na piersi rycerza i tak tulił się do niego, jak niedołęzne dziecko.

W godzinę później Skrzetuski pograżył się w wody zachodniego stawu.

Noc była bardzo jasna i środek stawu wyglądał jak srebrna tarcza, ale Skrzetuski zniknął natychmiast z oczu, brzeg bowiem porośnięty był gęsto sitowiem, trzciną i bucianem, dalej pomiędzy rzadszą trzciną rosły w obfitości grążele, rdest wodny i roślężę. Cała ta mieszanina szerokich i wązkich liści, oślizgłych lodyg, węzowatych skrętów, chwytając za nogi i wpół ciała, utru-

dniała niezmiernie posuwanie się naprzód, ale ukrywała przynajmniej rycerza przed oczyma straży. O przepłynięciu przez jasną środkową szybę nie było co i myśleć, bo każdy czarniawy przedmiot byłby na niej spostrzeżony z łatwością. — Skrzetuski więc postanowił okrążyć brzegiem cały staw, aż do bagienka leżącego po drugiej stronie, przez które wpływała do stawu rzeka. Prawdopodobnie stały tam straże kozackie, albo tatarskie, ale za to rósł cały las trzciny, którego brzegi były tylko wycięte na szalasy dla czerni. Dostawszy się raz do bagienka, można się było posuwać wśród trzciny nawet we dnie, chyba by topielisko okazało się zbyt głębokie. Lecz i ta droga była straszna. Pod tą śpiącą wodą, nie głębszą z brzegu nad stopę, tailo się głębokie na łokieć i więcej błoto. Za każdym krokiem Skrzetuskiego na powierzchnię wód wydostawało się mnóstwo baniek, których bulgotanie doskonale można było słyszeć wśród ciszy. Prócz tego, mimo całej powolności jego ruchów, tworzyły się koła fal, biegnące coraz dalej od środka aż na niezarośniętą przestrzeń, na której łamało się w nich światło księżyca. W czasie deszczu byłby po prostu Skrzetuski przepłynął staw i najdalej w pół godziny dotarł do bagienka, ale na niebie nie było ani jednej chmurki. Całe potoki zielonawego światła lały się na staw, zmieniając liście grązeł w srebrne tarcze, a pióra trzciny w srebrne kity. Wiatr nie wiał — na szczęście grzechot wystrzałów głuszył bulgotanie baniek wodnych, co spostrzegłszy, Skrzetuski poruszał się tylko wówczas, gdy salwy w okopach i szańcach stawały się żywsze. Lecz owa cicha, pogodna noc sprawiła jedną więcej trudność. Oto roje komarów podnosiły się z trzciny i utworzywszy kłęb nad głową rycerza, siadały mu na twarzy, oczach,

kłując dotkliwie, brzęcząc i śpiewając nad jego uszyna żalodne swe nieszpory. Skrzetuski, wybierając tę drogę, nie ludził się co do jej trudności, ale nie przewidział wszystkiego. Nie przewidział mianowicie jej strachów. Wszelka głęбина wód, choćby najlepiej znanych, ma w nocy coś tajemniczego i przerażającego zarazem — i mimowoli napędza pytanie: co tam jest na dnie? A ten staw zbaraski był po prostu okropny. Woda zdawała się być w nim gęstsza od zwykłej wody — i wydawała zaduch trupi. Bo też gnily w niej setki kozaków i tatarów. Obie strony wyciągały wprawdzie trupów ale iluż ich mogło być ukrytych wśród trzciny, rdestu i gęstej uszycy? Skrzetuskiego obejmował chłód fali — a pot oblewał mu czoło. Co będzie, gdy jakieś obslizie ramię uchwycą go nagle, albo gdy jakie zielonawe oczy spojrzą na niego z pod bucianów? Długie lodygi grzybienia obejmowały go za kolana, a jemu włosy powstawały na głowie, że to już może nurek topielec obejmuje go, aby nie puścić więcej. „Jezus, Marya! Jezus, Marya!” — szeptał bez ustanku, posuwając się naprzód. Chwilami podnosił oczy w górę i na widok księżyca, gwiazd i spokoju niebieskiego, doznawał pewnej ulgi. „Jest Bóg!” — powtarzał sobie półgłosem, tak, aby się sam mógł dosłyszeć. Czasem spoglądał na brzeg i zdawało mu się, że z jakiegoś potępionego, zaziemskiego świata błota, czarnych głębin, białych światel księżycowych, duchów, i trupów i nocy, spogląda na Bożą zwykłą ziemię — i tęsknota porywała go taka, że zaraz chciał z owej matni trzciny wychodzić.

Lecz posuwał się ciągle brzegiem — i oddalił się już tak od obozu, że na tej Bożej ziemi dostrzegł o kilkadziesiąt kroków od brzegu stojącego na koniu Ta-

tara — więc zatrzymał się i spoglądał na tę postać, która, miarkując z jej jednostajnych ruchów ku szyi końskiej, zdawała się być uśpioną.

Był to dziwny widok. Tatar kiwał się ciągle, jakby kłaniał się w milczeniu Skrzetuskiemu, a ten oczu z niego nie spuszczał. Było w tem coś strasznego, lecz Skrzetuski odetchnął z satysfakcją, bo wobec tego rzeczywistego strachu pierzchył stokroć do zniesienia cięższe, urojone. Świat duchów odleciał gdzieś i rycerzowi wróciła od razu zimna krew; do głowy poczęły się cisnąć takie tylko pytania jak: śpi, czy nie śpi? mam iść dalej, czy czekać?

Wreszcie poszedł dalej, posuwając się jeszcze ciszej, jeszcze ostrożniej, niż na początku podróży. Był już na pół drogi do bagienka i rzeki, gdy zerwał się pierwszy powiew lekkiego wiatru. Zakolysały się wnet trzciny i wydały, trącając jedna o drugą, szelest mocny, a Skrzetuski uradował się, bo mimo całej ostrożności, mimo iż czasem po kilka minut nad postawieniem stopy tracił, mimowolny ruch, potknięcie się, plusk mogły go zdradzić. Teraz szedł śmieiej wśród głośniego rozhoworu trzcin, którym zaszumiał cały staw — i wszystko zagadało dokoła, woda nawet na brzegach poczęła belkotać rozkołysaną falą.

Lecz ten ruch rozbudził widocznie nietylko zarośla brzegowe, bo na raz jakiś czarniawy przedmiot pojawił się przed Skrzetuskim i począł chybotać się ku niemu, jak gdyby rozmachując się do skoku. Skrzetuski omal w pierwszej chwili nie krzyknął; strach i obrzydzenie zatamowały mu jednak głos w piersiach, a jednocześnie straszliwy zaduch uchwycił go za gardło.

Ale po chwili, gdy pierwsza myśl, że to może być topielec umyślnie zastępujący drogę, przeszła, pozostało

tylko obrzydzenie — i rycerz ruszył dalej. Rozhovor trzcin trwał ciągle i wzmagał się coraz bardziej. Przez ich kołyszące się kiście, dojrzał Skrzetuski drugą i trzecią placówkę tatarską. Minął je, minął i czwartą. „Już z pół stawu musiałem okrążyć“ — pomyślał — i podniósł się trochę z trzcin, aby rozpoznać, w którym miejscu się znajduje — w tem coś go trąciło w nogi, obejrzał się i ujrzał tuż obok swych kolan twarz ludzką.

— To już drugi — pomyślał.

Tym razem nie przeraził się, bo ten drugi trup leżał na wznak i nie miał w swej bezwładności pozorów życia i ruchu. — Skrzetuski przyspieszył tylko kroku, by nie dostać zawrotu głowy. Trzciny zaczynały być coraz gęstsze — co z jednej strony dawało bezpieczne ukrycie, z drugiej jednak utrudniało niezmiernie pochód. Upłynęło jeszcze pół godziny, później godzina, on szedł ciągle, ale coraz więcej był strudzony. Woda w niektórych miejscach była tak płytka, że nie dochodziła mu do goleni, gdzieniegdzie za to zapadał niemal po pas. Męczyło go też niezmiernie powolne wyciąganie nóg z błota. Pot zalewał mu czoło, a jednocześnie od czasu do czasu przechodziły po nim dreszcze od stóp do głowy.

— Co to jest? — myślał ze strachem w sercu — czy mnie delirium nie chwyta? Bagienka jakoś niema; nuż nie rozpoznam miejsca wśród trzcin i ominę?

Było to straszne niebezpieczeństwo, bo w ten sposób mógłby krążyć całą noc naokoło stawu i zrana znaleźć się w tem samym miejscu, z którego wyszedł, lub wpaść na innem w ręce kozackie.

— Złą drogę obrałem — myślał, upadając w duchu — przez stawy nie można, wróć się jutro i pójdę, jak pan Longinus — do jutra mógłbym odpocząć.

Lecz szedł naprzód, bo poznawał, że obiecując sobie wrócić i ruszyć po odpoczynku, sam siebie oszukuje; przychodziło mu także do głowy, że idąc tak wolno i zatrzymując się co chwila, nie mógł jeszcze dojść do bagienka. Jednakże myśl o odpoczynku opanowywała go coraz silniej. Chwilami miał chęć położyć się gdzie na błocie, by choć odetchnąć. Bił się tak z własnymi myślami, a jednocześnie modlił się. Dreszcze przechodziły go coraz częściej, coraz słabiej wyciągał nogi z błota. Widok straży tatarskich otrzeźwiał go, ale czuł, że i głowa męczy mu się jak ciało — i że nadlatuje nań gorączka.

Upłynęło znów pół godziny — bagienko nie ukazywało się jeszcze.

Natomiast ciała utopionych trafiały się coraz częściej. Noc, strach, trupy, szum trzciny, trud i bezsenność zmaciły mu myśli. Poczęły nań nadlatywać wizje. Oto Helena jest w Kudaku, a on płynie z Rzędzianem na dumbasie z biegiem dniewprowym. Trzciny szumią — on słyszy pieśń: „Ej to ne pili pilili!... ne tumany ustawaly“. Ksiądz Muchowiecki czeka ze stulą, a pan Krzysztof Grodzicki ojca zastąpi... Dziewczyna tam codzień patrzy na rzekę z murów — rychło patrzeć, jak w ręce zaklaszcze i krzyknie: „jedzie! jedzie!“

— Jegomość! — mówił Rzędzian, ciągnąc go za rękaw — panna stoi..

Skrzetuski budzi się. To splecione trzciny zatrzymały go po drodze. Wizja ulatuje. Przytomność wraca. Teraz nie czuje już takiego zmęczenia, bo mu gorączka sił dodaje.

Hej, czy to jeszcze nie bagienko?

Ale naokół trzciny takie same, jakby z miejsca nie



ruszył. Przy rzece powinna być woda otwarta, więc to jeszcze nie bagienko.

Rycerz idzie dalej, ale myśl wraca z nieubłaganym uporem do lubej wizyi. Próżno Skrzetuski się broni, próżno poczyna mówić: „O gospodzie uwielbiona“, próżno stara się zachować całą przytomność — znowu nadpływa Dniepr, dumbasy, czajki — Kudak, Sicz — tylko tym razem wizya bezładniejsza, mnóstwo w niej osób: obok Heleny i księżę, i Chmielnicki, i ataman kozowy, i pan Longinus, i Zagłoba, i Bohun i Wołodyjowski — wszyscy przybrani odświętnie na jego ślub, ale gdzie ma być ten ślub? Są w jakimś miejscu nieznanem, ni to Łubnie, ni Rozłogi, ni Sicz, ni Kudak... wody jakies, po nich ciała pływają...

Skrzetuski budzi się po raz drugi, a raczej budzi go mocny szelest, dochodzący ze strony, w którą idzie — więc zatrzymuje się i słucha.

Szelest zbliża się, słychać jakies chrobotanie i plusk — to czółno.

Widać je już przez trzciny. Siedzi w niem dwóch mołojców — jeden popycha wiosłem, drugi trzyma w rękę długą tyczkę, świecąca zdala jak srebro, i rozgarnia nią wodne zarośla.

Skrzetuski osunął się aż po szyję w wodę, tak, że głowa tylko wystawała mu ponad sitowie, i patrzył.

— Jest-li to zwykła straż, czyli są już na tropie? — pomyślał.

Ale wnet doszedł po spokojnych i niedbanych ruchach mołojców, że to musi być zwyczajna straż. Czółen na stawie musiało być więcej niż jedno — i gdyby kozacy byli na tropie, pewnoby zgromadziło się kilkanaście łódek i kupa ludzi.

Tymczasem przejechali mimo — szum trzcin głużył słowa; Skrzetuski złowił uchem tylko następujący urywek rozmowy:

— Czortby ich pobraw, i sei smierdiaczoj wody kazaly pynnowaty!

I czólno zasunęło się za kępy trzcin — tylko stojący na przedzie kozak uderzał ciągle miarowym ruchem tyczką w zarośla wodne, jakby chciał ryby straszyć.

Skrzetuski ruszył dalej.

Po niejakiem czasie znów ujrzał placówkę tatarską, stojącą tuż nad brzegiem. Światło księżycy padało wprost na twarz nohajca, podobną do psiej mordy. Ale Skrzetuski mniej się już obawiał tych straży, niż utraty przytomności. Natężył więc całą wolę, by sobie jasno zdać sprawę, gdzie jest i dokąd idzie. Ale ta walka powiększyła tylko jego znużenie i wnet dostrzegł, że mu się dwoi i troi w oczach, że chwilami wydaje mu się staw obozowym majdanem, a kępy trzcin, namiotami. Wówczas chciał wołać na Wołodyjowskiego, by szedł z nim razem, ale tyle miał jeszcze przytomności, iż się wstrzymał.

— Nie krzycz! nie krzycz! — powtarzał sobie — to zguba.

Lecz owa walka z samym sobą coraz była trudniejsza. Wyszedł ze Zbaraża znękany głodem i straszną bezsennością, od której umierali tam już żołnierze. Ta podróż nocna, zimna kąpiel, trupi oddech wody, błędzenie po błotach, szarpanina wśród korzeni roślin, osłabiły go do reszty. Dołączyło się i rozdrażnienie strachu i ból od ukąszeń komarów, które pokłóły mu tak twarz, że cała była krwią oblana — więc czuł, że jeżeli prędko nie dojdzie do bagienka, to albo wyjdzie na brzeg, by

go prędzej spotkało, co ma spotkać, lub padnie wśród tych trzcin i utopi się.

Owe bagienko i ujście rzeki wydawało mu się portem zbawienia, choć poprawdzie zaczynały się tam nowe trudności i niebezpieczeństwa.

Bronił się gorączce i szedł, coraz mniej zachowując ostrożności. W jej szumie słyszał Skrzetuski głosy ludzkie, rozmowy; zdawało mu się, że to o nim tak rozprawia ten staw. Dojdzie-li do bagienka, czy nie dojdzie; wylezie, czy nie wylezie? Komary śpiewały nad nim cienkimi głosami coraz żałośniej. Woda stawiała się głębsza — wkrótce doszła mu do pasa, a potem do piersi. Więc pomyślał, że jeśli płynąć przyjdzie, to się w tej zbitej tkaninie zaplącze i utonie.

I znowu porwała go niepowstrzymana, nieprzeparta chęć wezwania Wołodyjowskiego; i już ręce złożył koło ust, by zakrzyknąć:

— Michale! Michale!

Na szczęście, jakaś miłosierna trzcina uderzyła go zroszoną, mokrą kicią w twarz. Oprzytomniał — i ujrzał przed sobą, ale nieco ku prawej stronie, mdłe światelko.

Teraz patrzył już ciągle w to światło i czas jakiś szedł wytrwale ku niemu.

Nagle zatrzymał się, spostrzegłszy pas czystej wody, lecącej w poprzek. Odetchnął. Była to rzeka, a po obu jej stronach bagienko.

— To już przestanę krążyć brzegiem i zapuszczę się w ten klin — pomyślał.

Z obu stron klinu ciągnęły się dwie smugi trzcin — rycerz zapuścił się tą, do której doszedł. Po chwili poznał, że jest na dobrej drodze. Obejrzał się: staw był

już za nim, a on postępował teraz wzdłuż wąskiej taśmy, która nie mogła być czem innym, jak rzeką.

Woda też tu była zimniejsza.

Lecz po niejakiem czasie owładnęło nim straszne znużenie. Nogi trzęsły mu się, a przed oczyma wstawał jakoby tuman czarny. „Nie może być inaczej, tylko dojdę do brzegu i położę się — myślał — nie pójdę dalej, odpocznę“.

Wtem upadł na kolana i rękoma zmacał kępę suchą, porośniętą mchami. Była to jakoby wysepka wśród sitowia.

Siadł na niej i począł obcierać rękoma zakrwawioną twarz i przytem oddychać mocno.

Po chwili, do jego nozdrzy doszedł zapach dymu. Odwróciwszy się ku brzegowi, dojrzał o sto kroków od brzegu ogień, a naokoło niego kupkę ludzi.

Był zupełnie na wprost tego ognia i w chwilach, gdy wiatr rozginał trzciny, mógł widzieć wszystko doskonale. Od pierwszego rzutu oka poznał koniuchów tatarskich, którzy siedzieli przy ognisku i jedli.

Wówczas odezwał się w nim straszny głód. Ostatniego rana zjadł kawalek koniny, którym nie nasyciłoby się i dwumiesięczne szczenię wilcze — od tego czasu nie miał nic w ustach.

Więc począł zrywać rosnące obok krągłe lodygi grązeli i wysysał je chciwie. Gasił niemi zarówno głód, jak i pragnienie, bo i pragnienie go trawiło.

Przytem ciągle wpatrywał się w ognisko, które bladło coraz bardziej i mdląło. Ludzie przy niem przesłaniali się jakby mgłą i zdawali się oddalać.

— Acha! sen mnie morzy! Tu usnę, na tej kępie — pomyślał rycerz.

Lecz przy ognisku uczynił się ruch. Koniuchowie wstali. Wkrótce do uszu Skrzetuskiego doszły wołania: „losz! losz!“ Odpowiedziało im krótkie rzenie. Ognisko opustoszało i przygasło. Po chwili jeszcze rycerz usłyszał gwizdanie i głuchy tupot kopyt po wilgotnej łące.

Skrzetuski nie mógł zrozumieć, czemu to koniuchowie odjeżdżają. Wtem spostrzegł, że kiście trzciny i tarcze grzybienia są jakieś bladawe — woda świeci się inaczej, jak od księżyca, a powietrze przesłania się lekką mgłą.

Obejrzał się — dniało.

Cała noc zeszła mu na okrażaniu stawu, nim doszedł do rzeki i bagienka.

Był zaledwie na początku drogi. Teraz musiał iść rzeką i przedostać się przez tabory za dnia.

Powietrze nasycalo się coraz więcej światłem brzasku. Na wschodzie niebo przybrało barwę bladego seledynu.

Skrzetuski spuścił się na nowo z kępy w bagno i dotarłszy po krótkiej przerwie do brzegu, wysadził głowę z trzciny.

W odległości pięciuset może kroków widać było jedną placówkę tatarską, zresztą łąka była pusta, tylko ognisko świeciło opodal na suchym miejscu dogasającym żarem; rycerz postanowił czolgnąć się ku niemu wśród wysokich traw, przerosniętych jeszcze tu i owdzie sitowiem.

Doczołgawszy się, szukał pilnie, czy nie znajdzie jakichś resztek żywności. Jakoż znalazł świeżo obgryzione kości baranie, ze szczątkami żył, tłuszczu, oraz kilka sztuk pieczonej rzepy, porzuconych w ciepłym popiele — jął więc jeść z żarłocznością dzikiego zwierza

i jadł, póki nie spostrzegł, że placówki porozstawiane na drodze, którą przebył, wracając tą samą łąką ku taborowi, zbliżają się ku niemu.

Wówczas rozpoczął odwrót i po kilku minutach znikł w ścianie trzcin. Odnalazszy swą kępkę, położył się na niej bez szelestu. Straże tymczasem przejechały. Skrzetuski wziął się natychmiast do kości, które zabrał ze sobą — a które poczęły teraz trzaskać w jego potężnych szczękach, jak w wilczych. Ogryzł tłuszcz i żyły, wyssał szpik, zżuł masę kostną — zaspokoił pierwszy głód. Takiej porannej uczyty nie miał od dawna w Zbarażu.

Uczuł się teraz silniejszym. Pokrzepiło go zarówno pożywienie, jak i wstający dzień. Robiło się coraz widać; wschodnia strona nieba z zielonawej stawała się różową i złotą, chłód poranny dokuczał wprawdzie mocno rycerzowi, ale pocieszała go myśl, że wkrótce słońce rozgrzeje jego strudzone ciało. Rozejrzał się dokładnie, gdzie jest. Kępa była dosyć duża, trochę krótka, bo okrągława, ale za to tak szeroka, że dwóch ludzi mogło się na niej z łatwością położyć. Trzciny otaczały ją naokół, jakby murem, zakrywając zupełnie przed ludzkimi oczyma.

— Nie znajdują mnie tu — myślał Skrzetuski — chyba za rybami chcieli po trzcinach chodzić, a ryb nie ma, bo od zgnilizny pozdychały. Tu sobie wypocznę i rozmyślę, co dalej czynić.

I począł myśleć, czy ma iść dalej rzeką, czy nie, nakoniec postanowił iść, jeżeli wstanie wiatr i będzie trzciny kołysał; w przeciwnym razie ruch i szelest mogłyby go zdradzić, zwłaszcza, że przyjdzie mu prawdopodobnie przechodzić blisko taboru.

— Dzięki ci Boże, żem żyw dotąd! — szepnął z cicha.

I wznosił oczy ku niebu, następnie myślą uleciał do polskich okopów. Zamek widać było z owej kępy doskonale, zwłaszcza, że ozłociły go pierwsze promienie wschodzącego słońca. Może tam z wieży spogląda kto na stawy i trzciny przez perspektywę, a już tam Wołodyjowski i Zagłoba pewno cały dzień będą wypatrywać z wałów, czy go nie ujrzą wiszącego na jakiej beluardzie?

— Otóż nie ujrzą! — pomyślał Skrzetuski i pierś napelniła mu się błogiem uczuciem ocalenia. — Nie ujrzą, nie ujrzą! — powtórzył kilkakrotnie. — Mało zrobiłem drogi, ale trzeba ją było zrobić. Bóg mi pomoże i dalej.

Tu zobaczył się już oczyma imaginacyi za tabo-rami — w lasach, za którymi stoją wojska królewskie: pospolite ruszenie z całego kraju, husarye, piechoty, regimenta cudzoziemskie — ziemia aż jęczy pod ciężarem ludzi, koni i armat, a między tem mrowiem sam Król Jegomość...

Potem ujrzał bitwę niezmierną, rozbite tabory — księcia z całą jazdą, lecącego po stosach trupów, powitanie się wojsk...

Oczy bolące i popuchłe przymykały mu się pod nadmiarem światła, a głowa chyliła się pod nadmiarem myśli. Poczynała go ogarniać jakaś błoga niemoc, wreszcie wyciągnął się całą swą długością i usnął.

Trzciny szumiały. Słońce wytoczyło się wysoko na niebo i ogrzewało gorącym spojrzeniem rycerza, suszyło na nim ubiór — on spał twardo, bez ruchu. Ktoby go spostrzegł tak leżącego na kępie, z okrwawioną twarzą,

tenby sądził, że to leży trup, który wyrzuciła woda. Miały godziny, on spał ciągle. Słońce dobiegło zenitu i poczęło schodzić na drugą stronę nieba, on spał jeszcze. Rozbudził go dopiero kwik przeraźliwy koni, gryzących się na łące, i głośnie wołanie koniuchów, smagających batami tabunne ogiery.

Przetarł oczy; spojrzal, przypomniał sobie gdzie jest. Spojrzal w górę: na czerwonym od niedogasłych blasków zachodu niebie migotały gwiazdy — przespał cały dzień.

Skrzetuski nie czuł się wypoczętym, ani silniejszym, owszem, bolały go wszystkie kości. Lecz pomyślał, że właśnie nowy trud przywróci mu rzeźkość ciała — i spuściwszy nogi w wodę, bezzwłocznie ruszył w dalszą drogę.

Szedł teraz tuż przy trzcinach, czystą wodą, by szelestem nie zwrócić uwagi pasących na brzegach koniuchów. Ostatnie blaski zgasły i było dość ciemno, bo księżyc jeszcze się nie ukazał z poza lasów. Woda była tak głęboka, że Skrzetuski tracił miejscami grunt pod nogami i musiał płynąć, co przychodziło mu ciężko, bo był w ubraniu i płynął pod bieg, który jakkolwiek leniwy, pchał go jednak nazad ku stawom. Ale za to najbystrzejsze oczy tatarskie nie mogły dostrzedz tej głowy, posuwającej się wzdłuż ciemnej ściany trzcin. Posuwał się więc dość śmiało, chwilami płynąc, a po większej części brodząc po pas i po pachy, aż wreszcie dotarł do miejsca, z którego oczy jego ujrzały po obu stronach rzeki tysiące i tysiące światel.

— To tabory — pomyślał — teraz Boże dopomóż!  
I słuchał.

Gwar zmieszanych głosów dochodził do jego uszu.



Tak, były to tabory. Po lewym brzegu rzeki, idąc z jej biegiem, stał obóz kozacki ze swoimi tysiącami wozów, namiotów — po prawym kosz tatarski — oba gwarne, hałaśliwe, pełne ludzkiego rozhoworu, dzikich dźwięków bębnow i piszczałek, ryku bydła, wielbłądów, rżenia koni, okrzyków. Rzeka przedzielała je, stanowiąc zarazem przeszkodę dla klótni i zabójstw, bo Tatarzy nie mogli spokojnie stać obok kozaków. Była też w tem miejscu szersza, a może rozkopano ją umyślnie. Ale z jednej strony wozy, z drugiej trzciniowe szalasy dochodziły, miarkując po ogniach. o kilkadziesiąt kroków od brzegów — nad samą zaś wodą stały zapewne straże.

Trzcina i sitowia rzedły — widocznie naprzeciw obozowisk były szczyrkowate brzegi. Skrzetuski posunął się jeszcze kilkadziesiąt kroków — i zatrzymał się. Jakaś potęga i groza szły ku niemu od tych mrowisk.

W tej chwili wydało mu się, że cała czujność i zaciekłość tych tysięcy istot ludzkich zwrócona jest ku niemu i czuł wobec nich zupełną niemoc, zupełną bezbronność. Był sam jeden.

— Nikt tędy nie przejdzie! — pomyślał.

Lecz posunął się jeszcze naprzód, bo ciągnęła go jakaś niepohamowana, bolesna ciekawość. Chciał bliżej spojrzeć na tę straszliwą potęgę.

Nagle stanął. Las trzcini kończył się, jakby nożem ucięty. Może też i wycięto je na szalasy. Dalej czysta fala czerwień się krwawo od przeglądających się w niej ognisk.

Dwa wielkie i jasne płomienie paliły się tuż nad brzegami. Przy jednym stał Tatar na koniu, przy drugim mołojec z długą spisą w ręku. Oba patrzyli na sie-

bie i na wodę. W dali widać było innych, tak samo stojących na straży i patrzących.

Blaski płomieni rzucały jakoby ognisty most przez rzekę. Pod brzegami widać było szeregi małych łódek, używanych do straży na stawie.

— Niepodobieństwo! — mruknął Skrzetuski.

I nagle chwyciła go rozpacz. Ani iść naprzód, ani się wracać! Oto doba ubiegała, jak tłukł się po błotach i bajorach, oddychał zgnilem powietrzem i mokł w wodzie na to tylko, by dotarłszy do tych właśnie taborów, przez które przejść się podjął, poznać, że to jest niepodobieństwem.

Lecz i powrót był niepodobieństwem; rycerz wiedział, że może znajdzie dość sił, by wlec się naprzód — nie znajdzie, by się cofać. W rozpacz jego była zarazem głucha wściekłość; w pierwszej chwili chciał wyjść z wody, zdławić straż, potem rzucić się na tłumy i zginąć.

Wiatr znowu zaszumiał dziwnym szeptem po trzcinach, przynosząc zarazem głos dzwonów ze Zbaraża. Skrzetuski począł modlić się żarliwie i bił się w piersi, i wzywał ratunku niebios z siłą i rozpacziwą wiarą tonącego; — on modlił się, a kosz i tabor huczały złowrogo, jakby w odpowiedzi na modlitwę — czarne i czerwone od ognia postacie snuły się, jak stada czortów po piekle — strażę stały nieruchomie — rzeka płynęła krwawą wodą.

— Ognie pogaszą, gdy noc głucha nastanie — rzekł sobie Skrzetuski i czekał.

Upłynęła jedna godzina i druga. Gwar zmniejszał się, ogniska istotnie poczęły zwolna przygasać — prócz dwóch strażniczych, które płonęły coraz silniej.

Straże zmieniały się — i widocznem było, że tak będą stać aż do rana.

Skrzetuskiemu przeszło przez myśl, że może zdoła łatwiej w dzień się przesliznąć — lecz wnet rozstał się z tą myślą. W dzień brano wodę, pojono bydło, kąpano się — rzeka musiała być pełna ludzi.

Nagle wzrok Skrzetuskiego padł na czołna. Po obu brzegach stało ich po kilkadziesiąt w szeregu, a ze strony tatarskiej sitowia dochodziły aż do pierwszych.

Skrzetuski zanurzył się po szyję w wodę i począł posuwać się zwolna ku nim, mając oczy utkwione, jak w tęczę, w tatarskiego strażnika.

Po upływie pół godziny był tuż tuż pierwszej łódki. Plan jego był prosty. Zadarte tyły czołen wznosiły się nad wodę, tworząc nad nią rodzaj sklepienia, przez które głowa ludzka mogła się z łatwością przecisnąć. Jeżeli wszystkie czołna stały bokiem do boku tuż obok siebie, strażnik tatarski nie mógł zobaczyć przesuwającej się pod nimi głowy; więcej niebezpieczny był kozacki — ale i ten mógł nie dojrzeć, bo pod czołnami, mimo przeciwległego ognia, panował mrok. Zresztą nie było innej drogi.

Skrzetuski nie wahał się dłużej i wkrótce znalazł się pod tyłami czołen.

Lazł na czworakach, a raczej czołgał się, bo woda była płytka. Był tak blisko stojącego na brzegu Tatarów, że słyszał parskanie jego konia. Zatrzymał się przez chwilę i słuchał. Czołna na szczęście były zestawione bokami. Oczy miał teraz utkwione w kozackiego strażnika, którego widział jak na dłoni. Ale ten patrzył w kosz tatarski. Rycerz minął z piętnaście czołen, gdy nagle usłyszał tuż nad brzegiem kroki

i głosy ludzkie. Przyczał się natychmiast i słuchał. W podróżach do Krymu nauczył się po tatarsku — i teraz dreszcz przebiegł go po całym ciele, gdy usłyszał słowa rozkazu:

— Siadać i jechać!

Skrzetuskiemu zrobiło się gorąco, chociaż był w wodzie. Jeżeli jadący siadają w to czółno, pod którym w tej chwili się ukrywa, to zginął, jeżeli siadają w które ze stojących na przedzie, to także zginął, bo pozostanie puste, oświecone miejsce.

Każda sekunda wydała mu się godziną. Wtem kroki zadudniały w deski — Tatarzy siedli w czwarte lub piąte czółno tuż za nim — zepchnęli je i poczęli płynąć w kierunku stawu.

Lecz czynność ta zwróciła na czółna oczy kozackiego strażnika. Skrzetuski przez jakie pół godziny ani drgnął. Dopiero gdy straż zmieniono, począł posuwać się dalej.

W ten sposób dotarł do końca czółen. Za ostatniem zaczynały się znów sitowia, a dalej trzciny. Dostawszy się do nich, rycerz, zziębnięty, spotniały, padł na kolana i dziękował Bogu całym sercem.

Posuwał się teraz nieco śmielej, korzystając ze wszystkich powiewów, które napelniały szumem brzegi. Od czasu do czasu oglądał się za siebie. Ognie strażnicze zaczęły się oddalać, przesłaniać, migotać, słabnąć. Smugi trzciny i sitowia stawały się coraz czarniejsze, gęstsze, bo brzegi były bagnistsze. Straże nie mogły stać blisko — gwar obozowiska słabnął. Jakaś nadludzka siła skrzepiła członki rycerza. Darł się przez trzciny, kępy, zapadał w błota, topił się, płynął i podnosił się znowu. Nie śmiał jeszcze wyjść na brzeg — ale prawie czuł się

już ocalony. Sam nie umiał sobie zdać sprawy, jak długo tak szedł, brnął, ale gdy znów obejrzał się — ognie strażnicze wydawały się jakby punkciki świecące w dali. Po kilkuset krokach znikły zupełnie. Księżyc zeszedł; naokoło była cisza. W tem szum się ozwał większy i poważniejszy, niż szum trzcin. Skrzetuski omal nie krzyknął z radości: las był z obu stron rzeki.

Wówczas skierował się ku brzegom i wychynął z trzcin. Bór sosnowy zaczynał się tuż za sitowiem i trzciniami. Zapach żywicy doszedł do jego nozdrzy. Gdzieś w czarnych głębiach świeciły jak srebro paprocie.

Rycerz po raz drugi upadł na kolana i ziemię całował w modlitwie.

Był ocalony.

Potem zagłębił się w ciemność leśną, pytając samego siebie, dokąd ma iść? — gdzie go zaprowadzą te lasy, gdzie jest król i wojsko?

Droga nie była skończona — nie była łatwa ani bezpieczna — ale gdy pomyślał, że wydostał się ze Zbaraża, że przekradł się przez strażę, błota, i tabory i pół milionowe blisko zastępy nieprzyjaciół — wtedy wydawało mu się, że wszystkie niebezpieczeństwa przemięły — że ten bór, to gościniec jasny, który poprowadzi go wprost do królewskiego majestatu.

I szedł ten nędzarz zgłodniały, zziębnięty, mokry, uwalany we własnej krwi, w czerwonej rudzie i czarnem błocie — z radością w sercu, z nadzieją, że wkrótce inaczej, potężniej wróci do Zbaraża.

— Już nie zostaniecie w głodzie i bez nadziei — myślał o druhach w Zbarażu — bo króla sprowadzę!

I cieszyło się to serce rycerskie blizkim ratunkiem dla księcia, dla regimentarzy, dla wojska, dla Wołodjowskiego, i Zagłoby i wszystkich tych bohaterów, zamkniętych w zbarazkim okopie.

Głębie leśne otwierały się przed nim i osłaniały go cieniem.

---

## ROZDZIAŁ VII.

We dworze toporowskim, w bawialnej komnacie siedziało wieczorem trzech panów, zamkniętych na tajemnej rozmowie. Kilka świec jarzących paliło się na stole pokrytym kartami, przedstawiającemi okolicę, obok nich leżał wysoki kapelusz z czarnem piórem, perspektywa, szpada z perłową rękojeścią, na którą narzucona była koronkowa chustka, i para losiowych rękawiczek. Za stołem, w wysokiem poręczowem krześle siedział człowiek, mający lat około czterdziestu, dość drobny i szczupły, ale silnie zbudowany. Twarz miał śniadą, żółtawą, zmęczoną, czarne oczy i takąż szwedzką perukę, z długimi lokami, spadającymi na plecy i ramiona. Rządki, czarny wąs, zaczesany przy końcach ku górze, zdobił jego górną wargę, dolna zaś, wraz z brodą, wystawała silnie naprzód, nadając całej fizygnomii charakterystyczny rys lwiej odwagi, dumy i uporu. Nie była to twarz piękna, ale wysoce niepospolita. Wyraz zmysłowy, oznaczający skłonność do uciech, łączył się w niej w dziwny sposób z pewną senną martwością i chłodem. Oczy były jakby przygasłe, ale odgadywałeś łatwo, że w chwili uniesienia, wesołości lub gniewu mogły rzucać błyskawice, które nie każdy wzrok zdołałby wytrzymać. Jednocześnie zaś malowała się w nich dobroć i łagodność.

Czarny ubiór, złożony z atlasowego kaftana i koronkowej kryzy, z pod której wyglądał złoty łańcuch, podnosił dystynkcyą tej niezwyklej postaci. Wogóle, mimo smutku i trosk widocznych w licu i postawie, było w niej coś majestatycznego. Jakoż był to sam król, Jan Kazimierz Waza, niespełna od roku następca po bracie Władysławie.

Nieco za nim, w półcieniu, siedział Hieronim Radziejowski, starosta łomżyński, człowiek niski, gruby, rumiany, z tłustą i beczelną twarzą dworaka, a naprzeciwko, za stołem trzeci pan, wsparty na łokciu, patrzył w karty przedstawiające okolice, podnosząc od czasu do czasu wzrok na króla.

Oblicze jego, miało w sobie mniej majestatu, ale prawie więcej jeszcze urzędowej godności, niż królewskie. Była to poorana troskami i myślą, chłodna i rozumna twarz męża stanu, której surowość nie psuła nadzwyczajnej piękności. Oczy miał błękitne, przenikliwe, cerę mimo wieku delikatną; polski wspaniały strój, szwedzka strzyżona broda i wysoki chochół nad czołem, dodawały jeszcze jego regularnym, jakby z kamienia wykutym rysem, senatorskiej powagi.

Był to Jerzy Ossoliński, kanclerz koronny i książę rzymskiego państwa, mówca i dyplomata, podziwiany przez dwory europejskie, sławny przeciwnik Jeremiego Wiśniowieckiego.

Nadzwyczajne jego zdolności wcześniej zwróciły nań uwagę poprzednich panowań i wcześniej wyniosły go do najwyższych urzędów, na mocy których sterował całą nawą państwową — w obecnej chwili blizką ostatecznego rozbicia.

A jednak kanclerz był jakby stworzony na sternika



takiej nawy. Pracowity, wytrwały, rozumny, patrzący w dalszą przyszłość, obrachowujący na długie lata, wiódłby każde inne państwo, z wyjątkiem Rzeczypospolitej, do bezpiecznej przystani, pewną i spokojną ręką; — każdemu innemu zapewniłby siłę wewnętrzną i długie lata potęgi... gdyby tylko był samowładnym ministrem takiego na przykład monarchy, jak król francuski lub hiszpański.

Wychowany poza granicami kraju, wpatrzony w obce wzory, mimo całej wrodzonej bystrości i rozumu, mimo długoletniej praktyki, nie mógł przywyknąć do bezsilności rządu w Rzeczypospolitej i nie nauczył się z nią przez całe życie rachować, chociaż to była skala, o którą rozbili się wszystkie jego plany, zamiary, usiłowania — choć z jej przyczyny, teraz już widział w przyszłości przepaść i ruinę, a później umierał z rozpaczą w sercu.

Był to genialny teoretyk, który nie umiał być genialnym praktykiem — i wpadł w koło błędne bez wyjścia. Wpatrzony w jakąś myśl, mającą wydać owoce w przyszłości, szedł ku niej z uporem fanatyka, nie bacząc, że ta myśl, w teorii zbawienna, może wobec istniejącego stanu rzeczy wydać w praktyce straszliwe klęski.

Chcąc wzmocnić rząd i państwo, rozpętał straszliwy żywioł kozacki, nie przewidziawszy, że burza zwróci się nie tylko przeciw szlachcie, magnackim latyfundiom, nadużyciom, swawoli szlacheckiej, ale przeciw najrdzenniejszym interesom samego państwa.

Wstał ze stepów Chmielnicki i urósł w olbrzyma. Na Rzeczpospolitą zwały się klęski Żółtych wód, Korsunia, Piławiec. Na pierwszym kroku tenże Chmielnicki połączył się z wrogą, krymską potęgą. Grom padał za

**gromem** — pozostawała tylko wojna i wojna. Straszliwy żywioł należało przedewszystkiem zgnieść, by módz w przyszłości z niego korzystać — a kanclerz, zapatrzony w swą myśl, jeszcze paktował i zwłóczył — i wierzył jeszcze — nawet Chmielnickiemu!

Siła rzeczy zdruzgotała jego teorye; z każdym dniem okazywało się jaśniej, że skutki usiłowań kanclerskich są wprost oczekiwanym przeciwne — aż wreszcie przyszedł Zbaraż i stwierdził to najdowodniej.

Kanclerz upadał pod brzemieniem zgryzot, goryczy i nienawiści powszechnej.

Więc czynił tak, jak czynią w dniach niepowodzeń i klęsk ludzie, u których wiara w siebie jest silniejszą nad wszelkie klęski: szukał winnych.

Winną była cała Rzeczpospolita i wszystkie stany, jej przeszłość i ustrój państwowy, ale, kto z obawy by skała, leżąca na skłonie góry, nie runęła w przepaść, pragnie ją wtoczyć na wierzch, a nie policzy się z siłami, ten przyspieszy tylko jej upadek. Kanclerz uczynił więcej i gorzej, bo do pomocy wezwał rwący, straszliwy potok kozaczy, nie bacząc, że pęd jego może tylko podmulić i powyrywać grunt, na którym skała spoczywa.

Więc gdy on szukał winnych — wzajem i na niego zwracały się wszystkie oczy, jako na sprawcę wojny, klęsk i nieszczęść.

Ale król wierzył w niego jeszcze i wierzył tembardziej, że głos powszechny, nie oszczędzając powagi majestatu — obwinił i jego samego, na równi z kanclerzem.

Siedzieli więc w Toporowie, strapieni i smutni, nie wiedząc dobrze, co im począć należy, bo przy królu było tylko dwadzieścia pięć tysięcy wojska. Wici rozesłano

za późno i zaledwie część pospolitego ruszenia ściągnęła do tego czasu. Kto był przyczyną tej zwłoki i czy nie była ona jednym więcej błędem upartej polityki kancle-rza — tajemnica zaginęła między królem i ministrem — dość, że w tej chwili czuli się obaj bezbronni wobec potęgi Chmielnickiego.

Co ważniejsza jeszcze: nie mieli dokładnych o nim wieści. W obozie królewskim nie wiedzano dotąd, czy chan z całą potęgą znajduje się przy Chmielnickim, czy też towarzyszy tylko kozakom Tuhaj-bej z kilkoma ty-siącami ordy. Było to pytanie tak ważne, jak śmierć lub życie. Z samym Chmielnickim mógłby w ostatecz-ności król popробować szczęścia, choć i buntowniczy hetman dziesięć razy większą siłą rozporządzał. Urok imienia królewskiego znaczył dla kozaków wiele — wię-cej może niż tłumy pospolitego ruszenia niesfornej i nie-wyćwiczonej szlachty — ale jeżeli i chan był obecny, mierzyć się z taką przemocą było niepodobieństwem.

Tymczasem były najrozmaitsze o tem wieści, a nikt nic nie wiedział dokładnie. Przewrotny Chmielnicki skupił się, nie wypuścił ani jednego oddziału molojców, ani zagonika Tatarów umyślnie, aby król nie mógł dostać języka. Buntowniczy hetman inny miał zamiar — oto zamknąć częścią swych sił konający już Zbaraż, a sa-memu zjawić się niespodzianie, z całą potęgą tatarską i kozacką, przed królem — otoczyć go wraz z wojskiem i wydać w ręce chana.

Więc nie bez powodu chmura okryła teraz twarz królewską, bo niemasz większej dla majestatu boleści, jak poczucie niemocy. Jan Kazimierz wsparł się bez-władnie o grzbiet krzesła, rękę rzucił na stół i rzekł ukazując na karty:

— Na nic to, na nic! Języków mi dostańcie.

— Niczego i ja więcej sobie nie życzę — odparł Ossoliński.

— Czy podjazdy wróciły?

— Wróciły, ale nic nie przywiozły.

— Ani jednego jeńca?

— Tylko chłopów okolicznych, którzy nic nie wiedzą.

— A pan Pelka wrócił? To przecie sławny za-  
gończyk.

— Miłościwy królu! — ozwał się z za krzesła sta-  
rosta łomżyński — pan Pelka nie wrócił i nie wróci,  
bo poległ.

Nastąpiła chwila milczenia. Król utkwiał posępny  
wzrok w płonące świece i począł bębnić palcami po stole.

— Nie macieże żadnej rady? — rzekł wreszcie.

— Czekać! — rzekł poważnie kanclerz.

Czoło Jana Kazimierza pokryło się zmarszczkami.

— Czekać? — powtórzył — a tam Wiśniowiecki  
i regimentarze zgorzeją pod Zbarażem!

— Jeszcze czas jakiś wytrzymają — rzekł niedbale  
Radziejowski.

— Milczalbyś, mości starosto, gdy nie masz nic  
dobrego do powiedzenia.

— Właśnie, Miłościwy Panie, że mam radę.

— Jaką?

— Posłać kogo, niby dla układów z Chmielnickim,  
pod Zbaraż. Posel przekona się, czy chan jest własną  
osobą i z powrotem powie.

— Nie może być — rzekł król. — Teraz, gdyśmy  
Chmielnickiego za buntownika ogłosili, i cenę nałożyli  
na jego głowę i buławę nad Zaporozem Zabuskiemu od-

dał, nie przystoi naszej powadze wchodzić z Chmielnickim w rokowania.

— To do chana wysłać — odrzekł starosta.

Król zwrócił pytający wzrok na kanclerza, który podniósł nań swe błękitne, surowe źrenice i po chwili namysłu ozwał się:

— Rada byłaby dobra, ale Chmielnicki bez żadnej wątpliwości posła zatrzyma — i dlatego na nic się to nie przydało.

Jan Kazimierz machnął ręką.

— Widzimy — rzekł zwolna — że nie macie żadnego sposobu — tedy ja wam mój powiem. Oto każę trąbić wsiadanego i ruszę z całym wojskiem pod Zbaraż. Niechże się dzieje wola Boża! Tam się dowiemy, czy chan jest, czy go niema.

Kanclerz znał niczem niepowstrzymaną odwagę króla i nie wątpił, że to uczynić gotów. Z drugiej strony wiedział z doświadczenia, iż gdy król coś zamierzy i zacieśnić się w przedsięwzięciu, tedy żadne odmowy nie pomogą. Więc nie sprzeciwiał się od razu, pochwalil nawet myśl, ale odradzał pośpiech: przekładał królowi, że można to uczynić jutro lub pojutrze — a tymczasem mogą nadejść pomyślnie nowiny. Każdy dzień będzie powiększał rozprężenie między czernią, znękaną klęskami pod Zbarażem i wieścią o zbliżaniu się królewskiem. Bunt może stopnieć od promieni majestatu, jak śnieg od promieni słonecznych — ale trzeba mu dać czas. Król zaś nosi w sobie ocalenie całej Rzeczypospolitej i pod odpowiedzialnością wobec Boga i potomności nie powinien się narażać, tem bardziej, że w razie nieszczęścia, wojska zbaraskie byłyby właśnie zgubione bez ratunku.

— Róbcie co chcecie, byłem miał języka na jutro.

I znów nastąpiła chwila milczenia. W oknie stanął ogromny złoty księżyc, ale w komnacie pociemniało, bo grzyby urosły na knotach świec.

— Która godzina? — pytał król.

— Północ blisko — odrzekł Radziejowski.

— Nie będę spał tej nocy. Obóz objadę, a wy jedźcie ze mną. Gdzie Ubald i Arciszewski?

— W obozie. Pójdę rzec, by konie podano — odpowiedział starosta.

I zbliżył się ku drzwiom; wtem, w sieni, uczynił się jakiś ruch, słychać było przez chwilę żywą rozmowę, odgłos pośpiesznych kroków, wreszcie drzwi otworzyły się na rozcież i wpadł zdyszany Tyzenhauz, rękodajny dworzanin królewski.

— Miłościwy królu! — zawołał — przybył towarzysz ze Zbaraża!!

Król zerwał się z krzesła, kanclerz powstał również i obydwom wyrwał się z ust okrzyk:

— Nie może być!!

— Tak jest! stoi w sieniach.

— Dawaj go sam! — zawołał król, klasnąwszy w dłonie. — Niech umorzy frasunek. Dawaj go sam, na Matkę Najświętszą!

Tyzenhauz zniknął w drzwiach i po chwili, zamiast niego, pojawiła się w nich jakaś wysoka, nieznana postać.

— Bliżej, mości panie! — wołał król — bliżej! Radzi cię widzimy!

Towarzysz przysunął się aż do stołu i na jego widok król, kanclerz i starosta łomżyński cofnęli się w zdumieniu. Przed nimi stał jakiś straszny człowiek, a raczej widmo; lachmany, podarte na strzępki, zaledwie okrywały jego wychudłe ciało; twarz miał siną, umazaną

blotem i krwią; oczy płonące gorączkowem światłem, czarna rozczochrana broda spadała mu na piersi, zapach trupi rozchodził się od niego naokoło, a nogi tak drżały pod nim, że musiał się o stół wesprzeć.

Król i dwaj panowie patrzyli na niego szeroko otworzonymi oczyma. W tej chwili drzwi otworzyły się i weszła churma dygnitarzy wojskowych i cywilnych: generalowie Ubald, Arciszewski, podkanclerzy litewski Sapięha, starosta rzeczycki, pan sandomierski. Wszyscy, stanawszy za królem, patrzyli na przybysza — król zaś rzekł:

— Ktoś ty?

Nędzarz otworzył usta, chciał mówić, ale skurcz chwycił go za szczękę, broda zaczęła mu drgać i zdołał wyszeptać tylko:

— Ze... Zbaraża!

— Wina mu dajcie! — rzekł jakiś głos.

Podano w mgnieniu oka napelniony kubek — przybysz wypił go z wysileniem. Przez ten czas kanclerz rzucił z siebie delią i okrył nią jego ramiona.

— Możesz teraz mówić? — pytał po niejakiem czasie król.

— Mogę — odpowiedział pewniejszym głosem rycerz.

— Ktoś jest?

— Jan Skrzetuski... porucznik husarski...

— W czyjej służbie?

— Wojewody ruskiego.

Szmer rozszedł się po sali.

— Co słyhać u was? co słyhać? — pytał gorączkowo król.

— Nędza... głód... jedna mogiła...

Król zasłonił oczy.

— Jezusie Nazareński! Jezusie Nazareński! — mówił cichym głosem.

Po chwili znów spytał:

— Długo się możecie trzymać?

— Prochów brak. Nieprzyjacieli w wałach...

— Siła go?

— Chmielnicki... Chan ze wszystkimi ordami.

— Chan jest?

— Tak...

Nastąpiło głuche milczenie. Obecni spoglądali po sobie — niepewność odmalowała się na wszystkich twarzach.

— Jakżeście mogli wytrzymać? — spytał kanclerz z akcentem wątpliwości.

Na te słowa Skrzetuski podniósł głowę, jakby nowa wstąpiła weń siła, błyskawica dumy przebiegła mu przez twarz i odrzekł nadspodziewanie silnym głosem:

— Dwadzieścia szturmów odpartych, szesnaście bitew w polu wygranych, siedmdziesiąt pięć wycieczek...

I znowu nastąpiło milczenie.

Wtem król wyprostował się, wstrząsnął peruką, jak lew grzywą, na żółtawą twarz wystąpiły mu rumieńce, a oczy płomieniały.

— Na Boga! — krzyknął — dosyć mi tych rad, tego stania, tej zwłoki! Jest chan, czy go niema, przyszło, pospolite ruszenie, czy nie przyszło, na Boga! dosyć mi tego! Dziś jeszcze ruszamy pod Zbaraż!

— Pod Zbaraż! pod Zbaraż! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów.

Twarz przybysza rozjaśniła się, jak zorza.



— Miłościwy królu i panie! — rzekł — przy tobie żyć i umierać!...

Na te słowa szlachetne serce królewskie zmięкло jak wosk, i nie zważając na wstrętą postać rycerza, pan ścisnął mu głowę rękoma i rzekł:

— Milszyś mi, niżeli inni w atlasach. Na Matkę Najświętszą, mniejszych starostwami nagradzają — jakoż nie będzie to bez nagrody, coś uczynił. Nie przecz! dłużnikiem ci jestem!

A inni zaraz poczęli wykrzykiwać za królem:

— Nie było jeszcze większego rycerza!

— Ten jest i między zbaraskimi najprzedniejszy!

— Nieśmiertelną chwałę pozyskał!

— Jakżeś to się przez kozaków i Tatarów przedarł?..

— W błotach się ukrywałem, w trzcinach, lasami szedłem... błądziłem... nie jadłem.

— Jeść mu dajcie! — krzyknął król.

— Jeść! — powtórzyli inni.

— Okryć go!

— Niech ci jutro konia i szaty dadzą — rzekł znowu król. — Na niczem ci zbywać nie będzie.

Wszyscy prześcigali się, za przykładem króla, w pochwałach dla rycerza. Wnet poczęto go znowu zarzucać pytaniami, na które z największą trudnością odpowiadał, bo osłabienie ogarniało go coraz większe i ledwie już na wpół był przytomny. Wtem przyniesiono posiłek, a zarazem wszedł ksiądz Cieciszowski, kaznodzieja królewski.

Rozstąpili mu się dygnitarze, bo był to ksiądz wielce uczony, poważany i słowo jego prawie więcej jeszcze znaczyło u króla, niż kanclerskie, a z ambony wypowiadał, bywało, takie rzeczy, których i na sejmie

nie bardzo kto śmiał poruszyć. Otoczono go tedy i poczęto rozpowiadać, że oto przyszedł towarzysz ze Zbaraża, że tam ksiązę, lubo w głodzie i mizeryi, gromi jeszcze chana, który jest obecny własną osobą, i Chmielnickiego, który przez cały zeszyły rok tylu ludzi nie utracił, ilu pod Zbarażem — nakoniec, że król chce ruszać na odsiecz, choćby mu z całym wojskiem zgorzeć przyszło.

Ksiądz słuchał w milczeniu, poruszając wargami i spoglądając co chwila na wynędzniałego rycerza, który jadł przez ten czas, bo mu król nie kazał zważać na swą obecność i sam go jeszcze pilnował, a od czasu do czasu przepijał do niego z małego srebrnego kusztyczka.

— A jakże się zowie ów towarzysz? — spytał wreszcie ksiądz.

— Skrzetuski.

— Czy nie Jan?

— Tak jest.

— Porucznik księcia wojewody ruskiego?

— Tak jest.

Ksiądz wznosił pomarszczoną twarz w górę i znów modlić się począł, a potem rzekł:

— Chwalmy imię Pana, bo niezbadane są drogi, któremi człowieka do szczęśliwości i spokoju prowadzi, Amen. Ja tego towarzysza znam.

Skrzetuski dosłyszał i mimowoli zwrócił oczy na twarz księdza — ale twarz, postać i głos obce mu były zupełnie.

— Więc waszność to jeden z całego wojska podjąłeś się przejść przez obozy nieprzyjacielskie? — spytał go ksiądz.

— Poszedł przedemną towarzysz zacny, ale zginął — odpowiedział Skrzetuski.

— Tem większa twoja zasługa, żeś się potem iść ważył. Miarkuję po twojej nędzy, że straszna to musiała być droga. Bóg wejrzał na twą ofiarę, na twą cnotę, na twoją młodość i przeprowadził cię.

Nagle ksiądz zwrócił się do Jana Kazimierza:

— Miłościwy królu — rzekł — więc to nieodmienne postanowienie W. Królewskiej Mości iść na ratunek księciu wojewodzie ruskiemu?

— Modlitwom waszym, ojcze — odpowiedział król — poruczam ojczyznę, wojsko i siebie, bo wiem, że straszna to impreza, ale już nie mogę pozwolić, aby ksiązę wojewoda zgorzał w tym nieszczęsnym okopie z takim rycerstwem, jak owo ten towarzysz, który tu jest przed nami.

— Bóg spuści wiktoryą! — zawołało kilkanaście głosów.

Ksiądz wznosił ręce do góry i nastąpiła cisza w sali.

— Benedico vos, in nomine Patris, et Filii et Spiritus sancti.

— Amen! — rzekł król.

— Amen! — powtórzyły wszystkie głosy.

Spokój rozlał się po stroskanej dotychczas twarzy Jana Kazimierza i tylko oczy jego rzuciły blask niezwykły. Między zgromadzonymi rozległ się szmer rozmowy o blizkiej wyprawie, bo wielu jeszcze wątpiło, by król mógł wyruszyć natychmiast, on zaś wziął ze stołu szpadę i skinął na Tyzenhauza, by mu ją przypiął.

— Kiedy wasza królewska mość chcesz ruszyć? — pytał kanclerz.

— Bóg zdarzył noc pogodną — odparł król —

konie się nie pogrzeją. Mości strażnikowi obozowemu — dodał, zwracając się ku dygnitarzom — każ otrąbić wsia-  
danego.

Strażnik ruszył natychmiast z komnaty. Kanclerz Ossoliński ozwał się z cichą uwagą, że nie wszyscy go-  
towi i że wozy nie będą mogły ruszyć przededniem, ale  
król odparł natychmiast:

— Komu wozy milsze od ojczyzny i majestatu, to  
niech zostanie.

Sala poczęła się wypróżniać. Każdy śpieszył do  
swej chorągwi, by ją „na nogi postawić“ i do pochodu  
sprawić. Zostali w komnacie tylko król, kanclerz, ksiądz  
i pan Skrzetuski z Tyzenhauzem.

— Miłościwy panie — rzekł ksiądz — czegoście  
się mieli dowiedzieć od tego towarzysza, toście się już  
dowiedzieli. Trzeba mu też dać folgę, bo się ledwie  
trzyma na nogach. Pozwólże mnie Wasza Królewska  
Mość wziąć go do mojej kwatery i przenocować.

— Dobrze ojcie — odrzekł król. — Słuszne są żą-  
dania. Niech go Tyzenhauz i kto drugi odprowadzi, bo  
sam już pewnie nie zajdzie. Idź, idź, towarzyszu miły,  
nikt tu lepiej od ciebie na spoczynek nie zarobił. A pa-  
miętaj, żem ci dłużnikiem. O sobie wprzód zapomnę,  
nim o tobie!

Tyzenhauz chwycił Skrzetuskiego pod ramię i wy-  
szli. W sieniach spotkali starostę rzeczyckiego, który  
podparł z drugiej strony chwiejącego się rycerza; przod-  
em szedł ksiądz, przed nim zaś pacholik z latarnią.  
Ale pacholik niepotrzebnie świecił, bo noc była widna,  
cicha, ciepła. Wielki, złoty księżyc płynął jak korab nad  
Toporowem. Z majdanu obozowego dochodziły gwar  
ludzki, skrzypienie wozów i odgłosy trąb, grających po-

budkę. Zdala przed kościołem, oświeconym blaskiem miesiąca, widać już było gromady żołnierzy konnych i pieszych. We wsi konie rżały. Ze skrzypieniem wozów łączył się dźwięk łańcuchów i głuchy hurkot armat — gwar wzmagał się coraz bardziej.

— Ruszają już! — rzekł ksiądz.

— Pod Zbaraż... na ratunek... — wyszeptał Skrzetuski.

I niewiadomo czy z radości, czy z trudów przebytych, czy dla obojga razem, zesłabł tak, że Tyzenhauz i starosta rzeczycki prawie go wlec musieli.

Tymczasem, kierując się ku plebanii, weszli między żołnierzy stojących przed kościołem. Były to chorągwie sapieżyńskie i piechota Arciszewskiego. niesprawni jeszcze do pochodu, stali żołnierze bezładnie, tłocząc się miejscami i zagradzając przejście.

— Z drogi! z drogi! — wołał ksiądz.

— A kto tam szuka drogi?

— Towarzysz ze Zbaraża.

— Czołem mu! czołem! — wołały liczne głosy.

I rozstępowali się zaraz, ale inni tłoczyli się jeszcze bardziej, chcąc widzieć bohatera. I patrzyli zdumieni na tę nędzę, na tę twarz straszną, oświeconą blaskiem księżycy — i szeptali do siebie zdumieni:

— Ze Zbaraża, ze Zbaraża...

Z największym trudem doprowadził ksiądz Skrzetuskiego do plebanii. Tam go, wykapanego, obmytego z błota i krwi, kazał złożyć na łóżku miejscowego plebana, a sam wyszedł natychmiast do wojsk, które ruszały w pochód.

Skrzetuski był na wpół przytomny, ale gorączka nie pozwalała mu usnąć zaraz. Nie wiedział już jednak

gdzie jest i co się stało. Słyszał tylko gwar, tętent, skrzy-  
pienie wozów, grzmiący pochód piechoty, krzyki żołnie-  
rzy, odgłos trąb — i wszystko zlało się w jego uszach  
w jeden ogromny szum... „Wojsko idzie“ — mruknął  
sam do siebie... Tymczasem szum ów począł się oddalać,  
słabiec, niknąć, topnieć.. aż wreszcie cisza objęła Toporów.

Wówczas zdawało się Skrzetuskiemu, że razem  
z łożem leci w jakąś przepaść bez dna...

---

## ROZDZIAŁ VIII.

Spał dni kilka, a i po przebudzeniu nie opuszczała go jeszcze zła gorączka — i długo jeszcze majaczył, gadał o Zbarażu, o księciu, o staroście krasnostawskim, rozmawiał z panem Michałem i z Zagłobą, krzyczał: „nie tędy!” na pana Longina Podbipiętę — o kniaziównie tylko ani razu nie wspomniał. Widać było, że ta siła niezmierna, przez którą zamknął w sobie raz na zawsze pamięć o niej, nie opuszcza go nawet w osłabieniu i chorobie. Natomiast zdawało mu się, że widzi nad sobą pucolowatą twarz Rzędziana, zupełnie jak widział ją wówczas, kiedy to księżę po konstantynowskiej bitwie wysłał go z chorągwiami pod Zasław, by tam wyścinał kupy swawolne, a Rzędzian zjawił się niespodzianie na noclegu. I ta twarz wprowadzała zamęt do jego myśli, bo mu się majaczyło, że czas stanął w swym biegu i że nic się od owej pory nie zmieniło. Oto jest znowu nad Chomorem i śpi w chacie, a zbudziwszy się, ruszy do Tarnopola odprowadzić chorągwie... Krzywonos, pogromion pod Konstantynowem, uciekł do Chmielnickiego... Rzędzian nadjechał z Huszczy i siedzi nad nim... Skrzetuski chciałby przemówić, chciałby wydać polecenie pacholikowi, by kazał konie kulbaczyć — ale nie może...

I znowu przychodzi mu do głowy, że nie jest nad Chomorem i że przecie od tego czasu było wzięcie Baru — tu pan Skrzetuski zacina się w bólu i nieszczęsna jego głowa znowu pogrąża się w ciemności. Nic już nie wie, nic nie widzi — lecz po chwili z tej nocy, z tego chaosu wyłania się Zbaraż... obłączenie... Więc nie jest nad Chomorem? A jednak Rzędzian siedzi nad nim, pochyla się ku niemu. Przez serca wycięte w okiennicach wpada do izby wiązka jasnego światła i oświeca doskonale twarz pacholka, pełną troskliwości i współczucia...

— Rzędzian! — woła nagle pan Skrzetuski.

— O mój jegomość! że też już jegomość mnie poznał! — wykrzykuje pacholek i przypada do nóg pańskich. — Myślałem, że już jegomość nigdy się nie rozbudzi...

Nastala chwila milczenia — słychać było tylko szlochanie pacholka, który wciąż ściszał nogi pańskie.

— Gdziem jest? — pyta pan Skrzetuski.

— W Toporowie... Jegomość ze Zbaraża do króla Jegomości przyszedł... Chwała Bogu! chwała Bogu!

— A król gdzie jest?

— Poszedł z wojskiem na ratunek księciu wojewodzie.

Nastala znowu chwila milczenia. Łzy radości spływały ciągle po twarzy Rzędziana, który po chwili zaczął powtarzać wzruszonym głosem:

— Że też ja jegomościę ciało jeszcze oglądam...

Potem wstał i otworzył okiennicę, a z nią i okno.

Poranne świeże powietrze wpadło do izby, a z niem i jasne światło dzienne. Z tem światłem wróciła Skrzetuskiemu cała przytomność...

Rzędzian usiadł w nogach łóżka...



— Tom ja ze Zbaraża wyszedł? — pyta rycerz.

— Tak jest, mój jegomość... Nikt tego dokazać nie mógł, czego jegomość dokazał, i z jegomościnej przychyny król na ratunek poszedł.

— Pan Podbipięta przedemną próbował, ale zginął..

— O dla Boga! Pan Podbipięta zginął? Taki hojny pan i cnotliwy!... Aż mi dech zaparło... Zali oni takiemu mocarzowi mogli dać rady...

— Z luków go ustrzelili...

— A pan Wołodyjowski i pan Zagłoba?

— Zdrowi byli, jakem wychodził.

— To chwała Bogu. Wielcy to jegomości przyjaciele... Jeno mi ksiądz mówić zakazał..

Rzędzian umilkł i przez czas jakiś pracował głową. Zamyślenie odbiło się wyraźnie na jego pucolowatym obliczu. Po chwili ozwał się:

— Jegomość?

— A czego?

— A co też się z fortuną pana Podbipięty stanie? Podobno to tam wsiów i wszelkiej dobroci bez liku... Zali przyjaciołom czego nie zapisał, bo, jak słyszałem, nie miał rodziny?

Skrzetuski nie odpowiedział nic, więc Rzędzian poznał, że mu nie w smak pytanie i tak znów mówić począł:

— Ale chwalić Boga, że pan Zagłoba i pan Wołodyjowski zdrowi; myślałem, że ich Tatarzy ogarnęli... Siła my biedy razem przeszli... jeno mi ksiądz mówić zakazał... Ej, mój jegomość, myślałem, że już ich nigdy nie zobaczę, bo nas orda tak przycisnęła, że rady nijakiej nie było.

— Toś ty był z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą? Nic mi o tem nie wspominali.

— Bo i oni nie wiedzieli, czym ocalał, czym zginął...

— A gdzie to was orda tak przycisnęła?

— A za Płoskirowem, w drodze do Zbaraża. Bo my, mój jegomość, daleko aż za Jampol jeździli... jeno ksiądz Cieciszowski mówić zakazał...

Nastąpiła chwila ciszy.

— Niechże wam Bóg zapłaci za wasze chęci i trudy— rzekł Skrzetuski — bo już wiem, pociście tam jeździli. Byłem i ja tam przed wami... napróżno...

— Ej, mój jegomość, żeby nie ten ksiądz... Ale to tak powiada: ja muszę z królem jegomością pod Zbaraż jechać, a ty (powiada do mnie) pana pilnuj, jeno mu nie mów nic, bo dusza z niego wyjdzie.

Skrzetuski tak dalece rozstał się od dawna z wszelką nadzieją, że i te słowa Rzędziana nie wykrzeszały w nim najmniejszej jej iskierki... Czas jakiś leżał nieruchomie, a wreszcie począł pytać:

— Skądże ty tu się wziął przy księdzu Cieciszowskim i przy wojsku?

— Mnie pani kasztelanowa sandomierska, pani Witowska, wysłała z Zamościa z oznajmieniem do pana kasztelana, że się w Toporowie z nim połączy... Meżna to jest pani, mój jegomość, i chce koniecznie przy wojsku być, byle się z panem kasztelanem nie rozłączać... Więc ja do Toporowa przyjechałem na dzień przed jegomością. Pani sandomierskiej rychło patrzeć... powinaby już być... ale cóż, kiedy on znowu z królem odjechał!...

— Nie rozumiem, jakżeś ty mógł być w Zamościu,

kiedyś z panem Wołodyjowskim i panem Zagłobą za Jampol jeździł. Czemuś to do Zbaraża z nimi nie przyjechał?

— Bo, widzi jegomość, jak nas orda wsparła, tak już nie było żadnej rady; więc oni się we dwóch całemu czambułowi zostawili, a ja uciekłem i nie oparłem się, aż w Zamościu.

— Szczęście, że nie zginęli — rzekł Skrzetuski — ale myślałem, żeś lepszy pacholek. Zali godziło ci się opuszczać ich w takiej opresyi?

— Ej, mój jegomość, żeby to my byli sami, we trzech, pewnobym ja ich nie opuścił, bo mi się serce krajało... aleśmy we czworo byli... więc oni rzucili się na orde, a mnie sami kazali... ratować... Żebym to ja był pewny, że jegomości radość nie zabije... bo to my za Jampolem... znaleźli... ale że ksiądz...

Skrzetuski począł patrzeć na pacholka i mrugać oczyma, jak człowiek który budzi się ze snu — nagle, rzekłbyś zerwało się coś w nim, bo pobladł strasznie, siadł na łożu i krzyknął grzmiącym głosem:

— Kto z tobą był?

— Jegomość! hej jegomość! — wołał pacholek, przerażony zmianą, jaka zaszła w twarzy rycerza.

— Kto z tobą był? — krzyczał Skrzetuski i chwyciwszy za ramiona Rzędziana, trząść nim począł i sam trząśł się jak w febrze i gniótł pacholka w żelaznych rękach.

— To już powiem — wołał Rzędzian — niech ksiądz robi co chce: panna z nami była, a teraz jest przy pani Witowskiej.

Skrzetuski zeszytniał, zamknął oczy i głowa jego opadła ciężko na poduszki.

— Rety! — wołał Rzędzian. — Pewno jegomość ostatnią parę puścił. Rety, com ja uczynił! lepiej mi było milczeć. O dla Boga! jegomość najdroższy, niechno jegomość przemówi... Dla Boga! słusznie ksiądz zakazywał... jegomość! hej, jegomość!...

— Nic to! — ozwał się wreszcie Skrzetuski. — Gdzie ona jest?

— Chwała Bogu, że jegomość odżył!... Lepiej już nic nie powiem. Jest z panią kasztelanową sandomierską... rychło ich tu patrzeć... Chwała Bogu!... niech-no już jegomość nie umiera... rychło ich tu patrzeć... my do Zamościa uciekli... i tam ksiądz oddał pannę pani Witowskiej... dla przystojności... że to w wojsku swawolnicy bywają... Bohun ją uszanował, ale o przygodę nie trudno... Siła ja miałem kłopotów, tylko żem to żołnierzom mówił: księcia Jeremiego krewna... więc szanowali... Wydałem też na drogę niemało...

Skrzetuski znowu leżał nieruchomie, ale oczy miał otwarte, do pułapu wzniesione, i twarz bardzo poważną — widać modlił się. Gdy skończył, zerwał się, siadł na łożu i rzekł:

— Szaty mi daj — i każ konie kulbaczyć!

— A gdzie to jegomość chce jechać?

— Szaty prędzej daj!

— Jakby jegomość wiedział, że wszelakiego ochędóstwa jest dosyć, bo i król przed odjazdem nadawał i różni panowie nadawali. I trzy koniki bardzo foremne w stajni... Żebym to choć jednego takiego miał... ale lepiej jeszcze jegomości poleżeć i wypocząć, bo siły w jegomości żadnej niema.

— Nic mi nie jest. Na konia mogę siadać. Na Boga żywego, pośpiesz się!

— Wiem ja to, że jegomościę ciało z żelaza — niechże i tak będzie. Tylko mnie jegomość przed księdzem Cieciszowskim obroni... Oto szaty tu leżą... lepszych i u bławatników ormiańskich nie dostanie... niech się jegomość ubiera, a ja powiem, iżby polewki winnej przynieśli, bom też już sobie kazał księżemu słudze uwarzyć.

To rzekłszy, Rzędzian zakrzętał się koło strawy, a Skrzetuski począł śpiesznie przywdziewać szaty, zostawione w darze przez króla i panów. Tylko raz wraz chwycił pachółka w ramiona i cisnął go do wezbranej piersi, a zaś pachólek opowiadał mu wszystko ab ovo, jako Bohuna posiezonego przez pana Michała, ale już podleczonego, we Włodawie spotkał i jako się od niego o kniaziównie wywiedział i piernacz uzyskał. Jak potem poszli z panem Michałem i panem Zagłobą do waładyńskich jarów i ubiwszy wiedźmę i Czeremisa, kniaziównę uwieźli, a wreszcie jak wielkie spotykały ich niebezpieczeństwa, gdy przed wojskami Burlaja uciekali.

— Burlaja pan Zagłoba usiekl — wtrącił gorączkowo Skrzetuski.

— Bitny to jest mąż — odpowiedział Rzędzian — jeszcze też takiego nie widział, bo to jeden bywa męzny, drugi mowny, trzeci frant, a w panu Zagłobie wszystko w kupie siedzi. Ale najgorzej to już nam było, mój jegomościę, w tych lasach za Płoskirowem, gdy nas orda wsparła. Pan Michał z panem Zagłobą zostali, by ich na siebie ściągnąć i pogoń wstrzymać, ja zaś rzuciłem się w bok ku Konstantynowu, Zbaraż omijając, bo już takem myślał, że zabiwszy pana małego i pana Zagłobę, będą właśnie ku Zbarażowi za nami gnali. Jakoż nie wiem jakim tam sposobem Bóg w miłosierdziu swo-

jem wyratował pana małego i pana Zagłobę... Myślałem że ich usieką. My tymczasem umykali z panną między Chmielnickim, który od Konstantynowa ciągnął, a Zbarażem, pod który Tatarzy poszli.

— Nie poszli oni tam zaraz, bo ich pan Kuszal wyparł. Ale mów prędzej!

— Żebym ja to był wiedział, alem nie wiedział, wiecemy przeciskali się z panną między Tatary i kozaki, jak wąwozem. Szczęściem kraj był pusty, tak że nigdzieśmy żywego czleka nie spotkali: ni we wsiach, ni w miasteczkach, bo wszystko pouciekało, gdzie kto mógł, przed Tatarami. Ale dusza mi na ramieniu siedziała ze strachu, żeby to mnie nie ogarnęli, czegom też w końcu nie uniknął.

Skrzetuski przestał się ubierać i spytał:

— Jako?

— A tak, mój jegomość: wpadłem na podjazd kozacki Dońca, brata onej Horpyny, u której panna w jarze siedziała. Szczęściem znalazłem go dobrze, bo mnie przy Bohunie widywał. Pokloniłem mu się od siostry, pokazałam piernacz Bohunów i opowiedziałem wszystko: jako mnie Bohun po pannę posłał i jako mnie czeka za Włodawą. A on, że to był Bohunowi przyjacielem i wiedział o tem, że siostra panny strzeże, więc uwierzył. Myślałem że puści i jeszcze opatrzy na drogę: ale on powiada tak: „tam (powiada) pospolite ruszenie się zbiera, jeszcze wpadniesz w ręce Lachom; zostań powiada, ze mną, pojedziemy do Chmielnickiego; w obozie będzie dziewczynie najbezpieczniej, bo jej tam sam Chmielnicki będzie dla Bohuna strzegł“. Jak mi to powiedział, ażem zmartwiał, bo co tu na to odrzec. Mówię tedy, że Bohun na nią czeka i że szyja moja w tem, żebym ją

zaraz odwiózł. A on na to: „to damy znać Bohunowi — a ty nie jedź, bo tam Lachy“. Zacząłem się spierać, on też się spierał ze mną, aż wreszcie rzecze: „dziwno mi to, że się tak boisz między kozaków iść — ej! czyś nie zdrajca!“ Dopiero zobaczyłem, że niema innej rady, jak nocą umykać, bo już zaczął mnie podejrzynwać. Siódme poty na mnie były, mój jegomość. Jużem tedy wszystko gotował do drogi, gdy pan Pelka od wojsk królewskich w nocy nadszedł.

— Pan Pelka? — rzekł, wstrzymując dech, Skrzetuski.

— A jakże, mój jegomość. Sławny to był zagończyk, pan Pelka, którego niedawno poległ — Panie świeć nad jego duszą. — Nie wiem czyby kto lepiej potrafił od niego podjazd prowadzić i pod potęgą nieprzyjacielską się uwijać — chyba jeden pan Wołodyjowski. Owóż przyszedł pan Pelka, podjazd Dońcowy starł, że i noga nie uszła, a samego Dońca wziął do niewoli. Parę niedziel temu jak go na pal wołami nawlekli — dobrze mu tak! Ale i z panem Pelką miałem biedy niemało, bo to był człek okrutnie na cnotę zawzięty... Panie świeć nad jego duszą! Jużem się bał, aby panna, uszedłszy krzywdy od kozaków, nie doznała gorszej od swoich... Dopierom powiedział panu Pelce, że to księcia naszego pana krewna. A on, trzeba jegomości wiedzieć, że jak naszego księcia, bywało, wspomniał, to czapkę zdejmował i na służbę się do niego zawsze wybierał... Więc zaraz zaczął pannę szanować i aż het do Zamościa, do króla nas odprowadził, a tam ksiądz Cieciszowski (bardzo to święty ksiądz, mój jegomość) w opiekę nas wziął i pani kasztelanowej Witowskiej pannę oddał.

Skrzetuski odetchnął głęboko, poczem rzucił się na szyję Rzędziana.

— Przyjacielem mi będziesz, bratem, nie sługą — rzekł — ale teraz już jedźmy. Kiedy pani kasztelanowa miała tu stanąć?

— W tydzień po mnie — a już dziesięć dni jest... a ośm jegomość bez przytomności leżał.

— Jedźmy, jedźmy! — powtórzył Skrzetuski — bo mnie radość rozerwie.

Lecz nim skończył, dał się słyszeć tętent na podwórzu i okna zaćmiły się nagle końmi i ludźmi. Przez szyby dojrzał pan Skrzetuski naprzód starego księdza Cieciszowskiego, a przy nim wychudzone twarze pana Zagłoby, Wołodyjowskiego, Kuszla i innych znajomych, wśród czerwonych dragonów książeńcych. Rozległ się wesoly okrzyk, a po chwili churma rycerzy z księdzem na czele wpadła do izby.

— Pokój zawarty pod Zborowem, oblężenie zdjęte! — wołał ksiądz.

Lecz Skrzetuski domyślił się zaraz tego na sam widok towarzyszków zbaraskich, a teraz był już w objęciach Zagłoby i Wołodyjowskiego, którzy odbierali go sobie wzajemnie.

— Powiedzieli nam, żeś żyw — krzyczał Zagłoba — ale tem większa radość, że cię tak rychło i w zdrowiu oglądamy! Umyślnieśmy tu po ciebie przyjechali... Janie! ani wiesz jakąś się sławą okrył — i jaka cię nagroda czeka!

— Król nagrodził — rzekł ksiądz — ale król królów więcej obmyślił.

— Wiem już — odparł Skrzetuski. — Niech was Bóg nagrodzi! Rzędzian wszystko mi wyznał.



— I radość cię nie zadusiła? to i lepiej! Vivat Skrzetuski, vivat kniaziówna — krzyczał Zagłoba. — A co, Janie! nie pisnęliśmy ci o niej ani słowa, bośmy nie wiedzieli, czy żywa. Ale pacholek gracko z nią umykał. O vulpes astuta! księżę czeka na was oboje. — Ha! aż pod Jahorlik jeździliśmy po nią. Zabiliśmy monstrum piekielne, które jej strzegło. Uciekało przed wami tych dwunastu chłopczyków, ale teraz ich dogonicie i przegonicie. Będę miał wnuki, mości panowie! Rzędzian, mów, zali wielkich przeszkód nie doznałeś? Imainuj sobie, że całą ordeę wstrzymaliśmy we dwóch z panem Michałem. Pierwszym się rzucił na cały czambuł! W wykroty się przed nami chowali — nic nie pomogło! Pan Michał też dobrze stawał... Gdzie moja córuchna? dajcie mi moją córuchnę!

— Niech ci Bóg szczęści, Janie! niech ci Bóg szczęści! — mówił mały rycerz, biorąc ponownie w ramiona Skrzetuskiego.

— Niech wam Bóg zapłaci za wszystko, coście dla mnie uczynili. Słów mi nie staje. Życiem, krwią wam nie nagrodzę! — odpowiedział Skrzetuski.

— Mniejsza z tem! — wołał Zagłoba. — Pokój zawarty! kiepski pokój, mości panowie, ale trudno. Dobrze, żeśmy ten zapowietrzony Zbaraż opuścili. Będzie teraz spokój, mości panowie. Nasza to praca i moja, bo gdyby Burlaj żył dotąd, na nicby się układy nie zdały. Na weselisko pojedziem. Dalej, Janie! Trzymaj się ostro! Ani się domyślasz, jaki księżę pan ma dla cię prezent ślubny! Kiedyindziej ci powiem, a teraz gdzie moja córuchna u kaduka? dawajcie tu moją córuchnę! Już jej Bohun nie porwie, pierwej musiałby łyka porwać. Gdzie moja córuchna najmilsza?

— Właściem na koń siadał, by jechać naprzeciw pani sandomierskiej — rzekł Skrzetuski — jedźmy, jedźmy, bo rozum stracę.

— Hajda, mości panowie! Jedźmy z nim razem. Czasu nie tracić! Hajda!

— Pani sandomierska nie musi być daleko — rzekł ksiądz.

— Jazda! — dodał pan Michał.

Ale Skrzetuski już był za drzwiami i skoczył na konia tak lekko, jakby nie dopiero co z łoża boleści powstawał. Rzędzian trzymał się jego boku, bo wołał z księdzem sam na sam nie zostawać. Pan Michał i Zagłoba przyłączyli się do nich — i jechali co koń wyskoczy na czele gromady, a cała gromada szlachty i czerwonych dragonów leciała toporowiecką drogą, na kształt kraśnych płatków maku, które wiatr niesie.

— Hajda! — krzyczał Zagłoba, bijąc piętami konia.

I tak lecieli z dziesięć stajañ, aż na skřęcie gościńca ujrzeli tuż przed sobą szereg wozów i kolasek otoczony przez kilkudziesięciu pajuków; kilku z nich, widząc naprzeciw zbrojnych ludzi, ruszyło zaraz z kopyta, pytać coby byli za jedni.

— Swoi, od królewskiego wojska! — krzyknął pan Zagłoba. — A to kto jedzie?

— Pani kasztelanowa sandomierska! — brzmiała odpowiedź.

Skrzetuskiego tak przybiło wzruszenie, iż sam nie wiedząc co czyni, zsunął się z konia i stanął, chwiejąc się, na boku gościńca. Czapkę zdjął, a po skroniach spływał mu pot obfity i drżał ten rycerz przed szczęściem na całym ciele. Pan Michał zeskoczył również z kulbaki i chwycił w ramiona osłabłego rycerza.

Za nimi stanęli wszyscy na boku gościńca z podkrywanymi głowami, a tymczasem szereg wozów i kolasek nadciągnął i począł przechodzić mimo. Z panią Witowską jechało kilkanaście różnych pań, które patrzyły ze zdziwieniem na rycerzy, nie rozumiejąc, co ma znaczyć ta żołnierska procesya przy gościńcu.

Aż wreszcie w środku orszaku ukazała się kolaska ozdobniejsza od innych; oczy rycerzy ujrzały przez jej otwarte okna poważne oblicze sędziwej damy, a obok niej słodką i śliczną twarz Kurcewiczówny.

— Córuchna! — wrzasnął Zagłoba, rzucając się na osłep ku karecie — córuchna! Skrzetuski jest z nami!... Córuchna!

W orszaku poczęto wołać: stój! stój! uczynił się ruch i zamieszanie, tymczasem Kuszel z Wołodyjowskim prowadzili, a raczej wlekli Skrzetuskiego do karety, on zaś osłabł zupełnie i ciążył im coraz bardziej. Głowa zwisała mu na piersi i nie mógł już iść i opadł na kolana przy stopniach kolaski.

Lecz w chwilę później silne a słodkie ramiona Kurcewiczówny podtrzymały osłabłą i wynędzniałą głowę rycerza.

Zagłoba zaś, widząc zdumienie pani sandomierskiej, wołał:

— To Skrzetuski, bohater ze Zbaraża. On to się przedarł przez nieprzyjaciół, on ocalił wojska, księcia, całą Rzeczpospolitą! Niech im Bóg błogosławi i niech żyją!

— Niech żyją! vivant! vivant! — wołała szlachta.

— Niech żyją! — powtórzyli książęcy dragoni, aż grzmot rozległ się po toporowieckich polach...

— Do Tarnopola! do księcia! na wesele! — wy-

krzykiwał Zagłoba. — A co córuchna! skończona twoja niedola!... a dla Bohuna kat i miecz!

Książd Cieciszowski oczy miał podniesione do nieba, a usta jego powtarzały cudne słowa natchnionego kaznodziei:

— Siejba była w płakaniu, a żniwo w weselu...

Usadzono Skrzetuskiego w karecie obok kniaziówny — i orszak ruszył dalej. — Dzień był cudny, pogodny, dąbrowy i pola plawiły się w świetle słonecznym. Nizko, po ugorach i wyżej, nad ugorami i jeszcze wyżej, w błękitnym powietrzu, płynęły już tu i owdzie srebrne nitki pajęczyny, które późniejszą jesienią jakoby śniegiem pokrywają tamtejsze pola. I spokój był wielki naokoło, jeno konie parskwały rażno w orszaku.

— Panie Michale — mówił Zagłoba, trącając strzemieniem w strzemię Wołodyjowskiego: — coś mnie znowu ulapilo za grzdykę i trzyma, jak to wówczas, kiedy pan Podbipięta — wieczny mu odpoczynek! — wychodził ze Zbaraża: ale gdy pomyślę, że się tych dwoje wreszcie znalazło, to tak mi lekko na sercu, jakbym kwartę petercymentu duszkiem wypił. Jeśli i ciebie małżeńska przygoda nie spotka, to na starość będziem ich dzieci hodować. Każdy do czego inszego się rodzi, panie Michale, a my dwaj lepsi chyba do wojny, niż do żeniaczki.

Mały rycerz nie odpowiedział nic, jeno począł wąsikami mocniej niż zwykle ruszać.

Jechali do Toporowa, a stamtąd do Tarnopola, gdzie się mieli z księciem Jeremim połączyć i razem z jego chorągwiami do Lwowa na wesele ruszyć. Przez drogę opowiadał Zagłoba pani sandomierskiej, co się w ostatnich czasach stało. Dowiedziała się więc, że król

po nierozstrzygniętej, morderczej bitwie pod Zborowem, zawarł układ z chanem, niezbyt pomyślny, ale zapewniający przynajmniej spokój na czas jakiś Rzeczypospolitej. Chmielnicki na mocy układu pozostał nadal hetmanem i miał prawo z niezmiernych tłumów czerni wybrać sobie czterdzieści tysięcy rejestrowych, za które ustępstwo zaprzysiął wierność i posłuszeństwo królowi i stanom.

— Niechybna to jest rzecz — mówił Zagłoba — że z Chmielnickim znowu przyjdzie do wojny, ale jeśli tylko buława naszego księcia nie minie, inaczej to wszystko pójdzie...

— Powiedźże waćpan Skrzetuskiemu najważniejszą rzecz — rzekł, zataczając bliżej koniem, mały rycerz.

— Prawda — rzekł Zagłoba. — Chciałem zaraz od tego zacząć, aleśmy tchu dotąd złapać nie mogli. Nic nie wiesz, Janie, co się po twojem wyjściu stało: że Bohun jest u księcia w niewoli.

Skrzetuski i Kurcewiczówna zdumieli na tę niespodziewaną wiadomość do tego stopnia, że słowa wyrzec nie mogli — tylko ona ręce otworzyła — i nastąpiła chwila milczenia — poczem dopiero Skrzetuski spytał:

— Jako? jakim sposobem?

— Palec w tem boży, odpowiedział Zagłoba — nic innego, jeno palec boży. Układ już był zawarty i wychodziliśmy właśnie z tego zapowietrzonego Zbaraża, a ksiązę wybiegl z jazdą na lewe skrzydło, pilnować by orda na wojsko nie napadła... że to oni często układów nie dotrzymują... Wtem nagle wataha z trzystu koni rzuciła się na całą jazdę ksiązęcą.

— Jeden Bohun mógł taką rzecz uczynić! — zawołał Skrzetuski.

— On też to był. Ale nie na zbaraskich żołnierów kozakom się porywać. Pan Michał wnet otoczył ich i wysiekł do nogi, a Bohun, dwa razy przez niego cięty, poszedł w lęk. Nie ma on szczęścia do pana Michała i sam się już musiał o tem przekonać, gdyż właśnie do trzech razy próbował. Ale on też nie czego innego, jeno śmierci szukał.

— Pokazało się — dorzucił pan Wołodyjowski — że chciał Bohun zdążyć koniecznie z pod Waładynki do Zbaraża, wszelako, że to droga długa, więc nie zdążył, i gdy się dowiedział, że już pokój zawarty, rozum mu się od wściekłości pomieszał i na nic już nie zważał.

— Kto mieczem wojuje, od miecza ginie, bo taka to już jest fortuny odmiennosc — rzekł Zagłoba. — To jest szalony kozak i tem szaleńszy, że desperat. Okrutna wrzawa podniosła się z jego powodu między nami i między hultajstwem. Myśleliśmy, że do wojny na nowo przyjdzie, bo książę pierwszy zakrzyknął, że układy złamali. Chmielnicki chciał było Bohuna ratować, ale chan się na niego zawziął, że to powiada: „moje słowo i moją przysięgę na hańbę podał”. I Chmielnickiemu chan wojnę zagroził, a do naszego księcia przysłał czausa z oznajmieniem, że Bohun jest prywatny zbój — i z prośbą, żeby książę sprawy z tego nie czynił, a z Bohunem postąpił jak ze zbojcem. Podobno też i o to chodziło chanowi, żeby Tatarzy jasyr mogli spokojnie odprowadzić, którego tyle nabrali, że za dwa hufnale chłopca będzie można w Stambule kupić.

— Cóż książę uczynił z Bohunem? — pytał niepokojnie Skrzetuski.

— Kazał, było, księżę zaraz palik dla niego zastrugać, ale się potem rozmyślił i tak powiada: Skrzetuskiemu go daruję, niechże z nim czyni, co chce. Teraz w Tarnopolu kozaczysko w podziemiu siedzi; cyrulik mu leć opatruje. Mój Boże, ileż to razy dusza już powinna była z niego uciec! Żadnemu wilkowi psi tak skóry nie natarmosili, jako my jemu. Sam pan Michał trzy razy go pokąsał. Ale twarda to sztuka, choć i prawdę rzekłszy, człek nieszczęsny. Niech mu tam kat świecił! Nie mam ja już do niego rankoru, pomimo iż okrutnie na mnie nastawał, a niewinnie, bo i pijałem z nim, popospolitowałem się jak z równym, póki na cię, córuchno, ręki nie podniósł. Mogłem go też pchnąć w Rozłogach... Ale to już z dawna wiem, że nie masz żadnej wdzięczności na świecie i mało kto dobrem za dobre płaci. Niech go tam!...

Tu pan Zagłoba począł kiwać głową...

— A ty co z nim uczynisz, Janie? — spytał. — Żołnierze mówią, że forysia z niego zrobisz, bo chłop pokązny, ale nie chce mi się wierzyć, żebyś tak właśnie postąpił.

— Z pewnością tego nie uczynię — odrzekł Skrzetuski. — Wielkiej to jest fantazyi żołnierz, a że nieszczęsny, tembardziej go żadną chłopską funkcją nie pohańbię.

— Niech mu Bóg wszystko odpuści — rzekła kniaziówka.

— Amen! — dodał Zagłoba. — Prosi on śmierci, jako matki, by go zabrała... i pewnie byłby ją znalazł, gdyby się był pod Zbaraż nie spóźnił.

Zamilkli wszyscy, nad dziwnymi zmianami fortuny rozmyślając, aż w oddaleniu ukazała się Grabowa, w któ-

rej zatrzymali się na pierwszy popas. Zastali tam huk żołnierzy, wracających ze Zborowa. Przyjechał i pan kasztelan sandomierski, Witowski, który szedł z pułkiem na spotkanie żony, i pan starosta krasnostawski, i pan Przyjemski — i moc szlachty z pospolitego ruszenia, której tędy droga do domostw wypadła. Dwór w Grabowej był spalony, również jak i wszystkie inne budynki, ale że dzień był cudny, cichy i ciepły, więc nie szukając dachu nad głową, wszyscy rozłożyli się w dąbrowie pod gołym niebem. Przywieziono też i znaczne zapasy jada i napitków, więc czeladź zaraz wzięła się żywo do przyrządzenia wieczerzy. Pan sandomierski kazał rozbić kilkanaście namiotów w dąbrowie dla niewiast i dygnitarzy i stanął jakby obóz prawdziwy. Rycerstwo kupiło się przed namiotami, chcąc się na kniaziównę i Skrzetuskiego napatrzeć. Inni rozmawiali o minioniej wojnie; ci co nie byli pod Zbarażem, jeno pod Zborowem, wypytywali żołnierzy książęcych o szczegóły oblężenia — i gwarno było i wesoło, zwłaszcza, że Bóg zdarzył dzień tak piękny.

Wodził więc rej pan Zagłoba między szlachtą, opowiadając po raz tysięczny, jak to Burlaja zabił — a Rzędzian między czeladzią, która ucztę przygotowywała. Wszelako upatrzył zręczny pacholek stosowną chwilę i odciągawszy Skrzetuskiego kęs na stronę, schylił mu się do nóg pokornie.

— Mój jegomość — rzekł — chciałbym i ja o łaskę jegomości prosić.

— Trudnoby mi było odmówić ci czegokolwiek — odpowiedział pan Skrzetuski — gdyż przez ciebie wszystko co najlepsze się stało.



— Zaraz ja też myślałem — rzekł pacholek — że mi jegomość jakowąś nagrodę obmyśli.

— Mów, czego chcesz?

Pucołowata twarz Rzędziana pociemniała, a z oczu strzeliła mu nienawiść i zawziętość.

— Jednej łaski proszę, niczego więcej nie chcę — rzekł — niechże mnie jegomość Bohuna daruje.

— Bohuna? — rzekł ze zdziwieniem pan Skrzetuski. — Cóż ty chcesz z nim uczynić?

— Już ja, mój jegomość, pomyślę, żeby moje nie przepadło i żeby mu z lichwą zapłacić za to, że mnie w Czehrynie pohańbił. Wiem, że jegomość każe go pewnikiem zgładzić — niechże ja mu pierwszej zapłacę!

Brwi Skrzetuskiego ściągnęły się.

— Nie może to być! — rzekł stanowczo.

— O dla Boga! wołałbym był zginąć — zawołał żałośnie Rzędzian. — Na tożem wyżył, by hańba do mnie przyrosła!

— Żądaj czego chcesz — rzekł Skrzetuski — niczego ci nie odmówię, ale to nie może być. Wejdz w siebie, zapytaj ojców, jeśli nie grzeszniej będzie dotrzymać takowej obietnicy, niżeli jej poniechać. Do boskiej karzącej ręki ty swojej nie przykładaj, aby się zaś i tobie nie dostało. Zawstydz się, Rzędzian! Ten człek i tak Boga o śmierć prosi — a przytem ranny i w łykach. Czemże mu chcesz być — katem? Będiesz-li związanego hańbił, albo rannego dobijał? — zaliś Tatar, czy rezun kozacki? Pókim żyw na to nie pozwolę, i nie wspominaj mi o tem.

W głosie pana Jana było tyle siły i woli, że pa-

chołek od razu stracił wszelką nadzieję, więc tylko rzekł płaczącym głosem.

— Jak on zdrów, to on i dwom takim jak ja dalby rady, a jak chory, to mi się mścić nie przystoi — kiedyż ja mu za swoje zapłacę?

— Zemstę zostaw Bogu — rzekł Skrzetuski.

Pacholek usta otworzył, chciał jeszcze coś mówić, o coś się pytać, ale pan Jan odwrócił się i poszedł ku namiotom, przed którymi liczne zebrało się towarzystwo. W środku siedziała pani Witowska, a obok niej kniaziówna, naokół zaś rycerze. Przed nimi nieco pan Zagłoba, stojąc bez czapki, opowiadał tym, którzy byli tylko pod Zborowem, oblężenie Zbaraża. Słuchali go wszyscy, dech w piersiach tamując — twarze mieniły się od wzruszenia i ci, co tam nie byli, z żalem myśleli o tem, że nie byli. Pan Jan siadł koło kniaziówny i wzięwszy jej rękę, do ust przycisnął, a potem wsparli się o siebie ramionami i siedzieli cicho. Słońce schodziło już z nieba — i zwolna czynił się wieczór. Skrzetuski zasluchał się także, jakby czegoś nowego dla siebie słuchając. Pan Zagłoba obcierał czuprynę i głos jego rozbrzmiewał coraz silniej... Rycerzom świeża pamięć, lub imaginacya przywodziła przed oczy te krwawe dzieje: więc widzieli okop jakoby morzem otoczony i wściekle szturmy; słyszeli wrzaski, i wycia, i huk armat i samopalców, widzieli kniazia w srebrnych blachach na okopie — wśród gradu kul... Potem nędzę, głód, owe noce czerwone, w których śmierć krążyła jak złowrogi wielki ptak nad okopem... wyjście pana Podbiپیęty, Skrzetuskiego... I słuchali wszyscy, czasem oczy wznosząc do góry, lub za głównie szabel chwytając, a pan Zagłoba tak kończy:

— Jedna to teraz mogiła, jeden kopiec olbrzymi, a że pod nim nie leży sława Rzeczypospolitej, i kwiat rycerstwa, i księżę wojewoda, i ja i my wszyscy, których lwami zbaraskimi sami kozacy nazywają — on to sprawił!

To rzekłszy, pan Zagłoba wskazał na Skrzetuskiego.

— Jako żywo, tak jest! — wykrzyknęli Marek Sobieski i pan Przyjemski.

— Sława mu! cześć, dziękowanie! — poczęły wołać silne głosy rycerskie. — Vivat Skrzetuski! Vivat młoda para! Niech żyje bohater! — wołano coraz silniej.

Uniesienie ogarnęło wszystkich zebranych. Jedni biegli po kielichy, drudzy rzucali czapki w górę. Żołnierze poczęli dzwiężyć szablami — i wkrótce uczynił się jeden ogólny gromki okrzyk:

— Sława! sława! niech żyje! niech żyje!

Skrzetuski, jak prawdziwy rycerz chrześcijański, spuścił pokornie głowę — ale kniaziówna wstała, strząsnęła warkocze, rumieńce były jej na twarz, a z oczu strzelała duma, bo ten rycerz miał być jej mężem — a sława męża pada na żonę, jak światło słońca na ziemię.

---

Późną już nocą rozjechali się zgromadzeni w dwie strony. Państwo Witowscy, pan Przyjemski i starosta krasnostawski pociągnęli z pułkami w stronę Toporowa, a Skrzetuski z kniaziówną i chorągwią Wołodyjowskiego do Tarnopola. Noc była tak pogodna, jak i dzień. Roje gwiazd świeciły na niebie. Księżyc zeszedł i oświecił pokryte pajęczyną pola. Żołnierze poczęli

śpiewać; potem wstały białe opary z łąk i uczyniły z okolicy jakby jedno olbrzymie jezioro, oświecone blaskiem księżyca.

W taką to noc wychodził niegdyś Skrzetuski ze Zbaraża i w taką noc teraz czuł bicie serca Kurcewiczówny przy swoim.

---

## E P I L O Ń.

---

Lecz tragedia dziejowa nie zakończyła się ani pod Zbarażem, ani pod Zborowem, a nawet nie zakończył się tam jej akt pierwszy. W dwa lata później zerwała się znów cała koczownicza do boju z Rzeczpospolitą. Wstał Chmielnicki, silniejszy niż kiedykolwiek, a z nim szedł chan wszystkich ord — i ciż sami wodze, którzy już pod Zbarażem stawali: więc dziki Tułaj-bej, i Urumurza, i Artimgirej, i Nuradyn, i Gałga, i Amurat i Subagazi. Słupy pożarów, jęki ludzkie szły przed nimi — tysiące wojowników pokrywały pola, napelniały lasy, pół miliona ust wydawało okrzyki wojenne — i zdawało się ludziom, że przyszedł ostatni kres na Rzeczpospolitą.

Lecz i Rzeczpospolita przebudziła się z odrętwienia, zerwała z dawną polityką kanclerza, z układami, z paktowaniem. Już było wiadomo, że tylko miecz dłuższy spokój zapewnić może, więc gdy król ruszył przeciw nieprzyjacielskiej powodzi, szło z nim sto tysięcy wojska i szlachty, prócz mrowia ciurów i czeladzi.

Nikogo nie brąkło z osób, wchodzących do niniejszego opowiadania. Był książę Jeremi Wiśniowiecki z całą swą dywizją, w której po staremu służyli Skrzetuski i Wołodyjowski z wolentarzem Zagłobą; byli obaj hetmani Potocki i Kalinowski, czasu tego już z niewoli

tatarskiej wykupieni. Był i pułkownik Stefan Czarniecki, późniejszy szwedzkiego króla Karola Gustawa pogromca, i pan Przyjemski, który wszystką armatą dowodził, i generał Ubald, i pan Arciszewski, i pan starosta krasnostawski i brat jego starosta jaworowski, późniejszy król Jan III, i Ludwik Weycher wojewoda pomorski, i Jakób wojewoda malborski, i chorąży Koniecpolski, i książę Dominik Zasławski, i biskupi, i dygnitarze koronni i senatorowie — cała Rzeczpospolita, z naczelnym swym wodzem królem.

Na polach Beresteczka spotkały się wreszcie owe krociowe zastępy i tamto stoczono jedną z największych bitew w dziejach świata, której odgłosem brzmiała cała ówczesna Europa.

Trwała ona trzy dni. Przez pierwsze dwa ważyły się losy — w trzecim przyszło do walnego boju, który przeważył zwycięstwo. Rozpoczął ów bój książę Jeremi.

I widziano go na czele całego lewego skrzydła, jak bez zbroi, z gołą głową, gnał jak wicher po polu na olbrzymie zastępy, złożone ze wszystkich konnych mołojców zaporoskich, ze wszystkich Tatarów krymskich, nohajskich, białogrodzkich, z Turków sylistryjskich i rumelskich, z Urumbałów, Janczarów, Serbów, Wołochów, Perryjerów i innych dzikich wojowników, zebranych od Uralu, morza Kaspijskiego i błot Meockich, aż do Dunaju.

I jak rzeka ginie z oczu w spienionych nurtach morskich, tak zginęły z oczu pułki książęce w tem morzu nieprzyjaciół. Chmura kurzawy wstała na równinie, niby rozszalała trąba powietrzna, i zakryła walczących...

Patrzyło na ten nadludzki bój całe wojsko — i król, a podkanclerzy Leszczyński wznosił drzewo Krzyża Świętego i błogosławił niem ginących.

Tymczasem, z drugiego boku zachodził wojsku królewskiemu cały tabór kozacki, liczący dwieście tysięcy ludzi, najeżony armatami, ziejący ogniem, naksztalt smoka, wysuwającego powoli z lasów olbrzymie swe kłęby.

Lecz nim wysunął ich ogrom z owej kurzawy, w której zginęły pułki Wiśniowieckiego, poczęli wypadać jeźdźcy, potem ich dziesiątki, potem setki, potem tysiące, potem dziesiątki tysięcy — i pędzić ku wzgórzom, na których stał chan, otoczony przez wyborowe swe gwardye.

Dziki tłumy uciekały w szalonym popłochu i bezładzie — pułki polskie gnały za nimi.

Tysiące mołojców i Tatarów zasłały pobojowisko, a między nimi leżał rozciągnięty koncerzem na dwoje zakamieniały wróg Lachów, a wierny kozaków sojusznik, dziki i mężny Tuhaj-bej.

Straszliwy ksiązę tryumfował.

Lecz król spostrzegł okiem wodza tryumf ksiązęcy i postanowił zgnieść ordy, nim tabór kozacki nadciągnie.

Ruszyły wszystkie wojska, huknęły wszystkie działa, roznosząc śmierć i zamieszanie; wnet brat chanowy, wspaniały Amurat, padł uderzony kulą w piersi. Zawrzały boleśnie ordy. Przerażony i ranny z samego początku bitwy chan, spojrział na pole. Zdala, wśród dział i ognia, szedł pan Przyjemski i sam król z rajtaryą, a z boków huczała ziemia pod ciężarem biegnącej do boju jazdy.

Wówczas zadrzał Islam-Girej — i nie dotrzymał pola, i pierzchnął, a za nim pierzchnęły bezładnie wszystkie ordy, i wołosza, i urumbałowicze, i konni mołojcy zaporozcy, i Turcy sylistryjscy i poturczeńcy, jak chmura pierzcha przed wichrem.

Uciekających dopędził zrozpaczony Chmielnicki!

chcąc błagać chana, aby do bitwy powrócił — lecz chan ryknął na jego widok z gniewu, wreszcie kazał go Tatarom uchwycić, przywiązać do konia i porwał ze sobą.

Teraz pozostał tylko tabór kozacki.

Dowódzca taboru, pułkownik kropiweński, Dziedziała, nie wiedział co się stało z Chmielnickim, lecz widząc klęskę i haniebną ucieczkę wszystkich ord — wstrzymał pochód i cofnąwszy się z taborem, usadowił się w bagnistych widłach Pleszowy.

Tymczasem burza zerwała się na niebie i lunęły niezmierne potoki deszczu. „Bóg ziemię obmywał po sprawiedliwej bitwie“.

Dżdże trwały kilka dni i kilka dni odpoczywały królewskie wojska, zmęczone poprzednimi bitwami — przez ten czas tabór opasywał się wałami i zmienił się w olbrzymią ruchomą fortecę.

Z powrotem pogody rozpoczęło się oblężenie — najdziwniejsze, jakie kiedykolwiek w życiu widziano.

Sto tysięcy królewskiego wojska obległo dwukroćstotysięczną armię Dziedziała.

Królowi brakło armat, żywności, amunicji — Dziedziała miał nieprzebrane zasoby prochów, wszelkich zapasów, a oprócz tego siedmdziesiąt cięższych i lżejszych armat.

Ale na czele królewskich wojsk stał król — kozakom brakło Chmielnickiego.

Wojska królewskie były ożywione świeżem zwycięstwem — kozacy zwątpili o siebie.

Minęło kilka dni — nadzieja powrotu Chmielnickiego i chana znikła.

Wówczas rozpoczęły się rokowania.

Przyszli do króla pułkownicy kozaccy i bili mu



czołem, prosząc zmiłowania, obchodzili namioty senatorów, czepiali się sukien, przyrzekając choćby z pod ziemi wydostać Chmielnickiego i oddać go królowi.

Serce Jana Kazimierza nie było obce litości — chciał puścić do domów czern i wojsko, byle wydano mu wszystką starszyznę, którą postanowił zatrzymać, aż do chwili wydania Chmielnickiego.

Lecz taki właśnie układ nie był po myśli starszyźnie, która za ogrom swych występków nie spodziewała się przebaczenia.

Więc w czasie układów trwały bitwy, rozpaczliwe wycieczki i codziennie lała się obficie krew polska i kozacka.

Mołojcy w dzień walczyli z odwagą i zaciekłością rozpaczy, lecz nocą chmury ich całe wieszały się pod obozem królewskim, wyjąc ponuro o miłosierdzie.

Dziedziała skłaniał się do układów i sam chciał ponieść w ofierze głowę swą królowi, byle wykupić wojsko i lud.

Jednakże rozruchy powstały w kozackim obozie. Jedni chcieli się poddawać, inni bronić do śmierci, wszyscy zaś przemyślivali, jakby się wymknąć z taboru.

Ale najodważniejszym wydawało się to niepodobieństwem.

Tabór otoczony był widłami rzeki i olbrzymimi bagnami. Bronić się w nim można było całe lata, ale do odwrotu jedna tylko droga stała otworem — przez wojska królewskie.

O tej drodze nikt nie myślał w taborze.

Układy przerywane bitwami wlokły się leniwo; rozruchy w tłumach kozackich stawały się coraz częstsze.

W jednym z takich rozruchów zrzucano z dowództwa Dziedziałę i obrano nowego wodza.

Nazwisko jego wlało nową odwagę w upadłe dusze kozacze — i odbiwszy się gromkiem echem w obozie królewskim, rozbudziło w kilku sercach rycerskich zartate wspomnienia przeżytych bólów i nieszczęść.

Nowy wódz zwał się Bohun.

Już poprzednio wysokie on zajmował stanowisko między kozactwem w radzie i boju. Głos powszechny ukazywał na niego, jako na następcę Chmielnickiego.

Bohun pierwszy z kozackich pułkowników stanął wraz z Tatarami pod Beresteczkiem na czele pięćdziesięciu tysięcy ludzi. Brał udział w trziedniowej bitwie jeźdźców — i pogromiony wraz z chanem i ordami przez Jeremiego, zdołał wyprowadzić z pogromu większą część swych sił, i znaleźć schronienie w taborze. Teraz, po Dziedziałe, partya nieprzejednanych oddała mu naczelne dowództwo, ufając, że on jeden potrafi uratować tabór i wojsko.

I istotnie młody wódz ani chciał słyszeć o układach — pragnął bitwy i krwi przelewu, choćby i w tej krwi sam miał utonąć.

Lecz wkrótce przekonał się, że z tymi zastępami nie można było już myśleć o przejściu zbrojną ręką po trupach królewskiego wojska — więc chwycił się innego sposobu.

Historja zachowała pamięć tych bezprzykładnych usiłowań, które współczesnym wydawały się godnymi obrzymania, które mogły być ocalić wojsko i czerń.

Bohun postanowił przejść przez bezdenne bagna Pleszowej, a raczej zbudować przez te bagna taki most, by po nim mogli przejść wszyscy oblężeni.

Więc lasy całe poczęły padać pod siekierami kozaków i tonąć w błotach; rzucano w nie wozy, namioty, kozuchy, świty — i most przedłużał się z dniem każdym.

Zdawało się, że dla tego wodza nie masz nic niepodobnego.

Król zwłóczył szturm, nie chcąc przelewu krwi, lecz widząc te olbrzymie roboty, poznał, iż niema innej rady i kazał otrąbić w wojsku, by się na wieczór gotowano do ostatecznej rozprawy.

Nikt nie wiedział o tym zamiarze w taborze kozackim — most przedłużał się jeszcze całą noc poprzednią, rankiem zaś Bohun wyjechał na czele starszyny obejrzyć roboty.

Było to w poniedziałek, siódmego lipca 1651 roku. Ranek dnia tego wstał blady, jakby przerażony, zorze na wschodzie były krwawe, słońce zeszło rude, chorobliwe, krwawy jakiś odblask oświecał wody i lasy.

Z obozu polskiego wyganiano konie na paszę; tabor kozacki szumiał głosami rozbudzonych ludzi. Porozpalano ogniska i gotowano strawę poranną. Wszyscy widzieli odjazd Bohuna, jego orszaku i idącej za nim jazdy, z pomocą której wódz chciał spędzić wojewodę braclawskiego, zajmującego tyły taboru i psującego z armat roboty kozackie.

Czerń patrzyła na odjazd spokojnie, a nawet z otuchą w sercu. Tysiące oczu odprowadzało młodego wojownika i tysiące ust mówiło za nim:

— Boże cię błogosław, sokole!

Wódz, orszak i jazda, oddalając się zwolna od taboru, doszli do brzegu lasu, mignęli jeszcze raz w porannem słońcu i poczęli się zasuwac za haszcze.

Wtem jakiś straszny, przeraźliwy głos zakrzyknął, a raczej zawył przy bramie taboru:

— Lude, spasajtes!

— Starszyzna ucieka! — krzyknęło naraz kilkanaście głosów.

— Starszyzna ucieka! — powtórzyły setki i tysiące ludzi. — Szmer poszedł przez tłumy, jak kiedy wichur uderzy w bór — i naraz krzyk okropny, nieludzki, wyrwał się z dwukroćstotysięcznej gardzieli. „Spasajtes! spasajtes! Lachy! Starszyzna ucieka!“ Masy ludzkie wezbrały naraz, nakształt rozszalałego potoku. Zdeptano ogniska, poprzewracano wozy, namioty, rozerwano ostrokoły; ściskano się, duszono. Straszliwa panika poraziła obłędem wszystkie umysły. Góry ciał zatamowały wnet drogę — więc deptano po trupach wśród ryku, zgiełku, wrzasku, jęków. Tłumy wylały się z majdanu, wpadały na pomost, spychały się w bagna, tonący chwytali się w konwulsyjne uściski i wyjąc do nieba o miłosierdzie, zapadali się w chłodne, ruchome błota. Na pomoście wszczęła się bitwa i rzeź o miejsca. Wody Pleszowej zapelnily się ciałami. Nemezis dziejowa splancała straszliwie za Piławce Beresteczkiem.

Wrzaski okropne doszły do uszu młodego wodza i wnet zrozumiał, co się stało. Lecz napróżno zawrócił w tej chwili do taboru, napróżno leciał naprzeciw tłumom z wniesionemi do nieba rękami. Głos jego zginął w ryku tysięcy — straszliwa rzeka uciekających porwała go wraz z koniem, orszakiem i całą jazdą — i niosła na zatracenie.

Wojska koronne zdumiały się na widok tego ruchu, który zrazu wielu za jakiś atak rozpaczliwy poczytało — lecz oczom trudno było nie wierzyć.

W kilka chwil później, gdy zdziwienie przeszło, wszystkie chorągwie, nie czekając nawet rozkazów, ruszyły na nieprzyjaciela, a w przodzie szła, jak wichher, chorągiew dragońska, na której czele leciał mały pułkownik z szablą nad głową.

I nastal dzień gniewu, klęski i sądu... Kto nie był zduszony, lub się nie utopił, szedł pod miecz. Spłynęły krwią rzeki tak, że nie rozpoznałeś, czy krew, czy woda w nich płynie. Obląkane tłumy jeszcze bezładniej zaczęły się dusić, i spychać w wodę i topić... Mord napelniał te okropne lasy i zapanował w nich tem straszliwiej, że potężne watahy poczęły się bronić z wściekłością. Toczyły się bitwy na błotach, w kniejach, na polu. Wojewoda braclawski przeciał odwrót uciekającym. Próżno król rozkazywał powstrzymywać żołnierzy. Litość gasła — i rzeź trwała aż do nocy, rzeź taka, jakiej najstarsi nie pamiętali wojownicy i na której wspomnienie włosy stawały im później na głowach.

Gdy wreszcie ciemności okryły ziemię, sami zwycięzcy byli przerażeni swem dziełem. Nie śpiewano „Te Deum“ i nie lzy radości, lecz lzy żalu i smutku płynęły z dostojnych oczu królewskich.

Tak rozegrał się akt pierwszy dramatu, którego autorem był Chmielnicki.

Lecz Bohun nie złożył wraz z innymi głowy w tym dniu straszliwym. Jedni mówili, że spostrzegłszy klęskę, pierwszy ratował się ucieczką; inni, że ocalił go pewien rycerz znajomy. Prawdy nikt nie mógł dociec.

To tylko pewne, że w następnych wojnach często króć wypływało jego nazwisko między nazwiskami najslyniejszych wodzów kozackich. Postrzał z jakiejś mściwej ręki dosięgnął go w kilka lat później, lecz i wów-

czas nie przyszedł na niego kres ostatni. Po śmierci księcia Wiśniowieckiego, który z trudów wojennych umarł, gdy państwo lubniańskie odpadło od ciała Rzeczypospolitej, Bohun zawładnął większą częścią jego obszarów. Mówiono, że w końcu i Chmielnickiego nie chciał nad sobą uznawać. Sam Chmielnicki złamany, przeklinany przez własny lud, szukał protekcji postronnych, dumny zaś Bohun odrzucał wszelką opiekę i gotów był szablą swobody swej kozackiej bronić.

Mówiono także, że uśmiech nie powstał nigdy na ustach tego szczególnego człowieka. Żył nie w Lubniach, ale w wiosce, którą z popiołów odbudował i która zwała się Rozłogi. Tam też podobno umarł.

Wojny domowe przeżyły go i ciągnęły się jeszcze długo. Przyszła potem zaraza i Szwedzi. Tatarzy stale prawie gościli na Ukrainie, zagarniając tłumy ludu w niewolę. Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgliszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatrula krew pobratymczą.

K O N I E C .









P O T O P

I

PISMA

HENRYKA SIENKIEWICZA

TOM X

---

P O T O P

TOM I

KRAKOW

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓLKI

HENRYK SIENKIEWICZ

---

# P O T O P

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

TOM I

WYDANIE CZWARTE

NAKLAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW

WARSZAWA  
GEBETHNER I WOLFF  
KRAKÓW. — G. GEBETHNER I SPÓŁKA



## W S T Ę P.

---

Był na Żmudzi ród możny Billewiczów, od Mendoga się wywodzący, wielce skoligacony i w całym Rosieńskim nad wszystkie inne szanowany. Do urzędów wielkich nigdy Billewiczowie nie doszli, co najwięcej powiatowe piastując, ale na polu Marsa niepożyte krajowi oddawali usługi, za które różnemi czasami hojnie bywali nagradzani. Gniazdo ich rodzinne, istniejące do dziś, zwało się także Billewicze, ale prócz nich posiadali wiele innych majątności i w okolicy Rosień i dalej ku Krakinowu, wedle Laudy, Szoi, Niewiaży — aż hen, jeszcze za Poniewieżem. Potem rozpadli się na kilka domów, których członkowie potracili się z oczu. Zjeżdżali się wszyscy wówczas tylko, gdy w Rosieniach, na równinie zwanej Stany, odbywał się popis pospolitego ruszenia żmudzkiego. Częściowo spotykali się także pod chorągwiami litewskiego komputu i na sejmikach, a że byli zamożni, wpływowi, więc liczyć się z nimi musieli sami nawet wszechpotężni na Litwie i Żmudzi Radziwiłłowie.

Za panowania Jana Kazimierza, patriarchą wszystkich Billewiczów był Herakliusz Billewicz, pułkownik lekkiego znaku, podkomorzy upicki. Ten nie

mieszkał w gnieździe rodzinnem, które dzierżył pod owe czasy Tomasz, miecznik rosieński; zaś do Herakliusza należały Wodokty, Lubicz i Mitruny, leżące w pobliżu Laudy, naokół, jakoby morzem, ziemianami drobnej szlachty oblane.

Prócz Billewiczów bowiem, kilka było tylko większych domów w okolicy, jak Sołłohuby, Montwiłłowie, Schyilingowie, Koryznowie, Sicińscy (choć i drobnej braci tychże nazwisk nie brakło), zresztą całe porzecze Laudy usiane było gęsto tak zwanymi „okolicami“, albo mówiąc zwyczajnie: zaściankami, zamieszkałymi przez sławną i głośną w dziejach Żmudzi szlachtę laudańską.

W innych okolicach kraju rody brały nazwę od zaścianków, albo zaścianki od rodów, jako bywało na Podlasiu; tam zaś, wzdłuż laudańskiego porzecza, było inaczej. Tam mieszkali w Morezach Stakjanowie, których, owego czasu, Batory osadził za męstwo, okazane pod Pskowem. W Wołmontowiczach, na dobrej glebie roili się Butrymowie, największe chłopcy z całej Laudy, słynni z małomówności i ciężkiej ręki, którzy czasu sejmików, najazdu lub wojen, murem w milczeniu iść zwykli. Ziemie w Drożejkanach i Mozgach uprawiali liczni Domaszewiczowie, słynni myśliwi; ci puszcza Zielonką aż do Wiłkomierza tropem niedźwiedzim chadzali. Gasztowtowie siedzieli w Pacunelach: panny ich słynęły pięknnością, tak, iż wkońcu wszystkie gładkie dziewczęta w okolicy Krakinowa, Poniewieża i Upity pacunelkami nazywano. Sołłohubowie Mali byli bogaci w konie i bydło wyborne, na leśnych pastwiskach hodowane; zaś Gościewiczze w Goszczunach smołę w lasach pędzili, od którego zajęcia zwano ich Gościewiczami Czarnymi albo Dymnami.

Było i więcej zaścianków, było i więcej rodów. Wielu z nich nazwy istnieją jeszcze, ale po większej części i zaścianki nie leżą tak, jak leżały i ludzie inni w nich imionami się wołają. Przyszły wojny, nieszczęścia, pożary, odbudowywano się nie zawsze na dawnych pogorzeliiskach, słowem: zmieniło się wiele. Ale czasu swego kwitnęła jeszcze stara Lauda w pierwotnym bycie i szlachta laudańska do największej doszła wziętości, gdyż przed niewiele laty, czyniąc pod Łojowem przeciw zbuntowanemu kozactwu, wielką się sławą pod wodzą Janusza Radziwiłła okryła.

Służyli zaś wszyscy laudańscy w chorągwi starego Herakliusza Billewicza; więc bogatsi, jako towarzysze, na dwa konie, ubożsi na jednego, najubożsi w pocztowych. Wogóle szlachta to była wojenna i w zawodzie rycerskim szczególnie rozmiłowana. Natomiast na tych sprawach, które zwykłą materją sejmików stanowiły, mniej się znali. Wiedzieli, że król jest w Warszawie, Radziwiłł i pan Hlebowicz, starosta, na Żmudzi, a pan Billewicz w Wodoktach na Laudzie. To im wystarczało i głosowali tak, jak ich pan Billewicz nauczył, w przekonaniu, że on chce tego, czego i pan Hlebowicz, ten znów z Radziwiłłem idzie w ordynku, Radziwiłł jest ręką królewską na Litwie i Żmudzi, król zaś małżonkiem Rzeczypospolitej, ojcem rzeszy szlacheckiej.

Pan Billewicz był zresztą więcej przyjacielem, niż klientem potężnych oligarchów w Birzach — i to wielce cenionym, bo na każde zawołanie miał tysiąc głosów i tysiące szabel laudańskich, a szabel w rękach Stakjanów, Butrymów, Domaszewiczów, lub Gasztowtów nie lekcewazył jeszcze w tym czasie nikt w świecie. Później



dopiero zmieniło się wszystko, właśnie wówczas, gdy pana Herakliusza Billewicza nie stało.

Nie stało zaś tego ojca i dobrodzieja szlachty laudańskiej w r. 1654. Rozpaliła się wówczas wzdłuż całej wschodniej ściany Rzeczypospolitej straszna wojna. Pan Billewicz już na nią nie poszedł, bo nie pozwolił mu na to wiek i głuchota, ale laudańscy poszli. Owoż, gdy przyszła wieść, że Radziwiłł pobity został pod Szklowem, a laudańska chorągiew w ataku na najemną piechotę francuską prawie w pień wycięta — stary pułkownik, rażony apopleksyą, duszę oddał.

Wieść tę przywiózł niejaki pan Michał Wołodujowski, młody, ale bardzo wstawiony żołnierz, który w zastępstwie pana Herakliusza, laudańskim z ramienia Radziwiłła przewodził. Resztki ich przybyły także do zagród ojczystych, znękanie, pognębione, zgłodzone i śladem całego wojska na hetmana wielkiego narzekając, że ufny w grozę swego imienia, w urok zwycięży, z małą siłą na dziesięćkroć liczniejszą potęgę się rzucił, a przez to pograżył wojsko, kraj cały.

Lecz wśród ogólnych narzekań ani jeden głos nie podniósł się przeciw młodemu pułkownikowi, panu Jerzemu Michałowi Wołodujowskiemu. Owszem ci, co uszli z pogromu, wysławiali go pod niebiosa, cuda opowiadając o jego doświadczeniu wojskowem i czynach. I jedyną to było pociechą dla laudańskich niedobitków wspominać o przewagach, których pod przewodem pana Wołodujowskiego dokonali: jako w ataku przebili się niby przez dym, przez pierwsze kupy pośledniejszego żołnierza; jak potem na francuskich najemników wpadłszy, cały regiment najprzedniejszy w puch na szablach roznieśli, przyczem pan Wołodujowski własną ręką

ściął tegoż regimentu oberszta; jako nakoniec otoczeni i w cztery ognie wzięci, salwowali się po desperacku z zamętu, gęstym trupem padając i nieprzyjaciela łamiąc.

Słuchali z żalem, ale i dumą, owych opowiadań ci z laudańskich, którzy wojskowo w kompucie litewskim nie służąc, obowiązani byli tylko w pospolitem ruszeniu stawać. Spodziewano się też powszechnie, że pospolite ruszenie, ostateczna kraju obrona, wkrótce zostanie zwołane. Była już zgóry umowa, że w takim razie pan Wołodyjowski zostanie obrany laudańskim rotmistrzem, bo choć się do miejscowego obywatelstwa nie liczył, nie było odeń między miejscowem obywatelstwem sławniejszego. Niedobitkowie mówili jeszcze o nim, że samego hetmana z toni wyrwał. To też cała Lauda na rękę go prawie nosiła, a okolica wydzierała go okolicy. Kłócili się zwłaszcza Butrymi, Domaszewicze i Gasztowtowie, u których ma zostać na dłużej gościem. On zaś tak sobie owę bitną szlachtę upodobał, że gdy okruchy wojsk radziwiłłowskich ciągnęły do Birż, by tam jako tako po kłęsce przyjść do sprawy — on z innymi nie odszedł, ale jeżdżąc z zaścianku do zaścianku, w Pacunelach u Gasztowtów wreszcie stałą rezydencją założył, u pana Pakosza Gasztowta, który nad wszystkimi w Pacunelach miał zwierzchność.

Co prawda, nie mógłby był pan Wołodyjowski żadną miarą do Birż jechać, gdyż zachorował obłożnie, najprzód przyszły nań złe gorączki, potem od kontuzji, którą był pod Cybichowem otrzymał, odjęło mu prawą rękę. Trzy panny Pakoszówny, słynne z urody pacunelki, wzięły go w czułą opiekę i poprzysięgły tak sławnego kawalera do pierwotnego zdrowia doprowadzić,

szlachta zaś kto żyw był, zajęła się pogrzebem dawnego swego wodza, pana Herakliusza Billewicza.

Po pogrzebie otwarto testament nieboszczyka, z którego pokazało się, iż stary pułkownik dziedziczką całej fortuny, z wyjątkiem wsi Lubicza, uczynił wnuczkę swą Aleksandrę Billewiczównę, łowczankę upicką, opiekę zaś nad nią, dopóki by zamąż nie poszła, powierzył całej szlachcie laudańskiej...

.....„Którzy, jako mnie życzliwymi byli (głosił testament) i miłością za miłość płacili, niechże i sierocie tak będą, a w tych czasach zepsucia i przewrotności, gdy przed swawolą ludzką nikt bezpieczny, ani próżny bojaźni być nie może — niechaj sieroty przez pamięć moję od przygody strzegą.

„Baczyć także mają, aby fortuny w bezpieczeństwie zażywała, z wyjątkiem wsi Lubicza, którą panu Kmicicowi, młodemu chorążemu orszańskiemu daję, daruję i zapisuję, aby w tem przeszkody jakiej nie miał. Ktoby zaś się tej przychylności mojej dla W-nego Andrzeja Kmicica dziwował, albo w tem krzywdę wnuczki mojej urodzonej Aleksandry upatrywał, wiedzieć ma i powinien, iżem od ojca urodzonego Jędrzeja Kmicica jeszcze z młodych lat, aż do dnia śmierci, przyjaźni i zgoła braterskiego afektu doznawał. Z którym wojny odprawowałem i życie mi po wielekroć ratował, a gdy złość i invidia panów Sicińskich wydrzeć mi fortunę chciały — i do niej mi dopomógł. Tedy ja, Herakliusz Billewicz, podkomorzy upicki, a razem grzesznik niegodny, przed srogim sądem bożym dziś stojący, przed czterema laty (żyw jeszcze i nogami po nizinie ziemskiej chodząc) do pana Kmicica, ojca miecznika Orszańskiego się udałem, aby wdzięczność i przyjaźń stateczną ślubo-

wać. Tamże, za wspólną zgodą, postanowiliśmy obyczajem dawnym szlacheckim i chrześcijańskim, że dzieci nasze, a mianowicie syn jego Andrzej z wnuczką moją Aleksandrą, łowczanką, stało uczynić mają, aby z nich potomstwo na chwałę Bożą i pożytek Rzeczypospolitej wyrosło. Czego sobie najmocniej życzę i wnuczkę moją Aleksandrę do posłuszeństwa tu wypisanej woli obowiązuję, chyba by pan chorąży orszański (czego Bóg nie daj) szpetnymi uczynkami sławę swą splamił i bezecnym był ogłoszony. A jeśli by substancją swą rodzinną utracił, co przy tamtej ścianie, wedle Orszy, łącznie zdarzyć się może, tedy go ma pod błogosławieństwem za męża mieć, choćby też i od Lubicza odpadł, nic na to nie zważać.

„Wszelako, jeśli by za szczególną łaską Boga, wnuczka moja chciała na chwałę Jego panieństwo swe ofiarować i zakonny habit przywdziać, tedy wolno jej to uczynić, albowiem chwała Boża przed ludzką iść powinna“ . . . .

W takito sposób rozporządził fortuną i wnuczką pan Herakliusz Billewicz, czemu nikt się bardzo nie dziwił. Panna Aleksandra zdawna wiedziała co ją czeka i szlachta zdawna o przyjaźni między Billewiczem a Kmicicami słyszała — zresztą umysły w czasach kłęski czem innem były zajęte, tak, że wkrótce i mówić o testamencie przestano.

Mówiono tylko o Kmicicach nieustannie we dworze w Wodoktach, a raczej o panu Andrzejku, bo stary miecznik nie żył już także. Młodszy pod Szklowem z własną chorągwią i orszańskimi wolentarzami stawał. Później zniknął z oczu, ale nie przypuszczano, żeby zginął, gdyż śmierć tak znacznego kawalera pewnieby nie uszła niepostrzeżenie. Familianci to bowiem byli w Or-

szańskiem Kmicice i panowie znacznych fortun, ale tamte strony płomień wojny zniszczył. Powiaty i ziemie całe zmieniały się w głuche pola. kruszyły się fortuny, ginęli ludzie. Po złamaniu Radziwiłła nikt już silniejszego oporu nie dawał. Gosiewski, hetman polny, sił nie miał; koronni hetmanowie wraz z wojskami na Ukrainie ostatkiem wojsk walczyli i wspomóc go nie mogli, również jak i Rzeczpospolita przez wojny kozackie wyczerpana. Fala zalewała kraj coraz dalej, gdzieniegdzie tylko o warowne mury się odbijając, ale i mury padały jedno za drugimi, jak upadł Smoleńsk. Województwo Smoleńskie, w którem leżały fortuny Kmiciców, uważano za stracone. W powszechnem zamieszeniu, w powszechnej twodze rozproszyli się ludzie, jak liście wichrem rozegnane i nikt nie wiedział, co się z młodym chorążym orszańskim stało.

Ale że do starostwa Żmudzkiego wojna jeszcze nie doszła, ochłonęła zwolna szlachta laudańska po klęsce szkłowskiej. „Okolice“ poczęły się zjeżdżać i naradzać tak o rzeczy publicznej, jak o sprawach prywatnych. Butrymowie, najskorsi do boju, przebąkiwali, że trzeba będzie na kongresa pospolitego ruszenia do Rosień jechać, a potem do Gosiewskiego, by pomścić szkłowską przegraną; Domaszewicze myśliwi poczęli się zapuszczać lasami, puszczą Rogowską, aż pod zastępy nieprzyjacielskie, wieści z powrotem przywożąc; Gościewicz Dymni w dymach mięso na przyszlą wyprawę wędzili. W sprawach prywatnych postanowiono bywałych i doświadczonych ludzi na odszukanie pana Andrzeja Kmicica posłać.

Składali owe rady starsi laudańscy pod przewodem Pakosza Gasztowta i Kassjana Butryma, dwóch

patryarchów okolicznych — wszystka zaś szlachta, której ufność, jaką w niej położył zmarły pan Billewicz, wielce pochlebiła, poprzysięgła sobie wiernie stać przy literze testamentu i pannę Aleksandrę prawie rodzicielską opieką otoczyć. To też, gdy czasu wojny, nawet w stronach, do których wojna nie doszła, zrywały się niesnaski i zawichrzenia, na brzegach Laudy wszystko pozostało spokojnie. Żadnych dyferencyj nie podniesiono, nie było żadnego worywania się w granice majątności młodej dziedziczki; nie przesypywano kopców, nie wycięto cechowanych sosen na rubieżach lasów, nie zajechano pastwisk. Owszem wspomagano zasobną samą przez się dziedziczkę, czem która „okolica“ mogła. Więc Stakjanowie nadrzeczni nadsyłali ryby solonej, z Wołmontowicz od mrukliwych Butrymów przychodziły zboża, siano od Gasztowtów, zwierzyzna od Domaszewiczów myśliwych, smoła i dziegieć od Gościewiczów Dymnych. O pannie Aleksandrze nikt inaczej w zaściankach nie mówił, jak „nasza panna“, a piękne pacunelki wyglądały pana Kmicica bogdaj tak samo niecierpliwie, jak ona.

Tymczasem przyszły wieści zwołujące szlachtę — więc poczęto ruszać się na Laudzie. Kto z pacholęcia wyrosł na męża, kogo nie pochylił wiek, ten na koń siadać musiał. Jan Kazimierz przybył do Grodna i tam miejsce generalnego zboru naznaczył. Tam też ciągnięto. Ruszyli w milczeniu pierwsi Butrymowie, za nimi inni, a Gasztowtowie naostatku, jak zawsze czynili, bo im od pacunerek żal było odjeżdżać. Szlachta z innych stron kraju w małej tylko stawiała się liczbie i kraj pozostał bez obrony, ale Lauda pobożna stanęła w całości.

Pan Wołodyjowski nie ruszył, bo nie mógł jeszcze ręką władać, więc właśnie jako wojski między pacu-  
nelkami pozostał. Opustoszały „okolice“ i jeno starcy  
z białogłowami zasiadali wieczorem przy ogniskach.  
Cicho było w Poniewieżu i Upicie — czekano wszędy  
na nowiny.

Panna Aleksandra również zamknęła się w Wodo-  
ktach, nikogo prócz sług i swych opiekunów laudań-  
skich nie widując.

---

## ROZDZIAŁ I.

---

Przyszedł nowy rok 1652. Styczeń był mroźny, ale suchy; zima tęga przykryła Żmudź świętą grubym na łokieć, białym kozuchem; lasy gięły się i łamały pod obfitą okiścią, śnieg olśniewał oczy w dzień przy słońcu, a nocą przy księżycu migotały jakoby iskry niknące po stężalej od mrozu powierzchni; zwierzę zbliżał się do mieszkań ludzkich, a ubogie szare ptactwo stukało dziobem do szyb, szedzią i śnieżnymi kwiatami okrytych.

Pewnego wieczora siedziała panna Aleksandra w izbie czeladnej, wraz z dziewczętami dworskimi. Dawnyto był zwyczaj Billewiczów, że gdy gości nie było, to z czeladzią spędzali wieczory, śpiewając pieśni pobożne i przykładem swym prostactwo budując. Tak też czyniła i panna Aleksandra, a to tem łacniej, że między jej dziewczkami dworskimi same były prawie szlachcianki, sieroty bardzo ubogie. Te robotę wszelką, choćby najgrubszą, spełniały i przy paniach służebniami były, a wzamian za to ćwiczyły się w obyczajności, lepszego doznając od prostych dziewczek traktowania. Były jednak między nimi i chłopki, mową głównie się różniące, bo wiele z nich popolsku nie umiało.



Panna Aleksandra wraz z krewną swoją panną Kulwiecówną siedziały wpośrodku, a dziewczęta po bokach na ławach; wszystkie kądziel przędły. Na potężnym kominie, ze zwieszonym okapem, paliły się kłody sosnowe i karpy, to przygasając, to znów strzelając jasnym, wielkim płomieniem lub iskrami, w miarę jak stojący wedle komina wyrostek przyrzucał drobniejszych brzeźniaków i łuczywa. Gdy płomień strzelił jaśniej, widać było ciemne, drewniane ściany ogromnej izby z nadzwyczaj niskim, belkowanym sufitem. U belek wisały na niciach różnokolorowe gwiazdki, uczynione z opłatków, trzęsące się w ciepłe, a zza belek wyglądały motki czesanego lnu, zwieszające się na obie strony, jakby tureckie zdobyczne buńczuki. Cały niemal pułap był niemi założony. Po ścianach ciemnych błyszcząły, jakoby gwiazdy, statki cynowe, większe i mniejsze, stojące lub poopierane na długich półkach dębowych.

W głębi przy drzwiach kudłaty Żmudzin huczał gwałtownie żarnami, mrużąc pod nosem pieśń monotonna, panna Aleksandra przesuwiała w milczeniu paciorki różańca, prządki przędły, nic jedna do drugiej nie mówiąc.

Światło płomienia padało na ich młode, rumiane twarze, one zaś z rękoma wzniesionymi ku kądzielom, lewą podszczypując len miękki, prawą kręcąc wrzeciona, przędły gorliwie, jakby na wyścigi, surowemi spojrzeniami panny Kulwiecówny podniecane. Czasem też spoglądały na się bystreimi oczkami, a czasem na pannę Aleksandrę, jakby w oczekiwaniu, rychło Żmudzinowi mleć zakaże i pieśń pobożną rozpocznie; ale z robotą nie ustawały i przędły, przędły; wiły się nici, warczały

wrzeciona, migotały druty w ręku panny Kulwiecówny, a kudłaty Żmudzin w żarna huczał.

Chwilami jednak przerywał robotę, widocznie coś się w żarnach psuło, bo jednocześnie rozlegał się jego gniewny głos:

— Padłas!

Panna Aleksandra podnosiła głowę, jakby rozbudzona ciszą, która następowała po okrzykach Żmudzina; wówczas płomień oświecał jej twarz i poważne błękitne oczy, patrzące zpod brwi czarnych.

Była to urodziwa panna o płowych włosach, bladawej cerze i delikatnych rysach. Miała piękność białego kwiatu. Żalobna suknia dodawała jej powagi. Siedząc przed tym kominem, była tak w myślach pogrążona, jak w śnie; zapewne nad dolą własną rozmyślała, gdyż losy jej były w zawieszeniu.

Testament przeznaczał ją na żonę człowieka, którego nie widziała od lat dziesięciu, a że dobiegała dopiero dwudziestu, więc pozostało jej tylko niejasne wspomnienie dziecinne jakiegoś burzliwego wyrostka, który za czasu swego pobytu z ojcem w Wodoktach, więcej z rusznicą po bagnach latał, niż na nią patrzył.

— Gdzie on jest i jaki on jest teraz? — oto pytania, które cisnęły się na myśl poważnej pannie.

Znała go wprawdzie jeszcze z opowiadań nieboszczyka podkomorzego, który na cztery lata przed śmiercią przedsięwziął był daleką podróż do Orszy. Otóż, wedle tych opowiadań, miał to być „wielkiej fantazyi kawaler, choć gorączka okrutny“. Po owym układzie o małżeństwo dzieci, zawartym między starym Bilewiczem a Kmicicem ojcem, miał ów kawaler przyjechać zaraz do Wodoktów akomodować się pannie; tym-

czasem wybuchła wielka wojna i kawaler zamiast do panny, pociągnął na pole beresteckie. Tam postrzelony, leczył się w domu; potem ojca schorzałego i bliskiego śmierci pilnował; potem znowu była wojna — i tak zeszedł owe cztery lata. Teraz od śmierci starego pułkownika upłynął już kawał czasu, a o Kmicicu słuch przepadł.

Miała tedy o czem rozmyślać panna Aleksandra, a może tęskniła do nieznanego. W sercu czystym, właśnie dlatego, że jeszcze miłości nie zaznało, nosiła wielką gotowość do kochania. Iskry tylko trzeba było, żeby na tem ognisku rozpalił się płomień spokojny, ale jasny, równy i jak znicz litewski niegasnący.

Więc niepokój ogarniał ją, czasem luby, a czasem przykry i dusza jej ciągle zadawała sobie pytania, na które nie było odpowiedzi, a raczej dopiero miała nadzieję z pól dalekich. Więc pierwsze pytanie było: zali on z dobrej woli ją zaślubił i gotowością na jej gotowość odpowie? W owych czasach układy rodzicielskie o małżeństwo dzieci bywały rzeczą zwykłą, a dzieci, choćby po śmierci rodziców, związane pod błogosławieństwem, dotrzymywały najczęściej układu. W samym więc zewswataniu jej nie widziała panienska nic nadzwyczajnego, ale że dobra wola nie zawsze z obowiązkiem chodzi w parze, więc i ta troska obciążała płową główkę panny: „Czy on mnie pokocha?“ I potem już stado myśli opadło ją, jak stado ptastwa opada drzewa, samotnie na rozległych polach stojące. Ktoś ty jest? jakiś jest? żyw chodzisz po świecie? czy może już gdzie tam poległeś?.. Dalekoś ty, czy blisko?... Otwarte serce panny, jak drzwi otwarte na przyjęcie miłego gościa, mimowoli wołało ku dalekim stronom, ku lasom i polom śnieżnym,

nocą przykrytym: „Bywaj junaku! bo niemasz nic gorszego w świecie nad oczekiwanie!”

Wtem, jakby w odpowiedzi na wołanie, z zewnątrz, właśnie z owych śnieżnych dalekości nocą pokrytych, doszedł głos dzwonka.

Panna drgnęła, lecz oprzytomniawszy, wnet przypomniała sobie, że to z Pacunelów przysyłano każdego prawie wieczora do apteczki po leki dla młodego pułkownika, myśl tę potwierdziła panna Kulwiecówna, mówiąc:

— To od Gasztowtów po dryjakiew.

Nieregularny głos dzwonka, targanego przy dźwięku, brzmiał coraz wyraźniej; nakoniec ucichł nagle, widocznie sanki zatrzymały się przed domem.

— Obacz, kto przyjechał — rzekła panna Kulwiecówna do obracającego żarna Żmudzina.

Żmudzin wyszedł z czeladnej, lecz po małej chwili pojawił się z powrotem i biorąc znów za drąg od żaren, rzekł z flegmą:

— Panas Kmitas.

— A słowo stało się ciałem! — wykrzyknęła panna Kulwiecówna.

Prządkie zerwały się na równe nogi; kądziele i wrzeczona pospadały na ziemię.

Panna Aleksandra wstała także; serce jej biło jak młotem, na twarz występowały rumieńce, a po nich bladość; ale odwróciła się umyślnie od komina, żeby wzruszenia nie okazać.

Wtem, we drzwiach, pojawiła się wyniosła jakaś postać, w szubie i czapce futrzanej na głowie. Młody mężczyzna postąpił na środek izby i poznawszy, że się znajduje w czeladnej, spytał dźwięcznym głosem, nie zdejmując czapki:

— Hej! a gdzie to wasza panna?

— Jestem — odpowiedziała dość pewnym głosem Billewiczówna.

Usłyszawszy to przybyły, zdjął czapkę, rzucił ją na ziemię i skłoniwszy się rzekł:

— Jam jest Andrzej Kmicic.

Oczy panny Aleksandry spoczęły błyskawicą na twarzy Kmicica, a potem znów wbiły się w ziemię; przez ten czas jednak zdołała panienka dojrzeć płową jak żyto, mocno podgoloną czuprynę, smagłą cerę, siwe oczy, bystro przed się patrzące, ciemny wąs i twarz młodą, orlikowatą, a wesołą i junacką.

On się zaś w bok ujął lewą ręką, prawą do wąsa podniósł i tak mówił:

— Jeszczem w Lubiczu nie był, jeno tu ptakiem śpieszyłem do nóg panny łowczanki się pokłonić. Prosto z obozu mnie tu wiatr przywiał, daj Boże, szczęśliwy.

— Waćpan wiedziałeś o śmierci dziadusia podkomorzego? — spytała panna.

— Nie wiedziałem, alem go łzami rzewnymi opłakał, dobrodzieja mojego, gdy się o jego zgonie od owych szaraków dowiedział, którzy z tych stron do mnie przybyli. Szczery to był przyjaciel, nieledwie brat mego nieboszczyka rodzica. Pewnie waćpannie wiadomo dobrze, że przed czterema laty aż pod Orszę do nas przybył. Wtedy mi to waćpannę obiecał i konterfekt pokazał, do którego po nocach wzdychałem. Byłbym tu wcześniej przyjechał, ale wojna nie matka: ze śmiercią jeno ludzi swata.

Zmieszała nieco panienkę ta śmiała mowa, więc chcąc ją na co innego odwrócić, rzekła.

— To waćpan jeszcze swojego Lubicza nie widział?

— Czas na to będzie. Tu pierwsze służby i droższy legat, który najprzód chciałbym odziedziczyć. Jenemu się waćpanna tak od komina odwracasz, żem dotąd i w oczy spojrzeć nie mógł. Ot! tak! odwróć się waćpanna, a ja od komina zajdę! — ot — tak!

To rzekłszy, śmiały żołnierz chwycił niespodziewającą się takiego postępku Oleńkę za rękę i ku ognisku odwrócił, tak nią jak frygą zakręciwszy.

Ona zaś zmieszała się jeszcze bardziej i nakrywszy oczy długimi rękawami, stała tak światłem i własną pięknnością zawstydzona. Kmicic puścił ją wreszcie i uderzył się po kontuszu.

— Jak mi Bóg miły, rarytet! Dam na sto mszy po moim dobrodzieju, że mi cię zapisał. Kiedy ślub?

— Jeszcze nie prędko, jeszcze nie waćpana — odrzekła Oleńka.

— Ale będziesz, choćbym ten dom miał podpalić! Na Boga! myślałem, że konterfekt pochlebiony, ale tu, widzę, malarz wysoko mierzył, a chybił. Sto bizunów takiemu i piece mu malować, nie one specyały, któremi oczy pasę. Miłoś to taki legat dostać, niech mię kule biją!

— Dobrze nieboszczyk dziaduś mi powiedział, żeś waćpan gorączka.

— Tacy u nas wszyscy w Smoleńskim, nie jak wasi Żmudzini. Raz, dwa! i musi być, jak chcemy, a nie, to śmierć!

Oleńka uśmiechnęła się i rzekła już pewniejszym głosem, podnosząc na kawalera oczy:

— Ej! to chyba Tatarzy u was mieszkają?

— Wszystko jedno! a waćpanna moją jesteś z woli rodziców i po sercu.

— Po sercu, to jeszcze nie wiem.

— Niechbyś nie była, tobym się nożem pchnął!

— Śmiejący się to waćpan mówisz, ale i *my* to jeszcze w czeladnej! Proszę do komnat. Po długiej drodze pewnie się i wieczerza przygodzi, proszę!

Tu Oleńka zwróciła się do panny Kulwiecówny:

— Ciotuchna pójdzie z nami?

Młody chorąży spojrział bystro:

— Ciotuchna? — spytał — jaka ciotuchna?

— Moja, panna Kulwiecówna,

— A to i moja! — odparł, zabierając się do rąk całowania. — Dla Boga! toż ja mam w chorągwi towarzysza, który się zwie Kulwiec-Hippocentaurus. Czy nie krewniak, proszę?

— To z tych samych! — odrzekła dygając stara panna.

— Dobry chłop, ale wicher, jak i ja! — dodał Kmicic.

Tymczasem wyrostek ukazał się ze światłem, więc przeszli do sieni, gdzie pan Andrzej szubę z siebie zrzucił, a potem na drugą stronę, do komnat gościnnych.

Zaraz po ich odejściu, prządki zbiły się w ciasną gromadkę i nuż jedna przez drugą gadać a uwagi czynić. Strojny młodzian podobał się im bardzo, więc i nie szczędziły mu słów, wzajemnie się w pochwałach przesadzając.

— Łuna od niego bije; — mówiła jedna — kiedy wszedł, myślałam, że królewicz.

— A oczy ma jak ryś, aż niemi kłóje: — odrzekła druga — takiemu się nie przeciw!

— Najgorzej się przeciwiać! — odpowiedziała trzecia.

— Panną, jak wrzecionem okręcił! Ale już to **znać**, że mu się udała bardzo, bo i komużby się ona nie udała?

— Ale i on nie gorszy, nie bój się! Żeby ci się taki zdarzył, poszłabyś i do Orszy, choć to podobno na **końcu świata**.

— Szczęśliwa panna!

— Bogatym zawsze lepiej na świecie. Ej, ej! **złotoż** to, nie rycerz.

— Mówiły pacunelki, że i ten rotmistrz, **któren jest** u pacunelek, u Starego Pakosza, piękny kawaler.

— Nie widziałam ja go, ale gdzie jemu do pana **Kmicica!** Już takiego chyba na świecie niema!

— Padł! — zawołał nagle Żmudzin, **któremu** znów się coś w żarnach popsuło.

— A nie pójdziesz ty kudłaty ze swojemi **wymysłami!** Dajże już pokój, bo się i dosłyszeć nie można!... Tak, tak! trudno lepszego, jak pan Kmicic, na całym świecie znaleźć! Pewnie i w Kiejdanach **takiego** niema!

— Taki to się i przyśni!

— Niechby się ono i przyśnił....

W takito sposób rozprawiły ze sobą szlachcianki w czeladnej. Tymczasem nakrywano co ducha w izbie stołowej, a w gościnnej mówiła panna Aleksandra **samnasam** z Kmicicem, bo ciotka Kulwiewówna poszła krzątać się wedle wieczerzy.

Pan Andrzej nie zdejmował wzroku z Oleńki i oczy **iskrzyły** mu się coraz bardziej, nakoniec rzekł:

— Są ludzie, którym majątność nad **wszystko mil-**



sza, inni za zdobyczą na wojnie gonią, inni się w koniach kochają, ale jabym waćpanny za żadne skarby nie oddała! Dalibóg, im więcej patrzę, tem większa ochota do żeniaczki, żeby choć i jutro! Już tę brew, to chyba waćpanna korkiem przypalonym malujesz?

— Słyszałam, że tak płocze czynią, ale jam nie taka.

— A oczy jakoby z nieba! Od konfuzyi słów mnie brakuje.

— Nie bardzoś waćpan skonfundowany, gdy tak obcesem na mnie nastajesz, aż mnie i dziwno.

— To też obyczaj nasz smoleński: do niewiast, czy w ogień, śmiało iść. Musisz, królowo, do tego przywyknąć, bo tak zawsze będzie.

— Musisz waćpan odwyknąć, bo nie może tak być.

— Może się i poddam, niech mnie usieką! Wierz, waćpanna, nie wierz, a radbym ci nieba przychylić! Dla ciebie, mój królu, gotówem się i obyczajów innych uczyć, bo wiem to do siebie, żem żołnierz prostak i w obozie więcej bywałem, niżli na pokojach dworskich.

— Ejże, nicto nie szkodzi, bo i mój dziaduś żołnierzem był, ale dziękuję za dobrą chęć! — odrzekła Oleńka i oczy jej spojrzały tak słodko na pana Andrzeja, że mu odrazu serce jak wosk stopniało, i odrzekł:

— Waćpanna mnie na nitce będziesz wodzić!

— Oj, niepodobny waćpan do takich, których na nitce wodzą! Najtrudniej to z niestatecznymi.

Kmicic ukazał białe, jakoby wilcze zęby, w uśmiechu.

— Jakto! — rzekł — małożto ojcowie nałamali

na mnie różeg w konwencie, abym do statku przyszedł i różne piękne maksymy spamiętał, przewodniczkii żywota....

— A którażes najlepiej spamiętał?

— „Kiedy kochasz, padaj do nóg“ ot tak!

To rzekłszy, pan Kmicic już był na kolanach, panienska zaś wołała, chowając nogi pod stołek:

— Dla Boga! tego w konwencie nie uczyli! Daj waćpan pokój, bo się rozgniewam... i ciotka zaraz przyjdzie....

On zaś, klęcząc ciągle, podniósł głowę w górę i w oczy jej patrzył.

— A niech i cała chorągiew ciotek nadciągnie, nie zaprę się ochoty!

— Wstańże waćpan.

— Już wstaję.

— Siadaj waćpan.

— Już siedzę.

— Zdrajca z waćpana, Judasz!

— A, nieprawda, bo jak całuję, to szczerze!...

Chcesz się przekonać?

— Ani się waćpan waż!

Panna Aleksandra śmiała się jednak, a od niego aż łuna biła młodości i wesołości. Nozdrza mu latały, jak młodemu zrebcowi szlachetnej krwi.

— Aj! aj! — mówił — coto za oczki, jakie liczko! Ratujcież mnie wszyscy święci, bo nie usiedzę!

— Nie trzeba wszystkich świętych wzywać. Siedziałeś waćpan cztery lata, aniś tu zajrzał, to siedź i teraz!

— Ba! znałem jeno konterfekt. Każę tego malarza w smołę a potem w pierze wsadzić i po rynku

w Upicie biczem pędzać. Już powiem wszystko szczerze: chcesz waćpanna, to przebacz — nie, to szyję utnij! Myślałem sobie tedy, na ów konterfekt poglądnąc: gładka gadzina, bo gładka, ale gładkich nie brak na świecie — mam czas! Ojciec nieboszczyk napędzał, żeby to jechać, a ja zawsze jedno: mam czas! żeniaczka nie przepadnie! panny na wojnę nie chodzą i nie giną. Nie przeciwiełem się ze wszystkim woli ojcowskiej, Bóg mi świadek, ale chciałem wpierw wojny zażyć, jakoż na własnej skórze praktykowałem. Teraz dopiero poznaję, żem był głupi, bo mogłem i żeniaty na wojnę iść, a tu mnie delicye czekały. Chwała Bogu, że całkiem mnie nie usiekli. Pozwól, waćpanna, rączki ucałować.

— Lepiej nie pozwolę.

— Tedy nie będę pytał. U nas w Orszańskim mówią: proś, a nie dają, to sam weź!

Tu pan Andrzej przypiął się do rączki panienki i całować ją począł, a panienka nie wzbraniała zanadto, żeby nieżyczliwości nie okazać.

Wtem weszła panna Kulwiewcówna i widząc, co się dzieje, podniosła oczy do góry. Nie zdała jej się ta konfidencya, ale nie śmiała strofować, natomiast zaprosiła na wieczerzę.

Poszli tedy oboje, wzięwszy się pod ręce, jakby rodzeństwo, do jadalnej izby, w której stał stół nakryty, a na nim wszelkich potraw obficie, zwłaszcza wędlin wybornych i omszały gąsiorek wina, moc dającego. Dobrze było ze sobą młodym, rażno i wesoło. Panna już była po wieczerzy, więc tylko pan Kmicie zasiadł i jeść począł z tą samą żywością, z jaką przedtem rozmawiał.

Oleńka spoglądała nań z boku, rada, że je i pije,

potem zaś, gdy nasycił pierwszy głód, zaczęła znów wypytywać:

— To waćpan nie zpod Orszy jedziesz?

— Bo ja wiem zkąd!... Dziś tu bywałem, jutro tam! Takem pod nieprzyjaciela podchodził, jako wilk pod owce i co tam można było urwać, tom urwał.

— A żeś się to waćpan ważył takiej potędze opowiadać, przed którą sam hetman wielki musiał ustąpić?

— Żem się ważył? Jam na wszystko gotów, taka we mnie natura!

— Mówił to i nieboszczyk dziaduś... Szczęście, żeś waćpan nie zginął.

— E! nakrywali mnie tam czapką i ręką, jako ptaka w gnieździe, ale co nakryli, tom uskoczył i gdzieindziej ukąsił. Naprzykrzyłem się tak, że jest cena na moją głowę... Wyborny półgęsek!

— W imię Ojca i Syna! — zawołała z nieudaniem przerażeniem Oleńka, spoglądając jednocześnie z uwielbieniem na tego młodziana, który razem mówił o cenie na swą głowę i o półgęsku.

— Chybaś miał waćpan potęgę wielką do obrony?

— Miałem oczywiście swoich dragoników, bardzo przednich, ale mi się w miesiąc wykruszyli. Potem z wolentarzami chodziłem, których zbierałem, gdzie mogł, nie przebredzając. Dobrzy pachołkowie do bitwy, ale łotry nad łotrami! Ci, co nie poginęli, prędzej czy później pójdą wronom na frykasy...

To rzekłszy, pan Andrzej znów się rozśmiał, wychylił kielich wina i dodał:

— Takich drapichróstów jeszcze waćpanna nie widziała. Niech im kat świeci! Oficerowie, wszystko szlachta z naszych stron, familianci, godni ludzie, ale

prawie na każdym jest kondemnatka. Siedzą teraz w Lubiczu, bo co miałem innego z niemi robić?

— To waćpan z całą chorągwią do nas przyciągnął?...

— Tak jest. Nieprzyjaciel zamknął się w miastach, bo zima okrutna! Moi ludzie też się zdarli, jako miotły od ciągłego zamiętania, więc mi książę wojewoda hiberny w Poniewiezu naznaczył. Dalibóg, dobrze to zasłużony wypoczynek!

— Jedz waćpan, proszę.

— Jabym dla waćpanny i truciznę zjadł!... Zostawiłem tedy część mojej hołoty w Poniewiezu, część w Upicie, a godniejszych kompanionów do Lubiczam w gościnę zaprosił... Ci przyjdą waćpannie czołem bić.

— A gdzież waćpana laudańscy ludzie znaleźli?

— Oni mnie znaleźli, gdym i tak już do Poniewieza na hiberny szedł. Byłbym i bez nich tu przyciągnął.

— Pijno waćpan...

— Jabym dla waćpanny i truciznę wypił...

— Ale o śmierci dziadusia i o testamencie, to laudańscy dopiero waćpanu powiedzieli?

— A, o śmierci to oni. Panie, świeć nad duszą mego dobrodzieja! Czy to waćpanna wysłałaś do mnie tych ludzi?

— Tego sobie waćpan nie myśl. O żałobie myślałam i modlitwie, więcej o niczem...

— Oni też to samo mówili... Ho! harde jakieś szaraki!... Chciałem im dać nagrodę za fatygę, to jeszcze się na mnie zachnęli i nuż przymawiać, że to może orszańska szlachta munsztułuki bierze, ale laudańska nie! Bardzo mi szpetnie przymawiali! Co ja

słyszając, myślę sobie tak: nie chcecie pieniędzy, każę wam dać po sto bizunów.

Na to panna Aleksandra chwyciła się za głowę.

— Jezus Marya! i waćpan to uczynił?

Kmicie spojrział zdziwiony.

— Nie przestraszaj się waćpanna... Nie uczyniłem, choć się dusza zawsze we mnie na takich szlachetków przewraca, którzy równymi nam się być mienią. Ale sobie pomyślał: okrzyczą mnie niewinnie w okolicy za gwałtownika i jeszcze przed waćpanną obmówią.

— Wielkie to szczęście! — rzekła oddychając głęboko Oleńka — bo inaczej na oczybym waćpana widzieć nie mogła.

— A to jakim sposobem?

— Mała to szlachta, ale starożytna i sławna. Dziaduś nieboszyk zawsze się w niej kochał i na wojnę z niemi chodził. Wiek życia razem przesłużyli, a czasu pokoju w dom ich przyjmował. Stara to domu naszego przyjaźń, którą waćpan szanować musisz, Masz przecie serce i nie popsujesz tej świętej zgody, w której żyliśmy dotąd!

— To ja o niczem nie wiedziałem! niech mnie usieką, jeśli wiedział! A przyznaję, że ta bosa szlachetczyzna jakoś mi nie idzie do głowy. U nas, kto chłop, to chłop, a szlachta wszystko familianci, którzy po dwóch na jedną kobyłę nie siadają... Dalibóg! że takim szerepetkom nic do Kmiciców, ani do Billewiczów, jak piskorzom nic do szczuk, choć i to, i to ryba.

— Dziaduś powiadał, że substancya nic nie stanowi, jeno krew i poczciwość, a to poczciwi ludzie, inaczejby ich dziaduś opiekunami moimi nie czynił.

Pan Andrzej zdumiał i otworzył szeroko oczy.

— Ich? opiekunami waćpanny dziaduś uczynił? wszystką szlachtę laudańską?...

— Tak jest. Waćpan się nie marszcz, bo nieboszczyka wola święta. Dziwno mi to, że wysłańcy tego waćpanu nie powiedzieli?

— Byłbym ich... ale nie może to być! Przecie tu jest kilkanaście zaścianków... wszyscyż to oni nad waćpanną sejmują? zali i nade mną będą sejmikować, czym po ich myśli, czy nie?... E! nie żartujno, waćpanna, bo się we mnie krew burzy!

— Panie Andrzeju, ja nie żartuję... świętą i szczerą prawdę mówię. Nie będą oni sejmikowali nad waćpanem, ale jeśli ich nie odepchniesz, pychy nie okażesz, to nietylko ich, ale i mnie za serce ujmiesz. Będę razem z nimi waćpanu dziękowała, całe życie... całe życie, panie Andrzeju...

Głos jej drżał, jak prośba pieściwa, ale on nie rozmarszczał brwi i chmurny był. Gniewem wprowadzie nie wybuchnął, choć chwilami przelatywały mu jakby błyskawice po twarzy, ale odrzekł z wyniosłością i dumą:

— Tegom się nie spodziewał! Szanuję wolę nieboszczyka i tak myślę, że pan podkomorzy mógł ten drobiazg szlachecki do czasu mego przybycia opiekunami waćpanny uczynić, ale gdym tu już raz nogą stanął, nikt inny, prócz mnie, opiekunem nie będzie. Nietylko owe szaraki, ale i sami Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają.

Panna Aleksandra spowaźniała i odrzekła po krótkiej chwili milczenia:

— Źle waćpan czynisz, że się dumą unosisz. Kondycye dziadzia nieboszczyka albo trzeba wszystkie przy-

jąć, albo wszystkie odrzucić — rady innej nie widzę. Laudańscy nie będą się przykrzyć, ani też narzucać, bo to godni ludzie i spokojni. Tego waćpan nie przypuszczaj, żeby oni ci ciężcy byli. Gdyby tu jakieś niesnaski powstały, tedyby mogli słowo rzec, ale tak mnie mam, że wszystko pójdzie zgodnie i spokojnie, a wtedy taka to będzie opieka, jakby jej nie było...

On pomilczał jeszcze chwilę, potem ręką kiwnął i rzekł:

— Prawdać to, że ślub wszystko zakończy. Nie ma się o co spierać, niech jeno siedzą spokojnie i nie wtrącają się do mnie, bo dalibóg, nie dam sobie w wąsy dmuchać; zresztą, mniejsza o nich! Przyzwól waćpanna na ślub prędko, to będzie najlepiej!

— Nie wypada teraz o tem mówić w czasie żałoby...

— Aj! a długo będę musiał czekać?

— Sam dziaduś napisał, żeby nie dłużej, jak pół roku.

— Wysznę do tego czasu, jak trzaska. Ale się już nie gniewajmy. Jużes waćpanna tak zaczęła na mnie surowie spoglądać, jak na winowajcę. Bogdajże cię, mój królu złoty! Com ja winien, kiedy natura we mnie taka: gdy mnie gniew na kogo uchwyci, tobym go rozdarł, a gdy przejdzie, tobym zszył!

— Strach z takim żyć — odrzekła już weselej Oleńka.

— No! zdrowie waćpanny! Dobrze to wino, a u mnie szabla i wino, to grunt. Jaki tam strach ze mną żyć? Waćpanna to mnie usidlisz swojemi oczkami i w niewolnika obrócisz, mnie, którym nikogo nad sobą znosić nie chciał. Ot, i teraz! wolałem z chorągiewką



na własną rękę chodzić, niż panom hetmanom się kłaniać... Mój królu złoty! jeśli ci się co we mnie nie spodoba, to i przebac, bom się manier pod harmatami uczył, nie we fraucymerach — w zgiełku żołnierskim, nie przy lutni. U nas tam niespokojna strona, szabli z ręki nie popuść. To też, choć tam i kondemnatka jaka na kim cięży, choć go i wyrokami ścigają — nie to! Ludzie go szanują, byle fantazyą miał kawalerską. Exemplum: moi kompanowie, którzy gdzieindziej dawnoby w wieżach siedzieli... swoją drogą godni kawalerowie! Nawet białogłowy u nas w bótach i przy szabli chodzą i partyom hetmanią, jako pani Kokosińska, stryjna mego porucznika czyniła, która teraz kawalerską śmiercią poległa, a synowiec pod moją komendą za nią się mścił, choć jej za życia nie kochał. Gdzie nam dworności się uczyć, choćby największym familiantom? Ale to rozumiemy: wojna — to stawać, sejmik — gardłować, a mało języka — to dalejże szablą! Ot, co jest! takiego mnie nieboszczyk podkomorzy poznał i takiego dla waćpanny wybrał!

— Jam zawsze za wolą dziadusia szła chętnie — odparła, spuszcżając oczy, panienska.

— A dajże jeszcze ręciny ucałować, moja słodka dziewczyno! Dalibóg, okrutnieś mi do serca przypadła! Tak mnie sentyment rozebrał, że nie wiem, jak do owego Lubicza trafię, którego jeszcze nie widział.

— Dam waćpanu przewodnika...

— Ej, obejdzcie się. Już ja przywykłem tłóć się po nocach. Mam pacholka z Poniewieża, który powinien drogę znać. A tam mnie Kokosiński z kompanami czeka... wielcy to familianci u nas Kokosińscy, którzy się Pypką pieczętują... Tego niewinnie bezecnym

ogłoszono, za to, że panu Orpiszewskiemu dom spalił i dziewczkę porwał, a ludzi wyciął... Godny towarzysz!... Dajże jeszcze ręczyny. Czas, widzę, jechać!

Wtem północ poczęła bić zwolna na wielkim gdańskim zegarze, w jadalnej izbie stojącym.

— Dla Boga! czas! czas! — zawołał Kmicic. — Nic tu już nie wskóram! Miłujeszże mnie choć na obwinienie palca?

— Kiedyindziej odpowiem. Przecie będziesz mnie waćpan odwiedzał?

— Codzień! chybaby się ziemia pode mną rozpadła. Niech mnie usieką!...

To rzekłszy, Kmicic wstał i wyszli oboje do sieni. Sanki czekały już przed gankiem, więc ubrał się w szubę i żegnać ją począł, prosząc, by do komnat wróciła, bo z ganku zimno leci.

— Dobranoc, królowo miła, — mówił — śpij smaczno, bo ja, to chyba oka nie zmrużę, o twojej gładkości rozmyślając!

— Byleś waćpan czego szpetnego nie upatrzył. Ale lepiej dam waćpanu człowieka z kagankiem, bo to i wilków pod Wołmontowiczami nie brak.

— A cóżto ja koza, żebym się wilków miał bać? Wilk żołnierzowi przyjaciel, bo często się z jego ręki pożywi. Wzięło się też i bandolecik do sanek. Dobranoc, najmiłsza, dobranoc!

— Z Bogiem!

To rzekłszy, Oleńka cofnęła się, a pan Kmicic ruszył ku gankowi. Ale po drodze, w szparze uchylonych drzwi do czeladnej, dojrzał kilka par oczu dziewcząt, które spać się nie pokładły, aby go ujrzeć raz jeszcze. Tym posłał pan Andrzej żołnierskim obyczajem

całusa od ust ręką i wyszedł. Po chwili zabrzączał dzwonek i jął brzęczeć zrazu głośno, potem coraz bardziej mdlejącym dźwiękiem, coraz słabiej, wreszcie ustał.

Cicho się zrobiło w Wodoktach, aż ta cisza zdziwiła pannę Aleksandrę; w uszach jej jeszcze brzmiały słowa pana Andrzeja, słyszała jeszcze jego śmiech szczery, wesoły, w oczach stała bujna postać młodzieńca, a teraz po tej burzy słów, śmiechu i wesołości, takie dziwne nastąpiło milczenie. Panienka nadstawiła uszu, czy nie dosłyszysz jeszcze choć tego dzwonka od sanek. Ale nie! już on tam dzwonił gdzieś w lasach, pod Wołmontowiczami. Więc mocna tęsknota ogarnęła dziewczynę — i nigdy nie czuła się tak samotną na świecie.

Zwolna wzięwszy świecę, przeszła do izby sypialnej i klękła do pacierzy. Zaczynała je z pięć razy, nim wszystkie z należytą powagą odmówiła. Ale potem jej myśli, jakby na skrzydłach, pognały do tych sanek i do tej postaci w nich siedzącej... Bór z jednej strony, bór z drugiej, w środku szeroka droga, a on sobie jedzie... pan Andrzej! Tu Oleńce wydało się, że widzi, jak na jawie, płową czuprynę, siwe oczy i śmiejące się usta, w których błyszczały białe, jak u młodego psiaka, zęby. Trudno bowiem chciała przed sobą zapierać się poważna panna, że jej się okrutnie podobał ów rozhukany kawaler. Zaniepokoił ją trochę, trochę przestraszył, ale jakże pociągnął zarazem właśnie tą fantazyą, tą wesołą swobodą i szczerością. Aż się wstydziła, że jej się podobał nawet ze swojej pychy, kiedy to na wzmiankę o opiekunach, głowę jakby turecki dzianet podniósł i mówił: „Sami nawet Radziwiłłowie birzańscy nic tu do opieki nie mają“... To nie niewieściuch, to mąż prawdziwy! — mówiła

sobie panna. Żołnierz jest, jakich dziaduś najwięcej miłował... Bo i warto!

Tak rozmyślała panienska — i to ją ogarniała błogość niczem niezmacona, to niepokój, ale i ten niepokój był jakiś luby. Potem zaczęła się rozbierać, gdy drzwi skrzypnęły i weszła ciotka Kulwiecówna ze świecą w ręku.

— Strasznieście długo siedzieli! — rzekła. — Nie chciałam młodym przeszkadzać, żebyście się sami pierwszym razem nagadali. Grzeczny wydaje się kawaler. A tobie jak się udał?

Panna Aleksandra zrazu nic nie odpowiedziała, jeno bosemi już nóżkami przybiegła do ciotki, zarzuciła jej ręce na szyję, a złożywszy swą jasną głowę na jej piersiach, rzekła pieśczośliwym głosem:

— Ciotuchna, aj, ciotuchna!

— Oho! — mruknęła stara panna, podnosząc w górę oczy i świecę.

---

## ROZDZIAŁ II.

---

We dworze w Lubiczu, gdy przedeń pan Andrzej zajechał, okna gorzały i gwar dochodził aż na podwórze. Czeladź, usłyszawszy dzwonek, wypadła przed sień, by pana witac, bo wiadano od kompanionów, że przyjedzie. Witano go zatem pokornie, całując po rękach i podejmując pod nogi. Stary włodarz Znikis stał w sieni z chlebem i solą i bił pokłony czołem; wszyscy poglądali z niepokojem i ciekawością, jak też przyszedł pan wygląda. On zaś kieskę z talarami na tacę rzucił i o towarzyszków pytał, zdziwiony, że żaden naprzeciw jego gospodarskiej mości nie wyszedł.

Ale oni nie mogli wyjść, bo już ze trzy godziny byli za stołem, zabawiając się kielichami i może nawet nie zauważyli brzęczenia dzwoneków za oknem. Gdy jednak wszedł do izby, ze wszystkich piersi wyrwał się gromki okrzyk: „haeres! haeres przyjechał!“ i wszyscy kompanionowie, zerwawszy się z miejsca, poczęli iść do niego z kielichami. On zaś wziął się pod boki i śmiał się, poznawszy, jako sobie już dali rady w jego domu i zdążyli podpić, nim przyjechał. Śmiał się coraz mocniej, widząc, że przewracają zydle po drodze i słaniają się i idą z powagą pijacką. Przed innymi szedł olbrzymi

pan Jaromir Kokosiński, Pypką się pieczętujący, żołnierz i burda sławny, ze straszliwą blizną przez czoło, oko i policzek, z jednym wąsem krótszym, drugim dłuższym, porucznik i przyjaciel pana Kmicica, „godny kompanion“, skazany na utratę czci i gardła w Smoleńskiem za porwanie panny, zabójstwo i podpalenie. Jegoto teraz osłaniała wojna i protekcyja pana Kmicica, który był mu rówieśnikiem i fortuny ich w Orszańskiem, póki swojej pan Jaromir nie przehulał, leżały o miedzę. Szedł on tedy teraz, trzymając w obu rękach roztruchanik, uszniak, dębniakiem wypełniony. Za nim szedł pan Ranicki, herbu Suche Komnaty, rodem z województwa mścislawskiego, z którego był banitem za zabójstwo dwóch szlachty posesyonatów. Jednego w pojedynku usiekł, drugiego bez boju z rusznicy zastrzelił. Mienia nie posiadał, choć macosze ziemie po ojcach odziedziczył. Wojna go także przed katem chroniła. Zawadyaka to był w ręcznym spotkaniu niezrównany. Trzecim zkolei był Rekuć Leliwa, na którym krew nie ciążyła, chyba nieprzyjacielska. Fortunę on zato w kości przegrał i przepił — od trzech lat przy panu Kmicicu się wieszał. Z nim szedł czwarty, pan Uhlik, także Smoleńszczanin, za rozpędzenie trybunału bezecnym ogłoszony i na gardło skazany. Pan Kmicic go ochraniał, gdyż na czekaniu pięknie grywał. Był prócz nich i pan Kulwiec-Hippocentaurus, wzrostem Kokosińskiemu równy, siłą jeszcze go przewyższający — i Zend kawalkator, który zwierza i wszelkie ptastwo udawać umiał, człowiek niepewnego pochodzenia, choć się szlachcicem kurlandzkim powiadał; będąc bez fortuny, konie Kmicicowi ujeżdżał, za co lafę pobierał.

Ci tedy otoczyli śmiejącego się pana Andrzeja; Kokosiński podniósł uszniak do góry i zaintonował:

Wypijże z nami, gospodarzu miły,  
gospodarzu miły!  
Byś pić mógł z nami, aże do mogiły,  
aże do mogiły!...

Inni powtórzyli chórem, poczem pan Kokosiński wręczył Kmicicowi uszniak, a jemu samemu podał zaraz inny puharek pan Zend.

Kmicic podniósł w górę roztruchan i zakrzyknął:

— Zdrowie mojej dziewczyny!

— Vivat! Vivat! — krzyknęły wszystkie głosy, aż szyby poczęły drzeć w ołowianych oprawach.

— Vivat! Przejdzie żałoba, będzie weselisko!

Pytania poczęły się sypać:

— A jakoż wygląda? Hej! Jędrus! bardzo gładka? Czy taka, jak sobie imaginowałeś? Jestli druga taka w Orszańskim?

— W Orszańskim? — zawołał Kmicic — kominy przy niej naszymi orszańskimi pannami zatykać!... Do stu piorunów! niemasz takiej drugiej na świecie!

— Tegośmy dla cię chcieli! — odpowiedział pan Ranicki. — A no, kiedy wesele?

— Jak się żałoba skończy.

— Furda żałoba! dzieci się czarne nie rodzą, jeno białe!

— Jak będzie wesele, to nie będzie żałoby. Ostro Jędrusiu!

— Ostro Jędrusiu! — poczęli wołać wszyscy razem.

— Już tam chorążętom orszańskim tęskno z nieba na ziemię! — krzyknął Kokosiński.

— Nie daj czekać niebożętom!

— Gości panowie! — rzekł cienkim głosem Rekuć-Leliwa — popijem się na weselu, jak nieboskie stworzenia!

— Moi mili barankowie — odpowiedział Kmicic — pofolgujcie mi, albo lepiej mówiąc: idźcie do stu dyabłów, niechże się po moim domu obejrzą!

— Na nic to! — odparł Uhlik. — Jutro oględziny, a teraz pospołu do stołu: jeszcze tam parę gąsiorków z pełnemi brzuchami stoi.

— My tu już za ciebie oględziny odprawili. Złote jabłko ten Lubicz! — rzekł Ranicki.

— Stajnia dobra! — wykrzyknął Zend — jest dwa bachmaty, dwa husarskie przednie, para żmudzinów i para kałmuków i wszystkiego po parze, jak oczu w głowie. Stadninę jutro obejrzym.

Tu Zend zarżał jak koń, a oni się dziwili, że tak doskonale udaje i śmieli się.

— Takież tu porządki? — spytał uradowany Kmicic.

— I piwniczka jako się patrzy — zapiszczał Rekuć — ankary smoliste i gąsiory spleśniałe, jakoby chorągwie w ordynku stoją.

— To chwała Bogu! siadajmy do stołu!

— Do stołu! do stołu!

Ale zaledwie siedli i ponalewali kielichy, gdy Ranicki znów zerwał się.

— Zdrowie podkomorzego Billewicza!

— Głupi! — odparł Kmicic. — Jakżeto? nieboszczyka zdrowie pijesz?

— Głupi! — powtórzyli inni. — Zdrowie gospodarskie!



— Wasze zdrowie!...

— By nam się w tych komnatach dobrze działa!

Kmicic rzucił mimowoli okiem po izbie jadalnej i ujrzał na poczerniałej ze starości modrzewiowej ścianie rząd oczu surowych, w siebie utkwionych. Oczy te patrzyły ze starych portretów Billewiczowskich, wiszących nisko, na dwa łokcie od ziemi, bo i ściana była niska. Nad obrazami, długim, jednostajnym szeregiem, wisiały czaszki żubrze, jelenie, łosie, w koronach z rogów, niektóre już zczerniałe, widocznie bardzo stare, inne połyskujące białością. Wszystkie cztery ściany były niemi ubrane.

— Łowy tu muszą być przednie, bo widzę i zwierza dostatek! — rzekł Kmicic.

— Jutro zaraz pojedziem, albo pojutrze. Trzeba i okolicę poznać — odparł Kokosiński. — Szczęśliwyś ty Jędrusiu, że masz gdzie głowę przytulić!

— Nie tak jak my! — jęknął Ranicki.

— Wypijemy na pocieszenie! — rzekł Rekuć.

— Nie! nie na pocieszenie! — odpowiedział Kulwiec-Hippocentaurus — ale jeszcze raz za zdrowie Jędrusia, naszego rotmistrza kochanego! Onto, moi mości panowie, przytulił nas tu w Lubiczu, nas biednych exulów, bez dachu nad głową.

— Słusznie mówi! — zawołało kilka głosów. — Nie taki głupi Kulwiec, jak się wydaje.

— Ciężka nasza dola! — pisał Rekuć. — W tobie cała nadzieja, że nas za wrota, sierot biednych, nie wygonisz.

— Dajcie pokój! — mówił Kmicic — co moje, to i wasze!

Na to powstali wszyscy ze swych miejsc i poczęli

go w ramiona brać. Łzy rozczulenia płynęły po tych twarzach srogich i pijackich.

— W tobie cała nadzieja, Jędrusiu! — wołał Kokosiński — choć na grochowinach pozwól się przespać, nie wyganiaj!

— Dajcie spokój! — powtarzał Kmicic.

— Nie wyganiaj, i tak nas wygnali, nas szlachtę i familiantów! — wołał żałośnie Uhlik.

— Do stu kaduków! któż was wygania: jedzcie, pijcie, czego u dyabła chcecie?

— Nie przecz Jędrusiu — mówił Ranicki, na którego twarz wystąpiły cętki, jak na skórze rysia — nie przecz Jędrusiu, przepadliśmy z kretešem...

Tu się zaciął, przyłożył palec do czoła, jakby głowę wysilał i nagle rzekł, spojrzawszy baraniami oczyma na obecnych:

— Chyba, że się fortuna odmieni!

**A** wszyscy zawrzaśli zaraz chórem;

— Co się nie ma odmienić!

— Jeszcze za swoje zapłacimy.

— I do fortun dojdziem.

— I do godności!

— Bóg niewinnym błogosławi. Dobra nasza, mości panowie!

— Zdrowie wasze! — zawołał Kmicic.

— Święte twoje słowa, Jędrusiu! — odparł Kokosiński, nadstawiając mu swe puciołowate policzki. — Bodaj nam się lepiej działo!

Zdrowia zaczęły krążyć, czupryny dymić. Gadali wszyscy jeden przez drugiego, a każdy siebie tylko słuchał, z wyjątkiem pana Rekucia, bo ten głowę spuścił na piersi i drzemał. Po chwili Kokosiński jał śpiewać:

„Len mędziła na mędlicy!“ — co widząc pan Uhlik, dobył z zanadrza czekanika i nuż wtórować, a pan Ranicki, wielki fechtmistrz, fechtował się gołą ręką z niewidzialnym przeciwnikiem, powtarzając półgłosem:

— Ty tak, ja tak! ty tniesz, ja mach! raz! dwa! trzy! — szach!

Olbrzymi Kulwec - Hippocentaurus wytrzeszczał oczy i przypatrywał się pilnie czas jakiś Ranickiemu, nakoniec kiwnął ręką i rzekł:

— Kiep z ciebie! Machaj zdrów, a taki Kmicicowi na szable nie dotrzymasz.

— Bo jemu nikt nie dotrzyma, ale ty się spróbuj!

— I ze mną na pistolety nie wygrasz.

— O dukat strzał.

— O dukat! A gdzie i do czego?

Ranicki powlókł wzrokiem naokoło, nakoniec wykrzyknął, wskazując na czaszki:

— Między rogi! o dukat!

— O co? — spytał Kmicic.

— Między rogi! o dwa dukaty! o trzy! dawajcie pistolety!

— Zgoda! — krzyknął pan Andrzej. — Niech idzie o trzy. Zend! po pistolety!

Poczęli krzyczeć wszyscy coraz głośniejsze i targować się ze sobą; tymczasem Zend wyszedł do sieni i po małej chwili wrócił z pistoletami, workiem kul i rogiem z prochem.

Ranicki chwycił za pistolet.

— Nabity? — spytał.

— Nabity!

— O trzy! cztery! pięć dukatów! — wrzeszczał pijany Kmicic.

— Cicho! Chybisz, chybisz!

— Trafie, patrzcie!... at! do tej czaszki, między rogi... raz, dwa...

Wszyscy zwrócili oczy na potężną czaszkę łosią, wiszącą wprost Ranickiego; on zaś wyciągnął rękę. Pistolet chwiał mu się w dłoni.

— Trzy! — wykrzyknął Kmicic.

Strzał huknął, izba napełniła się dymem prochowym.

— Chybił, chybił! ot, gdzie dziura! — wołał Kmicic, wskazując ręką na ciemną ścianę, z której kula odłupała wiór jaśniejszy.

— Do dwóch razy sztuka!

— Nie! dawaj mnie! — wołał Kulwicz.

W tej chwili wpadła na odgłos strzału przerażona czeladź.

— Precz! precz! — krzyknął Kmicic. — Raz! dwa! trzy!...

Znów huknął strzał, tym razem drzazgi posypały się z kości.

— A dajcie i nam pistolety! — zakrzyknęli wszyscy naraz.

I zerwawszy się, poczęli grzmocić pięściami po karkach pacholków, chcąc ich do pośpiechu zachęcić. Nim upłynął kwadrans, cała izba grzmiała wystrzałami. Dym przesłonił światło świec i postacie strzelających. Hukom wystrzałów towarzyszył głos Zenda, który krakał jak kruk, kwilił jak sokół, wył jak wilk, ryczał jak tur. Co chwila przerywał mu świst kul; drzazgi leciały z czaszek, wióry ze ścian i z ram por-

tretów; w zamieszaniu postrzelono i Billewiczów, a Raniccki wpadłszy w furję, siekł ich szablą.

Zdumiona i wylękała czeladź, stała jakby w obłąkaniu, poglądając wytrzeszczonemi oczyma na tę zabawę, która do napadu tatarskiego była podobną. Psy poczęły wyć i szczekać. Cały dom zerwał się na nogi. Na podwórzu zebrały się kupki ludzi. Dziewki dworskie biegły pod okna i przykładając twarze do szyb, płaszcąc nosy, spoglądały co się dzieje w środku.

Dojrzał je nakoniec pan Zend; świsnął tak przeraźliwie, że aż w uszach wszystkim zadzwoniło i krzyknął:

— Mości panowie! sikorki pod oknami! sikorki!

— Sikorki! sikorki!

— Dalejże w płasy! — wrzeszczały niesforne głosy.

Pijana czereda skoczyła przez sień na ganek. Mróz nie otrzeźwił głów dymiących. Dziewczęta krzycząc w niebogłosy, rozbiegły się po całym podwórzu; oni zaś gonili je i każdą schwytaną odprowadzali do izby. Po chwili poczęły się płasy wśród dymu, złamków kości, wiórów, wkoło stołu, na którym porozlewane wino utworzyło całe jeziora.

Takto bawili się w Lubiczu pan Kmicic i jego dzika kompania.

### ROZDZIAŁ III.

---

Przez następne dni kilka, codziennie bywał pan Andrzej w Wodoktach i codzieln wracał więcej rozkochany i coraz bardziej podziwiał swoją Oleńkę. Przed kompanionami też ją pod niebiosa wychwalał, aż pewnego dnia rzekł im:

— Moi mili barankowie, pojedziecie dziś czołem bić, potem zaś umówiliśmy się z dziewczyną, że do Mitrunów wszyscy wyruszymy, aby sanny w lasach zażyć i tę trzecią majątność obaczyć. Ona też nas tam podejmować będzie gościnnie, a wy się przystojnie zachowajcie, bo na bigos posiekam, którenby jej w czemkolwiek uchybił...

Kawalerowie chętnie skoczyli się ubierać i wkrótce cztery pary sań wiozło ochoczą młodzież do Wodoktów. Pan Kmicic siedział w pierwszych, bardzo ozdobnych, kształt niedźwiedzia srebrzystego mających. Ciągnęły je trzy kałmuki zdobyczne, w pstrą uprząż przybrane, we wstążki i pióra pawie, wedle mody w Smoleńskiem, którą od dalszych sąsiadów Smoleńszczanie przyjęli. Powoził parobek, siedzący w szyi niedźwiedziej. Pan Andrzej, przybrany w zieloną aksamitną bekieszę, spinaną na złote pętlice, a podbitą sobolami i w soboli

kołpaczek z czaplem piórem, wesół był, ochoczy i tak mówił do siedzącego obok pana Kokosińskiego:

— Słuchaj Kokoszko! Podswawoliliśmy pono przez te dwa wieczory nad miarę, a zwłaszcza pierwszego, gdy się to czaszkom i portretom dostało. Ba, dziewczęta były jeszcze gorsze. Zawsze dyabeł Zenda podnieci, a potem na kim się skrupi! — na mnie! Boję się, żeby ludzie nie rozgadali, bo tu chodzi o moją reputacyą.

— Powieźże się na twojej reputacyi, bo na nic innego nie zdatna, tak jak i nasze.

— A kto temu winien, jeśli nie wy? Pamiętaj, Kokoszko, że to i w Orszańskim mieli mnie przez was za niespokojnego ducha i języki na mnie ostrzyli, jak noże na osetce.

— A kto pana Tumgrata na mrozie przy koniu prowadził? Kto owego koroniarza usieknął, który się pytał, czy w Orszańskim, już na dwóch nogach chodzą, czyli jeszcze na czterech? Kto panów Wyzińskich ojca i syna poszczerbił? Kto sejmik ostatni rozpedził?

— Sejmik rozpedziłem w Orszańskim, nie gdzieindziej, to domowa rzecz. Pan Tumgrat odpuścił mi umierając, a co reszty, to nie wymawiaj, gdyż pojedynek najniewinniejszemu się zdarzy.

— Jam ci też wszystkich nie wymienił, o inkwizycjach wojskowych także nie wspomniałem, których dwie cię w obozie czeka.

— Nie mnie, ale was, bom ja tyle jeno winien, żem wam obywatelów rabować dozwolił. Ale mniejsza z tem. Stulże pysk, Kokoszko, i nie powiadaj o niczem Oleńce, ani o pojedynkach, ani zwłaszcza o owem strzelaniu do portretów i o dziewczętach. Gdyby się wy-

dało, na was winę złożyć. Czeladzi już wspomniałem i dziewczkom, że niechby które słowem wspomniało, każę pasy drzeć.

— Każ się podkuć, Jędrusiu, kiedy się tak dziewczyny boisz. Inny ty byłeś w Orszańskim. Widzę to już, widzę, że będziesz na pasku chodził, a to na nic! Któryś filozof starożytny powiada: „Jak nie ty Kachnę, to Kachna ciebie!“ Dałeś się już we wszystkim usidlić.

— Głupiś Kokoszko! A co do Oleńki, będziesz i ty z nogi na nogę przestępował, jak ją zobaczysz, bo białogłowy z tak grzecznym umysłem drugiej nie znaleźć. Co dobre, to ona zaraz pochwali, a co złe, tego zganić nie omieszka, bo wedle cnoty sądzi i w niej ma gotową miarę. Tak ją już nieboszczyk podkomorzy wychował. Zechcesz przed nią fantazyą kawalerską okazać i pochwalisz się, żeś prawo zdeptał, to ci potem jeszcze wstyd: bo zaraz rzeknie, że zacny obywatel tego czynić nie powinien, gdyż to jest przeciw ojczyźnie... Tak ona rzeknie, a tobie jakby w pysk dał i aż ci dziwno, żeś wprzód sam tego nie rozumiał... Tfu! wstyd! warcholiliśmy się okrutnie, a teraz trzeba przed cnotą i niewinnością oczami świecić... Najgorsze były te dziewczęta!...

— Wcale nie były najgorsze. Słyszałem, że tu po zaściankach szlachcianki, jako krew z mlekiem i podobno zgoła nie odporne.

— Kto ci to powiadał? — spytał żywo Kmicic.

— Kto powiadał? Kto, jeśli nie Zend. Wczoraj dzianeta dereszowatego próbując, pojechał do Wołmentowicz; przejechał jeno drogą, ale widział siła sikorek, bo z niesporów wracały. „Myślałem (powiada), że z konia zlecę, tak chędogie i gładkie“. A co na którą



spojrzał, to mu zaraz zęby pokazała. I nie dziw! Co tęższe chłopcy między szlachtą, to do Rosień poszli, a sikorkom przykrzy się samym.

Kmicic trącił kułakiem w bok towarzysza:

— Pojedziemy, Kokoszko, kiedy wieczorem, niby zbłądziwszy — co?

— A twoja reputacya?

— O do dyabła! Stulże gębę. Jedźcie sami, kiedy tak; albo lepiej zaniechajcie i wy! Nie obesłoby się bez hałasów, a z tutejszą szlachtą chcę zgodnie żyć, bo ich opiekunami Oleńki nieboszczyk podkomorzy wyznaczył.

— Mówiłeś o tem, alem nie chciał wierzyć. Zkąd mu taka konfidencya z szarakami?

— Bo na wojnę z niemi chadzał i to słyshałem jeszcze w Orszy, jak mawiał, że cnotliwa krew w tych laudańskich. Ale, żeby ci prawdę, Kokoszko, powiedzieć, to i mnie zrazu dziwno było, bo to tak, jakoby ich stróżami nade mną uczynił.

— Musisz się im akomodować i do wiechciów w bótach kłaniać.

— Wpierw ich powietrze wydusi. Cicho bądź, bo mi gniewno! Oni to będą mi się kłaniali i służyli. Chorągiew to gotowa na każde zawołanie.

— Już tam kto inny będzie tej chorągwi rotmistrzował. Powiadał Zend, że tu jest jakiś pułkownik między niemi... Zapomniałem przezwiska... Wołodyjowski, czy kto? On pod Szklówem im przywodził. Dobrze podobno stawali, ale ich tam i wyczesano!

— Słyshałem ja o jakimś Wołodyjowskim, sławnym żołnierzu... Ale oto Wodokty już widać.

— Hej, dobrze tu ludziom na tej Żmudzi, bo

wszędę okrutne porządki. Stary musiał być zawołany gospodarz... I dwór, widzę, jak się patrzy. Ich tu rzadziej nieprzyjaciół pali, to się i budować mogą.

— Myślę, że o tej swawoli w Lubiczu nie może ona jeszcze wiedzieć — rzekł, jakby do siebie samego, Kmicic.

Poczem zwrócił się do towarzysza:

— Moja Kokoszko, zapowiadam tobie, a ty powtórz jeszcze raz innym, że tu musicie się przystojnie zachować, a niech który sobie w czemkolwiek pofolguje, jak mi Bóg miły, na sieczkę potną.

— No! ależ cię osiodłali!

— Osiodłali, nie osiodłali — tobie zasię!

— Nie patrz mi na Kasię, bo ci do niej zasię! — rzekł flegmatycznie Kokosiński.

— Pal z bata! — krzyknął na woźnicę Kmicic.

Pacholek, stojący w szyi srebrzystego niedźwiedzia, zakręcił batem i wystrzelił bardzo sprawnie, inni woźnice poszli za jego przykładem i zajechali wśród trzaskania, rażno, wesoło, jakoby kulig.

Wysiadłszy z sanek, weszli najprzód do sieni ogromnej jak spichlerz, niebielonej, a ztąd prowadził pan Kmicic do jadalnej izby, przybranej jak w Lubiczu, w czaszki pobitych zwierząt. Tu się zatrzymali, poglądając pilnie i ciekawie na drzwi do sąsiedniej komnaty, z których wyjść miała panna Aleksandra. Tymczasem, mając widocznie w pamięci ostrzeżenie pana Kmicica, rozmawiali ze sobą tak cicho, jak w kościele.

— Tyś chłop mowny: — szeptał pan Uhlik do Kokosińskiego — ty ją powitasz od nas wszystkich.

— Układałem sobie przez drogę — odrzekł pan

Kokosiński, — ale nie wiem czyli będzie dość gładko, bo mi Jędrus do konceptu przeszkadzał.

— Byle z fantazją! co ma być, niech będzie! Ot, idzie już!...

Panna Aleksandra weszła rzeczywiście i zatrzymała się trochę u proga, jakby zdziwiona tak liczną kompanią, a i pan Kmicic stał przez chwilę jak wryty od podziwu nad jej urodą, bo ją dotąd tylko wieczorami widywał, a przy dniu wydawała się jeszcze piękniejsza. Oczy jej miały barwę chabru, czarna brew nad niemi odbijała od białego czoła jak heban, a płowy włos lśnił się jakby korona na głowie królowej, i patrzyła śmiało, oczu nie spuszczać, jako pani w swoim domu gości przyjmująca, z jasną twarzą, odbijającą jeszcze jaśniej od czarnej jubki, obramowanej grono-stajami. Tak poważnej i wyniosłej panny nie widzieli jeszcze ci wojakowie, przywykli do innego pokroju niewiast, to też stali szeregiem, jakoby na popisie chorągwi i szurgając nogami, kłaniali się także szeregiem, a pan Kmicic sunął naprzód i ucałowawszy kilkanaście razy rękę panienki, rzekł:

— Ołom ci przywiózł, mój klejnocie, kommilitonów moich, z którymi ostatnią wojnę odbywałem.

— Honor to dla mnie niemały — odrzekła Billewiczówna — przyjmować w domu tak godnych kawalerów, o których cnocie i wyborynych obyczajach już od pana chorążego słyszałam.

To powiedziawszy, uchwyciła się koniuszczkami palców za suknię i podnosząc ją nieco, dygnęła z nadzwyczajną powagą, a pan Kmicic wargi przygryzł, ale jednocześnie aż pokraśniał, że tak jego dziewczyna mówiła śmiało.

Godni kawalerowie, szurgając wciąż nogami, trącali jednocześnie pana Kokosińskiego.

— Hajda! wystąp!

Pan Kokosiński posunął się krok naprzód, chrząknął i tak rozpoczął:

— Jaśnie wielmożna panno podkomorzanko...

— Łowczanko — poprawił Kmicic.

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko, a nam wielce miłościwa dobrodziko! — powtórzył zmieszany pan Jaromir — wybacz waćpanna, jeżeli się w godności pomylił...

— Niewinna to omyłka — odrzekła panna Aleksandra — i nic ona tak wymownemu kawalerowi nie ujmie...

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodziko, a nam wielce miłościwa pani!... Nie wiem, co mi w imieniu całego Orszańskiego więcej wysławiać przystoi, czy nadzwyczajną waćpanny dobrodziki urodę i cnotę, czy niewypowiedzianą szczęśliwość rotmistrza i kommilitona naszego, pana Kmicica, bo chociażbym się wzbił pod obłoki, chociażbym samych obłoków dosięgnął... samych, mówię, obłoków...

— A zleźże już raz z tych obłoków! — zakrzyknął Kmicic.

Na to kawalerowie parsknęli jednym ogromnym śmiechem i nagle, wspomniawszy na przykaz Kmicica, chwycili się rękoma za wąsy.

Pan Kokosiński zmieszał się do najwyższego stopnia, zaczerwienił i rzekł:

— Witajcieże sami, poganie, kiedy mnie konfundujecie!

Wtem panna Aleksandra ujęła się znowu koniuszczkami palców za suknię.

— Nie sprostałabym ja waćpanom w wymowie — rzekła — ale to wiem, że niegodna tych hołdów, które mi w imieniu całego Orszańskiego składacie.

I znowu dygnęła z nadzwyczajną powagą, a orszańskim zabijakom jakoś nieswojsko było wobec tej dwornej panny. Starali się pokazać jak ludzie grzeczni i nie szło im w ład. Więc poczęli się ciągnąć za wąsy, mruczeć, kłaść ręce na szable, aż Kmicic rzekł:

— Przyjechaliśmy tu niby kuligiem, w tej myśli, żeby waćpannę zabrać i do Mitrunów przez lasy przewieźć, jako wczoraj była ugoda. Sanna okrutna a i pogodę zdarzył Bóg mroźną.

— Jużem ja ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów wysłała, żeby nam posiłek przyrządziła. A teraz ma-luczko waćpanowie poczekacie, jeno się nieco ciepłej przyodzieję.

To rzekłszy, zawróciła się i wyszła, a Kmicic skoczył do towarzyszy.

— A co, mili barankowie? nie księżna?... A co Kokoszko? to mnie, mówiłeś, osiodłała, a czemu to jako żak przed nią stałeś?... Gdzieś taką widział?

— Nie trzeba mi było w gębę dmuchać, choć nie neguję, że się do takiej osoby mówić nie spodziewałem.

— Nieboszczyk podkomorzy — rzekł Kmicic — więcej z nią w Kiejdanach, na dworze księcia wojewody, albo u państwa Hlebowiczów przesiadywał i tamto tych górnych manier nabrała. A uroda — co?... Pary jeszcze nie umiecie z gęby puścić!

— Pokazaliśmy się jak kpy! — rzekł ze złością Ranicki — ale największy kiep Kokosiński!

— O zdrajco! mnieś to łokciem pchał, trzeba ci było samemu ze swoją cętkowaną gębą wystąpić!

— Zgoda, barankowie, zgoda! — rzekł Kmicic. — Dziwić się wam wolno, ale nie kłócić.

— Jabym za nią w ogień skoczył! — zawołał Rekuć. — Zetnij Jędrus, ale tego nie zaprę!

Kmicic jednak nie myślał ścinać, owszem kontent był, wąsa pokręcał i tryumfalnie na towarzyszków po-  
glądał. Tymczasem weszła panna Aleksandra, ubrana już w kuni kołpaczek, pod którym jasna jej twarz wy-  
dawała się jeszcze jaśniejszą. Wyszli na ganek.

— To temi saniami pojedziem? — pytała pa-  
nienka, ukazując na srebrzystego niedźwiedzia — je-  
szczem też słusznieszych sani w życiu nie widziała.

— Nie wiem, kto tam niemi przedtem jeździł, bo  
zdobyczne. Teraz my we dwoje będziemy jeździli i bar-  
dzo się nadadzą, gdyż i u mnie w herbie panna na  
niedźwiedziu się prezentuje. Są inni Kmicicowie, któ-  
rzy się Chorągwiami pieczętują, ale ci idą od Filona  
Kmita Czarnobyłskiego, a ten zaś nie był z tego domu,  
z którego wielcy Kmitowie się wywodzili.

— A onego niedźwiadka kiedyżeś waćpan zdo-  
był?

— A teraz, w tej już wojnie. My biedni exules,  
którzyśmy od fortun odpadli, to jeno mamy, co wojna  
łupem da. A zem tej pani wiernie służył, więc i na-  
grodziła.

— Dałby Bóg szczęśliwszą, bo ta jednego nagro-  
dzi, a całej ojczyźnie miłej łzy wyciska.

— Bóg to odmieni i hetmani.

To mówiąc, Kmicic otulał panienkę fartuchem od  
sani, pięknym, z białego sukna i białemi wilkami pod-

szytym; potem sam siadł, krzyknął na woźnicę: „ruszaj!” i konie zerwały się z miejsca do biegu.

Zimne powietrze pędem uderzyło o ich twarze, więc zaniemówili i słychać było tylko świst zmarzłego śniegu pod płozami, parskanie koni, tętent i krzyk woźnicy.

Wreszcie pan Andrzej pochylił się ku Oleńce:

— Dobrze waćpannie?

— Dobrze — odrzekła, podnosząc zarękawek i przytulając go do ust, by pęd powietrza zatamować.

Sanie gnały jak wichur. Dzień był jasny, mroźny. Śnieg migotał, jakby kto nań iskry sypał; z białych dachów chat, podobnych do kup śnieżnych, strzelały wysokimi kolumnami dymy różowe. Stada wron polatywały przed saniami wśród bezlistnych drzew przydrożnych, z krakaniem donośnym. O dwie staje za Wodoktami wpadli na szeroką drogę, w ciemny bór, który stał głuchy, sędziwy i cichy, jakby spał pod obfitą okiścią. Drzewa, migotając w oczach, zdawały się uciekać gdzieś w tył za sanie, a oni lecieli coraz prędzej i prędzej, jak gdyby rumaki skrzydła miały. Od takiej jazdy głowa się zawraca i upojenie ogarnia, więc ogarnęło i pannę Aleksandrę. Przechyliwszy się w tył, zamknęła oczy, całkiem pędowi się oddając. Poczwała słodką niemoc i zdało jej się, że ten bojarzyn orszański porwał ją i pędzi wichrem, a ona mdlejąca nie ma siły się oprzeć, ani krzyknąć... I lecą, lecą coraz szybciej... Oleńka czuje, że obejmują ją jakieś ręce... czuje wreszcie na wargach jakoby pieczęć rozpaloną i palącą... oczy się jej nie chcą odemknąć, jakoby w śnie. I lecą — lecą! Senną pannę zbudził dopiero głos pytający:

— Miłujeszże mnie?

Otworzyła oczy:

— Jako duszę własną!

— A ja na śmierć i żywot!

I znowu soboli kołpak Kmicica pochylił się nad kunim Oleńki. Sama teraz nie wiedziała, co ją upaja więcej, pocałunki, czy ta jazda zaczarowana?

I lecieli dalej, a ciągle borem, borem! Drzewa uciekały w tył całemi pułkami. Śnieg szumiał, konie parskwały, a oni byli szczęśliwi.

— Chciałbym do końca świata tak jechać! — zawołał Kmicic.

— Co my czynimy? to grzech! — szepnęła Oleńka.

— Jaki tam grzech! Daj jeszcze grzeszyć.

— Nie można. Mitruny już niedaleko.

— Daleko czy blisko, wszystko jedno!

I Kmicic podniósł się w saniach, wyciągnął ręce dogóry i począł krzyżeć, jakoby w pełnej piersi radości nie mógł pomieścić:

— Hej — ha! hej — ha!

— Hej! a hop! hoop! ha! — odezwali się towarzysze z tylnych sani.

— Czego waćpanowie tak pokrzykujecie? — pytała panna.

— A ot, tak! z radości! A zakrzyknijno i waćpanna!

— Hej — ha! — rozległ się dźwięczny, cieniutki głosik.

— Mojaż ty królowo! Do nóg ci padnę!

· Kompania się będą śmieli.

Po upojeniu ogarnęła ich wesołość szumna, szalona, jako i jazda była szalona. Kmicic począł śpiewać:



„Patrzy dziewczyna, patrzy ze dworu,  
„Na bujne pola!  
„Matus! rycerze idą od boru,  
„Oj mojaż dola!  
„Córúś nie patrzaj — rączkami oczy  
„Zatknił białemi,  
„Bo ci serduszko z piersi wyskoczy  
„Na wojnę z niemi“.

— Kto waćpana wyuczył tak wdzięcznych pieśni? — pytała panna Aleksandra.

— Wojna, Oleńko. W obozie my to sobie z tęskności śpiewali.

Dalszą rozmowę przerwało gwałtowne wołanie z tylnych sani: „Stój! stój! hej tam — stój!“

Pan Andrzej odwrócił się gniewny i zdziwiony, z kądem towarzyszący przyszło do głowy wołać na nich i wstrzymywać, gdy w tem o kilkadziesiąt kroków za saniami dojrzał jeźdźca, zbliżającego się co koń wyskoczy.

— Na Boga! to mój wachmistrz Soroka; coś się musiało tam stać! — rzekł pan Andrzej.

Tymczasem wachmistrz zbliżywszy się, osadził konia tak, że ten aż przysiadł na zadzie, i począł mówić zdyszany głosem:

— Panie rotmistrzu!...

— Co tam, Soroka?

— Upita się pali; biją się!

— Jezus Marya! — zakrzyknęła Oleńka.

— Nie bój się waćpanna... kto się bije?

— Żołnierze z mieszczanami. W rynku pożar! Mieszczanie się zaciekli i po prezydyum do Poniewieża posłali, a jam tu skoczył do waszej miłości. Ledwie tchu mogę złapać...

Przez czas tej rozmowy, sanie idące z tyłu nadjechały; Kokosiński, Ranicki, Kulwiec-Hippocentaurus, Uhlik, Rekuć i Zend, wyskoczywszy na śnieg, otoczyli kołem rozmawiających.

— O co poszło? — pytał Kmicic.

— Mieszczanie nie chcieli obroków dawać, ani koniom, ani ludziom, że to asygnacyi nie było; żołnierze poczeli gwałtem brać. Oblegliśmy burmistrza i tych, którzy się w rynku zatarasowali. Poczęto ognia dawać i zapaliliśmy dwa domy; teraz gwałt okrutny i we dzwony biją...

Oczy Kmicica poczęły świecić gniewem.

— To i nam trzeba na ratunek! — zakrzyknął Kokosiński.

— Wojsko łyczkowie oprymują! — wołał Ranicki, któremu plamy czerwone, białe i ciemne całą twarz zaraz pokryły. — Szach, szach! mości panowie!

Zend zaśmiał się zupełnie tak, jak śmieje się puszczek, aż się konie zestrążyły, a Rekuć podniósł oczy w górę i pisał:

— Bij! kto w Boga wierzy! z dymem łyków!

— Milczeć! — huknął Kmicic, aż las odegrzmiał, a stojący najbliżej Zend zatoczył się, jak pijany. — Nic tam po was! nie potrzeba tam siekaniny!... Siadać wszyscy w dwoje sani, mnie jedne zostawić i jechać do Lubicza. Tam czekać, chyba bym przysłał po sukurs.

— Jaktó? — zaoponował Ranicki.

Ale pan Andrzej położył mu rękę pod szyję i tylko oczyma straszniej jeszcze zaświecił.

— Ni pary z gęby! — rzekł groźnie.

Umilkli; widać się go bali, chociaż tak zwykle byli z nim poufale.

— Wracaj Oleńko do Wodoktów — rzekł Kmicic — albo jedź po ciotkę Kulwiecównę do Mitrunów. Ot! i kulik się nie udał. Wiedziałem, że oni tam spokojnie nie usiedzą... Ale zaraz tam będzie spokojniej, jeno łbów kilka zleci. Bądź waćpanna zdrowa i spokojna, pilno mi będzie z powrotem...

To rzekłszy ucałował jej ręce i otulił ją w wilczurę; potem siadł do innych sani i zakrzyknął na woźnicę:

— Do Upity!

## ROZDZIAŁ IV.

---

Upłynęło kilka dni, a Kmicic nie wracał, ale za to do Wodoktów przyjechało trzech szlachty laudańskiej, na zwiady do panienki. Przyjechał więc Pakosz Gasztowt z Pacunelów, ten, który gościł u siebie pana Wołodyjowskiego, patriarcha zaścianka, słynny z bogactw i sześciu córek, z tych trzy były za trzema Butrymami, a dostały każda po sto bitych talarów wiana, prócz wyprawy i inwentarzy. Drugi przyjechał Kassyan Butrym, najstarszy człowiek na Laudzie, dobrze Batoręgo pamiętający, a z nim zięć Pakosza, Józwa Butrym. Ten, choć w sile wieku, nie miał bowiem więcej jak lat pięćdziesiąt, a na popis pospolitego ruszenia do Rosień nie poszedł, albowiem w wojnach kozackich kula armatnia stopę mu urwała. Zwano go także z tego powodu kuternogą, albo Józwą Beznogim. Był to straszliwy szlachcic, siły niedźwiedziej i wielkiego rozumu, ale surowy, zgryźliwy, ostro ludzi sądzący. Z tego powodu obawiano się go nieco w stolicach, bo przebaczać ani sobie, ani innym nie umiał. Bywał także niebezpieczny, gdy podpiał, ale zdarzało mu się to rzadko.

Ci tedy przyjechali do panny, która przyjęła ich wdzięcznie, choć odrazu domyśliła się, że na zwiady

przyjeżdżają i usłyszeć coś od niej o panu Kmicicu pragną.

— Bo my do niego chcemy jechać z pokłonem, aleć to podobno jeszcze z Upity nie wrócił — mówił Pakosz — tak do ciebie przyjechaliśmy pytać, kochanieńko, kiedy można?

— Myślę, że tylko co go nie widać — odrzekła panna. — Rad on wam, opiekunowie, będzie z całej duszy, bo siła dobrego słyszał o was i dawniej od dziadusia i teraz ode mnie.

— Byle nas nie chciał przyjąć, jak Domaszewiczów przyjął, gdy do niego z wieścią o śmierci pułkownika przyjechali! — mruknął ponuro Józwa.

Panna dostyszała i odparła zaraz żywo:

— Wy o to nie bądźcie krzywi. Może i niedość politycznie ich przyjął, ale już tu swoją omyłkę wyznał. Trzeba też pamiętać, że z wojny szedł, na której tyle trudów i zmartwień przebył! Żołnierzowi się nie dziwić, choć i na swego fuknie, bo to u nich humory, jako szable ostre.

Pakosz Gasztowt, który z całym światem zawsze chciał być w zgodzie, kiwnął ręką i rzekł:

— My też się i nie dziwili! Dzik na dzika fuknie, jak go znagła zobaczy, czemużby człek na człeka nie miał fuknąć! My pojedziem do starego Lubicza pokłonić się panu Kmicicowi, aby z nami żył, na wojnę i do puszczy chodził, jako nieboszczyk pan podkomorzy.

— Tak już powiedz, kochanieńko, udał ci się, czy nie udał? — pytał Kassyan Butrym. — Tażto nasza powinność pytać?

— Bóg wam zapłać za troskliwość. Zacny to ka-

waler pan Kmicic, a choćbym też co przeciw upatrzyła, nie godziłoby się o tem mówić.

— Aleś nic nie upatrzyła, duszo ty nasza najmilsza?

— Nic! Zresztą nikt go tu nie ma prawa sądzić, a broń Boże, nieufność pokazać! Bogu lepiej dziękujmy!

— Co tu zawczasu dziękować! Jak będzie za co, to i dziękować, a nie, to nie dziękować — odpowiedział posepny Józwa, który jako prawdziwy Żmudzin, bardzo był ostrożny i przewidujący.

— A o ślubie wy mówili? — pytał znów Kassyan. Oleńka spuściła oczy:

— Pan Kmicic chce jak najprędzej...

— Ot, co! jeszczeby nie kciał! — mruknął Józwa — chyba by głupi! A któryż to niedźwiedź nie kce miodu z barci? Ale poco się śpieszyć, czyto nie lepiej zobaczyć, co za człowiek jest? Ojczy Kassyanie, też już powiedzcie, co macie na języku, nie drzemcie jako zając o południu pod skibą!

— Jać nie drzemię, jeno sobie w głowę patrzę, coby rzec — odpowiedział staruszek. — Pan Jezus powiedział tak: jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie! My też panu Kmicicowi źle nie życzym, aby i on nam nie życzył, co daj Boże, amen!

— Byle był po naszej myśli! — dodał Józwa.

Billewiczówna zmarszczyła swe sokołe brwi i rzekła z pewną wyniosłością:

— Pamiętajcie asanowie, że nie służę mamy przyjmować. On tu panem będzie i jego wola ma być, nie nasza. On i w opiece musi waćpanów zastąpić.

— To znaczy, żeby my się już nie wtrącali? — pytał Józwa.

— To znaczy, żebyście mu przyjaciółmi byli, jako on chce być wam przyjacielem. Przecież on tu własnego dobra strzeże, którem każdy wedle upodobania rządzi. Zali nieprawda, ojcze Pakoszu?

— Święta prawda! — odrzekł pacunelski starszek.

A Józwa znów zwrócił się do starego Butryma:

— Nie drzemcie, ojcze Kassyanie!

— Jać nie drzemię, jeno w głowę patrzę.

— To mówcie, co widzicie.

— Co widzę? ot co widzę... Familiant to jest pan Kmicic, z wielkiej krwi, a my chudopachołki! Żołnierz przytem sławny; sam on jeden oponował się nieprzyjacielowi, gdy wszyscy ręce opuścili. Daj Boże takich jak najwięcej! Ale kompanią ma nicpotem!... Panie sąsiedzie Pakoszu, cóżeście to od Domaszewiczów słyszeli? że to wszystko ludzie bezecni, przeciw którym infamie są i kondemnaty i protesta i inkwizycye. Katowskie to syny! Ciężcy byli nieprzyjacielowi, ale i obywatelstwu ciężcy. Palili, rabowali, gwałty czynili! ot, co jest! Żeby to tam kogo usiekli albo zajęchali, to się i zacnym zdarza, ale oni podobnoć zgoła tatarskim procederem żyli i dawnoby im po wieżach gnić przyszło, gdyby nie protekcya pana Kmicica, któren jest możny pan! Ten ich miłuje i osłania i przy nim się wieszają, jak latem bąki przy koniu. A teraz tu przyjechali i już wszystkim wiadomo, co zacz są. To pierwszego dnia w Lubiczu z bandoletów palili — i do kogo? — do wizerunków nieboszczyków Billewiczów, na co pan Kmicic nie powinien był pozwolić, bo to jego dobrodzieje.

Oleńka zatkała oczy rękoma.

— Nie może być! nie może być!

— Może, bo było! Dobrodziejów pozwolił postrzelać, z którymi w pokrewieństwo miał wejść! A potem dziewczki dworskie powciągali do izby dla rozpusty!... Tfu! obraza boska! Tego u nas nie bywało!... Pierwszego dnia zaczęli od strzelania i rozpusty! Pierwszego dnia!

Tu stary Kassyan rozgniewał się i począł stukać kijem w podłogę; na twarz Oleńki biły ciemne rumieńce, a Józwa ozwał się:

— A to wojsko pana Kmicicowe, które w Upicie zostało, to lepsze? Jacy oficerowie, takie i wojsko! Panu Sołłohubowi bydlęto zrabowali jacyś ludzie, mówią że pana Kmicica; chłopów mejzagolskich, którzy smołę wieźli, na gościńcu pobili. Kto? Też oni. Pan Sołłohub pojechał do pana Hlebowicza po sprawiedliwość, a teraz znów w Upicie gwałt! Wszystko to przeciw Bogu! Spokojnie tu bywało, jak nigdzie, a teraz choć rusznicę na noc nabijaj i stróżuj, a czemu, bo pan Kmicic z kompanią przyjechał.

— Ojcie Józwo! nie mówcie tak! nie mówcie!— zawołała Oleńka.

— A jak mam mówić? Jeżeli pan Kmicic nie winien, to poco takich ludzi trzyma, poco z takimi żyje? Wielmożna panna mu powiedz, żeby on ich przepędził, albo katu oddał, bo inaczej nie będzie spokoju. A słychana to rzecz strzelać do wizerunków i rozpustę jawnie płodzić? Toż cała okolica jeno o tem gada!

— Co ja mam czynić? — pytała Oleńka. — Może to i źli ludzie, ale on z nimi wojnę odprawiał. Zali wypędzi ich na moją prośbę?

— Jeśli nie wypędzi — mruknął zcicha Józwa — to sam taki!



Wtem w pannie poczęła się krew burzyć przeciw tym towarzyszom, zabijakom i kosterom.

— Zresztą niech tak będzie! Musi ich wypędzić! Niech wybiera mnie albo ich! Jeśli to prawda co mówicie, a dziś jeszcze będę wiedziała, czy prawda, to im tego nie daruję, ani strzelania, ani rozpusty. Jam sama jedna i słaba sierota, ich kupa zbrojna, aleć się nie ulęknę...

— My ci pomożem! — rzekł Józwa.

— Dla Boga! — mówiła Oleńka, unosząc się coraz bardziej — niech sobie czynią, co chcą, ale nie tu w Lubiczu... Niech będą jacy chcą, ich to rzecz, ich szyje odpowiedzą, ale niech pana Kmicica nie podmawiają... do rozpusty... Wstyd! hańba!... Myślałam, że to żołnierze niezgrabni, a to widzę, zdrajcy niegodni, którzy i siebie i jego plamią. Tak jest! źle im z oczu patrzyło, ale ja głupia nie poznałam się na tem. Dobrze! dziękuję wam, ojcowie, żeście mi oczy na tych judaszów otworzyli... Wiem, co mi czynić przystoi.

— To! to! to! — rzekł stary Kassyan. — Cnota przez cię mówi, a my ci pomożem.

— Wy pana Kmicica nie winujcie, bo choćby co i przeciw stateczności uczynił, to młody jest, a oni go kuszą, oni podmawiają, oni zachęcają do rozpusty przykładem i hańbą na jego imię ściągają! Tak jest! pókim żywa nie będzie tego długo!

Gniew wzbierał coraz więcej w sercu Oleńki i zawziętość przeciw towarzyszom pana Kmicica wzrastała, jak wzrasta ból w ranie świeżo zadanej. Bo też zraniono w niej okrutnie i miłość własną kobiecą i tę ufność, z jaką całe czyste uczucie oddała panu Andrzejowi.

Wstyd jej było za niego i za siebie, a ów gniew i wstyd wewnętrzny szukał przedewszystkiem winnych.

Szlachta zaś rada była, widząc swoją pułkownikównę tak grozną i do stanowczej wojny warchołów orszańskich wyzywającą.

Ona zaś mówiła dalej z roziskrzonym wzrokiem:

— Tak jest! oni winni i muszą pójść precz, nie tylko z Lubicza, ale z całej okolicy.

— My też pana Kmicica nie winujem, serceż ty nasze — mówił stary Kassyan. — My wiemy, że to oni go kuszą. Nie ze złością my tu i jadęm przeciw niemu przyjechali, jeno z żalem, że zbytników przy sobie trzyma. Toż i wiadomo, że młody, głupi. I pan starosta Hlebowicz zamłodu był głupi, a teraz nami wszystkimi rządzi.

— A pies? — mówił wzruszonym głosem pacunelski, łagodny staruszek. — Pójdiesz z młodym w pole, a on durny, zamiast za zwierzem iść, to ci koło nóg, padło, swawoli i za poły cię ciąga.

Oleńka chciała coś mówić, ale nagle zalała się łzami.

— Nie płacz! — rzekł Józwa Butrym.

— Nie płacz, nie płacz!... — powtarzali dwaj starcy.

I tak ją pocieszali, ale nie mogli pocieszyć. Po ich odjeździe została troska, niepokój i jakby uraza i do nich i do pana Andrzeja. Dumną pannę bolało coraz głębiej to, że trzeba było go bronić, usprawiedliwiać i tłumaczyć. A ta kompania! Drobne ręce panny zaciśkały się na myśl o nich. W oczach jej stawały jakby na jawie twarze pana Kokosińskiego, Uhlika, Zenda, Kulwieca-Hippocentaura i innych i dostrzegła w nich,

czego pierwiej nie wiedziała: że były to bezczelne twarze, na których błazeństwo, rozpusta i zbrodnia wycisnęły pospołu swe pieczęcie. Obce Oleńce uczucie nienawiści poczęło ją opanowywać, jak parzący ogień.

Lecz w tej rozterce wzrastała zarazem z każdą chwilą uraza i do pana Kmicica.

— Wstyd! sromota! — szeptała do się dziewczyna zbladłemi usty. — Co wieczora wracał ode mnie do dziewczek czeladnych!...

I czuła się sama upokorzona. Nieznośne brzemię tamowało jej oddech w piersiach.

Mroczyło się na dworze. Panna Aleksandra chodziła po izbie pośpiesznym krokiem i w duszy wrzało jej ciągle. Nie była to natura zdolna znosić prześladowania losu i nie bronić się im. Rycerska krew krążyła w tej dziewczynie. Chciałaby natychmiast rozpocząć walkę z tą zgrają złych duchów — natychmiast! Ale co jej pozostaje?.. Nic! jeno łzy i prośba, by pan Andrzej rozpędził na cztery wiatry tych hańbiących kompanionów. A jeśli tego uczynić nie zechce?...

— Jeśli nie zechce...

I nie śmiała jeszcze myśleć o tem.

Rozmyślania panienki przerwał pachołek, który wniósł naręcz jałowcowych drewek do komina i rzuciwszy je wedle trzonu, począł wygarniać węgle zpod starego popiołu. Nagłe postanowienie przyszło do głowy Oleńce.

— Kostek! — rzekła — siędziesz mi zaraz na koń i pojedziesz do Lubicza. Jeśli pan już wrócił, proś, żeby tu przyjechał, a jeśli go nie masz, to niech wóldarz, stary Znikis, siada z tobą i zaraz do mnie przybywa, a żywo!

Chłopak rzucił szczepek smolnych na węgle, przysypał je pniakami suchego jałowcu i skoczył ku drzwiom.

Jasne płomienie poczęły huczeć i strzelać w kominie. Oleńce stało się zaraz nieco lżej na duszy.

— Może to Pan Bóg jeszcze odmieni! — pomyślała sobie — a może to i nie tak źle było, jak opiekunowie mówili...

I po chwili przeszła do czeladnej siedzieć odwiecznym obyczajem Billewiczowskim ze służbą, prządek pilnować, pieśni pobożne śpiewać.

Po dwóch godzinach wszedł zmarznięty Kostek.

— Znikis jest w sieni! — rzekł. — Pana nie masz jeszcze w Lubiczu.

Panna zerwała się żywo. Włódarz w sieni schylił się jej do nóg.

— A jak tobie zdrowie, jasna dziewczeczko?... Bóg daj najlepsze!

Przeszli do izby stołowej; Znikis stanął przy drzwiach.

— Co u was słyhać? — pytała panienska.

Chłop kiwnął ręką.

— At! pana niema...

— To wiem, że jest w Upicie. Ale w domu, co się dzieje?

— At!...

— Słuchaj Znikis, mów śmieie, włos ci z głowy nie spadnie. Mówią, że pan dobry, jeno kompania swawolniki?

— Żeby to, jasna panienko, swawolniki!

— Mów szczerze.

— Kiedy, panienko, mnie nie wolno... ja się boję... Mnie zakazali.

— Kto zakazał?

— Pan...

— Tak? — rzekła panna.

Nastała chwila milczenia. Ona chodziła śpiesznie po pokoju ze ściśniętymi ustami i namarszczoną brwią, on śledził za nią oczyma.

Nagle stanęła przed nim.

— Czyj ty jesteś?

— A Billewiczowski. Jać z Wodoktów, nie z Lubicza.

— Nie wrócisz więcej do Lubicza... tu zostaniesz. Teraz rozkazuję ci gadać wszystko, co wiesz!

Chłop jak stał w progu, tak rzucił się na kolana.

— Panienko jasna, ja tam nie kęć wracać, tam sądny dzień!... To panienko zbóje i zbereźniki, tam człek dnia i godziny niepewny.

Billewiczówna zakręciła się w miejscu, jakby strzałą ugodzona. Pobladła bardzo, ale spytała spokojnie:

— Prawdali to, że strzelali w izbie do wizerunków?

— Jak nie strzelali! I dziewczki ciągaliby po komnatach i codzien ta sama rozpusta. We wsi płacz, we dworze Sodoma i Gomora! Woły idą na stół, barany na stół!... Ludzie w ucisku... Stajennego wczoraj niewinnie rozszczepili.

— I stajennego rozszczepili?...

— A jakże! A najgorzej dziewczętom się krzywda dzieje. Już im dworskich niedość i po wsi łowią...

Nastała znowu chwila milczenia. Gorące rumieńce wystąpiły na twarz panny i nie zniknęły już więcej.

— Kiedy się tam pana spodziewają z powrotem?...

— Oni, panienko, nie wiedzą, jeno słyszałem, jak mówili między sobą, że trzeba jutro całej kompanii do Upity ruszyć. Kazali, żeby konie były gotowe. Mają tu wstąpić i panienki o czeladź prosić i o prochy, że tam mogą być potrzebne.

— Mają tu wstąpić?... to dobrze. Idź teraz Znikis do kuchni. Już nie wrócisz do Lubicza.

— A, żeby tobie Bóg dał zdrowie i szczęście!...

Panna Aleksandra wiedziała, co chciała, ale też wiedziała, jak jej należy postąpić.

Nazajutrz była niedziela. Rankiem, nim panie z Wodoktów wyjechały do kościoła, przybyli panowie Kokosiński, Uhlik, Kulwiec-Hippocentaurus, Ranicki, Rekuć i Zend, a za nimi czeladź lubicka, zbrojno i konno, postanowili bowiem kawalerowie iść w pomoc panu Kmicicowi do Upity.

Panna wyszła przeciw nim spokojna i wyniosła, zupełnie inna od tej, która ich witała po raz pierwszy przed kilku dniami; ledwie głową kiwnęła w odpowiedzi na uniżone ich ukłony; ale oni myśleli, że to nieobecność pana Kmicica czyni ją tak ostrożną i nie poznali się na niczem.

Zaraz tedy wystąpił pan Jarosz Kokosiński, śmielszy już niż za pierwszym razem i rzekł:

— Jaśnie wielmożna panno łowczanko dobrodżiko! My tu po drodze do Upity wstępujemy, aby waćpannie dobrodżice do stópek upaść i o auxilia prosić: jako o prochy, strzelby i żebyś waćpanna czeladzi swej na koń sieć kazała i z nami jechać. Weźmiemy szturmem Upitę i łyczkom trochę krwi upuścimy.

— Dziwi mnie — odrzekła Billewiczówna — że waćpanowie do Upity jedziecie, gdyż sama słyszałam, jak pan Kmicic wam spokojnie w Lubiczu siedzieć przykazał, a tak myślę, że jemu przystoi rozkazywać, a waszmościom słuchać, jako podkomendnym.

Kawalerowie, usłyszawszy te słowa, spojrzeli na siebie ze zdumieniem. Zend wysunął wargi, jak gdyby chciał poptasiemu zagwizdać, Kokosiński począł się głaskać szeroką dłonią po głowie:

— Jako żywo! — rzekł — myślałby kto, że waćpanna do ciurów pana Kmicica mówisz. Prawda jest, żeśmy mieli w domu siedzieć, ale gdy czwarty dzień idzie, a Jędrusia niema, przyszlismy do takowej konwikcyi, że się tam mógł znaczny jakiś tumult uczynić, w którym i nasze szable się przygodzą.

— Pan Kmicic nie na bitwę pojechał, jeno żołnierzy swawolników karać, coby się i waćpanom przytrafić mogło, gdybyście przeciw rozkazowi wystąpili. Zresztą prędzejby się tam tumult i siekanina przy was mogła zdarzyć.

— Trudno nam z waćpanną deliberować. Prosim tylko o prochy i ludzi.

— Ludzi i prochów nie dam, słyszysz mnie waćpan!

— Czy ja dobrze słyszę? — rzekł Kokosiński. — Jakto waćpanna nie dasz? Kmicicowi, Jędrusiowi na ratunek, będziesz waćpanna żałowała? Wolisz, żeby go co złego spotkało?

— Co go może najgorszego spotkać, to waćpanów kompania!

Tu oczy dziewczyny poczęły ciskać błyskawice, i podniosłszy głowę, postąpiła kilka kroków ku zabi-jakom, a oni cofali się przed nią w zdumieniu.

— Zdrajcy! — rzekła — wyto go jak złe duchy do grzechu kusicie, wy go namawiacie! Ale znam już was, waszę rozpustę, wasze bezecne uczynki. Prawo was ściga, ludzie się od was odwracają, a ohyda na kogo pada? — na niego — przez was banitów i infamisów!

— Hej! na rany boskie, towarzysze! słyszycie? — zakrzyknął Kokosiński. — Hej! co to jest? zali nie śpiemy, towarzysze?

Billewiczówna postąpiła krok jeszcze i ukazując ręką na drzwi:

— Precz ztąd! — rzekła.

Warchołowie pobledli trupio i żaden z nich nie zdobył się na słowo odpowiedzi. Jeno zęby ich poczęły zgrzytać, ręce drgać ku rękojeściom, a oczy ciskać złe błyskawice. Ale po chwili dusze w nich upadły z trwogi. Toż ten dom był pod opieką potężnego Kmicica, toż ta zuchwała panna była jego narzeczoną. Więc zgryźli w milczeniu gniew, a ona ciągle stała z roziskrzonym okiem, ukazująca palcem na drzwi.

Nakoniec pan Kokosiński rzekł przerywanym wściekłością głosem:

— Kiedy nas tu tak wdzięcznie przyjęto... to... nie pozostaje nam nic innego... jak pokłonić się... politycznej gospodyni i pójść... dziękując za gościnę...

To rzekwszy, skłonił się czapką z umyślną uniżonością aż do ziemi, a za nim kłaniali się i inni i wychodzili kolejno. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, Oleńka upadła wyczerpana na krzesło, dychając ciężko, bo nie miała tyle sił, ile odwagi.

Oni zaś zgromadzili się na radę przed gankiem, naokół koni, ale żaden nie chciał pierwszy przemówić.

Wreszcie Kokosiński rzekł:



— Cóż mili barankowie?

— A cóż?

— Dobrze wam?

— A tobie dobrze?

— Ej! żeby nie Kmicic! ej, żeby nie Kmicic! — rzekł Ranicki, zacierając konwulsyjnie ręce — pohulali-  
byśmy tu z panienką ponaszemu!...

— Idź, zadrzyj z Kmicicem! — zapiszczał Re-  
kuć. — Stań mu!

Ranickiego twarz, jak skóra rysia, cała była już  
pokryta piętnami.

— I jemu stanę i tobie warchole, gdzie chcesz!

— A to i dobrze! — rzekł Rekuć.

Obaj porwali się do szabel, ale olbrzymi Kulwicz-  
Hippocentaurus wtoczył się pomiędzy nich.

— Na tę pięść! — rzekł, potrząsając jakoby boch-  
nem chleba — na tę pięść! — powtórzył — pierwszemu,  
który szablę wyciągnie, łeb roztrzaskam!

To rzekłszy, poglądał to na jednego, to na dru-  
giego, jakoby pytając niemo, który pierwszy zechce po-  
próbować; ale oni, tak zagadnięci, uspokoili się zaraz.

— Kulwicz ma rację! — rzekł Kokosiński. — Moi  
mili barankowie, potrzeba nam teraz zgody więcej niż  
kiedykolwiek... Jabym radził ruszać coprędzej do  
Kmicica, żeby zaś ona go prędzej nie obaczyła, bo opisa-  
łaby nas jako dyabłów. Dobrze, że tam żaden na nią  
nie warknął, choć mnie samemu świerzbiały ręce i ję-  
zyk... Ruszajmy do Kmicica. Ma ona go na nas pod-  
bechtać, to lepiej my go wpierw podbechtajmy. Nie daj  
Boże, aby nas opuścił. Zarazby tu obławę na nas, jak  
na wilków, uczyniono.

— Furda! — rzekł Ranicki. — Nic nam nie uczy-

nią. Teraz wojna; mało to ludzi po świecie bez dachu i chleba się włóczy? Zbierzem sobie partyą, towarzysze mili, i niech nas wszystkie trybunały ścigają. Daj rękę Rekuć, odpuszczam ci!

— Byłbym ci uszy obciął, — zapiszczał Rekuć — ale już pogódźmy się! wspólna nas konfuzya spotkała.

— Kazać pójść precz takim jak my kawalerom! — rzekł Kokosiński.

— I mnie, w którym senatorska krew płynie! — dodał Ranicki.

— Ludziom godnym! familiantom!

— Żołnierzom zasłużonym!

— I exulom!

— Sierotom niewinnym!

— Mam bóty wyporkiem podszyte, ale już mi nogi marzną — rzekł Kulwicz. — Co będziemy jak dziady pod tym domem stali; nie wyniosą nam tu piwa grzanego! Nic tu po nas! Siadajmy i jedźmy. Czelaź lepiej odesłać, bo co po nich bez strzelb i broni, a sami jedźmy.

— Do Upity!

— Do Jędrusia, przyjaciela zacnego! Przed nim się poskarżym.

— Bylebyśmy go nie minęli.

— Na koń, towarzysze! na koń!

Siedli i ruszyli stępa, gniew i wstyd przezuwając. Za bramą Ranicki, którego złość trzymała jeszcze jak za gardło, odwrócił się i pogroził pięścią dworowi.

— Ej, krwi mi! ej, krwi!

— Niechby się tylko z Kmicicem pokłócili — rzekł Kokosiński — przyjechalibyśmy tu jeszcze z hubką.

— Może to być.

— Boże nam pomóż! — dodał Uhlik.

— Pogańska córka, cieciorka zaciekla!..

Tak klnąc i sierdząc się na pannę, a czasem na siebie samych warcząc, dojechali do lasu. Ledwie minęli pierwsze drzewa, ogromne stado wron zawichrzyło się nad ich głowami. Zend począł zaraz krakać przeraźliwie; tysiące głosów odpowiedziało mu z góry. Stado zniżyło się tak, że aż konie poczęły się lękać szumu skrzydeł.

— Stul gębę! — krzyknął na Zenda Ranicki. — Jeszcze nieszczęście wykraczesz! Kraczą nad nami te wronka, jakby nad padliną...

Ale inni śmieli się, więc Zend krakał ciągle. Wrony zniżały się coraz bardziej i tak jechali, jak wśród burzy. Głupi! nie umieli odgadnąć złej wróżby.

Za lasem ukazały się już Wołmontowicze, ku którym kawalerowie ruszyli rysią, bo mróz był srogi i zmarzli bardzo, a do Upity było dosyć jeszcze daleko. Ale w samej wsi musieli zwolnić. Na szerokiej drodze zaścianku pełno było ludzi, jak zwyczajnie przy niedzieli. Butrymowie i Butrymówny wracali piechotą i saniami z Mitrunów, z odpustu. Szlachta poglądała na nieznanym jedźców, wespół się domyślając, coto za jedni. Młode szlachcianki słyszały już o rozpuszcie w Lubiczu i o sławnych jawnogrzesznikach, których pan Kmicie przyprowadził, więc przypatrywały im się jeszcze ciekawiej. Oni zaś jechali dumnie, w pięknych postawach żołnierskich, w zdobycznych aksamitnych ferezyach, w kołpakach rysich i na dzielnych koniach. Znać było jednak, że to żołnierze zawołani: miny rześiste i harde, prawe ręce wparte w boki, głowy podniesione. Nie ustępowali też nikomu, jadąc szeregiem i pokrzykując od

czasu do czasu: „Z drogi!“ Jaki taki z Butrymów spojrział z pode łba, ale ustąpił; oni zaś gwarzyli między sobą o zaścianku.

— Uważcie, mości panowie,— mówił Kokosiński — jakietu chłopcy rosłe; jeden w drugiego jak tur, a każdy wilkiem patrzy.

— Żeby nie ten wzrost i żeby nie szabliśka, możnaby ich wziąć za chamów — rzekł Uhlik.

— Obaczcie te szablice! czyste powyrki, jak mi Bóg miły! — zauważył Ranicki. — Chciałbym się z którym popróbować!

Tu pan Ranicki począł gołą dłonią szermować.

— Onby tak, jabym tak! Onby tak, jabym tak — i szach!

— Łatwo sobie możesz owe gaudium uczynić — zauważył Rekuć. — Z nimi nie trzeba wiele.

— Wolałbym się ja z temi oto dziewczętami popróbować! — rzekł nagle Zend.

— Świece nie panny! — wykrzyknął z zapalem Rekuć.

— Co waś mówisz: świece? — sosny! A pyski u każdej, jakoby krokoszem malowane.

— Ciężko i na szkapie usiedzieć na taki widok!

Tak rozmawiając, wyjechali z zaścianka i znów ruszyli rysi. Po pół godziny drogi przybyli do karczmy zwanej Doły, która leżała na pół drogi między Wołmontowiczami i Mitrunami. Butrymi i Butrymówny zatrzymywali się w niej zwykle, idąc i wracając z kościoła, aby odpocząć i rozgrzać się w czasie mrozów. To też przed zajazdem spostrzegli kawalerowie kilkanaście sani, wysłanych grochowinami i tyleż koni posiadanych.

— Napijmy się gorzałki, bo zimno! — rzekł Kosiński.

— Nie zawadzi! — odparł chór jednogłośnie.

Zsiadli z koni, zostawili je u słupów, a sami weszli do szynkowej izby, ogromnej i ciemnej. Zastali tu moc ludzi. Szlachta siedząc na ławach lub stojąc gromadami przed szynkwasem, popijała piwo grzane, a niektórzy krupniczek warzony z masła, miodu, wódki i korzeni. Sami to byli Butrymowie, chłopcy duże, ponure i tak małowównie, że w izbie prawie nie było słycać gwaru. Wszyscy ubrani w szare kapoty z samodziału albo rosieńskiego pakłaku, podbite baranami, w pasy skórzane, przy szablach w czarnych żelaznych pochwach; przez tę jednostajność ubioru czynili pozór wojska. Ale byli to po części ludzie starzy od lat sześćdziesięciu lub wyrostkowie do dwudziestu. Ci dla omłotów zimowych w domach zostali; reszta, mężczyźni w sile wieku, ruszyli do Rosień.

Ujrawszy orszańskich kawalerów, odsunęli się od szynkwasu i poczęli im się przypatrywać. Piękny modelunek żołnierski podobał się tej wojowniczej szlachcie; czasem też który słowo puścił: „To z Lubicza?” — „Tak, pana Kmicicowa kompania!” — „To ci?” — „A jakże!”

Kawalerowie pili gorzałkę, ale krupniczek zbyt pachniał. Zwiertzył go pierwszy Kosiński i kazał dać. Obsiedli tedy stół, a gdy przyniesiono dymiący saganek, poczęli pić, spoglądając na izbę, na szlachtę i przymrużając oczy, bo w izbie było ciemnawo. Okna śnieg zasłuł, a długi, niski otwór gruby, w której palił się ogień, pozasłaniały całkiem jakieś figury plecami ku izbie odwrócone.

Kiedy już krupnik począł krążyć w żyłach kawa-

lerów, roznosząc po ich ciałach ciepło przyjemne, ożywiły im się zaraz humory, strapione po przyjęciu w Wodoktach i Zend począł nagle krakać jak wrona, tak dokładnie, że wszystkie twarze zwróciły się ku niemu.

Kawalerowie śmieli się, szlachta poczęła się zbliżyć rozweselona, zwłaszcza młodzi, potężni wyrostkowie o szerokich barach i puciołowatych policzkach. Siedzące przy grubie przed ogniem postacie odwróciły się ku izbie i Rekuć pierwszy dostrzegł, iż były to niewiasty.

A Zend zamknął oczy i krakał, krakał — nagle przestał i po chwili obecni usłyszeli głos duszonego przez psy zająca; zając beczał w ostatniej agonii, coraz słabiej, ciszej, potem zawrzasał rozpaczliwie i zamilkł na wieki — a na jego miejsce rogacz odezwał się potężnie, jak z rykowiska.

Butrymowie stali zdumieni, chociaż Zend już przestał. Spodziewali się jeszcze co usłyszeć, ale tymczasem usłyszeli tylko piskliwy głos Rekuć:

— Sikorki siedzą wedle gruby!

— A prawda! — rzekł Kokosiński, przysłaniając oczy ręką.

— Jako żywo! — powtórzył Uhlik — jeno w izbie tak ciemno, żem nie mógł rozeznąć.

— Ciekaw jestem, co one tam robią?

— Może na tańce przychodzą.

— A poczekajcie, spytam! — rzekł Kokosiński.

I podniósłszy głos. pytał:

— Miłe niewiasty, a cóże tam czynicie wedle gruby?

— Nogi grzejem! — ozwały się cienkie głosy.

Wówczas kawalerowie wstali i zbliżyli się do ogniska. Siedziało przy niem na długiej ławie z dziesięć nie-

wiaśc, starszych i młodszych, trzymających bosc nogi na kłocu, leżącym wedle ognia. Z drugiej strony kłoca suszyły się przemokłe od śniegu bóty.

— To waćpanny nogi grzejecie? — pytał Kokościński.

— Bo zmarzły.

— Bardzo grzeczne nóżki! — zapiszczał Rekuć, pochylając się ku kłocowi.

— At! odczep się waszmość! — rzekła jedna z szlachcianek.

— Radbym ja się przyczepić, nie odczepić, ile że mam sposób pewny, lepszy od ognia na zmarzłe nóżki, którego sposób jest następujący: jeno potańcować z ochotą, a zamróż pójdzie precz!

— Kiedy potańcować, to potańcować! — rzekł pan Uhlik. — Nie potrzeba ni skrzypków, ni basetli, bo ja wam zagram na czekaniku.

I wydobywszy ze skórzanej pochewki, wiszącej przy szabli, nieodstępny instrument, grać począł, a kawalerowie sunęli w podrygach do dziewcząt i nuż je ściągać z ławy. One niby się broniły, ale więcej krzykiem, niż rękoma, bo naprawdę nie były bardzo od tego. Może i szlachta rozochociłaby się zkolei, bo przeciw potańcowaniu w niedzielę, po mszy i w zapusty, niktby bardzo nie protestował, ale reputacya „kompanii“ była już zbyt znana w Wołmontowiczach, więc pierwszy olbrzymi Józwa Butrym, ten, który stopy nie miał, wstał z ławicy i zbliżywszy się do Kulwieca-Hippocentaury, chwycił go za pierś, zatrzymał i rzekł ponuro:

— Jeśli się waszmości chce tańca, to może ze mną?...

Kulwiec-Hippocentaurus oczy przymrużył i począł wężami ruszać gwałtownie.

— Wolę z dziewczyną — odrzekł — a z waścią to chyba potem...

Wtem nadbiegł Ranicki, z twarzą już pocętkowaną plamami, bo już burdę poczuł.

— Coś za jeden, zawalidrogo? — pytał, chwytając za szablę.

Uhlik przestał grać, a Kokosiński zakrzyknął:

— Hej, towarzysze! do kupy! do kupy!

Ale już za Józwą sypnęli się Butrymowie, starcy potężni i wyrostki ogromne; poczęli się także skupiać, pomrukując, jak niedźwiedzie.

— Czego chcecie, guzów szukacie? — pytał Kokosiński.

— At! co gadać! poszli precz! — rzekł z flegmą Józwa.

Na to Ranicki, któremu chodziło o to, aby czasem nie obyło się bez bójki, uderzył Józwę ręką w pierś, aż się rozległo w całej izbie i krzyknął:

— Bij!

Rapiery zabłysły, rozległ się wrzask niewiast, szcęk szabel, zgiełk i zamieszanie. Wtem olbrzymi Józwa wycofał się z potyczki, porwał stojącą wedle stołu z gruba ciosaną ławę i podniósłszy ją, jakby leciuchną deseczkę, zakrzyknął:

— Rum! rum!

Kurz wstał z podłogi i przesłonił walczących, jeno w zamęcie jęki poczęły się odzywać...



## ROZDZIAŁ V.

---

Tegoż samego dnia wieczorem przyjechał pan Kmicic do Wodoktów, na czele stukilkunastu ludzi, których ze sobą z Upity przyprowadził, żeby ich do Kiejdan hetmanowi W. odesłać, sam uznał bowiem, że w tak małym miasteczku niemasz dla większej liczby ludzi pomieszczenia i że po ogłodzeniu mieszczan, żołnierz musi się uciekać do gwałtów, zwłaszcza taki żołnierz, który tylko strachem przed dowódcą w karności może być utrzymany. Dość bowiem było spojrzeć na wolentarzy pana Kmicica, żeby dojść do przekonania, iż gorszego gatunku ludzi trudno było w całej Rzeczypospolitej znaleźć. I Kmicic nie mógł mieć innych. Po pobiciu hetmana W., nieprzyjaciel zalał cały kraj. Resztki wojsk regularnych litewskiego komputu cofnęły się na pewien czas do Birż i Kiejdan, aby tam przyjść do sprawy. Szlachta smoleńska, witebska, połocka, mściławska i mińska, albo pociągnęła za wojskiem, albo chroniła się w województwach jeszcze niezajętych. Ludzie śmielszego ducha między szlachtą zbierali się do Grodna, do pana podskarbiego Gosiewskiego, tam bowiem naznaczały punkt zborny uniwersały królewskie, zwołujące pospolite ruszenie. Niestety! mało było

takich, którzy usłuchali uniwersałów, ci zaś nawet, co poszli za głosem obowiązku, ściągali się tak opieszale, że tymczasem naprawdę nikt oporu nie dawał, prócz pana Kmicica, który czynił to na własną rękę, pobudzany więcej fantazyą rycerską, niż patryotyzmem. Łatwo jednak zrozumieć, że w braku wojsk regularnych i szlachty, brał ludzi, jakich mógł znaleźć — więc takich, których obowiązek do hetmanów nie ciągnął i którzy nie mieli nic do stracenia. Nagarnęło się tedy do niego zawalidrogów bez dachu i domu, ludzi niskiego stanu, zbiegłej z wojska czeladzi, zdziczałych borowych, pachółków miejskich lub łotrzyków prawem ściganych. Ci pod chorągwią spodziewali się znaleźć ochronę, a przytem łupami się pożywić. W żelaznych rękach Kmicicowych zmienili się oni w śmiałych żołnierzy, śmiałych aż do szaleństwa i gdyby sam Kmicic był statecznym człowiekiem, mogli byli znaczne Rzeczypospolitej oddać przysługi. Ale Kmicic był sam swawolnikiem, w którym dusza kipiała ustawicznie; zresztą zkąd miał brać prowiant i broń i konie, gdy jako wolentarz, nie posiadający nawet listów zapowiednich, nie mógł ze skarbu Rzeczypospolitej żadnej spodziewać się pomocy. Brał więc gwałtem, często na nieprzyjacielu, często i na swoich. Oporu nie znosił i za najmniejszą karał srodze.

W ustawicznych podjazdach, walkach i napadach zdziczał, przyzwyczał się do krwi przelewu, tak, że nie lada co mogło poruszyć w nim, dobre zresztą z natury, serce. Zakochał się w ludziach gotowych na wszystko i niepohamowanych. Imię jego zastępnęło wkrótce złowrogo. Mniejsze oddziały nieprzyjacielskie nie śmiały się wychylać z miast i obozów w stronach, w których straszliwy partyzant grasował. Ale i miejscowe obywa-

telstwo, zniszczone przez wojnę, bało się jego ludzi mało mniej, niż nieprzyjaciół. Zwłaszcza gdzie oko Kmicica osobiście nie spoczywało nad nimi, gdzie komendę brali jego oficerowie: Kokosiński, Uhlik, Kulwicz, Zend, a szczególnie najdzikszy i najokrutniejszy, lubo z wysokiej krwi pochodzący Ranicki — tam zawsze można było pytać: obrońcyli to, czy napastnicy? Kmicic karał czasem i swoich ludzi, gdy mu nie pod humor co przyszło, bez miłosierdzia; ale częściej stawał po ich stronie, nie dbając na prawa, na łyzy i życie ludzkie.

Kompanionowie, prócz Rekucia, na którym krew niewinna nie ciążyła, jeszcze podmawiali młodego wodza, by coraz bardziej cugłów swej bujnej naturze popuszczał.

Takiem było Kmicicowe wojsko.

Teraz właśnie zabrał on swą hołotę z Upity, by ją do Kiejdan odesłać. Gdy się tedy zatrzymali przed dworem w Wodoktach, panna Aleksandra aż przeraziła się, ujrawszy ich przez okno; tak byli do hajdamaków podobni. Każdy inaczej zbrojny, jedni w hełmach pobranych na nieprzyjaciela, drudzy w czapkach kozackich, w kapuzach, w kapturach, niektórzy w wypłowiałych ferezyach, inni w kozuchach, z rusznicami, spisami, łukami i berdyszami, na chudych, poszerzeniałych koniach, ubranych w rzedziki polskie, moskiewskie, tureckie. Uspokoiła się dopiero Oleńka, gdy pan Andrzej, hoży i wesoły jak zawsze, wpadł do izby i zaraz z niezmierną żywością do rąk jej przypadł.

Ona zaś, choć poprzednio postanowiła przyjąć go z powagą i zimno, jednak nie mogła zapanować nad radością, którą jej sprawiło jego przybycie. Przytem może i chytrość niewieścia grała w tem pewną rolę, bo trzeba

było powiedzieć panu Andrzejowi o wypędzeniu za drzwi kompanii, więc chciała go sobie przebiegła dziewczyna najprzód zjednać. A zresztą, tak ją witał szczerze, z taką miłością, że resztki urazy stopniały jak śnieg przy płomieniu.

— Miłuj mnie! niemasz wątpliwości! — pomyślała.

A on mówił:

— Jużem się tak stęsknił, żem całą Upitę chciał spalić, byle do cię jak najprędzej lecieć. Niechże ich tam mróz ściśnie tych łyków.

— Jam też była niespokojna, żeby tam do bitwy nie przyszło. Chwała Bogu, żeś waćpan przyjechał.

— I! co za bitwa! Żołnierze poczęli trochę łyczków tarnosić...

— Aleś to waćpan uspokoił?

— Zaraz ci powiem wszystko, jak się zdarzyło, mój klejnocie, jeno sobie usiędę trochę, bom się strudził. Ej! ciepłoż tu, ej! miło w tych Wodoktach, jako właśnie w raj. Radby tu człowiek po wiek siedział i w one śliczne oczy patrzył i nigdy nie wyjeżdżał... Ale napić się czego ciepłego nie zawadziłoby także, bo na dworze mróz okrutny.

— Zaraz każę waćpanu wina z jajami zgrzać i sama przyniosę.

— A dajże i moim wisielcom jaką baryłczynę gorzałki i każ ich do obory puścić, żeby się jeno od paru bydłęcego nieco rozgrzali. Tołuby mają wiatrem podszyte i srodze pokostnieli.

— Niczego im nie pożałuję, bo to waćpańscy żołnierze.

To rzekłszy, uśmiechnęła się tak, aż Kmicicowi

w oczach pojaśniało i wysunęła się jak kotka cicho, by w czeladnej wszystko zarządzić.

Kmicic chodził po izbie i po czuprynie się głaskał, to znów wąsa młodego pokręcał, namyślając się: jak jej opowiedzieć, co się w Upicie zdarzyło.

— Trzeba szczerą prawdę wyznać — mruzczał pod nosem — niema rady, choćby kompania mieli się śmiać, że mnie tu już na pasku wodzą...

I znów chodził i znów czuprynę na czoło nagarniał, wreszcie zniecierpliwił się, że dziewczyna długo nie wraca.

Tymczasem pacholik wniósł światło, pokłonił się w pas i wyszedł, a potem zaraz weszła wdzięczna gosposia, niosąc sama w obu rękach błyszczącą cynową tacę, na niej garnuszek, z którego wychodziła wonna para zagrzanego węgryzna i puharek, rznięty ze szkła, z herbem Kmiciców. Stary Billewicz dostał go w swoim czasie od ojca pana Andrzeja, gdy u niego w gościnie bawił.

Pan Andrzej, ujrawszy gosposię, poskoczył ku niej.

— Hej! — zawołał — rączyny obydwie zajęte, nie wymkniesz mi się!

I przechylił się przez tacę, a ona cofała swoją jasną główkę, bronioną tylko przez opar, wychodzący z garnuszka.

— Zdrajca! dajże waćpan spokój, bo upuszczę polewkę...

Ale on się groźby nie uląkł, poczem zakrzyknął:

— Jak Bóg w niebie, od takich delicyj rozum może się pomieszać!

— Waćpanu dawno się już pomieszał... Siadaj, siadaj.

Usiadł posłusznie; ona zaś naląła mu polewki w puharek.

— Mówże teraz, jakieś to w Upicie winnych sądził?

— W Upicie? Jako Salomon!

— To i chwała Bogu!... Na sercu mi to, żeby wszyscy w okolicy mieli waćpana za statecznego i sprawiedliwego człowieka. Jakże to tedy było?

Kmicic pociągnął dobrze polewki, odetchnął i rzekł:

— Muszę opowiadać od początku. Było tak: Upominali się łyczkowie z burmistrzem o asygnacye na prowianty od hetmana wielkiego, albo od pana podskarbiego. „Waćpanowie (mówili żołnierzom) jesteście wolentarzami i egzakcyi nie możecie czynić. Kwatery dajem z łaski, a prowianty damy wtedy, gdy się okaże, że nas zapłacą“.

— Mieli słusność, czy nie mieli?

— Słusność wedle prawa mieli, ale żołnierze mieli szable, a postaremu, kto ma szablę, ten ma zawsze lepszą racyą. Powiadają tedy łyczkom: „Zaraz my tu na waszej skórze wypiszemy asygnacye!“ I wnet stał się tumult. Burmistrz z łyczkami zatarasowali się w ulicy, a moi ich dobywali; nie obeszło się bez strzelaniny. Zapalili niebożęta żołnierze dla postrachu parę stodół, kilku też łyczków uspokoili...

— Jakto uspokoili?

— Kto weźmie szablę po łbie, to spokojny jak trusia.

— Dla Boga! toż to zabójstwo!

— Właśnie na to przyjechał. Żołnierze zaraz do mnie z narzekaniami i skargami na opresyą, w jakiej żyją, że to ich niewinnie prześladowają. „Brzuchy mamy puste — mówili — co nam czynić?” Kazałem burmistrzowi, by się stawił. Namyślał się długo, ale wreszcie przyszedł z trzema innymi. Kiedyś to nie zaczęła płakać: „Niechby już i asygnacyi nie dawali — prawią — ale czemu biją, czemu miasto palą? Jeść i pić bylibyśmy dali za dobre słowo, ale oni chcieli słoniny, miodów, specyałów, a my sami ubodzy ludzie, tego nie mamy. Prawem się będziem bronić, a wasza mość przed sądem za swoich żołnierzyków odpowiesz“.

— Bóg waćpana będzie błogosławił — zawołała Oleńka — jeśliś sprawiedliwość, jako się godzi uczynił!

— Jeśliś uczynił?...

Tu pan Andrzej skrzywił się jak student, który ma się do winy przyznać i czuprynę począł ręką na czoło nagarniać.

— Mój królu! — zawołał wreszcie żalonym głosem — mój klejnocie!... nie gniewaj się na mnie...

— Cóżes znów waćpan uczynił? — pytała niepokojnie Oleńka.

— Kazałem dać po sto batożków burmistrzowi i radnym! — wyrecytował jednym tchem pan Andrzej.

Oleńka nie odrzekła nic, jeno ręce wsparła na kolanach, głowę spuściła na piersi i pograżyła się w milczeniu.

— Zetnij szyję! — wołał Kmicic — ale nie gniewaj się!... Jeszczem wszystkiego nie wyznał...

— Jeszcze? — jęknęła panna.

— Bo to oni potem posłali do Poniewieża o pomoc. Przyszło sto głupich pacholków z oficerami.

Tych przepłoszyłem, a oficerów... na Boga, nie gniewaj się!... kazałem gołych pognać kańczugami po śniegu, tak, jakem raz panu Tumgratowi w Orszańskiem uczynił...

Billewiczówna podniosła głowę; surowe jej oczy pałały gniewem, a purpura wystąpiła na policzki.

— Waćpan nie masz wstydu i sumienia! — rzekła.

Kmicic spojrział zdziwiony, zamilkł na chwilę, potem spytał zmienionym głosem:

— Prawdęli mówisz, czy udajesz?

— Prawdę mówię, że hajdamaki godny to uczynek, nie kawalera!... Prawdę mówię, bo mi reputacya waćpana na sercu leży, bo mi wstyd, żeś ledwo przyjechał, już cię całe obywatelstwo ma za gwałtownika i palcami ukazuje!...

— Co mi tam wasze obywatelstwo! Dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty.

— Ale niemasz infamii na tych chudopachołkach, niemasz hańby na niczyjem imieniu. Nikogo tu sądy ścigać nie będą, prócz waćpana!

— Ej, niechże cię o to głowa nie boli. Każdy sobie pan w naszej Rzeczypospolitej, kto jeno ma szablę w garści i ladajaką partyą zebrać potrafi. Co mi uczynią, kogo ja się tu boję?

— Jeśli waćpan nikogo się nie boisz, to wiedz o tem, że ja się boję gniewu Bożego... i łez ludzkich się boję, i krzywd! A hańbą z nikim dzielić się nie chcę; chociażem niewiasta słaba, przecie mi miła cześć imienia może więcej, niż niejednemu, który się kawalerem powiada.

— Na Boga! nie groźże mi rekuzą, bo mnie jeszcze nie znasz..



— O, wierzę, że i mój dziad waćpana nie znał!  
Oczy Kmicica poczęły iskry sypać, ale i w niej się rozegrała krew billewiczowska.

— Rzucaj się waćpan, zgrzytaj! — mówiła śmiało dalej — jać się nie ulęknę, chociażem sama, a waść masz całą chorągiew rozbójników pod sobą; niewinność moja mnie broni!... Myślisz, że nie wiem, iżście w Lubiczu wizerunki postrzelali i że dziewczęta na rozpustę ciągacie? . . Waść to mnie nie znasz, jeśli myślisz, że zmilczę pokornie. Chcę poczciwości od waćpana i tego wymagać żaden mi testament nie zabroni... Owszem, wola mojego dziada jest, żebym tylko poczciwego żoną była . .

Kmicic widocznie zawstydził się tych sprawek lubickich, bo spuściwszy głowę, spytał cichszym już głosem :

— Kto ci o owem strzelaniu mówił?

— Wszystka szlachta z okolicy o tem mówi.

— Zapłacę ja tym szarakom, zdrajcom, za życzliwość! — odparł pośępnie Kmicic. . . Ale to stało się popijanemu. w kompanii.. jako, że żołnierze pohamować się nie umieją. A co do dziewcząt, to jam ich nie ciągał

— Wiem, że to owi bezwstydnicy, owi zbóje do wszystkiego waćpana podmawiają...

— To nie zbóje, to moi oficerowie...

— Ja tyna waćpana oficerom kazała pójść precz z mego domu! •

Oleńka spodziewała się wybuchu, tymczasem z największym zdziwieniem spostrzegła, że wiadomość o wypędzeniu kompanionów żadnego na Kmicicu nie

uczyniła wrażenia, a nawet przeciwnie, zdawała mu się humor poprawiać.

— Kazałaś im pójść precz? — spytał.

— Tak jest.

— A oni poszli?

— Tak jest.

— Dalibóg, kawalerska w tobie fantazyja! Okrutnie mi się to podoba, bo niebezpieczna rzecz z takimi ludźmi zdrzeć. Niejeden już ciężko za to zapłacił. Ale i oni znają mores przed Kmicicem!... Widzisz! wynieśli się pokornie jak barankowie — widzisz! a czemu? bo się mnie boją!

Tu pan Andrzej spojrział chętnie na Oleńkę i węża począł pokręcać; ją zaś rozgniewała do reszty ta zmienność humoru i ta niewczesna chętność, więc rzekła wyniośle i z naciskiem:

— Waćpan musisz wybrać między mną a nimi, inaczej być nie może!

Kmicic zdawał się nie spostrzegać tej stanowczości, z jaką Oleńka mówiła i odpowiedział niedbale, prawie wesoło:

— A poco mnie wybierać, kiedy ja i ciebie mam i ich mam! Waćpanna możesz sobie w Wodoktach czynić, co się podoba; ale jeżeli moi kompanowie żadnej tu krzywdy, ani swawoli się nie dopuścili, to zacóż mam ich wyganiać? Waćpanna tego nie rozumiesz, co to jest służyć pod jedną chorągwią i wojnę razem odbywać... Żadne krewieństwo tak nie związuje, jak wspólna służba. Wiedz o tem, że oni mało tysięcy razy ratowali mi życie; że ich prawo ściga, to tembardziej muszę im dać przytułek. Szlachta to prawie wszystko i familianci, za wyjątkiem Zenda, któren

jest niepewnego pochodzenia, ale takiego kalwakatora niemasz w całej Rzeczypospolitej. Prócz tego, gdybyś go waćpanna słyszała, jak zwierza i ptastwo wszelakie udaje, samabyś go polubiła.

Tu pan Andrzej rozśmiał się, jakby żaden gniew, żadne nieporozumienie nie miało nigdy miejsca między nimi, a ona aż załamała ręce, widząc, jak z rąk jej się wymyka ta wichrowata natura. To wszystko, co mówiła mu o opinii ludzkiej, o potrzebie statku, o niesławie, ześlizgiwało się po nim, jak grot po pancerzu. Nierozbudzone sumienie tego żołnierza nie umiało odczuć jej oburzenia na każdą niesprawiedliwość, na każdą bezecną swawolę. Jakże tu do niego trafić, jak przemówić ?

— Niech się dzieje wola Boża! — rzekła wreszcie. — Skoro się mnie waćpan wyrzekasz, to idźże swoją drogą! Bóg zostanie nad sierotą!

— Ja się ciebie wyrzekam? — pytał Kmicic z największym zdumieniem.

— Tak jest! jeśli nie słowy, to uczynkami; jeśli nie ty mnie, to ja ciebie... Bo nie pójdę za człowieka, na którym ciężą łzy ludzkie i krew ludzka, którego palcami wytykają, bannitem, rozbójnikiem zowią i za zdrajcę mają!

— Za jakiego zdrajcę?... Nie przywodźże mnie do szaleństwa, abym zaś czego nie uczynił, czegobym potem żałował. Niechże we mnie piorun zaraz trzaśnie, niech mnie czarci dziś obłuszczą, jeśli ja zdrajca, ja, którym przy ojczyźnie wtedy stawał, kiedy wszyscy ręce opuścili!

— Waćpan przy niej stajesz, a czynisz to, co i nieprzyjaciel, bo ją depcesz. bo ludzi w niej katu-

jesz, bo na prawa boskie i ludzkie nie dbasz. Nie! choćby mi się i serce rozdarło, nie chcę cię mieć takiego, nie chcę!...

— Nie gadaj mi o rekuzie, bo się wścieknę! Rzutujcież mnie anieli! Nie zechcesz mnie po dobrej woli, to cię i tak wezmę, choćby tu wszystka hołota z zaścianków, choćby sami Radziwiłłowie, sam nawet król i wszyscy dyabli rogami przystępu bronili, a choćbym miał duszę czartu zaprzedać...

— Nie wzywajże złych duchów, bo cię usłyszą!— zakrzyknęła Oleńka, wyciągając przed siebie ręce.

— Czego ode mnie chcesz?

— Bądź uczciwy!...

Umilkli oboje i nastała cisza. Słysząc było tylko sapanie pana Andrzeja. Ostatnie słowa Oleńki przedarły jednak pancierz, pokrywający jego sumienie. Czuł się upokorzony. Nie wiedział co jej odrzec, jak się bronić. Potem począł chodzić szybkimi krokami po izbie; ona siedziała nieruchomie. Zawisła nad nimi niezgoda, rozjątrzenie i żal. Było im ze sobą ciężko i to długie milczenie stawało im się coraz nieznośniejsze.

— Bądź zdrowa! — rzekł nagle Kmicic.

— Jedź waćpan i niech cię Bóg natchnie inaczej! — odrzekła Oleńka.

— Pojadę! Gorzki mi był twój napitek, gorzki chleb! Żółcią i octem mnie tu napojono!

— A waćpan to myślisz, żeś mnie słodyczą napoił? — odrzekła głosem, w którym drgały łzy.

— Bądź zdrowa!

— Bądź zdrów...

Kmicic postąpił ku drzwiom, nagle zwrócił się, i poskoczywszy ku niej, chwycił ją za obie ręce i rzekł:

— Na rany Chrystusa! czy ty chcesz, żebym trupem w drodze z konia spadł?

Wówczas Oleńka wybuchnęła płaczem; on objął ją i trzymał w ramionach całą dygocącą, powtarzając przez zaciśnięte zęby:

— Bijże mnie, kto w Boga wierzy! bij, nie żałuj! Nakoniec wybuchnął:

— Nie płacz, Oleńko! Dla Boga, nie płacz! Com ci winien! Uczynię wszystko, co chcesz. Tamtych wyprawię... w Upicie załagodzę... będę żył inaczej... bo cię miłuję... Dla Boga! serce mi się rozpęknie... uczynię wszystko... jeno nie płacz... i miłuj mnie jeszcze...

Tak on ją uspakajał i pieścił; ona zaś, wypłakawszy się, rzekła:

— Jedź już waćpan. Bóg zgodę między nami uczyni. Ja nie mam urazy, jeno ból w sercu...

Księżyc wytoczył się już wysoko nad białe pola, gdy pan Andrzej ruszył z powrotem do Lubicza, a za nim pośląpali żołnierze, rozciągnąwszy się węzłem po szerokim gościńcu. Jechali przez Wołmontowicze, ale krótszą drogą, bo mróz popętał bagna i można było po nich przejeżdżać bezpiecznie.

Wachmistrz Soroka przybliżył się do pana Andrzeja.

— Panie rotmistrzu, — spytał — a gdzie nam stanąć w Lubiczu?

— Ruszaj precz! — odpowiedział Kmicic.

I jechał na przodzie, nic do nikogo nie mówiąc. W sercu nurtował mu żal, chwilami gniew, ale przede wszystkim złość na samego siebie. Pierwszato była noc w jego życiu, w której czynił rachunek sumienia

i rachunek ten ciężył mu gorzej od najcięższego pan-cerza. Oto przyjechał w te strony z nadszarpniętą reputacją i cóż uczynił, aby ją poprawić? Pierwszego dnia pozwolił na strzelanie i rozpustę w Lubiczu i zmyślił, że do niej nie należał, bo należał; potem pozwalał każdego dnia. Dalej: żołnierze skrzywdzili mieszczan, a on tej krzywdy dopełnił. Gorzej! rzucił się na prezydium poniewieskie, pobił ludzi, puścił gołych oficerów na śniegi... Uczynią mu proces — przegra. Skażą go na utratę majątku, czci, może i gardła. A przecież nie będzie mógł, jak dawniej, zebrawszy partyą zbrojnej hołoty, drwić sobie z praw, bo zamierza się ożenić, osiąść w Wodoktach, służyć nie na własną rękę, ale w kompucie; tam prawo go znajdzie i dosięgnie. Prócz tego, choćby mu uszło bezkarnie, jest coś szpeznego w tych postępkach, jest coś niegodnego rycerza. Może swawola da się załagodzić, ale pamięć jej zostanie i w sercach ludzkich i w jego własnem sumieniu i w sercu Oleńki...

Tu, gdy wspomniął, że ona jednak nie odepchnęła go jeszcze, że wyjeżdżając, czytał w jej oczach przebaczenie, wydała mu się tak dobrą, jak anieli niebiescy. I ot! brała go ochota wrócić nie jutro, ale zaraz wrócić, co koń wyskoczy, i paść jej do nóg, i prosić o zapomnienie, i całować te słodkie oczy, które łzami zrosiły dzisiaj twarz jego.

Chciało mu się samemu ryknąć płaczem i czuł, że tak miłuje tę dziewczynę, jak nigdy w życiu nikogo nie miłował. „Na Pannę Najświętszą! — myślał w duszy — uczynię, co ona zechce; opatrzę kompanów suto i wyprawię na kraj świata, bo prawda jest, że oni mnie do złęgo podniecają“.

Tu przyszło mu do głowy, że przybywszy do Lubicza, zastanie ich najpewniej pijanych, albo z dziewczętami i chwyciła go taka złość, że mu się chciało szablą uderzyć na kogokolwiek, choćby na tych żołnierzy, których prowadził i siec ich bez miłosierdzia.

— Dam ja im! — mruczał, targając wąs — jeszcze mnie takim nie widzieli, jak zobaczą...

Tu zaczął konia z szaleństwa ostrogami bóść i za trenzlę targać i szarpać, aż rumak rozhukał się, a Soroka widząc to, mruczał do żołnierzy:

— Rotmistrz się zbiesił. Nie daj Bóg wpaść mu pod rękę...

Jakoż pan Andrzej biesił się rzeczywiście. Naokoło był wielki spokój. Księżyc świecił pogodnie, niebo iskrzyło się tysiącami gwiazd, najmniejszy wiatr nie poruszał gałęzi na drzewach — jeno w sercu rycerza wrzała burza. Droga do Lubicza wydała mu się tak długa, jak nigdy. Jakaś nieznana dotąd trwoga zaczęła nań nadlatywać z mroku, z głębin leśnych i z pól zalanych zielonawem światłem księżyca. Wreszcie zmęczenie ogarnęło pana Andrzeja, gdyż zresztą, co prawda, całą zeszłą noc spędził w Upicie, na pijatyce i hulance. Ale chciał trud trudem zabić, otrząsnąć się z niepokoju szybką jazdą, zwrócił się więc do żołnierzy i zakomenderował:

— W konie!...

Pomknął, jak strzała, a za nim cały oddział. I w tych lasach i na pustych polach lecieli, jak ów orszak piekielny rycerzy krzyżackich, o których lud powiada na Żmudzi, iż czasami, wśród jasnych nocy miesięcznych, zjawiają się i pędzą przez powietrze, zwiastując wojnę i klęski nadzwyczajne. Tętent leciał

przed nimi i za nimi; z koni zaczęła para buchać i dopiero, gdy śniegiem pokryte dachy lubickie ukazały się na zawrocie, zwolnili biegu.

Kołowrot zastali otwarty szeroko. Kmicica zdziwiło, że gdy podwórzec zaroił się ludźmi i końmi, nikt nie wyszedł zobaczyć, ani spytać, co są za jedni. Spodziewał się zastać okna błyszczące od światła, usłyszeć głos uhlikowego czekanika, skrzypków, albo wesołe okrzyki biesiady; tymczasem w dwóch tylko oknach izby jadalnej migotało niepewne światełko, zresztą było ciemno, cicho, głucho. Wachmistrz Soroka zeskoczył pierwszy z konia, by potrzymać strzemię rotmistrzowi.

— Iść spać! — rzekł Kmicic — kto się zmieści w czeladnej, niech śpi w czeladnej, a inni w stajniach. Konie wstawić do obór, stodół i przynieść im siana z odryny.

— Słucham! — odpowiedział wachmistrz.

Kmicic zląkł z konia. Drzwi od sieni otwarte były na rozcież, a sień wyziębiona.

— Hej tam! jest tam kto? — wołał Kmicic.

Nikt się nie ozwał.

— Hej tam! powtórzył głośniej.

Milczenie.

— Popili się! — mruknął pan Andrzej.

I ogarnęła go taka wściekłość, że począł zębami zgrzytać. Jadąc, wstrząsał się z gniewu na myśl, że zastanie pijatykę i rozpustę, teraz ta cisza drażniła go jeszcze bardziej.

Wszedł do izby jadalnej. Na ogromnym stole palił się kaganek łożowy czerwonym, dymiącym światłem. Pęd powietrza, które wpadło z sieni, chwiał płomieniem, tak, iż przez chwilę nie mógł pań Andrzej



nie dojrzeć. Dopiero, gdy migotanie uspokoiło się, dojrzał szereg postaci, leżących równo pod ścianą.

— Popili się na umor, czy co? — mruknął niespokojnie.

Następnie zbliżył się niecierpliwie do pierwszej postaci z brzegu. Twarzy jej nie mógł widzieć, bo była pogrążona w cieniu, ale po białym skórzanym pasie i po białej pochwie na czekanik poznał pana Uhlika i począł go trącać bez ceremonii nogą.

— Wstawajcie tacy synowie! wstawajcie!...

Ale pan Uhlik leżał nieruchomy, z rękoma opadłymi bezwładnie po bokach ciała, a za nim leżeli inni; żaden nie ziewnął, nie drgnął, nie przebudził się, nie mruknął. W tejże chwili pan Kmicic spostrzegł, że wszyscy leżą na wznak, w jednakowej pozycji i jakieś straszne przeczucie chwyciło go za serce.

Poskoczywszy do stołu, porwał drżącą ręką kaganek i przysunął go ku twarzom leżących.

Włosy powstały mu na głowie, tak straszny widok uderzył jego oczy... Uhlika wyłącznie mógł poznać po białym pasie, bo twarz i głowa przedstawiały jedną bezkształtną masę, krwawą, ohydłą, bez oczu, nosa i ust — tylko wąsy ogromne sterczały z tej okropnej kałuży. Pan Kmicic świecił dalej... Drugi z kolei leżał Zend z wyszczerzonymi zębami i wyszłemi na wierzch oczyma, w których zeszkliło się przedśmiertne przerażenie. Trzeci z kolei Ranicki, oczy miał przymknięte, a po całej twarzy cętki białe, krwawe i ciemne. Pan Kmicic świecił dalej... Czwarty leżał pan Kokosiński, najmilszy Kmicicowi ze wszystkich towarzyszków, bo dawny sąsiad bliski. Ten zdawał się spać spokojnie, jeno z boku, w szyi, widać mu było dużą ranę, zape-

wne sztychem zadaną. Piąty z kolei leżał olbrzymi pan Kulwiec-Hippocentaurus z żupanem podartym na piersiach i posiekaną gęstemi razami twarzą. Pan Kmicic przybliżał kaganek do każdej twarzy, a gdy wreszcie szóstemu, Rekuciu, w oczy zaświecił, zdało mu się, że powieki nieszczęsnego zadrgały trochę od blasku.

Więc postawił na ziemi kaganek i zaczął wstrząsać zlekka rannym.

— Rekuć, Rekuć! — wołał — to ja, Kmicic!...

Za powiekami poczęła drgać i twarz, oczy i usta otwierały się i zamykały naprzemian.

— To ja! — rzekł Kmicic.

Oczy Rekuca otwarły się na chwilę zupełnie — poznał twarz przyjaciela i jęknął zcicha:

— Jędruś!... księdza!...

— Kto was pobił?! — krzyczał Kmicic, chwytając się za włosy.

— Bu-try-my... — ozwał się głos tak cichy, że ledwie dosłyszalny.

Poczem Rekuć wyprężył się, zesztyniał, otwarte oczy stanęły mu w słup — i skonał.

Kmicic poszedł w milczeniu do stołu, postawił na nim kaganek — sam siadł na krześle i począł rękoma wodzić po twarzy, jak człowiek, który ze snu się zbudziwszy, sam nie wie, czy już się rozbudził, czy widzi jeszcze senne obrazy przed oczyma.

Następnie znów spojrzął na leżące w mroku ciała. Zimny pot wystąpił mu na czoło, włosy zjeżyły się na głowie i nagle krzyknął tak strasznie, że aż szyby zadrgały w oknach:

- Bywaj kto żyw! bywaj!...

Żołnierze, którzy roztasowawali się w czeladnej,

posłyszeli ów krzyk i pędem wpadli do izby. Kmicic ukazał im ręką na leżące pod ścianą trupy.

— Pobici! pobici! — powtarzał chrapliwym głosem.

Oni rzucili się patrzeć; niektórzy nadbiegli z łuczycywnem i poczęli w oczy świecić nieboszczykom. Po pierwszej chwili zdumienia wszczął się gwar i zamieszanie. Przylecieli i ci, którzy już się byli pokładli w stajniach i oborach. Dom cały zajaśniał światłem, zaroił się ludźmi, a wśród tego zamętu, nawoływań, pytań, jedni tylko pobici leżeli pod ścianą równo i cicho, obojętni na wszystko i — przeciw swej naturze — spokojni. Dusze z nich wyszły, a ciała nie mogły rozbudzić ani surmy do bitwy, ani brzęk kielichów do uczty.

Tymczasem w gwarze żołnierskim coraz bardziej przemagały okrzyki groźby i wściekłości. Kmicic, który dotąd był jakby nieprzytomny, zerwał się nagle i zakrzyknął:

— Na koń!...

Ruszyło się, co żyło, ku drzwiom. Nie upłynęło i pół godziny, już stu przeszło jeźdźców leciało na złamanie karku po szerokiej, śnieżnej drodze, a na ich czele leciał pan Andrzej, jakby go zły duch opętał, bez czapki, z gołą szablą w ręku. W ciszy nocnej rozlegały się dzikie okrzyki:

— Bij! morduj!...

Księżyc dosięgnął właśnie najwyższej wysokości w swej drodze niebieskiej, gdy nagle blask jego począł się mieszać i zlewać z różowem światłem, wychodząc jakby zpod ziemi; stopniowo niebo czerwieniało coraz bardziej, rzekłbyś od zorzy wstającej, aż wreszcie krwawa czerwona łuna oblała całą okolicę. Jedno mo-

rze ognia szalało nad olbrzymim zaściankiem Butrymów, a dziki żołnierz Kmicicowy, wśród dymu, pożogi i iskier buchających słupami do góry, mordował w pień przerażoną i zślepiłą z trwogi ludność...

Zerwali się ze snu mieszkańcy pobliskich zaścianków. Większe i mniejsze gromady Gościewiczów i Dymnych, Stakjanów, Gasztowtów i Domaszewiczów, zbierały się po drogach, przed domami i poglądając w stronę pożaru, podawały sobie z ust do ust trwożliwe wieści: „Chyba nieprzyjaciel wtargnął i pali Butrymów... To niezwyčajny pożar!”

Huk rusznic, dochodzący od czasu do czasu z od dali, potwierdzał te przypuszczenia.

— Pójdźmy na pomoc! — wołali śmielsi — nie dajmy braciom ginąć...

A gdy tak mówili starsi, już młodsi, którzy dla omłotów zimowych nie poszli do Rosień, siadali na koń. W Krakinowie i w Upicie poczęto bić w dzwony po kościołach.

W Wodoktach ciche pukanie do drzwi zbudziło pannę Aleksandrę.

— Oleńko! wstawaj! — wołała panna Franciszka Kulwiewówna.

— Niech ciotunia wejdzie! Co tam się dzieje?

— Wołmontowicze się palą!

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Strzały aż tu słychać, tam bitwa! Boże zmiłuj się nad nami!

Oleńka krzyknęła strasznie, poczem wyskoczyła z łóżka i poczęła śpiesznie szaty narzucać. Ciało jej dygotało, jak we febrze. Ona jedną domyśliła się odrazu, coto za nieprzyjaciel napadł nieszczęsnych Butrymów.

Po chwili wpadły rozbudzone niewiasty z całego domu z płaczem i szlochaniem. Oleńka rzuciła się na kolana przed obrazem, one poszły za jej przykładem i wszystkie poczęły odmawiać głośno litanią za konających.

Były zaledwie w połowie, gdy gwałtowne kołatanie wstrząsnęło drzwiami od sieni. Niewiasty zerwały się na równe nogi, okrzyk trwogi wyrwał się im z piersi.

— Nie otwierać! nie otwierać!

Kołatanie ozwało się z podwójną siłą, rzekłbyś: drzwi wyskoczą z zawias. Tymczasem, między zgromadzone niewiasty, wpadł pacholik Kostek.

— Panienko! — wołał — jakiś człek stuka, otwierać, czy nie?

— Samli jest?

— Sam.

— Idź, otwórz!

Pachołek skoczył, ona zaś chwyciwszy świecę, przyszła do izby jadalnej, za nią panna Franciszka i wszystkie prządki.

Zaledwie zdołała postawić świecę na stole, gdy w sieni dał się słyszeć szcęk żelaznej zapory, skrzywienie otwieranych drzwi i przed oczyma niewiast ukazał się pan Kmicic, straszny, czarny od dymu, krwawy, zadyszany i z obłąkaniem w oczach.

— Koń mi pod lasem padł! — krzyknął — ściągają mnie!...

Panna Aleksandra utkwiała weń oczy:

— Waśc spaliłeś Wołmontowicze?

— Ja!... ja!...

Chciał coś dalej mówić, gdy wtem od strony drogi

i lasu doszedł odgłos okrzyków i tętent koni, który zbliżał się z nadzwyczajną szybkością.

— Dyabli po mą duszę!... dobrze! — krzyknął jakby w gorączce Kmicic.

Panna Aleksandra w tejże chwili zwróciła się do prządek:

— Jeśli będą pytać, powiedzieć, iż nie masz tu nikogo, a teraz do czeladnej i ze światłem tu przyjsć!...

Poczem do Kmicica:

— Waść tam! — rzekła ukazując na przyległą izbę.

I prawie przemocą wepchnąwszy go przez otwarte drzwi, zamknęła je natychmiast.

Tymczasem zbrojni ludzie zapełnili podwórzec i w mgnieniu oka Butrymi, Gościewiczze, Domaszewicze i inni wpadli do domu. Ujrawszy pannę, wstrzymali się w izbie jadalnej — ona zaś stojąc ze świecą w ręku, zamykała sobą drogę do dalszych drzwi.

— Ludzie! co się dzieje? czego tu chcecie? — pytała, nie mrużąc oczu przed groźnymi spojrzzeniami i złowrogim blaskiem gołych szabel.

— Kmicic spalił Wołmontowicze! — krzyknęła chórem szlachta. — Pomordował mężów, niewiasty, dzieci! Kmicic to uczynił!...

— My ludzi jego wybili! — rozległ się głos Butryma Józwy — a teraz jego głowy chcemy!...

— Jego głowy! krwi! Rozsiekać zbójcę!

— Gońcie go! — zawołała panna. — Czegoż tu stoicie? gońcie!

— Zali nie tu się schronił? My konia pod lasem znaleźli...

— Nie tu! Dom był zawarty! Szukajcie w stajniach i oborach.

— W las uszedł! — zawołał jakiś szlachcic. —  
Hajże, panowie bracia!

— Milczeń! — huknął potężnym głosem Józwa  
Butrym. — Panno! — rzekł. — Nie ukrywaj go!...  
To człek przeklęty!

Oleńka podniosła obie ręce nad głowę:

— Przeklinam go wraz z wami!...

— Amen! — krzyknęła szlachta. — Do zabudo-  
wań i w las! Odnajdziem go! Hajże na zbója!

— Hajże! Hajże!

Szczęk szabel i stąpanie rozległo się nanowe.  
Szlachta wypadła przed ganek i siadała coprędzej na  
koń. Część jej szukała jeszcze czas jakiś w zabudo-  
waniach, w stajniach, oborach, w odrynie — potem  
głosy poczęły się oddalać w stronę lasu.

Panna Aleksandra nadśluchiwała, dopóki zupeł-  
nie nie znikły, poczem zapukała gorączkowo do drzwi  
komnaty, w której ukryła pana Andrzeja.

— Niema już nikogo! wychodź wać!

Pan Kmicic wytoczył się z izby, jak pijany.

— Oleńka! — zaczął.

Ona wstrząsnęła rozpuszczonemi włosami, które  
pokrywały niby płaszczem jej plecy.

— Nie chcę cię widzieć, znać! Bierz konia,  
i uchodź ztąd!...

— Oleńka! — jęknął Kmicic, wyciągając ręce.

— Krew na waćpana rękę, jako na Kainowem! —  
krzyknęła, odskakując jakby na widok węża. — Precz,  
na wieki!...

## ROZDZIAŁ VI.

---

Dzień wstał blady i oświecił kupę gruzów w Wołmontowiczach, zgliszcza domów, zabudowań gospodarskich, popalone lub pocięte mieczami trupy ludzkie i końskie. W popiołach, wśród dogasających węgli, gromadki wybladłych ludzi szukały ciał nieboszczyków lub ostatków mienia. Był to dzień żałości i klęski dla całej Laudy. Rojna szlachta odniosła wprawdzie zwycięstwo nad oddziałem Kmicica, ale ciężkie i krwawe. Prócz Butrymów, którym padło najwięcej, nie było zaścianka, w którymby wdowy nie opłakiwały mężów, rodzice synów lub dzieci ojców. Tem trudniej przyszło laudańskim pokonać napastników, że co najtężsi mężowie byli nieobecni, jeno starcy lub młodzieńcy w zaraniu młodości brali udział w walce. Jednakże z Kmicicowych ludzi nie ocalał żaden. Jedni dali gardła w Wołmontowiczach, broniąc się tak zaciekle, iż ranni jeszcze walczyli, innych wyłowiono następnego dnia po lasach i wybito bez litości. Sam Kmicic jak w wodę wpadł. Gubiono się w przypuszczeniach, co się z nim stało? Niektórzy twierdzili, że się dostał do puszczy Zielonki, a ztamtąd do Rogowskiej, gdzie chyba jedni Domaśzewicze mogli go wysledzić. Wielu twierdziło też, że



do Chowańskiego zbiegnie i nieprzyjaciół naprowadzi, ale były to, co najmniej, obawy przedwczesne.

Tymczasem niedobitki Butrymów pociągnęły do Wodoktów i stanęły tam jakby obozem. Dom pełen był niewiast i dzieci. Co się nie zmieściło, poszło do Mitrunów, które panna Aleksandra całe pogorzecom oddała. Prócz tego około stu zbrojnych ludzi, którzy się zmieniali kolejno, stanęło w Wodoktach do obrony; spodziewano się bowiem, że pan Kmicic nie da za wygraną i lada dzień o pannę zbrojno może się pokusić. Przysłały i znaczniejsze w okolicy domy, jako Schelingowie, Sołłohuby i inni, kozaczków nadwornych i hajduków. Wodokty wyglądały jakby miasto, spodziewające się oblężenia. A zaś pomiędzy zbrojnymi ludźmi, pomiędzy szlachtą, między gromadami niewiast, chodziła żałobna panna Aleksandra, blada, bolesna, słuchając ludzkiego płaczu i ludzkich przekleństw na pana Kmicica, które jakby mieczami przesywały jej serce, bo przecież ona była pośrednią przyczyną wszelkich nieszczęść. Dla niejto przybył w te okolice ów mąż szalony, który zburzył spokój i krwawą pamięć po sobie zostawił, prawa podeptał, ludzi pobił, wsie jak bisurmanin nawiedził ogniem i mieczem. Aż dziw było, że jeden człowiek mógł tyle złego w tak krótkim przeciągu czasu uczynić i to człowiek ani zły zupełnie, ani zupełnie zepsuty. Jeśli kto, to panna Aleksandra, która go najbliżej poznała, wiedziała o tem najlepiej. Była cała przepaść między samym panem Kmicicem a jego uczynkami. Ale właśnie dlatego jakież ból sprawiała pannie Aleksandrze myśl, że ten człowiek, którego pokochała całym pierwszym impetem młodego serca, mógł być inny; że miał w sobie takie przymioty,

które mogły go uczynić wzorem rycerza, kawalera, sąsiada; że mógł zyskać zamiast wzgardy, podziw i miłość ludzką — zamiast przekleństw, błogosławieństwa.

Więc chwilami zdawało się pannie, że to jakieś nieszczeście, jakaś siła wielka a nieczysta popchnęła go do tych wszystkich gwałtów, które spełnił, a wówczas chwycił ją żal prawdziwie niezmierny nad tym nieszczęsnikiem i niewygasła miłość nurtowała nanowo w sercu, podsycana świeżem wspomnieniem jego postaci rycerskiej, słów, zaklęć, kochania.

Tymczasem sto protestów oblatowano przeciw niemu w grodzie, sto procesów mu groziło, a pan starosta Hlebowicz wysłał pacholków dla chwytania przestępcy.

Prawo musiało go potępić.

Jednakże od wyroków do ich wykonania było jeszcze daleko, bo bezład wzrastał coraz bardziej w Rzeczypospolitej. Wojna straszliwa zawisła nad krajem i zbliżała się krwawymi krokami ku Żmudzi. Potężny Radziwiłł birżański, który sam jeden mógł prawo zbrojno poprzeć, zbyt był sprawami publicznymi zajęty, a jeszcze bardziej pogrążony w wielkich zamysłach, tyjących się domu własnego, który chciał wynieść nad wszystkie inne w kraju, choćby kosztem dobra publicznego. Inni też magnaci więcej o sobie niż o Rzeczypospolitej myśleli. Pękały już bowiem od czasów wojny kozackiej wszystkie spojenia w potężnej budowie tej Rzeczypospolitej.

Kraj ludny, bogaty, pełen dzielnego rycerstwa, stawał się łupem postronnym, a natomiast samowola i swawola podnosiły coraz bardziej głowę i mogły urągać prawu, tyle siły czuły za sobą.

Uciśnieni przeciw uciskającym najlepszą i niemal jedyną we własnych szablach mogli znaleźć obronę; więc też i Lauda cała, protestując przeciw Kmicicowi w grodach, długo jeszcze nie zsiadła z konia, gotowa przemoc przemocą odeprzeć.

Ale upłynął miesiąc, a o Kmicicu nie było wieści. Ludzie jęli źzej oddychać. Moźniejsza szlachta odwołała zbrojną czeladź, którą na straż do Wodoktów była wysłała. Drobniejszej braci tęskno było do robót i wczasów po zaściankach, więc także poczęła się zwolna rozjeźdzać. A gdy wojenne humory uspokajały się w miarę jak czas płynął, coraz większa przychodziła owej ubogiej szlachcie ochota prawem nieobecnego nękać i w trybunałach swoich krzywd dochodzić. Bo choć samego Kmicica nie mogły wyroki osiągnąć, pozostał przecie Lubicz, wielka i piękna majątność, gotowa za poniesione szkody nagroda i zapłata. Ochotę do procesów podtrzymywała przytem w laudańskiej braci bardzo gorliwie panna Aleksandra. Dwakroć zjeżdżali się do niej na narady starsi laudańscy, a ona w owych naradach nietylko brała udział, ale przewodniczyła im, zadziwiając wszystkich zgoła nie niewieścim umysłem i sądem tak trafny, iż mógł jej go niejeden palestrant pozazdrościć. Chcieli tedy starsi laudańscy Lubicz zbrojno zająć i Butrymom go oddać, ale „panienka“ odradziła stanowczo.

— Nie płacie gwałtem za gwałt, — mówiła — bo i wasza sprawa zła będzie; niechaj cała niewinność stanie po waszej stronie. On, człowiek możny i skoli-gacony, znajdzie i w trybunałach popleczników, a gdy najmniejszy pozór dacie, możecie nową krzywdę ponieść. Niechże wasza racya będzie tak jasna, aby każdy

sąd, choćby z braci jego złożony, nie mógł inaczej, jeno na waszą stronę przysądzić. Mówcie Butrymom, by ani statków, ani bydła nie brali i całkiem Lubicz w spokoju zostawili. Co im potrzeba, to im z Mitrunów dam, gdzie więcej jest wszelkiego dobra, niż kiedykolwiek było w Wołmontowiczach. A jeśli pan Kmicie napowrót się tu zjawił, niechże i jego zostawia w spokoju, póki wyroków nie będzie, ani niech na jego zdrowie nie godzą. Pomnijcie, że póty tylko, póki on żyw, macie na kim krzywd waszych poszukiwać.

Tak mówiła mądra panna ze statecznym umysłem, a oni sławili jej mądrość, nie zważając, że odwłoka może wyjść także i na korzyść pana Andrzeja, a przynajmniej, że mu życie zabezpiecza. Może też i chciała Oleńka to życie niefortunne przed nagłą przygodą zabezpieczyć? Ale szlachta usłuchała jej, bo przywykła z dawnych, przedawnych czasów, wszystko, co wychodzi z ust Billewiczowskich za ewangelią uważać — i Lubicz pozostał nietknięty — i pan Andrzej, gdyby się był zjawił, mógłby być do czasu spokojnie w Lubiczu osiąść.

Lecz on się nie zjawił. Natomiast w półtora miesiąca później przyszedł do panienki posłaniec z listem, jakiś obcy człowiek, nikomu nieznanym. List był od Kmicica, pisany w następujące słowa:

„Sercem ukochana, najdroższa, nieodżałowana Oleńko! Wszelkiemu to jest przyrodzone stworzeniu, a zwłaszcza człowiekowi, choćby i najlichszemu, że za krzywdy swoje mścić się musi, a ktoby mu co złego uczynił, tedy on mu tem samem rad płaci. A że ja wyciąłem tę hardą szlachtę, to Bóg widzi, iż nie stało się to z żadnego okrucieństwa, ale dlatego, że towa-

rzyszów moich — wbrew prawom boskim i ludzkim — bez uwagi na ich młodość i wysokie urodzenie, tak nielitościwą śmiercią pomordowali, jakaby ich nigdzie, nawet u Kozaków lub Tatarów, spotkać nie mogła. Nie będę zaprzeczał, że i gniew mnie prawie nadludzki opanował, ale któż będzie się dziwił gniewowi, który w krwi przyjacielskiej rozlanej początek bierze? Duchy to ś. p. Kokosińskiego, Ranickiego, Uhlka, Rekucia, Kulwieca i Zenda, w kwiecie wieku i sławy niewinnie posieczonych, uzbroiły ramię moje, wtedy właśnie, gdy — świadczę się Bogiem! — o zgodzie jeno i przyjaźni ze wszystką szlachtą laudańską zamyślał, chcąc żywot mój całe odmienić, wedle słodkich rad twoich. Słuchając skarg przeciw mnie, nie odrzucaj i mojej obrony i osądź sprawiedliwie. Żal mi teraz tych ludzi w zaścianku, bo może i niewinnym się dostało, ale żołnierz, mszcząc się krwi bratniej, niewinnych od winnych odróżnić nie umie i nikogo nie respektuje. Bogdajby się to nie stało, co mi w twoich oczach zaszkodzić mogło. Za cudze grzechy i winy, za gniew sprawiedliwy, najcięższa dla mnie pokuta, bo straciwszy ciebie, w desperacyi sypiam i w desperacyi się budzę, niemogąc ciebie, ani kochania zapomnieć. Niechże mnie nieszczęsnego trybunały osądzą, niech sejmy wyroki potwierdzą, niech włożą mnie do trąby, do infamii, niech ziemia rozstąpi się mi pod nogami, wszystko zniosę, wszystko przecierpię, jeno ty, na Boga! nie wyrzucaj mnie z serca. Uczynię wszystko, co zechcą, oddam Lubicz, oddam po ewakuacyi nieprzyjacielskiej i majątności orszańskie; mam ruble zdobyczne w lasach zakopane, i te niech biorą, byleś mi rzekła, że mi wiary dotrzymasz, jako ci dziad nieboszczyk

z tamtego świata nakazuje. Ocaliłaś mi życie, ocalże i duszę moją, daj krzywdy nagrodzić, pozwól żywot na lepsze odmienić, bo już to widzę, że gdy ty mnie opuścisz, to mnie Pan Bóg opuści i desperacya popchnie mnie do gorszych jeszcze uczynków...“

Ile tam głosów litośnych podniosło się w duszy Oleńki na obronę pana Andrzeja, któż zgadnie, któż wypisać potrafi! Miłość, jako nasionko leśne z wiatrem szybko leci, ale gdy drzewem w sercu wyrośnie, to chyba razem z sercem wyrwać ją można. Billewiczówna była z tych, co sercem uczciwem mocno kochają, więc łzami oblała ten list Kmiciców. Ale nie mogła przecież za pierwszym słowem o wszystkim zapomnieć, wszystkiego przebaczyć. Skrucha Kmicica była zapewne szczerą, ale dusza pozostała dziką i natura niepohamowana pewno nie zmieniła się tak przez owe wypadki, aby o przyszłości można było myśleć bez trwogi. Nie słów, ale uczynków trzeba było na przyszłość ze strony pana Andrzeja. Zresztą, jakżeto mogła powiedzieć człowiekowi, który okrwawił całą okolicę, którego imienia nikt po obu brzegach Laudy nie wymawiał bez przekleństwa: „przybywaj, za trupy, pożogę, krew i łzy ludzkie, oddaję ci swą miłość i swoją rękę“.

Więc odpisała mu inaczej:

„Jakom waćpanu rzekła, że nie chcę cię znać i widzieć, tak wytrwam w tem, choćby mi się serce miało rozedrzeć. Krzywd takich, jakie tu waćpan ludziom wyrządziłeś, nie płaci się ni majątnością, ni pieniędzmi, bo umarłych wskrzesić nie można. Nie majątność też waćpan utraciłeś, ale sławę. Niechże ci ta szlachta, którąś popalił i pomordował, przebaczy,

to ci i ja przebaczę; niech ona cię przyjmie, to i ja cię przyjmę; niech ona pierwsza za tobą się wstawi, tedy jej orędownictwa wysłucham. A jako się to nigdy stać nie może, tak i waćpan szukaj gdzieindziej szczęścia, najpierw zaś boskiego, nie ludzkiego przebaczenia, bo ci boskie potrzebniejsze...“

Panna Aleksandra polała łzami każde słowo listu, potem zapieczętowała go Billewiczowskim sygnetem i sama wyniosła go posłańcowi.

— Zkąd jesteś? — pytała, obrzucając wzrokiem tę dziwną postać pół-chłopa, pół-sługi.

— Z lasu, panoczko.

— A gdzie twój pan?

— Tego mi niewolno powiedzieć... Ale on ztąd daleko; ja pięć dni jechał i szkapę zmordował.

— Masz talara! — rzekła Oleńka. — A twój pan nie w chorobie?

— Zdrowy on junak, jak tur.

— A nie w głodzie? nie w ubóstwie?

— On bogaty pan.

— Idź z Bogiem.

— Kłaniam do nóg.

— Powiedz panu... czekaj... powiedz panu... niech go Bóg wspomaga...

Chłop odszedł — i znowu zaczęły płynąć dni, tygodnie bez wieści o Kmicicu; przychodziły zato publiczne, jedna od drugiej nieszczęśliwsze. Wojska moskiewskie Chowańskiego coraz szerzej zalewały Rzeczpospolitą. Nie licząc ziem ukraińskich, w samem Wielkiem Księstwie województwa połockie, smoleńskie, witebskie, mścisławskie, mińskie i nowogródzkie były zajęte; jeno część wileńskiego, brzesko-litewskie, trockie

i starostwo żmudzkie oddychały jeszcze wolną pierśią, ale i te z dnia na dzień spodziewały się gości.

Na ostatni widać szczebel niemocy zesła Rzeczpospolita, gdy nie mogła dać oporu tym właśnie siłom, które lekceważono aż dotąd i z którymi zawsze rozprawiano się zwycięsko. Prawda, że siły te wspomagał nieugaszony i odradzający się ciągle bunt Chmielnickiego, prawdziwa hydra stugłowa; pomimo jednak buntu, pomimo wyczerpania sił w poprzednich wojnach, i statyści i wojownicy zaręczali, że samo tylko Wielkie Księstwo mogło i było w stanie nietylko napór odeprzeć, ale jeszcze chorągwie swe zwycięsko poza własne granice przenieść. Na nieszczęście, niezgoda wewnętrzna stawała owej możności na przeszkodzie, paraliżując usiłowania tych nawet obywateli, którzy życie i mienie w ofierze nieść byli gotowi.

Tymczasem w ziemiach jeszcze niezajętych chroniły się tysiące zbiegów, tak ze szlachty, jak ludu prostego. Miasta, miasteczka i wsie na Żmudzi pełne były ludzi przywiedzionych klęskami wojny do nędzy i rozpaczki. Miejscowa ludność nie mogła ani pomieścić wszystkich, ani dać im dostatecznego pożywienia — więc nieraz marli z głodu, mianowicie ludzie niskiego stanu; nieraz przemocą brali to, czego im odmawiano, złąd zamieszki, bitwy i rozboje stawały się coraz częstsze.

Zima była nadzwyczajna w swej surowości. Przyszedł wreszcie kwiecień, a śniegi leżały grubo, nietylko w lasach, ale i na polach. Gdy zesłoroczne zapasy wyczerpały się, a nowych jeszcze nie było, począł grassować głód, brat wojny. I rozpościerał swe panowanie coraz szerzej. Wyjechawszy z domu nietrudno było



spotkać trupy ludzkie, leżące po polach, przy drogach, skostniałe, ogryzione przez wilki, które rozmnożywszy się nadzwyczajnie, całemi stadami podchodziły pod wsie i zaścianki. Wycie ich mieszało się z wołaniem ludzkim o litość; po lasach bowiem, po polach i tuż koło wsi licznych połyскиwały nocami ogniska, przy których nędzarze rozgrzewali przemarzłe członki, a gdy kto przejeżdżał, tedy biegli za nim, prosząc o grosz, o chleb, o miłosierdzie, jęcząc, przeklinając i grożąc zarazem. Strach zabobonny zdjął umysły ludzkie. Wielu mówiło, że te wojny tak niepomyślne i te nieszczęścia dotąd niebywałe, do imienia królewskiego są przywiązane. Tłómaczono chętnie, że litery: J. C. R. wybite na pieniążkach, znaczą nietylko *Joannes Casimirus Rex*, ale i *Initium Calamitatis Regni*. A jeśli w prowincjach, jeszcze przez wojnę niezajętych, powstawał taki przestrah i bezład, łatwo się domyśleć, co działo się w tych, które już deptała ognista stopa wojny. Cała Rzeczpospolita była rozprzężona, targana przez partye, chora i w gorączce, jak człowiek przed śmiercią. Przepowiadano także nowe wojny zewnętrzne i domowe. Jakoż powodów nie brakło. Różne potężne w Rzeczypospolitej domy, ogarnięte wichrem niezgody, poglądały na się, jakby nieprzyjacielskie państwa, a za nimi całe ziemie i powiaty tworzyły przeciwne obozy. Tak właśnie było na Litwie, gdzie waśń sroga między Januszem Radziwiłłem, hetmanem wielkim, a Gosiewskim, hetmanem polnym, a zarazem podskarbin W. Ks. L., prawie w otwartą zmieniała się wojnę. Po stronie podskarbiego stanęli możni Sapiehowie, którym oddawna była solą w oku potęga Radziwiłłowskiego domu. Tych stronnicy ciężkiemi zaiste w. hetmana

obarczali zarzutami: iż pragnąc tylko sławy dla siebie, wojsko pod Szklowem wytracił i kraj na łup wydał; że więcej, niż szczęścia Rzeczypospolitej, pożył dla swego domu prawa zasiadania w sejmach cesarstwa niemieckiego; że nawet o udzielnej koronie zamysłał, że katolików prześladował...

I przychodziło nieraz już do bitew między partyzantami stron obu, niby bez wiedzy patronów, patronowie zaś słali na się skargi do Warszawy, waść ich odbijała się i na sejmach — na miejscu zaś rozpręgała swawolę i zapewniała bezkarność, bo taki Kmicie pewny mógł być opieki jednego z tych potentatów, skoroby po jego stronie przeciw drugiemu stanął.

A tymczasem nieprzyjaciel szedł naprzód, gdzie-niegdzie się tylko o zamki odbijając, zresztą swobodnie i bez oporu.

W takich okolicznościach wszyscy w laudańskiej stronie musieli żyć w czujności i pod bronią, zwłaszcza, że hetmanów nie było w pobliżu, obaj bowiem uciekali się z wojskami nieprzyjacielskimi, niewiele wprawdzie wskórać mogąc, ale przynajmniej podjazdami go szarpiąc i przystęp do wolnych jeszcze województw tamując. Osobno i Paweł Sapieha odpór dawał i sławę zyskiwał. Janusz Radziwiłł, wojownik wsławiony, którego imię samo aż do Szklowskiej przegranej groźne było nieprzyjacielowi, odniósł nawet kilka znacznie-szych korzyści. Gosiewski, to bił się, to układami próbował napór wstrzymywać; obaj wodzowie ścigali wojska z leż zimowych i zkąd mogli, wiedząc, że z wiosną wojna rozgorzeje nanowo. Ale wojsk było mało, skarb pusty, a pospolite ruszenie z województw już zajętych ścigać się nie mogło, bo je nieprzyjaciel

hamował. „Trzeba było o tem przed Szklowską potrzebą pomyśleć — mówili Gosiewszczycy — teraz za późno“. I istotnie było zapóźno. Koronne wojska przyjsć z pomocą nie mogły, bo wszystkie były na Ukrainie i w ciężkiej pracy przeciw Chmielnickiemu, Szeremetowi i Buturlinowi.

Wieści tylko o walkach bohaterskich, dochodzące z Ukrainy, o miastach zdobytych, o pochodach niebawących, krzepiły nieco upadłe serca i do obrony zachęcały. Brzmiały też głośną sławą imiona hetmanów koronnych, a obok nich imię pana Stefana Czarneckiego coraz się częściej na ustach ludzkich zjawiało, ale sława za wojska, ani za pomoc starczyć nie mogła, więc hetmani litewscy ustępowali zwolna, nie przestając kłócić się ze sobą po drodze.

Wreszcie Radziwiłł stanął na Żmudzi. Wraz z nim powrócił chwilowy spokój w strońie laudańskiej. Jenokalwini ośmieleni bliskością swego naczelnika, podnosili po miastach głowy, krzywdy czyniąc i na kościoły napadając, ale zato przywódcy rozmaitych watah woleńtarskich i partyj niewiadomo czyich, którzy pod barwą Radziwiłła, Gosiewskiego lub Sapiehów kraj niszczyli, pokryli się w lasy, rozpuszcili swych łotrzyków — i ludzie spokojni lżej odetchnęli.

A ponieważ od zwątpienia łatwe jest przejście do nadziei, więc znagła lepszy duch zapanował na Laudzie. Panna Aleksandra siedziała spokojnie w Wodoktach. Pan Wołodyjowski, który wciąż mieszkał w Pacunelach, a teraz właśnie zwolna do zdrowia powracać począł, rozpuszczał wieści, że król na wiosnę przyjdzie z zaciężnemi chorągwiemi, poczem wnet cała wojna inny obrót weźmie. Pokrzepiona szlachta po-

częła wychodzić z pługami w pola. Śniegi też potajały i na brzezinie ukazały się pierwsze pędy. Lauda rozlała szeroko. Pogodniejsze niebo jaśniało nad okolicą. Lepszy duch wstępował w ludzi.

Wtem zaszedł wypadek, który znów zamącił laudańską ciszę, ręce oderwał od lemieszów i nie pozwolił szablom pokryć się rdzą czerwoną.

---

## ROZDZIAŁ VII.

---

Pan Wołodyjowski, sławny i stary żołnierz, choć człowiek młody, siedział, jako się rzekło, w Pacunelach u Pakosza Gasztowta, patriarchy pacunelskiego, który miał reputacją najbogatszego szlachcica między wszystką drobną bracią laudańską! Jakoż trzy córki, które były za Butrymami, wyposażył hojnie dobrem srebrem, dawszy każdej po talarów sto, prócz inwentarzy i wyprawy tak pięknej, że i niejedna szlachcianka familiantka lepszej nie miała. Inne trzy córki były w domu pannami i te pilnowały pana Wołodyjowskiego, któremu ręka to przychodziła do zdrowia, to martwiała znowu, gdy zdarzyły się słoty na świecie. Wszyscy laudańscy zajmowali się wielce tą ręką, bo ją widzieli przy robocie pod Szkłowem i Sepielowem i ogólne było mniemanie, że lepszej trudno było znaleźć na całej Litwie. Otaczano też młodego pułkownika we wszystkich okolicach czią nadzwyczajną. Gasztowtowie, Domaszewicze, Gościewiczze i Stakjanowie, a za nimi inni, dosyłali wiernie do Pacunelów ryby, grzyby i zwierzyne, i siano dla koni, i smołę do kałamaszek, aby rycerzowi i jęgo czeladzi na niczem nie zbywało. Ilekroć

czuł się słabszym, jeździli na wyścigi po cyrulika do Poniewieża, słowem, wszyscy przesadzali się w usługach.

Panu Wołodyjowskiemu tak też było dobrze, że choć w Kiejdanach mógł mieć i wygody lepsze i medyka sławnego na zawołanie, przecie w Pacunelach siedział, a stary Gasztowt rad go podejmował i prawie prochy przed nim zdmuchiwał, bo podnosiło to nadzwyczajnie jego znaczenie w całej Laudzie, iż tak znamienitego ma gościa, któryby i samemu Radziwiłłowi honoru mógł przymnożyć.

Po pobiciu i wypędzeniu Kmicica, poszła rozmiłowana w panu Wołodyjowskim szlachta po rozum do głowy i uczyniła projekt ożenienia go z panną Aleksandrą. „Co będziem dla niej męża po świecie szukać! — mówili starzy na umyślnej sesyi, na której onę sprawę roztrząsano. — Gdy tamten zdrajca bezecnemi uczynkami tak się splamił, iż jeśli jest żyw, katu oddany być powinien, tedy i panna musiała go już z serca wyrzucić, bo tak było i w testamencie, w osobnej klauzuli przewidziane. Niechże pan Wołodyjowski się z nią żeni. Jako opiekunowie możem na to pozwolić, a tak i ona zacnego kawalera i my sąsiada i wodza dostaniem“.

Gdy zdanie to jednogłośnie zawotowane zostało, pojechali starsi najprzód do pana Wołodyjowskiego, który niewiele myśląc, na wszystko się zgodził, a potem do „panienki“, która jeszcze mniej myśląc, stanowczo się sprzeciwiła. — „Lubiczem — rzekła — jeden tylko nieboszczyk miał prawo rozporządzać i majątność nie prędzej może być panu Kmicicowi odjęta, aż sądy na utratę gardła go skazą, a co się tyczy mego zamążpójścia, nawet o tem nie wspominajcie. Zadużo mam w sobie boleści, żebym o czemś podobnem myśleć mogła...“

Tamtego z serca wyrzuciłam, a tego, choćby był najgodniejszy, nie przywożcie, bo wcale do niego nie wyjdę“.

Niebyło co rzec na tak stanowczą odmowę i szlachta wróciła do domów wielce zmartwiona: mniej zmartwił się pan Wołodujowski, a najmniej młode Gasztowtówny: Terka, Maryśka i Zonia. Rosłe to były dziewczęta i rumiane, miały włosy jak len, oczy jak niezabudki, a plecy szerokie. Pacunelki w ogóle słynęły z piękności; gdy szły kupą do kościoła, rzekłbyś: kwiaty na łące! Do tego stary Gasztowt i na edukacją nie żałował. Organista z Mitrunów nauczył je sztuki czytania, pieśni kościelnych, a najstarszą Terkę i gry na lutni. Mając dobre serca, tkliwie opiekowały się panem Wołodujowskim, jedna starając się ubiec drugą w czujności i staraniach. O Maryśce mówiono, że zakochana w młodym rycerzu; wszelako nie było w tej gadaninie całej prawdy, gdyż wszystkie trzy, nie ona jedna, były na zabój zakochane. On też lubił je bez miary, szczególnie Maryskę i Zonię, bo Terka na zdradliwość męską zbyt miała zwyczaj narzekać.

Nieraz bywało długimi wieczorami zimowemi, stary Gasztowt, podpiwszy krupniczkiem, spać idzie, a one z panem Wołodujowskim siędą wedle komina: milutka Terka kądziel przedzie, słodka Marysia darcieciem kwapiu się zabawia, a Zonia nici z wrzecion na motki nawija. Lecz gdy pan Wołodujowski zacznie opowiadać o wojnach, które przeżył, albo o dziwach, które widział w różnych magnackich domach, to robota ustanie, dziewczęta w niego jak w tęczę patrzą i coraz to któraś wykrzyknie z podziwu: „Ach! ja nie żyję na świecie! Kochanieńcyż wy moi!“ — a druga odpowie: „Cała noc oka nie zmruję!“

Pan Wołodyjowski zaś, w miarę jak do zdrowia przychodził i szablą już chwilami zupełnie swobodnie zaczął władać, coraz był weselszy i coraz chętniej opowiadał. Pewnego tedy wieczora, zasiedli jak zwykle po wieczerzy przed okapem, zpod którego różne światło padało na całą ciemną izbę, ale zrazu zaczęli się przekomarzać. Chciały dziewczęta opowiadania, a pan Wołodyjowski prosił Terkę, żeby mu też coś zaśpiewała przy lutni.

— Sam waszmość zaśpiewaj! — odpowiedziała, odpychając instrument, który jej pan Wołodyjowski podawał — ja mam *robotę*. Bywając po świecie, musiałeś się różnych pieśni wyuczyć.

— Pewnie, żem się wyuczył. Ale już dziś niech tak będzie: ja zaśpiewam najprzód, a waćpanna po mnie. *Robota* nie przepadnie. Żeby tak białogłowa jaka prosiła, pewniebyś się nie przeciwiała, mężczyźnie zawsze oporna.

— Bo warto.

— Zali i mną tak waćpanna pogardzasz?

— At, gdzie tam! Śpiewaj już wasza mość.

Pan Wołodyjowski zabrzdakał w lutnię, nastroił pocieszoną minę i zaintonował fałszywym głosem:

Przyjechałem w takie miejsce,  
Gdzie mnie żadna panna niej-chce!...

— Ot! to niesprawiedliwość! — przerwała Marysia, zarumieniwszy się jak malina.

— To jest żołnierska piosenka — rzekł pan Wołodyjowski — którąśmy śpiewali w hibernach, chcąc, żeby się jaka dobra dusza nad nami użaliła.

— Jabym się pierwsza użaliła.



— Dziękuję waćpannie. Kiedy tak, to nie mam poco dłużej śpiewać i lutnię w godniejsze ręce oddaję.

Terka tym razem nie odepchnęła instrumentu, bo ją poruszyła pieśń pana Wołodyjowskiego, w której istotnie było więcej chytrości, niż prawdy, więc uderzyła zaraz w struny i złożywszy buzię „w ciupo“, poczęła śpiewać :

Nie kodź do lasu, czypać bzu,  
I nie wierz kłopcui, jako psu!  
Bo każdy kłopiec ma w sobie jad,  
Kiedy cię kocha, powiedz mu: „at!“

Pan Wołodyjowski tak się rozweselił, że aż się za boki uchwycił z radości i zakrzyknął :

— Wszyscyżto chłopcy zdrajcy? A wojskowi, moja dobrodziko?

Panna Terka silniej zesnurowała buzię i odśpiewała z podwójną energią :

Jeszcze gorsze psy, jeszcze gorsze psy!

— Nie uważaj, wasza mość, na Terkę, ona zawsze taka! — rzekła Marysia.

— Jak nie mam uważać — rzecze pan Wołodyjowski — gdy całemu stanowi wojskowemu tak szpetnie przymówiła, że ze wstydu nie wiem, gdzie oczy podziać.

— Wasza mość chcesz, żebym śpiewała, a potem sobie ze mnie dworujesz i wyśmiewasz — odpowiedziała nadąsana Terka.

— Nie napadam ja na śpiewanie, jeno na sens dla wojskowych okrutny — odparł rycerz; — co do śpiewania, muszę przyznać, żem i w Warszawie tak wybornych gorgów nie słyshał. Waćpannę tylko w pluderki przy-

brać, a mogłabyś u świętego Jana śpiewać, któren kościół jest katedralny i królestwo mają w nim swój ganeczek.

— A czemużby to ją w pluderki trzeba ubierać? — spytała najmłodsza Zonia, zaciekawiona wzmianką o Warszawie i o królestwie.

— Bo tam w chórze białogłowy nie śpiewają, jedno mężczyźni i młode chłopcy; jedni grubemi głosami, jak żaden tur nie zaryczy; inni cienko, że i na skrzypcach cienie nie można. Słyszałem ich wielokroć, gdyśmy z naszym wielkim i nieodżałowanym wojewodą ruskim na elekcyą terazniejszego pana naszego miłościwego przyjechali. Cuda to prawdziwe, aż dusza z człowieka ucieka! Siła tam muzykantów: jest Forster, sławny subtelnemi gorgami, i Kapuła, i Dzań Batysta, i Elert, przedni do lutni, i Marek, i Mielczewski grzecznie komponujący. Ci wszyscy, kiedy to razem w kościele hukną, to jakobyś chóry serafińskie na jawie słyszał.

— Ot, to i pewno! jako żywo! — rzekła, składając ręce Marysia.

— A króla, wasza mość, często widywał? — pytała Zonia.

— Tak z nim gadałem, jak z waćpanną. Po be-resteckiej potrzebie za głowę mię ścisnął. Mężny to pan i tak miłościwy, że kto go raz ujrzał, musi go pokochać.

— My go i nie widziawszy kochamy!... A koronę zali zawsze ma na głowie?

— Zaśby tam co dnia w koronie chadzał; żelaznejby na to trzeba głowy. Korona sobie w kościele wypoczywa, od czego i powaga jej rośnie, a król jegomość

kapelusze czarne nosi, brylantami zdobiony, od których światłość na cały zamek bije...

— Powiadają, że zamek królewski, to nawet i od kiejdańskiego wspanialszy?

— Od kiejdańskiego? Fraszka przy nim kiejdański! Srogi to budynek, cały murowany, że drzewa i nie upatrzysz. Naokoło są dwa rzędy pokojów, jeden od drugiego zacniejszy. W nichto waćpanny ujrzenie rozmaite wojny i wiktorye, pendzlem na ścianach wyobrażone, jako to: sprawy Zygmunta III i Władysława, napatrzeć się temu nie można, bo wszystko jakoby żywe; dziw, że się nie rusza i że ci, co się biją, krzyku nie czynią. Ale już tego nikt udać nie potrafi, choćby najlepszy malarz. Niektóre zaś komnaty całe od złota; krzesła i ławy bisiosem albo lamą kryte, stoły z marmuru i alabastru, a co sepetów, puzder, zegarów, w dzień i w nocy czas pokazujących, tegoby na wołowej skórze nie spisać. Dopieroż król z królową po onych komnatkach chodzą i dostatkiem się cieszą; a wieczorem mają teatrum, kwoli większej jeszcze rozrywki...

— Cóżto takiego teatrum?

— Jakżeby to waćpannom powiedzieć... To jest takie miejsce, gdzie komedye grają i skoki włoskie misterne wyprawują. Komnata to tak wielka, jak niejednen kościół, cała w zacne kolumny. Po jednej stronie siedzą ci, co chcą się dziwować, a po drugiej stronie kunszty są ustawione. Te podnoszą się i schodzą na dół; inne śrubami w rozmaite obracają się strony; raz okazują ciemność z chmurami, znów przyjemną światłość; na wierzchu niebo ze słońcem albo z gwiazdami, spodem ujrzysz czasem piekło okropne...

— O Jezu! — zawołały pacunelki.

— ...Z dyablami. Czasem morze niezmierne, na nim okręty i syreny. Jedne persons spuszcza ją się z nieba, inne wychodzą z ziemi.

— Jenobym piekła widzieć nie chciała — zakrzyknęła Zonia — i dziwno mi to, że ludzie na tak okropny widok nie puciekają.

— Nietylko nie uciekają, ale jeszcze przyklepują od uciechy, — odrzekł pan Wołodyjowski — bo to wszystko udane, nie prawdziwe, i przeżegnawszy, nie znika. Niemasz w tem sprawy złego ducha, jeno ludzka przemyślność. Nawet i biskupi tam z królestwem przychodzą i rozmaici dygnitarze, którzy potem razem z królem przed spaniem do uczy siadają.

— A zrana i w dzień co czynią?

— To zależy od humorów. Rano wstawszy, łaźni zażywają. Jest tam taka komnata, w której niemasz podłogi, jeno cynowy dół, jako srebro błyszczący, a w tym dole woda.

— Woda w komnacie... słydzaliście?

— Tak jest... i przybywa jej albo ubywa, wedle woli; może też być ciepła, albo zgoła zimna, bo tam są rury z kuraskami, taką i owaką niosące. Pokręcisz waćpanna kuraskiem, aż tu się leje, że i pływać można w komnacie, jako w jeziorze... Żaden król nie ma takiego zamku, jak nasz pan miłościwy, to wiadoma rzecz, i posłowie zagraniczni toż samo powiadają: żaden też nad tak zacnym narodem nie panuje, bo choć są różne grzechne nacye na świecie, przecie Bóg naszą szczególnie w miłosierdziu swoim przyozdobił.

— Szczęśliwy nasz król! - westchnęła Terka.

— Pewnie, że byłby on szczęśliwy, gdyby nie sprawy publiczne, gdyby nie wojny niefortunne, które Rzecz-

pospolitą gnębnią za grzechy i niezgodę naszą. Wszystko to na barkach królewskich i wymówki mu jeszcze za nasze winy na sejmach czynią. A co on winien, że go słuchać nie chcą?... Ciężkie czasy nadeszły na ojczyznę i tak ciężkie, jakich jeszcze nie bywało. Najlichszy nieprzyjaciel już nas lekceważy, nas, którzyśmy z cesarzem tureckim szczęśliwie do niedawna wojowali. Takto Bóg pychę karze. Chwałaż mu, że mi już ręka chodzi dobrze w zawiasiech... bo, czas, wielki czas za miłą ojczyznę się upomnieć i w pole ruszyć. Grzech w takich terminach próżnować.

— Jeno waćpan o wyjeździe nie wspominaj.

— Trudno ma być inaczej. Dobrze mi tu między waćpannami, ale im mi lepiej, tem mi gorzej. Niech tam mądrzy na sejmach racye dają, a żołnierzowi tęskno w pole. Póki życia, póty służby. Po śmierci Bóg, który w serca patrzy, najlepiej takich nagrodzi, co nie dla promocyi, ale z afektu dla ojczyzny służą... a podobno coraz mniej takich i dlatego przyszła na nas czarna godzina.

Oczy Marysi poczęły wilgotnieć, aż wkońcu łzami wezbrały, które wypłynęły na rumiane jagody.

— Waćpan pójdiesz i zapomnisz, a my tu już chyba poschniemy. Któż nas tu będzie bronił od nastpników.

— Pojadę, ale wdzięczność zachowam. Rzadko tak uczciwych ludzi, jak w Pacunelach!... Waćpanny zawsze się tego Kmicica boicie?

— Pewnie, że się boimy. Dzieci nim tu matki straszą, jak wilkołakiem.

— Nie wróci on już, a choćby i wrócił, nie będzie miał ze sobą tych swawolników, którzy, miarkując z te-

go, co ludzie mówią, gorsi byli od niego. Szkoda to nawet jest, że tak dobry żołnierz tak się splamił i sławę i majątność utracił.

— I pannę.

— I pannę. Siła o niej dobrego powiadają.

— Po całych dniach ona nieboga teraz jeno płacze i płacze...

— Hm! — rzekł pan Wołodyjowski — przecie nie po Kmicicu płacze?

— Ktoto wie! — rzekła Marysia.

— To tem gorzej dla niej, bo on już nie wróci; pan hetman odesłał część laudańskich do domu, to i siły teraz są. Bez sądubyśmy go zaraz rozsiekali. Musi on o tem wiedzieć, że laudańscy wrócili i ani nosa nie pokaże.

— Mają podobno nasi znowu ruszyć, — rzekła Terka — bo jeno na krótko dostali do domu pozwolenie.

— E! — rzecze pan Wołodyjowski — hetman rozpuścił ich, bo pieniędzy w skarbie niemasz. Desperacya prawdziwa! Gdy ludzie najpotrzebniejsi, to trzeba ich odsyłać... Ale już dobranoc waćpannom, czas spać. A niech się tam której pan Kmicic z mieczem ognistym nie przyśni...

To rzekłszy pan Wołodyjowski, wstał z ławy i zabierał się do odejścia, ale za ledwie uczynił krok ku alkierzowi, kiedy nagle uczynił się hałas w sieni i głos jakiś począł krzyżeć za drzwiami przeraźliwie:

— Hej tam! na miłosierdzie Boskie! otwórzcie prędzej, prędzej!...

Dziewczęta przeraziły się okropnie; pan Wołodyjowski skoczył po szablę do alkierza, ale nie zdołał

jeszcze z nią wrócić, gdy Terka odsunęła i do izby wpadł nieznanany człek, który rzucił się do nóg rycerza.

— Ratunku, jaśnie pułkowniku!... Panna porwana!...

— Jaka panna?

— W Wodoktach...

— Kmicic! — wykrzyknął pan Wołodyjowski.

— Kmicic! — zawołały dziewczęta.

— Kmicic! — powtórzył posłaniec.

— Ktoś ty jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— Włódarz z Wodoktów.

— My jego znamy! — rzekła Terka — on dryjakiew dla waszej mości woził.

Wtem zza pieca wylazł rozespany stary Gasztowt, a we drzwiach ukazało się dwóch czeladników pana Wołodyjowskiego, których hałas zwabił do izby.

— Konie siodłać! — krzyknął pan Wołodyjowski. — Jeden niech do Butrymów rusza, drugi konia mnie podaje!

— U Butrymów ja już był — rzekł włódarz — bo tam najbliżej. Oni mnie do waszej miłości przysłali.

— Kiedy panna porwana? — pytał Wołodyjowski.

— Dopieroco... Tam jeszcze czeladź rzną... ja konia dopadł.

Stary Gasztowt przetarł oczy.

— Co? panna porwana?

— Tak jest... Kmicic ją porwał! — rzekł pan Wołodyjowski — Jedziem z pomocą!

To rzekłszy, zwrócił się do posłańca:

— Ruszaj do Domaszewiczów, — rzekł — niech z rusznicami przybywają!

— Nuże i wy kozy! — krzyknął nagle stary na

córki. — Nuże kozy! ruszać na wieś, budzić szlachtę, niech się szabel imają! Pannę porwał Kmicic... co?... Boże odpuść! zbroj, warchoł... co?

— Pójdźmy i my budzić — rzekł Wołodyjowski — będzie prędzej. Chodź wasze! Konie, słyszę, już są.

Jakoż po chwili siedli na koń, z nimi dwóch czeladników: Ogarek i Syruc. Wszyscy puścili się drogą, między chatami zaścianku, bijąc we drzwi, w okna i krzycząc w niebogłosość:

— Do szabel! do szabel! Panna w Wodoktach porwana! Kmicic w okolicy!...

Słyszając te wołania, jaki taki wypadał z chaty patrzeć, co się dzieje, a zrozumiawszy o co rzecz idzie, poczynał sam wrzeszczeć: „Kmicic w okolicy! Panna porwana!“ — i tak wrzeszcząc, ruszał na łeb na szyję ku zabudowaniom konia kulbaczyć, albo do chaty, szablika po ścianie w ciemności macać. Coraz więcej głosów powtarzało: „Kmicic w okolicy!“ — ruch czynił się w zaścianku, światła zaczęły błyskać, rozległ się płacz kobiet, szczekanie psów. Nakoniec szlachta wysypała się na drogę, po części konno, a w części pieszo. Nad gromadą głów ludzkich połyskiwały w cieniu szable, piki, rohatyny, a nawet i widły żelazne.

Pan Wołodyjowski rzucił okiem na oddział, wnet rozesłał kilkunastu w różne strony, a sam z resztą ruszył naprzód.

Jezdni szli na czele, piesi za nimi i ciągnęli ku Wołmontowiczom, by się z Butrymami połączyć. Godzina była dziesiąta z wieczora, noc jasna, lubo księżyc jeszcze nie zeszedł. Ci ze szlachty, których świeżo z wojny hetman W. odesłał, zaraz zwarli się w szeregi; inni,



mianowicie piesi, szli mniej sprawnie, czyniąc brzęk bronią, gawędząc i ziewając głośno, a chwilami klnąc wrażego Kmicica, który ich słodkiego wczasu pozbawił; tak doszli aż pod Wołmontowicze, przed którymi wysunął się ku nim zbrojny oddział.

— Stój! kto jedzie? — poczęły wołać głosy z owego oddziału.

— Gasztowtowie!

— My Butrymi, Domaszewicze już są.

— Kto u was dowodzi? — pytał pan Wołodziejowski.

— Józwa Beznogi, do usług pana pułkownika.

— Macie wieści?

— Do Lubicza ją porwał. Przeszli bagnami, by przez Wołmontowicze nie przechodzić.

— Do Lubicza? — pytał ze zdziwieniem pan Wołodziejowski. — Cóż on się tam myśli bronić? przecie Lubicz nie forteca?

— W siłę widać ufa. Ludzi przy nim ze dwieście! Pewnie też dostatki chce z Lubicza zabrać; wozy mają ze sobą i koni luźnych kupę. Musiał nie wiedzieć o powrocie naszym z wojska, bo śmiało sobie poczyna.

— Dobra nasza! — rzekł pan Wołodziejowski. — To nam się nie wymknie. Strzelby ile u was?

— U nas Butrymów sztuk ze trzydzieści, u Domaszewiczów dwa razy tyle.

— Dobrze. Niech pięćdziesiąt ludzi ze strzelbami ruszy pod waszecie bronić przepraw na bagnach — żywo! Reszta pójdzie ze mną. O siekierach pamiętać!

— Wedle rozkazu!

Uczyli się ruch; mały oddział ruszył truchtem ku bagnetom pod Józwą Beznogim.

Tymczasem nadjechało kilkunastu Butrymów, rozesłanych poprzednio do innej szlachty.

— Gościewiczów nie widać? — pytał pan Wołodziejowski.

— A! to wasza mość pan pułkownik!... Chwała Bogu! — zawołali nowoprzybyli. — Gościewiczze idą już... słyhać ich przez las. Wasza mość wie, że do Lubicza ją porwał?

— Wiem. Niedaleko z nią zajędzie.

Rzeczywiście Kmicic nie obliczył jednego niebezpieczeństwa swej zuchwałej wyprawy; oto nie wiedział, że znaczne siły szlachty przybyły właśnie do domów. Sądził, że zaścianki są puste, jak było za czasów jego pierwszego pobytu w Lubiczu; tymczasem teraz, licząc z Gościewiczami, bez Stakjanów, którzy nie mogli przybyć na czas, pan Wołodziejowski mógł wyprowadzić przeciw niemu około trzystu szabel — i to ludzi przywykłych do boju i wyćwiczonych.

Jakoż coraz więcej szlachty nadciągało do Wołomontowicz. Przyszli wreszcie i Gościewiczze, za którymi się dotąd oglądano. Pan Wołodziejowski sprawił oddział i aż mu serce rosło na widok wprawy i łatwości, z jaką stanęli w ordynku. Na pierwszy rzut oka poznać było można, że to żołnierze, nie zwyczajna niesforna szlachta. Pan Wołodziejowski ucieszył się jeszcze i dla tego, bo sobie pomyślał, że wkrótce dalej ją poprowadzi.

Poszli tedy rysią ku Lubiczowi, owym borem, przez który Kmicic dawniej przelatywał. Było już dobrze po północy. Księżyc wypłynął wreszcie na niebo i oświecił las, drogę i ciągnących wojowników, rozłamał blade promienie na ostrzach pik, odbijał się w szablach

błyszczących. Szlachta gwarzyła zeicha o nadzwyczajnem zdarzeniu, które ich wyrwało z pościeli.

— Chodzili tu rozmaici ludzie: — mówił jeden z Domaszewiczów — myśleliśmy, że to zbiegowie, a to pewnie byli jego szpiegi.

— A jakże. Codzień też obce dziady zachodziły do Wodoktów, niby po jałmużnę — odrzekł drugi.

— A coto za żołnierz przy Kmicicu?

— Czeladź z Wodoktów mówią, że Kozacy. Pewnie się Kmicic z Chowańskim albo z Żółtareńką zwiąchał. Dotąd był zbójem, teraz zdrajca to już oczywisty.

— Jakżebyto on mógł Kozaków aż tu przyprowadzić?

— Z tak wielką watahą nie łatwo się przemknąć? Toć pierwsza lepsza nasza chorągiew byłaby go zatrzymała po drodze.

— Po pierwsze mógł lasami iść, a po drugie, małożto panów z dworskimi kozakami się uwija? Kto ich tam odróżni od nieprzyjaciół; jeśli ich pytano, to się nadwornymi semenami powiadali.

— Będzie on się bronił, — mówił jeden z Gościewiczów — bo człek jest mężny i rezolutny, ale nasz pułkownik da sobie z nim rady.

— Butrymowie też sobie zaprzysięgli, że choćby mieli jeden na drugim paść, już on im nie ujdzie ztąd żywy. Oni na niego najzawziętsi.

— Ba! a jak go usieczem, to na kim będą swoich krzywd dochodzić? Lepiejby było żywcem go pojmać i sprawiedliwości oddać.

— Co tam teraz o sądach myśleć, kiedy wszyscy głowy potracili. Czy waszmościom wiadomo, co ludzie mówią, że i od Szwedów może przyjść wojna?

— Niechże Bóg zachowa!... Moskiewska potencya i Chmielnicki! Szwedów tylko brak, a jużby ostatni termin na Rzeczpospolitą przyszedł.

Wtem pan Wołodyjowski, jadący na przodzie, odwrócił się i rzekł:

— Cicho tam, waszmościowie!

Szlachta umilkła, bo Lubicz już było widać. Po kwadransie drogi przysunęli się o niecałą staję ode dworu. Wszystkie okna były oświetlone; jasność biła aż na podwórze, na którym pełno było zbrojnych ludzi i koni. Nigdzie żadnych straży, żadnych ostrożności — widocznie pan Kmicic ufał aż nadto swym siłom. Zbliżywszy się jeszcze więcej, pan Wołodyjowski za jednym rzutem oka poznał Kozaków, z którymi tyle się nawojował jeszcze za życia wielkiego Jeremiego, a później pod Radziwiłłem, więc mruknął zcicha sam do siebie:

— Jeśli to są obcy Kozacy, to ten warchoł przebrał miarę!

I patrzył dalej, zatrzymawszy cały oddział. Na podwórzu krzątania była okrutna. Jedni Kozacy świecili pochodniami, inni biegali na wszystkie strony, wychodzili z domu i wchodzili napowrót, wynosili rzeczy, pakowali toboły na wozy; inni wyprowadzali konie ze stajen, bydło z obór; krzyki, nawoływania i rozkazy krzyżowały się na wszystkie strony. Blask pochodni oświecał jakoby przeprowadzkę świętojańską dzierżawcy do nowego majątku.

Krzysztof Domaszewicz, starszy między Domaszewiczami, przysunął się do pana Wołodyjowskiego.

— Wasza mość! — rzekł — cały Lubicz chcą zapakować na wozy.

— Nie wywozą — odparł pan Wołodyjowski —

nietylko Lubicza, ale i skóry własnej. Nie poznają jednak Kmicica, który jest żołnierz doświadczony. Ani jednej straży.

— Bo potęgę ma wielką; widzi mi się, będzie nad trzysta ludzi. Żebyśmy byli z wojska nie wrócili, mógłby w biały dzień przejść z wozami przez wszystkie zaścianki.

— Dobrze! — odrzekł pan Wołodyjowski. — Wszak to do dworu ta jedna droga prowadzi?

— Ta jedna, bo ztyłu stawy i bagna.

— To dobrze... Z koni waszmościowie!

Posłuszna rozkazowi szlachta wnet zeskoczyła z kulbak; następnie szeregi piesze zwały się w długą linią i poczęły otaczać dom wraz z zabudowaniami.

Pan Wołodyjowski z głównym oddziałem zbliżył się wprost do kołowrotu,

— Czekać komendy! — rzekł zcicha. — Nie strzelać przed rozkazem!

Kilkadziesiąt zaledwie kroków dzieliło szlachtę od kołowrotu, gdy spostrzeżono ich wreszcie z podwórca. Kilkunastu ludzi skoczyło razem do płotów i przechyliło się przez nie, pilnie wpatrując się w ciemność, a groźne głosy wołać poczęły:

— Hej! a szto za lude?

— Alt! — zakrzyknął pan Wołodyjowski. — Ognia!

Wystrzały ze wszystkich rusznic, jakie miała szlachta, huknęły naraz; ale jeszcze echo ich nie odbiło się o zabudowania, gdy znów rozległ się głos pana Wołodyjowskiego:

— Biegiem!

— Bij, zabij! — odkrzyknęli laudańscy, rzucając się naprzód, jak potok.

Kozacy odpowiedzieli strzałami, lecz nie mieli już czasu nabić powtórnie. Hurma szlachty przypadła do kołowrotu, który wnet runął pod parciem zbrojnych mężów. Walka zawrzała na podwórzu, wśród wozów, koni, tobołów. Najprzód szli murem potężni Butrymowie, najsroźsi w ręcznym spotkaniu i najzacieklejsi przeciw panu Kmicicowi. Szli, jak stado odyńców idzie przez młode krze leśne, łamiąc, deptając, niweczając i tnąc zapamiętałe; za nimi walili Domaszewicze i Gościewicze.

Kmicicowi bronili się mężnie zza wozów i pak; poczęto też strzelać ze wszystkich okien domu i z dachu, ale rzadko, bo pochodnie zdeptane zagasty i trudno było swoich od nieprzyjaciół odróżnić. Po chwili wyparto Kozactwo z podwórza ku domowi i stajniom; rozległy się krzyki o litość. Szlachta tryumfowała.

Ale gdy została sama na podwórzu, wnet ożywił się ogień z domu. Wszystkie okna zjeżyły się rurami muszkietów i grad kul począł sypać się na podwórze. Największa część Kozaków schroniła się do domu.

— Pod dwór! do drzwi! — zawołał pan Wołodyjowski.

Rzeczywiście pod samemi ścianami strzały szkodzić nie mogły ani z okien, ani z dachu. Położenie jednak oblegających było trudne. O szturmie do okien niepodobna im było pomyśleć, bo tam przywitałby ich ogień w same twarze; kazał więc pan Wołodyjowski drzwi rąbać.

Ale i to nie szło łatwo, były to bowiem raczej wrzeczadze, niż drzwi, zbudowane z dębowych krzyżniaków, nabijanych raz przy razie olbrzymiemi gwoź-

dziami, na których potężnych łbach szczybiły się siekiery, nie mogąc drzewa zachwycić. Najsilniejsze chłopcy parli od czasu do czasu ramionami i to próżno. Drzwi miały ztyłu żelazne sztaby, a oprócz tego podparto je od wewnątrz drągami. Butrymowie jednak rąbali z wściekłością. Do drzwi kuchennych i wiodących ze skarbczyka szturmowali Domaszewicze i Gościewicze.

Po godzinie próżnych usiłowań zmienili się ludzie przy siekierach. Niektóre krzyżniaki wypadły, ale na ich miejsce ukazały się rury muszkietów. Huknęły znów strzały. Dwóch Butrymów padło na ziemię z przestrzeloną pierśią. Inni zamiast się zmieszać, rąbali tem zacieklej.

Z rozkazu pana Wołodyjowskiego pozatykano otwory kłębami, uczynionemi z kapot. W tymże czasie nowe okrzyki ozwały się od strony drogi, to Stakjanowie przybywali na pomoc braci, a za nimi zbrojni chłopcy z Wodoktów.

Przybycie tych nowych posiłków strwożyło widocznie obleżonych, bo wnet jakiś głos począł wołać gromko za drzwiami:

— Stój tam! nie rąb! słuchaj... Stój, do stu dyabłów!... rozmówmy się!

Wołodyjowski kazał przerwać robotę i spytał:

— Kto mówi?

— Chorąży orszański, Kmicic! — brzmiała odpowiedź. — A z kim mówi?

— Pułkownik Michał Jerzy Wołodyjowski.

— Czołem! — ozwał się głos zza drzwi.

— Nie czas na powitania... Czego waść chcesz?

— Mnieby słuszniej zapytać: czego waść chcesz?

Nie znasz mnie, ja ciebie... czemu mnie napadasz?

— Zdrajco! — zakrzyknął pan Michał. — Ze mną są ludzie laudańscy, którzy z wojny wrócili i ci mają z tobą obrachunki za rozbój i za krew niewinnie przelaną, i za tę pannę, którąś teraz porwał! A wiesz, co to jest *raptus puellae*? Musisz tu gardło dać!

Nastała chwila milczenia.

— Nie nazwałbyś mnie drugi raz zdrajcą, — rzekł znów Kmicic — gdyby nie te drzwi, które nas dzielą.

— To je otwórz... tego ci nie bronię!

— Pierwej jeszcze niejeden kondel laudański nogami się nakryje. Nie weźmiecie mnie żywym!

— To cię zdechłego za łeb wywleczem. Wszystko nam jedno!

— Słuchaj waść dobrze i zakonotuj, co powiem. Jeśli nas nie poniechacie, mam tu baryłkę prochu i loncików już tlejący; dom wysadzę, wszystkich, co tu są i siebie... tak mi dopomóż Bóg! Chodźcie mnie teraz brać!

Tym razem nastąpiła jeszcze dłuższa chwila milczenia. Pan Wołodyjowski szukał napróżno odpowiedzi. Szlachta zaczęła spoglądać po sobie przerażona. Tyle było dzikiej energii w słowach Kmicica, że w groźbę uwierzyli wszyscy. Całe zwycięstwo mogło być jedną iskrą w proch rozwiane i Billewiczówna stracona na wieki.

— Dla Boga! — mruknął któryś z Butrymów — to szalony człek! On to gotów uczynić.

Nagle panu Wołodyjowskiemu przysła szczęśliwa, jak mu się zdawało, myśl do głowy.

— Jest inny sposób! — zakrzyknął. — Wychodź ze mną zdrajco na szable! Położysz mnie, to odjedziesz wolno!



Przez jakiś czas nie było odpowiedzi. Serca laudańskich były niespokojnie.

— Na szable? — spytał wreszcie Kmicic. — Może to być!

— Jeśli tchórz nie oblatuje, to i będzie!

— Parol kawalerski, że odjadę wolno?

— Parol...

— Nie może być! — krzyknęło kilka głosów między Butrymami.

— Cicho waściowie, do stu dyabłów! — huknął pan Wołodyjowski — a nie, to niech siebie i was prochem wysadza.

Butrymowie zamilkli, po chwili jeden z nich rzekł

— Będzie tak, jak wasza mość chce...

— A cóżtam? — pytał szydersko Kmicic. — Szaraczki się zgadzają?

— I zaprzysięgną na mieczach, jeżeli waść chcesz.

— Niech przysięgają!

— Kupą tu waszmościowie, kupą! — wołał pan Wołodyjowski na szlachtę, stojącą pod ścianami i otaczającą cały dom.

Po chwili wszyscy zebrali się pod głównymi drzwiami i wnet wieść, że Kmicic chce się prochami wysadzić, rozniosła się na wszystkie strony. Stali tedy, jak w kamienie zmienieni ze zgrozy; tymczasem pan Wołodyjowski podniósł głos i mówił wśród ciszy grobowej:

— Wszystkich tu obecnych waszmościów biorę na świadki, żem pana Kmicica, chorążego orszańskiego, wyzwał na bitwę samowtór, i to mu przyrzekłem, iż jeśli mnie położy, odjedzie wolno, nie doznając w tem od waszmościów przeszkody, co mu na rękojeściach

zaprzysiąc musicie, na Boga Najwyższego i święty krzyż...

— Poczekajcie jeno! — zawołał Kmicic — wolno ze wszystkimi ludźmi odjadę i pannę ze sobą zabiorę.

— Panna tu zostanie — odparł pan Wołodyjowski — a ludzie w jasyr do szlachty pójdą.

— Nie może być.

— To się prochami wysadzaj! Już my jej odzałowali, a co do ludzi, to się ich spytaj, co wolą...

Nastała znów cisza.

— Niechże tak będzie — rzekł po chwili Kmicic. — Nie dziś ją porwę, to za miesiąc. Nie skryjcie jej pod ziemią! Przysięgajcie!

— Przysięgajcie! — powtórzył pan Wołodyjowski.

— Przysięgamy na Boga Najwyższego i święty krzyż. Amen!

— No, wychodź, wychodź waść! — rzekł pan Michał.

— Pilno waszmości na tamten świat?

— Dobrze, dobrze! jeno prędzej.

Sztaby żelazne, trzymające drzwi od wewnątrz, poczęły szczękać.

Pan Wołodyjowski usunął się wtył, a za nim szlachta, by miejsce uczynić. Wnet drzwi otworzyły się i ukazał się w nich pan Andrzej, rosły, smukły jak topola. Brzask już był na świecie i pierwsze blade światelka dnia padły na jego twarz hardą, rycerską, a młodą. Stanąwszy we drzwiach, spojrzał śmiało na czeredę szlachty i rzekł:

Zaufałem waszmościom... Bóg wie, czym dobrze uczynił, ale mniejsza z tem!... Który tu pan Wołodyjowski?

Mały pułkownik wysunął się naprzód.

— Jam jest! — odrzekł.

— Ho! nie na wielkoluda waszmość wyglądasz — rzekł Kmicic, czyniąc przymówkę do wzrostu rycerza — spodziewałem się znacznie większą figurę znaleźć, choć ci to muszę przyznać, żeś widać żołnierz doświadczony.

— Nie mogę tego waści przyznać, boś straży zaniedbał. Jeśliś taki do szabli, jak do komendy, to i nie będę miał roboty.

— Gdzie staniemy? — spytał żywo Kmicic.

— Tu... podwórzec równy jak stół.

— Zgoda! gotuj się na śmierć.

— Takiś waść pewien?

— Widać, żeś w orszańskim nie bywał, skoro o tem wątpisz... Nietylkom pewien, ale i żal mi waćpana, bom o tobie jako o sławnym żołnierzu słyszał. Dlatego ostatni raz mówię: zaniechaj mnie! Nie znamy się... poco mamy sobie w drogę wchodzić? Czemu na mnie nastajesz?... Dziewka testamentem mi przynależy, jako i ta majątność i Bóg widzi, swego tylko dochodzę... Prawda jest, żeś szlachtę w Wołmontowiczach wysiekł, ale niechże Bóg sądzi, kto tu pierwiej został skrzywdzony. Swawolnicy byli moi oficerowie, czy nie swawolnicy, mniejsza z tem, dość, że tu nikomu zła nie uczynili, a wybito ich do nogi, jako psów wściekłych, za to, że z dziewczętami w karczmie chcieli potańczyć. Niechże będzie krew za krew! Potem mi i żołnierzy wysieczono. Na rany Boskie zaprzysięgnę, żeś tu bez złych chęci w te strony przyjechał, a jakże mnie tu przyjęto?... Ale niech będzie krzywda za krzywdę. Jeszcze swego dołożę, szkody nagrodzę... posądzku. Lepiej wolę tak, jak inaczej...

— A jacyżto ludzie z waćpanem teraz przyszli? Zkądże wziąłeś tych pomocników? — pytał pan Wołodyjowski.

— Zkąd wziąłem, to wziąłem. Nie przeciw ojczyźnie ich zaciągnąłem, ale by prywaty swojej dochodzić.

— Takiśto?... Więc dla prywaty z nieprzyjacielem się połączyłeś? A czemże mu za onę usługę zapłacisz, jeśli nie zdradą?... Nie, bratku, nie przeszkadzałbym ja ci układać się z tą szlachtą, ale wezwać nieprzyjaciela w pomoc, inna rzecz. Nie wykręcisz się sianem. Stawajno teraz, stawaj, bo wiem, że cię tchórz oblatuje, choć się za orszańskiego mistrza podajesz.

— Chciałeś! — rzekł Kmicic, stając w pozycji.

Ale pan Wołodyjowski nie śpieszył się i nie wydobywając jeszcze szabli, obejrzał się naokoło po niebie. Świtało już. Na wschodzie pierwsza złota i błękitna wstążka rozciągnęła się świetlistem pasmem, na podwórzu jednak dość było jeszcze ciemno, zwłaszcza zaś przed domem mrok panował zupełny.

— Dobrze się dzień zaczyna — rzekł pan Wołodyjowski — ale słońce nieprędko jeszcze wejdzie. Może waść życzysz, żeby nam poświecili?

— Wszystko mi jedno.

— Mości panowie! — zawołał pan Wołodyjowski, zwracając się do szlachty — a skoczyćno po wiechetki i po łuczywo, będzie nam jaśniej w tym orszańskim tańcu.

Szlachta, której żartobliwy ton młodego pułkownika dziwnie dodawał otuchy, kopnęła się raźnie ku kuchni; niektórzy poczęli zbierać podeptane wczasie bitwy pochodnie i po niejakiem czasie blisko pięćdzie-

sią czerwonych płomieni zamigotało w bladym mroku porannym. Pan Wołodyjowski ukazał je szablą Kmicicowi.

— Patrz waść, istny kondukt!

A Kmicie odparł odrazu:

— Pułkownika chowają, to i pompa być musi!

— Srogi smok z waści!...

Tymczasem szlachta zatoczyła w milczeniu krąg naokół rycerzy; wszyscy podnieśli zapalone drzazgi w górę, za nimi umieścili się inni, ciekawi i niespokojni; w środku przeciwnicy mierzyli się oczyma. Ciśsza uczyniła się okrutna, jeno węgielki spalone obsuwały się z szelestem na ziemię. Pan Wołodyjowski wesół był, jak szczygieł w pogodny ranek.

— Zaczynaj waść! — rzekł Kmicie.

Pierwszy szczęk ozwał się echem w sercach wszystkich patrzących; pan Wołodyjowski przyciął, jakby z niechcenia, pan Kmicie odbił i przyciął z kolei, pan Wołodyjowski znów odbił. Suchy szczęk stawał się coraz szybszy. Wszyscy dech wstrzymywali. Kmicie atakował z furją, pan Wołodyjowski zaś lewą rękę w tył założył i stał spokojnie, czyniąc niedbale ruchy bardzo małe, prawie nieznaczne; zdawało się, że chciał siebie tylko osłonić, a zarazem oszczędzić przeciwnika — czasem cofnął się o mały krok w tył, czasem postąpił naprzód — widocznie badał biegłość Kmicica. Tamten rozgrzewał się, ten był chłodny, jak mistrz próbujący ucznia, i coraz spokojniejszy; wreszcie ku wielkiemu zdumieniu szlachty, przemówił:

— Pogawędzimy — rzekł — nie będzie nam się czas dłużył... Aha! to ta orszańska metoda?... widać tam sami musicie groch młócić, bo waćpan ma-

chasz jak cepem... Okrutnie się zmachasz. Zaliś to naprawdę w Orszańskim najlepszy?... Ten cios jeno u pachółków trybunalskich w modzie... Ten kurlandzki... dobrze się nim od psów opędząć. Uważaj waćpan na koniec szabli... Nie wyginaj tak dłoni, bo patrz, co się stanie... Podnieś!...

Ostatnie słowa wymówił pan Wołodyjowski dobitnie, jednocześnie zatoczył półkole, dłoń i szablę pociągnął ku sobie i nim patrzący zrozumieli, co znaczy: „podnieś“ — już szabla Kmicica, jak wywleczona igła z nitki, furknęła nad głową pana Wołodyjowskiego i upadła mu za plecami; on zaś rzekł:

— To się nazywa wyłuskiwać szablę.

Kmicic stał blady, z obłąkanemi oczyma, chwiejący się, zdumiony niemniej od szlachty laudańskiej; mały pułkownik zaś usunął się w bok i ukazawszy na leżącą na ziemi szerpentynę, powtórzył po raz drugi:

— Podnieś!

Przez chwilę zdawało się, że Kmicic rzuci się na niego z gołemi rękoma... Już, już był gotów do skoku, już pan Wołodyjowski, przysunawszy rękojeść do piersi, nadstawił ostrze, ale pan Kmicic rzucił się na szablę i wpadł z nią na straszliwego przeciwnika.

Szmery głośnie poczęły się zrywać w kole patrzących i koło ścieśniało się coraz bardziej, a za niem uformowało się drugie, trzecie. Kozacy Kmicicowi wtykali głowy między ramiona szlachty, jakby całe życie w najlepszej z nią żyli zgodzie. Mimowolne okrzyki wyrwały się z ust widzów; czasem rozlegał się wybuch niepohamowanego, nerwowego śmiechu; poznali wszyscy mistrza nad mistrzami.

Ten zaś bawił się okrutnie, jak kot z myszą —

i pozornie coraz niedbalej robił szablą. Lewą rękę wysunął z za pleców i wsunął w kieszeń hajdawerów. Kmicic pieniał się, rzęził, nakoniec chrapliwe słowa wyszły mu z gardzieli przez zaciśnięte usta: . . .

— Kończ... waść!... wstydu oszczędź!...

— Dobrze! — rzekł Wołodyjowski.

Dał się słyszeć świst krótki, straszny, potem stłumiony krzyk... jednocześnie Kmicic rozłożył ręce, szabla wypadła mu z nich na ziemię... i runął twarzą do nóg pułkownika...

— Żyje — rzekł Wołodyjowski — nie padł na wznak!

I zagiąwszy połę Kmicicowego żupana, począł nią ocierać szablę.

Zawrzała szlachta jednym głosem, w tych zaś krzykach brzmiało coraz wyraźniej:

— Dobić zdrajcę!... dobić... rozsiekać!...

I kilku Butrymów biegło z dobytymi szablami. Nagle stało się coś dziwnego; oto rzekłbyś: mały pan Wołodyjowski urósł w oczach — szabla najbliższego Butryma wyleciała mu z ręki śladem Kmicicowej, jakby ją wichur porwał — pan Wołodyjowski zaś krzyknął z iskrzącymi oczyma:

— Wara!... wara!... Teraz on mój, nie wasz!... Precz!...

Umilkli wszyscy, bojąc się gniewu tego męża, on zaś rzekł:

— Nie potrzeba mi tu jatek!... Waszmościowie szlachtą będąc, powinniście rozumieć kawalerski obyczaj, aby rannego nie dobijać. Nieprzyjacielowi nawet tego się nie czyni, a cóż dopiero przeciwnikowi w pojedynku zwyciężonemu.

— On zdrajca! — mruknął któryś z Butrymów. — Takiego godzi się bić.

— Jeśli on zdrajca, tedy panu hetmanowi oddany być powinien, aby karę poniósł i stanął za przykład innym. Zresztą, jakom wam rzekł: mój on teraz, nie wasz. Jeśli wyżyje, to wam wolno będzie krzywd waszych przed sądem dochodzić i z żywego lepszą mieć będziecie satysfakcją, niż z umarłego. A kto tu umie rany opatrywać?

— Krzych Domaszewicz. On zdawna wszystkich na Laudzie opatruje.

— Niechże go zaraz opatrzy, potem na łożę go przenieść, a ja pójdę tę nieszczęsną pannę pocieszyć.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski zasunął szabelkę do pochwy i wszedł przez porąbane drzwi do domu. Szlachta poczęła łowić i wiązać rapciami ludzi Kmicicowych, którzy odtąd mieli orać rolę w zaściankach. Poddawali się też bez oporu; ledwo kilkunastu, wypadłszy przez tylne okna domu, skoczyło ku stawom, ale tam wpadli w ręce czekających Stakjanów. Jednocześnie szlachta wzięła się do rabunku wozów, na których łup znalazł się dość obfity; niektórzy radzili zrabować i dom, ale bano się pana Wołodyjowskiego, a może obecność w domu Billewiczówny wstrzymywała zuchwalszych. Swoich poległych, między którymi było trzech Butrymów i dwóch Domaszewiczów, złożyła szlachta na wozy, aby ich po chrześcijańsku pochować, dla zabitych Kmicicowych kazano kopać chłopom rów za ogrodem.

Pan Wołodyjowski zaś szukając panny, przetrząsnął cały dom i znalazł ją dopiero w skarbczyku, położonym w rogu, do którego prowadziły maleńkie



a ciężkie drzwi z izby sypialnej. Była to mała komnatka, o wąskich, grubo kratowanych oknach zbudowana w kwadrat, z murów tak potężnych, że pan Wołodyjowski poznał natychmiast, iż choćby Kmicic był dom wysadził prochem, ta izba byłaby ocalała z pewnością. To dało mu lepsze o Kmicicu mniemanie. Panna siedziała na skrzyni niedaleko drzwi, z głową spuszczoną, z twarzą prawie zasłoniętą włosami i całkiem nie podniosła jej, słysząc wchodzącego rycerza. Myślała zapewne, że to sam Kmicic lub kto z jego ludzi. Pan Wołodyjowski stanął we drzwiach, zdjął czapkę, chrząknął raz i drugi, a widząc, iż i to nie pomaga, ozwał się:

— Mościa panno... wolna jesteś!...

Wówczas spod narzuconych włosów spojrzały na rycerza oczy błękitne, a potem wychyliła się z nich twarz śliczna, choć blada i jakby nieprzytomna. Pan Wołodyjowski spodziewał się podziękowań, wybuch radości, tymczasem panna siedziała nieruchomie i tylko patrzyła nań błędnie; więc rycerz ozwał się po raz drugi:

— Przyjdź waćpanna do siebie, Bóg wejrzał na niewinność... Jesteś wolna i możesz wracać do Wodoktów.

Tym razem w spojrzeniu Billewiczówny więcej było przytomności. Powstawszy ze skrzyni, strząsnęła wtył włosy i spytała:

— Kto waćpan jesteś?

— Michał Wołodyjowski, pułkownik dragoński wojewody wileńskiego.

— Słyszałam bitwę.. strzały?... Mów waćpan...

— Tak jest. Myto przyszli waćpannie na ratunek...

Billewiczówna oprzytomniała zupełnie.

— Dziękuję waści! — rzekła pośpiesznie cichym głosem, w którym przebijał się śmiertelny niepokój. — A z tamtym, co się stało?...

— Z Kmicicem? Nie bój się waćpanna: leży bez duszy na podwórzu... i jam to, nie chwałąc się, sprawił.

Wołodziejowski wyrzekł to z pewną chępliwością, ale, jeśli spodziewał się podziwu, to zawiódł się srodze. Billewiczówna nie odrzekła ani słowa, natomiast zachwiała się na nogach i rękoma poczęła szukać oparcia za sobą, nakoniec siadła ciężko na tejsze samej skrzyni, z której przed chwilą się podniosła.

Rycerz poskoczył ku niej żywo:

— Co waćpannie jest?

— Nic... nic... Czekaj waść... pozwól... To pan Kmicic zabity?...

— Co mnie pan Kmicic! — przerwał Wołodziejowski — tu o pannę chodzi!

Wówczas siły jej nagle wróciły, bo się podniosła znowu i spojrzawszy mu wprost w oczy, wykrzyknęła z gniewem, zniecierpliwieniem i rozpaczą:

— Na Boga żywego, odpowiadaj! zabity?...

— Pan Kmicic ranny — odpowiedział zdumiony pan Wołodziejowski.

— Żyje?...

— Żyje.

— Dobrze! Dziękuję waści...

I chwiejnym jeszcze krokiem skierowała się ku drzwiom. Wołodziejowski stał przez chwilę, ruszając

mocno wąsikami i kręcąc głową; następnie mruknął sam do siebie:

— Zali mi ona dziękuje za to, że Kmicic ranny, czy za to, że żyje?

I wyszedł za nią. Zastał ją w przyległej izbie sypialnej, stojącą pośrodku, jakby skamieniałą. Czterech szlachty wynosiło właśnie Kmicica; dwóch pierwszych, postępując bokiem, ukazało się we drzwiach, a między ich rękoma zwieszała się ku ziemi blada głowa pana Andrzeja, z zamkniętymi oczyma i soplami czarnej krwi we włosach.

— Wolno tam! — mówił idący za nimi Krzych Domaszewicz — wolno przez próg. Niech mu tam który głowę podtrzyma. Wolno!...

— A czem będziem trzymać, kiedy ręce zajęte — odpowiedzieli idący w przedzie.

W tej chwili panna Aleksandra zbliżyła się ku nim, blada tak jak i Kmicic, i podłożyła mu obie ręce pod martwą głowę.

— To panienka! — rzekł Krzych Domaszewicz.

— To ja... ostrożnie... — odrzekła cichym głosem.

Pan Wołodyjowski patrzył i wąsikami srodze ruszał.

Tymczasem złożono Kmicica na łożu. Krzych Domaszewicz począł obmywać mu głowę wodą, potem przyłożył przygotowany poprzednio plaster do rany i rzekł:

— Teraz jeno niech leży spokojnie... Ej, żelazna to głowa, że od takiego ciosu na dwoje nie pękła. Może i będzie zdrow, bo młody. Ale tego dostał...

Następnie zwrócił się do Oleńki:

— Daj panienka ręce umyć... Ot, tu jest woda. Miłosierne w tobie serce, żeś dla tego człeka nie bała się pokrwawić.

Tak mówiąc, wycierał jej dłonie chustą, a ona bladła i mieniała się w oczach. Wołodyjowski znów poskoczył ku niej.

— Nic tu po waćpannie! Okazałaś chrześcijańskie miłosierdzie nad nieprzyjacielem... wracaj do domu.

I podał jej ramię; ale ona nawet nie spojrzała na niego, natomiast zwróciwszy się do Krzycha Domaszewicza, rzekła:

— Panie Krzysztofie, wyprowadź mnie!

Wyszli oboje, a i pan Wołodyjowski za nimi. Na podwórzu szlachta poczęła krzykać na jej widok i wiwatować, a ona szła blada, chwiejąca się, z zaciśniętymi ustami i ogniem w oczach.

— Niech żyje nasza panna! Niech żyje nasz pułkownik! — wołały potężne głosy.

W godzinę później wracał pan Wołodyjowski na czele laudańskich ku zaściankom. Słońce już weszło, ranek na świecie był radosny, prawdziwie wiosenny. Laudańscy clapali kupą bezładną po gościńcu, gwarząc o wypadkach ubiegłej nocy i sławiąc pod niebiosą pana Wołodyjowskiego, a on jechał zamysłony i milczący. Z myśli nie schodziły mu te oczy, patrzące zpoza rozpuszczonych włosów, ta postać wysmukła i wspaniała, choć zgięta smutkiem i bólem.

— Dziw, jak cudna! — mrucał sam do siebie — istna księżniczka... Hm! ocaliłem jej cnotę,

a pewnie i życie, bo choćby prochy nie wysadziły skarbczyka, byłaby ze samego strachu umarła... Powinna być wdzięczna... Ale kto tam białogłową wyrozumie... Patrzyła na mnie, jak na pacholika, nie wiem, czy z dumy jakowej, czy z konfuzyi...

---

## ROZDZIAŁ VIII.

---

Te myśli spać mu nie dały następnej nocy. Przez kilka dni ciągle jeszcze rozmyślał o pannie Aleksandrze i poznał, że mu głęboko w serce zapadła. Przecieto szlachta laudańska chciała go z nią żenić! Ona wprawdzie zrekurowała mu bez namysłu, ale wtedy ani go znała, ani widziała. Teraz zupełnie co innego. On ją wyrwał pokawalersku z rąk gwałtownika, narażając się na kule i szable; poprostu zdobył ją, jak fortecę... Czyjaż ona, jeśli nie jego? Możeli mu cze-  
gokolwiek odmówić, choćby i ręki? Nużby popróbował? Nużby z wdzięczności narodził się w niej afekt, jak się to często na świecie zdarza, że ocalona panna zaraz rękę i serce zbawcy oddaje! Gdyby zresztą nawet nie czuła dla niego zrazu afektu, to tembardziej należy mu się o to postarać.

A jeśli ona tamtego jeszcze pamięta i miłuje?

— Nie może być! — powtórzył sobie pan Wołodyjowski — gdyby go nie odpaliła, toby jej gwałtem nie brał.

Okazała wprawdzie nad nim miłosierdzie niezwy-  
czajne, ale niewieścia to rzecz litować się nad rannymi,  
choćby nieprzyjaciółmi.

Młoda jest, bez opieki, czas jej zamaż. Do klasztoru widocznie nie ma wokacyi, bo jużby poszła. Było czasu dość. Tak gładką pannę ustawicznie będą rozmaici kawalerowie turbowali: jedni dla majątku, drudzy dla urody, trzeci dla zacności krwi. Ejże, miło jej będzie mieć taką obronę, której skuteczność własnymi oczyma oglądać mogła.

— A i tobie czas się ustatkować, Michałku! — mówił do siebie pan Wołodyjowski. — Młodyś jeszcze, ale lata prędko biegną. Fortuny się nie dosłużysz, chyba więcej ran w skórze. A bałamuctwom koniec będzie.

Tu panu Wołodyjowskiemu przesunął się przez pamięć cały szereg panien, do których już wzdychał w życiu. Były między niemi i bardzo urodziwe i z wielkiej krwi idące, ale miłszej nie było i zacniejszej. Toż ten ród i tę pannę ludzie sławili w całej okolicy i z oczu jej patrzyła taka uczciwość, że nie daj Panie Boże nikomu gorszej żony.

Czuł pan Wołodyjowski, że mu się trafia gratka, jaka się drugi raz może nie trafić, a to tem bardziej, że pannie taką niepospolitą usługę oddał.

— Co tu zwłóczyć! — mówił sobie. — Czego lepszego się doczekam? Trzeba tentować.

Ba! ale tu wojna za pasem. Ręka zdrowa. Wstyd rycerzowi w zaloty chodzić, gdy ojczyzna ręce wyciąga i ratunku prosi. Pan Michał miał zacne serce żołnierskie i choć od pacholeńcia prawie służył, choć we wszystkich wojnach, jakie za jego czasów były, udział brał — wiedział przecie co ojczyźnie winien i o spoczynku nie myślał.

Ale właśnie dlatego, że nie dla zysków, zasług, chlebów, jeno z duszy całej ojczyźnie służył i sumienie

miał pod tym względem czyste, czuł swą wartość i to dodawało mu otuchy.

— Inni się warcholili, a jam się bił — myślał sobie. — Pan Bóg żołnierzykowi nagrodi i teraz mu dopomoże.

Poznał jednak, że skoro nie było czasu na zaloty, trzeba było prędko działać i wszystko odrazu na hazard wystawić: pojechać, oświadczyć się z miejsca i albo po przyspieszonych zapowiedziach ślub wziąć, albo zjeść arbuza.

— Jadłem nieraz, zjem i teraz! — mruczał pan Wołodyjowski, ruszając złotymi wąsikami. — Co mi szkodzi!

Była jednak pewna strona w tem nagłym postanowieniu, która mu się nie podobała. Oto zadawał sobie pytanie: czy jadąc z oświadczeniem tak zaraz po uratowaniu panny, nie będzie podobny do natrętnego wierzyciela, który chce, aby mu jak najprędzej i z lichwą dług spłacono?

— Może to i nie będzie pokawalersku?

Ba! ale zacóż żądać wdzięczności, jeśli nie za usługę? A jeśli ów pośpiech nie pójdzie po sercu pannie, jeśli się nań skrzywi, to jej przecie można powiedzieć: „Mościa panno, rok bym w zaloty jeździł i w ślepki ci patrzył, alem żołnierz, a tam trąby na wojnę grają!”

— Taki pojedę! — mówił sobie pan Wołodyjowski.

Lecz po chwili znowu inna myśl przyszła mu do głowy. A jeśli ona odpowie: „Idźże waćpan na wojnę, mości żołnierzu, a po wojnie będziesz rok do mnie jeździł i w ślepki mi patrzył, bo ja człowiekowi, którego nie znam, duszy i ciała odrazu nie oddam“.



Wtedy wszystko przypadnie.

Że przypadnie, czuł to pan Wołodyjowski doskonale; bo pominąwszy pannę, którą przez ten czas inny wziąć może, nie był pan Wołodyjowski pewny własnej stałości. Sumienie mu to mówiło, że w nim samym afekt zapalał się, bywało, tak jak słoma, ale i gasł jak słoma.

Wtedy wszystko przypadnie!... I kołatajże się dalej, żołnierzu, tułaczu, z obozu do obozu, z bitwy na bitwę, bez dachu na świecie, bez duszy żywej bliskiej. Rozglądaj się po wojnie na cztery strony świata, nie wiedząc, gdzie głowę poza cekhauszem złożyć!

Ostatecznie pan Wołodyjowski nie wiedział, co czynić.

Ciasno mu się jakoś uczyniło w pacunelskim dworku i duszno, więc wziął czapkę, by wyjść trochę na drogę i słońca majowego zażyć. W progu natknął się na jednego z ludzi kmicicowych, w niewolę wziętych, którego staremu Pakoszowi przypadł w udziale. Kozak grzał się na słońcu i na bandurze brzdąkał.

— A co ty tu robisz? — zapytał pan Wołodyjowski.

— Hraju, pane — odpowiedział Kozak, podnosząc wynędzniałą twarz.

— Zkąd ty jesteś? — pytał dalej pan Michał, kontent, że ma jakąś w rozmyślaniach przerwę.

— Zdaleka, pane, zpod Wiahla.

— Czemużes to nie umknął, jako reszta twoich towarzyszków? O, tacy synowie! Darowała was szlachta życiem w Lubiczu, by mieć robociznę, a wyście zaraz poumykali, zaledwie z was łyka zdjęto.

— Ja nie ucieknę. Tu zdechnę, jak sobaka.

— Takżeś tu sobie upodobał?

— Komu lepiej na polu, to umyka, a mnie tu lepiej. Ja miał nogę przestrzeloną, a tu mnie ją obwi-  
nęła szlachcianka, starego córka, i dobre słowo rzekła.  
Takiej ja krasawicy na oczy nie widział... Naco mnie  
odchodzić?

— Któraż ci tak dogodziła?

— Marysia.

— I ty już ostaniesz?

— Jeśli zdechnę, to i wyniosą, a nie, to ostaną.

— Zali myślisz u Pakosza córkę wysłużyć?

— Nie znaju, pane.

— Pierwiejby takimu hołyszowi śmierć dał, niż  
córkę.

— U mnie czerwienice w lesie zakopane: dwie  
garści.

— Z rozboju?

— Z rozboju, pane.

— Choćbyś i garniec miał, toś chłop, a Pakosz  
szlachcic.

— Ja z bojarów putnych.

— Jeśliś ty z bojarów putnych, toś gorzej niż  
chłop, boś zdrajca. Jakżeto mogłeś nieprzyjacielowi  
służyć?

— Ja mu i nie służył.

— A zkądże was pan Kmicic brał?

— Z gościńca. Ja służył u pana hetmana pol-  
nego, ale potem chorągiew rozlazła się, bo nie było co  
jeść. Do domu nie miałem poco wracać, bo spalony.  
Inni na gościniec poszli rozbijać, tak i ja z nimi po-  
szedł.

Pan Wołodyjowski zdziwił się mocno, gdyż aż do-

ąd sądził, że pan Kmicic napadł Oleńkę z siłami, pożyczonemi u nieprzyjaciela.

— To pan Kmicic nie od Trubeckiego was dostał?

— Było między nami najwięcej takich, co przedtem u Trubeckiego i Chowańskiego służyli, ale taki od nich zbiegli na gościńce.

— I dlaczego wy za panem Kmicicem poszli?

— Bo on sławny ataman. Nam mówili, że na kogo on krzyknie, żeby za nim szedł, to jakby mu talarów w mieszek nasypał. Dlatego my poszli. No, Bóg nie poszczęścił!

Pan Wołodyjowski począł głową kręcić i rozmyślać, że jednak tego Kmicica zanadto uczerniono; potem spojrział na wybladłego bojarczyka i znów głową pokręcił.

— Także ty ją miłujesz?

— Oj! tak, pane!

Pan Wołodyjowski odszedł, a odchodząc pomyślał: Ot! rezolutny człowiek. Ten sobie głowy nie łamał; pokochał i zostaje. Tacy najlepsi... Jeśli naprawdę on z putnych bojarów, toćto tenże gatunek, co i zaściankowa szlachta. Jak swoje czerwienice wygrzebie, może mu stary Marysię odda. A czemu? Bo w palce nie stukał, jeno się zawzjął, że ją dostanie. Zawezmę się i ja!

Tak rozmyślając, szedł pan Wołodyjowski drogą po słońcu, czasem stawał i w ziemię oczy wbijał lub je w niebo podnosił; to znów szedł dalej, aż nagle ujrzał lecące po niebie stadko dzikich kaczek.

Wówczas począł sobie z nich wróżyć: jechać, nie jechać?... Wypadło mu, żeby jechać.

— Pojadę, nie może być inaczej!

To rzekłszy, zawrócił do domu; ale po drodze wstąpił jeszcze do stajenki, przed którą dwóch czeladniczków jego w kości grało.

— Syruć, — rzekł pan Wołodujowski — a grzywa u Basiora zapleciona?

— Zapleciona, panie pułkowniku!

Pan Wołodujowski wszedł do stajni. Basior odezwał mu się od drabinki; rycerz zbliżył się, poklepał go po boku, następnie jął liczyć warkocze na karku.

— Jechać... nie jechać... jechać...

Wróżba wypadła znów pomyślnie.

— Konie siodłać i samym się przybrać uczciwie! — zakomenderował pan Wołodujowski.

Zaczem prędko już poszedł do domu i począł się stroić. Wdział bóty wysokie, rajtarskie, żółte, z klapkami na podbiciu i złoconemi ostrogami, a mundur nowy, czerwony; do tego rapierek w stalowej pochwie, przedni, z gardą złotem przerabianą; do tego pół-pancerzyk z jasnej stali pokrywający tylko wierzchnią część piersi pod szyję; miał i kołpaczek rysia z pięknym piórem czaplem, ale że ten do polskiego tylko ubioru pasował, więc go zostawił w skrzyni, a na głowę wdział hełm szwedzki z czółtenkiem i wyszedł przed ganek.

— Gdziето wasza miłość jedzie? — pyta go stary Pakosz, siedzący na przyzbie.

— Gdzie jadę? Słuszna, abym tej tam waszej panny o zdrowie spytał, bo za grubijaninaby mnie wziąć mogła.

— Od waszej miłości aż łuna bije. Kiep każdy gil! Jużby chyba panna oczu nie miała, żeby się zaraz nie zakochała...

Wtem nadbiegły dwie młodsze panny Pakoszówny, wracające z południowego udoju, każda ze skopkiem w ręku. Ujrawszy pana Wołodyjowskiego, stanęły jak wryte ze zdziwienia.

— Król, nie król? — rzekła Zonia.

— Wasza miłość jak na wesele! — dodała Maryska.

— Może z tego i wesele być, — zaśmiał się stary Pakosz — bo do panny naszej jedzie.

Nim stary skończył, napełniony szkopek wyleciał z rąk Marysi i struga mleka polała się aż pod nogi pana Wołodyjowskiego.

— Uważaj na to, co trzymasz! — rzekł gniewliwie Pakosz — ot, koza!

Marysia nie odrzekła nic, podniosła szkopek i odeszła cicho.

Pan Wołodyjowski siadł na koń, za nim uszykowało się dwóch jego czeladniczków i ruszyli trójką ku Wodoktom. Dzień był piękny. Słońce majowe grało na napierśniku i hełmie pana Wołodyjowskiego, tak iż gdy zdaleka migotał między wierzbami, zdawało się, że to drugie słońce posuwa się drogą.

— Ciekaw jestem, czy będę wracał z pierścionkiem, czy arbuzem? — rzekł do siebie rycerz.

— Co wasza miłość mówi? — spytał pacholek Syruc.

— Głupis!

Pacholek ściągnął napowrót wtył konia, a pan Wołodyjowski mówił dalej:

— Całe szczęście, że to nie pierwszyczna.

Ta myśl dodawała mu nadzwyczajnej otuchy.

Gdy przybył do Wodoktów, panna Aleksandra

nie poznała go w pierwszej chwili, aż jej musiał nazwisko swoje powtórzyć. Wówczas powitała go uprzejmie, ale poważnie i z pewnym przymusem; on zaś wcale się zręcznie przedstawił, bo choć żołnierz, nie dworak, długo jednak na różnych dworach przebywał i między ludźmi się ocierał. Skłonił się jej więc ze czcią wielką i rękę na sercu położywszy, tak mówił:

— Przybyłem tu o zdrowie waćpanny dobrodziejki się wywiedzieć, czyli od strachu jakiego szwanku nie poniosło, co powinienbym był na drugi dzień uczynić, ale nie chciałem się naprzykrzać.

— Bardzo to pięknie ze strony waszmości, że ocaliwszy mnie z takiej toni, jeszcze mnie w pamięci zachował... Siadaj waszmość, boś mi wdzięcznym gościem.

— Moja mościa panno! — odpowiedział pan Michał. — Gdybym ja o waćpannie zapomniał, tedy nie byłbym godny tej łaski, jaką Bóg na mnie zesłał, pozwalając mi tak godną personę sekundować.

— Nie! Jamto winna Bogu dziękować najprzód, a waszmości zaraz potem...

— Kiedy tak, to już dziękujmy oboje, bo ja o nic więcej go nie proszę, jeno żebym i nadal mógł bronić waćpanny, ile razy będzie potrzeba.

To rzekłszy, pan Wołodujowski ruszył woskowanemi wąsikami, które mu wyżej nosa sterczały, bo kontent był z siebie, że odrazu wszedł *in medias res* i swój sentyment jakoby na stole położył. Ona zaś siedziała zmieszana i milcząca, ale tak piękna, jak dzień wiosenny. Słabe rumieńce wystąpiły jej na policzki, a oczy nakryła długimi rzęsami, od których padały cienie na jagody.

— Dobry znak ta konfuzya — pomyślał pan Wołodyjowski.

I odchrząknawszy, mówił dalej:

— Waćpanna wiesz, żem ja po jej dziadku laudańskimi ludźmi dowodził?

— Wiem; — odpowiedziała Oleńka — dziaduś nieboszczyk sam na ostatnią wyprawę iść nie mógł, ale okrutnie był rad, słysząc, komu książe wojewoda wileński tę chorągiew oddał, i mówił, że zna waćpana z reputacyi jako sławnego żołnierza.

— Takżeto o mnie mówił?

— Sama słyszałam, jak waści pod niebiosa wynosił, a potem laudańscy ludzie to samo po wyprawie czynili.

— Prosty ja żołnierz, niegodzien, żeby mnie wynosili nietylko pod niebiosą, ale i wyżej od innych. Wszelako rad jestem, żem dla waćpanny nie zupełnie obcy, bo już nie pomyślisz, że ci nieznany i niepewny gość razem z deszczem ostatnim z chmur spadł. Milej to zawsze wiedzieć, z kim się ma do czynienia. Siła ludzi się włóczy, którzy się familiantami powiadają i w godności stroją, a Bóg wie kim są, może często i nie szlachtą.

Pan Wołodyjowski umyślnie tak nakierował rozmowę, aby o sobie mógł powiedzieć, co zacz jest, ja-koż Oleńka zaraz odrzekła:

— Waćpana o to nikt nie posądzi, bo i tu na Litwie jest szlachta tego samego imienia.

— Ale ci się Ossoryą pieczętują, a jam jest Korczak Wołodyjowski i my się z Węgier wywodzimy, od pewnego dworzanina Attyli, który dworzanin, ścigany będąc od nieprzyjaciół, ślub Najświętszej Pannie uczy-

nił, iż się z pogańskiej wiary na katolicką nawróci, jeśli z żywotem ujdzie. Tej obietnicy dotrzymał, gdy trzy rzeki szczęśliwie przebył, te same właśnie, które w herbie nosimy.

— To waćpan nie z tych stron rodem?

— Nie, mościa panno. Ja z Ukrainy, z ruskich Wołodyjowskich i do tej pory mam tam wioszczynę, którą teraz nieprzyjaciel zajął, ale ja wojskowo od młodu służę, mniej dbając o substancją, niż o despekta ojczyźnie przez postronnych czynione. Służyłem od najmłodszych lat u wojewody ruskiego, naszego nieopłakanego księcia Jeremiasza, z którym też wszystkie wojny odprawowałem. Byłem i pod Machnówką i pod Konstantynowem i zbarskie wytrzymywałem głody, a po Beresteckiej sam nasz pan miłościwy za głowę mnie ścisnął. Bóg mi świadek, mościa panno, że nie przyjechałem się tu chwalić, ale chcę, byś waćpanna wiedziała, że nie łuszczybochenek żaden, który krzykiem nadrabia, a krwi żałuje, jeno że mi życie w uczciwej służbie zbiegło, w której się trochę sławy uszczknęło, a sumienia niczem nie zbrudziło. Tak mi Panie Boże dopomóż! A oprócz tego mogą to i godni ludzie poświadczyć!

— Żebyto wszyscy byli do waćpana podobni! — westchnęła panna.

— Waćpannie pewnie na myśli stoi ów gwałtownik, który na nią bezbożną rękę śmiał podnieść?

Panna Aleksandra wbiła oczy w podłogę i nie odrzekła ani słowa.

— Ma on za swoje, — mówił dalej pan Wołodyjowski — choć mi mówiono, że zdrów będzie, to jednak od kary się nie wywinie. Wszyscy zacni ludzie



go potępili i aż nadto, bo powiadają, że się z nieprzyjacielem związał, aby od niego posiłki otrzymać, co jest nieprawda, gdyż ci ludzie, z którymi waćpannę napadł, wcale nie od nieprzyjaciela pochodzą, jeno z gościńca nazbierani.

— Zkąd to waćpan wiesz? — spytała żywo panna, podnosząc na pana Wołodyjowskiego swoje niebieskie oczy.

— Od samych tych ludzi. Dziwny to człowiek, ów Kmicic, bo gdym mu sam zdradę przed pojedynkiem zadał, tedy nie zaprzeczył, chociaż niesłusznie go posądziłem. Pycha widać w nim dyabelska.

— I waćpan to mówisz wszędy, że on nie zdrajca?

— Nie mówiłem, bom sam nie wiedział, ale teraz będę mówił. Toć nie godzi się, choćby na największego wroga, takiego oszczerstwa rzucać.

Oczy panny Aleksandry spoczęły po raz wtóry na małym rycerzu z wyrazem sympatii i wdzięczności.

— Z waćpana tak zacny człowiek, tak zacny, jak rzadko!...

Pan Wołodyjowski zaczął raz poraz ruszać wąsikami z ukontentowania.

— Do rzeczy Michałku! — rzekł do siebie w myśli. Poczem głośno do panny:

— Więcej waćpannie powiem!... Sposób pana Kmicica ganię, ale nie dziwię mu się, że się dobijał o waćpannę, przy którejby sama Wenus za dziewczkę służyć mogła. Desperacyato go popchnęła do złego uczynku i pewnie raz jeszcze go popchnie, jeśli mu się sposobność nadarzy. Jakżeto przy tak nadzwyczajnej urodzie sama i bez opieki zostaniesz? Więcej jest takich Kmiciców na świecie, więcej zapałów wzbudzisz,

na więcej przygód cnotę swą narazisz. Bóg mi zesłał łaskę, iżem mógł cię uwolnić, ale już mnie trąby Gradywa wołają... Któż nad tobą będzie czuwał?... Moja mościa panno! posądzają żołnierzy o płochość, ale niesłusznie. I u mnie serce nie ze skały i obojętne na tyle wybornych wdzięków zostać nie mogło...

Tu pan Wołodyjowski upadł na oba kolana przed Oleńką.

— Moja mościa panno! — mówił klęcząc. — Dziedzyczyłem chorągiew po twoim dziadku, dozwólże mi i wnuczkę odziedziczyć. Zdaj mnie opiekę nad sobą, dozwól pokosztować słodkości wzajemnego afektu, weź mnie za stałego opiekuna, a będziesz i spokojna i bezpieczna, bo choć odjadę na wojnę, samo imię bronić cię będzie.

Panna zerwała się z krzesła i słuchała ze zdumieniem pana Wołodyjowskiego, a on tak jeszcze mówił dalej:

— Ubogim żołnierz, alem szlachcic i człek uczciwy i na to ci przysięgam, że ni na mojej tarczy, ni na mojem sumieniu najmniejszej plamy nie znajdziesz. Grzeszę może pośpiechem, ale i to wyrozumiej, bo mnie ojczyzna woła, której dla ciebie nawet nie odstąpię... Nie pocieszysz mnie? nie dodasz otuchy? nie rzekniesz dobrego słowa?

— Waćpan żądasz ode mnie niepodobieństwa... Na Boga! Nie może to być! — odpowiedziała ze strachem Oleńka.

— Od twojej woli zależy...

— Właśnie dlatego wręcz waćpanu odpowiadam: nie!

Tu panna zmarszczyła brwi.

— Mości panie! winnam ci wiele, nie zapieram. Żądaj, czego chcesz, wszystkom oddać gotowa, prócz ręki.

Pan Wołodyjowski wstał.

— Waćpanna mnie nie chcesz? hę?

— Nie mogę!

— I to ostatnie słowo waćpanny?

— Ostatnie i nieodwołalne.

— A może jeno pośpiech waćpannie się nie podobą? Dajże mnie nadzieję!

— Nie mogę, nie mogę...

— Niemasz tedy tu dla mnie szczęścia, jako go i gdzieindziej nie było! Moja mościa panno, nie ofiarujże mi zapłaty za usługę, bom nie po nią przyjechał, a żem ręki prosił, to nie za zapłatę, jeno po dobrej woli. Gdybyś mi rzekła, że ją oddajesz, bo musisz, to takżebym nie przyjął. Jak niema woli, to niema i doli. Wzgardziłaś mną... bodaj ci się nikt gorszy nie trafił. Wychodzę z tego domu, jak i wszedłem... jeno że nie powrócę więcej. Za nic mnie tu mają. Niech i tak będzie. Bądźże szczęśliwa choćby z tym samym Kmiccem, boś może właśnie o to gniewna, żem między was szablę włożył. Kiedy on ci lepszy, toś ty istotnie nie dla mnie.

Oleńka chwyciła się rękoma za skronie i powtórzyła kilkakrotnie:

— Boże, Boże, Boże!

Ale ta jej boleść nie przejednała pana Wołodyjowskiego, który skłoniwszy się, wyszedł zły i gniewny; poczem zaraz siadł na koń i odjechał.

— Noga moja więcej tam nie postoi — rzekł głośno.

Pachołek Syruc, jadący ztyłu, przysunął się zaraz.

— Co wasza mość mówi?

— Głupiś! — odpowiedział pan Wołodyjowski.

— To już mnie wasza mość powiedział, jakeśmy w tamtą stronę jechali.

Nastało milczenie; poczem pan Michał znowu mruzczyć począł:

— Niewdzięcznością mnie tam nakarmiono... Wzgardą za afekt zapłacono... Przyjdzie chyba do śmierci w kawalerstwie służyć. Tak już napisano. Jechałże sę tak taki los!... Co rusz, to rekuza... Niemasz sprawiedliwości na tym świecie!... Co ona sobie przeciw mnie upatrzyła?

Tu pan Wołodyjowski zmarszczył brwi i począł silnie pracować głową; nagle uderzył się dłonią po nodze.

— Wiem już! — zakrzyknął — ona tamtego jeszcze miłuje... nie może inaczej być.

Ale ta uwaga nie rozjaśniła mu twarzy.

— Tem ci też gorzej dla mnie, — pomyślał po chwili — bo jeśli ona go po tem wszystkim jeszcze miłuje, to i nie przestanie go miłować. Co miał uczynić najgorszego, to już uczynił. Na wojnę ruszy, sławy nabędzie, reputacją poprawi... I nie przystoi mu w tem przeszkadzać... raczej trzeba dopomóc, bo to dla ojczyzny korzyść... Oł, co jest! żołnierz on dobry... Ale czem ją tak skaptował? kto zgadnie... Inni mają już takowe szczęście, że byle na niewiaстę spojrzal, ta i w ogień za nim gotowa... Żeby tak wiedzieć, czem się to dzieje, albo jakowego inkluza dostać, możeby i człowiek co wskórał. Zasługą do niczego z białogłową

nie dojdiesz! Dobrze powiedział pan Zagłoba, że liszka a niewiasta to najzdradliwsze stworzenie na świecie. A taki żal mi, że wszystko przepadło! Okrutnie to gładka podwika i cnotliwa, jak powiadają. Ambitne to widać, jak lichy... Kto to wie, czy ona za niego pójdzie, chociaż go miłuje, bo ją ciężko zawiódł i obraził... Przecie on mógł spokojnie do niej dojść, a wolał się warcholić... Gotowa się całkiem wyrzec i zamążpójścia i dzieci... Mnie ciężko, ale i jej niebodze może jeszcze ciężej...

Tu pan Wołodujowski rozczulił się nad dołą Oleńki i począł głową kręcić, ustami cmokać, wreszcie rzekł:

— Niech jej tam Bóg sekunduje! Nie mam do niej urazy! Nie pierwsza to dla mnie rekuza, a dla niej pierwsza boleść. Niebożatko ledwie zipie od trosków, jeszcze jej oczy wykłół tym Kmicicem i do reszty żółcią napoił. Nie godziło mi się tego czynić i naprawić wypada. Bodaj mnie kule biły, bom pogrubijsku postąpił. Napiszę do niej list, ażeby odpuściła, a potem w czym będę mógł, to i pomogę.

Dalsze rozmyślenia pana Wołodujowskiego przerwał pacholek Syruc, który przysunawszy się znów, rzekł:

— Proszę waszej mości, tożto tam na górze pan Charłamp z kimś drugim jedzie.

— Gdzie?

— A ot, tam!

— Prawda, że dwóch jeźdźców widać, ale pan Charłamp został się przy księciu wojewodzie wileńskim. Po czemże ty go z tak daleka poznajesz?

— A po bułance. Dyc ją całe wojsko zna.

— Jako żywo, że konia widać bułanego... Ale może być inny.

— Kiedy ja i chód jej poznaję... Już to pan Charłamp z pewnością.

Popędzili obaj konie, a jadący naprzeciw uczynili toż samo i wkrótce pan Wołodyjowski poznał, że to istotnie pan Charłamp nadjeżdża.

Był to porucznik piatyhorskiej chorągwi litewskiego komputu, dawny znajomy pana Wołodyjowskiego, stary żołnierz i dobry. Niegdyś wadzili się mocno z małym rycerzem, ale potem, służąc razem i wojny odbywając, polubili się wzajemnie. Pan Wołodyjowski pokoczył tedy żywo i otworzywszy ręce, wołał:

— Jakże się miewasz, Nosaczu?! Zkądżeś się tu wziął?

Towarzysz, który istotnie na przezwisko Nosacza zasługiwał, bo nos miał potężny, wpadł w objęcia pułkownika i witali się radośnie; poczem odsapnąwszy, rzekł:

— Do ciebie umyślnie przyjechał z ekspedycją i z pieniędzmi.

— Z ekspedycją i z pieniędzmi? A od kogo?

— Od księcia wojewody wileńskiego, naszego hetmana. Przysyła ci list zapowiedni, abys zaraz zaczął zaciąg czynić i drugi dla pana Kmicica, który też się ma w tej okolicy znajdować.

— I dla pana Kmicica?... Jakże to we dwóch będziemy w jednej okolicy zaciągali?

— On ma jechać do Troków, a ty masz zostać w tej okolicy.

— Zkądżeśto wiedział, gdzie mnie szukać?

— Sam pan hetman pilnie o ciebie wypytywał, aż

mu ludzie tutejsi, którzy tam jeszcze służą, powiedzieli, gdzie cię znaleźć i ja jechałem napewno... W wielkich tam zawsze jesteś faworach!... Słyszałem księcia naszego pana, jak sam mówił, że nie spodziewał się po wojewodzie ruskim niczego odziedziczyć, a tymczasem największego rycerza odziedziczył.

— Dałby mu Bóg i szczęście wojenne odziedziczyć... Wielki to dla mnie honor, że mam zaciąg czynić i zaraz się do tego wezmę... Ludzi wojennych tu nie brak, byle było za co ich na nogi postawić. A pieniędzy siła przywiozłeś?

— Jak przyjedziesz do Pacunelów, to policzysz.

— Toś i do Pacunelów już trafił? Strzeż się jeno, bo tam ładnych dziewcząt, jak maku w ogrodzie.

— Dlatego i pobyt ci tam smakował!... Czekajże, mam i drugi list prywatny hetmana do ciebie.

— To dawaj!

Pan Charłamp wyjął pismo z małą pieczęcią radziwiłłowską, a pan Wołodyjowski otworzył i zaczął czytać:

„ Mości panie pułkowniku Wołodyjowski!

„Znając szczerą waćpana służenia ojczyźnie intencją, posyłam ci list zapowiedni, abyś zaciąg czynił, i nie tak, jako się zwyczajnie czyni, ale z pilnością wielką, bo periculum in mora. Chceszli nas uradować, to niechże chorągiew na koniec lipca, najdalej na pół sierpnia, będzie już na nogach i do pochodu gotowa. Kłopotliwio nam to, z kąd waszmość koni dobrych weźmiesz, zwłaszcza, że i pieniędzy posyłamy skąpo, gdyż więcej na panu podskarbin, po staremu nam nieprzyjaznym, nie mogliśmy wydebić. Połowę z tych pieniędzy panu Kmici-cowi j. m. p. oddaj, dla którego pan Charłamp także

list zapowiedni wiezie. Spodziewamy się po nim, iż gorliwie nam w tem usłuży. Ale że uszu naszych doszła wieść o jego swawolach w Upickiem, tedy najlepiej wćpan list dla niego przeznaczony od Charłampa odbierz i sam uznaj, czy mu go oddać. Jeślibyś uważał zbytnie na nim gravamina, hańbę czyniące, tedy nie oddawaj: obawiamy się bowiem, aby nieprzyjaciele nasi, jako pan podskarbi i pan wojewoda witebski, krzyków nie podnieśli, że podobne funkcye niegodnym osobom powierzamy. Gdybyś jednak uznawszy, że tam nic wielkiego niema list oddał, niechże się Kmicic stara największą w służbie usilnością winy swe zmazać, a na żadne terminy w sądach nie staje, bo on do naszej hetmańskiej należy inkwizycyi i my go sądzić będziemy, nikt inny, ale po funkcyi spełnionej. Polecenie to nasze uważaj wmość zarazem za dowód zaufania, jakie w rozumie i wiernych służbach wmości pokładamy.

*Janusz Radziwiłł,*

Książę na Birzach i Dubinkach, Wojewoda Wileński.

— Okrutnie się tam pan hetman o konie dla ciebie troszczy — rzekł pan Charłamp, gdy mały rycerz skończył czytać.

— Pewnie, że o konie będzie trudno — odpowiedział pan Wołodujowski. — Tutejszej małej szlachty siła stanie na pierwszy odgłos, ale oni jeno mierzyny żmudzkie mają, niebardzo do służby zdadne. Na dobrą sprawę trzebaby im wszystkim dać inne.

— To dobre konie, znam ja je zdawna, okrutnie wytrwałe i zwrotne.

— Ba! — rzekł pan Wołodujowski — ale urody małej a lud tutejszy rosły. Jak ci na takich koniach w szyku staną, to rzekłybyś: chorągiew na psach siedzi.



Ot, kłopot!... Wezmę ja się gorliwie do roboty, bo i samemu mi pilno. Zostawże mnie list zapowiedni do Kmicica, jako pan hetman nakazuje, sam mu go oddam. Bardzo mu w porę przyszedł.

— A czemu?

— Bo tu tatarską modą sobie poczynął i panny w jasyr brał. Tyle nad nim procesów i terminów, ile ma włosów na głowie. Niemasz tygodnia, jak się z nim w szable biłem.

— E! — rzekł Charłamp — jeśliś ty się z nim w szable bił, to on teraz leży.

— Ale już się ma lepiej. Za jaki tydzień, dwa, zdrów będzie. Co tam słyhać *de publicis*?

— Żle, postaremu... Pan podskarbi Gosiewski zawsze z naszym księciem w emulacyi, a jak hetmani niezgodni, to i sprawy ładem nie idą. Przecie trochęmy się poprawili, i tak myślę, że byle zgody, to sobie z tym nieprzyjacielem rady damy. Bóg pozwoli, że jeszcze na ich karkach pojedziemy aż do ich państwa. Wszystkiemu winien pan podskarbi!

— A inni powiadają, że właśnie hetman wielki.

— To zdrajcy. Wojewoda witebski to tak powiada, bo oni się zdawna z panem podskarbib powąchali.

— Wojewoda witebski zacny obywatel.

— Zali i ty po sapieżyńskiej stronie przeciw Raziwiłłom stoisz?

— Ja stoję po stronie ojczyzny, po której wszyscy stać powinni. W tem to i zło, że się nawet i żołnierze na strony dzielim, zamiast bić. A że Sapieha zacny obywatel, tobym i przy samym księciu powiedział, chociaż pod nim służę.

— Próbowali ludzie godni zgodę czynić, ale to na

nic! — rzekł Charłamp. — Okrutnie teraz posłańcy od króla do naszego księcia latają... Mówią, że coś się tam nowego na świecie kluje. Spodziewaliśmy się pospolitego ruszenia z królem jegomością — nie przyszło! Powiadają, że gdzieindziej może być potrzebne.

— Chyba na Ukrainę.

— Bo ja wiem! Jeno raz Brochwicz porucznik powiadał, co na własne uszy słyszał. Przyjechał od króla Tyzenhauz do naszego hetmana i coś tam, zamknąwszy się, długo z sobą gadali, czego Brochwicz nie mógł ułoić, ale gdy wychodzili, tedy na własne uszy, powtarzam, słyszał, jak pan hetman mówił: „Z tego może być nowa wojna“. Okrutnieśmy tam wszyscy w głowę zachodzili, co to mogło znaczyć.

— Pewnie się przesłyszał! Z kimżeby nowa wojna? Cesarz lepiej nam teraz życzy, niż naszym nieprzyjaciołom, jako że wypada mu za politycznym narodem się ujmować. Ze Szwedem rozejm jeszcze nie wyszedł i do sześciu lat nie wyjdzie, a Tatarowie nam na Ukrainie pomagają, czego by bez woli Turczyzna nie czynili.

— Nie mogliśmy też i my niczego dociec!

— Bo i nic nie było. Ale ja chwałę Boga, że mam nową robotę. Już mi się i tęskno czyniło za wojną.

— To ty chcesz sam list zapowiedni Kmicicowi zawieźć.

— Przeciem ci mówił, że pan hetman tak nakazuje. Wypadnie mi Kmicica odwiedzić, jako kawalerski jest zwyczaj, a mając list, będę miał lepsze jeszcze zamówienie. Czy mu list oddam, to inna rzecz; namyszę się, bo to woli mojej zostawiono.

— Mnie to i na rękę, ile że mi w drogę pilno. Mam i trzecie zapowiednie pismo do pana Stankiewicza;

potem do Kiejdan kazano mi jechać, armatę, która tam przyjdzie, odebrać; potem do Birż obaczyć, czy wszystko gotowe w zamku do obrony.

— I do Birż?

— Tak jest.

— To mi i dziwno. Żadnych nowych wiktorij nieprzyjaciel nie otrzymał, więc mu i do Birż, na kurlandzką granicę daleko. A że, jako widzę, nowe chorągwie stawia na nogi, więc będzie komu bronić nawet i tych krajów, które już pod moc nieprzyjacielską wpadły. Kurlandczycy przecie o wojnie z nami nie myślą. Dobrzy to żołnierze, ale ich mało i sam tylko Radziwiłł mógłby ich jedną ręką przydusić.

— I mnie to dziwno — odpowiedział Charłamp — tem bardziej, że mi także pośpiech zalecono i taką dano instrukcją, iżbym, jeśli co znajdę nie w porządku, zaraz księciu Bogusławowi dawał znać, który Petersona inżyniera ma przysłać.

— Coby to mogło być?! Oby się tylko na jaką wojnę domową nie zanosilo. Niechże nas Bóg od tego strzeże! Już jak tam tylko książę Bogusław do roboty wchodzi, to dyabłu będzie z tego uciecha.

— Nie mów na niego nic. To męźny pan!

— Nie neguję ja mu męstwa, ale więcej w nim Niemca, czyli jakowegoś Francuza, niż Polaka... I o Rzeczpospolitą zgoła nie dba, jeno o dom Radziwiłłowski, żeby to go jak najwyżej wynieść, a wszystkich innych poniżyć. Onto i w księciu wojewodzie wileńskim, naszym hetmanie, pychę podnieca, której mu i bez tego nie brak i owe kłótnie z Sapiehami i Gosiewskim, jego to sadzenia drzewa i frukta.

— Wielki z ciebie, jak widzę, statysta. Powinie-

neś się, Michałku, coprędzej ożenić, żeby taki rozum nie przepadł.

Wołodyjowski spojrział przeciągle na towarzysza.

— Ożenić?... Hę?

— Juści! A może ty tu gdzie w konkury jeździsz, boś widzę strojny, jak na paradę.

— Dałbyś spokój!

— Ej, przyznaj się...

— Każdy niech swoje arbuzy zjada, a ty o cudze nie pytaj, boś też niejednego dostał. Właśnie też czas teraz o ożenku myśleć, gdy mam zaciąg na głowie.

— A będziesz na lipiec gotowy?

— Na koniec lipca będę, choćbym miał konie zpod ziemi wykopać. Bogu dziękuję, że mi ta robota przyszła, bo inaczej byłaby mnie melankolia zjadła.

Jakoż wieści od hetmana i widoki pracy ciężkiej wielką sprawiły panu Wołodyjowskiemu ulgę i nim dojechali do Pacunelów, prawie nie myślał już o konfuzji, jaka go przed godziną spotkała. Wieść o liście zapowiednim szybko się rozleciała po całym zaścianku. Przyszła zaraz szlachta pytać czy prawda, a gdy pan Wołodyjowski potwierdził, wielkie to uczyniło wrażenie. Ochota była powszechna, lubo turbowali się niektórzy, że to w końcu lipca, przed żniwami, trzeba będzie wyruszyć. Pan Wołodyjowski rozesłał też gońców i do innych okolic, i do Upity, i do znaczniejszych domów szlacheckich. Wieczorem przyjechało kilkunastu Butrymów, Stakjanów i Domaszewiczów.

Dopieroż poczęto się zachęcać wzajem i coraz większą okazywać ochotę i odgrażać się na nieprzyjaciół i zwycięstwa sobie obiecywać. Jedni tylko Butrymowie milczeli, ale im tego za złe nie brano, bo wiadomo było,

że jak jeden człowiek staną. Nazajutrz zawrzało we wszystkich zaściankach, jak w ulach. Ludzie nie gadali już o panu Kmicicu, ni o pannie Aleksandrze, tylko o przyszłej wyprawie. Pan Wołodyjowski z serca także odpuścił Oleńce rekuzę, pocieszając się przytem myślą, że to nie ostatnia, jako i afekt nie ostatni. Tymczasem namyślał się trochę, co ma z listem dla Kmicica uczynić.

---

## ROZDZIAŁ IX.

---

Zaczęły się tedy dla pana Wołodyjowskiego czasy ciężkiej pracy, rozpisywania listów i rozjazdów. Następnego tygodnia przeniósł się już na rezydencją do Upity i tam zaciąg rozpoczął. Sypała się do niego szlachta chętnie, większa i mniejsza, bo sławę miał głośną. Szczególnie jednak szli laudańscy, którym konie trzeba było obmyślać. Kręcił się też pan Wołodyjowski, jak w ukropie, ale że był obrotny i trudów nie żałował, szło mu dość sporo. W tymże czasie odwiedził i pana Kmicica w Lubiczu, który znacznie już do zdrowia przyszedł i chociaż z łóżka jeszcze nie wstawał, wiadomo już było, że zdrów będzie. Widocznie, o ile pan Wołodyjowski miał szablę ciężką, o tyle rękę lekką.

Poznał go pan Kmicic natychmiast i przybladł trochę na jego widok. Ręką nawet mimowoli do szabli wiszącej nad łóżem sięgnął, ale ochłonawszy, widząc uśmiech na twarzy gościa, wyciągnął ku niemu wychudłą dłoń i rzekł:

— Dziękuję waszmości za odwiedziny. Godna to takiego kawalera polityka.

— Przyjechałem spytać, czy waść urazy do mnie nie chowasz? — spytał pan Michał.

— Urazy nie chowam, bo mnie nie lada kto zwyciężył, ale gracz pierwszej wody. Ledwie, żem się wyliżał.

— A jakże zdrowie waszmościne ?

— Waćpanu dziw pewno, żem zpod jego ręki żyw wyszedł? Sam też sobie przyznaję, że niemała to sztuka.

Tu pan Kmicic uśmiechnął się:

— No, nie stracona sprawa. Dokończysz mnie, kiedy zechcesz!

— Wcale nie w tym zamiarze tu przyjechałem...

— Chybaś waszmość dyabeł — przerwał Kmicic — albo masz inkluzę. Bóg widzi, daleko mi teraz do samochwalstwa, bo z tamtego świata wracam, alem to sobie przed spotkaniem waćpana zawsze myślał: jeżeli nie pierwszy w Rzeczypospolitej na szable, tom drugi. Tymczasem — niesłychana rzecz! Toż jabym pierwszego cięcia nie odbił, gdybyś waćpan chciał. Powiedz mi, gdzieś się tak wyuczył?

— Miało się trochę przyrodzonych zdolności — odrzekł pan Michał — i ojciec od małego wkładał, który nieraz mi mówił: „Dał ci Bóg niekzemną postać, jeśli się ludzie nie będą ciebie bali, to się będą z ciebie śmieli”. Potem też u wojewody ruskiego w chorągwi służąc, douczyłem się reszty. Było tam kilku mężów, którzy śmiało mogli mi stawić czoło.

— Aza mogli być tacy.

— Mogli, bo byli. Był pan Podbipięta, Litwin, wielki familiant, który w Zbarażu poległ... Panie świeć nad jego duszą!... człek tak olbrzymiej siły, że mu się niepodobna było zastawić, bo mógł przeciąć zastawę i przeciwnika. Potem był jeszcze i Skrzetuski, przyja-

ciel mój serdeczny i konfident, o którym waść musiałeś słyszeć.

— Jakże! Onto ze Zbaraża wyszedł i przez Kozaków się przedarł. Kto o nim nie słyszał!... To waść z takiej sfory? i zbaraszczyk?... Czołem! Czołem! Czekażże!.. przecie i ja o waćpanu u wojewody wileńskiego słyszałem. Wszak waszmości Michał na imię?

— Właściwie, to ja jestem Jerzy Michał, ale że święty Michał całemu komunikowi niebieskiemu przewodzi, i tyle już nad piekielnemi chorągwiemi odniósł wiktoryj, przeto jego wolę mieć za patrona.

— Pewnie, że Jerzemu nie równać się z Michałem. Tośto waćpan ten sam Wołodyjowski, o którym powiadano, że Bohuna usieknął?

— Jam jest.

— No, od takiego nie żał po łbie dostać. Dałby Bóg, żebyśmy przyjaciołmi mogli zostać. Waćpanto mnie wprawdzie zdrajcą okrzyknąłeś, aleś się w tem pomylił.

To rzekłszy, pan Kmicie ściągnął brwi, jakby go rana nanowo zabolęła.

— Przyznaję, żem się pomylił, — odrzekł pan Wołodyjowski — ale nie od waćpana o tem dopiero się dowiaduję, bo mi to już ludzie twoi powiadali. I wiedz waszmość o tem, że inaczej nie byłbym tu przyjeżdżał.

— Już ostrzyli, bo ostrzyli tu na mnie języki! — mówił z goryczą Kmicie. — Niech będzie co chce. Niejedna jest kreska na mnie, przyznaję, ale też i w tej okolicy ludzie niewdzięcznie mię przyjęli...

— Waść sobie najwięcej zaszkoziłeś tem spaleniem Wołmontowicz i ostatnim raptem.

— To też mnie procesami gnębią. Leżą już u mnie



terminy do sądów. Choremu przyjść do zdrowia nie dadzą. Spaliłem Wołmontowicze, prawda, i ludzi coś się wysiekło; niechże mnie jednak Bóg sędzi, jeśli to ze swawoli uczynił. Tej samej nocy, przed spaleniem ślub sobie zrobiłem, żyć ze wszystkimi w zgodzie, zjednać sobie owych tutejszych szaraczków, załagodzić nawet łyczków w Upicie, bo tam istotnie podswawoliłem. Wracam tedy do domu i cóż zastaję? Oto moich kompanionów porzniętych jak woły, leżących pod ścianą! Gdym się dowiedział, że to Butrymowie uczynili, wtedy dyabeł we mnie wstąpił... i zemściłem się srogo... Czy waść uwierzy, za co ich porznięto?... Sam się o tem później dowiedziałem od jednego z Butrymów, którego w lasach napadłem: oto za to, że potańcować w karczmie z szlachciankami chcieli... Ktoby się nie mścił?

— Mój mości panie! — odpowiedział Wołodujowski — prawda, że za ostro postąpiono z waćpana kompanami, ale czyto ich szlachta pobiła? Nie! Pobiła ich dawniejsza reputacya, jaką tu ze sobą gotową przywieźli, bo żeby tak grzecznym jakim żołnierzom zachciało się potańcować, pewnieby ich za to nie sieczono.

— Niebożęta! — mówił Kmicic, idąc za swoją myślą — gdym teraz oto w gorączce leżał, co wieczora wchodzili temi oto drzwiami, z tamtej oto izby... Widziałem ich koło łoża, jako na jawie, sinych, zbitych, a ciągle jęczeli: „Jędrus! daj na mszę za nasze dusze, bo męki cierpimy!“ To, mówię waści, włosy mi na głowie powstawały, bo i siarką od nich w izbie pachniało... Na mszę już dałem, oby im to co pomogło!

Nastała chwila milczenia.

— A co do raptu, — mówił dalej Kmicic — waćpanu o tem nikt nie mógł powiedzieć, że ona ocalała

mi wprowadzie życie, gdy mnie szlachta ścigała, ale potem kazała iść precz i nie pokazywać się na oczy. Co mi wówczas pozostało?!

— Zawsze to tatarski był sposób.

— Chyba waćpan nie wiesz, co jest afekt, i do jakiej desperacyi człowiek przyjść może, gdy to, co najwięcej umiłował, utraci.

— Ja nie wiem co jest afekt? — zakrzyknął z oburzeniem pan Wołodyjowski. — Od czasu jak szablę począłem nosić, zawsze byłem zakochany... Prawda, że się subiectum zmieniało, bo nigdy mi wzajemnością nie wyplacono. Gdyby nie to, nie byłoby wierniejszego nademnie Troila.

— Jaki tam i afekt, gdy się subiectum zmienia — rzekł Kmicic.

— Tedy waści powiem co innego, na co własnem i oczyma patrzyłem. Oto pierwszego czasu Chmielnicki Bohun, ten sam, który dziś po Chmielnickim największą cieszy się między Kozactwem powagą, porwał Skrzetuskiemu umiłowaną nad wszystko dziewczkę, kniaziównę Kurcewiczównę. To był dopiero afekt! Całe wojsko płakało, widząc Skrzetuskiego desperacją, bo mu broda w dwudziestym którymś roku życia zbielała, a on zgadnij waść co uczynił?

— Zkąd mam wiedzieć!

— Oto, że ojczyzna była w potrzebie, w poniżeniu, że okrutny Chmielnicki tryumfował, więc on wcale nie poszedł dziewczki szukać. Bolesć Bogu ofiarował i bił się we wszystkich bitwach pod księciem Jeremim, aż pod Zbarażem tak nadzwyczajną chwałą się okrył, że dziś imię jego wszyscy ze czcią powtarzają. Przyłóżże waćpan teraz jego uczynek do swojego i poznaj różnicę.

Kmicic milczał i gryzł wąsy, Wołodyjowski mówił dalej:

— To też Skrzetuskiego Bóg wynagrodził i dziewczkę mu oddał. Zaraz po Zbarażu się pobrali i już troje dzieci spłodzili, chociaż on służyć nie przestał. A waszmość, zamieszki czyniąc, pomagałeś tem samem nieprzyjacielowi i małoś żywota nie utracił, nie mówiąc o tem, że przed paru dniami mogłeś pannę na zawsze utracić.

— Jakim sposobem?— rzekł, siadając na łóżku Kmicic — co się z nią działo?

— Nic się nie działo, jeno znalazł się mąż, który ją o rękę prosił i za żonę chciał pojąć.

Kmicic pobladł bardzo, zapadnięte jego oczy poczęły ciskać płomienie. Chciał wstać, zerwał się nawet na chwilę i krzyknął:

— Kto był ten wraży syn? Na żywy Bóg, mów waszmość!

— Ja — rzekł pan Wołodyjowski.

— Waćpan? waćpan? — pytał ze zdumieniem Kmicic. — Jakto?...

— Tak jest.

— Zdrajco! nie ujdzie ci to!... I ona?... na żywy Bóg, mów już wszystko!... ona cię przyjęła?

— Odpaliła z miejsca i bez namysłu.

Nastąpiła chwila milczenia. Kmicic oddychał ciężko i oczyma wpijał się w Wołodyjowskiego, ten zaś rzekł:

— Czemuto mnie zdrajcą nazywasz? Zalim ci brat, albo swat? Zalim ci wiarę złamał? Zwyciężyłem cię w boju i mogłem czynić, co mi się podobało.

— Postaremu jedenby z nas to krwią zapieczę-

tował. Nie szablą, to z rusznicybym waćpana ustrze-  
lił i niechby mnie dyabli potem wzięli.

— Chybabyś mnie z rusznicy zastrzelił, bo gdyby  
mnie nie była odpaliła, tobym i pojedynku drugiego  
nie przyjął. Poco miałbym się bić? A wiesz czemu  
mnie odpaliła?

— Czemu? — powtórzył jak echo Kmicic.

— Bo ciebie miłuje.

Było to więcej, niż słabe siły chorego znieść mogły.  
Głowa Kmicica opadła na poduszki, na czoło wystą-  
pił mu pot obfity i leżał czas jakiś w milczeniu.

— Okropnie mi słabo — rzekł po chwili. —  
Zkądże... to waść wiesz, że ona... mnie miłuje?

— Bo mam oczy i patrzę, bo mam rozum i miar-  
kuję; teraz zwłaszcza, gdym rekuzę dostał, zaraz mi  
się w głowie rozjaśniło. Najprzód tedy, gdym po po-  
jedynku przyszedł jej powiedzieć, że jest wolna, bom  
waćpana usiekl, wnet ją zamroczyło i zamiast wdzię-  
czność mi okazać, całkiem mnie sponsonowała; po-  
wtóre: gdy cię tu Domaszewicze dzwigali, to ci głowę,  
jak matka unosiła, a potrzecie, że gdym się jej oświad-  
czył, tak mnie przyjęła, jakoby mi kto w pysk dał.  
Jeśli te racye waćpanu nie wystarczają, to chyba dla-  
tego, żeś przez rozum zacięty i na umyśle szwanku-  
jesz.

— Gdyby to była prawda! — odrzekł słabym  
głosem Kmicic — tedy mi tu różne maści na rany  
przykładają... ale nie byłoby lepszego balsamu od  
słów waszmości.

— Zdrajcaże ci to taki balsam przykładają?

— Przebacz już waść. W głowie mi się takie  
szczęście nie mieści, żeby ona mnie jeszcze chciała.

— Powiedziałem, że waćpana miłuje, nie powiedziałem, że cię zechce... To wcale co innego.

— Jeśli mnie nie zechce, to sobie ten łeb o ścianę rozbiję. Inaczej być nie może.

— Mogłoby być, gdybyś waćpan miał szczerą intencją zmazania win. Teraz wojna, możesz iść, możesz posługi znaczne miłej ojczyźnie oddać, męstwem się wślawić, reputacją połątać. Któżto jest bez grzechu? Kto nie ma win na sumieniu? Każdy ma... Ale do pokuty i poprawy każdemu otwarta droga. Waść grzeszyłeś swawolą, to jej odtąd unikaj; grzeszyłeś przeciw ojczyźnie, zamieszki w czasie wojennym czyniąc, to ją teraz ratuj; czyniłeś krzywdy ludziom, to je nagródź... Ot, droga dla waszmości lepsza i pewniejsza, niż rozbijanie sobie łba.

Kmicic patrzył uważnie na Wołodyjowskiego, potem rzekł:

— Waćpan mówisz, jak mój szczerzy przyjaciel.

— Nie jestem waćpana przyjacielem, ale po prawdzie nie jestem i nieprzyjacielem, a tej panny mnie żal, chociaż mnie odpaliła, bom jej też słowo ostre rzekł na odjezdnem. Od rekuzy się nie powieszę, nie pierwszyna mi, a uraz nie zwykłem chować. Jeżeli więc waćpana na dobrą drogę namówię, to będzie także moja względem ojczyzny zasługa, boś żołnierz dobry i doświadczony.

— Zali mnie czas jeszcze na tę drogę wracać? Tyle terminów na mnie czeka! Z łoża trzeba do sądu zaraz... Chybabym ztąd uciekał, a tego nie chcę. Tyle terminów! A co sprawa, to i wyrok pewny na potępienie.

— Ot, tu jest na to lekarstwo! — rzekł pan Wołodyjowski, wydobywając list zapowiedni.

— List zapowiedni! — wykrzyknął Kmicic — dla kogo?

— Dla waćpana! Nie potrzebujesz do żadnych sądów stawać, bo do hetmańskiej inkwizycyi należysz; słuchaj zaś, co książę wojewoda mi pisze.

Tu pan Wołodyjowski odczytał Kmicicowi prywatny list Radziwiłła, odetchnął, ruszył wąsikami i rzekł:

— Owóż, jak waćpan widzisz, ode mnie zależy, albo ci list zapowiedni oddać, albo go schować.

Niepewność, trwoga i nadzieja odbiły się na twarzy Kmicica.

— A waćpan co uczynisz? — spytał cichym głosem.

— A ja waszmości list oddaję — rzekł pan Wołodyjowski.

Kmicic nic zrazu nie odrzekł, głowę spuścił na poduszki i patrzył czas jakiś w pułap. Nagle oczy poczęły mu wilgotnieć i goście nieznanymi w tych oczach, łzy, zawisły na rzęsach.

— Niechże mnie koźmi rozerwą! — rzekł wreszcie — niech mnie ze skóry obłuszczą, jeśli ja widział zacniejszego człowieka od waszmości... Jeśliś przeze mnie rekuzę dostał, jeśli mnie Oleńka, jak powiadasz, miłuje, inny tem bardziejby się mścił, tem głębiej mnie pogrzyżył... A waszmość mi rękę podajesz i jako z grobu mię wyciągasz!

— Bo nie chcę dla prywaty, ojczyzny miłej poświęcać, której waszmość znaczne jeszcze posługi możesz oddać. Ale to waszmości powiem, że gdybyś był owych Kozaków od Trubeckiego albo Chowańskiego pożyczył, tedybym list zatrzymał. Całe to szczęście, żeś tego nie uczynił!

— Przykład, przykład z waćpana innym brać! — odrzekł Kmicic. — Dajże mi rękę. Bóg mi pozwoli czem dobrem się waszmości wypłacić, boś mnie na śmierć i życie zobowiązał.

— To i dobrze, potem o tem! A teraz... uszy waszmość do góry! Nie trzeba ci do żadnych sądów stawać, jeno do roboty się brać. Zasłużysz się ojczyźnie, to ci i ta szlachta odpuści, bo to ludzie na honor ojczyzny bardzo czuli... Możesz jeszcze winy zmazać, reputacją odzyskać i w sławie, jak w słońcu chodzić, a już tam znam jedną pannę, która ci nagrodę za życia obmyśli.

— E! — zakrzyknął z uniesieniem Kmicic — co ja tu będę w łożu gnił, gdy nieprzyjaciel ojczyznę depcze. Hej! jest tam który? sam tu! pacholek, bóty podawaj!... Sam tu! Niechże mnie piorun w tych betach ustrzeli, jeśli będę dłużej w nich parciał!

Uśmiechnął się na to z zadowoleniem pan Wołodyjowski i rzekł:

— Duch w waści od ciała silniejszy, bo ciało jeszcze ci nie dopisze.

To rzekłszy, począł żegnać się, a Kmicic nie puszczał, dziękował i winem chciał traktować.

Jakoż dobrze już miało się ku wieczorowi, gdy mały rycerz opuścił Lubicz i do Wodoktów podążył.

— Najlepiej ją za ostre słowo nagrodzę, — mówił sam do siebie — gdy jej powiem, że Kmicic nietylko z łoża, ale i z niesławy powstaje... Nie doszczętu to jeszcze zepsuty człowiek, jeno gorączka wielki. Okrutnie ją też pocieszę, i tak myślę, że mnie teraz lepiej przyjmie, niż wtedy, gdym jej samego siebie ofiarował...

Tu westchnął pocziwy pan Michał i mruknął:

— Żeby to wiedzieć, czy jest jaka na świecie i dla mnie przeznaczona?

Wśród podobnych rozmyślań dojechał do Wodków. Kudłaty Żmudzin wybiegł do kołowrotu, ale nie śpieszył się otwierać, jeno rzekł:

— Dziedziczki niemasz w domu.

— To wyjechała?

— A wyjechała.

— Gdzie?

— Kto ją wie!

— A kiedy wróci?

— Kto ją wie!

— Gadajże poludzku. Nie mówiła kiedy wróci?

— Bogdaj wcale nie wróci, bo z wozami wyjechała i z tobołami. Z tego miarkuję, że daleko i na długo.

— Tak? — mruknął pan Michał. — Ot! com najlepszego sprawił!...



## ROZDZIAŁ X.

---

Zwyczajnie, gdy cieplejsze promienie słońca poczynają przedzierać się przez zimową chmur oponę i gdy pierwsze pędy ukazują się na drzewach, a zielona ruń zbóż kiełkuje na wilgotnych polach, wstępuje i lepsza nadzieja w serca ludzkie. Ale wiosna 1655 roku nie przyniosła zwykłej pociechy dla strapionych w Rzeczypospolitej ludzi. Cała jej wschodnia granica, od północy aż po dzikie pola na południu, była opasana jakby wstęgą ognistą i wiosenne ulewy nie mogły pogasić pożaru, owszem wstęga owa stawała się coraz szerszą i coraz rozleglejsze zajmowała kraje. A oprócz tego na niebie pojawiły się znaki złej wróżby, zwiastujące większe jeszcze klęski i nieszczęścia. Raz wraz z chmur, przelatujących niebiosą, tworzyły się jakoby wieże wysokie, jakoby flanki forteczne, które następnie zawałyły się z łoskotem. Pioruny biły w ziemię, jeszcze śniegiem pokrytą, lasy sosnowe żółkły, a gałęzie drzew skręcały się w dziwne, chorobliwe kształty; zwierzęta i ptaki padały od jakiejś nieznaney choroby. Nakoniec dostrzeżono i na słońcu plamy niezwyčajne, mające kształt ręki jabłko trzymającej, serca przebitego i krzyża. Umysły trwożyły się coraz bardziej, a zakonnicy gubili

się w dociekaniach, coby owe znaki mogły znaczyć. Dziwna jakaś niespokojność ogarniała wszystkie serca.

Przepowiadano nowe wojny i nagle, Bóg wieżką, złowroga wieść poczęła krążyć z ust do ust po wsiach i miastach, że od strony Szwedów zbliżała się nawałnica. Napozór nic nie zdawało się potwierdzać tej wieści, gdyż rozejm ze Szwecją zawarty, miał jeszcze na sześć lat siłę, a jednak mówiono o niebezpieczeństwie wojny i na sejmie, który król Jan Kazimierz złożył 19 Maja w Warszawie.

Coraz więcej niespokojnych oczu zwracało się ku Wielkopolsce, na którą burza najpierw mogła się zważyć. Leszczyński, wojewoda łęczycki i Naruszewicz, pisarz polny litewski, wyjechali w poselstwie do Szwecyi; ale wyjazd ich, zamiast uspokoić strwożonych, rozniecił większy jeszcze niepokój.

„Legacya ta wojną pachnie“ — pisał Janusz Radziwiłł.

„Gdyby nawała nie groziła z tamtej strony pocóżby ich wysyłano? — mówili inni. — Wszakże ledwie wrócił ze Sztokholmu poprzedni poseł Kanazył; ale widać to jasno, że nic nie sprawił, skoro zaraz po nim tak poważnych wysłano senatorów“.

Wszelako rozsądniejsi ludzie nie wierzyli jeszcze w możliwość wojny.

„Żadnej — twierdzili — Rzeczpospolita nie dała przyczyny, a rozejm trwa w całej sile. Jakżebyto podeptano przysięgi, zgwałcono najświętsze umowy i napađnięto pozbójceku bezpiecznego sąsiada? Szwecya przytem pamięta jeszcze rany, polską szablą zadane pod Kirholmem, Puckiem i Trzecianną! Wszakże to i Gustaw Adolf, który w całej Europie nie znalazł przeci-

wnika, uległ kilkakroć panu Koniecpolskiemu. Nie będą Szwedzi tak wielkiej sławy wojennej w świecie nabytej, na niepewny hazard wystawiać z przeciwnikiem, któremu nigdy w polu dostać nie mogli. Prawda, że i wojną wyczerpana i osłabiona jest Rzeczpospolita; ale samych Prus i samej Wielkopolski, która w wojnach ostatnich wcale nie ucierpiała, wystarczy ten głodny naród przepędzić i za morza do bezpłodnych skał odeprzeć. Nie będzie wojny!“

Na to odpowiadali znów trwożliwi, że jeszcze przed sejmem warszawskim radzono już z namowy króla na sejmiku w Grodnie o obronie pasów granicznych wielkopolskich, że rozpisywano podatki i żołnierza, czego by przecie nie czyniono, gdyby niebezpieczeństwo nie było bliskie.

I tak chwiały się umysły pomiędzy obawą a nadzieją, ciężka niepewność przygniatała dusze ludzkie, gdy nagle położył jej koniec uniwersał Bogusława Leszczyńskiego, generała wielkopolskiego, zwołującego pospolite ruszenie szlachty województw poznańskiego i kaliskiego dla obrony granic od grożącej nawały szwedzkiej...

Wszelka wątpliwość znikła. Okrzyk: „Wojna!“ rozległ się po całej Wielkopolsce i wszystkich ziemiach Rzeczypospolitej.

Była to nie tylko wojna, ale nowa wojna. Chmielnicki wspomagany przez Buturlina, srożył się na południu i wschodzie; Chowański i Trubecki na północy i wschodzie, Szwed zbliżał się z zachodu! Ognista wstęga zmieniała się w koło ogniste.

Kraj był jak obóz oblężony.

A w obozie źle się działo. Jeden już zdrajca, Ra-

dziejowski, uciekł z niego i był w namiocie napastników. Onto prowadził ich na łup gotowy, on wskazywał słabe strony, on miał kusić załogę. A oprócz tego nie brakło ni niechęci, ni zawiści; nie brakło magnatów między sobą zwaśnionych lub za odmówione urzędy na króla krzywych i w każdej chwili sprawę publiczną dla swej prywaty poświęcić gotowych; nie brakło dysydentów, pragnących tryumf swój choćby na grobie ojczyzny uświęcić; a jeszcze więcej było swawolników i ospałych i leniwych i w sobie samych, we własnych wczasach i dostatkach, zakochanych.

Jednakże zasobna i wojną dotąd niepoterana kraina wielkopolska nie żałowała przynajmniej pieniędzy na obronę. Miasta i wsie szlacheckie dostarczyły piechotnego żołnierza tyle, ile go rozpisano i zanim szlachta ruszyła własnymi osobami do obozu, ciągnęły już tam pstre pułki łanowej piechoty, pod wodzą rotmistrzów, przez sejmik wyznaczonych z ludzi, w rzemiośle wojennem doświadczonych.

Wiódł więc pan Stanisław Dębiński łanowców poznańskich, pan Władysław Włostowski kościańskich, a pan Golc, sławny żołnierz i inżynier, wałęckich. Nad kaliskimi chłopcy dzierżył rotmistrzowską buławę pan Stanisław Skrzetuski, z rodu dzielnych wojowników, stryjeczny Jana, słynnego zbaraszczyka. Pan Kacper Żychliński prowadził konińskich młynarzy i sołtysów. Zpod Pyzdrów ciągnął pan Stanisław Jaraczewski, który młodość w cudzoziemskich wojnach spędził; zpod Kcyni pan Piotr Skoraszewski, a pan Kościecki zpod Nakła. Nikt jednak w doświadczeniu wojennem nie mógł wyrównać panu Władysławowi Skoraszewskiemu,

którego głosu nawet sam generał wielkopolski i wojewodowie słuchali.

W trzech miejscach: pod Piłą, Ujściem i Wielunem zalegli rotmistrzowie pasy nadnoteckie, czekając na przybycie szlachty, na pospolite ruszenie zwołanej. Piechurowie sypali szańce od rana do wieczora, ustawicznie oglądając się za siebie, czy pożądana konnica nie nadciąga.

Tymczasem nadjechał pierwszy z dygnitarzy, pan Andrzej Grudziński, wojewoda kaliski i stanął w domu burmistrza z licznym poczem sług, przybranych w białe i błękitne barwy. Spodziewał się, że wnet otoczy go szlachta kaliska, gdy jednak nikt się nie zjawiał, posłał po rotmistrza, pana Stanisława Skrzetuskiego, zajętego sypaniem szanczyków nad rzeką.

— A gdzie moi ludzie? — pytał po pierwszych powitaniach rotmistrza, którego znał od dziecka.

— Jacy ludzie? — rzekł pan Skrzetuski.

— A pospolite ruszenie kaliskie?

Pół pogardliwy, pół bolesny uśmiech pojawił się na czarniawej twarzy żołnierza.

— Jaśnie wielmożny wojewodo! — rzekł — przecie to czas strzyży owiec, a za źle umytą wełnę nie chcą w Gdańsku płacić. Każdy teraz jegomość nad stawem przy myciu, albo nad wagą stoi, słusznie mniemając, że Szwedzi nie uciekną.

— Jakżeto? — odparł zafrasowany wojewoda — nie masz jeszcze nikogo?

— Żywego ducha, prócz piechoty łanowej... A potem żniwa bliskie. Dobry gospodarz z domu nie wyjeżdża w takim czasie!

— Co mi waćpan prawisz?

— A Szwedzi nie uciekną, jeno jeszcze bliżej przyjdą — powtórzył rotmistrz.

Dziobata twarz wojewody poczerwieniała nagle.

— Co mi Szwedzi!... Ale to dla mnie wstyd wobec innych panów będzie, gdy sam się tu jako palec останę.

Skrzetuski znów się uśmiechnął.

— Wasza miłość pozwoli sobie powiedzieć, — rzekł — że Szwedzi tu rzecz główna, a wstyd potem. Zresztą, nie będzie go, bo nietylko kaliskiej, ale i żadnej innej szlachty jeszcze niema.

— Powaryowali! — rzekł pan Grudziński.

— Nie, jeno tego pewni, że jeśli oni nie zechcą do Szwedów, to Szwedzi nie omieszkają do nich.

— Czekaj waść! — rzekł wojewoda.

I klasnąwszy na pachołka, kazał sobie podać inkaustu, piór i papieru — następnie usiadł i począł pisać.

Po upływie pół godziny, zasypał kartę, uderzył po niej ręką i rzekł:

— Posyłam jeszcze wezwanie, by się najpóźniej *pro die 27 praesentis* stawili i tak myślę, że przynajmniej w tym ostatnim terminie zechcą *non deesse patriae*. A teraz powiedz mi waćpan: macieli jakie wieści o nieprzyjacielu?

— Mamy. Wittemberg wojska swoje pod Damą na łęgach musztruje.

— Siła ich?

— Jedni mówią, że siedemnaście tysięcy, drudzy, że więcej.

— Hm! to nas i tyle nie będzie. Jak waść sądzisz, zdołamy się oprzeć?

— Jeśli się szlachta nie stawi, to i niema o czem mówić. . .

— Stawi się, co się nie ma stawić! Wiadoma to rzecz, że pospolite ruszenie zawsze marudzi. Ale ze szlachtą damy sobie radę?

— Nie damy — rzekł sucho Skrzetuski. — Jawnie wielmożny wojewodo, toż my wcale żołnierzy nie mamy.

— Jakto nie mamy żołnierzy?

— Wasza miłość wie tak dobrze, jak ja, że co jest wojska, to wszystko na Ukrainie. Nie przysłano nam tu ani dwóch chorągwi, choć Bóg jeden wie teraz, która burza groźniejsza.

— Ale piechota, ale pospolite ruszenie?

— Na dwudziestu chłopów ledwie jeden wojnę widział, a na dziesięciu jeden wie, jak rusznicę trzymać. Po pierwszej wojnie będą z nich dobrzy żołnierze, ale nie teraz. A co do pospolitego ruszenia, spytaj wasza miłość każdego, kto się choć trochę na wojnie zna, czy pospolite ruszenie może dotrzymać regularnym wojskom, jeszcze takim jak szwedzkie, weteranom z całej luterskiej wojny i do zwycięstw przywykłym.

— Takżeto waśc wysoko Szwedów nad swoich wynosisz?

— Nie wynoszę ja ich nad swoich, bo gdyby tu było z piętnaście tysięcy takich ludzi, jacy pod Zbarazem byli, kwarcianych i jazdy, tedybym się ich nie bał, ale z naszymi, daj Boże, abyśmy coś znaczniejszego wskórać mogli.

Wojewoda położył ręce na kolanach i spojrzał bystro wprost w oczy Skrzetuskiemu, jakby chciał w nich jakąś ukrytą myśl wyczytać.

— Tedy poco my tu przyszli? Czy waćpan nie myślisz, że lepiej się poddać?

Zapłonał na to pan Stanisław i rzekł:

— Jeśli mi taka w głowie myśl powstała, każe mnie wasza młodość na pal wbić. Na pytanie, czy wierzę w wiktoryą, odpowiadam jak żołnierz: nie wierzę! — ale pocośmy tu przyszli, to inna materya, na którą jako obywatel odpowiadam. Poto, abyśmy nieprzyjacielowi stręt pierwszy dali, abyśmy zatrzymawszy go na sobie, pozwolili reszcie kraju opatrzeć się i wystąpić, abyśmy ciałami naszymi wstrzymali najazd póty, póki jeden na drugim nie padniem!

Chwalebna to intencya waszmości,— odpowiedział chłodno wojewoda — ale łatwiej wam żołnierzom śmierci mówić niż nam, na których cała odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, darmo przelanej, spadnie.

— Poto i ma szlachta krew, aby ją przelewała.

— Tak to, tak! Wszyscy gotowiśmy polec, bo zresztą to najłatwiejsza rzecz. Wszelako obowiązek każe nam, których Opatrzność naczelnikami uczyniła, nie samej tylko chwały szukać, ale i za pożytkiem się oglądać. Wojna już tak, jak zaczęta, to prawda, ale przecie Carolus Gustavus pana naszego krewny i musi mieć na to wzgląd. Dlatego należy i paktowania popробować, bo czasem więcej słowem można wskórać, niżli orężem.

— To do mnie nie należy! — odrzekł sucho pan Stanisław.

Wojewodzie w tejże chwili widocznie toż samo na myśl przyszło, bo skinął głową i pożegnał rotmistrza.



Skrzetuski jednakże do połowy tylko miał słuszność w tem, co mówił o opieszałości szlachty na pospolite ruszenie powołanej. Prawdą istotnie bowiem było, że do ukończenia strzyży owiec mało kto ściągnął do obozu między Piłą a Ujściem, ale pod d. 27 czerwca, to jest na termin w ponownem wezwaniu oznaczony, zaczęto zjeżdżać się dość licznie.

Codziennie tumany kurzu, podnoszące się z powodu suchej i stałej pogody, zwiastowały zbliżanie się coraz nowych zastępów. I jechała szlachta szumnie, konno i koleśno, z pocztami sług, z kredensami, z wozami i obfitością na nich wygod wszelkich, a obciążona tak bronią, iż niejeden za trzech wszelakiego dźwigał oręża, począwszy od kopij, rusznic, bandoletów, szabel, koncerzy i zarzuconych już w owym czasie młotków husarskich, do rozbijania zbroi służących. Starzy praktycy zaraz po tem uzbrojeniu poznawali ludzi nieobytych z wojną i niedoświadczonych.

Ze wszelkiej bowiem szlachty, zamieszkującej obszary Rzeczypospolitej, wielkopolska właśnie najmniej była wojownicza. Tatarzy, Turcy i Kozacy nie deptali nigdy tych okolic, które od czasów krzyżackich zapomniały niemal, jak wygląda wojna w kraju. Kto ze szlachty wielkopolskiej czuł w sobie bojową ochotę, ten się zaciągał do komputu wojsk koronnych i tam stawał tak dobrze jak każdy inny; ale ci natomiast, którzy w domach woleli siedzieć, na prawdziwych się też domatorów zmienili, kochających się w dostatkach, w wczasach, na zawołanych gospodarzy, zasypujących swą wełną i zwłaszcza swoim zbożem, rynki miast pruskich.

Teraz więc, gdy burza szwedzka oderwała ich od spokojnych zajęć, zdawało im się, że na wojnę nie można

się zanadto bronią najeżyć, ani zapasami zaopatrzyć, ani zawielu wziąć pachołków, którzyby ciała i sprzętów pana strzegli.

Dziwnito byli żołnierze, z którymi rotmistrzowie niełatwo do sprawy przyjść mogli. Stawał naprzykład towarzysz z kopią na dziewiętnaście stóp długą i w pancerzu na piersiach, ale w słomianym kapeluszu „dla chłodu“ na głowie; inny w czasie musztry na gorąco narzekał, inny ziewał, jadł lub pił, inny pachołka wołał, a wszyscy w szeregu nie pocztywali za rzecz zdrożną gawędzić tak głośno, że rozkazów oficerów nikt słyszeć nie mógł. I trudno było dyscyplinę wprowadzać, bo się o nią bracia urażała mocno, jako godności obywatelskiej przeciwną. Ogłaszano wprawdzie „artykuły“, ale ich słuchać nie chciano.

Kulą żelazną u nóg tego wojska był nieprzeliczony zastęp wozów, koni zapaśnych i pociągowych, była przeznaczonego na spiżę, a zwłaszcza sług pilnujących namiotów, sprzętów, jagieł, krup i bigosów, a wszczynających z lada powodu kłótnie i zamieszanie.

Przeciw takiemu to wojsku zbliżał się od strony Szczecina i nadodrzańskich łęgów Arwid Wittemberg, stary wódz, któremu młodość na wojnie trzydziestoletniej zbiegła, prowadząc siedemnaście tysięcy weteranów w żelazną dyscyplinę ujętych.

Z jednej strony stał bezładny obóz polski, do zbiegowiska jarmarcznego podobny, hałaśliwy, pełen dysput, rozpraw nad rozporządzeniami wodzów i niezadowolenia, złożony z poczciwych wieśniaków, napoczekaniu w plechotę zamienionych i z jegomościów prosto od strzyży owiec oderwanych; z drugiej maszerowały groźne, milczące czworoboki, na jedno skinienie wodzów rozciąga-

jace się z regularnością machin w linie i półkola; zwi-  
rające się w kliny i trójkąty tak sprawnie, jak miecz  
w ręku szermierza; najeżone rurami muszkietów i włó-  
czni, prawdziwi ludzie wojny, zimni spokojni, istni  
rzemieślnicy, którzy do mistrzostwa doszli w rzemiośle.  
Któż z ludzi doświadczonych mógł wątpić, jaki będzie  
rezultat spotkania i na czyję stronę musi paść zwy-  
cięstwo?

Jednakże szlachty ścigało się coraz więcej,  
a przedtem jeszcze poczęli się zjeżdzać dygnitarze wiel-  
kopolscy i innych prowincyj, z pocztami przybocznych  
wojsk i sług. Wkrótce po panu Grudzińskim, zjechał  
do Piły potężny wojewoda poznański, pan Krzysztof  
Opaliński. Trzystu hajduków, przybranych w żółte  
z czerwonym barwy i uzbrojonych w muszkiety, szło  
przed wojewodzińską karetą; tłum dworzan, szlacenty,  
otaczał jego dostojną osobę; za nimi w szyku bojowym  
ciągnął oddział rajtarów w takiej barwy jak i hajducki  
przybranych; sam wojewoda jechał w karecie, mając  
przy sobie błazna, Stacha Ostrożkę, którego obowiąz-  
kiem było posępnego pana przez drogę rozweselać.

Wjazd tak znamienitego dygnitarza, dodał wszy-  
stkim serca i otuchy; tym bowiem którzy spoglądali na  
monarszy niemal majestat wojewody, na tę twarz wspa-  
niałą, w której, zpod wysokiego jak sklepienie czoła,  
świeciły oczy rozumne i surowe, na senatorską powagę  
całej postawy, zaledwie w głowie mogło się pomieścić,  
by jakiś niefortunny los mógł przypaść w udziale takiej  
potędze.

Ludziom, przywykłym do czci dla urzędu i osoby,  
wydawało się, że i sami Szwedzi nie będą chyba śmieli  
wzniesć świętokradzkiej ręki na takiego magnata.

Owszem, ci, którym trwożliwe serce biło w piersiach, uczyli się zaraz bezpieczniejsi pod jego skrzydłami. Witano więc go radośnie i gorąco; okrzyki brzmiały wzdłuż ulicy, którą orszak posuwał się zwolna ku domowi burmistrza, a głowy chyliły się przed wojewodą, widnym jak na dłoni przez szyby pozłocistej karety. Na owe ukłony odpowiadał wraz z wojewodą Ostrożka z taką godnością i powagą, jakby wyłącznie jemu były oddawane.

Zaledwie kurz opadł po przejeździe wojewody poznańskiego, gdy gońcy nadbiegli z oznajmieniem, że jedzie stryjeczny jego brat, wojewoda podlaski, Piotr Opaliński, ze swym szwagrem Jakóbem Rozdrażewskim, wojewodą inowrocławskim. Ci przywieźli każdy po sto pięćdziesiąt ludzi zbrojnych, prócz dworzan i sług. Potem nie mijał dzień, by ktoś z dygnitarzy nie zjechał; jako pan Sędziwój Czarnkowski, szwagier Krzysztofa, a sam kasztelan kaliski; Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński i Paweł Gębicki, pan międzyrzecki. Miasteczko napełniło się tak dalece ludźmi, że domów brakło na pomieszczenie samych tylko dworzan. Przyległe łąki upstrzyły się namiotami pospolitego ruszenia. Rzekłbyś, że wszystko ptastwo różnobarwne zleciało się do Piły z całej Rzeczypospolitej.

Migotały barwy czerwone, zielone, niebieskie, błękitne, białe, na katankach, żupanach, kubrakach i kontuszach, bo pominąwszy pospolite ruszenie, w którym co szlachcic, to inny strój nosił — pominąwszy służbę pańską — i piechota każdego powiatu w inne przybraną była kolory.

Nadjechali i bazarnicy, którzy nie mogąc się w rynku pomieścić, wybudowali rząd szop wedle mia-

steczka. Sprzedawano w nich przybory wojskowe, od szat do broni i jadła. Polowe garkuchnie dymiły przez dzień i noc, roznosząc w dymach zapach bigosów, jagieł, pieczeni — w innych sprzedawano trunki. Przed szopami roiła się szlachta, zbrojna nie tylko w miecze, ale i w łyżki, jedząc, popijając i rozprawiając, to o nieprzyjacielu, którego jeszcze nie było widać, to o nadjeżdżających dygnitarzach, którym nie żałowano przymówek.

Między grupami szlachty chodził Ostrożka, przybrany w odzież zeszytą z pstrych gałganków z berłem zdobnym dzwonekami i miną z głupia frant. Gdzie się pokazał, otaczano go wnet kołem, on zaś podlewał oliwy do ognia, pomagał obmawiać dygnitarzy i zadawał zagadki, nad którymi szlachta tem bardziej brała się za boki, im bardziej były zjadliwe.

Nie szczędzono w nich nikogo.

Pewnego południa nadszedł przed bazar sam wojewoda poznański i wmieszał się między szlachtę, rozmawiając łaskawie, z tym, z owym lub ze wszystkimi i skarżąc się trochę na króla, że wobec zbliżającego się nieprzyjaciela nie przysłał ani jednej chorągwi kwarcianej.

— Nie myślą o nas, mości panowie — mówił — i bez pomocy nas zostawiają. Powiadają w Warszawie, że na Ukrainie i tak wojska zamało i że hetmani nie mogą sobie dać rady z Chmielnickim. Ha, trudno! Miłsza widać Ukraina, niż Wielkopolska... W niełasce jesteśmy, mości panowie, w niełasce! Jako na jatki nas tu wydali...

— A kto winien? — pytał pan Szlichtyng, sędzieja wschowski.

— Kto wszystkim nieszczęściom Rzeczypospolitej

winien? — odparł wojewoda — jużci nie my, bracia szlachta, którzy ją piersiami naszymi zasłaniamy.

Słuchającej szlachcie pochlebiło to wielce, że „hrabia na Bninie i Opalenicy“ sam się na równi z nią stawia i do braterstwa się przyznaje, więc zaraz pan Koszucki odpowiedział:

— Jaśnie wielmożny wojewodo! Gdyby tam więcej takich konsyliarzów było przy majestacie, jak wasza miłość, pewnieby tu nas na rzeź nie wydano... Aleć tam podobno ci rządzą, co się niżej kłaniają.

— Dziękuję, panie bracie, za dobre słowo!... Wina tego, co złych doradców słucha. Wolności to tam nasze solą w oku stoją. Im więcej szlachty wyginie, tem *absolutum dominium* będzie do przeprowadzenia łatwiejsze,

— Zali poto mamy ginąć, aby dzieci nasze w niewoli jęczały?

Wojewoda nic nie odrzekł, a szlachta poczęła spoglądać po sobie i zdumiewać się.

— Więc to tak? — wołały liczne głosy. — Więc poto nas tu pod nóż wysłano? A wierzym! Nie od dziś to o *absolutum dominium* mówią!... Ale skoro na to idzie, to i my potrafimy o naszych głowach pomyśleć!

— I o naszych dzieciach!

— I o naszych fortunach, które nieprzyjaciel *igne et ferro* będzie pustoszył.

Wojewoda milczał.

W dziwny sposób ten wódz dodawał ducha swym żołnierzom.

— Król to wszystkiemu winien! — wołano coraz liczniej.

— A pamiętacie waćpanowie dzieje Jana Olbrachta? — spytał wojewoda.

— Za króla Olbrachta wyginęła szlachta! Zdrada, panowie bracia!

— Król, król zdrajca! — zakrzyknął jakiś głos śmiały.

Wojewoda milczał.

Wtem Ostrożka, stojący przy boku wojewody, uderzył się kilkakroć rękoma po udach i zapiał jak kogut, tak przeraźliwie, że wszystkie oczy zwróciły się na niego.

Następnie zakrzyknął:

— Mości panowie! bracia, serdeńka! posłuchajcie mojej zagadki!

Z prawdziwą zmiennością marcowej pogody oburzenie pospolitaków zmieniło się w jednej chwili w ciekawość i chęć usłyszenia jakiegoś nowego dowcipu błazna.

— Słuchamy! słuchamy! — ozwało się kilkanaście głosów.

Błazen począł mrógać oczyma jak małpa i recytować piskliwym głosem:

Po bracie się pocieszył koroną i żoną,  
Lecz pozwolił, by sławę z bratem pogrzebiono;  
Podkanclerza wypędził — i z tego dziś słynie,  
Że sam jest podkanclerzym... przy podkanclerzynie.

— Król! król! jako żywo! Jan Kazimierz! — zaczęto wołać ze wszystkich stron.

I śmiech ogromny, jakby grzmot, rozległ się w zgromadzeniu.

— Niech go kule biją, jak to misternie ułożył! — wołała szlachta.

Wojewoda śmiał się z innymi; następnie, gdy uci-  
szyło się nieco, rzekł poważniej:

— I za tęto sprawę my musimy teraz krwią  
i głowami nakładać... Ot, do czego doszło!... Ale masz,  
błaznie, dukata za dobrą zagadkę.

— Krzysztofku! Krzychu najmilszy! — odrzekł  
Ostrożka — czemu to na innych napadasz, że trefnisiów  
trzymają, kiedy sam nietylko mnie trzymasz, ale osobno  
za zagadki dopłacasz?... Dajże mnie jeszcze dukata,  
to ci powiem drugą zagadkę.

— Taką samą dobrą?

— Jeno dłuższą... Daj najprzód dukata.

— Masz!

Błazen znów wstrząsnął rękoma, jak kogut skrzy-  
dłami, znów zapiał i zakrzyknął:

— Mości panowie, słuchajcie! Ktoto taki?

Na prywatę narzekał, udawał Katona,  
Od szabli wolał pióro z gęsiego ogona:  
Po zdrajcy chciał spuścizny, a gdy jej nie dostał,  
Wnet totam Republicam ostrym rytmem schłostał.  
Bodajby szablę kochał, mniej byłoby biedy,  
Bo się satyr napewno nie ulękną Szwedy.  
On zaś, ledwie wojennych skosztował kłopotów,  
Już za zdrajcy przykładem, króla zdradzić gotów.

Wszyscy obecni odgadli tak dobrze tę zagadkę,  
jak i poprzednią. Dwa czy trzy zduszone w tejże chwili  
śmiechy ozwały się w zgromadzeniu, poczem zapadła  
cisza głęboka.

Wojewoda stał się czerwony i tem bardziej się  
zmieszał, że wszystkie oczy były w niego utkwione,  
a błazen spoglądał to na jednego szlachcica, to na dru-  
giego, wreszcie ozwał się:



— Nikt z waszmościów nie odgaduje ktoto taki?

A gdy milczenie było jedyną odpowiedzią, wówczas Ostrożka zwrócił się z najbezcześniejszą miną do wojewody:

— A ty Krzychu, zali także nie wiesz o jakimto hultaju była mowa?... Nie wiesz? to płać dukata!

— Masz! — odrzekł wojewoda.

— Bóg ci zapłać!... Powiedzno mi Krzychu: nie starałżeś się ty przypadkiem o podkanclerstwo po Radziejowskim?

— Nie pora na krotofile! — odparł Krzysztof Opaliński.

I skłoniwszy się czapką wszystkim obecnym:

— Czołem waszmościom!... Pora mi na radę wojenną.

— Na radę familijną, chciałeś Krzychu powiedzieć — dodał Ostrożka — bo tam wszyscy krewni radzić będziecie, jakby dać drapaka.

Poczem zwrócił się do szlachty i naśladowując wojewodę w ukłonie, dodał:

— A waćpanom w to graj!

I oddalili się obaj; ale zaledwie uszli kilkanaście kroków, jeden ogromny wybuch śmiechu obił się o uszy wojewody i brzmiał jeszcze długo, zanim utonął w ogólnym gwarze obozu.

Rada wojenna istotnie miała miejsce i wojewoda poznański na niej prezydował. Była to szczególna rada! Brali w niej udział sami tacy dygnitarze, którzy się na wojnie nie znali. Bo magnaci wielkopolscy nie szli i nie mogli iść za przykładem owych „królewiat“ litewskich lub ukraińskich, żyjących w ustawicznym ogniu, jak salamandry.

Tam, co wojewoda lub kanclerz, to był wódz, któremu pancerz wygniatał na ciele nigdy nieschodzące czerwone pręgi, któremu młodość zbiegła na stepach lub w lasach od wschodniej strony, wśród zasadzek, walk, gonitw, w obozach lub taborach. Tu byli to dygnitarze, pilnujący urzędów, a choć w chwilach potrzeby chodzili i oni na pospolite ruszenie, jednakże nigdy nie zajmowali naczelnych w czasie wojen stanowisk. Głębokimi spokojem uspił wojowniczego ducha potomków tych rycerzy, którym niegdyś żelazne hufce krzyżackie nie mogły dotrzymać pola; zmienił w statystów, uczonych i literatów. Dopiero twarda szkoła szwedzka nauczyła ich, czego zapomnieli.

Ale tymczasem zgromadzeni na naradę dygnitarze spoglądali na się niepewnymi oczyma i każdy bał się pierwszy odezwać, czekając, co powie „Agamemnon“, wojewoda poznański.

„Agamemnon“ zaś sam nie znał się poprostu na niczem i mowę swoją rozpoczął znów od narzekań na niewdzięczność i ospałość królewską, na lekkie serce, z jakim całą Wielkopolskę i ich pod miecz wydano. Ale zato jakże był wymowny; jakże wspaniałą czynił postać, prawdziwie rzymskiego senatora godną: głowę przy mówieniu trzymał wzniesioną, czarne jego oczy ciskały błyskawice, usta pioruny, a siwiejąca broda trzęsła się z uniesienia, gdy przyszłe klęski ojczyzny malował.

— W czymże bowiem ojczyzna cierpi? — mówił — jeżeli nie w synach swoich... a my tutaj najpierwej ucierpimy. Po naszymi ziemiach, po naszych prywatnych fortunach, zasługami i krwią przodków zdobytych, przejdzie najprzód noga tych nieprzyjaciół, którzy

jako burza zbliżają się ku nam od morza. I zaco my cierpimy? Zaco zajmą nasze trzody, wydepcą zboża, popalą wsie, pracą naszą zbudowane? Czy myśmy krzywdzili Radziejowskiego, który niesłusznie osądzony i jak zbrodniarz ścigany, obcej protekcji szukać musiał? Nie!... Czy my nastajemy, aby ten próżny tytuł króla szwedzkiego, który już tyle krwi kosztował, był w podpisie naszego Jana Kazimierza zachowany? Nie!... Dwie wojny palą się na dwóch granicach — trzebaż było wywołać i trzecią?... Kto winien, niech go Bóg, niech go ojczyzna sędzi!... My umyjmy ręce, bośmy niewinni tej krwi, która będzie przelaną...

I tak dalej piorunował wojewoda; ale gdy przyszło do właściwej materii, nie umiał rady pożądaney udzielić.

Posłano tedy po rotmistrzów, łanową piechotę dowodzących, a szczególnie po pana Władysława Skoraszewskiego, który był nie tylko rycerz sławny i niezrównany, ale stary praktyk wojenny, znający wojnę jak pacierz. Rad jego istotni nawet wodzowie nieraz słuchali; tem więc skwapliwiej pożądanio ich teraz.

Pan Skoraszewski radził tedy założyć trzy obozy: pod Piłą, Wieluniem i Ujściem, tak blisko, aby w razie napadu mogły sobie wzajem przychodzić w pomoc; a prócz tego całą nadrzeczną przestrzeń, łukiem obozów objętą, obsypać szańcami, któreby nad przepławami panowały.

— Gdy się już okaże — mówił pan Skoraszewski — w którym miejscu nieprzyjacieli będzie przeprawę tentował, tedy się tam ze wszystkich trzech obozów w kupę zbierzemy dać mu wstręt należyty. Ja zaś, za zezwoleniem jwm. panów, pójdę z małym pocztem do

Czaplinka. Stracona to pozycja i wczas się z niej cofnę, ale tam najpierw dowiem się o nieprzyjacielu i jwm. panom dam znać o nim.

Wszyscy zgodzili się na owę radę i poczęto nieco zwawiej krzątać się w obozie. Szlachty zjechało się wreszcie do piętnastu tysięcy. Łanowi sypali szańce na przestrzeni sześciu mil.

Ujście, główną pozycją, zajął ze swymi ludźmi pan wojewoda poznański. Część rycerstwa została w Wieluniu, część w Pile, a pan Władysław Skoraszewski odjechał do Czaplinka, by ztamtąd dawać baczenie na nieprzyjaciela.

Rozpoczął się lipiec; dnie były ciągle pogodne i gorące. Słońce dopiekało na równinach tak mocno, iż szlachta chroniła się po lasach, pomiędzy drzewami, pod których cieniem niektórzy kazali rozbijać swe namioty. Tam też wyprawiano uczy gwarne i hałaśliwe, a jeszcze więcej hałasu czyniła służba, zwłaszcza przy pławieniu i pojeniu koni, których po kilka tysięcy naraz pędzono trzy razy dziennie do Noteci i Brdy, kłócąc się i bijąc o najlepszy przystęp do brzegu.

Duch jednak, pomimo, iż sam wojewoda poznański działał raczej w ten sposób, aby go osłabić, był z początku dobry.

Gdyby Wittemberg był nadszedł w pierwszych dniach lipca, byłby prawdopodobnie napotkał mocny opór, który w miarę rozgrzewania się ludzi do boju, mógłby się zmienić w niezwalczoną wściekłość, jak tego często bywały przykłady. Bo przecież w żyłach tych ludzi, jakkolwiek odwykłych od wojny, płynęła krew rycerska.

Kto wie, czy drugi Jeremi Wiśniowiecki nie zmie-

niłby był Ujścia w drugi Zbaraż i nie zapisał w tych okopach nowej świetnej kariery rycerskiej. Ale właśnie wojewoda poznański, na nieszczęście, mógł tylko pisać, nie walczyć.

Wittemberg, człowiek nietylko wojnę znający, ale i ludzi, może umyślnie się nie śpieszył. Doświadczenie długoletnie uczyło go, że nowozaciężny żołnierz najniebezpieczniejszy jest w pierwszej chwili zapału i że częstokroć nie męstwa mu brak, ale żołnierskiej cierpliwości, którą tylko praktyka wyrabia. Potrafi on nieraz uderzyć, jak nawałnica, na najstarsze pułki i przejść po ich trupach. Jest to żelazo, które, póki czerwone, drga, żyje, sypie iskry, pali, niszczy, a gdy już wystygnie, jest tylko martwą bryłą.

Jakoż, gdy ubiegł tydzień i drugi, a zaczynał się trzeci, długa beczynność poczęła ciężyc pospolitemu ruszeniu. Upały były coraz większe. Szlachta nie chciała wychodzić na musztry, tłómacząc się tem, że „konie, cięte przez bąki, nie chcą ustać na miejscu, a jako że w błotnistej okolicy, od komarów wytrzymać nie można...“

Czeladź wszczyniała coraz większe kłótnie o miejsca cieniste, o które i między panami przychodziło do szabel. Jaki taki, skręciwszy wieczorem od wody, wyjeżdżał chyłkiem z obozu, aby nie wrócić więcej.

Nie brakło i z góry złego przykładu. Pan Skorażewski dał właśnie znać z Czaplinka, że Szwedzi już niedaleko, gdy na radzie wojennej uwolniono do domu pana Zygmunta z Grudnej Grudzińskiego, starościca średzkiego, o co stryj Andrzej, pan wojewoda kaliski, wielce nastawał.

— Jeśli ja mam tu głowę złożyć i gardło dać —

mówił — niechże synowiec po mnie pamięć i sławę odziedziczy, aby zasługa moja nie przepadła.

Tu począł roztkliwiać się nad młodym wiekiem i niewinnością synowca, oraz wynosić jego hojność, z jaką sto piechoty bardzo porządnej dla Rzeczypospolitej na ten termin wystawił. I rada wojenna zgodziła się na prośby stryja.

Zrana dnia 16-go Lipca wyjeżdżał pan starościec w kilkanaście sług otwarcie z obozu do domu, w wigilią niemal oblężenia i bitwy. Tłumy szlachty przeprowadzały go wśród szyderskich okrzyków aż za obóz, a tłumom tym przywodził Ostrożka, który krzyczał zdaleka za odjeżdżającym:

— Mości panie starościecu, daję ci do herbu i nazwiska przydomek: Deest!

— Vivat Deest-Grudziński! — krzyknęła szlachta.

— A nie płacz za stryjem! — wołał dalej Ostrożka — równy on ma z tobą kontempt dla Szwedów i niech się jeno pokażą, pewnie się plecami do nich obróci!

Młodemu magnatowi krew biła do twarzy, ale udawał, że obelg nie słyszy, jeno konia bódł ostrogami i tłumy rozpierał, by jak najprędzej znaleźć się poza obozem i swymi prześladowcami, którzy wkońcu bez uwagi na ród i godność odjeżdżającego, poczęli rzucać grudkami ziemi i krzyzczeć:

— Masz grudkę, Grudziński!! A ho! a huzia! hoc! hoc! szarak! kot!

Uczynił się taki tumult, że aż wojewoda poznański nadbiegł z kilkunastu rotmistrzami uspokajać i tłumaczyć, że starościec tylko na tydzień, dla bardzo pilnych spraw, wziął premissę.

Jednakże zły przykład podziałał — i tego samego dnia znalazło się kilkuset szlachty, którzy nie chcieli być gorszymi od pana starościca, lubo wymykali się z mniejszą asystencją i ciszej. Pan Stanisław Skrzetuski, rotmistrz kaliski, a stryjeczny słynnego zbarszczyka Jana, włosy rwał na głowie, bo i jego łanowcy, idąc za przykładem „towarzystwa“, poczęli „wyciekać“ z obozu. Złożono znów radę wojenną, w której tłumy szlacheckie koniecznie chciały wziąć udział. Nastąpiła noc burzliwa, pełna krzyków, swarów. Podejrzrywano się wzajemnie o zamiar ucieczki. Okrzyki: „Albo wszyscy, albo nikt!“ — przelatywały z ust do ust.

Co chwila zrywały się wieści, że wojewodowie uchodzą — i panował taki rozruch, że wojewodowie musieli się ukazywać po kilkakroć wzburzonym tłumom. Kilkanaście tysięcy ludzi stało do świtania na koniach, wojewoda poznański zaś jeździł między nimi z odkrytą głową, podobien do senatora rzymskiego i powtarzał co chwila wielkie słowa:

— Mości panowie! z wami żyć i i umierać!

Przyjmowano go w niektórych miejscach wiwatami, w innych brzmiały szyderskie okrzyki. On zaś ledwie uciszył tłumy, wracał na radę, spracowany, zachrypły, upojony wielkością własnych słów i przekonany, że tej nocy niepożyte ojczyźnie oddał usługi.

Ale na radzie mniejsze miał słowa na ustach, bo się za brodę i za chochoł targał z rozpacz, powtarzając:

— Radźcie waszmościowie, jeśli umiecie... Ja umyvam ręce od tego, co się stanie, bo z takim żołnierzem niepodobna się bronić.

— Jasnie wielmożny wojewodo! — odpowiadał

pan Stanisław Skrzetuski.— Sam nieprzyjaciel powściągnie tę swawolę i te rozruchy. Niech jeno armaty zagrają, niech przyjdzie do obrony, oblężenia, ta sama szlachta w sprawie własnego gardła musi z wałów służyć, nie w obozie się warcholić. Tak już nieraz bywało!

— Z czem się bronić? Armat nie mamy, jeno nasze wiwatówki, dobre do pukania w czasie uczt.

— Pod Zbarażem Chmielnicki miał siedemdziesiąt dział, a książe Jeremi jeno kilkanaście oktaw i granatników.

— Ale miał wojsko, nie pospolitaków; swoje chorągwie w świecie sławne, nie ichmościów od strzyży owiec.

— Posłać po pana Władysława Skoraszewskiego — rzekł pan Sędziwój Czarnkowski, kasztelan poznański. — Uczynić go obożnym. On ma mir u szlachty i w ryzie utrzymać ją potrafi.

— Posłać po Skoraszewskiego! Poco on ma w Drahiniu czy w Czaplinku siedzieć! — powtórzył pan Jędrzej Grudziński, wojewoda kaliski.

— Tak jest! to najlepsza rada! — zawołały inne głosy.

I wysłano gońca po pana Władysława Skoraszewskiego — innych postanowień na radzie nie powzięto, natomiast mówiono i narzekano wiele na króla, królową, na brak wojska i opuszczenie.

Ranek następny nie przyniósł ni pociechy, ni uspokojenia. Owszem, bezład stał się jeszcze większy. Ktoś puścił nagle wieść, że różnowiercy, mianowicie kalwini, sprzyjają Szwedom i gotowi są przy pierwszej sposobności przejść do nieprzyjaciół. Co więcej, wieści tej nie zaprzeczył ani pan Szlichtyng, ani panowie Kurna-



towscy, Edmund i Jacek, również kalwini, ale ludzie szczerze ojczyźnie oddani. Sami owszem potwierdzili, że różnowiercy tworzą osobne koło i zmagają się ze sobą, pod wodzą znanego warchoła i okrutnika pana Reja, który zamłodu służąc w Niemczech, jako ochotnik po stronie luterskiej, wielkim był Szwedów przyjacielem. Zaledwie tedy te podejrzenia rozbiegły się między szlachtą, natychmiast kilkanaście tysięcy szabel zabłysło i prawdziwa burza rozpoczęła się w obozie.

— Zdrajców karmimy! zmije karmimy, gotowe kasać łono rodzicielki! — wołała szlachta.

— Dawajcie ich sam!

— W pień ich!... Zdrada najzaraźliwsza, mości panowie!... Wyrwać kąkol, bo inaczej zginiemy wszyscy.

Wojewodowie i rotmistrze znów musieli uspokajać, ale przyszło im to jeszcze trudniej, niż dnia poprzedniego. Sami zresztą byli przekonani, że pan Rej gotów najotwarciej zdradzić ojczyznę, bo to był człowiek zupełnie cudzoziemski i prócz mowy, nie miał w sobie nic polskiego. Uchwalono też wysłać go z obozu, co zaraz uspokoiło nieco wzburzonych. Jednakże długo jeszcze zrywały się okrzyki:

— Dawajcie ich sam! Zdrada! zdrada!

Dziwne usposobienie zapanowało w końcu w obozie. Jedni upadli na duchu i pogrążyli się w smutku. Ci chodzili w milczeniu błędnymi krokami wzdłuż wałów, puszczając trwożliwy i posępny wzrok na równiny, któremi miał nadciągnąć nieprzyjaciel lub udzielali szepcą, coraz gorszych nowin.

Innych opanowała szalona, desperacka jakaś wesołość i gotowość na śmierć. Wskutek tej gotowości

wyprawiano ucztę i pijatyki, by wesoło ostatnich dni życia użyć. Niektórzy też myśleli o zbawieniu i noc spędzali na modlitwach. Nikt tylko w całym tym ludzkim tłumie nie myślał o zwycięstwie, jakby ono wcale było niepodobnem, a jednak nieprzyjaciel nie miał sił przewyższających: miał więcej dział i wojska lepiej ćwiczone i wodza, który wojnę rozumiał.

A gdy tak z jednej strony obóz polski wrzał, huczał, ucztował, wzburzał się, uciszał, jak morze wichrem smagane, gdy pospolite ruszenie sejmikowało, niby w czasie elekcji króla — z drugiej strony, po roztoczystych, zielonych łągach nadodrzańskich posuwały się spokojne zastępy szwedzkie.

Szła więc najprzód brygada gwardyi królewskiej; wiódł ją Benedykt Horn, groźny żołnierz, którego imię ze strachem w Niemczech powtarzano; lud doborny, rośli, ubrany w grzebieniaste hełmy z czółnami zachodzącymi na uszy, w żółte skórzane kaftany, zbrojny w rapiery i muszkiety, zimny i uparty w boju i na każde skinienie wodza gotowy.

Karol Szedding, Niemiec, wiódł następną brygadę westgotlandzką, złożoną z dwóch pułków piechoty i jednego ciężkiej rajtaryi, przybranej w pancerze bez naramienników; połowa piechurów miała muszkiety, druga włócznie; przy początku bitwy muszkietnicy stawali na czele, a w razie ataku jazdy cofali się za włóczników, którzy utkwivszy jeden koniec włóczni w ziemię, drugi nadstawiali przeciwko pędzącym koniom. Pod Trzecianną, za czasów Zygmunta III-go, jedna chorągiew hussaryi rozniosła na szablach i kopytach też samą westgotlandzką brygadę, w której obecnie służyli przeważnie Niemcy.

Dwie brygady smalandzkie wiódł Irwin, zwany Bezrękim, bo był prawicę w swoim czasie, broniąc chorągwi, utracił, zato w lewej miał taką siłę, że jednym zamachem odcinał łeb konia; był to żołnierz ponury, kochający tylko wojnę i rozlew krwi, surowy i dla siebie i dla żołnierzy. Gdy inni „kapitanowie“ wyrobili się w ustawicznej wojnie na ludzi rzemiosła, wojnę dla wojny kochających, on pozostał tym samym fanatykiem i mordował ludzi, śpiewając psalmy pobożne.

Brygada westrmalandzka szła pod Drakenborgiem, a helsingerska, złożona ze strzelców w świecie sławnych, pod Gustawem Oxenstierną, krewnym sławnego kanclerza, młodym żołnierzem, wielkie rokującym nadzieje. Nad estgotlandzką pułkownikował Fersen, a nericką i wermlandzką sprawował sam Wittemberg, który zarazem był naczelnym wodzem całej armii.

Siedemdziesiąt dwa działa wyłaczało brózdę po wilgotnych łągach, a wszystkich żołnierzy było 17 tysięcy, groźnych łupieżników całych Niemiec, a w boju tak sprawnych, że zwłaszcza z piechotą, zaledwie królewskie francuskie gwardye mogły się porównać. Za pułkami ciągnęły wozy i namioty, a pułki szły w szyku, w każdej chwili do boju gotowe.

Las włóczył sterczał nad masą głów, hełmów i kapeluszy, a między tym lasem płynęły ku polskiej granicy wielkie chorągwie błękitne z białymi krzyżami wpośrodku.

Z każdym dniem zmniejszała się odległość, dzieląca dwa wojska.

Nakoniec, w dniu 27 lipca, w lesie pod wsią Heinrichsdorfem, ujrzały zastępy szwedzkie po raz pierwszy słup graniczny polski. Na ten widok całe wojsko uczy-

niło okrzyk ogromny, zagrzmiały trąby, kotły i bębny i rozwinęły się wszystkie chorągwie. Wittemberg wyjechał naprzód w asystencji świetnego sztabu, a wszystkie pułki przechodziły przed nim, prezentując broń, jazda z dobytymi rapierami, działa z zapalonymi lontami. Godzina była południowa, pogoda przepyszna. Powietrze leśne pachniało żywicą.

Szara, zalana promieniami słońca droga, którą przechodziły szwedzkie chorągwie, wybiegając z Heinrichsdorfskiego lasu, gubiła się na widnokręgu. Gdy idące nią wojska przeszły wreszcie las, wzrok ich odkrył krainę wesołą, uśmiechniętą, połyskującą żółtawymi łąkami zbóż wszelakich, miejscami usianą dąbrowami, miejscami zieloną od łąk. Tu i owdzie z kęp drzew, za dąbrowami, hen! daleko, podnosiły się dymy ku niebu; na potrawach widniały pasące się trzody. Tam, gdzie na łąkach przeświecała woda rozlana szeroko, chodziły spokojnie bociany.

Jakaś cisza i słodycz rozlana była wszędzie po tej ziemi, mlekiem i miodem płynącej, I zdawała się roztaćcać coraz szerzej i otwierać ramiona przed wojskami, jakby nie najezdników witała, ale gości z Bogiem przybywających.

Na ten widok nowy okrzyk wyrwał się z piersi wszystkich żołdaków, mianowicie rodowitych Szwedów, przywykłych do nagiej, biednej, dzikiej przyrody w kraju ojczystym. Serca łupieskiego a ubogiego ludu wezbrały pragnieniem zagarnięcia tych skarbów i dóstatków, które wpadały im pod oczy. Zapał ogarnął szeregi.

Ale spodziewali się żołdacy, zahartowani w ogniu trzydziestoletniej wojny, że nie przyjdzie im to łatwo,

boć tę ziemię zbożną zamieszkiwał lud rojny, a rycerski, który umiał jej bronić. Żyła jeszcze w Szwecyi pamięć strasznego pogromu pod Kircholmem, gdzie trzy tysiące jazdy pod Chodkiewiczem starło na proch ośmnaście tysięcy najbitniejszego szwedzkiego wojska. W chatach Westgotlandu, Smalandu lub Dalekarlii opowiadało o tych rycerzach skrzydlatych, jak o wielkoludach z sagi. Świeższa była jeszcze pamięć walk za Gustawa Adolfa, bo nie wymarli ludzie, którzy brali w nich udział. Wszakże ów orzeł skandynawski, zanim przeleciał całe Niemcy, po dwakroć połamał szpony o zastępy Koniecpolskiego.

Więc z radością łączyła się w sercach szwedzkich i pewna obawa, której nie był próżen sam wódz naczelny, Wittemberg. Patrzył on na przechodzące pułki piechoty i rajtaryi takim okiem, jakim pasterz patrzy na swą trzodę; następnie zwrócił się do otyłego człowieka, przybranego w kapelusz z piórem i jasną perukę, spadającą na ramiona:

— Wasza miłość upewniaz mnie — rzekł — że z temi siłami można złamać wojska stojące pod Ujściem ?

Człowiek w jasnej peruce uśmiechnął się i odrzekł:

— Wasza miłość może zupełnie polegać na mych słowach, za które głową ręczyć gotowem. Gdyby pod Ujściem były wojska regularne i którykolwiek z hetmanów, tedybym pierwszy radził nie kwapić się i poczekać, aż jego królewska mość z całą armią nadciągnie; ale przeciw pospolitemu ruszeniu i tym panom wielkopolskim siły nasze aż zanadto wystarczą.

— A nie przysłaże im jakowych posiłków ?

— Posiłków nie przyszła z dwóch powodów: po pierwsze dlatego, że wojska wszystkie, których wogóle jest niewiele, zajęte są na Litwie i na Ukrainie; po wtóre, że w Warszawie ani król Jan Kazimierz, ani kanclerze, ani senat, do tej pory nie chcą wierzyć, aby jego królewska mość Karol Gustaw, wbrew rozejmowi i mimo ostatnich poselstw, mimo gotowości do ustępstw, naprawdę rozpoczął wojnę. Ufają, że pokój jeszcze w ostatniej chwili będzie uczyniony... cha! cha!

Tu otyły człowiek zdjął kapelusz, otarł z potu czerwoną twarz i dodał:

— Trubecki i Dołgoruki na Litwie, Chmielnicki na Ukrainie, a my wchodzimy do Wielkopolski... Oto, do czego doprowadziły rządy Jana Kazimierza!

Wittemberg spojrzał na niego dziwnym wzrokiem i zapytał:

— A wasza miłość radujesz się tą myślą?

— A ja raduję się tą myślą, bo moja krzywda i moja niewinność będą pomszczone; a prócz tego widzę już jak na dłoni, że szabla waszej miłości i moje rady włożą tę nową, najpiękniejszą w świecie koronę, na głowę Karola Gustawa.

Wittemberg zapuścił wzrok w dal, objął nim lasy, dąbrowy, łągi i łąny zbożne i po chwili rzekł:

— Tak jest! pięknyto kraj i żyzny... Wasza miłość możesz też być pewien, że po wojnie jego królewska mość nikomu innemu wielkorządztwa tu nie powierzy.

Otyły człowiek zdjął znów kapelusz.

— I ja też nie chcę innego mieć pana — dodał, wznosząc oczy ku niebu.

Niebo było jasne i pogodne, żaden piorun nie

spadł i nie skruszył na proch zdrajcy, który swój kraj, jęczący już pod dwiema wojnami i wyczerpany, wydawał na tej granicy w moc nieprzyjaciela.

Człowiek bowiem rozmawiający z Wittembergiem było Hieronim Radziejowski, były podkanclerzy koronny, obecnie Szwedom przeciwko ojczyźnie zaprzędany.

Stali czas jakiś w milczeniu; tymczasem ostatnie dwie brygady, nerikska i wermlandzka, przeszły granicę, za nimi poczęły się wtaczać działa, trąby ciągle jeszcze grały, a huk kotłów i warczenie bębnow głużyło kroki żołnierzy i napełniało las złowrogimi echami. Wreszcie ruszył i sztab. Radziejowski jechał koło Wittemberga.

— Oxenstierny nie widać: — rzekł Wittemberg — boję się, czy go jaka przygoda nie spotkała. Nie wiem, jeśli to dobra była rada posyłać go jako trębacza z listami pod Ujście.

— Dobra, — odparł Radziejowski — bo obóz zlustrowe, wodzów zobaczy i wyrozumie, co tam myślą, a tegoby lada ciura nie uczynił.

— A jeśli go poznają?

— Jeden Rej go tam zna, a on nasz. Zresztą, choćby go poznali, nie uczynią mu nic złego, jeszcze na drogę opatrzą i nagrodzą... Znam ja Polaków i wiem, że gotowi na wszystko, byle się przed obcymi jako polityczny naród pokazać. Cała usilność nasza w tem, aby nas obcy chwalili... O Oxenstiernę możesz być wasza miłość spokojny, bo włos mu z głowy nie spadnie. Nie widać go, bo i czas był na powrót za krótki.

— A jak wasza miłość sądzisz, sprawią nasze listy jaki skutek?

Radziejowski rozśmiał się.

— Jeżeli pozwolisz mi wasza miłość być prorokiem, to przepowiem, co się stanie. Pan wojewoda poznański, polityczny to człek i uczony, więc nam bardzo politycznie i bardzo grzecznie odpisze; ale, że lubi za rzymianina uchodzić, tedy jego odpowiedź okrutnie będzie rzymska; powie najprzód, że woli ostatnią kroplę krwi wylać, niż poddać się, że śmierć lepsza od niesławy, a miłość, jaką żywi dla ojczyzny, nakazuje mu paść za nią na granicy.

Radziejowski poczał się śmiać jeszcze głośniej, surowa twarz Wittemberga rozjaśniła się także.

— Wasza miłość nie sądzisz, aby on był gotów tak uczynić, jak pisze? — spytał.

— On? — odrzekł Radziejowski. — Prawda, że żywi miłość do ojczyzny, ale inkaustem, a że niezbyt to posilna potrawa, więc i jego miłość chudsza nawet od jego błazna, który mu pomaga rytmy układać. Jestem pewny, że po onej rzymskiej odpowiedzi nastąpią życzenia zdrowia, pomyślności, polecenie się służbom, a nakoniec prośba, byśmy dobra jego i krewnych oszczędzali, za co znów będzie żywił dla nas wdzięczność, wraz ze wszystkimi swymi krewnymi.

— A jakież będzie wostatku skutek naszych listów?

— Że zwątlą ducha do ostatka, że panowie senatorowie rozpoczną z nami układy i że całą Wielkopolskę, bodaj po kilku wystrzałach na wiatr, zajmiemy.

— Obyś wasza miłość był prawdziwym prorokiem...

— Pewien jestem, że tak będzie, bo znam tych ludzi, mam też przyjaciół i stronników w całym kraju



i wiem, jak sobie poczynać... A że niczego nie omieszka, ręczy za to krzywda, która mnie od Jana Kazimierza spotkała i miłość dla Karola Gustawa. Czulsi u nas teraz ludzie na własne fortuny, niż na całość Rzeczypospolitej. Wszystkie te ziemie, po których teraz iść będziem, to fortuny Opalińskich, Czarnkowskich, Grudzińskich, a że oni to właśnie stoją pod Ujściem, więc też i mięksi będą przy układach. Co do szlachty, byle jej wolność sejmikowania zaręczyć, pojedzie i ona śladem panów wojewodów.

— Wasza miłość niepożyte swą znajomością kraju i ludzi oddajesz jego królewskiej mości usługi, które nie mogą być bez równie znakomitej nagrody. Z tego, co od waszej miłości słyszę, wnioskuje, że mogę tę ziemię jako naszą uważać.

— Możesz wasza miłość! możesz! możesz! — powtórzył skwapliwie po kilkakroć Radziejowski.

— A więc zajmuję ją w imieniu jego królewskiej mości Karola Gustawa — odparł poważnie Wittemberg.

Gdy tak wojska szwedzkie poczęły deptać za Heinrichsdorfem ziemię wielkopolską, poprzednio jeszcze, bo w dniu 18-ym lipca, przybył do obozu polskiego trębacz szwedzki z listami do wojewodów od Radziejowskiego i Wittemberga.

Pan Władysław Skoraszewski sam poprowadził go do wojewody poznańskiego, a szlachta z pospolitego ruszenia gapiła się ciekawie na „pierwszego Szweda“, podziwiając jego dzielną postawę, twarz męską, żółty wąs, zaczesany w końcach do góry w szeroką szczytkę i minę prawdziwie pańską. Tłumy przeprowadziły go do wojewody, znajomi zwoływali się nawzajem, pokazywano go palcami, śmiano się trochę z bótów zakoń-

czonych ogromną kolistą cholewą i z długiego, prostego rapiera, który różnem przezywano, wiszącego na pendencie, suto srebrem haftowanym; Szwed zaś rzucał także ciekawie oczyma zpod szerokiego kapelusza, jakby chciał obóz zlustrować i siły przeliczyć, to znów przypatrywał się tłumom szlachty, której wschodni ubiór widocznie był dla niego nowością.

Nakoniec wprowadzono go do wojewody, u którego zgromadzeni byli wszyscy dygnitarze, znajdujący się w obozie.

Wnet przeczytano listy i rozpoczęła się narada, trębacza zaś polecił pan wojewoda swym dworzanom, aby uczęstowano go po żołniersku; od dworzan odebrała go szlachta i podziwiając go ciągle, jako osobliwość, poczęła z nim pić na umór.

Pan Skoraszewski przypatrywał mu się również pilnie, ale z tego powodu, iż podejrzewał, że to jakiś oficer za trębacza przebrany; poszedł nawet z tą myślą wieczorem do pana wojewody; ten jednak odrzekł, iż to jest wszystko jedno i aresztować go nie pozwolił.

— Choćby to był i sam Wittemberg, — rzekł — jako poseł tu przybył i odjechać spokojnie powinien... Jeszcze mu każę dać dziesięć dukatów na drogę.

Trębacz tymczasem gawędził łamaną niemczyzną z tymi ze szlachty, którzy ten język przez stosunki z miastami pruskimi rozumieli i opowiadał im o zwycięstwach, przez Wittemberga w różnych krajach odniesionych, o siłach, jakie ku Ujściu idą, a zwłaszcza o działach nieznaney dotąd doniosłości, którym nie masz sposobu opierać się. Strapiła się też tem szlachta niemało i różne przesadne wieści poczęły wnet krążyć po obozie.

Tej nocy prawie nikt nie spał w całym Ujściu, bo najprzód koło północy nadeszli ci ludzie, którzy dotychczas w osobnych stali obozach pod Piłą i Wieluniem. Dygnitarze radzili nad odpowiedzią do białego dnia, a szlachcie czas schodził na opowiadaniach o potędze szwedzkiej.

Z pewną gorączkową ciekawością wypytywano trębacza o wodzów, wojsko, broń, sposób walczenia i podawano sobie z ust do ust każdą jego odpowiedź. Bliskość szwedzkich zastępów dodawała niezwykłego interesu wszelkim szczegółom, które nie były tego rodzaju, aby mogły dodać otuchy.

O świtaniu nadjechał pan Stanisław Skrzetuski z wieścią, że Szwedzi przyciągnęli już pod Wałcz, o jeden dzień marszu od polskiego obozu. Powstała natychmiast sroga krętanina; większość koni wraz ze służbą była na paszy na łąkach, więc posyłano po nie na gwałt. Powiaty siadały na koni i stawały chorągwiemi. Chwila przed bitwą bywa dla niewyćwiczonego żołnierza najstraszniejszą; więc zanim rotmistrze zdolali wprowadzić jaki taki porządek, przez długi czas panowało przerażające zamieszanie.

Nie było słyhać ni komendy, ni trąbek, tylko głosy wołające ze wszystkich stron: „Janie! Piotrze! Onufry! bywaj!... Żeby cię zabito! dawaj konie!... Gdzie moja służba?... Janie! Piotrze!“ Gdyby w tej chwili rozległ się jeden strzał działowy, zamieszanie łatwo w popłoch zamieniłoby się mogło.

Zwolna jednak powiaty stawały w ordynku. Przyrodzone usposobienie szlachty do wojny, zastąpiło poniekąd brak doświadczenia i około południa przedstawiał już obóz dość imponujący widok. Piechota stała

na wałach, podobna do kwiatów w swych różnobarwnych kabatach; dymy unosiły się z zapalonych lontów, a na zewnątrz wałów, pod zasłoną dział, łągi i równina zaroiły się powiatowemi chorągwiami jazdy, w szyku stojącej na dzielnych koniach, których rżenie budziło echo w pobliskich lasach i napełniało serca zapalem wojennym.

Tymczasem wojewoda poznański wyprawił trębacza z odpowiedzią na listy, brzmiącą mniej więcej tak, jak przepowiedział Radziejowski, a zatem polityczną zarazem i rzymską; poczem postanowił wysłać podjazd na północny brzeg Noteci dla pochwylenia nieprzyjacielskiego języka.

Piotr Opaliński, wojewoda podlaski, stryjeczny wojewody poznańskiego, miał ruszyć własną osobą z półjazdem, wraz ze swymi dragonami, których sto pięćdziesiąt pod Ujście przyprowadził, a oprócz tego polecono panom rotmistrzom, Skoraszewskiemu Władysławowi i Skrzetuskiemu, wezwać ochotnika ze szlachty, do pospolitego ruszenia należącej, aby i ona zajrzała już przecie w oczy nieprzyjacielowi.

Jeździli tedy obaj przed szeregiem, czyniąc rozkosz oczom moderunkiem swym i postawą; pan Stanisław czarny jak żuk, na podobieństwo wszystkich Skrzetuskich, z twarzą męską, groźną i ozdobioną długą ukośną blizną, od cięcia miecza pozostałą, z kruczą rozwianą na wiatr brodą; pan Władysław tłustawy, z długimi jasnymi wąsami, z odwiniętą wargą dolną i oczyma w czerwonych obwódkach, łagodny i poczciwy, mniej przypominał Marsa, ale niemniej była to szczerza dusza żołnierska, jak salamandra w ogniu się kochająca, rycerz znający wojnę, jako swoje dziesięć

palców i odwagi nieporównanej. Obaj, przejeżdżając szeregi wyciągnięte w długą linią, powtarzali co chwila:

— A nuże, mości panowie, kto na ochotnika pod Szweda? Kto rad prochu powąchać! Nuże, mości panowie, na ochotnika!

I tak przejechali już spory kawał — bez skutku, bo z szeregów nie wysuwał się nikt. Jeden oglądał się na drugiego. Byli tacy, którzy mieli ochotę, i nie strach przed Szwedami, ale nieśmiałość ich wstrzymywała. Niejeden trącał sąsiada łokciem i mówił: „Pójdiesz ty, to i ja pójdę“.

Rotmistrze poczynali się niecierpliwić, aż nagle, gdy przyjechali przed powiat gnieźnieński, jakiś człowiek pstro ubrany wyskoczył na kucu nie z szeregu, ale z za szeregu i krzyknął:

— Mości panowie pospolitaki, ja zostaję ochotnikiem, a wy błaznami!

— Ostrożka! Ostrożka! — zawołała szlachta.

— Taki dobry szlachcic, jak i każdy! — odpowiedział błazen.

— Tfu! do stu dyabłów! — zawołał pan Rosiński, podsędek — dość błazeństw! idę ja!

— I ja! i ja! — zawołały liczne głosy.

— Raz mnie matka rodziła, raz mi śmierć!

— Znajdą się tacy dobrzy, jak i ty!

— Każdemu wolno! Niech się tu nikt nad drugich nie wynosi.

I jak poprzednio nikt nie stawał, tak teraz zaczęła się sypać szlachta ze wszystkich powiatów — prześcigać końmi, zawadzać jedni o drugich i kłócić naprędce. Stało w mgnieniu oka z pięćset koni, a jeszcze ciągle wyjeżdżano z szeregów. Pan Skoraszewski

począł się śmiać swoim szczerym, poczciwym śmiechem i wołać:

— Dosyć, mości panowie, dosyć! Nie możemy iść wszyscy.

Poczem obaj ze Skrzetuskim sprawili ludzi i ruszyli naprzód.

Pan wojewoda podlaski połączył się z nimi przy wyjściu z obozu. Widziano ich jak na dłoni, przeprawiających się przez Noteć — poczem zamigotali jeszcze kilkakrotnie na skrętach drogi i znikli z oczu.

Po upływie pół godziny, pan wojewoda poznański kazał rozjeżdżać się ludziom do namiotów, uznał bowiem, że niepodobna ich trzymać w szeregach, gdy nieprzyjaciel jeszcze o dzień drogi odległy. Porozstawiano jednak liczne straże; nie pozwolono wyganiać koni na paszę i wydano rozkaz, że za pierwszym cichem zatrąbieniem przez munsztuk, wszyscy mają siadać na koń i stawać w gotowości.

Skończyło się oczekiwanie, niepewność, skończyły się zaraz swary, kłótnie; owszem: bliskość nieprzyjaciela, jak powiadał pan Skrzetuski, podniosła ducha. Pierwsza szczęśliwa bitwa mogła go nawet podnieść bardzo wysoko i wieczorem zdarzył się wypadek, który zdawał się być nową szczęśliwą wróżbą.

Słońce właśnie zachodziło, oświecając ogromnym, rażącym oczy blaskiem Noteć i zanoteckie bory, gdy po drugiej stronie rzeki ujrzano najprzód tuman kurzu, a potem poruszających się w tumanie ludzi. Wyległo, co żyło, na wały patrzeć, coto za goście; wtem od straży nadbiegł dragon z chorągwi pana Grudzińskiego, dając znać, że podjazd wraca.

— Podjazd wraca!... wracają szczęśliwie!...

Nie zjedli ich Szwedzi! — powtarzane z ust do ust w obozie.

Oni tymczasem, w jasnych kłębach kurzu, zbliżali się coraz bardziej, idąc wolno, następnie przepawali się przez Noteć.

Szlachta przypatrywała im się z rękoma nad oczami, bo blask czynił się coraz większy i całe powietrze przesycone było złotem i purpurowym światłem.

— Hej! coś ich kupa większa, niż wyjechała! — rzekł pan Szlichtyng.

— Jeńców chyba prowadzą, jak mnie Bóg miły! — zakrzyknął jakiś szlachcic, widocznie tchórzem podszyty, który oczom swoim wierzyć nie chciał.

— Jeńców prowadzą! jeńców prowadzą!...

Oni tymczasem zbliżyli się już tak, że twarze można było rozróżnić. Na przedzie jechał pan Skoraszewski, kiwając swym zwyczajem głową i gawędząc wesoło ze Skrzetuskim, za nimi duży oddział konny otaczał kilkudziesięciu piechurów, przybranych w koliste kapełuszki. Byli to istotnie jeńcy szwedzcy.

Na ten widok nie wytrzymała szlachta i puściła się naprzeciw wśród okrzyków:

— Vivat Skoraszewski! Vivat Skrzetuski!

Gęste tłumy otoczyły wnet cały oddział. Jedni patrzyli na jeńców, drudzy wypytywali się: „Jako było“ — inni wygrażali Szwedom.

— A hu! A co?! Dobrze wam psiajuchy!... Z Polakami zachciało się wam wojować? Macie teraz Polaków!!

— Dawajcie ich sam!... Na szable ich!... Bigosować!...

— Ha, szołdry! ha, pludraki! popróbowaliście polskich szabel?!

— Mości panowie, nie krzyczcie jak wyrostki, bo jeńcy pomyślą, że wam wojna pierwszyczna! — rzekł pan Skoraszewski. — Zwyczajna to rzecz, że się jeńców w czasie wojny bierze.

Ochotnicy, którzy należeli do podjazdu, spoglądali z dumą na szlachtę, która zarzucała ich pytaniami.

— Jakżeto? Łatwo wam się dali? Czy musieliście się zapocić? Dobrze się biją?

— Dobrzy pachołkowie, — odparł pan Rosiński — bronili się znacznie, ale przecie nie z żelaza. Szabla się ich ima.

— Taki nie mogli wam się oprzeć, co?

— Impetu nie mogli wytrzymać.

— Mości panowie, słyszyście, co mówią: impetu nie mogli wytrzymać!... A co?... Impet, to grunt!...

— Pamiętajcie, byle z impetem!... Najlepszy to sposób na Szweda!

Gdyby tej szlachcie kazano w tej chwili skoczyć na nieprzyjaciela, niechybnie nie zabrakłoby jej impetu, ale tymczasem nieprzyjaciela nie było widać — natomiast, dobrze już w noc, rozległ się głos trąbki przed forpocztami. Przybywał drugi trębacz z listem od Wittemberga, wzywającym szlachtę do poddania się. Tłumy, dowiedziawszy się o tem, chciały posłańca rozsiekać, ale wojewodowie wzięli list do deliberacji, choć treść jego była bezczelna.

Jenerał szwedzki oświadczał, że Karol Gustaw posyła swe wojska krewnemu Janowi Kazimierzowi, jako posiłki przeciw Kozakom, że zatem Wielkopolanie powinni się poddać bez oporu. Pan Grudziński, czytając



to pismo, nie mógł wstrzymać oburzenia i pięścią w stół uderzył, ale wojewoda poznański wnet uspokoił go pytaniem:

— Wierzysz waszmość w zwycięstwo?... Ile dni mogę się bronić?... Chceszli wziąć odpowiedzialność za tyle krwi szlacheckiej, która jutro może być przelaną?...

Po dłuższej naradzie postanowiono nie odpowiadać i czekać, co się stanie. Nie czekano już długo. W sobotę, d. 24 lipca, strażę dały znać, że całe wojsko szwedzkie ukazało się naprzeciw Piły. W obozie zawrzało jak w ulu w wilią wyroju.

Szlachta siadała na koni, wojewodowie przebiegali szeregi, wydając sprzeczne rozkazy, aż dopiero pan Władysław wziął wszystko w ręce i przyprowadziwszy do porządku, wyjechał na czele kilkuset ochotników, by popróbować harców za rzeką i ludzi z widokiem nieprzyjaciół oswoić.

Szła z nim jazda dość ochotnie, bo harce składały się zwykle z szeregu walk prowadzonych niewielkimi kupami lub pojedynczo, a takich walk, ćwiczona w sztuce robienia szablą, szlachta nie lękała się wcale. Wyszli więc za rzekę i stanęli w obliczu nieprzyjaciela, który zbliżał się coraz bardziej i czerniał długą linią na horyzoncie, jakoby bór świeżo z ziemi wyrosły. Rozwijały się więc pułki konne, piesze, ogarniając coraz szerszą przestrzeń.

Szlachta spodziewała się, że lada chwila sypną się ku niej harcownicy, rajtarzy, ale tymczasem nie było ich widać. Natomiast na wzgórzach, odległych o kilkaset kroków, zatrzymały się niewielkie kupki, w których widać było ludzi i konie i poczęły kręcić się na miejscu,

co ujrawszy pan Skoraszewski, zakomenderował bez zwłoki:

Lewo — w tył!

Ale jeszcze nie przebrzmiał głos komendy, gdy na wzgórkach wykwitły długie białe smugi dymu i niby ptastwo jakieś przeleciało ze świstem między szlachtą, potem huk wstrząsnął powietrzem, a jednocześnie rozległy się krzyki i jęki kilku rannych.

— Stój! — krzyknął pan Władysław.

Ptastwo przeleciało po raz drugi i trzeci — i znów świstowi zawtórowały jęki. Szlachta nie słuchała komendy naczelnika, owszem ustępowała coraz szybciej, krzycząc i pomocy niebieskiej wzywając — następnie oddział rozproszył się w mgnieniu oka po równinie i ruszył skokiem ku obozowi. Pan Skoraszewski kłął — nic nie pomogło.

Zegnawszy tak łatwo harcowników, Wittemberg posuwał się dalej, aż wreszcie stanął naprzeciw Ujścia, wprost przed szańcami, bronionemi przez szlachtę kaliską. Polskie armaty poczęły grać w tejże chwili, ale zrazu nie odpowiadano na owe salwy ze strony szwedzkiej. Dymy układały się spokojnie w jasnym powietrzu w długie pasma, rozciągające się między wojskami, a przez luki między niemi widziała szlachta pułki szwedzkie, piechoty i jazdy, rozwijające się ze straszliwym spokojem, jak gdyby pewne zwycięstwa.

Na wzgórzach zataczano armaty, podsypywano szańczyki, słowem, nieprzyjaciel szykował się, nie zwracając najmniejszej uwagi na kule, które nie dolatując do niego, obsypywały jeno piaskiem i ziemią pracujących przy szańczykach.

Wyprowadził jeszcze pan Stanisław Skrzetuski

dwie chorągwie Kaliszanów, chcąc śmiałym atakiem zmieszać Szwedów, ale nie poszli ochotnie; oddział rozciągnął się zaraz w bezładną kupę, bo gdy odważniejsi parli konie naprzód, tchórzliwsi wstrzymywali je umyślnie. Dwa pułki rajtaryi, wysłanej przez Wittemberga, po krótkiej walce spędziły z pola szlachtę i gnały pod obóz.

Tymczasem zapadł zmrok i zakończył bezkrwawą walkę.

Strzelano jednak z dział aż do nocy, poczem strzały umilkły, ale w obozie polskim podniosła się taka wrzawa, że słyhać ją było na drugim brzegu Noteci. Powstała ona najprzód z tego powodu, że kilkaset pospolitaków próbowało wymknąć się w ciemnościach z obozu. Inni spostrzegłszy to, poczęli grozić i nie puszczać. Brano się do szabel. Słowa „Albo wszyscy, albo nikt!“ znowu przelatywały z ust do ust. Lecz z każdą chwilą stawało się prawdopodobniejszem, że ujdą wszyscy. Wybuchło wielkie niezadowolenie z wodzów: „Wysłano nas z gołemi brzuchami przeciw armatom!“ — wołali pospolitacy.

Oburzano się również i na Wittemberga, że nie szanując zwyczajów wojennych, przeciw harcownikom nie harcowników wysyła, ale z armat ognia do nich niespodzianie każe dawać. „Każdy poczyna sobie, jak mu lepiej — mówiono — ale świńskiego to narodu obyczaj, czołem do czoła nie stanąć.“ Inni rozpaczali otwarcie. „Wykurzą nas ztąd, jak jaźwca z jamy“ — mówili desperaci. „Obóz źle zatoczony, szańce źle usypane, miejsce do obrony niestosowne.“ Od czasu do czasu odzywały się głosy: „Panowie bracia! ratujcie się!“ A inne wołały: „Zdrada! zdrada!“

Była to noc straszna: zamieszanie i rozprzężenie wzrastało z każdą chwilą; rozkazów nikt nie słuchał. Wojewodowie potracili głowy i nie próbowali nawet przywrócić ładu. Niedołęstwo ich i niedołęstwo pospolitego ruszenia okazywało się jasno, jak na dłoni. Wittenberg mógłby był tej nocy wziąć wstępnym bojem obóz z największą łatwością.

Nastał świt.

Dzień czynił się blady, chmurny i oświecił chaotyczne zbiorowisko ludzi, upadłych na duchu, lamentujących, w znacznej części pijanych, gotowszych na hańbę, niż na walkę. Na domiar złego, Szwedzi, przeprawili się nocą pod Dziębowem na drugą stronę Noteci i otoczyli obóz polski.

Z tej strony nie było prawie wcale szaińców i nie było zza czego się bronić. Należało otoczyć się wałem bez straty chwili czasu. Skoraszewski i Skrzetuski zaklinali, by to uczyniono, ale nikt już nie chciał o niczem wiedzieć.

Wodzowie i szlachta mieli na ustach jedno słowo: „paktować!“ Wysłano parlamentarzy. W odpowiedzi przybył z obozu szwedzkiego świetny orszak, na czele którego jechali: Radziejowski i generał Wirtz, obaj z zielonemi gałęziami.

Jechali ku domowi, w którym stał wojewoda poznański, ale po drodze zatrzymywał się Radziejowski wśród tłumów szlachty, kłaniał się gałęzią i kapeluszem, uśmiechał się, witał znajomych i mówił donośnym głosem:

Mości panowie, bracia najmilsi! Nie trwóście się! Nie jako wrogowie tu przybywamy. Od was samych zależy, by kropla krwi więcej nie była wytoczona. Jeżeli

chcecie zamiast tyrana, który nastaje na wolności wasze, który o *absolutum dominium* zamyśla, który ojczyznę do ostatniej zguby przywiódł, jeżeli chcecie, powtarzam, pana dobrego, wspaniałego, wojownika tak niezmiernej sławy, że na samo imię jego pierzchną wszyscy nieprzyjaciele Rzeczypospolitej — to oddajcie się w protekcję najjaśniejszemu Karolowi Gustawowi... Mości panowie, bracia najmils! Oto wiozę ze sobą poręczenie wszelkich swobód waszych, waszej wolności, religii. Od was samych ocalenie wasze zależy... Mości panowie! Najjaśniejszy król szwedzki podejmuje się przytłumić rebelią kozacką, zakończyć wojnę litewską i on jeden to uczynić potrafi. Ulitujcie się nad ojczyzną nieszczęsną, jeśli nad sobą nie macie litości...

Tu głos zdrajcy zadrgał, jakoby łzami przydużony. Słuchała szlachta w zdumieniu, gdzie indziej rzadkie głosy zakrzyknęły: „Vivat Radziejowski, nasz podkanclerzy!“ — a on przejeżdżał dalej i znów się kłaniał nowym tłumom i znów słyhać było jego tubalny głos: „Mości panowie, bracia najmils!“ Nakoniec obaj z Wirtzem i całym orszakiem znikli w domu wojewody poznańskiego.

Szlachta tłoczyła się przed domem tak ciasno, że po głowach można było przejechać, bo czuła to i rozumiała, że tam w tym domu toczy się sprawa nietylko o nią, ale i o całą ojczyznę. Wyszli słudzy wojewodzińscy w szkarłatnych barwach i poczęli zapraszać poważniejszych „personatów“ do środka. Ci weszli skwapliwie, a za nimi wdarło się kilku mniejszych, a reszta stała pod drzwiami, tłoczyła się do okien, przykładając uszy nawet do ścian.

Milczeniem panowało w tłumach głębokie. Stojący bliżej okien słyszeli od czasu do czasu gwar donośnych głosów, wydobywający się z wnętrza izby, jakoby echa kłótni, dysput, sporów... Godzina upływała za godziną — końca tej naradzie nie było.

Nagle drzwi wchodowe otworzyły się z trzaskiem i wypadł z nich pan Władysław Skoraszewski.

Obecni cofnęli się w przerażeniu.

Ten człowiek, zwykle tak spokojny i łagodny, o którym mówiono, że rany mogły się goić pod jego ręką, wyglądał teraz strasznie. Oczy miał czerwone, wzrok obłąkany, odzież rozchlastaną na piersiach; obu rękoma trzymał się za czuprynę i tak wpadłszy, jak piorun, między szlachtę, krzychał przeraźliwym głosem:

— Zdrada! morderstwo! hańba! Jesteśmy Szwecją już, nie Polską!

I począł ryczeć okropnym głosem, spazmatycznym płaczem i rwać włosy, jak człowiek, który rozum traci. Grobowe milczenie panowało dokoła. Straszne jakieś uczucie ogarnęło wszystkie serca.

Skoraszewski zaś zerwał się nagle, począł biegać między szlachtą i wołać głosem najwyższej rozpacz:

— Do broni! Do broni, kto w Boga wierzy! Do broni! do broni!

Wówczas jakieś szmery zaczęły przelatywać po tłumach, jakieś szepty chwilowe, nagłe, urywane, jak pierwsze uderzenia wiatru przed burzą. Wahały się serca, wahały umysły, a w tej rozterce powszechnej uczuć, tragiczny głos wołał ciągle:

— Do broni! do broni!

Wkrótce zawtórowały mu dwa inne: pana Piotra Skoraszewskiego i pana Skrzetuskiego — za nimi nad-

biegł i Kłodziński, dzielny rotmistrz powiatu poznańskiego.

Coraz większe koło szlachty poczęło ich otaczać. Czynił się naokoło szmer groźny, płomienie przebiegały twarze i strzelały z oczu, trzaskano szablami. Władysław Skoraszewski opanował pierwsze uniesienie i począł mówić, ukazując na dom, w którym odbywała się narada:

— Słyszycie, mości panowie, oni tam ojczyznę zaprzędają, jak judasze i hańbią! Wiedźcie, że już nie należym do Polski. Mało im było wydać w ręce nieprzyjaciela was wszystkich, obóz, wojsko, działa. Bogdaj ich zabito! jeszcze podpisali w swoim i waszem imieniu, że wyrzekamy się związku z ojczyzną, wyrzekamy się pana, że cała kraina, grody, warownie i my wszyscy będziemy po wieczne czasy do Szwecyi należeć. Że się wojsko poddaje, to bywa; ale kto ma prawo ojczyzny i pana się wyrzekać?! Kto ma prawo prowincyą odrywać, z obcymi się łączyć, do innego narodu przechodzić, krwi własnej się wyrzekać?! Mości panowie, to hańba, zdrada, morderstwo, paricydyum!... Ratujcie ojczyznę, panowie bracia! Na imię Boga! kto szlachcic, kto cnotliwy, ratunku dla matki! Życie dajmy, krew wylejmy! Nie chciejmy być Szwedami, nie chciejmy, nie chciejmy!... Bogdaj się nie rodził, kto krwi teraz poskąpi!... Ratujmy matkę!!

— Zdrada! — krzyknęło już kilkadziesiąt głosów. — Zdrada! rozsiekać!

— Do nas, kto cnotliwy! — krzyczał Skrzetuski.

— Na Szweda! na śmierć! — dodał Kłodziński.

I poszli dalej w obóz, krzycząc: „Do nas! do

kupy! zdrada!“ — a za nimi ruszyło już kilkuset szlachty z gołemi szablami.

Ale większość niezmierna została na miejscu, a i z tych, co poszli, jaki taki spostrzegłszy, że ich niewiele, poczynął się oglądać i przystawiać.

A tymczasem drzwi radnego domu otworzyły się znowu i ukazał się w nich pan wojewoda poznański, Krzysztof Opaliński, mając po prawej stronie generała Wirtza, po lewej Radziejowskiego. Za nimi szli: Andrzej Karol Grudziński, wojewoda kaliski, Maksymilian Miaskowski, kasztelan krzywiński, Paweł Gębicki, kasztelan międzyrzecki i Andrzej Słupski.

Krzysztof Opaliński trzymał w ręku zwój pergaminowy ze zwieszającymi się pieczęciami; głowę miał podniesioną, ale twarz bladą, a wzrok niepewny, choć widocznie silił się na wesołość. Ogarnął oczyma tłumy i wśród ciszy śmiertelnej począł mówić dobitnym, lubo nieco zachrypłym głosem:

— Mości panowie! W dniu dzisiejszym poddał się pod protekcją najjaśniejszego króla szwedzkiego. Vivat Carolus Gustavus rex!

Cisza odpowiedziała wojewodzie; nagle zabrzmiał jakiś pojedynczy głos:

— Veto!

Wojewoda powlókł oczyma w kierunku tego głosu i odrzekł:

— Nie sejmik tu, więc i veto nie na miejscu. A kto chce wetować, niechajże idzie na armaty szwedzkie ku nam wymierzone, które w godzinę z całego obozu jedno rumowisko uczynić mogą.

Tu umilkł, a po chwili spytał:

— Kto mówił: „veto?“



Nikt się nie ozwał.

Wojewoda znów zabrał głos i mówił jeszcze dobitniej :

— Wszelkie wolności szlachty i duchowieństwa będą zachowane, podatki nie będą powiększone a i wybierane będą w tenże sam sposób, jak poprzednio... Nikt nie będzie cierpiał krzywd, ani grabieży; wojska jego królewskiej mości nie mają prawa do konsystencji w dobrach szlacheckich, ani do innej egzakcyi, niż taka, z jakiej komputowe polskie chorągwie korzystały...

Tu umilkł i słuchał chciwie szmeru szlacheckiego, jakby chciał wyrozumieć jego znaczenie, poczem skinął ręką :

— Prócz tego mamy słowo i obietnicę generała Wittemberga, daną w imieniu jego królewskiej mości, iż jeśli cały kraj pójdzie za naszym zbawiennym przykładem, wojska szwedzkie wnet ruszą na Litwę i Ukrainę i nie wprzód ustaną wojować, aż wszystkie ziemie i wszystkie zamki będą Rzeczypospolitej powrócone. Vivat Carolus Gustavus rex!

— Vivat Carolus Gustavus rex! — zawołało kilkaset głosów.

— Vivat Carolus Gustavus! — brzmiało coraz donośniej w całym obozie.

Tu na oczach wszystkich wojewoda poznański zwrócił się do Radziejowskiego i uściskał go serdecznie, potem uściskał Wirtza; poczem wszyscy poczęli się ściskać z sobą. Szlachta poszła za przykładem dygnitarzy i radość stała się powszechną. Wiwatowano już tak, że aż echa rozbrzmiewały w całej okolicy. Ale wojewoda poznański prosił jeszcze miłą brać o chwilę ciszy i rzekł serdecznym tonem:

— Mości panowie! Jenerał Wittemberg prosi nas dziś na ucztę do swego obozu, abyśmy przy kielichach sojusz braterski z mężnym narodem zawarli.

— Viwat Wittemberg! vivat! vivat! vivat!

— A potem, mości panowie — dodał wojewoda — rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili.

— Potomne wieki oddadzą nam sprawiedliwość — rzekł Radziejowski.

— Amen! — dokończył wojewoda poznański.

Wtem spostrzegł, że oczy mnóstwa szlachty patrzą i przypatrują się czemuś wyżej, ponad jego głowę.

Obrócił się i ujrzał swego błazna, który wspinając się na palce i trzymając jedną ręką za odrzwia, pisał węglem na ścianie radnego domu, tuż nade drzwiami:

„*Mane — Tekel — Fares*“.

Na świecie niebo pokryło się chmurami i zbierało się na burzę.

---

## ROZDZIAŁ XI.

---

We wsi Burzec, położonej w ziemi Łukowskiej, na pograniczu województwa Podlaskiego, a należącej podówczas do państwa Skrzetuskich, w sadzie, między dworem a stawem, siedział na ławie stary człowiek, a przy nogach jego bawiło się dwóch chłopaków: jeden pięcio, drugi czteroletni, czarnych i opalonych, jak cyganiątka, a rumianych i zdrowych. Stary człek również czerstwo jeszcze wyglądał, jak tur. Wiek nie zgarbił szerokich jego ramion; z oczu, a raczej z oka, bo jedno miał bielmem pokryte, patrzyło mu zdrowie i dobry humor; brodę miał białą, ale minę gęstą i twarz czerwoną, zdobną na czole w szeroką bliznę, przez którą było widać kość czaszki.

Obaj chłopaki, chwyciwszy za uszy od cholewy jego bóta, ciągnęły je w przeciwną stronę, a on patrzył na staw, oświecony blaskami słonecznymi, w którym ryby rzucały się gęsto, łamiąc gładką powierzchnię toni.

— Ryby tańczą — mrucał sam do siebie. — Nie bójcie się, będziecie wy jeszcze lepiej tańcowały po spuście, albo gdy was kucharka będzie nożem skrobała.

Poczem zwrócił się do chłopaków:

— Odczepcie się basałyki od cholewy, bo jak który ucho urwie, to i ja mu urwę. Co za bąki uprzykrzone! Idźcie kulki przewracać po trawie i dajcie mi spokój! Longinkowi się nie dziwię, bo młodszy, ale Jareмка winien mieć już rozum. Wezmę którego utrapieńca i w staw wrzucę!

Ale stary widocznie okrutnie był zawojowany przez chłopaków, bo żaden z nich nie uląkł się groźby; natomiast starszy Jareмка począł go jeszcze silniej ciągnąć za cholewę, tupać nogami i powtarzać:

— Żeby dziadzio był Bohunem i porwał Longinka.

— Odczep się, ty żuku, mówię ci, ty smyku, ty gomółko!

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Dam ja ci Bohuna, poczekaj, jeno matki zawołam!

Jareмка spojrział na drzwi, wychodzące z domu na ogród, ale ujrzawszy, że zamknięte i nie widząc nigdzie matki, powtórzył po raz trzeci, wysuwając buzię naprzód:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

— Zamęczą mnie te knoty, nie może inaczej być... Dobrze, będę Bohunem, ale raz jeden tylko. Skaranie Boże! Pamiętaj, żebyś się więcej nie nąprzykrzał.

To rzekłszy, stary stęknął trochę, podniósł się z ławki, nagle porwał małego Longinka i wydając dzięk okrzyki, począł go unosić w kierunku stawu.

Longinek jednak miał dzielnego obrońcę w osobie Jareмки, który w takich razach nie nazywał się Jaremką, ale panem Michałem Wołodyjowskim, rotmistrem dragońskim.

Pan Michał tedy, zbrojny w patyk lipowy, zastępujący w nagłym razie szablę, puścił się z impetem za otyłym Bohunem, dognał go wkrótce i począł siekać po nogach bez miłosierdzia.

Longinek, grający rolę mamy, wrzeszczał, Bohun wrzeszczał, Jaremką - Wołodyjowski wrzeszczał; ale męstwo wkońcu przemogło i Bohun, opuściwszy swą ofiarę, począł zmykać z powrotem pod lipę, nakoniec dopadłszy ławki, padł na nią, sapiąc straszliwie i powtarzając:

— Ha, basałyki!... Cud będzie, jeżeli się nie zatchnę...

Lecz nie tu był jeszcze koniec jego męki, gdyż za chwilę później stanął przed nim Jaremką, zarumieniony, z rozwianą czupryną i rozdętymi nozdrzami, podobny do małego czupurnego jastrząbka i jał powtarzać z większą jeszcze, niż poprzednio, energią:

— Żeby dziadzio był Bohunem!

Po wielu naleganiach i uroczystym przyrzeczeniu złożonem przez obydwóch chłopaków, że tym razem będzie to na pewno ostatni raz, historia powtórzyła się znowu z całą dokładnością; poczem już siedli we trzech na ławie i Jaremką począł nalegać:

— Dziadziu! powiedzieć, kto był najmężniejszy.

— Ty, ty! — odrzekł staruszek.

— I wyrosnę na rycerza?

— Pewnie, że wyrośniesz, bo dobra w tobie krew żołnierska. Daj ci Boże, abyś był do ojca podobny, bo przy męstwie mniej byłbyś uprzykrzony... Rozumiesz?

— Powiedzieć, ilu tata zabił?

— Mało sto razy mówiłem! Prędejbyscie liście na tej lipie policzyli, niż tych wszystkich nieprzyjaciół,

którycheśmy obaj z waszym ojcem zgładzili. Gdybym miał tyle włosów na głowie, ilum sam położył, balwierze w Łukowskiem porobiliby fortuny — nic, tylko na podgalaniu mi czupryny. Szelmą jestem, jeśli żel...

Tu pan Zagłoba — onto był bowiem — spostrzegł, iż nie wypada mu ani zaklinać się, ani przeklinać wobec chłopaków, więc chociaż w braku innych słuchaczy lubił i dzieciom opowiadać o swych dawniejszych przewagach, zamilkł tym razem, zwłaszcza, że ryby w stawie poczęły się rzucać z podwójną siłą.

— Trzeba będzie powiedzieć ogrodniczкови, — rzekł — aby więcierze na noc zastawił; siła zacnych ryb przy samym brzegu się tłóczy.

Wtem drzwi domu, wychodzące na ogród, otworzyły się i ukazała się w nich kobieta piękna jak południowe słońce, wysoka, tęga, czarnowłosa, z ciemnymi rumieńcami na twarzy i oczyma jak aksamit. Trzeci chłopak, trzylatek, czarny jak kula agatu, trzymał się za jej suknię, a ona nakrywszy oczy ręką, poczęła patrzeć w kierunku lipy.

Była to pani Helena Skrzetuska, z domu kniaziów Bułhów-Kurcewiczów.

Ujrawszy pana Zagłobę z Jaremką i Longinkiem pod lipą, posunęła się kilka kroków ku fosie, wypełnionej wodą i zawołała:

— A bywajcieno chłopcy! Pewnie tam dziaduniowi dokuczacie?

— Co mają dokuczać! Wcale się tu przystojnie zachowali — odpowiedział pan Zagłoba.

Chłopaki skoczyły ku matce, a ona rzekła:

— Co tatuś woli dziś pić, dębniaczek czyli miód?

— Świnina była na obiad, to miód będzie grzeźniejszj.

— Zaraz przyszłę. Ale niech jeno tatuś nie drze-  
mie na powietrzu, bo febra pewna.

— Dziś ciepło i wiatru niema. A gdzie to Jan,  
córuchno?

— Poszedł do stodół.

Pani Skrzetuska mówiła panu Zagłobie: ojczę,  
a on jej: córuchno, choć wcale nie byli krewni. Jej  
rodzina mieszkała na Zadnieprzu, w dawnem państwie  
Wiśniowieckiem, a co do niego, Bóg jeden wiedział,  
z kąd był rodem, gdyż sam rozmaicie o tem powiadał.  
Ale za czasów, gdy jeszcze była panną, Zagłoba zna-  
mienite jej oddał usługi i ze straszliwych niebezpie-  
czeństw ratował, więc też oboje z mężem czcili go  
jako ojca i w całej okolicy niezmiernie był od wszy-  
stkich szanowany, tak dla obrotnego rozumu, jak i dla  
nadmierzajnego męstwa, którego liczne w różnych  
wojnach, a mianowicie w kozackich, dał dowody.

Imię jego głośne było w całej Rzeczypospolitej —  
sam król kochał się w jego opowiadaniach i dowcipie,  
a wogóle więcej o nim mówiono, niż nawet o panu  
Skrzetuskim, chociaż pan Skrzetuski przedarł się  
w swoim czasie z oblężonego Zbaraża przez wszystkie  
wojska kozackie.

W chwilę po odejściu pani Skrzetuskiej, pacholik  
przyniósł pod lipę gąsiorek i szklanicę. Pan Zagłoba  
nalał, następnie zamknął oczy i począł próbować pilnie.

— Wiedział Pan Bóg dlaczego pszczoły stwo-  
rzył! — mruknął pod nosem.

I jał popijać zwolna, oddychając przytem głęboko  
spoglądając na staw i za staw, hen, na czarne i sine

bory, ciągnące się jak okiem dojrzeć, po drugim brzegu. Godzina była druga po południu, a niebo bez chmurki. Kwiat lipowy spływał bez szelestu na ziemię, a na lipie między liśćmi śpiewała cała kapela pszczoł, które wnet poczęły siadać na zrąbku szklanicy i zgarniać słodki płyn kosmatemi nóżkami.

Nad wielkim stawem, z trzcin odległych, przesłoniętych mgłą oddalenia, podnosiły się czasem stada kaczek, cyranek lub dzikich gęsi i szybowały w błękitnym przezroczu, podobne do czarnych krzyżyków; czasem klucz żorawi zaczerśniał wysoko na niebie, grając donośnym krzykiem — zresztą cicho było naokoło i spokojnie. i słoneczno i wesoło, jak to bywa w pierwszych dniach sierpnia, gdy zboża już dojrzały, a słońce spie jakoby złoto na ziemię.

Oczy starego człowieka to podnosiły się ku niebu, ścigając stada ptastwa, to znowu ginęły w oddali, ale coraz senniejsze, w miarę jak miodu w gąsiorku ubywało i powieki ciężły mu coraz bardziej — pszczoły śpiewały na różne tony swą piosenkę, jakoby umyślnie do poobiedniej drzemki.

— Tak, tak, dał Pan Bóg piękny czas na żniwa — mruknął pan Zagłoba. — I siano dobrze zebrane i żniwa duchem pójdą... Tak, tak..

Tu przymknął oczy, poczem otworzył je znowu na chwilę — mruknął jeszcze: „Zmęczyły mnie dzieciśka...” — i usnął na dobre

Spał dość długo, ale po pewnym czasie zbudził go lekki powiew chłodniejszego powietrza, oraz rozmowa i kroki dwóch męzów, zbliżających się szybko pod lipę. Jeden z nich był to pan Jan Skrzetuski, słynny zbarszczyk, który od miesiąca wróciwszy od hetmanów z Ukra-



iny, bawił w domu, lecząc się z febrą upartej; drugiego nie znał pan Zagłoba, chociaż wzrostem, postawą i nawet rysami twarzy, wielce był do Jana podobny.

— Przedstawiam wam, ojcaszku — rzekł Jan — stryjecznego mego, pana Stanisława Skrzetuskiego ze Skrzetuszewa, rotmistrza kaliskiego.

— Waszmość pan tak do Jana podobny, — odparł Zagłoba, mrógając oczyma i strząsając resztki snu z powiek — że gdziebym waszmości spotkał, zarazbym powiedział: „Skrzetuski!“ Hej, co za gość w domu!

— Miło mi zabrać znajomość z waćpanem dobrodziejem, — odparł Stanisław — tem bardziej, że imię znane mi było dobrze, bo je rycerstwo w całej Rzeczypospolitej ze czcią powtarza i za przykład podaje.

— Nie chwalać się, robiło się, co mogło, póki się się czuło w kościach. Jeszcze i teraz radby człek wojny pokosztował, bo *consuetudo altera natura*. Ale czemu to waćpanowie tak strapieni jesteście, aż Janowi oblicze pobladło.

— Stanisław straszne przywiózł wieści — odrzekł Jan. — Szwedzi weszli do Wielkopolski i już ją całkiem zajęli.

Pan Zagłoba zerwał się z ławy, jakby mu czterdzieści lat ubyło, otworzył szeroko oczy i począł mimowoli macać się po boku, jakby szukając szabli.

— Jakto? — rzekł — jakto, całą ją zajęli?

— Bo ją wojewoda poznański i inni wydali pod Ujściem w ręce nieprzyjaciela — odparł Stanisław Skrzetuski

— Dla Boga!... Co waćpan mówisz!.. Poddali się!...

— Nietylko się poddali, ale podpisali ugodę,

w której wyrzekli się króla i Rzeczypospolitej... Odtąd tam ma już być Szwecya, nie Polska.

— Na miłosierdzie boskie! Na rany Ukrzyżowanego!... To się chyba świat kończy?... Co ja słyszę?... Jeszcześmy wczoraj z Janem mówili o tej groźbie od Szweða, bo były wieści, że idą, ale obaj byliśmy pewni, że to się na niczem skończy, a co najwięcej na wyrzeczeniu się tytułu króla szwedzkiego przez naszego pana, Jana Kazimierza.

— A tymczasem zaczęło się od utraty prowincyi, a skończy się, Bóg wie na czem.

— Przestań waćpan, bo mnie krew zaleje!... Jakże?... I waćpan był pod Ujściem?... i waćpan patrzył na to wszystko własnymi oczyma?!... Toż to poprostu zdrada była najzaraźliwsza, w dziejach niesłychana!

— I byłem i patrzyłem, a czy to była zdrada, sam waszmość, gdy wszystko usłyszysz, osądzisz. Stałiśmy pod Ujściem, pospolite ruszenie i piechota łanowa, razem z piętnaście tysięcy ludzi i zalegaliśmy pasy nad Notecią *ab incursione hostili*. Prawda, że wojska było mało, a waszmość, jako doświadczony żołnierz, wiesz najlepiej, czy pospolite ruszenie może je zastąpić, a tem bardziej wielkopolskie, gdzie szlachta znacznie od wojny odwykła. Jednakże, gdyby się wódz był znalazł, można było postaremu dać wstręt nieprzyjacielowi i przynajmniej zatrzymać go, póki by Rzeczpospolita jakich posiłków nie obmyśliła. Ale ledwie się Wittemberg pokazał, zaczęto zaraz paktować, nim się kropla krwi polała. Potem przyjechał Radziejowski i swemi namowami sprawił to, co mówiłem, to jest i nieszczęście i hańbę, jakiej przykładowo dotąd nie było.

— Jakże? nikt się nie opierał?... Nikt nie protestował? Nikt zdrady na oczy tym szelmom nie wyrzucił?... Wszyszcż się na zdradę ojczyzny i pana zgodzili?...

— Ginie cnota, a z nią i Rzeczpospolita, bo prawie wszyscy się zgodzili... Ja, dwóch panów Skoraszewskich, pan Ciświcki i pan Kłodziński, czyniliśmy, cośmy mogli, aby ducha między szlachtą do oporu pobudzić. Pan Władysław Skoraszewski mało nie oszalał; lataliśmy po obozie od powiatu do powiatu i Bóg widzi, nie było tych zakłęb, którychbyśmy nie użyli. Ale cóż to pomogło, gdy większość wolała jechać z łyżkami na bankiet, który im Wittemberg obiecał, niż z szablami na bitwę. Widząc to, cnotliwsi rozjechali się na wszystkie strony — jedni do domów, drudzy do Warszawy. Panowie Skoraszewscy ruszyli właśnie do Warszawy i pierwsi wiadomość królowi przywiozą, a ja, nie mając żony, ni dzieci, tu przyjechałem do brata, w tej myśli, że się przecie razem na nieprzyjaciela wybierzemy. Szczęściem, żem waszmościów w domu zastał!

— To waszmość prosto zpod Ujścia?

— Prosto. Tylem tylko po drodze wypoczywał, ile było trzeba dla koni, a i to jeden mi padł ze zmęczenia. Szwedzi muszą już być w Poznaniu i ztamtąd prędko się po całym kraju rozleją.

Tu umilkli wszyscy. Jan siedział z dłońmi opartymi na kolanach, oczy wbił w ziemię i zamyślił się ponuro, pan Stanisław wzdychał, a pan Zagłoba, nie ochłonawszy jeszcze, spoglądał ośtupiałym wzrokiem, to na jednego, to na drugiego...

— Złe to są znaki — rzekł wkońcu posepnie Jan. —

Dawniej na dziesięć zwycięstw przychodziła jedna klęska i świat dziwił się męstwem. Dziś przychodzą nie tylko klęski, ale i zdrady — nie tylko pojedynczych osób, ale całych prowincyj. Niech Bóg zmiłuje się nad ojczyzną!...

— Dla Boga, — rzekł Zagłoba — widziałem na świecie dużo, słyszę, rozumiem, a jeszcze mi się wierzyć nie chce...

— Co myślisz czynić, Janie? — rzekł Stanisław.

— Pewnie, że w domu nie ostanę, chociaż mnie zimno jeszcze trzęsie. Żonę i dzieci trzeba będzie gdzie bezpiecznie umieścić. Pan Stabrowski, mój krewny, jest łowczym królewskim w puszczy Białowieskiej i w Białowieży mieszka. Choćby cała Rzeczpospolita wpadła w moc nieprzyjaciół, to przecie tam nie trafią. Jutro zaraz żonę i dzieci wysłę.

— I nie będzie to zbytnia ostrożność, — odrzekł Stanisław — bo choć z Wielkopolski tutaj daleko, kto wie, czy płomień wkrótce i tych stron nie ogarnie.

— Trzeba będzie szlachcie dać znać, — rzekł Jan — ażeby się kupili i o obronie myśleli, bo tu jeszcze nikt o niczem nie wie.

Tu zwrócił się do pana Zagłoby.

— A wy, ojczy, pójdziecie z nami, czyli też Helenie zechcecie do puszczy towarzyszyć?

— Ja? — odpowiedział pan Zagłoba — czy pójdę? Chybaby mi nogi korzenie w ziemię puściły, wtedybym nie poszedł, a i to prosiłbym kogo, żeby mnie wykarczował. Tak mi się chce szwedzkiego mięsa znowu pokosztować, jak wilkowi baraniny! Ha! szelmy, plu-draki, pończoszники!... Pchły im po łydkach inkursyą czynią, więc nogi ich swędzą i przeto w domu usie-

dzieć nie mogą, jeno do cudzych krajów leżą... Znam ja ich, takich synów, bom jeszcze pod panem Koniecpolskim przeciw nim czynił — a chcecie waszmościowie wiedzieć, kto wziął w jasyr Gustawa Adolfa, to się nieboszczyka pana Koniecpolskiego spytajcie. Nic więcej nie powiem! Znam ja ich, ale i oni mnie znają... Nie może być inaczej, tylko się szelmy zwiedzieli, że Zagłoba się zestarzał. Tak? Poczekajcie! zobaczycie go jeszcze!... Panie! Panie Wszechmogący! czemuś to tak tę nieszczęsną Rzeczpospolitą rozgrodził, że wszystkie świny sąsiedzkie włązą do niej teraz i trzy najlepsze prowincye już spyskały! Ot, co jest! Ba! ale któż temu winien, jeśli nie zdrajcy? Nie wiedziała zarazą kogo brać i zacnych ludzi pobrała, a zdrajców zostawiła. Dajże Boże jeszcze raz powietrze na pana wojewodę poznańskiego i na kaliskiego, a zwłaszcza na Radziejowskiego z całą rodziną. A jeśli chcesz więcej obywatelów piekłu przysporzyć, to poszlij wszystkich tych, którzy onę kapitulacją pod Ujściem podpisali. Zestarzał się Zagłoba? zestarzał? zobaczycie! Janie! radźmy prędzej, co czynić, bo jużbym chciał na końskim grzbiecie siedzieć!

— Pewnie, że trzeba radzić, gdzie iść. Na Ukrainę do hetmanów ciężko się przedostać, bo ich tam nieprzyjaciel odciął od Rzeczypospolitej i tylko do Krymu mają wolną drogę. Szczęście, że teraz Tatarzy po naszej stronie. Wedle mojej głowy, trzeba nam będzie do króla do Warszawy ruszyć, pana kochanego bronić!

— Byle był na to czas — odrzekł Stanisław. — Król jegomość musi tam na gwałt zbierać chorągwie i wprzód nim przyjdziemy, na nieprzyjaciela pociągnie, a może i spotkanie już nastąpi.

— I to być może.

— Jedźmy tedy ku Warszawie, byle śpiesznie — rzekł Zagłoba. — Posłuchajcie waćpanowie... Prawda, że nasze imiona groźne są nieprzyjacielowi, ale przecie we trzech niewiele wskóramy, więc jabym radził tak: Skrzyknijmy szlachty na ochotnika, ile się da, żeby tak choć z chorągiewkę panu przyprowadzić! Łatwo ich do tego namówimy, bo i tak muszą ruszyć, gdy przyjdą wici na pospolite ruszenie, więc im to wszystko jedno — a powiemy, że kto przed wiciami dobrowolnie stanie, miłą panu rzecz uczyni. Z większą siłą, więcej można będzie sprawić i przyjmą nas z otwartymi rękoma.

— Nie dziw się waszmość moim słowom, — rzekł pan Stanisław — ale po tem, com widział, takiego do pospolitego ruszenia nabrałem wstrętu, że wolę sam iść, niżeli z tłumem ludzi wojny nieznających.

— To waszmość nie znasz tutejszej szlachty. Tu jednego takiego nie upatrzysz, którenby w wojsku nie służywał. Wszystko ludzie doświadczeni i dobrzy żołnierze.

— Chyba, że tak.

— Zaś miałoby być inaczej? Ale poczekajcieno! Jan to już wie, że gdy raz poczną głową robić, to mi sposobów nie brak. Dlatego w wielkiej żyłem konfiden-cyi z wojewodą ruskim, księciem Jeremim. Niech Jan zaświadczy, ile razy ten największy w świecie wojownik szedł za moją radą i zawsze na tem wygrywał.

— Mówcieno ojcze, co chcecie powiedzieć, bo czasu szkoda — rzekł Jan.

— Co chciałem powiedzieć? Oto, co chciałem powiedzieć: nie ten broni ojczyzny i króla, kto się króla za poły trzyma, ale ten, kto nieprzyjaciela bije; a bije

ten najlepiej, kto pod wielkim wojownikiem służy. Poco mamy na niepewne do Warszawy chodzić, kiedy król jegomość właśnie może już do Krakowa, do Lwowa, albo na Litwę wyjechał; ja waszmościom radzę, abyśmy bez zwłoki udali się pod chorągwie hetmana wielkiego litewskiego, księcia Janusza Radziwiłła. Szczery to pan i wojenny. Chociaż go o pychę pomawiają, pewnie nie będzie on przed Szwedami kapitulował. To przynajmniej wódz i hetman, jak się należy. Ciasno tam będzie prawda, bo z dwoma nieprzyjaciółmi robota; ale zato pana Michała Wołodyjowskiego zobaczymy, który w kompucie litewskim służy i znów postaremu do kupy się zbierzem, jako za dawnych czasów. Jeżeli nie dobrze radzę, niechże mnie pierwszy Szwed za rapcie w jasyr poprowadzi.

— A kto wie? a kto wie? — odrzekł żywo Jan — Może tak będzie najlepiej.

— I jeszcze Halszkę z dziećmi po drodze odprowadzimy, bo właśnie przez puszcę przyjdzie nam jechać...

— I w wojsku, nie między pospolitakami będziem służyli — dodał Stanisław.

— I będziem się bić, nie sejmikować, ani kury po wsiach i twarogi wyjadać.

— Waszmość to widzę nietylko w wojnie, ale i w radzie prym możesz trzymać — rzekł pan Stanisław.

— Co? ha?

— Istotnie, istotnie! — rzekł Jan. — Najlepsza to rada. Postaremu, kupą z Michałem pójdziemy. Poznasz, Stanisławie, największego żołnierza w Rzeczypospolitej i przyjaciela mego szczerego, brata. Pójdźmy

teraz do Halszki powiedzieć jej, żeby się też w drogę szykowała.

— Aza wie ona już o wojnie? — zapytał pan Zagłoba.

— Wie, wie, bo przy niej najpierw Stanisław opowiadał. Cała we łzach nieboga... Ale gdy mi powiedział, że trzeba iść, zaraz mi powiedziała: „Idź!”

— Chciałbym jutro już ruszyć! — zakrzyknął Zagłoba.

— To też wyruszymy jutro i to do dnia — rzekł Jan. — Ty, Stanisławie, musisz być fatigatus wielce po drodze, ale do jutra wywczasujesz się, jak będziesz mógł. Ja dziś jeszcze konie wyszę z pewnymi ludźmi do Białej, do Łosic, do Drohiczyna i do Bielska, żeby wszędzie świeże były na przeprząkę. A za Bielskiem puszcza tuż. Wozy z zapasami wyjdą także dzisiaj. Żal z kochanego kąta ruszać w świat, ale wola boska! Tem się pocieszam, że o żonę i dziatki będę bezpieczny, bo puszcza najlepsza to w świecie forteca. Chodźcie waszmościowie do domu, bo czas się ekspedycją zająć.

Poszli.

Pan Stanisław, zdrożony wielce, ledwie się posiliwszy i napiwszy, zaraz spać poszedł, a pan Jan z panem Zagłobą zakrzyknęli się około wyprawy. I że ład był u pana Jana wielki, więc wozy i ludzie ruszyli tegoż jeszcze wieczora, na noc, a nazajutrz w dzień pociągnęła za nimi kolaska, w której siedziała Helena z dziećmi i jedna stara panna, rezydentka. Pan Stanisław, pan Jan, wraz z pięcioma pacholkami, jechali konno koło kolaski. Cały orszak posuwał się żywo, bo po miastach świeże konie czekały.



Tak jadąc i nie wypoczywając nawet nocami, piątego dnia dojechali do Bielska, a szóstego pogrążyli się już w puszcę od strony Hajnowszczyzny.

Objęły ich wraz mroki olbrzymiego boru, który podówczas kilkadziesiąt mil kwadratowych okrywał, łącząc się z jednej strony pasmem nieprzerwanem aż hen z puszcą Zielonką i Rogowską, z drugiej z pruskimi borami.

Żaden najezdnik nie deptał nigdy nogą tych ciemnych głębin, w których człek nieobeznany mógł zabłądzić i błąkać się wkoło, aż póki nie padł z wysilenia lub nie poszedł na łup drapieżnym zwierzętom. Nocami odbywały się tu ryki żubrów i niedźwiedzi, wraz z wyciem wilków i beczeniem chrapliwym rysiów. Niepewne drogi wiodły wśród gęstwy lub gołoborza, obok zwałów, wywrotów, bagien i straszliwych śpiących jezior, do rozrzuconych wsi budników, smolarzy i osaczników, którzy częstokroć przez całe życie nie wychylali się z puszczy. Do Białowieży tylko samej prowadził szerszy gościniec, przerywany Suchą drogą, którą królowie jeździli na łowy. Tędy też od strony Bielska i Hajnowszczyzny jechali Skrzetuscy.

Pan Stabrowski, łowczy królewski, stary samotnik i kawaler, siedzący ustawicznie jak żubr w puszczy, przyjął ich z otwartymi rękami; dzieci zaś mało nie zdusił w pocałunkach. Żył bowiem tylko z osacznikami, szlacheckiej twarzy nie widując, chyba wtedy gdy dwór zjechał na łowy.

Onto zawiadował całym gospodarstwem myśliwskim i wszystkimi smolarniami puszczy. Wielce się strapił wieścią o wojnie, o której się dopiero z ust pana Skrzetuskiego dowiedział.

Częstokroć bowiem tak bywało, że w Rzeczypospolitej paliła się wojna, umierał król, a do puszczy wieść o tem nawet nie dochodziła; dopiero pan łowczy przywoził nowiny, gdy od pana podskarbiego litewskiego wracał, któremu raz do roku rachunki z puszczańskiego gospodarstwa obowiązany był składać.

— Nudno tu będzie, bo nudno! — mówił pan Stabrowski do Heleny — ale przezpiecznie, jakby nigdzie na świecie nie było. Żaden nieprzyjaciel nie przedrze się przez te ściany, a choćby i próbował, toby mu osacznicy wszystkich ludzi w lot wystrzelali. Łatwiej Rzeczypospolitą całą zawojować — czego Boże nie daj! — niż puszcę. Dwadzieścia lat już tu żyję, a i ja jej nie znam, bo są miejsca, gdzie dostąpić nie można i gdzie zwierz tylko mieszka, a może i złe duchy mają swoje stacye, do których się przed głosami dzwonów kościelnych chronią. Ale my żyjemy pobożemu, bo we wsi jest kaplica, do której ksiądz z Bielska raz na rok zjeżdża. Będzie wam tu, jak w niebie, jeśli nuda nie dokuczy. Zato drzew na opał nie zbraknie...

Pan Jan rad był z całej duszy, że takie schronisko dla żony wynalazł; ale próżno go pan Stabrowski zatrzymywał i ugaszczwał.

Przenocowawszy tylko, ruszyli rycerze nazajutrz świtaniem nawskróś puszczy w dalszą drogę, prowadzeni w labiryncie leśnym przez przewodników, których pan łowczy dostarczył.

---

## ROZDZIAŁ XII.

---

Gdy pan Jan Skrzetuski ze stryjecznym Stanisławem i panem Zagłobą, po uciążliwej drodze z puszczy, przybyli wreszcie do Upity, pan Michał Wołodyjowski mało nie oszalał z radości, zwłaszcza, że dawno już nie miał o nich żadnej wieści, o Janie zaś myślał, że znajduje się z chorągwią królewską, której porucznikował na Ukrainie u hetmanów.

Brał ich też zkolei w ramiona i wyściskawszy, znowu ścisnął i ręce zacierał; a gdy mu powiedzieli, że pod Radziwiłłem chcą służyć, uradował się jeszcze bardziej na myśl, że nie prędko się rozłączą.

— Chwała Bogu, że do kupy się zbieramy, starzy zbarażczykowie — mówił. — Człowiek i do wojny większą ma ochotę, gdy czuje konfidentów koło siebie.

— To była moja myśl — rzekł pan Zagłoba — bo oni do króla chcieli lecieć... Ale ja powiedziałem: a czemuż nie mamy sobie z panem Michałem starych czasów przypomnieć? Jeśli nam Bóg tak poszczęści, jak z Kozakami i z Tatarami szczęścił, to niejednego Szweda wkrótce mieć będziem na sumieniu.

— Bóg waści natchnął tą myślą! — rzekł pan Michał.

— Ale mi dziwno — rzekł Jan — żeście o Ujściu i o wojnie już wiedzieli. Stanisław ostatnim końskim tchem do mnie przyjechał, a my tak samo tu jechali, myśląc, że pierwsi będziemy nieszczęście zwiastowali.

— Musiała przez Żydów wieść tutaj przyjść, — rzekł Zagłoba — bo oni zawsze najpierwsi wszystko wiedzą i taka między nimi korespondencya, że jak który rano kichnie w Wielkopolsce, to już wieczorem mówią mu na Żmudzi i na Ukrainie: „na zdrowie!“

— Nie wiem, jak to było, ale od dwóch dni wiemy — rzekł pan Michał — i konsternacya tu okrutna... Pierwszego dnia jeszcześmy nie bardzo wierzyli, ale drugiego już nikt nie negował... Co więcej powiem: jeszcze wojny nie było, a rzekłbyś, ptaki o niej śpiewały w powietrzu, bo wszyscy naraz i bez powodu poczęli o niej gadać. Nasz książę-wojewoda musiał się też jej spodziewać i coś przed innymi wiedzieć, bo się kręcił, jak mucha w ukropie i w ostatnich czasach do Kiejdan przyleciał. Zaciągi od dwóch miesięcy z jego rozkazu czyniono. Zaciągałem ja, Stankiewicz i niejaki Kmicic, chorąży orszański, który, jako słyszałem, już gotowiušką chorągiew do Kiejdan odprowadził. Ten się najpierw z nas wszystkich uwinął...

— Znaszże ty, Michale, dobrze księcia-wojewodę wileńskiego? — pytał Jan.

— Jak go nie mam znać, kiedym całą wojnę terazniejszą pod jego komendą odbywał.

— Co wiesz o jego zamysłach? Zacny to pan?

— Wojownik jest doskonały; kto wie, czy po śmierci księcia Jeremiego w Rzeczypospolitej nie największy... Pobili go, prawda, teraz, ale miał sześć ty-

sięcy wojska na ośmdziesiąt... Pan podskarbi i pan wojewoda witebski okrutnie go zato potępiają, mówiąc, iż przez to z tak małą siłą się porwał na ową niezmierną potęgę, ażeby się z nimi wiktoryą nie dzielić. Bóg raczy wiedzieć, jak było... Ale stawał mężnie i sam życia nie szczędził... A ja, którym na wszystko patrzył, tyle tylko powiem, iż gdyby miał dosyć wojska i pieniędzy, noga nieprzyjacielska nie uszłaby z tego kraju. Tak myślę, że szczerze on się teraz weźmie do Szwedów i pewno ich tu nie będąc czekali, ale do Infant ruszymy.

— Z czegoż to suponujesz ?

— Z dwóch powodów : raz, że książę będzie chciał reputacją swą, nieco po cybichowskiej bitwie zachwiana, poprawić, a powtóre, że wojnę kocha...

— Tak jest — rzekł Zagłoba — znam ja go, bośmy razem w szkołach byli i pensa za niego odrabiałem. Zawsze się kochał w wojnie i dlatego lubił ze mną lepiej niż z innymi kompanią trzymać, bom ja także wolał konia i dzidkę niż łacinę.

— Z pewnością, że to nie wojewoda poznański, z pewnością, że to zgoła inny człowiek — rzekł pan Stanisław Skrzetuski.

Wołodujowski począł go wypytywać o wszystko, co się pod Ujściem zdarzyło i za czuprynę się targał, słuchając opowiadania ; wreszcie, gdy pan Stanisław skończył, rzekł :

— Masz waszmość słuszność ! Nasz Radziwiłł do takich rzeczy niezdolny. Pyszny on jak dyabeł i zdaje mu się, że w całym świecie większego rodu od Radziwiłłowskiego niema, prawda ! Oporu on nie znosi, prawda — i na pana podskarbiego Gosiewskiego, zawnego człeka, o to zgniewan, że ten nie skacze, jak mu

Radziwiłły zagrają. Na króla jegomości także krzyw, że mu buławy wielkiej litewskiej dość prędko nie dał... Wszystko to prawda, jak i to, że woli w bezecnych błędach kalwińskich żyć, niż do prawdziwej wiary się nawrócić; że katolików, gdzie może ciśnie; że zbory heretyków stawia... Ale za to przysięgnę, że wolałby ostatnią kroplę swojej pysznej krwi wytoczyć, niż taką kapitulacją, jak pod Ujściem, podpisać... Będziem mieli wojny w bród, bo nie skryba, ale wojownik będzie nam hetmanił.

— W to mi graj! — rzekł Zagłoba. — Niczego więcej nie chcemy. Pan Opaliński skryba i zaraz się pokazało, do czego zdalny... Najpodlejszy to gatunek ludzi! Każdy z nich niech jeno pióro z kupra gęsi wyciągnie, to zaraz myśli, że wszystkie rozумы pojadł... Taki syn innym przymawia, a jak przyjdzie do szabli, to go niemasz. Sam zamłodu rytmy układałem, żeby biało-głowskie serca kaptować i byłbym pana Kochanowskiego w kozi róg z jego fraszkami zapędził, ale potem żołnierska natura wzięła górę.

— Przytem jeszcze i to wam powiem, — rzekł Wołodyjowski — że skoro się tu szlachta ruszy, to się kupa ludzi zbierze, byle pieniędzy nie zabrakło, bo to rzecz najważniejsza.

— Na Boga, nie chcę pospolitaków! — zakrzyknął pan Stanisław. — Jan i jegomość pan Zagłoba znają już moj sentyment, a waszmości powiem, że wolę być ciurą w regularnej chorągwi, niż hetmanem nad całym pospolitem ruszeniem.

— Tutejszy lud męzny — odrzekł pan Wołodyjowski — i bardzo sprawny. Mam tego przykład z mojego zaciągu. Nie mogłem pomieścić wszystkich, którzy

się garnęli, a między tymi, których przyjąłem, niemasz i jednego takiego, coby poprzednio nie służył. Pokażę waściom tę chorągiewkę i upewniam, że gdybyście nie wiedzieli ode mnie, tobyście nie poznali, że to nie starzy żołnierze. Każdy bity i kuty w ogniu, jak stara podkowa, a w szyku stoją, jako triarii rzymscy. Nie pójdzie z nimi tak łatwo Szwedom, jak pod Ujściem z Wielkopolanami.

— Mam nadzieję, że to Bóg wszystko odmieni — rzekł Skrzetuski. — Mówią, że Szwedzi dobrzy pachol-kowie, ale przecie nigdy nie mogli naszym wojskom komputowym wytrzymać. Biliśmy ich zawsze — to już wypróbowana rzecz — biliśmy ich nawet wtedy, gdy im przywoził największy wojownik, jakiego kiedykolwiek mieli.

— Co prawda, to okrutniem ciekawy, co też umieją — odpowiedział pan Wołodyjowski — i gdyby nie to, że dwie inne wojny jednocześnie ojczyznę gnębią, wcalebym się o tę szwedzką nie rozgniewał. Popróbowaliśmy i Turków i Tatarów i Kozaków i Bóg wie nie kogo — godzi się teraz Szwedów popróbować. W koronie z tem tylko może być kłopot, że wszystkie wojska z hetmanami na Ukrainie zajęte. Ale tu widzę już, co się stanie. Oto książę wojewoda dotychczasową wojnę panu podskarbiemu Gosiewskiemu, hetmanowi polnemu zostawi, a sam się Szwedami szczerze zajmie. Ciężko będzie, prawda! Wszelako miejmy nadzieję, że Pan Bóg pomoże.

— Jedźmy tedy, nie mieszkając, do Kiejdan! — rzekł pan Stanisław.

— Dostałem też rozkaz, żeby chorągiew mieć w pogotowiu, a samemu się w trzech dniach w Kiejda-

nach stawić — odpowiedział pan Michał. — Ale muszę też waściom ten ostatni rozkaz pokazać, bo już z niego znacznie, że tam książe wojewoda myśli o Szwedach.

To rzekłszy, pan Wołodyjowski otworzył kluczem sepecik, stojący pod oknem na ławie, wydobył z niego papier złożony na dwoje i rozwinąwszy, począł czytać.

„Mości panie Wołodyjowski pułkowniku!

„Z wielką radością odczytaliśmy raport waszmości, że chorągiew już na nogach i w każdej chwili może w pochód ruszyć. Trzymaj ją waćpan w czujności i pogotowiu, bo przychodzą tak ciężkie czasy, jakich jeszcze nie bywało, sam zaś przybywaj jak najspieszniej do Kiejdan, gdzie go niecierpliwie oczekiwać będziemy. Gdyby waszmości dochodziły jakie wieści — tym nie wierz, aż wszystko z naszych ust usłyszysz. Postąpimy tak, jak sam Bóg i sumienie nakazuje, bez uwagi na to, co złość i nieżyczliwość ludzka może na nas wymyślić. Ale zarazem cieszymy się, iż nadchodzą takie terminy, w których pokaże się dowodnie, kto jest szczerym i prawdziwym przyjacielem Radziwiłłowskiego domu i kto nawet *in rebus adversis* służyć mu gotów. Kmicic, Nie-wiarowski i Stankiewicz przyprowadzili tu już swoje chorągwie; waszmościna niech w Źpicie zostanie, bo tam możebyćpotrzeba, a może przyjdzie wam ruszyć na Podlasie pod komendą brata mojego stryjecznego j. o. x. Bogusława, który tam znaczne partye naszych sił ma pod sobą. O tem wszystkim dowiesz się dokładnie z ust naszych — tymczasem zaś polecamy wierności waszej pilne rozkazów spełnienie i oczekujemy cię w Kiejdanach.

*Janusz Radziwiłł,*

Xiąże na Birzach i Dubinkach,  
wojewoda Wileński, hetman w. litewski.



— Tak jest! widoczna już z tego listu nowa wojna! — rzekł Zagłoba.

— A że książę pisze, że postąpi jak mu Bóg nakazuje, to znaczy, że będzie bił Szweda — dodał pan Stanisław.

— Dziwno mi tylko, — rzekł pan Skrzetuski — że pisze o wierności dla domu Radziwiłłowskiego, nie dla ojczyzny, która więcej od Radziwiłłów znaczy i pilniejszego ratunku potrzebuje.

— To taka ich pańska maniera, — odparł Wołodyjowski — choć i mnie się to zaraz nie spodobało, boć i ja ojczyźnie, nie Radziwiłłom służę.

— A kiedy ten list odebrał? — spytał Jan.

— Dziś rano i właśnie po południu chciałem ruszyć. Wy się przez ten wieczór wywczasujecie po podróży, a ja jutro pewnie wrócę i zaraz z chorągwią ruszymy, gdzie nam każą.

— Może na Podlasie? — rzekł Zagłoba.

— Do księcia koniuszego! — powtórzył pan Stanisław.

— Książę koniuszy, Bogusław, także teraz w Kiejdanach — odparł Wołodyjowski. — Ciekawa to persona i pilnie mu się przypatrujcie. Wojownik wielki i rycerz jeszcze większy, ale niemasz w nim za grosz Polaka. Zczudoziemska się nosi i ponemiecku, albo zgoła po francusku gada, jakoby orzechy gryzł, której mowy godzinę możesz słuchać i nic nie wyrozumiesz.

— Książę Bogusław pod Beresteczkiem pięknie sobie poczynił — rzekł Zagłoba — i poczet piękny niemieckiej piechoty wystawił.

— Ci co go bliżej znają, nie bardzo go chwala, — mówił dalej Wołodyjowski — bo się jeno w Niemcach

i Francuzach kocha, co nie może inaczej być, gdyż się z niemkimi rodzi, elektorówny brandeburskiej, za którą ojciec jego nieboszczyk, nietylko, że wiana żadnego nie wziął, ale, jakto widać u tych książątek chuda fara jeszcze dopłacić musiał. Ale Radziwiłłom chodzi o to, by w rzeszy niemieckiej, której są książętami, *suffragia* mieli i dlatego radzi z Niemcami się łączyć. Powiadał mi o tem pan Sakowicz, dawny sługa księcia Bogusława, któremu ten starostwo oszmiańskie puścił. On i pan Niewiarowski, pułkownik, bywali z księciem Bogusławem za granicą po różnych zamorskich krajach i zawsze na świadków do pojedynków służywali.

— Tyleż to on pojedynków odbywał? — pytał pan Zagłoba.

— Ile ma włosów na głowie! Różnych on tam książąt i grafów zagranicznych, francuskich i niemieckich, siła poszczerbił, bo to, mówią, człek bardzo zapalczywy a mężny i o lada słowo na pole wyzywa.

Pan Stanisław Skrzetuski rozbudził się z zamyślenia i rzekł.

— Słyszałem i ja o księciu Bogusławie, bo to od nas do elektora niedaleko, u którego on ciągle przesieduje. Pamiętam i to jeszcze, co ojciec wspominał, że jak się rodzic księcia Bogusława z elektorówną żenił, to ludzie sarkali, że tak wielki dom jak Radziwiłłowski, z obcymi się łączy, ale bogdaj, że lepiej się stało, gdyż teraz elektor, jako radziwiłłowski koligat, tem życzliwszy powinien być Rzeczypospolitej, a od niego teraz siła zależy. To, co waszmość powiadasz, że u nich chuda fara, to tak nie jest. Pewnie, że gdyby kto Radziwiłłów wszystkich sprzedał, toby za nich elektora z całym księstwem kupił, ale dzisiejszy kurfirst Fryderyk Wil-

helm zebrał już niemało grosza i ma dwadzieścia tysięcy wojska bardzo porządnego, z którem śmiało mógłby się Szwedom zastawić, co jako lennik Rzeczypospolitej powinien uczynić, jeżeli Boga ma w sercu i pamięta wszystkie dobrodziejstwa, które Rzeczpospolita jego domowi świadczyła.

— Zali on to uczyni? — pytał Jan.

— Czarna byłaby to niewdzięczność i wiarołomstwo z jego strony, gdyby inaczej postąpił! — odparł Stanisław.

— Ciężko to na wdzięczność cudzą liczyć, a zwłaszcza na heretycką — rzekł pan Zagłoba. — Pamiętam jeszcze wyrostkiem tego waszego kurfirsta; zawsze to mruk był, rzekłbyś ciągle słucał, co mu dyabeł do ucha szepce. Powiedziałem mu to w oczy, gdyśmy z panem Koniecpolskim nieboszczykiem w Prusach byli. Taki on luter, jak i król szwedzki. Daj Boże, żeby się jeszcze ze sobą przeciw Rzeczypospolitej nie sprzymierzyli...

— Wiesz, co Michale? — rzekł nagle Jan. — Nie będę dziś wypoczywał, ale pojedę z tobą do Kiejdan. Teraz nocami lepiej jechać, bo we dnie upał, a pilno mi już wyjść z niepewności. Na wypoczynek jeszcze czas, bo pewnie książe jutro jeszcze nie ruszy.

— Tem bardziej, że chorągiew kazał w Upicie zatrzymać — odrzekł pan Michał.

— Dobrze mówicie! — zawołał pan Zagłoba — pojedę i ja!

— To jedźmy wszyscy razem — dodał pan Stanisław.

— Akurat na jutro rano będziemy w Kiejdanach, — rzekł pan Wołodyjowski — a w drodze i na kulbakach można się słodko przedrzemnąć.

We dwie godziny później, podjadłszy i podpiwszy nieco, ruszyli rycerze w podróż i jeszcze przed zachodem słońca stanęli w Krakinowie.

Przez drogę opowiadał im pan Michał o okolicy, o sławnej szlachcie laudańskiej, o Kmicicu i o wszystkim, co się od pewnego czasu zdarzyło. Przyznał się i do afektu swego dla panny Billewiczówny, nieszczęśliwego, jak zwykle.

— Cała rzecz, że wojna bliska, — mówił — bo inaczej srodzebym się zmartwił, gdyż czasem myślę, że takieto już moje nieszczęście i że chyba przyjdzie mi i umrzeć w kawalerskim stanie.

— Nie stanie ci się krzywda, — rzekł pan Zagłoba — bo zacny to jest stan i Bogu miły. Umyśliłem też trwać w nim do końca życia. Czasem i żal, że nie będzie komu sławy i imienia przekazać, bo chociaż miłuję dzieci Jana, jak swoje, wszelako Skrzetuscy, to nie Zagłobowie.

— O niecnoto! — rzekł Wołodjowski. — Takesię się waćpan wcześniej z tem postanowieniem wybrał, jak wilk, który ślubował owiec nie dusić, gdy mu wszystkie zęby wypadły.

— A nieprawda! — rzekł Zagłoba. — Nie takto dawno, panie Michale, jakeśmy ze sobą w Warszawie na elekcyi byli. Za kimże się wszystkie podwiki oglądały, jeśli nie za mną?... Pamiętasz, jakeś to narzekał, że na ciebie żadna nie spojrzy? Ale jeśli taką masz ochotę do stanu małżeńskiego, to się nie martw. Przyjdzie i twoja kolej. Na nic tu szukanie i właśnie wtedy znajdziesz, kiedy nie będziesz szukał. Teraz czasy wojenne i siła zacnych kawalerów corok ginie. Niech jeno i ta szwedzka wojna potrwa, to dziewczki do reszty

stanieją i będziemy je na tuziny na jarmarku kupowali.

— Może i mnie zginąć przyjdzie — rzekł pan Michał. — Dość mam tego kołatania się po świecie. Nigdy waściom nie zdołam wypowiedzieć, jak zacna jest i urodziwa panna, ta Billewiczówna. Byłby ją człowiek miłował i hołubił, jakby co najlepszego... Nie! musieli dyabli przynieść tego Kmicica... Chyba on jej coś zadał, nie może inaczej być, bo gdyby nie to, pewnieby mnie nie przepędziła. Ot, patrzcie! Właśnie tam zza górki Wodokty widać, ale w domu niemasz nikogo, bo ona pojechała Bóg wie gdzie... Moje to byłoby schronisko; niechbym był tu żywota dokonał. . Niedźwiedź ma swój barłóg, wilk swoją jamę, a ja, ot! jeno tę szkapę i tę kulbakę, na której siedzę...

— To widzę, że cię jak cierń zakłóła? — rzekł pan Zagłoba.

— Pewnie, że jak sobie wspomnę, albo, mimo przejeżdżając, Wodokty zobaczę, to mi jeszcze żal... Chciałem klin klinem wybić i pojechałem do pana Szylinga, który ma córkę bardzo urodziwą. Raz ją w drodze zdaleka widziałem i okrutnie mi w oko wpadła. Pojechałem tedy — i cóż waćpaństwo powiecie — ojcam w domu nie zastał a panna Kachna myślała, że to nie pan Wołodyjowski, tylko wacholek pana Wołodyjowskiego przyjechał... Takem ten afront wziął do serca, zem się tam więcej nie pokazał.

Zagłoba począł się śmiać

— Bodajże cię, panie Michale! Cała rzecz w tem, żebyś znalazł żonę tak nizezemnej urody, jak sam jesteś. A gdzie się to ona bestyjka podziała, co to przy księżnie Wiśniowieckiej respektową była, z którąto nieboszczyk

pan Podbipięta — Panie! świeć nad jego duszą, — miał się żenić? Ta miała urodę w sam raz dla ciebie, bo istna to była pestka, choć jej się oczy okrutnie świeciły.

— To Anusia Borzobohata Krasieńska — rzekł pan Jan Skrzetuski. — Wszyscyśmy się w niej swego czasu kochali i Michał także. Bóg raczy wiedzieć, co się z nią teraz dzieje.

— Żeby ją tak odszukać, a pocieszyć! — rzekł pan Michał. — Jakaście ją wspomnieli, aż mi się ciepło koło serca uczyniło. Najzacniejsza to była dziewczka. Bóg by mi dał ją spotkać!... Ej, dobre to były dawne łubniańskie czasy, ale się już nigdy nie wróca. Nie będzie też już chyba nigdy takiego wodza, jak był nasz książę Jeremi. Człowiek wiedział, że po każdym spotkaniu wiktorya nastąpi. Radziwiłł wielki wojownik, ale nie taki i już nie z tem sercem mu się służy, bo on i jego ojcowskiego afektu dla żołnierzy nie ma i do konfidencyi nie dopuszcza, mając się za jakowegoś monarchę, chociaż przecie Wiśniowieccy nie gorsi byli od Radziwiłłów.

— Mniejsza z tem — rzekł Jan Skrzetuski. — W jego rękę teraz zbawienie ojczyzny, a że gotów za nią życie oddać, niech mu Bóg błogosławi.

Takto rozmawiali rycerze, jadąc wśród nocy i to dawne sprawy wspominali, to mówili o terażniejszych ciężkich czasach, w których trzy wojny naraz zwały się na Rzeczpospolitą.

Później zabrali się do pacierzy wieczornych i do odmawiania litanii, a gdy ją skończyli, sen ich zmorzył i zaczęli drzemać i kiwać się na kulbakach.

Noc była pogodna, ciepła, gwiazdy migotały tysiącami na niebie; oni, jadąc noga za nogą, spali smaczno, aż dopiero, gdy zaczęło świtać, zbudził się pierwszy pan Michał.

— Mości panowie, otworzyć oczy, Kiejdany już widać! — zakrzyknął.

— Co? he? — rzekł Zagłoba — Kiejdany? gdzie?

— A ot, tam! Wieże widać.

— Zaczne jakieś miasto — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bardzo zacne — odpowiedział Wołodyjowski — i po dniu jeszcze lepiej się waszmościowie o tem przekonacie.

— Wszakże to dziedzictwo księcia wojewody?

— Tak jest. Przedtem było Kisków, od których je ojciec terażniejszego księcia otrzymał w posagu za Anną Kiszczanką, córką wojewodzica witebskiego. W całej Żmudzi niemasz tak porządnego miasta, bo Radziwiłłowie Żydów nie puszczają, chyba za osobnem pozwoleniem. Miody tu sławne.

Zagłoba przetarł oczy.

— A to jacyś grzeczni ludzie tu mieszkają. Coto za okrutną budowlę widać tam na podniesieniu?

— To zamek świeżo zbudowany, już za panowania Janusza.

— Obronny?

— Nie, ale rezydencya wspaniała. Nie czyniono go warownym, bo nieprzyjaciel nigdy nie zachodził w te strony od czasów krzyżackich. Ten spiczasty szczyt, który tam w środku miasta widzicie, to od kościoła farnego. Krzyżacy go wzniesli jeszcze za czasów pogańskich, później był kalwinom oddany, ale go ksiądz Ko-

byliński znowu dla katolików wyprocesował od księcia Krzysztofa.

— To i chwała Bogu!

Tak rozmawiając, dojechali bliżej do pierwszych domków przedmieścia.

Tymczasem stawało się coraz jaśniej na świecie i słońce poczynąło wschodzić. Rycerze przyglądali się z ciekawością nieznanemu miastu, a pan Wołodyjowski dalej opowiadał:

— To jest ulica Żydowska, w której mieszkają ci z Żydów, którzy mają pozwolenie. Jadąc tędy, dostaniesz się aż na rynek. Oho! już ludzie budzą się i poczynają z domów wychodzić. Patrzcie! siła koni przed kuźniami i czeladź nie w barwach radziwiłłowskich. Musi być jaki zjazd w Kiejdanach. Pełno tu zawsze szlachty i panów, a czasem aż z obcych krajów przyjeżdżają, bo to jest stolica heretyków ze wszystkiej Żmudzi, którzy tu pod osłoną Radziwiłłów bezpiecznie swoje gusła i praktyki zabobonne odprawiają. Ot, i rynek! Uważcie waszmościowie jaki zegar na ratuszu! Lepszego ponoć i w Gdańsku niemasz. A to, co bierzecie za kościół o czterech wieżach, to zbór helwecki, w którym co niedziela Bogu bluźnią — a tam to kościół luterski. Myślicie zaś, że tu mieszczanie Polacy albo Litwini — wcale nie! Sami Niemcy i Szkoci, a Szkotów najwięcej! Piechota z nich bardzo przednia, szczególnie berdyszami sieką okrutnie. Ma też książę jegomość regiment jeden szkocki z samych ochotników kiejdańskich. Hej! co wozów z łubami na rynku! Pewnie zjazd jaki. Gospody żadnej niemasz w tem mieście, jeno znajomi do znajomych zajeżdżają, a szlachta do zamku, w którym są oficyny długie na kilkadziesiąt łokci, tylko



dla gości przeznaczone. Tam podejmują każdego uczciwie, choćby i przez rok, na koszt księcia pana, a są tacy, którzy całe życie tu siedzą.

— Dziwno mi to, że piorun tego zboru helweckiego nie zapalił? — rzekł Zagłoba.

— Jakbyś waść wiedział, że się to zdarzyło. W środku, między czterema wieżami, była kopuła jako czapka, w którą kiedyś jak trzasło, tak się nic z niej nie zostało. Tu, w podziemiach, leży ojciec księcia koniuszego Bogusława, Janusz, ten, który do rokосу przeciw Zygmunтови III. należał. Własny hajduk mu czaszkę rozplatał i tak zginął marnie, jak i żył grzesznie.

— A to co za rozległa budowla, do szopy mурowanej podobna? — pytał Jan.

— To jest papiernia od księcia założona, a tu obok drukarnia, w której się księgi heretyckie drukują.

— Tfu! — rzekł Zagłoba — zaraza na to miasto, gdzie człek innego powietrza jak heretyckie do brzucha nie wciąga. Lucyper mógłby tu tak dobrze panować, jak i Radziwiłł.

— Mości panie! — odpowiedział Wołodyjowski — nie bluźń Radziwiłłowi, bo może wkrótce ojczyzna zbawienie będzie mu winna...

I dalej jechali w milczeniu, poglądając na miasto i dziwiąc się jego porządkom, bo ulice całkiem były brukowane kamieniami, co w owych czasach za osobliwość uchodziło.

Przejechawszy rynek i ulicę Zamkową, ujrzeli na podniesieniu wspaniałą rezydencją, świeżo przez księcia Janusza wzniesioną, nie obronną istotnie, ale ogromem nietylko pałace, lecz i zamki przewyższającą. Gmach stał na wywyższeniu i patrzył na miasto, jakoby u stóp

jego leżące. Z obu stron głównego korpusu biegły dwa skrzydła niższe, załamując się pod kątami prostymi i tworząc olbrzymi dziedziniec, zamknięty od przodu kratą żelazną, nabijaną długimi kolcami. W środku kraty wznosiła się potężna brama murowana, na niej herby radziwiłłowskie i herb miasta Kiejdan, przedstawiający nogę orlą ze skrzydłem czarnym w złotym polu, a u nogi podkowę o trzech krzyżach czerwoną. Nisko w bramie był odwach i trabanci szkoccy straż tam trzymali, dla parady, nie dla obrony przeznaczoną.

Godzina była ranna, ale na dziedzińcu ruch już panował, albowiem przed głównym korpusem musztrował się pułk dragonów, przybrany w błękitne kolety i szwedzkie hełmy. Długi ich szereg stał właśnie nieruchomie, z gołemi rapierami w rękę, oficer zaś przejeżdżając przed frontem, mówił coś do żołnierzy. Naokoło szeregu i dalej pod ścianami, mnóstwo czeladzi w rozmaitych barwach gapiło się na dragonów, czyniąc sobie wzajem rozmaite uwagi i spostrzeżenia.

— Jak mi Bóg miły! — rzekł pan Michał — toż to Charłamp pułk musztruje.

— Jakto? — zawołał Zagłoba — tenże to sam, z którym miałeś się pojedynkować, w czasie elekcyi w Lipkowie?

— Tenże sam. Ale my od tego czasu w dobrej komitywie żyjemy.

— A prawda! — rzekł pan Zagłoba — poznaję go po nosie, który mu zpod hełmu sterczy. Dobrze, że przyłbice wyszły z mody, bo ten rycerz nie mógłby żadnej zamknąć; ale on i tak osobnej zbroi na nos potrzebuje.

Tymczasem pan Charłamp, spostrzegłszy Wołodjowskiego, puścił się ku niemu rysią.

— Jak się miewasz Michałku? — zawołał. — Dobrze, żeś przyjechał!

— Lepiej, że ciebie pierwszego spotykam. Oto jest pan Zagłoba, któregoś w Lipkowie poznał, ba, przedtem jeszcze w Siennicy, a to panowie Skrzetuscy, Jan, rotmistrz królewskiej husarskiej chorągwi, zbarańczyk...

— Na Boga! toż ja największego w Polsce rycerza widzę! — zakrzyknął Charłamp. — Czołem, czołem!

— A to Stanisław, rotmistrz kaliski — mówił dalej pan Wołodjowski — który zpod Ujścia wprost jedzie.

— Zpod Ujścia?... Na okrutną tedy hańbę waćpan patrzyłeś... Wiemy już co się tam stało.

— Właśnie dlatego, że się tam to stało, ja tu przyjechałem w tej nadziei, że tu nic podobnego się nie stanie.

— Możesz waszmość być pewien. Radziwiłł, to nie Opaliński.

— Toż samo wczoraj mówiliśmy w Upicie.

— Witam waszmościów najradośniej imieniem własnem i książęcem. Rad książę wojewoda będzie, gdy takich rycerzy zobaczy, bo mu ich bardzo potrzeba. Chodźcieże do mnie, do cekhauzu, gdzie jest moja kwatera. Pewnie zechcecie się przebrać i posilić, a ja będę wam też towarzyszył bom już musztrę skończył.

To rzekłszy, pan Charłamp skoczył znów do szeregu i zakomenderował krótkim donośnym głosem:

— Lewo! zwrot — w tył!

Kopyta zadzwięczały po bruku. Szereg rozłamał

się na dwoje, połowy rozłamały się znowu, aż wreszcie sformowały się czwórki, które wolnym krokiem poczęły oddalać się w stronę cekhauzu.

— Dobrzy żołnierze — rzekł Skrzetuski, patrząc okiem znawcy na mechaniczne ruchy dragonów.

— Sama to drobna szlachta i bojarzynkowie putni w tej broni służą — odparł pan Wołodyjowski.

— O Boże! zaraz znać, że to nie pospolitaki! — zawołał pan Stanisław.

— Ale że to Charłamp im porucznikuje? — pytał Zagłoba. — Czyli się myślę, ale pamiętam, że on w piatyhorskiej chorągwi służył i srebrną pętelkę nosił na ramieniu?

— Tak jest — rzekł Wołodyjowski. — Ale już z parę lat, jak pułkiem dragońskim dowodzi. Stary to żołnierz i kuty.

Tymczasem Charłamp, odesławszy dragonów, zbliżył się do naszych rycerzy.

— Proszę waszmościów za mną... Ot, tam cekhauz za pałacem.

W pół godziny później siedzieli już w pięciu nad misą piwa grzanego, dobrze zabelonego śmietaną i rozmawiali o nowej wojnie.

— A u was tu co słyhać? — pytał pan Wołodyjowski.

— U nas słyhać codzień co innego, bo się ludzie gubią w domysłach i coraz to inne nowiny puszczają — odparł Charłamp. — A naprawdę, to jeden książę wie, co się stanie. Waży on coś w umyśle, bo choć symuluje wesołość i na ludzi tak łaskaw, jak nigdy, to przecież okrutnie zamysłony. Po nocach, powiadają, nie sypia, jeno po wszystkich komnatach ciężkim krokiem chodzi

i sam ze sobą głośno gada, a we dnie przez całe godziny naradza się z Harasimowiczem.

— Cóżto za Harasimowicz? — spytał pan Wołodyjowski.

— To gubernator z Zabłudowa, z Podlasia, niewielka figura i tak wygląda, jakby dyabła za pazuchą hodował; ale księcia pana poufny i podobno wszystkie jego arkana znający. Wedle mojej głowy, to okrutna i mściwa wojna ze Szwedem z tych narad wyniknie, do której wojny wszyscy wzdychamy. Tymczasem listy tu latają: od księcia kurlandzkiego, od Chowańskiego i od elektora. Są tu tacy, którzy powiadają, że książę z Moskwą paktuje, by ją do ligi przeciw Szwedowi wciągnąć; inni, że przeciwnie; ale zdaje się, że z nikim ligi nie będzie, jeno wojna, jak rzekłem, z tymi i z owymi. Wojsk coraz więcej przychodzi, rozpisują listy do szlachty co najwierniejszej dla radziwiłłowskiego domu, aby się zjeżdżała. Wszędy pełno zbrojnego ludu... Ej, mości panowie! na kim się skrupi, na tym się zmiele, ale ręce będziemy mieli po łokcie czerwone, bo jak Radziwiłł raz ruszy w pole, to nie będzie paktował.

— Oj, to! oj, to! — rzekł Zagłoba, zacierając dłonie. — Przyszło już niemało krwi szwedzkiej na moich rękach i jeszcze niemało przyschnie... Niewielu już tych starych żołnierzy żyje, którzy mnie pod Puckiem i pod Trzcianną pamiętają; ale ci, którzy dotąd żyją, nigdy nie zapomną.

— A książę Bogusław tu jest? — pytał pan Wołodyjowski.

— A jakże. Prócz tego spodziewamy się dziś jakichś wielkich gości, bo pokoje górne wyprzątają, a wie-

czorem ma być bankiet w zamku. Wątpię, Michale, czy się dziś do księcia dostaniesz.

— Samże on mnie na dziś wezwał.

— To nic, ale okrutnie zajęty... Przytem... nie wiem, czy mogę waszmościom o tem mówić... wszelako, za godzinę i tak wszyscy o tem wiedzieć będą.. więc powiem... Tu się nadzwyczajne jakieś rzeczy dzieją...

— Co takiego? co takiego? — pytał Zagłoba.

— Owoż trzeba waćpanom wiedzieć, że przed dwoma dniami przyjechał tu pan Judycki, kawaler maltański, o którym musieliście słyszeć.

— A jakże — rzekł Jan — wielkito rycerz!

— Zaraz zaś po nim nadjechał i pan hetman polny Gosiewski. Dziwiliśmy się wielce, bo wiadoma rzecz, w jakiej emulacyi i nieprzyjaźni pan hetman polny żyje z naszym księciem. Niektórzy tedy cieszyli się, że zgoda nastąpiła między panami i mówili, że to ją właśnie inkursya szwedzka sprowadziła. Sam tak myślałem; tymczasem wczoraj zamknęli się we trzech na naradę, pozamykali wszystkie drzwi, nikt nic nie mógł słyszeć o czem radzili; jeno pan Krepsztul, który wartę za drzwiami trzymał, mówił nam, że okrutnie głośno rozprawiali, a zwłaszcza hetman polny. Później sam książę odprowadził ich do komnat sypialnych, a w nocy, imaginujcie sobie, (tu pan Charłamp zniżył głos) wartę każdemu przy drzwiach postawili.

Pan Wołodyjowski aż się zerwał z miejsca.

— Na Boga! nie może być!

— A przecież tak jest... Przy jednych i przy drugich drzwiach szkoci z rusznicami stoją i mają rozkaz pod gardłem nikogo nie wpuszczać i nie wypuszczać...

Rycerze spoglądali na się w zdumieniu, a pan Charłamp niemniej był zdumiony własnymi słowami i patrzył na nich, wytrzeszczając oczy, jakoby czekał od nich wyjaśnienia zagadki.

— To się znaczy, że pan podskarbi w areszt wzięty?... Hetman wielki aresztował polnego? — mówił Zagłoba — coto jest?

— Albo ja wiem. I Judycki, taki rycerz!

— Musieli przecie oficerowie książęcy mówić ze sobą o tem, zgadywać powody... Nicześ nie słyszał?

— Pytałem jeszcze wczoraj w nocy Harasimowicza...

— I cóż waćpanu powiedział — pytał Zagłoba.

— Nic nie chciał mówić, jeno palce na gębę położył i rzekł: „To zdrajcy!”

— Jakto zdrajcy?... jakto zdrajcy? — wołał biorąc się za głowę Wołodyjowski. — Ani pan podskarbi Gosiewski nie zdrajca, ani pan Judycki nie zdrajca. Toż ich cała Rzeczpospolita zna, jako zacnych ludzi i ojczyznę kochających.

— Dziś nikomu nie można wierzyć — odparł posepnie Stanisław Skrzetuski. — Albo to Krzysztof Opaliński nie uchodził za Katona? Alboż nie wyrzucał innym przywar, występków, prywaty?... A gdy przyszło co do czego, pierwszy zdradził i nie własną tylko osobę, ale całą prowincją do zdrady pociągnął.

— Ależ ja za pana podskarbiego i za pana Judyckiego głowę daję! — wołał Wołodyjowski.

— Nie dawaj, Michałku, głowy za nikogo — odrzekł Zagłoba. — Juźci nie bez kozery ich aresztowano. Musieli w jakieś konszachty wchodzić, nie może być inaczej... Jakto? książę gotuje się na wojnę okrutną

i każda pomoc mu miła... Kogoż więc może w takiej chwili w areszt brać, jeżeli nie tych, co mu do wojny przeszkadzają?... Co jeśli tak jest, jeśli ci dwaj panowie istotnie przeszkadzali, to chwała Bogu, że ich uprzedzono. Warci w podziemiu siedzieć... Ha! szelmy!... W takiej chwili praktyki czynić, z nieprzyjacielem się znosić, na ojczyznę nastawać, wielkiemu wojownikowi w imprezie przeszkadzać. Na Matkę Najświętszą, mało i tego, co ich spotkało!

— Dziwy to są, takie dziwy, że w głowie się nie chcą pomieścić — rzekł Charłamp — bo już pominąwszy, że to tak wielcy dygnitarze, aresztowano ich bez sądu, bez sejmu, bez woli Rzeczypospolitej całej, czego i sam król nie ma prawa uczynić.

— Jako żywo! — zakrzyknął pan Michał.

— Widać książe jegomość rzymskie chce u nas zaprowadzić zwyczaje — rzekł Stanisław Skrzetuski — i dyktatorem w czasie wojny zostać.

— A niech będzie i dyktatorem, byle Szwedów bił — odpowiedział Zagłoba. — Ja pierwszy votum za tem daję, aby mu dyktatura została powierzona.

Jan Skrzetuski zamyslił się i rzekł po chwili:

— Byle nie chciał zostać protektorem, jako ów angielszyk Kromwel, który na pana własnego nie wahał się świętokradzkiej ręki podnieść.

— Ba, Kromwel! Kromwel heretyk! — zakrzyknął Zagłoba.

— A książe wojewoda? — spytał poważnie pan Jan Skrzetuski.

Na to umilkli wszyscy i ze strachem przez chwilę patrzyli w przyszłość ciemną, tylko pan Charłamp narodził się zaraz i rzekł:



— Służyłem pod księciem wojewodą z młodych lat, choć małym młodszy od niego, bo najprzód, młodziekiem jeszcze, był moim rotmistrzem, potem hetmanem polnym, a dziś jest wielkim. Znam go lepiej od waćpanów, a zarazem czczę i miłuję, dlatego proszę, nie równajcie go z Kromwelem, abym zaś nie musiał wam na to powiedzieć czegoś, czego mi, jako gospodarzowi w tej izbie, mówić nie wypada...

Tu pan Charłamp począł okrutnie wąsiskami ruszać i trochę z pode łba spoglądać na pana Jana Skrzetuskiego, co widząc pan Wołodyjowski, utkwiał znów w pana Charłampa wzrok zimny i bystry, jakby mu chciał rzec:

— Warknijno tylko!

Wąsał pomiarkował się zatem natychmiast, bo pana Michała miał w nadzwyczajnej estymie, a zresztą niebezpiecznie było się z nim gniewać, więc mówił dalej, tonem daleko już łagodniejszym:

— Kalwin książę jest, ale przecie wiary prawdziwej dla błędów nie porzucił, jeno się w nich urodził. Nigdy on nie zostanie ani Kromwelem, ani Radziejowskim, ani Opalińskim, choćby Kiejdany miały się w ziemię zapaść. Nie takato krew, nie takito ród!

— Jeśli jest dyabłem i ma rogi na głowie, — rzekł pan Zagłoba — to tem lepiej, bo będzie miał czem Szwedów bóść.

— Ale że pan Gosiewski i pan kawaler Judycki areztowani?... no! no! — mówił, kręcąc głowę Wołodyjowski. — Nie bardzo książę na swych gości, którzy mu zaufani, łaskaw.

— Co mówisz, Michale! — odparł Charłamp. — Tak łaskaw, jak nigdy w życiu nie był... Ojciec to

teraz prawdziwy dla rycerstwa. Pamiętasz, jakto dawniej miał wiecznie kozła na czole, a w gębie jedno słowo: „służba!“ Większy strach brał zbliżyć się do jego majestatu, niż do królewskiego, a dziś każdego dnia między porucznikami i towarzystwem chodzi, a rozmawia, a każdego pyta o familią, o dzieci, o fortunę i po nazwisku każdemu mówi, a rozpytuje, czy się komu w służbie krzywda nie dzieje. On, który pomiędzy największymi panami nie chce mieć równych, wczoraj, nie, onegdaj chodził pod rękę z młodym Kmicicem, ażeśmy wszyscy oczom wierzyć nie chcieli, bo choć wielkito ród Kmicica, ale to całkiem młodziak i podobno siła grawaminów na nim ciąży, o czem ty wiesz najlepiej.

— Wiem, wiem — rzekł Wołodziejowski. — To Kmicic dawno tu jest?

— Teraz go niema, bo wczoraj pojechał do Czejkiszek po regiment piechoty, który tam stoi. Nikt teraz nie jest w takich faworach u księcia, jak Kmicic. Gdy odjeżdżał, książę spoglądał za nim przez chwilę, a potem rzekł: „Do wszystkiego tento człowiek i gotów samego dyabła za ogon przytrzymać, gdy mu każę!“ Słyszeliśmy to na własne uszy. Prawda, że taką chorągiew Kmicic przyprowadził, jakiej drugiej w całym wojsku nie masz. Ludzie i konie, jak smoki.

— Niema co i gadać, dzielny to żołnierz i naprawdę gotów na wszystko — odrzekł pan Michał.

— Cudów ponoć dokazywał w ostatniej wojnie, aż cenę na jego głowę nałożono, bo wolentarzami dowodził i na własną rękę wojował.

Dalszą rozmowę przerwało wejście nowej postaci. Był to szlachcic, lat około czterdziestu, mały, suchy,

ruchliwy, wijący się jak piskorz, z drobną twarzą, cienkimi wargami, porośniętym rzadkim wąsem i trochę kosmami oczyma. Ubrany był tylko w żupan drelichowy z tak długimi rękawami, że zupełnie pokrywały mu dłonie. Wszedłszy, zgiął się we dwoje, potem wyprostował się nagle, jakby sprężyną podrzucony, potem znów schylił się w niskim ukłonie, zakręcił głową, jakby ją wydobywał zpod własnej pachy i zaczął mówić szybko głosem, przypominającym skrzywienie zardzewiałej chorągiewki:

— Czołem, panie Charłamp, czołem, ach! czołem, panie pułkowniku, najniższy sługa!

— Czołem, panie Harasimowicz — odrzekł Charłamp. — A czego to waść życzysz?

— Bóg dał gości, znamienitych gości! Przyszędłem służby ofiarować i o godność spytać.

— Zali do ciebie przyjechali, panie Harasimowicz?

— Pewnie, że nie do mnie, bom tego i nie godzien... Ale że to marszałka nieobecnego zastępuję, więc przszędłem powitać, nisko powitać!

— Daleko waćpanu do marszałka, — odrzekł Charłamp — bo marszałek jest personat i pesesyonat, a waćpan sobie, z przeproszeniem, podstarości zabłudowski.

— Sługa sług radziwiłłowskich! Tak jest, panie Charłamp. Nie zapieram, Boże mnie chroń... Ale że książę, dowiedziawszy się o gościach, przysłał mnie pytać, co za jedni, więc waść odpowiesz, panie Charłamp, odpowiesz zaraz, choćbym był nawet hajdukiem, nietylko podstarościem zabłudowskim.

— Nawet i małpiebym odpowiedział, gdyby do

mnie z rozkazem przyszła — rzekł nosacz. — Słuchaj więc waść i zakonotuj sobie nazwiska, jeśli ci głowy nie staje, aby spamiętać. To jest pan Skrzetuski, ów zbarańczyk i jego stryjeczny Stanisław.

— Wielki Boże, co słyszę! — zakrzyknął Harasimowicz.

— To pan Zagłoba.

— Wielki Boże! co słyszę!...

— Jeśliś się waćpan tak skonfundował, usłyszawszy moje nazwisko — rzekł Zagłoba — zrozum, jak nieprzyjaciele w polu muszą się konfundować.

— A to pan pułkownik Wołodyjowski — dokończył Charłamp.

— I to głośna szabla a przytem radziwiłłowska — rzekł z ukłonem Harasimowicz. — Księciu panu głowa pęka od roboty, ale przecie dla takich rycerzy znajdzie czas, niezawodnie znajdzie... Tymczasem, czem można służyć waszmościom? Cały zamek na usługi miłych gości i piwniczka także.

— Słyszeliśmy o sławnych miodach kiejdańskich — rzekł pośpiesznie Zagłoba.

— A tak! — odrzekł Harasimowicz — sławne miody w Kiejdanach, sławne! Zaraz tu przyszę do wyboru. Mam nadzieję, że waszmościowie dobrodzieje dłużej tu zabawicie.

— Po to my tu i przyjechali, żeby od boku księcia wojewody nie odstępować — rzekł pan Stanisław.

— Chwalebna intencya waszmościów, tem chwalebniejsza, że tak ciężkie czasy idą.

To rzekłszy Harasimowicz, skurczył się i stał się tak mały, jakby go łokieć ubyło.

— Co słyhać? — pytał pan Charłamp. — Są jakie nowiny?

— Książę oka całą noc nie zmrzył, bo przyjechało dwóch posłańców. Źle słyhać i coraz gorzej. Carolus Gustavus już wszedł za Wittembergiem do Rzeczypospolitej; Poznań już zajęty, cała Wielkopolska zajęta, Mazowsze wkrótce będzie zajęte; Szwedzi już są w Łowiczu, tuż pod Warszawą. Nasz król uciekł z Warszawy, którą bez obrony zostawił. Dziś, jutro, Szwedzi do niej wejdą. Mówią, że i bitwę znaczną przegrał, że do Krakowa chce umykać, a ztamtąd do cudzych krajów, o pomoc prosić. Źle, mości panowie dobrodzieje! Choć są tacy, którzy mówią, że to dobrze, bo Szwedzi żadnych gwałtów nie czynią, umów święcie dotrzymują, podatków nie wybierają, wolności obserwują, w wierze przeszkody nie czynią. Dlatego wszyscy chętnie przyjmują protekcją Karola Gustawa... Zawiniłbo nasz pan, Jan Kazimierz, srodze zawinił... Przepadło już wszystko dla niego, przepadło!... Płakać się chce, ale przepadło, przepadło!

— Czego się waćpan, u dyabła, tak wijesz, jak piskorz, gdy go w garnek kładą! — huknął Zagłoba — i o nieszczęściu mówisz, jakbyś był z niego rad?

Harasimowicz udał, że nie słyży i wzniósłszy oczy w górę, powtórzył jeszcze kilkakrotnie:

— Przepadło wszystko, na wieki przepadło!... Trzem wojnom nie oprze się Rzeczpospolita... Przepadło!... Wola Boska!... Wola Boska!... Jeden nasz książę może Litwę ocalić...

Żłowrogie słowa jeszcze nie przebrzmiały, gdy Harasimowicz zniknął tak szybko za drzwiami, jakby

się w ziemię zapadł, a rycerze siedzieli posepnie, brzemieniem strasznych myśli przygnieci.

— Zwaryować przyjdzie! — zakrzyknął wreszcie Wołodyjowski.

— Słusznie waćpan mówisz, — rzekł Stanisław — dajże Boże wojnę, wojnę jak najprędzej, w której człowiek w domysłach się nie gubi, duszy w desperacyą nie podaje, jeno się bije.

— Przyjdzie żałować pierwszych czasów Chmielnickiego, — rzekł Zagłoba — bo wtedy były klęski, ale zdrajców przynajmniej nie było.

— Takie straszne trzy wojny, gdy po prawdzie, na jedną sił nam brak! — rzekł Stanisław.

— Nam nie sił brak, jeno ducha. Niecnotą ginie ojczyzna. Daj Boże, abysmy się tu czego lepszego doczekali — mówił posepnie Jan.

— Nie odetchnę, aż w polu! — rzekł Stanisław.

— Żebyto już prędzej tego księcia zobaczyć! — zakrzyknął Zagłoba.

Życzenia jego spełniły się niebawem, gdyż po godzinie czasu przyszedł znów pan Harasimowicz z niższymi jeszcze ukłonami i z oznajmieniem, że książę pilno żąda widzieć ichmościów.

Porwali się tedy zaraz, bo już byli przybrani i poszli. Harasimowicz, wyprowadziwszy ich z cekhauzu, przeprowadził przez dziedziniec, na którym pełno było już wojskowych i szlachty. W niektórych miejscach rozprawiano tłumnie, widocznie nad temi samemi nowinami, które rycerzom przyniósł podstarości zabłudowski. Na wszystkich twarzach malował się żywy niepokój i jakieś oczekiwanie gorączkowe. Pojedyncze grupy oficerów i szlachty słuchały mowców, którzy stojąc po-

środku, gestykulowali gwałtownie. Po drodze słyhać było słowa: „Wilno się pali! Wilno spalone!... Ni śladu, ni popiołu! Warszawa wzięta!... Nieprawda, jeszcze nie wzięta!... Szwedzi już w Małopolsce! Sieradzanie opór dadzą!... Nie dadzą! pójda śladem Wielkopolanów! Zdrada! Nieszczęście! O Boże, Boże! Nie wiadomo, gdzie ręce i szablę wetknąć!“

Takieto słowa, jedno od drugich straszniejsze, odbijały się o uszy rycerzy, a oni szli, przeciskając się za Harasimowiczem z trudnością przez wojskowych i szlachtę. Miejscami znajomi witali pana Wołodyjowskiego: „Jak się masz Michale? Złe z nami! Giniemy! Czołem, mości pułkowniku! A to co za gości prowadzisz do księcia?“ Pan Michał nie odpowiadał, chcąc zwłoki unikać, i tak doszli aż do głównego korpusu zamkowego, w którym janczarowie książeący, przybrani w kolczugi i olbrzymie białe czapki, straż trzymali.

W sieni i na głównych schodach, obstawionych pomarańczowemi drzewami, ścisk był jeszcze większy, niż na podwórzu. Rozprawiano tu o aresztowaniu Gosiewskiego i kawalera Judyckiego, bo rzecz już się była wydała i poruszyła do najwyższego stopnia umysły. Zdumiewano się, gubiono w przypuszczeniach, oburzano się lub chwalono książeącą przezorność; wszyscy zaś spodziewali się usłyszeć wyjaśnienie zagadki z ust samego księcia, dlatego rzeka głów płynęła po szerokich schodach na górę do sali audyencyjonalnej, w której w tej chwili książe przyjmował pułkowników i znakomitszą szlachtę. Trabanci rozstawieni wzdłuż kamiennych poręczy, pilnowali, aby nie było zbyt wielkiego natłoku, powtarzając co chwila: „Zwolna, mości panowie! zwolna!“ — a tłum posuwał się lub zatrzymywał chwilami,

gdy trabant zagradzał drogę halabardą, aby idący naprzód mieli czas wejść do sali.

Nakoniec lazuruwe sklepienia sali zabłyśły przez otwarte drzwi i nasi znajomi weszli. Wzrok ich padł najprzód na wzniesienie, ustawione w głębi sali, zajęte przez świetny orszak rycerstwa i panów w pysznych różnobarwnych strojach. Na przedzie stało puste krzesło, wysunięte więcej od innych, z wysokiem tylnem oparciem, zakończonem złoconą mitrą książęcą, zpod której spływał na dół amarantowy aksamit, obramowany gronostajami.

Księcia nie było jeszcze w sali, ale Harasimowicz, wiodąc ciągle za sobą rycerzy, przecisnął się przez zebraną szlachtę, aż do małych drzwi, ukrytych w ścianie obok wzniesienia; tam kazał się im zatrzymać, a sam zniknął za drzwiami.

Po chwili wrócił z doniesieniem, że książę prosi.

Dwaj Skrzetuscy z Zagłobą i Wołodyjowskim weszli teraz do niewielkiej komnatki, bardzo widnej, obitej skórą wytłaczaną w złociste kwiaty i zatrzymali się, widząc w głębi za stołem, pokrytym papierami, dwóch ludzi pilną zajętych rozmową. Jeden z nich, młody jeszcze, przybrany w strój cudzoziemski i perukę o długich lokach, spadających na ramiona, szeptał coś do ucha starszego towarzysza, ten zaś słuchał ze zmarszczoną brwią i kiwał od czasu do czasu głową; tak zajęty był przedmiotem rozmowy, że nie zwrócił zrazu uwagi na przybyłych.

Był to człowiek czterdziestokilkoletni, postaci olbrzymiej i barczysty. Ubrany był w strój szkarłatny polski, spięty pod szyją kosztownymi agrafami. Twarz miał ogromną, o rysach, z których biła pycha, powaga



i potęga. Była to gniewliwa lwia twarz wojownika i władcy zarazem. Długie, zwieszające się w dół wąsy, nadawały jej wyraz posępny i cała w swej potędze i ogromie była jakby wykuta wielkimi uderzeniami młota z marmuru. Brwi miał w tej chwili zmarszczone z powodu natężonej uwagi, ale zgadłeś łatwo, że gdy je zmarszczy gniew, wówczas biada tym ludziom, tym wojskom, na których gromy owego gniewu spadną.

Było coś tak wielkiego w tej postaci, że patrzącym na nią rycerzom wydawało się, iż nietylko owa komnata, ale i cały zamek dla niej zaciasny; jakoż nie myliło ich pierwsze wrażenie, albowiem siedział przed nimi Janusz Radziwiłł, książę na Birżach i Dubinkach, wojewoda wileński i hetman wielki litewski, pan tak potężny i dumny, że mu było w całej niezmiernej fortunie, we wszystkich godnościach, ba! nawet na Żmudzi i w Litwie za ciasno.

Młodszy jego towarzysz, w długiej peruce i w cudzoziemskim stroju, był to książę Bogusław, stryjeczny Janusza, koniuszy wielkiego Księstwa litewskiego.

Przez chwilę szeptał on jeszcze coś do ucha hetmana, nakoniec rzekł głośno:

— Zostawiam więc swój podpis na dokumencie i wyjeżdżam.

— Skoro nie może być inaczej, to jedź w. ks. mość — rzekł Janusz, — choć wolałbym, żebyś został, bo nie wiadomo, co się stać może.

— W. ks. mość obmyśliłeś wszystko jak należy, zaś tam pilniej w sprawę trzeba wejrzeć, a zatem Bogu w. ks. mość polecam.

— Niech Bóg ma w opiece cały nasz dom i chwały mu przyczyni.

— Adieu, mon frère.

— Adieu.

Dwaj książęta podali sobie ręce, poczem koniwszy wyszedł śpiesznie, a hetman wielki zwrócił się do przybyłych.

— Wybaczcie waszmościowie, że pozwoliłem czekać, — rzekł niskim, powolnym głosem — ale teraz i uwaga i czas rozerwane na wszystkie strony. Słyszałem już nazwiska waszmościów i ucieszyłem się w duszy, że Bóg w takich chwilach zsyła mi takich rycerzy. Siadajcież mili goście. Który z waszmościów jest pan Jan Skrzetuski?

— Jam jest, do usług waszej książęcej mości — rzekł Jan.

— To waszmość jesteś starostą... bodajże cię... zapomniałem...

— Żadnym starostą nie jestem — odrzekł Jan.

— Jakto? — rzekł książę, marszcząc swe potężne brwi — waści nie dali starostwa za to, coś pod Zbarażem uczynił?

— Nigdy o to nie zabiegał.

— Bo ci powinni byli dać bez starania. Jakto? Co waćpan mówisz? Niczem nie nagrodzono? Zapomniano zgoła? To mi i dziwno. Ale ba! źle mówię, nie powinno to nikogo dziwić, bo teraz tacy tylko otrzymują nagrody, którzy mają grzbiet wierzbowy, łatwo się gnący. Waszmość nie jesteś starostą, proszę!... Niechże Bogu będą dzięki, żeś tu przyjechał, bo tu nie mamy tak krótkiej pamięci i żadna zasługa nie pozostanie bez nagrody — jako i twoja, mość pułkownika Wołodyjowski...

— Na nic jeszcze nie zasłużyłem...

— Zostaw to mnie, a tymczasem weź ten dokument, w Rosieniach już roborowany, którym ci Dydkie-  
mie w dożywocie puszczam. Niezły to kawał ziemi i sto  
pługów wychodzi w nim co wiosną orać. Weźże i to, bo  
nie mogę dać więcej, a powiedz panu Skrzetuskiemu,  
że Radziwiłł nie zapomina swych przyjaciół, ani tych,  
którzy ojczyźnie pod jego wodzą oddali usługi.

— Wasza książęca mość!... — wyjąkał zmieszany pan Michał.

— Nie mów nic i wybaczaj, że tak mało, ale  
powiedz, powiedz ichmościom, że nie zginie, kto swoją  
fortunę na zło i na dobro z radziwiłłowską połączy.  
Nie jestem królem, ale — gdybym nim był — Bóg mi  
świadek, że nie zapomniabym nigdy takiego Jana  
Skrzetuskiego, ani takiego Zagłoby...

— To ja! — rzekł Zagłoba, wysuwając się rażno  
naprzód, bo już go to niecierpliwie zaczynało, że nie  
było o nim dotąd wzmianki.

— Zgaduję, że to waszmość, gdyż mi powiadano,  
żeś człek w lata podeszły.

— Do szkół z dostojnym rodzicem waszej książę-  
żęcej mości chodziłem, a jako rycerska w nim była  
od dzieciństwa inklinacya, przeto mnie do poufałości  
przypuszczał, bo i ja wolałem dzidkę od łaciny.

Panu Stanisławowi Skrzetuskiemu, który Zagłobę  
mniej znał, dziwno to było słyszeć, gdyż wczorajszego  
jeszcze dnia Zagłoba mówił w Upicie, że nie z nie-  
boszczykiem księciem Krzysztofem, ale z samym Janu-  
szem do szkół chodził, co było niepodobne, bo książę  
Janusz znacznie był młodszy.

— No proszę, — rzekł książę — to waćpan z Litwy  
rodem?

— Z Litwy! — odrzekł bez zajknięcia pan Zagłoba.

— To zgaduję, żeś i waszmość żadnej nagrody nie otrzymał, bo my Litwini już przywykli do tego, że nas niewdzięcznością karmią... Dla Boga! gdybym waszmościom to dał, co im się słusznie należy, tedyby dla mnie samego nic nie zostało. Ale takito los! My niesiem krew, życie, fortuny i nikt nam za to głową nie kiwnie. Ha! trudno! jakie ziarno sieją, taki plon będą zbierali... Tak każe Bóg i sprawiedliwość... Waćpanże to usiekłes przesławnego Burłaja i ściąłes trzy głowy pod Zbarażem?

— Burłaja ja usiekłem, wasza książęca mość — rzekł Zagłoba — bo powiadali, że z nim się żaden człowiek mierzyć nie może, więc chciałem pokazać młodszym, że męstwo nie całkiem jeszcze wygasło w Rzeczypospolitej... A co do trzech głów, mogło się to w gęstwie bitwy przytrafić... ale pod Zbarażem uczynił to kto inny.

Książę zamilkł na chwilę, poczem odezwał się znowu:

— Zali nie bolesna waszmościom ta wzgarda, jaką wam zapłacono?

— Co czynić, wasza ks. mość, choć człowiekowi i markotno — odparł Zagłoba.

— Pocieszcie się, bo się to musi zmienić... Już za to, żeście tu przyjechali, dłużnikiem waszym jestem, a chociażem nie król, przecie się u mnie na obietnicach nie kończy.

— Wasza ks. mość — rzekł na to żywo i trochę dumnie pan Skrzetuski — nie po nagrody i fortuny my tu przyjechali... Jeno że nieprzyjaciel naszedł ojczyznę,

więc chcemy jej zdrowiem naszym iść w pomoc pod wodzą tak wsławionego wojownika. Brat mój, Stanisław, patrzył pod Ujściem na bojazń, nieład, hańbę i zdradę, a wkońcu na tryumf nieprzyjaciela. Tu pod wielkim wodzem i wiernym obrońcą ojczyzny i majestatu służyć będziem. Tu nie wiktorje, nie tryumfy, ale klęski i śmierć czekają na nieprzyjaciół... Ot, dlaczego służby nasze waszej ks. mości przybyliśmy ofiarować. My żołnierze, bić się chcemy i pilno nam do boju.

— Jeśli taka wasza chęć, tedy i w niej będziecie mieli ukontentowanie — odparł książę poważnie. — Nie będziecie długo czekali, choć najprzód na innego nieprzyjaciela ruszymy, bo nam popioły wileńskie pomścić trzeba. Dziś, jutro, ruszymy w tamtą stronę i da Bóg, z nawiązką krzywdy zapłacim... Nie zatrzymuję dłużej waszmościów, bo i wy wypoczynku potrzebujecie i mnie robota pali. A przyjdźcieże wieczorem na pokoje, może się i jaka słuszna zabawa przed pochodem zdarzy, bo siła białogłów pod nasze skrzydła do Kiejdan się przed wojną zjechało. Mości pułkowniku Wołodyjowski, podejmujże drogich gości jakoby w domu własnym i pamiętajcie, że co moje, to i wasze!... Panie Harasimowicz, powiedz tam w sali zebranych panom braciom, że nie wyjdę, bo czasu nie mam, a dziś wieczorem dowiedzą się wszystkiego, co chcą wiedzieć... Bądźcie waszmościowie zdrowi i bądźcie Radziwiłłowi przyjaciółmi, gdyż mu siła teraz na tem zależy.

To rzekłszy ów potężny i dumny pan, począł podawać z kolei rękę panu Zagłobie, dwom Skrzetuskim, Wołodyjowskiemu i Charłampowi, jakby sobie równym. Posępne oblicze rozjaśniło mu się serdecznym i łaska-

wym uśmiechem i owa nieprzystępność, otaczająca go zwykle jakoby ciemną chmurą, znikła zupełnie.

— To wódz, to wojownik! — mówił Stanisław, gdy z powrotem przeciskali się przez tłum szlachty, zebrany w sali audyencyonalnej.

— W ogieńbym za niego poszedł! — zawołał Zagłoba. — Uważaliście, jak wszystkie moje przewagi na pamięć umie?... Ciepło będzie Szwedom, gdy ten lew zarczy, a ja mu zawtóruję. Nie masz takiego drugiego pana w Rzeczypospolitej, a z dawnych jeden tylko książę Jeremi, a drugi pan Koniecpolski, ojciec, mogli z nim wejść w paragon. To nie lada kasztelanina, coto pierwszy z rodu na senatorskiem krześle zasiadł i hajdawerów jeszcze sobie na niem nie wytarł, a już nosa zadziera i szlachtę młodszą bracią nazywa i swój konterfekt zaraz każe malować, aby, nawet jedząc, miał swoje senatorstwo przed sobą, gdy się go za sobą dopatrzeć nie może... Panie Michale, doszedłeś do fortuny!... Już tak widać jest, że kto się o Radziwiłła otrze, ten sobie wytarty kubrak zaraz ozłoci. Łatwiej tu widzę o promocyą, niż u nas o kwartę gniłek. Wsadzisz rękę w wodę z zamkniętymi oczami i już szczupaka dzierzysz. To mi pan z panów! Szczęść ci Boże, panie Michale. Skonfundowałeś się, jak panna po ślubie; ale to nic!... Jakże się to twoje dożywocie nazywa? Dudkowo, czy jak?... Pogańskie nazwy w tej krainie. Jak orzechami o ścianę rzucisz, to właśnie imię wioski albo szlalcica uczynisz. Ale byle intrata była dobra, to nie żal i jęzór sobie wystrzępić.

— Skonfundowałem się okrutnie, przyznaję — rzecze pan Michał — bo to, co waćpan mówisz, że tu tak o promocyą łatwo, to nieprawda. Nieraz ja słyzałem

starych żołnierzy, pomawiających księcia o awarycyę, a teraz zaczynają się niespodzianie łaski sypać jedna za drugą.

— Zatkniżże sobie ten dokument za pas, uczyń to dla mnie... A jeżeli ktoś jeszcze będzie na niewdzięczność książęcą narzekał, to go zza pasa wyciągnij i daj mu nim w pysk. Lepszego argumentu nie znajdziesz.

— Jedno widzę jasno, że książę sobie ludzi kaptuje — rzekł Jan Skrzetuski — i że chyba jakieś zamiary tworzy, do których mu pomoc potrzebna.

— Alboś to nie słyszał o tych zamiarach? — odrzekł Zagłoba. — Alboż to nie powiedział, że mamy iść popioły wileńskie pomścić?... Powiadali na niego, że Wilno zrabował, a on chce pokazać, że nietylko cudzego nie potrzebuje, ale i swoje gotów jeszcze oddać... Piękna to ambicya, panie Janie. Daj nam Boże więcej takich senatorów!

Tak rozmawiając, znaleźli się znowu na dziedzińcu zamkowym, na który wjeżdżały co chwila to oddziały konnych wojsk, to gromady zbrojnej szlachty, to kolaski wiozące personatów okolicznych z żonami i dziećmi. Postrzegłszy to pan Michał, pociągnął wszystkich ze sobą do bramy, aby się wjeżdżającym przypatrywać.

— Kto wie, panie Michale, dziś twój fortunny dzień... Może tu i żona dla ciebie pomiędzy temi szlachciankami jedzie — rzekł pan Zagłoba. — Obacz! ot, jakaś kolaska odkryta się tu zbliża, a w niej coś białego siedzi...

— Nie panna to jeszcze jedzie, ale ten, który mi może ślub z nią dać, -- odrzekł bystrooki pan Wołodujowski — gdyż zdaleka poznaję, że to ksiądz biskup Par-

czewski nadjeżdża z księdzem Białożorem, archidyakonem wileńskim.

— Zali oni księcia, choć kalwina, odwiedzają?

— Cóż mają czynić; gdy tego potrzeba dla spraw publicznych, muszą ze sobą politykować.

— Ej, rojno też tu! ej, gwarno! — rzekł z radością pan Zagłoba. — Człowiek już zardzewiał na wsi, jak stary klucz w zamku... Tu się lepsze czasy przypomną. Szelmą jestem, jeżeli dzisiaj do jakiej dziewczki, gładyzki, w zaloty się nie puszczę!

Dalsze słowa pana Zagłoby przerwali żołnierze, trzymający straż w bramie, którzy wypadłszy z odwachu, stanęli w dwa szeregi na przyjęcie księdza biskupa; on zaś przejechał, czyniąc krzyż ręką na obie strony, błogosławiąc żołnierzy i zebraną w pobliżu szlachtę.

— Polityczny to pan, książe, — rzekł Zagłoba — że tak księdza biskupa honoruje, chociaż sam zwierzchności kościelnej nie uznaje... Dałby Bóg, żeby to był pierwszy krok do nawrócenia.

— E! nie będzie z tego nic. Niemało o to starań czyniła pierwsza jego żona i nic nie wskórała, aż umarła ze zmartwienia... Ale czemu to szkoty z warty nie schodzą? Widać znowu ktoś godny będzie przejeżdżał.

Jakoż w dalekości ukazał się cały orszak zbrojnych żołnierzy.

— To dragony Ganchofa, poznaję; — rzekł Wołodjowski — ale jakieś karety w środku idą!

Wtem bębny poczęły warczeć.

— Oho! to widać ktoś większy od księdza biskupa żmudzkiego! — zawołał Zagłoba.

— Czekać waść, już są.



— Dwie karety wpośrodku.

— Tak jest. W pierwszej to pan Korf, wojewoda wendeński.

— Jakże! — zakrzyknął Jan — to znajomy ze Zbaraża...

Jakoż wojewoda poznał ich, a najpierw Wołodjowskiego, którego widocznie częściej widywał; więc przejeżdżając, wychylił się z kolaski i zakrzyknął:

— Witam waszmościów, starzy towarzysze!... Ot, gości wieziem!

W drugiej karecie, z herbami księcia Janusza, zaprzągniętej w cztery białe ogiery, siedziało dwóch panów wspaniałej postaci, ubranych zdudzoziemska, w kapelusze o szerokich koliskach, zpod których jasne pukle peruk spływały im aż na ramiona, na koronkowe, szerokie kołnierze. Jeden, bardzo otyły, nosił spiczastą płową brodę i wąsy rozstrzępione na końcach i podniesione do góry; drugi młodszy, ubrany całkiem czarno, mniej rycerską miał postawę, ale może wyższy jeszcze urząd, gdyż na szyi błyszczał mu złoty łańcuch, zakończony jakimś orderem. Obaj widocznie byli cudzoziemcami, spoglądali bowiem ciekawie na zamek, na ludzi i na ubiory.

— Co za dyabły? — pytał Zagłoba.

— Nie znam ich, nigdy nie widziałem! — odrzekł Wołodjowski.

Wtem karoca przejechała i poczęła okrążyć dziedziniec, by zajechać przed główny korpus zamkowy, dragoni zaś zatrzymali się przed bramą.

Wołodjowski poznał dowodzącego nimi oficera.

— Tokarzewicz! — zakrzyknął — a bywajno waszmość!

— Czołem, mości pułkownik!

— A jakich to szołdrów wieziecie?

— To Szwedzi.

— Szwedzi?

— Tak jest i znaczni ludzie. Ten gruby, to hrabia Löwenhaupt, a ów cieńszy, to Benedykt Shitte baron von Duderhoff.

— Duderhoff?! — rzekł Zagłoba.

— A czego oni tutaj chcą? — pytał pan Wołodjowski.

— Bóg ich wie! — odpowiedział oficer. — My ich od Birż eskortujem. Pewnie paktować z naszym księciem przyjechali, bo tam w Birżach słyszeliśmy, że książę wielkie wojsko zbiera i że ma Inflanty najechać.

— Ha, szelmy! tchórz was oblatuje! — wołał Zagłoba. — To Wielkopolskę najeżdżacie, króla rugujecie, a tu kłaniacie się Radziwiłłowi, by was w Inflanty nie połechtał. Poczekajcie! będziecie zmykać do waszych Dunderhoffów, aż wam pończochy opadną! Zaraz my tu z wami podunderujemy. Niech żyje Radziwiłł!

— Niech żyje — powtórzyła stojąca przy bramie szlachta.

— Defensor patriae! Obrońca nasz! Na Szweda, mości panowie! na Szweda!

Uczyliło się koło. Coraz więcej szlachty zbierało się z dziedzińca, co widząc Zagłoba, skoczył na wystający cokół bramy i począł wołać:

— Mości panowie, słuchajcie! Kto mnie nie zna, temu powiem, że jest stary zbarażczyk, który Burłaja, największego hetmana po Chmielnickim, tą oto starą ręką usiekł; kto zaś nie słyszał o Zagłobie, ten widać czasu pierwszej kozackiej wojny groch łuszczył, kury

macał albo cieleńta pasał, czego po tak zacnych kawalerach się nie spodziewam.

— Wielki to rycerz! — ozwały się liczne głosy. — Niemasz w Rzeczypospolitej większego!... Słuchajcie!

— Słuchajcie, mości panowie! Starym kościom chciało się wypoczynku; lepiejby mi było po piekarniach się wylegać, twaróg ze śmietaną jadać, po sadach chodzić i jabłka zbierać, albo ręce w tył założywszy, nad żniwakami stać lub dziewczki po łopatkach poklepywać. Pewnie i nieprzyjaciel byłby mnie dla własnego dobra ostawił w spokoju, bo i Szwedzi i Kozacy wiedzą, że mam rękę przyciężką i dałby Bóg, aby moje imię tak było znane waćpanom, jak hostibus jest znane.

— A coto za kur tak górnje pieje? — spytał nagle jakiś głos.

— Nie przerywaj! bodaj cię zabito! — wołali inni. Lecz Zagłoba dosłyszał.

— Wybaczcie waćpanowie temu kogutkowi! — zakrzyknął — bo on jeszcze nie wie, z której strony ogon, a z której głowa.

Szlachta wybuchnęła ogromnym śmiechem, a zmieszany preopinant cofał się prędzej poza tłum, aby ująć szyderstw, które poczęły się sypać na jego głowę.

— Wracam do materyi! — mówił Zagłoba. — Owóz, repeto, należałby mi się wypoczynek, ale że ojczyzna w paroksyzmie, że nieprzyjaciel depce naszą ziemię, przetom tu jest, mości panowie, aby razem z wami oponować się hostibus, w imię tej matki, która nas wszystkich wykarmiła. Kto przy niej dziś nie stanie, kto jej na ratunek nie pobieży, ten nie syn, ale pasierb, ten nie godzien jej miłości. Ja stary idę, niech się dzieje wola Boża, a jeśli zginąć przyjdzie, tedy osta-

tnim tchem będę wołał: na Szweda! panowie bracia! na Szweda!... Poprzysięgnijmy sobie, że nie prędzej popuścimy szable z dłoni, aż ich z ojczyzny wyżeniam!...

— My i bez przysięg na to gotowi! — zawołały liczne głosy. — Pójdziem, gdzie nas nasz hetman książę poprowadzi; zajedziem gdzie potrzeba!

— Mości panowie bracia!... Widzieliście, jako dwóch pludraków przyjechało w złocistej karecie. Wiedzą oni, że nie z Radziwiłłem to igrać. Będą za nim po komnatach chodzić i w łokcie go całować, by im dał pokój. Ale książę, mości panowie, od którego z narady wracam, upewnił mnie imieniem całej Litwy, że nic z paktów, nic z pergaminów, jeno wojna i wojna!!

— Wojna! wojna! — powtórzyły jak echa głosy słuchaczy.

— Lecz że i wódz — mówił dalej Zagłoba — tem śmielej sobie poczyna, im swoich żołnierzy pewniejszy, okażmy tedy, mości panowie, nasze sentymenta. A nuże! Pójdźmy pod pańskie okna zakrzyknąć: hajże na Szweda! Za mną, mości panowie!

To rzekłszy, zeskoczył z cokołu i ruszył naprzód, a tłum za nim i tak przyszli pod same okna, czyniąc gwar coraz większy, który wkońcu zlał się w jeden olbrzymi okrzyk:

— Na Szweda! na Szweda!

Po chwili wypadł z sieni pan Korf, wojewoda wendeński, zmieszany bardzo, za nim Ganchoff, pułkownik rajtarów książęcych i obaj poczęli hamować szlachtę, uciszać, prosić, żeby się rozeszła.

— Na Boga — mówił pan Korf — tam na górze aż szyby drżą, a waćpanowie ani wiecie, jakeście się nie

w porę z waszemi okrzykami wybrali. Jakżeto możecie posłom zniewagi czynić, przykład niekarności dawać! Kto was do tego pobudził?

— Ja! — odrzekł Zagłoba. — Powiedz wasza miłość księciu panu w imieniu nas wszystkich, że go prosimy, aby był twardy, bo do ostatniej kropli krwi gotowiśmy przy nim wytrwać.

— Dziękuję waszmościom w imieniu pana hetmana, dziękuję waszmościom, ale już się rozejdźcie. Rozwagi, mości panowie! Na żywy Bóg, rozwagi, bo ojczyznę do reszty pograżycie! Niedźwiedzią przysługę ojczyźnie oddaje, kto dziś posłów znieważa.

— Co nam do posłów! Chcemy się bić, nie paktować!

— Cieszy mnie animusz waszmościów! Przyjdzie na to pora niezadługo, bogdaj, że i bardzo prędko. Wypocznijcie teraz przed wyprawą. Pora na gorzałkę i przekąskę! Żle się bić o pustym brzuchu.

— Prawda, jako żywo! — zawołał pierwszy pan Zagłoba.

— Prawda, w sedno utrafił. Skoro książę zna nasze sentymenta, to nie mamy tu co robić!

I tłum począł się rozpraszać, największy zaś płynął do oficyn, w których liczne stoły były już zastawione. Pan Zagłoba szedł na czele — pan Korf zaś wraz z pułkownikiem Ganchofem udali się do księcia, który siedział na naradzie z posłami szwedzkimi, z księdzem biskupem Parczewskim, z księdzem Białozorem, z panem Adamem Komorowskim i z panem Aleksandrem Mierzejewskim, dworzaninem króla Jana Kazimierza, czasowo bawiącym w Kiejdanach.

— Kto tam był sprawcą tej wrzawy? — pytał książę, z którego lwiej twarzy gniew jeszcze nie ustąpił.

— To ów szlachcic świeżo przybyły, sławny pan Zagłoba! — odpowiedział wojewoda wendeński.

— Mężnyto rycerz, — odparł książę — ale za-  
wczasem mi się rzucić poczyna.

To rzekłszy, skinął na pułkownika Ganchofa i począł mu coś szeptać do ucha.

Pan Zagłoba tymczasem rad z siebie, szedł do sal dolnych uroczystym krokiem, mając przy sobie panów Skrzetuskich i pana Wołodyjowskiego, do których mówił zcicha:

— A co, amici, ledwie się pokazał, jużem afekt w tej szlachcie ku ojczyźnie rozbudził. Łatwiejże teraz księciu odprawić z niczem posłów, bo się na nasze sufragia potrzebuje tylko powołać. Nie będzie to, jak myślę, bez nagrody, choć najwięcej mi o honor chodzi. Czegożes tak stanął, panie Michale, jak skamieniały i oczy utkwieś w onę kolaskę przy bramie?

— To ona! — rzekł, ruszając wąsikami pan Michał. — Na Boga żywego, ona sama!

— Kto taki?

— Billewiczówna...

— Ta, która ci dała rekuzę?

— Tak jest. Patrzcie waszmościowie, patrzcie! Nie zmarnieje tu człeku od żałości?

— A poczekajcieno! — rzekł Zagłoba — trzeba się przyjrzeć.

Kolaska tymczasem zatoczywszy koło, zbliżyła się do rozmawiających. Siedział w niej okazały szlachcic z siwiejącym wąsem, a obok niego panna Aleksandra; piękna jak zawsze, spokojna i poważna.

Pan Michał utkwiał w nią wzrok rozżalony i skłonił się nisko kapeluszem, ale ona nie dostrzegła go w tłumie. Zagłoba zaś rzekł, spoglądając na jej delikatne szlachetne rysy:

— Pańskie to jakieś dziecko, panie Michale, i za misterna dla żołnierza. Przyznaję, że gładka, ale ja wolę takie, coto i zrazu nie poznasz: armata, czy białogłowa?

— Nie wiesz waszmość, kto to przyjechał? — spytał pan Michał stojącego obok szlachcica.

— Jakże nie wiem! — odparł szlachcic — to pan Tomasz Billewicz miecznik rosieński. Wszyscy go tu znają, bo to dawny radziwiłłowski sługa i przyjaciel.

---

## ROZDZIAŁ XIII.

---

Książę nie pokazał się tego dnia szlachcie aż do wieczora, obiadował bowiem z posłami i kilku dygnitarzami, z którymi poprzednio naradę był składał. Przyszły jednak rozkazy do pułkowników, żeby nadworne pułki radziwiłłowskie, a zwłaszcza regimenty piechoty pod cudzoziemskimi oficerami, stały w pogotowiu. W powietrzu pachniało prochem. Zamek lubo nie obronny, otoczony był wojskiem, jak gdyby pod jego murami miano bitwę stoczyć. Spodziewano się pochodu najpóźniej na jutrzejszy ranek i były tego widome oznaki, niezliczona bowiem czeladź książęca zajęta była ładowaniem na wozy broni, kosztownych sprzętów i książęcego skarbcza.

Harasimowicz opowiadał szlachcie, że wozy pójdą do Tykocina na Podlasie, bo niebezpiecznieby było, aby skarbiec zostawał w nieobronnym kiejdańskim zamku. Przygotowywano i rekwizyta wojenne, które miały iść za wojskiem.

Rozeszły się wieści, że hetman polny Gosiewski dlatego został aresztowany, że nie chciał połączyć swych chorągwi, stojących w Trokach, z radziwiłłowskimi, przeto na jawną zgubę całą wyprawę wystawiał.



Zresztą przygotowania do pochodu, ruch wojsk, turkot armat, wytaczanych z zamkowego arsenału i ów rozgardyasz towarzyszący zawsze pierwszym chwilom wojennych wypraw, odwrócił uwagę w inną stronę i kazał zapomnieć rycerstwu o aresztowaniu pana Gosiewskiego i kawalera Judyckiego.

Obiadująca w olbrzymich dolnych salach oficyn szlachta, o niczem nie rozprawiła, jeno o wojnie, o pożarze Wilna, które już dziesięć dni gorzało, coraz sroższym paląc się pożarem, o wieściach z Warszawy, o postępach Szwedów i o Szwedach samych, przeciw którym, jako przeciw wiarołomcom, napadającym sąsiada wbrew traktatowi mającemu jeszcze na sześć lat siłę, burzyły się serca, umysły i wzrastała w duszach zawziętość. Wieści o szybkich postępach, o kapitulacyi Ujścia, zalaniu Wielkopolski wraz ze wszystkimi miastami, o grożącym najściu Mazowsza i nieuniknionem wzięciu Warszawy, nie tylko nie budziły trwogi, ale przeciwnie podniecały odwagę i ochotę do boju. Działo się to dlatego, że jasne już były dla wszystkich przyczyny tego szwedzkiego powodzenia. Oto dotychczas nie zetknęli się jeszcze ani razu z wojskiem, ani z wodzem prawdziwym. Radziwiłł był pierwszym wojownikiem z rzemiosła, z którym mieli się zmierzyć, a który tymczasem wzbudzał absolutną ufność w swe zdolności wojenne w zebranej szlachcie, zwłaszcza, że i pułkownicy jego zaręczali, iż pobiją Szwedów w otwartem polu.

— Nie może być inaczej! — mówił pan Michał Stankiewicz, stary i doświadczony żołnierz. — Pamiętam wojny dawniejsze i wiem, że bronili się zawsze w zamkach, w warownych obozach, zza szanczyków, nigdy nie śmieli stawić się nam w otwartem polu, bo się jazdy

okrutnie bali, a gdzie dufając w siłę, wystąpili, tam słuszną otrzymali ćwiczenie. Nie wiktorya to dała w ich ręce Wielkopolskę, ale zdrada i pospolitego ruszenia niedołęstwo.

— Tak jest! — rzecze pan Zagłoba. — Mdły to naród, bo ziemia tam okrutnie nieurodzajna i chleba nie mają, bo jeno szyszki sosnowe miały, z takiejto mąki podpłomyki czyniąc, które żywicą śmierdzą. Inni nad morzem chodzą i co tylko fala wyrzuci, to żrą, jeszcze się z sobą o owe specyały bijąc. Hołota tam okrutna, dlatego niemasz narodu na cudze łapczywszego, bo nawet Tatarzy końskiego mięsa ad libitum mają, a oni czasem po roku mięsa nie widują i ciągle głodem przywierają, chyba, że połów ryb zdarzy się obfity.

Tu Zagłoba zwrócił się do pana Stankiewicza:

— A waszmość to kiedy ze Szwedami się zapoznał?

— Pod księciem Krzysztofem, ojcem terażniejszego pana hetmana.

— A ja pod panem Koniecpolskim, ojcem dzisiejszego chorążego. Srodześmy kilkakroć Gustawa Adolfa w Prusach porazili i jeńców niemałomy nabrali; tamem ich na wylot przeznał i wszelkie ich sposoby. Nacudowali się nad nimi nasi chłopcy niemało, bo trzeba waszmościom wiedzieć, że Szwedzi, jako to naród ustawicznie w wodzie brodzący i z morza największe ciągnący intraty, nurkowie są exquisitissimi. Tośmy się im popisywać kazali i co waszmościowie na to powiecie: rzucisz szelmę w jedną przerębel, to on ci drugą wypłynie i jeszcze śledzia żywego w pysku trzyma...

— Na Boga, co waszmość mówisz?!

— Niech tu trupem padnę, jeśli tego mało sto razy na własne oczy nie widział i innych dziwnych ich obyczajów. Pamiętam i to, że tak się na pruskim chlebie spaśli, iż potem wracać nie chcieli. Słusznie jegomość pan Stankiewicz mówi, że nietędy z nich żołnierze. Piechotę mają jaką taką, ale jazdę, Boże się pożał, bo koni w ich ojczyźnie niemasz i zmlodu nie mogą do jazdy nawyknać.

— Podobnoć najpierw nie na nich pójdziemy, — mówił pan Szczyt — jeno za Wilno pomścić?

— Tak jest. Sam to księciu radziłem, gdy się pytał, co w tej materji myślę — odparł Zagłoba. — Ale skończywszy z jednymi, pójdziemy wnet na drugich. Muszą się tam ci posełkowie pocić.

— Politycznie ich przyjmują, — rzekł pan Załęski — ale nic chudziątka nie wskórają, a najlepszy dowód rozkazy wojsku dane.

— Miły Boże, miły Boże! — mówił pan Twarowski, sędzia rosieński — jako wraz z niebezpieczeństwami ochoty przybywa... Jużśmy mało nie zdesperowali, z jednym nieprzyjacielem do czynienia mając, a teraz nam na obydwóch.

— Nie może być inaczej — odparł Stankiewicz. — Nieraz to bywa, że się pozwolisz bić póty, póki ci cierpliwości nie zbraknie, a potem ni ztąd, ni zowąd, znajdzie się i wigor i fantazyja. Małośmy to ucierpieli, mało przenieśli?... Spuszczaliśmy się na króla i popolite ruszenie koronne, na własne siły nie licząc, aż wreszcie mamy wóz i przewóz, trzeba albo obydwóch bić, albo zginąć z kretešem...

— Bóg nam pomoże! Dosyć tego zwlekania!

— Sztych nam do gardła przyłożyli!

— Przyłóżmy im i my! Pokażemy koroniarczykom, jacy to tu żołnierze! Nie będzie u nas Ujścia, jako Bóg w niebie!

I w miarę kielichów rozgrzewały się czupryny i rosły humory wojenne. Tak nad brzegiem przepaści ostatni wysiłek częstokroć o ocaleniu stanowi. Zrozumiały to te tłumy żołnierzy i owa szlachta, którą tak niedawno jeszcze Jan Kazimierz do Grodna wzywał przez rozpaczliwe uniwersały na pospolite ruszenie. Teraz wszystkie serca, wszystkie umysły zwrócone były ku Radziwiłłowi; wszystkie usta powtarzały to groźne imię, z którym do niedawna zawsze zwycięstwo szło w parze. Jakoż od niego tylko zależało zebrać rozproszone, poruszyć uspięne siły kraju i stanąć na czele potęgi, dostatecznej do pomyślnego rozstrzygnięcia obydwóch wojen.

Po obiedzie wzywano do księcia kolejno pułkowników: Mirskiego, który w pancernej hetmańskiej chorągwi porucznikował, a po nim Stankiewicza, Ganchofa, Charłampa, Wołodyjowskiego i Sołłohuba. Zdziwili się trochę starzy żołnierze, że ich pojedynczo nie wspólnie, na naradę zapraszają; ale miłe to było zdziwienie, każdy bowiem odchodził z jakąś nagrodą, z jakimś widocznym dowodem książęcego faworu; w zamian zaś żądał tylko książe wierności i ufności, które i tak wszyscy z duszy serca mu ofiarowali. Wypytywał się też pan hetman troskliwie, czy pan Kmicic nie wrócił i kazał sobie dać znać, gdy wróci.

Jakoż wrócił, ale dopiero późnym wieczorem, gdy już sale były oświetlone i goście poczęli się zbierać. W cekhauzie, dokąd przyszedł się przebrać, zastał pana Wołodyjowskiego i poznał się z resztą kompanii.

— Okrutniem rad, że waszmości widzę i sławnych przyjaciół! — rzekł, wstrząsając ręką małego rycerza. — Jakobym brata zobaczył! Możesz w to waszmość wierzyć, bo ja symulować nie umiem. Prawda żeś mnie szpetnie przez łeb przejechał, aleś mnie potem na nogi postawił, czego do śmierci nie zapomnę. Przy wszystkich to mówię, że gdyby nie waszmość, tobym się teraz za kratą kołatał. Bodaj się tacy ludzie na kamieniu rodzili. Kto inaczej myśli, ten kiep i niech mnie dyabeł porwie, jeśli mu uszów nie obetnę.

— Daj waść pokój.

— W ogień za waćpanem pójdę, bodajem przepadł! Wychodź, kto nie wierzy!

Tu pan Andrzej począł toczyć wyzywającym wzrokiem po oficerach, ale nikt nie zaprzeczył, bo zresztą wszyscy lubili i szanowali pana Michała; jeno Zagłoba rzekł:

— Siarczysty jakiś żołnierz, daj go katu! Widzi mi się, że srodze polubię waćpana za ten afekt do pana Michała, bo mnie się dopiero spytać, ile on wart.

— Więcej niż my wszyscy! — odrzekł Kmicic ze zwykłą sobie porywcznością.

Poczem spojrział na panów Skrzetuskich, na Zagłobę i dodał:

— Przepraszam waszmościów, nie chcę nikomu ubliżyć, bo wiem, żeście cnotliwi ludzie i wielcy rycerze... Nie gniewajcie się, bo jabym z serca chciał na przyjaźń waćpaństwa zasłużyć.

— Nic nie szkodzi: — rzekł Jan Skrzetuski — co w sercu, to w gębie.

— Dajno waćpan pyska! — rzekł pan Zagłoba.

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać!

I padli sobie w objęcia. Poczem pan Kmicic zakrzyknął:

— Musimy dziś podpić, nie może być inaczej!

— Nie mnie dwa razy taką rzecz powtarzać! — rzekł jak echo Zagłoba.

— Wymkniemy się wcześniej do cekhauzu, a o napitkach pomyślę.

Pan Michał począł ruszać mocno wąsikami.

— Nie będziesz ty się miał ochoty wymykać — pomyślał sobie w duchu, spoglądając na Kmicica — jeno zobaczysz, kto tam na pokojach dzisiaj będzie...

I już usta otwierał, aby powiedzieć Kmicicowi, że pan miecznik rosieński z Olenką przyjechali do Kiejdan, ale zrobiło mu się jakoś mdło na sercu, więc zwrócił rozmowę.

— A waścina chorągiew gdzie jest? — pytał.

— Tu. Gotowiuśka! Był u mnie Harasimowicz i przyniósł mi rozkaz od księcia, by o północy ludzie byli na koniach. Pytałem go, czy to mamy wszyscy ruszać, powiedział: nie!... Nie rozumiem, co to znaczy. Z innych oficerów jedni mają ten sam rozkaz, inni nie mają. Ale piechota cudzoziemska wszystka otrzymała.

— Może część wojsk dziś pójdzie na noc, część jutro — rzekł Jan Skrzetuski.

— W każdym razie ja tu z waszmościami podpiję, a chorągiew niech sobie rusza... Potem w godzinę ją dogonię.

W tej chwili wpadł Harasimowicz.

— Jaśnie wielmożny chorąży orszański! — wołał, kłaniając się we drzwiach.

— A co? czy się pali? jestem! — rzekł Kmicic. księcia pana! do księcia pana!

— Zaraz, jeno szaty zawdzieję. Chłopię! kontusz i pas, bo zetnę.

Pachołek w mig podał resztę ubioru i w kilka minut później pan Kmicic, strojny jak na wesele, ruszył do księcia. Łuna od niego biła, tak wydał się urodziwy. Żupan miał z lamy srebrnej, dzierzgany w rzuty gwieździste, od których szedł blask na całą postać, a zapięty wielkim szafirem pod szyją. Na to kontusz z błękitnego aksamitu, pas biały, ceny niezmiernej, tak subtelny, że przez pierścień można go było przewlec. Srebrzysta szabla, usiana szafirami, zwieszała się u pasa na jedwabnych rapciach; za pas zaś zatknął i buzdygan rotmistrzowski, mający powagę osoby oznaczać. Dziwnie zdobił ten strój młodego rycerza i piękniejszego męża trudnoby było w całym tym niezmiernym tłumie, zebranych w Kiejdanach, znaleźć.

Pan Michał westchnął, patrząc na niego i gdy Kmicic zniknął za drzwiami cekhauzu, rzekł do pana Zagłoby:

— Z takim przy białogłowie ani rady!

— Ujmij mi jeno trzydzieści lat! — rzekł Zagłoba.

Książę już był także ubrany, gdy wszedł Kmicic i właśnie szatny, w towarzystwie dwóch murzynów, wyszedł był z komnaty. Zostali samnasam.

— Daj ci Boże zdrowie, żeś pośpieszył! — rzekł książę.

— Do usług waszej książęcej mości.

— A chorągiew?

— Wedle rozkazu.

— Pewni też to ludzie?

— W ogień, do piekła pójdą!

— To dobrze! Takich ludzi mi potrzeba... i ta-

kich, jak ty, na wszystko gotowych... Ciągłe to powtarzam, że na nikogo więcej, jak na ciebie, nie liczę.

— Wasza książęca mość, nie mogą się moje zasługi równać z zasługami starych żołnierzy, ale jeśli mamy na nieprzyjaciół ojczyzny ruszyć, tedy, Bóg widzi, nie pozostanę w tyle.

— Nie ujmuję ja starym zasług — rzekł książę — chociaż... mogą przyjść takie pericula, tak ciężkie terminy, że i najwierniejsi się zachwieją.

— Niech ten zginie marnie, kto od osoby w. ks. mości w niebezpieczeństwie odstąpi!

Książę spojrział bystro w twarz Kmicica.

— A ty... nie odstąpisz?...

Młody rycerz zapłonał.

— Wasza książęca mość!...

— Co chcesz mówić!

— Wyspowiadałem się w. ks. mości ze wszystkich grzechów moich i taka ich kupa, że jeno ojcowskiemu sercu w. ks. mości zawdzięczam przebaczenie... Ale w tych wszystkich grzechach jednego niemasz: niewdzięczności.

— Ani wiarołomstwa... Wyspowiadałeś się przede mną, jak przed ojcem, a jam ci nietylko jak ojciec przebaczył, alem cię pokochał, jak syna... którego Bóg mi nie dał i dlatego ciężko mi nieraz na świecie. Bądźże mi przyjacielem!

To rzekłszy książę, wyciągnął rękę, a młody rycerz uchwycił ją i bez wahania do ust przycisnął.

Milczeli obaj przez długą chwilę; nagle książę utkwiał oczy w oczach Kmicica i rzekł:

— Billewiczówna tu jest!

Kmicic pobladł i począł jąkać coś niezrozumiale.



— Umyślniem po nią posłał, żeby się ta niezgoda między wami skończyła. Zobaczysz ją zaraz, bo jej żałoba po dziadzie już wyszła. Dziś także, choć Bóg widzi, że głowa popękała mi od roboty, mówiłem z panem miecznikiem rosieńskim.

Kmicie porwał się za głowę.

— Czem ja się w. ks. mości odpłacę? Czem ja odpłacę?...

— Powiedziałem wyraźnie panu miecznikowi, że taka moja wola, abyście się najprędzej pobrali i nie będzie ci przeciwny. Przykazałem mu też, aby dziewczkę zwolna do tego przygotował. Mamy czas. Od ciebie wszystko zależy, a ja szczęśliwy będę, jeśli cię nagroda z rąk moich dojdzie i daj Boże doczekać wiele innych, boś ty powinien pójść wysoko. Grzeszyłeś, boś młody, aleś już sławę na polu zdobył niepoślednią... i wszyscy młodzi gotowi wszędy iść za tobą. Dla Boga, powinieś pójść wysoko! Nie dla takiego rodu, jak twój, urzędy powiatowe... Zali wiesz żeś ty Kiszaków krewny, a z Kiszczanki ja się rodzę... Trzeba ci jeno statku, na co ożenek najlepsza rzecz. Bierżże onę dziewczynę, kiedy ci do serca przypadła i pamiętaj, kto ci ją daje.

— Wasza książęca mość, ja chyba oszaleję!... Życie, krew moja do w. ks. mości należą!... Co mam czynić, aby się wywdzięczyć? co? Mów w. ks. mość! rozkazuj!

— Dobrem za dobro mi odpłać... Miej wiarę we mnie, miej ufność, że co czynię, to dla dobra publicznego uczynię. Nie odstępuj mnie, gdy będziesz widział zdradę i odstępstwo innych, gdy się złość wzmoże, gdy mnie samego...

Tu książę urwał nagle.

— Przysięgam — rzekł z zapalem Kmicic — i parol kawalerski daję do ostatniego tchnienia stać przy osobie waszej książęcej mości, mego wodza, ojca i dobrodzieja!

To rzekłszy Kmicic, spojrział oczyma pełnemi ognia na księcia i aż strwożył się zmianą, która nagle zaszła na jego twarzy. Twarz ta była czerwona, żyły na niej nabrały, krople potu gęsto osiadły na wyniosłym czole, a oczy rzucały blask niezwykły.

— Co waszej ks. mości jest? — pytał niespokojnie rycerz.

— Nic! nic!...

Radziwiłł wstał, ruszył śpiesznym krokiem do klecznika i zerwawszy z niego krucyfiks, począł mówić gwałtownym, przytłumionym głosem:

— Na ten krzyż przysięgnij, że mnie nie opuścisz do śmierci!...

Mimo całej gotowości i zapалу, Kmicic spoglądał przez chwilę na niego ze zdumieniem.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgnij!... — nalegał hetman.

— Na tę mękę Chrystusa... Przysięgam! — rzekł Kmicic, kładąc palce na krucyfiksie.

— Amen! — dodał uroczystym głosem książę.

Echo wysokiej komnaty powtórzyło gdzieś pod sklepieniem: „Amen“ i nastąpiła długa cisza. Słychać było tylko oddech potężnej radziwiłłowskiej piersi. Kmicic nie odrywał od hetmana zdumionych oczu.

— Teraz jużes mój... — rzekł wreszcie książę.

— Zawszem do waszej książęcej mości należał — odparł skwapliwie młody rycerz — ale racz mi wasza

ks. mość powiedzieć, racz mnie objaśnić, co się dzieje? Dlaczego wasza ks. mość wątpieś o tem? Czyli grozi co dostojnej osobie? Aza zdrada jaka, jakowe machi-nacye zostały odkryte?

— Zbliża się czas próby, — rzekł ponuro książę — a co do nieprzyjaciół, nie wieszli to, że pan Gosiewski, pan Judycki i pan wojewoda witebski radziby mnie na dno przepaści pogrążyć. Tak jest! Wzmaga się nieprzyjaciel domu mego, szerzy się zdrada i grożą klęski publiczne. Dlatego mówię: zbliża się czas próby...

Kmicie zamilkł, ale ostatnie słowa księcia nie rozproszyły ciemności, jakie obsiadły jego umysł i próżno pytał sam siebie, co może grozić w tej chwili potężnemu Radziwiłłowi? Wszakże stał na czele większych sił, niż kiedykolwiek. W samych Kiejdanach i w okolicy stało tyle wojska, że gdyby był książę miał podobną potęgę, zanim pod Szklów ruszył, los całej wojny wypadłby niezawodnie inaczej.

Gosiewski i Judycki byli mu wprawdzie niechętni, ale obydwóch miał w rękę i pod wartą, a co do wojewody witebskiego, zbyt to był cnotliwy człowiek, zbyt dobry obywatel, aby w przeddzień nowej wyprawy przeciw nieprzyjaciołom można się było obawiać z jego strony jakichkolwiek przeszkód i machinacyj.

— Bóg widzi, nic nie rozumiem! — zakrzyknął Kmicie, nieumiejący wogóle utrzymać swoich myśli.

— Dziś jeszcze zrozumiesz wszystko — odparł spokojnie Radziwiłł. — A teraz pójdźmy do sali.

I wzięwszy pod rękę młodego pułkownika, skierował się z nim ku drzwiom.

Przeszli kilka komnat. Zdaleka, z olbrzymiej sali dochodziły dźwięki kapeli, której przewodził Francuz,

sprowadzony umyślnie przez księcia Bogusława. Grano też menueta, którego wówczas na dworze francuskim tańcowywano. Łagodne tony mieszały się z gwarem licznych głosów ludzkich. Książę Radziwiłł zatrzymał się i słuchał.

— Daj Boże — rzekł po chwili — aby ci wszyscy goście, których pod dach przyjmuję, nie przeszli jutro do moich nieprzyjaciół.

— Mości książę, — odparł Kmicic — mam nadzieję, że nie masz między nimi szwedzkich stronników...

Radziwiłł drgnął i wstrzymał się nagle.

— Co ty chcesz powiedzieć?

— Nic, mości książę, jeno, że tam zacni żołnierze się weselą.

— Chodźmy... Czas pokaże i Bóg osądzi, kto zacny... Chodźmy!

Przy samych drzwiach stało dwunastu paziów, cudownych chłopiąt, przybranych w pióra i aksamity. Ujrzawszy hetmana, sformowali się w dwa szeregi, książę zaś zbliżywszy się, pytał:

— Jej książęca mość weszła już na salę?

— Tak jest, mości książę! — odpowiedzieli chłopcy.

— A ichmościowie posłowie?

— Są także.

— Otwieraj!

Obie połowy drzwi rozwarły się w mgnieniu oka, potok światła lunął przez nie i oświecił olbrzymią postać hetmana, który mając za sobą pana Kmicica i paziów, wszedł na podniesienie, na którym krzesła dla przedniejszych gości były zastawione.

Wnet ruch uczynił się w sali, wszystkie oczy zwró-

ciły się na księcia, potem jeden okrzyk wyrwał się z setek piersi rycerskich:

— Niech żyje Radziwiłł! Niech żyje! Niech nam hetmani! Niech żyje!

Książę kłaniał się głową i ręką następnie jął witać gości zebranych na estradzie, którzy podnieśli się w chwili, gdy wchodził. Byli tam między znakomitszymi, oprócz samej księżnej, dwaj posłowie szwedzcy, poseł moskiewski, pan wojewoda wendeński, książdz biskup Parczewski, książdz Białozor, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, starosta żmudzki, szwagier hetmański, jeden młody Pac, oberszt Ganchoff, pułkownik Mirski, Weisenhoff, poseł księcia kurlandzkiego i kilka pań z otoczenia księżnej.

Pan hetman, jako przystało na gościnnego gospodarza, począł powitania od posłów, z którymi kilkanaście słów uprzejmych zamienił, poczem witał innych, a skończywszy, zasiadł na krześle z gronostajowym baldachimem i spoglądał na salę, w której jeszcze brzmiały okrzyki:

— Niech żyje!... Niech nam hetmani!... Niech żyje!...

Kmicic, ukryty za baldachimem, patrzył również na tłumy. Wzrok jego przeskakiwał z twarzy na twarz, szukając wśród nich ukochanych rysów tej, która w tej chwili zajmowała całą duszę i serce rycerza. Serce biło mu jak młotem...

— Ona tu jest! Za chwilę ją ujrzę, przemówię do niej!... — powtarzał sobie w myśli... I szukał, szukał coraz chciwiej, coraz niespokojniej. Ot, tam! ponad piórami wachlarza widać jakieś brwi czarne, białe czoło i jasne włosy. To ona!

Kmicic dech wstrzymuje, jakby w obawie, żeby nie spłoszyć zjawiska, ale tymczasem poruszają się pióra, twarz się odsłania — nie! to nie Oleńka, to nie ta miła i najmilejsza. Wzrok leci dalej, obejmuje wdzięczne postacie, ślizga się po piórach, atlasach, rozkwitłych jak kwiaty twarzach i łudzi się co chwila. Nie ona i nie ona! Aż wreszcie, hen! w głębi, wedle framugi okna, zamajaczyło coś białego i rycerzowi pociemniało w oczach — to Oleńka, to ta miła i najmilejsza...

Kapela poczyna grać nanowo, tłumy przechodzą, kręcą się damy, migocą strojni kawalerowie, a on jak ślepy i głuchy, nic nie widzi, tylko ją i patrzy tak chciwie, jakby ją pierwszy raz widział. Niby to ta sama Oleńka z Wodoktów, a inna. W tej ogromnej sali i w tym tłumie wydaje się jakaś mniejsza i twarzyczkę ma drobniejszą, rzekłbyś dziecinną. Ot! wziąłbyś całą na ręce i przytulił! A przecie znowu ta sama, choć inna: też sameto rysy, te słodkie usta, takżeż rzęsy, cień rzucające na policzki, i to czoło jasne, spokojne, kochane... Tu wspomnienia jak błyskawice poczynają się przesuwac przez głowę pana Andrzeja: owa czeładna w Wodoktach, gdzie ją ujrzał po raz pierwszy i te ciche komnatki, w których przesiadywali razem. Co za słodycz, choćby tylko wspominać!... A ta sanna do Mitrunów, podczas której on ją całował!... Potem już ludzie poczęli ich rozdzielać i burzyć ją przeciw niemu.

— A żeby to pioruny zatrzasły! — zakrzyknął w duszy pan Kmicic. — Co ja miałem i com ja utracił! Jaka ona była bliska, a jaka teraz daleka!

Siedzi oto zdala, jak obca, ani wie, że on tu jest. — I gniew, ale zarazem żal niezmierny, pochwycił pana

Andrzeja, żal, dla którego innych słów nie znalazł, jeno wykrzyk w duszy, który przez usta nie przeszedł:

— Ej, ty! Oleńka, ej, ty!...

Nieraz pan Andrzej wściekał się na siebie za swoje dawne postęпки, że miewał ochotę kazać się ludziom własnym rozciągnąć i sto bizunów wyliczyć, ale nigdy nie wpadł w taki gniew, jak teraz, gdy ją znów ujrzał po długiem niewidzeniu, cudniejszą jeszcze niż zwykle, cudniejszą nawet, niż sobie wyobrażał. W tej chwili chciałby się pastwić nad sobą, ale że był między ludźmi, w dostojnem towarzystwie, więc tylko zęby zaciskał i jakoby chcąc sobie umyślnie jeszcze większy ból zadać, powtarzał w duchu:

— Dobrze ci tak, kpie! Dobrze ci!

Tymczasem dźwięki kapeli umilkły znowu i zamiast nich, usłyszał pan Andrzej głos hetmana:

— Chodź za mną!

Kmicic zbudził się jakby ze snu.

Książę zeszedł ze wzniesienia i wmieszał się między gości. Na twarzy miał uśmiech łagodny i dobrotliwy, który zdawał się jeszcze podnosić majestat jego postaci. Był to ten sam wspaniały pan, który czasu swego przyjmując królowę Maryą Ludwikę w Nieporęcie, dziwił, zdumiewał i gasił dworaków francuskich nietylko przepychem, ale i dwornością swych obyczajów; ten sam, o którym z takim uwielbieniem pisał Jan Laboureur w relacji ze swej podróży. Teraz więc zatrzymywał się co chwila przy poważniejszych matronach, przy zacniejszej szlachcie i pułkownikach, mając dla każdego z gości jakieś łaskawe słowo, dziwiąc obecnych swą pamięcią i jednąjąc w mgnieniu oka wszystkie serca. Oczy obecnych biegały za nim, gdzie się tylko poruszył, on

zaś zwolna zbliżył się do pana miecznika rosieńskiego, Billewicza i rzekł:

— Dziękuję ci, stary przyjacielu, żeś przybył, chociaż miałbym się prawo i gniewać. Nie o sto mil Billewicze od Kiejdan, a z ciebie rara avis pod moim dachem.

— Wasza ks. mość, — odpowiedział pan miecznik, kłaniając się nisko — krzywdę ojczyźnie czyni, kto waszej ks. mości czas zabiera.

— A ja już myślałem się zemścić i najechać cię w Billewiczach, a przecie myślę, że przyjąłbyś wdzięcznie starego kompana obozowego?

Słyszac to, pan miecznik aż zarumienił się ze szczęścia, a książe mówił dalej:

— Jeno czasu, czasu zawsze nie staje!... Ale jak krewniaczkę, wnuczkę nieboszczyka pana Herakliusza, będziesz za mąż wydawał, to już na weselisko koniecznie zjadę, bom wam to obydwom powinien.

— Dajże Boże dziewce jak najprędzej! — zawołał pan miecznik.

— Tymczasem przedstawiam ci pana Kmicica, chorążego orszańskiego, z tych Kmiciców, coto Kiszkom, a przez Kiszków i Radziwiłłom krewni. Musiałeś to nazwisko od Herakliusza słyszeć, bo on Kmiciców jak braci kochał...

— Czołem, czołem! — powtórzył pan miecznik, któremu zaimponowała nieco wielkość rodu młodego kawalera, głoszona przez samego Radziwiłła.

— Witam pana miecznika dobrodzieja i służbie się jego polecam — rzekł śmiało i nie bez pewnej dumy pan Andrzej. — Pan pułkownik Herakliusz był mi ojcem i dobrodziejem, a choć się później popsowała jego ro-



bota, to jednak nie przestałem miłować wszystkich Billewiczów, jakoby własna moja krew w nich płynęła.

— Szczególnie — rzekł książę, kładąc poufale rękę na ramieniu młodzieńca — nie przestał miłować jednej Billewiczówny, z czem mi się dawno zwierzył.

— I każdemu do oczu to powtórzę! — rzekł zapalczywie Kmicic.

— Powoli, powoli! — odpowiedział książę. — To widzisz, mości mieczniku, z siarki i ognia jest kawaler, przezco i nabroił trochę; ale że młody i pod moją szczególniejszą jest protekcyą, przeto tuszę, że jak we dwóch zacniem błagać, tak i otrzymamy zdjęcie kondemnaty przed onym wdzięcznym trybunałem.

— Wasza książęca mość uczyni, co zechce! — odrzekł pan miecznik. — Nieszczęsna dziewczka musi zakrzyknąć, jak ona kapłanka pogańska, Aleksandrowi: „Któż ci się oprze!“

— A my, jako ów macedończyk, poprzestaniem na tej wróżbie — mówił, śmiejąc się książę. — Ale dość tego! Prowadźże nas teraz do swej krewniaczki, bo i ja rad ją obaczę. Niechże się naprawi ta robota pana Herakliusza, która się popsowała.

— Służę w. ks. mości!... Tam oto dziewczyna siedzi pod opieką pani Wojniłłowiczowej, naszej krewnej. Jeno błagam o przebaczenie, jeśli się skonfunduje, bom też jeszcze nie miał czasu jej ostrzec.

Przewidywania pana miecznika były słuszne. Na szczęście, Oleńka nie w tej dopiero chwili ujrzała pana Andrzeja przy boku hołmańskim, więc mogła nieco przyjść do siebie, ale na razie o mało nie opuściła jej przytomność. Pobladła jak płótno, nogi zadrżały pod nią i patrzyła tak na młodego rycerza, jakby patrzyła

na ducha, zjawiającego się z tamtego świata. I długo oczom nie chciała wierzyć. Toż ona sobie wyobrażała, że ów nieszczęśnik albo tuła się gdzieś po lasach, bez dachu nad głową, opuszczony od wszystkich, ścigany jak dziki zwierz przez sprawiedliwość; albo zamknięty w wieży, spogląda rozpaczliwym wzrokiem przez żelazną kratę na wesoły świat boży. Bóg jeden wiedział, jak straszny nieraz żal gryzł jej serce i oczy za tym straceńcem; Bóg jeden mógł policzyć łzy, które w samotności nad jego losem, tak okrutnym, choć tak zasłużonym, wylała — a tymczasem on znalazł się w Kiejdanach, wolny, przy boku hetmańskim, dumny i strojny w lamy i aksamity, z pułkownikowskim buzdyganem za pasem, ze wzniesionem czołem, z rozkazującą, hardą twarzą junacką i sam hetman wielki, sam Radziwiłł, kładł mu rękę poufale na ramieniu. Dziwne a sprzeczne uczucia splotły się naraz w sercu dziewczyny; więc jakaś wielka ulga, jakby jej kto brzemień zdjął z ramion; więc jakiś żal, że tyle litości i zmartwienia poszło napróżno; więc i ten zawód, jakiego doznaje każda uczciwa dusza na widok bezkarności zupełnej za ciężkie grzechy i występki; więc i radość i poczucie własnej niemocy i graniczący z przestachem podziw dla tego junaka, który potrafił z takiej toni wypłynąć.

Tymczasem książę, miecznik i Kmicic skończyli rozmowę i poczęli się zbliżać. Dziewczyna nakryła oczy powiekami i podniosła tak ramiona, jak ptak skrzydła, kiedy chce głowę między niemi ukryć. Była zupełnie pewna, że idą ku niej. Nie patrząc, widziała ich, czuła, że są bliżej i bliżej, że już nadchodzą, że zatrzymali się. Tak była tego pewna, że nie podnosząc powiek, wstała nagle i złożyła głęboki ukłon księciu.

On zaś istotnie stał już przed nią i przemówił:

— Na mękę Pańską!... Teraz się młodemu nie dziwię, bo cudnie to kwiecie rozkwitło... Witam cię, moja panienko, witam z całego serca i duszy kochaną wnuczkę mojego Billewicza. Poznajeszże mnie?

— Poznają, wasza książęca mość! — odrzekła dziewczyna.

— A jabym cię nie poznał, bom cię jeszcze młódką nierozkwitłą ostatni raz widział, nie w tej ozdobie, w jakiej teraz chodzisz... Podnieśno jeno one firanki z oczu... Dla Boga! szczęśliwy nurek, który taką perłę wyłowi; nieszczęsny, który ją miał i stracił... Owóż stoi tu przed tobą taki desperat w osobie tego kawalera... Poznajeszże i jego?

— Poznają — szepnęła Oleńka, nie podnosząc oczu.

— Wielkito grzesznik i do spowiedzi ci go przyprowadzam... Zadaj mu pokutę, jaką chcesz, ale rozgrzeszenia nie odmawiaj, żeby go desperacya do cięższych jeszcze grzechów nie przywiodła.

Tu książę zwrócił się do pana miecznika i do pani Wojniłłowiczowej.

— Zostawmy młodych, mościwi państwo, bo nie wypada przy spowiedzi asystować, a mnie i moja wiara tego zakazuje.

Po chwili pan Andrzej i Oleńka zostali sami.

Serce jej tłótkło się w piersi, jak w gołębiu, nad którym jastrząb zawisnął, a i on był wzruszony. Opuszczała go zwykła śmiałość, porywczosć i pewność siebie. Przez długi czas milczeli oboje.

Nareszcie on pierwszy ozwał się niskim, przytłumionym głosem:

— Nie spodziewałaś się mnie widzieć, Oleńka?

— Nie — szepnęła dziewczyna.

— Na Boga! Gdyby tu Tatar stanął koło ciebie, mniejbyś była trwożna. Nie bójże się! Patrz, ilu tu ludzi. Żadna krzywda nie spotka cię ode mnie. A choćbyśmy sami byli, nie miałabyś się czego bać, bom sobie zaprzysiągł szanować cię. Miejsze ufność we mnie!

Na chwilę podniosła oczy i spojrzała na niego.

— Zkąd mam mieć ufność?

— Prawda, grzeszyłem, ale to już minęło i nie powtórzy się więcej... Gdy po owym pojedynku z Wołodyjowskim na łożu leżał bliski śmierci, wtędym sobie powiedział: nie będziesz jej brał przemocą, szablą, ogniem, jeno zacnem i uczynkami na nią zasłużysz i przebaczenie wyjednasz!... Toż i w niej serce nie z kamienia i zawziętość jej przeminie; ujrzy poprawę, to wybaczy!... Więcem sobie zaprzysiągł poprawę i dotrzymam... Zaraz mnie też Bóg pobłogosławił, bo przyjechał Wołodyjowski i przywiózł mi list zapowiedni. Mógł go nie dać, a dał; zacny człowiek! Przezto już i do sądów nie potrzebowałem stawać, bom pod hetmańską inkwizycją przeszedł. Wyspowiadałem się księciu ze wszystkich grzechów, jako ojcu; on zaś nietylko przebaczył, ale obiecał wszystko załagodzić i bronić mnie od nieżyczliwości ludzkiej. Niech mu Bóg błogosławi... Nie będę banitem, Oleńka, z ludźmi się pojednam, sławę odzyszczę, ojczyźnie się zasłużę, krzywdy naprawię... Oleńka! A ty co na to?... Nie rzeknieszże mi dobrego słowa?

I począł patrzeć na nią pilnie i ręce składać, jakby się do niej modlił.

— Mogęz ja wierzyć? — odrzekła dziewczyna.

— Możesz, jak mi Bóg miły, powinnaś! — odparł Kmicic. — Patrzaj, że w to uwierzyli i książę hetman i pan Wołodyjowski. Toć wszystkie postęпки moje im znane, a uwierzyli... Widzisz!... Czemubyś to ty jedna miała mi nie ufać?

— Bom łyzy ludzkie widziała z powodu waćpana wylewane... Bom groby widziała, jeszcze trawą nieporosłe...

— To i porosną, a one łyzy sam obetrę.

— Najprzód to waćpan uczyn.

— Daj mi jeno nadzieję, że jak uczynię, to i ciebie odzyszczę... Dobrze ci mówić: „Najprzód to uczyn”. A nuż ja uczynię, a ty za innego przez ten czas pójdziesz? Boże ratuj! Boże uchwaj od takiej rzeczy, bo chybabym oszalał. Na imię Boskie błagam cię, Oleńka, dajże mi pewnoś, że cię nie utracę, zanim z tamtą waszą szlachtą do zgody przyjdę. Pamiętasz? samaś mi to napisała, a ja on list chowam i jak mi bardzo na duszy ciężko, to go sobie odczytuję. Niczego więcej nie chcę, tylko mi jeszcze powtórz, że czekać będziesz, że za innego nie pójdziesz?

— Waćpan wiesz, że mi wedle testamentu uczynić tego nie wolno. Jeno do klasztoru mogę się schronić.

— O, tobyś mnie uczęstowała! Przez Bóg żywy, daj sobie pokój z klasztorem, bo mnie mrowie na samę myśl przechodzi. Dajże pokój, Oleńka, a nie, to ci tu przy wszystkich do nóg padnę i będę błagał, abyś tego nie czyniła. Pana Wołodyjowskiego odmówiłaś, wiem, bo sam mi o tem powiadał. Onto mnie zachęcał, abym cię dobremi uczynkami zdobył... Ale nacoby się to dało, gdybyś miała do zakonu wstępować? Powiesz mi, że cnotę dla cnoty trzeba praktykować... a ja ci odpo-

wiem, że miłuję cię jak desperat i nie chcę o niczem więcej wiedzieć. Kiedyś wyjechała z Wodoktów, ledwie z łoża powstał, jużem cię szukać zaczął. Stawiałem chorągiew na nogi, każdą chwilę miałem zajętą, nie miałem czasu strawy zjeść, nocy przespać, a przeciwnie szukania nie zaniechał. Tak już przyszło na mnie, że mi bez ciebie ani życia, ani spokoju! Tak się już uczepiło! Nic, tylko wzdychaniami żyłem. Dowiedziałem się wreszcie, żeś u pana miecznika w Billewiczach. To, powiadam ci, pasowałem się z myślami, jakoby z niedźwiedziem: jechać, nie jechać? ... Ale nie śmiało jechać, żeby mnie żółcią nie napojono. Powiedziałem sobie wreszcie: nie uczyniłem jeszcze nic dobrego... nie pojedę... Aż książę, ojciec mój kochany, ulitował się nade mną i posłał prosić was do Kiejdan, abym choć oczy swoim kochaniem mógł napełnić... ile że na wojnę ruszamy. Nie żądam, abys jutro zaraz za mnie szła... Ale bogdaj słowo dobre od ciebie usłyszę, bogdaj się zapewnię, będzie mi lżej... Moją ty duszo jedyna... Nie chcę zginąć, ale w bitwie każdemu się to może przytrafić, bo przecie nie będę się za innych chował... więc mi powinnaś odpuścić, jako się umierającemu odpuszcza.

— Niech waćpana Bóg ochrania i wyprowadzi — odparła dziewczyna miękkim głosem, po którym zaraz poznał pan Andrzej, że słowa jego wywarły skutek.

— Moje ty złoto szczerze! Dziękując i za to. A nie pójdziesz do klasztoru?

— Jeszcze nie pójde.

— Bodajże ci Bóg błogosławił!

I jak na wiosnę śniegi tają, tak między niemi poczęła topnieć nieufność i czuli się bliżsi siebie, niż przed

chwilą. Serca mieli lżejsze, w oczach im pojaśniało. A przecież ona nic nie obiecała i on miał ten rozum, że niczego na razie nie żądał. Ale czuła to sama, że jej nie wolno, że nie godzi się zamykać mu drogi do poprawy, o której mówił tak szczerze. O jego szczerości nie wątpiła już ani na chwilę, bo to nie był człowiek, któryby coś udawać umiał. Lecz główny powód, dla którego nie odtrąciła go nanowo, dla którego zostawiła mu nadzieję, był ten, że w głębi serca kochała jeszcze tego junaka. Miłość tę przywaliła góra goryczy, rozczarowania i boleści, ale miłość żyła, gotowa zawsze wierzyć i przebaczać bez końca.

— On lepszy od swoich uczynków — myślała dziewczyna — i niema już tych, którzy go do występków popychali; mógłby się chyba z desperacyi czego znowu dopuścić, niechże nie desperuje nigdy.

I poczciwe serce uradowało się własnem przebaczeniem. Na jagody Oleńki wystąpiły rumieńce tak świeże, jak róża pod ranną rosą; oczy miały blask słodki a żywy i rzekłbyś: jasność biła od nich na salę. Przechodzili ludzie i dziwili się cudnej parze, bo też takich dwojga paniątek trudno było ze świecą znaleźć w całej tej sali, w której przecież zebrany był kwiat szlachty i szlachcianek.

Oboje przytem, jak gdyby się umówili, jednako byli ubrani, gdyż i ona miała suknię ze srebrnej lamy, spiętą szafirem i błękitny z aksamitu weneckiego kontusik. „Chyba brat i siostra“ — mówili ci, którzy ich nie znali, ale inni zaraz na to czynili uwagę: „Nie może być, bo mu się oczy nadto do niej jarzą“.

Tymczasem w sali marszałek dał znać, że czas do stołu siadać i zaraz uczynił się ruch niezwyčajny. Hra-

bia Loewenhaupt, cały w koronkach, szedł najprzód pod rękę z księżną, której powłokę płaszcz niosło dwóch paziów przesłicznych; za nim baron Shitte prowadził panią Hlebowiczową, tuż szedł ksiądz biskup Parczewski z księdzem Białozorem, obaj jakby czemś zmartwieni i zasepieni.

Książę Janusz, który w pochodzie ustępował gościom, ale za stołem brał obok księżnej miejsce najwyższe, wiódł panią Korfową, wojewodzinę wendeńską, bawiącą już od tygodnia w Kiejdanach. I tak sunął cały szereg par, jako wąż stubarwny i rozwijał się i mienił. Kmicic wiódł Oleńkę, która leciuchno wsparła ramię na jego ramieniu, on zaś spoglądał bokiem na jej delikatną twarz, szczęśliwy, jako pochodnia pałający, największy magnat między tymi magnatami, bo największego skarbu bliski.

Tak idąc posuwisto, przy dźwiękach kapeli, weszli do sali jadalnej, która wyglądała jak cały gmach osobny. Stół zastawiony był w podkowę, na trzysta osób i giął się pod srebrem i złotem. Książę Janusz, jako część majestatu królewskiego w sobie mający i tyłu królom pokrewny, wziął obok księżnej miejsce najwyższe, a wszyscy przechodząc mimo, kłaniali się nisko i zasiadali wedle godności.

Lecz widocznie, jak zdawało się obecnym, pamiętał hetman, że to ostatnia uczta przed straszną wojną, w której się losy olbrzymich państw rozstrzygną, bo nie miał w twarzy pokoju. Udawał uśmiech i wesołość, a tak wyglądał, jakby paliła go gorączka. Czasami widoczna chmura osiadała mu na groźnem czole i siedzący bliżej mogli dostrzec, że czoło to było gęsto kroplami potu okryte; czasem wzrok jego biegał szybko po



zebranych twarzach i zatrzymywał się badawczo na obliczach różnych pułkowników, to znów marszczył nagle łwie brwi, jakby go boleści przeszywały lub jakby ta czy owa twarz budziła w nim gniew. I dziwna rzecz, że dygnitarze siedzący obok księcia, jako: posłowie, ksiądz biskup Parczewski, ksiądz Białozór, pan Komorowski, pan Mierzejewski, pan Hlebowicz, pan wojewoda wendeński i inni, również byli roztagnieni i niespokojni. Dwa ramiona olbrzymiej podkowy brzmiały już wesołą rozmową i zwykłym gwarem przy ucztach, a szczyt jej milczał posepnie, lub szeptał rzadkie słowa, lub zamieniał roztagnione i jakoby trwożne spojrzenia.

Ale nie było w tem nic dziwnego, bo niżej siedzieli pułkownicy i rycerze, którym bliska wojna co najwięcej śmiercią groziła. Łatwiejże polec w wojnie, niż dźwigać odpowiedzialność za nią na ramionach. Nie zatroszczy się dusza żołnierska, gdy odkupiwszy krwią grzechy, leci z pola ku niebu — ten tylko schyla ciężko głowę, ten rozprawia w duszy z Bogiem i sumieniem, kto w wilią dnia stanowczego nie wie, jaki puhar poda jutro ojczyźnie do wypicia.

Tak też i tłómaczono to sobie na niższych końcach.

— Zawsze on taki przed każdą wojną, że z własną duszą gada; — mówił stary pułkownik Stankiewicz do pana Zagłoby — ale im posepniejszy, tem gorzej dla nieprzyjaciół, bo w dzień bitwy będzie wesół z pewnością.

— Toć i lew przed walką pomrukuje, — odparł pan Zagłoba — żeby w sobie tem większą abominacją przeciw nieprzyjacielowi wzbudzić. Co zaś do wielkich wojowników, każdy ma swój obyczaj. Hannibal podobno

kości rzucał, Scipio Africanus rytmy recytował, pan Koniecpolski, ojciec, o białogłowach zawsze rozmawiał, a ja, rad snu przed bitwą przez jaką godzinę zażywam, choć i od kielicha z dobrymi przyjaciółmi nie stronię.

— Obaczcie, waćpanowie, że to i ksiądz biskup Parczewski blady jak karta papieru! — rzekł Stanisław Skrzetuski.

— Bo za kalwińskim stołem siedzi i snadnie coś nieczystego w potrawach połknąć może — wyjaśnił cichym głosem Zagłoba. — Do trunków, powiadają starzy ludzie, nie ma licha przystępu i te wszędy pić możesz, ale jadła, a szczególnie zupy, trzeba się wystrzegać. Tak było i w Krymie, za czasów, gdym tam w niewoli siedział. Tatarscy mułłowie czyli księża, umieli baraninę z czosnkiem tak przyrządzać, że kto pokosztował, zaraz od wiary gotów był odstąpić i ich szelmowskiego proroka przyjąć.

Tu Zagłoba zniżył głos jeszcze bardziej:

— Nie na kontempt księciu panu to mówię, ale radzę waćpanom jadło przeżegnać, bo strzeżonego Pan Bóg strzeże.

— Co zaś waćpan mówisz!... Kto się Bogu poleci przed jedzeniem, temu się nic nie stanie; u nas w Wielkopolsce lutrów i kalwinów coniemiarą, ale nie słyszałem o tem, żeby mieli jadło czarować.

— U was w Wielkopolsce lutrów coniemiarą, to też się ze Szwedami zaraz powąchali — odrzekł Zagłoba — i teraz w komitywie z nimi chodzą. Jabym na miejscu księcia i tych tam oto posłów psami wyszczał, nie specyałami kiszki im nadziewał. Patrzcieno na tego Loewenhaupta. Tak żre, jakby za miesiąc mieli go na jarmark, na postronku za nogę uwiązanego, pognąć.

Jeszcze dla żony i dla dzieci w kieszenie bakaliów natka... Zapomniałem, jak się ten drugi zamorek nazywa. Bodajże cię...

— Spytaj ojciec Michała — rzekł Jan Skrzetuski.

Pan Michał siedział niedaleko, ale nic nie słyszał, nic nie widział, bo siedział między dwiema pannami; po lewej ręce miał pannę Elżbietę Sielawską, godną pannę, lat około czterdziestu, a po prawej Oleńkę Billewiczównę, za którą siedział Kmicic. Panna Elżbieta trzęsła głową, przybraną w pióra, nad małym rycerzem i opowiadała mu coś bardzo żywo, on zaś spoglądał na nią od czasu do czasu osowiałym wzrokiem, odpowiadał cochwila: „Tak mościa panno, jako żywo!“ i nie rozumiał ani słowa, bo cała jego uwaga była właśnie po drugiej stronie. Uchem łowił szmer słów Oleńki, chrzęst jej lamowej sukni i wąsikami tak z żalu ruszał, jakby chciał niemi pannę Elżbietę odstraszyć.

— Ej! cudnaż to dziewczyna!... Ej, gładyszka to! — mówił sobie w duszy. — Wejrzyże Boże na moję nędzę, bo już niemasz większego sieroty ode mnie. Dusza aż piszczy we mnie, żeby to mieć swoją niewiastę kochaną, a co na którą spojrzę, to już tam inny żołnierz kwaterą stoi. Gdzież ja się nieszczęsny tułacz podzięję?...

— A po wojnie, co waćpan myślisz czynić? — spytała nagle panna Elżbieta Sielawska, złożywszy buzię „w ciup“ i wachlując się mocno.

— Do zakonu pójsé! — odparł opryskliwie mały rycerz.

— A kto tam o zakonie przy uczcie wspomina? — zawołał wesoło Kmicic, przechylając się przez Oleńkę. — Hej! to pan Wołodjowski!

— Waści to nie w głowie? A wierzę! — rzekł pan Michał.

Wtem słodki głos Oleńki zabrzmiał mu w uszach:

— Bo waćpanu nie trzeba o tem myśleć. Bóg ci da żonę po sercu kochaną i zacną, jako sam jesteś zacyjny.

Pocziwy pan Michał zaraz rozczulił się:

— Żeby mi kto na fletni grał, nie byłoby mi miłej słuhać!

Gwar coraz wzmagający się przy stole przerwał dalszą rozmowę, bo też i do kielichów przyszło. Humory ożywiały się coraz bardziej. Pułkownicy dysputowali o przyszłej wojnie, marszcząc brwi i ciskając ogniste spojrzenia.

Pan Zagłoba opowiadał na cały stół o oblężeniu Zbaraża, a słuchaczom aż krew biła na twarze, a w sercach rósł zapal i odwaga. Zdawać się mogło, że duch nieśmiertelnego „Jaremy“ nadleciał do tej sali i tchnieniem bohaterskiem napełnił dusze żołnierzy.

— To był wódz! — rzekł znamienity pułkownik Mirski, który całą hussaryą radziwiłłowską dowodził. — Raz go tylko widziałem i w chwili śmierci będę jeszcze pamiętał.

— Jowisz, z piorunami w ręku! — zakrzyknął stary Stankiewicz. — Nie przyszłoby do tego, gdyby żył!...

— Ba! przecie on za Romnami lasy rąbać kazał, by sobie gościniec do nieprzyjaciół otworzyć.

— Jegoto przyczyną stała się berestecka wiktorya.

— I w najcięższej chwili Bóg go zabrał!...

— Bóg go zabrał — powtórzył podniesionym gło-

sem pan Skrzetuski — ale testament po nim został dla przyszłych wodzów, dygnitarzy i całej Rzeczypospolitej: oto, żeby z żadnym nieprzyjacielem nie paktować, ale wszystkich bić! . . .

— Nie paktować! Bić! — powtórzyło kilkanaście silnych głosów. — Bić, bić!

W sali upał stał się wielki i burzył krew w wojownikach, więc poczęły padać spojrzenia jak błyskawice, a podgolone łby dymiły.

— Nasz książę, nasz hetman, będzie tego testamentu egzekutorem! — rzekł Mirski.

Wtem olbrzymi zegar, umieszczony w górze sali, począł bić północ, a jednocześnie wstrząsły się mury, zadźwięczały żałośnie szyby i huk wystrzału wiwatowego rozległ się na dziedzińcu.

Rozmowy umilkły, nastała cisza.

Nagle u szczytu stołu poczęto wołać:

— Książę biskup Parczewski zemdłał! Wody!

Uczyliło się zamieszanie. Niektórzy zerwali się z siedzeń, by się lepiej przyjrzeć, co zaszło. Biskup nie zemdłał, ale osłabł bardzo, aż marszałek podtrzymywał go na krześle za ramiona, podczas gdy pani wojewodzina wendeńska pryskała mu wodą na twarz.

W tej chwili drugi wystrzał działowy wstrząsnął szybami, za nim trzeci, czwarty . . .

— Vivat Rzeczpospolita! pereant hostes! — zakrzyknął Zagłoba.

Lecz dalsze wystrzały zgłuszyły jego mowę. Szlachta poczęła je liczyć:

— Dziesięć, jedenastie, dwanaście . . .

Szyby za każdym razem odpowiadały jękiem żalnym. Płomienie świec chwiały się od wstrząśnień.

— Trzynaście! czternaście!... Ksiądz biskup huku niezwyčajny. Popsuł przez swój strach zabawę, bo i książę się zatroskał. Patrzcie, mości panowie, jaki odęty siedzi... Piętnaście, szesnaście... Hej, walą jak w bitwie! Dziewiętnaście, dwadzieścia!

— Cicho tam! książę chce przemówić! — poczęto wołać naraz w różnych końcach stołu.

— Książę chce przemówić!

Uciszyło się zupełnie i wszystkich oczy zwróciły się na Radziwiłła, który stał, podobny do olbrzyma, z kielichem w ręku. Lecz cóż za widok uderzył oczy uczujących!...

Twarz księcia była w tej chwili poprostu straszna, bo nie blada, ale sina i wykrzywiona jak konwulsją uśmiechem, który książę usiłował na usta przywołać. Oddech jego, zwykle krótki, stał się jeszcze krótszy, szeroka pierś wzdymała się pod złotogłowiem, a oczy nakrył do połowy powiekami i groza jakaś była w tej potężnej twarzy i lodowatość, jakie bywają w krzepnących rysach w chwilach skonu.

— Co jest księciu! co tu się dzieje? — szeptano naokoło niespokojnie.

I złowrogie przecucie ścisnęło wszystkich serca; trwożliwe oczekiwanie osiadło na obliczach.

On tymczasem mówić począł krótkim, przerywanym przez astmę głosem:

— Mości panowie!... Wielu zpomiedzy was... zdziwi... albo zgoła przestraszy ten toast... ale... kto mi ufa i wierzy... kto prawdziwie chce dobra ojczyzny... kto wiernym mojego domu przyjacielem... ten go wzniesie ochotnie... i powtórzy za mną:

— Vivat Carolus Gustavus rex... od dziś dnia łaskawie nam panujący!

— Vivat! — powtórzyli dwaj posłowie Loewenhaupt i Shitte, oraz kilkunastu oficerów cudzoziemskiego autoramentu.

Lecz w sali zapanowało głucho milczenie. Pułkownicy i szlachta spoglądali na siebie przerażonym wzrokiem, jakby pytając się wzajem, czy książę zmysłów nie utracił. Kilka głosów ozwało się wreszcie w różnych miejscach stołu:

— Czy my dobrze słyszym? Coto jest?

Potem znowu nastała cisza.

Zgroza niewypowiedziana w połączeniu ze zdumieniem odbiła się na twarzach i oczy wszystkich znów zwróciły się na Radziwiłła, a on stał ciągle i oddychał głęboko, rzekłbyś: niezmierny jakiś ciężar zrzucił z piersi. Barwa wracała mu zwolna na twarz; następnie zwrócił się do pana Komorowskiego i rzekł:

— Czas promulgować ugodę, którąśmy dzisiaj podpisali, aby ichmościowie wiedzieli, czego się trzymać. Czytaj wasza miłość!

Komorowski wstał, rozwinął leżący przed sobą pergamin i począł czytać straszną ugodę, rozpoczynając się od słów:

— „Nie mogąc lepiej i dogodniej postąpić w najburzliwszym terazniejszym rzeczy stanie, po utraceniu wszelkiej nadziei na pomoc najjaśniejszego króla, my panowie i stany wielkiego księstwa litewskiego, koniecznością zmuszeni, poddajemy się pod protekcją najjaśniejszego króla szwedzkiego na tych warunkach:

1) Łącznie wojować przeciw wspólnym nieprzyjaciołom, wyjąwszy króla i koronę polską.

2) W. księstwo litewskie nie będzie do Szwecyi wcielone, lecz z nią takim sposobem połączone, jak dotąd z koroną polską, to jest, aby naród narodowi, senat senatowi, a rycerstwo rycerstwu we wszystkim było równe.

3) Wolność głosu na sejmach nikomu nie ma być bronioną.

4) Wolność religii ma być nienaruszona...“

I tak dalej czytał pan Komorowski wśród ciszy i zgrozy aż gdy doszedł do ustępu: „...Akt ów stwierdzamy podpisami naszymi za nas i potomków naszych, przyrzekamy i warujemy“ — szmer uczynił się w sali, jakby pierwsze tchnienie burzy wstrząsnęło borem. Lecz nim burza wybuchła, siwy jak gołąb pan Stankiewicz zabrał głos i począł błagać:

— Mości książę! Uszom własnym wierzyć nie chcemy! Na rany Chrystusa! takżeto ma pójść w niewecz dzieło Władysławowe i Zygmunta Augusta? Zali można, zali godzi się braci odstępować, ojczyzny odstępować, i z nieprzyjacielem unią zawierać? Mości książę, wspomnij na imię, które nosisz, na zasługi, które ojczyźnie oddałeś, na sławę niepokalaną dotąd rodu twego i zedrzyj i podepcz ten dokument haniebny! Wiem, że nie w swoim imieniu tylko proszę, ale w imieniu wszystkich tu obecnych wojskowych i szlachty. Toż i nam służy o losie naszym stanowić. Mości książę! nie czyń tego, czas jeszcze!... Zmiłuj się nad sobą, zmiłuj się nad nami, zmiłuj się nad Rzecząpospolitą!

— Nie czyń tego! Zmiłuj się, zmiłuj! — ozwały się setne głosy.

I wszyscy pułkownicy zerwali się z miejsc swoich i szli ku niemu, a sędziwy Stankiewicz klęknął na



środku sali, pomiędzy dwoma ramionami stołu i coraz potężniej brzmiało naokoło:

— Nie czyn tego! Zmiłuj się nad nami!

Radziwiłł podniósł swoją potężną głowę i błyskawice gniewu poczęły przelatywać mu po czole; nagle wybuchnął:

— Waszmościomże to przystoi pierwszym dawać przykład niekarności? Wojskowymże to przystoi wodza, hetmana, odstępować i protestacyą zanosić? Wyto chcecie być mojem sumieniem? Wy chcecie uczyć mnie, jak dla dobra ojczyzny postąpić należy? Nie sejmik to i nie na wota was tu wezwano, a przed Bogiem ja biorę odpowiedzialność!

I dłonią uderzył się w pierś szeroką, pogładając iskrzącym wzrokiem na żołnierzy, a po chwili zakrzyknął:

— Kto nie ze mną, ten przeciw mnie! Znałem was, wiedziałem, co będzie!... A wy wieździe, że miecz wisi nad waszemi głowami!...

— Mości książe! hetmanie nasz! — błagał stary Stankiewicz — zmiłuj się nad sobą i nad nami!

Lecz dalsze jego słowa przerwał Stanisław Skrzetuski, który porwawszy się obu rękoma za włosy, począł wołać rozpaczliwym głosem:

— Nie błagajcie go, to na nic! On tego smoka oddawna w sercu hodował!... Biada ci, Rzeczpospolito! Biada nam wszystkim!

— Dwóch dygnitarzy na dwóch krańcach Rzeczypospolitej zaprzeda je ojczyznę! — odezwał się Jan. — Przekleństwo temu domowi, hańba i gniew boży!

Słyszając to pan Zagłoba, otrząsł się ze zdumienia i wybuchnął:

— Pytajcie się go, jakie korupcye wziął od Szwe-  
da? Ile mu wyliczono? Ile mu jeszcze obiecano? Mości  
panowie, oto Judasz Iskariota! Bodajesz konał w roz-  
paczy! bodaj ród twój wygasł! bodaj dyabeł duszę  
z ciebie wywłócił... zdrajco! zdrajco! po trzykroć  
zdrajco!

Wtem Stankiewicz w uniesieniu rozpaczy wycią-  
gnął pułkownikowską buławę z zapasa i cisnął ją z trza-  
skiem do nóg księcia. Drugi cisnął Mirski, trzeci Józe-  
fowicz, czwarty Hoszczyc, piąty, blady jak trup, pan  
Wołodyjowski, szósty Oskierka — i toczyły się po podło-  
dze buławy, a jednocześnie w tej lwiej jaskini, lwu do  
oczu, coraz więcej ust powtarzało straszliwy wyraz:

— Zdrajca!... zdrajca!...

Wszystka krew napłynęła do głowy dumnemu  
magnatowi; zsiniał, rzekłbyś: za chwilę zwali się tru-  
pem pod stół.

— Ganchoff i Kmicic do mnie!... — ryknął stra-  
szliwym głosem.

W tej chwili czworo podwojów, wiodących do sali,  
rozwarło się naraz z łoskotem i oddziały szkockiej pie-  
choty wkroczyły groźne, milczące, z muszkietami w rę-  
ku. Od głównych drzwi wiódł je Ganchoff.

— Stój! — krzyknął książę.

Poczem zwrócił się do pułkowników:

— Kto za mną, niech przejdzie na prawą stronę  
sali!

— Ja żołnierz, hetmanowi służę! Bóg niech mnie  
sądzi!... — rzekł Charłamp, przechodząc na prawą  
stronę.

— I ja! — dodał Mieszko. — Nie mój będzie  
grzech!

— Protestowałem jako obywatel, jako żołnierz słuchać muszę — dodał trzeci Niewiarowski, który, chociaż poprzednio buławę rzucił, teraz widocznie uląkł się Radziwiłła.

Za nimi przeszło kilku innych i spora wiązka szlachty; lecz Mirski, najwyższy godnością i Stankiewicz najstarszy wiekiem i Hoszczyc i Wołodjowski i Oskierka pozostali na miejscu, a z nimi dwóch Skrzetuskich, pan Zagłoba i ogromna większość, tak towarzyszków rozmaitych poważnych i lekkich chorągwi, jak i szlachty.

Szkocka piechota otoczyła ich murem.

Kmicic od pierwszej chwili, w której książę wznosił toast na cześć Karola Gustawa, zerwał się wraz ze wszystkimi z miejsca, oczy postawił w słup i stał jak skamieniały, powtarzając zbladłemi wargami :

— Boże!... Boże!... Boże!... com ja uczynił?...

Wtem głos cichy, ale dla jego ucha wyraźny, zaszeptał blisko :

— Panie Andrzeju!...

On chwycił się nagle rękoma za włosy :

— Przeklętym na wieki!... Bodaj mnie ziemia pożarła!...

Na twarz Billewiczówny wystąpiły płomienie, a oczy, jak gwiazdy jasne, utkwiała w Kmicicu :

— Hańba tym, którzy przy hetmanie stają!... Wybieraj!... Boże Wszechmogący!... Co waćpan czynisz?!... Wybieraj!...

— Jezu! Jezu! — zakrzyknął Kmicic.

Tymczasem sala rozległa się okrzykami, inni właśnie rzucali buławy pod nogi księcia, ale Kmicic nie przyłączył się do nich! nie ruszył się i wówczas, gdy książę zakrzyknął : „Ganchoff i Kmicic do mnie!“ — ani

gdy piechota szkocka weszła już do sali — i stał targany boleścią i rozpaczą, z obłąkanym wzrokiem, z zsiniałemi usty.

Nagle zwrócił się do Billewiczówny i wyciągnął do niej ręce:

— Oleńka!... Oleńka! — powtórzył z jękiem żalnym, jak dziecko, które krzywda spotyka.

Lecz ona cofnęła się ze wstrętem w twarzy i zgrozą.

— Precz... zdrajco! — odpowiedziała dobitnie.

W tej chwili Ganchoff skomenderował: „Naprzód!“ i oddział Szkotów, otaczający więźniów, ruszył ku drzwiom.

Kmicie począł iść za nimi jak nieprzytomny, nie wiedząc, dokąd i poco idzie.

Uczta była skończona...

---

## ROZDZIAŁ XIV.

---

Tej samej jeszcze nocy, książę długo naradzał się z panem Korfem, wojewodą wendeńskim i z posłami szwedzkimi. Rezultat ogłoszenia umowy zawiódł jego oczekiwania i odsłonił mu groźną przyszłość. Umyślnie chciał książę, by promulgacya nastąpiła w czasie uczty, gdy umysły są podniecone, ochoce i do wszelkiej zgody skłonne. Spodziewał się w każdym razie oporu, ale liczył i na stronników, tymczasem energia protestu przeszła jego oczekiwania. Prócz kilkudziesięciu szlachty kalwinów i garści oficerów obcego pochodzenia, którzy jako cudzoziemcy nie mogli mieć w tej sprawie głosu — wszyscy oświadczyli się przeciw układowi z Karolem Gustawem, a raczej z feldmarszałkiem jego i szwagrem Paulusem de la Gardie zawartemu.

Książę kazał wprawdzie aresztować oporną starszyzną wojskową, ale cóż z tego? Co na to rzekną chorażowie komputowe? . . . Czy się o swoich pułkowników nie upomną? Czy się nie zbuntują i nie będą chciały siłą ich odbić? A w takim razie cóż zostanie dumnemu księciu, prócz kilku regimentów dragońskich i cudzoziemskiej piechoty?

Potem... pozostaje jeszcze cały kraj, wszystka zbrojna szlachta — i Sapieha, wojewoda witebski, groźny przeciwnik radziwiłłowskiego domu, gotów na wojnę z całym światem w imię całości Rzeczypospolitej. Owi pułkownicy, którym nie można przecie szyi poucinać, owe chorągwie polskie pójdą do niego i Sapieha stanie na czele wszystkich sił kraju, a książę Radziwiłł ujrzy się bez wojska, bez stronników, bez znaczenia... Cóż wówczas się stanie?...

Były to pytania straszne, bo i położenie było straszne. Książę rozumiał dobrze, że wówczas i umowa, nad którą w skrytości tyle pracował, siłą rzeczy straci wszelkie znaczenie, a wówczas i Szwedzi lekceważyć go będą, albo nawet mścić się za doznany zawód. Wszakże oddał im swe Birże w zakład wierności, ale przez to tem więcej się osłabił.

Karol Gustaw gotów był sypać obu rękoma nagrody i zaszczyty dla potężnego Radziwiłła — słabym i opuszczonym od wszystkich wzgardzi. A jeśli odmienna szczęścia kolej zesze zwycięstwo Janowi Kazimierzowi, wówczas ostatnia zguba nastanie dla tego pana, który dziś jeszcze rano nie miał równego sobie w całej Rzeczypospolitej.

Po odjeździe posłów i wojewody wendeńskiego, książę chwycił brzemienne troskami czoło w obie dłonie i począł chodzić szybkimi krokami po komnacie... Z zewnątrz dochodziły głosy wartowników szkockich i turkot odjeżdżających kolasek szlacheckich! Odjeżdżały tak szybko jakoś i pośpiesznie, jakby zaraza padła na wspaniały kiejdański zamek. Straszliwy niepokój targał duszę Radziwiłła.

Zdawało mu się chwilami, że prócz niego jest jeszcze ktoś i chodzi za nim i szeptem mu do ucha: opuszczenie, ubóstwo, a do tego hańba... Wszakże on, wojewoda wileński i hetman wielki, już był zdeptany i upokorzony! Ktoby przypuszczał wczoraj, że w całej Koronie i Litwie, ba! w całym świecie, znajdzie się człowiek, któryby śmiało zakrzyknął mu do oczu: „Zdrajca!“ A przecie on tego wysłuchał i żyw dotąd i ci, którzy ów wyraz wymówili, żywi także. Może, gdyby wszedł do owej sali, w której odbywała się uczta, usłyszałby jeszcze, jak echo wśród gzymsów i pod sklepieniami powtarza: „Zdrajca! zdrajca!“

I gniew szalony, wściekły, chwycił chwilami za pierś oligarchy. Nozdrza jego rozdymały się, oczy cisnęły błyskawice, żyły występowały na czole. Kto tu śmie stawiać opór jego woli?... Rozszalała myśl stawała mu przed oczy obraz kar i mąk dla buntowników, którzy ośmielili się nie iść jak pies za jego nogami. I widział krew ich ściekającą z katowskich toporów, słyszał chrupot kości, łamanych kołem i kąpał się i lubował i nasycił krwawymi widziadłami.

Lecz gdy trzeźwiejsza rozważa przypomniała mu, że za tymi buntownikami stoi wojsko, że nie można bezkarnie łbów im poskręcać, wówczas niepokój nieznośny, piekielny, wracał i napełniał jego duszę, a ktoś znów poczynał szeptać mu do ucha:

„Opuszczenie, ubóstwo, sąd i hańba...“

— Jakżeto? więc Radziwiłłowi nawet nie wolno stanąć o losie kraju? utrzymać go przy Janie Kazimierzu lub dać Karolowi Gustawowi? dać, przekazać, darować, komu zechce?

Magnat spojrział ze zdumieniem przed siebie.

Więc cóż są Radziwiłłowie? więc czemu byli wczoraj? co mówiono powszechnie na Litwie?... Zali to wszystko było złudzeniem? Zali przy hetmanie wielkim nie stanie książę Bogusław ze swojemi pułkami, za nim wuj elektor Brandeburski, a za wszystkimi trzema Karol Gustaw, król szwedzki, z całą zwycięską potęgą, przed którą niedawno jeszcze drżały Niemcy jak długie i szerokie? Toż i ta Rzeczpospolita polska wyciąga ku nowemu panu ręce i ona poddaje się na samą wieść o zbliżaniu się północnego lwa. Któż stawi opór tej sile niepohamowanej?

Z jednej strony król szwedzki, elektor brandeburski, Radziwiłłowie, w potrzebie i Chmielnicki z całą potęgą i gospodar wołoski i Rakoczy siedmiogrodzki, pół niemal Europy! — z drugiej pan wojewoda witebski z panem Mirskim, z panem Stankiewiczem, z ową trójką szlachty przybyłej zpod Łukowa i z kilku zbuntowanemi chorągwiami!... Coto jest? żarty? krotofila?...

Tu nagle książę zaczął się śmiać głośno.

— Przez lucypera i cały sejm piekielny, chyba oszalał!... Niech i wszyscy pójda do wojewody witebskiego!

Po chwili jednak twarz jego zasępiła się znowu:

— Ci potężni tylko potężnych do spółki przypuszczą. Radziwiłł rzucający Litwę pod szwedzkie nogi, będzie pożądanym... Radziwiłł wzywający pomocy przeciw Litwie, będzie lekceważony.

Co czynić?

Oficerowie cudzoziemscy wytrwają przy nim, ale siły ich niedostateczne i jeśli polskie chorągwie przejdą do wojewody witebskiego, wtedy on będzie miał losy kraju w ręku. Zresztą każdy z tych oficerów spełni



wprawdzie rozkazy, ale nie poślubi sprawy radziwiłłowskiej całą duszą, nie odda się jej z zapałem, nietylko jako żołnierz, lecz jako stronnik.

Tu koniecznie trzeba mieć nie cudzoziemców, ale ludzi swoich, którzyby mogli pociągnąć innych nazwiskiem, męstwem, sławą, zuchwałym przykładem, gotowością na wszystko . . . Trzeba mieć w kraju stronników, choćby dla pozorów.

Któż zaś z tych swoich opowiedział się przy księciu? Charłamp, stary, zużyty żołnierz, dobry do służby i do niczego więcej; Niewiarowski, nielubiany w wojsku i bez wpływu; za nimi kilku innych mniejszego jeszcze znaczenia. Nikt z innych, nikt z takich, za którymby poszło wojsko, nikt z takich, któryby mógł być propagatorem sprawy.

Pozostawał Kmicic, młody, przedsiębiorczy, zuchwały, okryty wielką sławą rycerską, noszący znamienite nazwisko, stojący na czele potężnej chorągwi, częścią własnym kosztem wystawionej, człowiek jakby stworzony na wodza wszystkich zuchwałych i niespokojnych duchów na Litwie, a przytem pełen zapału. Gdyby on chwycił się sprawy radziwiłłowskiej, to chwyciłby się jej z wiarą, jaką daje młodość, szedłby za swym hetmanem naślepo i apostołowałby w jego imieniu, a taki apostoł znaczy więcej, niż całe pułki, niż całe regimenty cudzoziemców. Swą wiarę potrafiłby wlać w serca młodego rycerstwa, pociągnąć je za sobą i wypełnić ludźmi radziwiłłowski obóz.

Lecz i on zawahał się widocznie. Nie rzucił wprawdzie swej buławy pod nogi hetmana, ale nie stanął przy nim w pierwszej chwili.

— Na nikogo nie można liczyć, nikogo nie można

być pewnym — pomyślał posępnie książę. — Wszyscy oni przejdą do wojewody witebskiego i nikt nie zechce się ze mną podzielić. . .

— Hańbą! — poszepnęło sumienie.

— Litwą — odpowiedziała z drugiej strony pycha.

W komnacie pociemniało, bo na knotach świec osiadły grzyby, jeno przez okna wpływało srebrne światło księżyca. Radziwiłł wpatrzył się w te blaski i zamyslił się głęboko.

Zwolna poczęło się coś mącić w tych blaskach, wstawały jakieś postacie i coraz ich było więcej, aż wkońcu ujrzał książę jakoby wojska idące ku sobie z górnych szlaków szeroką księżycową drogą. Idą pułki pancerne, husarskie i lekkie petyhorskie, las chorągwi płynnie nad niemi, a na czele jedzie jakiś człowiek bez hełmu na głowie, widocznie tryumfator wracający po wojnie zwycięskiej. Cisza naokoło, a książę słyszy wyraźnie głos wojska i ludu: „Vivat defensor patriae! vivat defensor patriae!“ Wojska zbliżają się coraz więcej; już twarz wodza można rozpoznać. Buławę trzyma w rękę; z liczby buńczuków można poznać, że to hetman wielki.

— W Imię Ojca i Syna! — woła książę — to Sapięha, to wojewoda witebski! A gdzie ja jestem? i co mnie przeznaczono?

— Hańbę! — szepce sumienie.

— Litwę! — odpowiada pycha.

Książę zaklasnął w dłonie; czuwający w przyległej komnacie Harasimowicz ukazał się natychmiast we drzwiach i zgiął się we dwoje.

— Światła! — rzekł książę.

Harasimowicz poobjasniał knoty od świec, poczem wyszedł i po chwili wrócił ze świecznikiem w rękę.

— Wasza ks. mość! — rzekł — czas na spoczynek, już drugie kury piały!

— Nie chcę! — rzekł książę. — Zdrzemnąłem się i zmora mnie dusiła. Co tam nowego?

— Jakiś szlachcic przywiózł list z Nieświeża od księcia krajczego, ale nie śmiałem wchodzić nieprzyzwany.

— Dawaj coprędzej list!

Harasimowicz podał zapieczętowane pismo, książę otworzył i począł czytać, co następuje:

„Niech w. ks. mość Bóg broni i powstrzyma od takowych zamysłów, które wieczną hańbę i zniszczenie domowi naszemu przynieść mogą. Za sam takowy zamiar, nie o panowaniu, ale o włościennicy myśleć. Mnie też wielkość naszego domu na sercu leży, a najlepszy dowód w staraniach, jakie w Wiedniu czyniłem, abyśmy suffragia w sejmach rzeszy mieć mogli. Ale ojczyzny, ani pana swojego za żadne nagrody i potęgę ziemską nie zdradzę, abym zaś po takiej siejbie żniwa hańby za życia i potępienia po śmierci nie zebrał. Wejrzyj wasza ks. mość na zasługi przodków i na sławę niepokalaną i opamiętaj się na miłosierdzie boskie, póki czas potemu służy. Nieprzyjaciel oblega mnie w Nieświeżu i nie wiem, zali to pismo dojdzie rąk waszej ks. mości; ale chociaż każda chwila zgubą mi grozi, nie o ocalenie Boga proszę, jeno aby waszę ks. mość od tych zamysłów powstrzymał i na drogę cnoty naprowadził. Choćby się już co złego uczyniło, jeszcze recedere wolno i prędką poprawą zgładzić grzechy potrzeba. A ode mnie nie spodziewajcie się pomocy, bo to zgóry oświad-

czam, że bez względu na związek krwi, ja siły swoje z panem podskarbis i z wojewodą witebskim połączę i oręż mój sto razy prędzej przeciw w. ks. mości zwrócę, zanimbym do tej haniebnej zdrady miał dobrowolnie przyłożyć ręki. Bogu w. ks. mość polecam.

*Michał Kazimierz Radziwiłł,*

Książę na Nieświeżu i Ołyce, krajczy W. Ks. Litewskiego.

Hetman skończywszy list, opuścił go na kolana i począł kiwać głową z bolesnym na twarzy uśmiechem.

— I ten mnie opuszcza, własna krew mnie się wypiera, za to, żem chciał dom nasz nieznanym dotąd blaskiem przyozdobić!... Ha! trudno! Pozostaje Bogusław i ten mnie nie opuści... Z nami elektor i Carolus Gustavus, a kto nie chce siać, ten i zbierać nie będzie...

— Hańby! — szepnęło sumienie.

— W. ks. mość raczy dać odpowiedź? — pytał Harasimowicz.

— Nie będzie odpowiedzi.

— Mogę odejść i pokojowych przysłać?

— Czeka... Czy warty pilno rozstawione?

— Tak jest.

— Ordynanse do chorągwi rozesłane?

— Tak jest.

— Co robi Kmicic?

— Łbem o ścianę bił i krzyczał o potępieniu.

Wił się, jak piskorz. Chciał uciekać za Billewiczami, warty go nie puściły. Porwał się do szabli, musiano go związać. Teraz leży spokojnie.

— Miecznik rosieński wyjechał?

— Nie było rozkazu, żeby go wstrzymać.

— Zapomniałem! — rzekł książę. — Otwórz okna,

bo duszno i astma mnie dusi. Charłampowi powiedz, żeby do Upity po chorągiew ruszał i zaraz ją tu sprowadził. Pieniędzy mu dać, niech pierwszą ćwierć ludziom zapłaci i podochocić im pozwoli... Powiedz mu, że Dydkiemie w dożywocie po Wołodyjowskim weźmie. Astma mnie dusi... Czekaj!

— Wedle rozkazu w. ks. mości.

— Co robi Kmicic?

— Jako rzekłem waszej księżęcej mości, leży spokojnie.

— Prawda! mówiłeś... Każ go tu przysłać. Potrzebuję z nim mówić. Więzy każ mu zdjąć.

— W. ks. m., to człowiek szalony...

— Nie bój się, ruszaj!

Harasimowicz wyszedł; książę zaś wyjął z weneckiego biurka pudełko z pistoletami, otworzył je i położył sobie pod ręką na stole, przy którym usiadł.

Po kwadransie czasu wszedł Kmicic, wprowadzony przez czterech trabantów szkockich. Książę kazał odejść żołnierzom. Zostali samnasam.

Zdawało się, że niema ani jednej kropli krwi w twarzy junaka, tak była blada; oczy tylko świeciły mu gorączkowo, ale zresztą był spokojny, zrezygnowany, lubo zdawał się być pogrążony w bezgranicznej rozpacz.

Przez chwilę milczeli obaj. Przemówił pierwszy książę:

— Przysiągłeś na krucyfiksie, że nie opuścisz mnie!

— Potępiony będę, gdy tej przysięgi nie dotrzymam; potępiony będę, gdy jej dotrzymam! — rzekł Kmicic. — Wszystko mi jedno!

— Choćbym cię do złego prowadził, nie ty będziesz odpowiadał.

— Przed miesiącem groziły mi sądy i kary za zabójstwa... dziś wydaje mi się, że w onczas był niewinny, jak dziecko!

— Nim wyjdiesz z tej komnaty, będziesz się czuł rozgrzeszony ze wszystkich swych win dawniejszych — rzekł książę.

Nagle, zmieniawszy ton, spytał z pewną poufałą dobroduszością:

— Co też sądzisz, co ja powinienem być uczynić wobec dwóch nieprzyjaciół, stokroć potężniejszych, przeciwko którym obronić tego kraju nie mogłem?

— Zginać! — odpowiedział szorstko Kmicic.

— Zazdrościć wam, żołnierzom, którym wolno tak łatwo zrzucić gniotące brzemie. Zginać! Kto śmierci w oczy patrzył i nie boi się jej, temu nic prostszego w świecie. Was głowa nie boli o to i żadnemu na myśl nie przyjdzie, że gdybym ja teraz wojnę zaciekłą rozniecił i nie zawarłszy układu, zginął, tedyby kamień na kamieniu z tego kraju nie pozostał. Nie daj Bóg, aby się to stało, bo i w niebie nie znalazłaby dusza moja spoczynku. O, terque, quaterque beati, którzy możecie zginać!... Zali to myślisz, że i mnie żywot już nie ciąży, że nie głodny wiekuistego snu i odpocznienia? Ale trzeba kielich żółci i goryczy wychylić do dna. Trzeba ratować ten nieszczęśliwy kraj i dla jego ratunku pod nowym ugiąć się ciężarem. Niech zazdrośni posądzają mnie o pychę, niech mówią, że ojczyznę zdradzam dlatego, aby siebie wynieść, Bóg mnie widzi, Bóg sądzi, czy pragnę tego wyniesienia i czybym się nie rzekł, gdyby inaczej być mogło... Znajdźcież wy,

którzy mnie odstępujecie, środek ratunku; wskażcie drogę wy, którzyście mnie zdrajcą mianowali, a dziś jeszcze podreż ten dokument i wszystkie chorągwie ze snu rozbudź, aby na nieprzyjaciela ruszyć.

Kmicic milczał.

— No! czemu milczysz? — zawołał podniesionym głosem Radziwiłł — czynię cię na mojem miejscu hetmanem wielkim i wojewodą wileńskim, a ty nie giń, bo to nie sztuka, ale ratuj kraj: broń województw zajętych, pomścij popioły Wilna, broń Żmudzi przeciw szwedzkiemu najściu, ha! broń całej Rzeczypospolitej, wyżeń z granic wszystkich nieprzyjaciół!... Porwij się samotrzeć na tysiące i nie giń!... i nie giń, bo ci nie wolno, ale ratuj kraj!...

— Nie jestem hetmanem i wojewodą wileńskim — odparł Kmicic — i co do mnie nie należy, to nie moja głowa... Ale jeśli chodzi o to, by się porwać samotrzeć na tysiące, to się porwę!

— Słuchaj tedy żołnierzu: skoro nie twoja głowa ma ratować kraj, to zostaw to mojej i ufaj!

— Nie mogę! — rzekł ze ściśniętymi zębami Kmicic.

Radziwiłł potrząsnął głową:

— Nie liczyłem na tamtych, spodziewałem się tego, co się stało, alem się na tobie zawiódł. Nie przerywaj i słuchaj... Postawiłem cię na nogi, uwolniłem od sądu i od kary, przygarnąłem do serca, jak syna. Czy wiesz dlaczego? Bom myślał, że masz duszę śmiałą, do wielkich przedsięwzięć gotową. Potrzebowałem takich ludzi, tego nie ukrywam. Nie było koło mnie nikogo, ktoby śmiał w słońce spojrzeć nieulekłym okiem. Byli ludzie małego ducha i małej fantazyi. Takim nie

ukazuj nigdy innej drogi, jak ta, po której oni sami i ich ojcowie chodzić zwykli, bo cię zaskraczą, że ich na manowce prowadzisz. A przecie gdzie, jeżeli nie do przepaści, doszliśmy wszyscy owemi starymi drogami? Co się dzieje z tą Rzeczpospolitą, która niegdyś światu przegrzać mogła?

Tu książę głowę wziął w ręce i powtórzył potrzykroc:

— Boże! Boże! Boże!...

Po chwili tak mówił dalej:

— Nadeszły czasy gniewu Bożego, czasy takich klęsk i takiego upadku, że zwykłemi sposobami już nam się nie podnieść z tej choroby, a gdy ja chcę użyć nowych, jedynie salutem przynieść mogących, tedy mnie opuszczają nawet ci, na których gotowość liczyłem, którzy powinni mi byli ufać, którzy mi ufność na krucyfiksie zaprzysięgli... Przez krew i rany Chrystusa! Zali ty myślisz, że ja na wieki poddałem się pod protekcją Karola Gustawa, że ja ten kraj naprawdę myślę ze Szwecją połączyć, że ten układ, za który zdrajcą mnie okrzyknięto, dłużej niż rok trwać będzie?... Czegożto spoglądasz zdumionemi oczyma?... Więcej się jeszcze zdumiejesz, gdy wszystkiego wysłuchasz... Więcej się przerazisz, bo tu stanie się coś takiego, czego nikt się nie domyśla, nikt nie przypuszcza, czego umysł zwyczajnego człowieka objąć nie zdoła. Ale mówię ci, nie drzyj, bo w tem zbawienie tego kraju, nie cofaj się, bo gdy nikogo nie znajdę do pomocy, tedy może zginę, ale ze mną zginie Rzeczpospolita i wy wszyscy — na wieki! Ja jeden uratować ją mogę, ale na to muszę zgnieść i zdeptać wszystkie przeszkody. Biada temu, kto mi się oprze, bo sam Bóg go przeze mnie zetrze, czy to będzie pan



wojewoda witebski, czy pan podskarbi Gosiewski, czy wojsko, czy szlachta oporna. Chcę ratować ojczyznę i wszystkie drogi, wszystkie sposoby do tego mi dobre... Rzym w chwilach klęski mianował dyktatorów — takiej, ba! większej, trwalszej władzy mi potrzeba... Nie pycha mnie do niej ciągnie — kto się czuje na siłach, niech ją za mnie bierze! Ale gdy niema nikogo, ja ją wezmę, chyba mi te mury pierwiej upadną na głowę!...

To rzekłszy, książę wyciągnął obie ręce do góry, jakby naprawdę chciał podeprzeć walące się sklepienia i było w nim coś tak olbrzymiego, że Kmicic otworzył szeroko oczy i patrzył nań, jakby go nigdy dotąd nie widział — a nakoniec spytał zmienionym głosem:

— Dokąd wasza książęca mość dążysz?... Czego chcesz?...

— Chcę... korony! — zakrzyknął Radziwiłł.

— Jezus, Marya!...

Nastała chwila głuchej ciszy — jeno puszczyk na wieży zamkowej począł się śmiać przeraźliwie.

— Słuchaj, — rzekł książę — czas powiedzieć ci wszystko... Rzeczpospolita ginie... i zginąć musi. Nie masz dla niej na ziemi ratunku. Chodzi o to, by najprzód ten kraj, tę naszą ojczyznę bliższą, ocalić z rozbicia... a potem... potem wszystko odrodzić z popiołów, jako się feniks odradza... Ja to uczynię... i tę koronę, której chcę, włożę jako ciężar na głowę, by z onej wielkiej mogiły żywot nowy wyprowadzić... Nie drżj! ziemia się nie rozpada, wszystko stoi na dawnym miejscu, jeno czasy nowe przychodzą... Oddałem ten kraj Szwedom, aby ich orężem drugiego nieprzyjaciela pohamować, wyżenać go z granic, odzyskać co stracone i w jego własnej stolicy mieczem traktat wymusić...

Słyszysz ty mnie? Ale w onej skalistej, głodnej Szwecyi niemasz dość ludzi, dosć sił, dosć szabel, aby tę niezmierną Rzeczpospolitą zagarnąć. Mogą zwyciężyć raz i drugi nasze wojsko; utrzymać nas w posłuszeństwie nie zdołają... Gdyby każdym dziesięciu ludziom tutejszym dodać za strażnika jednego Szweda, jeszczeby dla wielu dziesiątków strażników nie stało... I Karol Gustaw wie o tem dobrze i nie chce i nie może zagarnąć całej Rzeczypospolitej... Zajmie Prusy królewskie, część Wielkopolski co najwięcej — i tem się będzie kontentował. Ale aby owemi nabytkami mógł na przyszłe czasy bezpiecznie władać, musi sojusz Korony z nami rozerwać, bo inaczej nie osiedziałyby się w tamtych prowincjach. Cóż się więc stanie z tym krajem? Komu go oddadzą? Oto, jeśli ja odrzucę tę koronę, którą mi Bóg i fortuna na głowę kładą, tedy oddadzą go temu, kto go w tej chwili istotnie opanował... Lecz Karol Gustaw nie rad tego czynić, by sąsiedzkiej potęgi zbytnio nie utuczyć i groźnego sobie nieprzyjaciela nie stworzyć. Chyba, że ja koronę odrzucę, wówczas musi tak być... Zali więc mam prawo ją odrzucać? Zali mogę pozwolić, aby stało się to, co ostatnią zgubą grozi? Po raz dziesiąty i setny pytam: gdzie inny środek ratunku? Niech się więc dzieje wola Boża! Biorę ten ciężar na ramiona. Szwedzi są za mną, elektor, nasz krewny, pomoc przyrzeka. Uwolnię kraj od wojny! Od zwycięstw i rozszerzenia granic rozpocznę panowanie domu mego. Zakwitnie spokój i pomyślność, ogień nie będzie palił wsi i miast. Tak będzie i tak być musi... Tak mi dopomóż Bóg i święty krzyż — bo czuję w sobie siłę i moc z nieba mi daną, bo chcę szczęścia tej krainy, bo nie tu jeszcze koniec moich zamysłów... I na te światła niebieskie

przysięgam, na te drgające gwiazdy, że niech jeno siła i zdrowia mi starczy, a cały ten gmach walący się dzisiaj odbuduję nanowo i potężniejszym, niż dotąd go uczynię.

Ogień bił ze źrenic i oczu księcia i całą jego postać otaczał jakiś blask niezwykły.

— Wasza ks. mość! — zakrzyknął Kmicic — umysł objąć tego nie może, głowa pęka, oczy boją się patrzeć przed siebie!

— Potem — mówił dalej Radziwiłł, jakby idąc za dalszym biegiem własnych myśli — potem... Jana Kazimierza nie pozbawią Szwedzi państwa, ni panowania, ale go w Mazowszu i Małopolsce zostawią. Bóg mu nie dał potomstwa. Potem przyjdzie elekcya... Kogoż na tron wybiorą, jeśli chcą dalszy sojusz z Litwą utrzymać? Kiedyżto tamta korona doszła do potęgi i zgniotła moc krzyżacką? Oto, gdy na jej tronie zasiadł Władysław Jagiełło. I teraz tak będzie... Polacy nie mogą kogo innego na tron powołać, jeno tego, kto tu będzie panował. Nie mogą i nie uczynią tego, bo zginą, bo im między Niemcami i Turczyńcem powietrza w piersi nie stanie, gdy i tak rak kozacki pierś tę toczy. Nie mogą! Ślepy, kto tego nie widzi; głupi, kto tego nie rozumie! A wówczas obie krainy znowu się połączą i zleją się w jedną potęgę w domu moim! Wówczas obaczmy, czy oni królikowie skandynawscy ostoją się przy dzisiejszych pruskich i wielkopolskich nabytkach. Wówczas powiem im: *quos ego!* i tą stopą wychudłe żebra im przycisnę i stworzę taką potęgę, jakiej świat nie widział, o jakiej dzieje nie pisały, a może do Konstantynopola krzyż, miecz i ogień poniesiem i grozić będziem nieprzyjaciółom, spokojni wewnątrz! Wielki Boże, który obra-

casz gwiazd kręgi, dajże mi ocalić tę nieszczęsną krainę na chwałę Twoję i całego chrześcijaństwa, dajże mi ludzi, którzyby zrozumieli myśl moję i do zbawienia chcieli rękę przyłożyć. Otom jest!...

Tu książę ręce rozłożył i oczy podniósł do góry:

— Ty mnie widzisz! Ty mnie sądzisz!...

— Mości książę! Mości książę! — zawołał Kmicic.

— Idź! opuść mnie! rzuć mi buzdygan pod nogi!

Złam przysięgę! przewij zdrajcą!... Niech w tej koronie cierniowej, którą mi na głowę włożono, żadnego ciernia nie zbraknie! Zgubcie kraj, pogrążcie go w przepaść, odtrąćcie rękę, która go zbawić może i na sąd boży idźcie... Tam niechaj nas rozsądzą...

Kmicic rzucił się na kolana przed Radziwiłłem.

— Mości książę! ja z tobą do śmierci! ojciec ojczyzny! zbawco!

Radziwiłł złożył mu obie ręce na głowie i znów nastąpiła chwila milczenia... Jeno puszczyk śmiał się ciągle na wieży.

— Wszystko otrzymasz, czegoś pragnął i pożądał — rzekł uroczyście książę. — Nic cię nie minie, a więcej spotka, niż ci ojciec i matka życzyli... Wstań przyszedł hetmanie wielki i wojewodo wileński!...

Na niebie poczęło świtać.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.







This book should be returned  
the Library on or before the last date  
stamped below.

A fine of five cents a day is incurred  
by retaining it beyond the specified  
time.

Please return promptly.

~~FEB 2 '52 H~~

DUE FEB 26 1927

DUE JAN 31 1924

DUE MAY 24 1930

DUE JUL 16 1930

DUE NOV 6 1930

DUE NOV 6 1930

~~DUE JUL 1 1932~~

~~DUE AUG 23 33~~

~~DUE MAY 11 '35~~

~~DEC 15 '51 H~~



